

**JEFFERY
DEAVER**

PUSTE KRZESŁO

Puste Krzesło Jeffrey Deaver

Tytuł oryginału THE EMPTY CHAIR

Jeffrey Deaver

W mózgu, i tylko w mózgu, rodzą się nasze przyjemności, radości, śmiech i żarty, podobnie jak nasz smutek, ból, rozpacz i łzy...

Mózg jest także siedliskiem szaleństwa i opętania, lęków i obsesji, które dręczą nas nocą i za dnia...

Hipokrates

Mam nadzieję, że mieszkańcy Karoliny Północnej zechcą mi wybaczyć drobne zmiany w geografii i systemie szkolnictwa ich stanu, których dokonałem dla swych nikczemnych celów.

Jeśli będzie to dla nich jakimś pocieszeniem, mogą być pewni, że uczyniłem to z największym szacunkiem dla stanu, który słynie z najlepszych drużyn koszykówki w kraju.

Deborze Schneider... najlepszej agentce literackiej, najlepszej przyjaciółce Na północ od Paguo

Przyszła tutaj, by złożyć kwiaty w miejscu, gdzie zginął chłopiec i gdzie została porwana dziewczyna.

Przyszła tutaj, bo była otyła, miała pryszczki na twarzy i niewielu przyjaciół.

Przyszła tutaj, bo tego od niej oczekiwano.

Przyszła tutaj, bo tego chciała.

Ocieżała i spocona, dwudziestosześcioletnia Lydia Johansson przeszła nieutwardzonym poboczem wzdłuż drogi 112, gdzie zaparkowała swoją hondę accord, potem ostrożnie zstąpiła w dół stoku, na błotnisty brzeg kanału Blackwater, który łączył się tutaj z mętnymi wodami rzeki Paquenoque.

Przyszła, bo uważała, że należy to zrobić.

Przyszła, choć się bała.

Był dopiero wczesny ranek, lecz tegoroczny sierpień w Karolinie Północnej należał do najgorętszych w stuleciu, a białe Ubranie Lydii pokryło się ciemnymi plamami potu, nim jeszcze ruszyła w stronę polany położonej nad rzeką, otoczonej wierzbami, drzewami tupelo i wawrzynami o szerokich liściach. Bez trudu odszukała właściwe miejsce; żółta policyjna taśma odcinała się wyraźnie od otoczenia.

Dźwięki wczesnego poranka. Nury, jakieś zwierzę plądrujące w pobliskim krzaku, gorący wiatr, szumiący w turzycy i trawie.

Boże, ale się boję, pomyślała. Przed oczami stanęły jej wszystkie przerażające i makabryczne sceny z powieści Stephena Kinga i Deana Koontza, które czytywała wieczorami ze swym najlepszym towarzyszem, butelką Ben & Jerry. Chłopak Lydii traktował tego rodzaju książki z pobłażliwym uśmiechem, ją jednak zawsze przyprawiały one o zimny dreszczyk strachu, nawet jeśli czytała je już wcześniej i znała zakończenie.

Znowu jakiś hałas w krzaku. Lydia zatrzymała się na moment i rozejrzała, niepewna, potem ponownie ruszyła naprzód.

-

Hej! - zawołał jakiś męski głos. Bardzo blisko.

Lydia odwróciła się na pięcie, śmiertelnie przerażona. Omal nie wypuściła z ręki kwiatów.

- Jesse,

aleś mnie wystraszył.

-Przepraszam. - Jesse Corn stał po drugiej stronie wierzby płaczącej, obok polany otoczonej

policyjną taśmą. Lydia zauważyła, że oboje wpatrują się w ten sam punkt; błyszczącą białą linię, wyznaczającą miejsce, w którym znaleziono ciało chłopca. Dostrzegła też ciemną plamę, w której jako pielęgniarka natychmiast rozpoznała zakrzepłą krew.

- Więc to się stało tutaj - wyszeptała.-Tak jest, tutaj.

Jesse otarł czoło i poprawił niesforny kosmyk blond włosów. Jego mundur - beżowy uniform Biura Szeryfa Okręgu Paque-noke - był wymięty i brudny. Pod pachami rozlewały się ciemne plamy potu. Jesse miał trzydzieści lat i chłopięcą urodę. Choć nie był to typ twardego, posępnego kowboja, który najbardziej jej się podobał, pomyślała - nie po raz pierwszy - że można spotkać wielu gorszych kandydatów na męża.

-
Od kiedy tu jesteś? - spytała.-Nie wiem. Chyba gdzieś od piętej.

-Widziałam jeszcze jeden samochód. Przy drodze - powiedziała Lydia. -To Jim?

-Nie. Ed Schaeffer. Jest po drugiej stronie rzeki. - Jesse wskazał głową na kwiaty. - Ładne.

Lydia spojrzała na stokrotki, które trzymała w dłoni.

- Dwa

czterdzieści dziewięć. W Food Lion. Kupiłam je wczorajwieczorem.

Wiedziała, że tak wcześnie rano jeszcze wszystkobędzie pozamykane. No, może Dell, ale tam nie sprzedają kwiatów. - Przerwała, zastanawiając się, dlaczego tyle mówi. Potemjeszcze raz rozejrzała się dokoła. - Nie wiadomo, co z Mary Beth?

Jesse pokręcił głową. '

-Nie. Ani śladu.

-Więc o nim też pewnie nic nie wiecie.

-Nie. - Jesse popatrzył na zegarek. Potem ogarnął spojrzeniem ciemną wodę, gęste trzciny i trawę, zniszczone molo.

Lydia była nieco zniesmaczona faktem, że zastępca szeryfa, z wielkim pistoletem u boku, zachowuje się równie nerwowo jak ona. Jesse ruszył w górę trawiastego zbocza, w stronę drogi. Potem zatrzymał się jeszcze na moment.

- Tylko dwa dziewięćdziesiąt dziewięć?

-Czterdzieści dziewięć. Food Lion.

-Naprawdę tanio - powiedział młody policjant, spoglądając na morze gęstych traw. Ponownie ruszył w górę zbocza. - Będę przy samochodzie.

Lydia Johansson podeszła bliżej do miejsca zbrodni. Modliła się przez kilka minut. Modliła się za duszę Billy'ego Staila, która wczorajszego ranka w tym właśnie miejscu została uwolniona z jego okrwawionego ciała.

Modliła się za duszę Mary Beth McConnell, gdziekolwiek by ta była.

I za siebie.

Znów jakiś hałas w krzaku. Szelest, trzask łamanych gałęzi.

Słońce świeciło już pełnym blaskiem, który nie mógł się jednak przebić przez mroczne wody Blackwater Landing. Rzeka była tutaj głęboka, wzdłuż jej brzegów ciągnęła się zbita masa czarnych wierzb, grubych pni martwych i żywych cedrów i cyprysów, wszystko to zaś okrywała warstwa mchu i pnącza opornika. Na północnym wschodzie, całkiem niedaleko, znajdowało się Wielkie Ponure Bagno, a Lydia Johansson, jak każdy skaut z okręgu Paquenoke, знаła wszystkie legendy dotyczące tego miejsca; o Pani Jeziora, o Kolejarzu bez Głowy... Lecz to nie te zjawy budziły jej niepokój:

Blackwater Landing miało swojego własnego ducha - chłopca, który porwał Mary Beth McConnell.

Nie mogła przestać myśleć o wszystkich historiach, które opowiadali o nim ludzie. O tym, jak włóczył się po okolicznych lasach i bagnach, blady i chudy niczym trzcina. Jak podkradał się do zakochanych par, które całowały się na kocach czy w samochodach zaparkowanych nad rzeką. O tym, jak wśliznął się na podwórko jakiegoś domu przy Canal Road i podglądał przez okno młodą dziewczynę, kiedy ta układała się do snu. Patrzył na nią, pocierał dłońmi niczym bladolica modliszka, aż wreszcie nie wytrzymał i wsunął rękę przez otwór w okiennicy, by sięgnąć pod jej piżamę. Albo o tym, jak po prostu siedział na poboczu drogi przed jakimś domem w Blackwater Landing i zaglądał do okien, w nadziei, że dojrzy tam dziewczynę, którą śledził po szkole.

Lydia otworzyła torebkę, odszukała paczkę papierosów „Me-rit” i drżącymi dłońmi zapaliła papierosa. Uspokoila się nieco. Przeszła kilkanaście jardów wzdłuż brzegu. Zatrzymała się przy kępie wysokiej trawy, która ugiwała się pod naporem gorącej bryzy. Ze szczytu wzgórza dobiegł ją pomruk zapalanego silnika. Jesse chyba jeszcze nie odjeżdża? Lydia spojrzała w tamtą stronę, zaniepokojona. Samochód jednak nie ruszał z miejsca. Pewnie Jesse uruchomił tylko klimatyzację. Kiedy spojrzała ponownie w stronę wody, zauważyła, że turzyca, żdźbła traw i dziki ryż nadal się uginają, kołyszą, szeleszczą.

Jakby ktoś tam był, zbliżał się do żółtej taśmy, pochylony nisko nad ziemią.

Nie, nie, nic podobnego. To tylko wiatr, wmawiała sobie. Potem złożyła kwiaty w zagłębieniu między gałęzią i poskręcanym pnem starej wierzby, niedaleko od białego zarysu ciała, naznaczonego krwią ciemną jak wody rzeki.

Zastępca szeryfa Ed Schaeffer oparł się o pień dębu i odgonił rój komarów, które próbowały usiąść na jego odsłoniętych rękach. Przykucnął i jeszcze raz przyjrzał się uważnie śladom na ziemi.

Musiał przytrzymać się gałęzi; ślaniał się ze zmęczenia. Jak większość policjantów z biura szeryfa, był na nogach już niemal od dwudziestu czterech godzin, szukając Mary Beth McConnell i chłopca, który ją porwał. Jednak podczas gdy pozostali, jeden po drugim, wracali do domu, by coś zjeść i przespać się kilka godzin, Ed nie przerywał pracy. Był

największym i najstarszym zastępcą w biurze (pięćdziesiąt dwa lata i dwieście sześćdziesiąt funtów bezużytecznej w dużej mierze wagi), lecz zmęczenie, głód i zeszywniałe stawy nie mogły powstrzymać go od dalszych poszukiwań.

Policjant jeszcze raz spojrzał na ziemię.

Wcisnął guzik uruchamiający jego radio.

- Jesse, to ja. Jesteś tam?

-Mów.

- Znalazłem ślady - wyszeptał. - Świeże.

- Naprawdę? Myślisz, że to on?

-

A kto inny? O tej porze, po tej stronie Paquo?-Wygląda na to, że miałeś rację - westchnął Jesse Corn. -

Nie wierzyłem ci na początku, ale trafiłeś w dziesiątkę.

Ed twierdził uparcie, że chłopak tu jeszcze wróci. Nie kierował się przy tym teorią głoszącą, że każdy przestępca wraca na miejsce zbrodni - wiedział po prostu, że Blackwater Landing zawsze było terenem łowieckim porywacza i że bez względu na występki, jakich ów się dopuścił w ciągu ostatnich lat, zawsze wracał do tego miejsca.

-Wygląda na to, że idzie w twoją stronę, ale nie jestem całkiem pewny. Szedł głównie po liściach. Miej oczy szeroko otwarte. Ja sprawdzę, skąd przyszedł. - Postępując ciężko, Ed podniósł się na równe nogi i najciszej, jak tylko potrafił, ruszył w głąb lasu, z dala od rzeki.

Przeszedł śladami chłopca jakieś sto stóp i zobaczył, że prowadzą do starej chatki myśliwskiej, mogącej pomieścić trzy lub cztery osoby. Otwory strzeleckie w ścianach chaty były ciemne, a całe miejsce wydawało się opustoszałe. Dobra nasza, pomyślał. Chyba go tu nie ma. Ale mimo wszystko...

Ed Schaeffer zrobił coś, czego nie czynił od półtora roku; wyciągnął broń z kabury. Ujął rewolwer w spoconą dłoń i ruszył naprzód. Spoglądał to na chatę, to znów na ziemię pod nogami, starając się jednocześnie zachować czujność i bezszelestnie zbliżyć się do samego wejścia.

Czy chłopak ma broń? Dopiero teraz zrozumiał, że jest całkiem odsłonięty, niczym żołnierz lądujący na pustej plaży. Kiedy wyobraził sobie lufę strzelby wysuwającą się nagle z otworu strzelniczego i skierowaną prosto w jego głowę, ogarnięty nagłą paniką Ed kilkoma susami przebył dzielącą go od ściany odległość. Przywarł do chropowatego drewna, uspokoił oddech i przez chwilę nasłuchiwał uważnie. Z wnętrza budynku nie docierały żadne odgłosy prócz cichego bzyczenia owadów.

No dobrze, powiedział sobie. Zajrzyj do środka. Szybko.

Zebrał się na odwagę, wstał i zajrzał do wnętrza przez otwór strzelniczy.

Nikogo.

Potem przymrużył oczy i popatrzył na podłogę. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

-

Jesse! - zawołał do mikrofonu, podniecony odkryciem.-Mów.

-Jestem przy chacie myśliwskiej, jakieś ćwierć mili na północ od rzeki. Myślę, że dzieciak spędził tu noc. Na podłodze leżą puste butelki, opakowania po jedzeniu i rolka szerokiej taśmy klejącej. I wiesz co jeszcze? Mapa.

-Mapa?

-Tak. Chyba tych okolic. Mogę się założyć, że zaznaczył na niej, gdzie jest Mary Beth. Co o tym myślisz?

Ed Schaeffer nigdy jednak nie dowiedział się, co jego kolega sądzi o tych pomyślnych wiadomościach; las rozbrzmiał przeraźliwym krzykiem młodej kobiety, a radio Jesse'a Corna nagle umilkło.

Lydia Johansson cofnęła się o krok i krzyknęła ponownie, kiedy z wysokiej turzycy wyskoczył chłopiec i pochwycił ją mocno za ramię.

-

O Jezu Chryste, nie rób mi krzywdy! - błagała.

- Zamknij

się - warknął chłopak, rozglądając się nerwowo dokoła. Był wysoki i chudy, jak większość szesnastolatków w małych miasteczkach Karoliny, i bardzo silny. Jego skóra upstrzonabyła czerwonymi cętkami, jakby otarł się przed chwilą o liściejadowitego sumaka, włosy zaś brudne i nierówno przycięte.

-Ja... ja przyniosłam tylko kwiaty! Ja nie...

-

Szszsz... - mruknął.

Lecz jego długie, brudne paznokcie wbiły się boleśnie w skórę Lydii, a ta znów wrzasnęła przeraźliwie. Chłopak zatkał jej usta dłonią. Przyciągnął ją do siebie, czuła kwaśny odór jego brudnego ciała.

Odwróciła gwałtownie głowę.

-Nie rób mi krzywdy! - jęczała. - Proszę...

-Zamknij się wreszcie! - parsknął ze złością, a kropelki jego śliny wylądowały na jej twarzy.

Potrząsnął Lydią mocno, jakby była nieposłusznym psem.

Instynktownie próbowała się wyrwać. Przewrócił ją na trawę, jej nozdrza wypełnił zapach metanu i gnijącej roślinności. Podczas szarpaniny chłopak zgubił but, nie zwracał jednak na to uwagi i tak długo przyciskał dłoń do jej ust, aż zaprzestała walki.

-
Lydia? - wołał Jesse Corn ze szczytu wzgórza. - Gdzie jesteś?

-Szszz... - powtórzył chłopak, patrząc na nią szeroko otwartymi oczyma, w których czaiło się szaleństwo. - Wstawaj, zjeżdżamy stąd. Nie próbuj wrzeszczeć, bo pożałujesz. Rozumiesz to?

Rozumiesz? - Sięgnął do kieszeni i pokazał jej nóż.

Skinęła głową.

Pociągnął ją w stronę rzeki.

Och, tylko nie tam. Proszę, nie, błagała swego anioła stróża. Nie pozwól, by mnie tam zabrał.

Na północ od Paquo...

Lydia obejrzała się za siebie i dostrzegła Jesse'a Corna stojącego na wzgórzu. Policjant osłaniał oczy przed słońcem i rozglądał się uważnie dokoła.

-Lydia? - zawołał raz jeszcze.

Chłopiec pociągnął ją mocniej.

- Jezu,
szybciej!

-
Hej! - krzyknął Jesse, dojrawszy ich wreszcie. Ruszył biegiem w dół zbocza.

Oni byli już jednak na brzegu, gdzie pośród wysokich trzciny i traw chłopiec ukrył mały skiff.

Wepchnął Lydię do środka, odbił łódką od brzegu i zaczął wiosłować jak szalony, kierując się na drugą stronę rzeki. Już po chwili znalazł się na brzegu i brutalnie wyszarpnął Lydię na zewnątrz. Potem wciągnął ją do lasu, gdzie po krótkich poszukiwaniach odnalazł wąską, ledwie widoczną ścieżkę.

- Dokąd idziemy? - spytała drżącym głosem.-Do Mary Beth. Zostaniesz z nią.

-Dlaczego? Co ja zrobiłam? - szeptała Lydia, pochlipując.

On jednak nie powiedział nic więcej, pstryknął tylko paznokciami, jakby zastanawiając się nad czymś, i pociągnął ją za sobą w głąb lasu.

-Ed - odezwał się wreszcie Jesse Corn. - Nie jest dobrze. On porwał Lydię. Zgubiłem go.

-
Co? - Ed Schaeffer zatrzymał się w pół kroku. Zaczął biec w stronę rzeki, kiedy usłyszał krzyk.

-
Lydia Johansson. Ją też porwał.

-
Cholera - mruknął gruby policjant, który przeklinał równie często, jak sięgał po broń. -

Dlaczego miałyby to robić?

-

Bo jest wariatem - odparł Jesse. - Właśnie dlatego. Przepłynął na drugą stronę rzeki, teraz idzie chyba w twoją stronę.

-

Dobra. - Ed zamyślił się na moment. - Wróci pewnie do chaty, żeby zabrać swoje rzeczy. Schowam się w środku i poczekam tam na niego. Ma broń?

-

Nie widziałem.

-No dobrze... - westchnął Ed. - Przyjdź tu jak najszybciej.

Zadzwoń też po Jima.

- Zrobię to.

Ed wyłączył radio i spojrzał w stronę rzeki. Nie widział ani chłopca, ani jego nowej ofiary.

Biegiem powrócił do chaty i odszukał drzwi. Zdyszany, otworzył je kopniakiem. Drzwi z trzaskiem odskoczyły do środka, a Ed bez zastanowienia przekroczył próg.

Był tak przejęty i podekscytowany, tak skoncentrowany na tym, co będzie musiał zrobić, kiedy pojawi się tu chłopak, że początkowo nie zwrócił uwagi na czarno-żółte kropki, migające przed jego oczami. I na delikatne łaskotanie w okolicy szyi.

Potem jednak łaskotanie zamieniło się w eksplozję piekącego bólu, który ogarnął jego kark i lewą rękę.

- O Boże - szepnął i przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w dziesiątki szerszeni, które siadały na jego nagiej skórze. Przerażony, próbował je strzepnąć, ale ten gest tylko jeszcze bardziej rozwścieczył owady. Żądliły jego ramię, dłoń, nawet czubki palców.

Krzyknął przeraźliwie. Nigdy jeszcze nie czuł tak strasznego bólu, ani wtedy, kiedy złamał nogę, ani wtedy, gdy wziął do ręki patelnię, nie wiedząc, że Jenny zapomniała wyłączyć pod nią palnik.

Potem wewnątrz chaty pociemniało nagle, kiedy z wielkiego szarego gniazda, zgniecionego przez otwarte gwałtownie drzwi, wychynęła chmura owadów. Atakowały go setki szerszeni.

Wczepiały się w jego włosy, siadały na rękach i uszach, wchodziły pod rękawy koszuli i spodni, jakby wiedziały, że żądlenie ubrania będzie bezużyteczne, i szukały nagiej skóry. Ed rzucił się do wyjścia, zdzierając z siebie koszulę. Serce zamarło mu z przerażenia, kiedy zobaczył, że jego wielki tors i brzuch pokryte są grubą warstwą żółto-czarnych owadów. Nie próbował już strząsać ich z siebie, biegł tylko bezmyślnie do przodu.

- Jesse, Jesse, Jesse! - krzyczał, zrozumiał jednak, że z jego ust wydobywa się zaledwie słaby szep; użądlenia na szyi zamknęły mu gardło. Biegnij! - przykazywał sobie w myślach.

Biegnij do rzeki.

I biegł. Szybciej niż kiedykolwiek w życiu, przedzierając się na oślep przez krzewy i gałęzie.

Serce waliło mu jak oszalałe. Biegnij... Nie przestawaj biec, powtarzał. Uciekaj przed tymi bydlakami. Pomyśl o żonie, pomyśl o bliźniakach. Naprzód, naprzód... Chmura owadów przerzedziła się znacznie, choć nadal widział trzydzieści lub czterdzieści czarnych kropek na swej skórze, obsceniczne zady, pochylające się do przodu, by znów go użądlić.

Za trzy minuty będę nad rzeką. Wskoczyć do wody, uciec przed bólem, uciec przed ogniem.

One utoną. Nic ci nie będzie.

Biegł niczym koń wyścigowy, niczym zaszczute zwierzę, przeskakiwał przez krzaki, które zamieniły się w szarą, bezkształtną masę.

Biegł...

Zaraz, zaraz. Co jest nie tak? Ed Schaeffer spojrział w dół i zrozumiał - niemal z rozbawieniem - że wcale nie biegnie. Nawet nie stoi. Leżał na ziemi, zaledwie o jakieś trzydzieści kroków od chaty, i poruszał konwulsyjnie nogami.

Sięgnął po handi-talkie, i choć jego dłoń spuchnięta była do monstrualnych rozmiarów, udało mu się wcisnąć czerwony guzik. Wtedy jednak konwulsje sięgnęły wyżej, ogarnęły tułów, ręce i szyję. Radio wypadło z bezwładnej dłoni. Przez chwilę jeszcze Ed słyszał głos Jesse'a Corna, potem tylko pulsujące brzęczenie owadów, które coraz bardziej traciło na sile, by wreszcie zamienić się w całkowitą ciszę.

Tylko Bóg mógł go uleczyć. A Bóg wcale nie był do tego skłonny.

Oczywiście, nie miało to dlań większego znaczenia, jako że Lincoln Rhyme był człowiekiem nauki, a nie religii. Dlatego też nie pojechał do Lourdes, do Turynu czy do jakiegoś nawiedzonego uzdrowiciela, lecz tu, do szpitala w Karolinie Północnej. Miał nadzieję, że dzięki tej wizycie na powrót stanie się, jeśli nie całkowicie, to choć częściowo sprawnym człowiekiem.

Rhyme uruchomił swój elektryczny wózek firmy Storm Arrow, czerwony jak corvette, i zjechał z rampy furgonetki, w której wraz ze swym pomocnikiem i Amelią Sachs przebył

właśnie pięćset mil, dzielących to miejsce od Manhattanu. Zaciskając usta na drążku sterowniczym, z wprawą obrócił wózek i ruszył w górę podjazdu prowadzącego do drzwi wejściowych Instytutu Badań Neurologicznych w Centrum Medycznym Uniwersytetu Karoliny Północnej w Avery.

Thom schował platformę do wnętrza czarnego chryslera grand Rolbca, vana przystosowanego do przewozu niepełnosprawnych.

-Postaw go na miejscu dla inwalidów! - zawołał Rhyme i zachichotał sam do siebie.

Amelia Sachs uniosła lekko brwi i spojrzała na Thoma. Ten mruknął pod nosem:

-Dobry humor. Korzystaj, póki możesz. To nie potrwa długo.

-Wszystko słyszałem! - krzyknął w ich stronę Rhyme.

Pomocnik odjechał spod wejścia, a Amelia dogoniła Rhyme'a. Trzymała przy uchu telefon komórkowy, próbując skontaktować się z miejscową wypożyczalnią samochodów. W ciągu przyszedłego tygodnia Thom miał spędzać większość czasu w szpitalnym pokoju Rhyme'a, a ona chciała się od niego uniezależnić i korzystając z okazji, pozwiedzać okolicę. Poza tym jako wielbicielka sportowych aut nie uznawała pojazdów, w których skala prędkościomierza kończyła się na dwóch cyfrach.

Po pięciu minutach oczekiwania westchnęła ciężko i wyłączyła telefon.

-Mogłabym jeszcze poczekać, ale ta muzyka jest okropna. Spróbuję później. - Spojrzała na zegarek. - Dopiero dziesiąta trzydzieści. Ale tu jest za gorąco. Zdecydowanie za gorąco. -

Temperatura, jaka panuje na Manhattanie w środku lata, nie czyni go może najprzyjemniejszym miejscem na ziemi, Nowy Jork jest jednak położony znacznie dalej na północ niż Karolina, i kiedy poprzedniego dnia opuszczali miasto, kierując się na południe przez Holland Tunnel, słupek rtęci sięgał ledwie siedemdziesięciu stopni Fahrenheita, a powietrze było suche jak pieprz.

Rhyme nie zwracał uwagi na lejący się z nieba żar. Myślał jedynie o celu swej misji.

Zautomatyzowane drzwi posłusznie otworzyły się przed nimi (Rhyme zakładał, że cały instytut

wyposażony jest w najlepszy z dostępnych sprzęt i udogodnienia dla niepełnosprawnych), weszli więc do chłodnego korytarza. Kiedy Sachs pytała o drogę, Rhyme rozglądał się dokoła. Zauważył kilka pustych, zakurzonych wózków, ustawionych obok siebie pod ścianą holu. Ciekaw był, co się stało z ich właścicielami. Może zabieg, któremu się poddali, był tak udany, że porzucili wózki na rzecz lasek i kul. Może stan niektórych pogorszył się na tyle, że zostali przykuci do łóżka.

Może niektórzy umarli.

- Tędy - oświadczyła Amelia, wskazując ruchem głowy korytarz.

Thom dogonił ich przy windzie (drzwi podwójnej szerokości, poręcze, guziki na wysokości trzech stóp nad ziemią), a kilka minut później odnaleźli właściwy pokój. Rhyme podjechał do drzwi i zauważył bezobsługowy interkom.

-Sezanie, otwórz się - rozkazał gromkim głosem, a drzwi rozsunęły się przed nimi na całą szerokość.

- Często to słyszymy - oświadczyła flegmatycznie sekretarka, kiedy weszli do środka. - Pan Rhyme, jak sądzę? Proszę poczekać, zapowiem pana.

Doktor Cheryl Weaver była elegancką, szczupłą kobietą po czterdziestce. Rhyme zauważył od razu, że pani doktor ma bystre oczy i - jak przystało na chirurga - silne dłonie o krótko przyciętych, nielakierowanych paznokciach. Uśmiechając się uprzejmie, wstała od biurka, ucisnęła dłonie Amelii i Thoma, potem skinieniem głowy pozdrowiła swojego pacjenta. -

Lincoln Rhyme. - Cheryl Weaver.

Rhyme prześliznął się spojrzeniem po tytułach licznych książek, wypełniających szczelnie półki gabinetu. Potem przyglądał się przez chwilę całym miriadam dyplomów i certyfikatów -

jak zauważył, wszystkie pochodziły z renomowanych szkół i instytucji. Wiedział jednak już wcześniej, że doktor Weaver jest doskonałą specjalistką. Miesiące poszukiwań przekonały go, że Centrum Medyczne Uniwersytetu Karoliny Północnej w Avery to jeden z najlepszych szpitali na świecie. Oddziały immunologiczne i onkologiczne należały do najbardziej obleganych w kraju, a Instytut Badań Neurologicznych doktor Weaver wyznaczał najwyższy standard badań i zabiegów związanych z uszkodzeniami kręgosłupa.

- Miło mi wreszcie poznać pana osobiście - powiedziała doktor Weaver. Na jej biurku leżał gruby na ćwierć cala folder. Dla niego, jak przypuszczał Rhyme. (Zastanawiał się, co autor folderu napisał pod nagłówkiem „Rokowania”: „zachęcające”? „kiepskie”? „beznadziejne“?).

-Panie Rhyme, kilkakrotnie już rozmawialiśmy przez telefon, i mimo wszystko zdecydował się pan przyjechać tutaj na zabieg. Na początek jednak chciałabym przypomnieć panu o kilku sprawach. Dla dobra nas obojga.

Rhyme skinął głową. Gotów był znieść wszystkie niezbędne formalności, nie lubił jednak asekuranctwa. A obawiał się, że doktor Weaver właśnie do tego zmierza.

- Czytał pan materiały dotyczące naszego instytutu. Wie pan, że przeprowadzamy zabiegi, w których stosujemy nowe techniki regeneracji i rekonstrukcji kręgosłupa. Muszę jednak jeszcze raz podkreślić, że są to zabiegi eksperymentalne.

-Rozumiem.

-Większość pacjentów, których dotąd leczyłam, wiedziała 0 neurologii więcej niż przeciętny lekarz. Założę się, że pan niejest wyjątkiem od tej reguły.

- Znam

się na różnych rzeczach. Wiem też to i owo o medycynie - odparł Rhyme wymijająco i

zaprezentował swe firmowe wżruszenie ramionami, gest, który doktor Weaver z pewnością zauważyła i zanotowała w pamięci.

- Proszę mi wybaczyć, że powtórzę po raz kolejny to, co pan już wie - kontynuowała niezrażona - ale bardzo zależy mi na tym, by zrozumiał pan, czym jest ta technika i co może zdziałać.

- Proszę, niech pani mówi - zgodził się Rhyme.

-

System nerwowy zbudowany jest z aksonów, które przenoszą impulsy nerwowe. Przy uszkodzeniach kręgosłupa aksony zostają przecięte lub zgniecione i giną. Nie przenoszą więc impulsów, a informacje z mózgu nie docierają do pozostałych części ciała. Słyszał pan zapewne nieraz, że nerwy się nie regenerują. Nie jest to do końca prawda. W obwodowym systemie nerwowym, w naszych rękach czy nogach, zniszczone aksony mogą się odradzać.

Jednak w systemie centralnym, czyli w mózgu

1 kręgosłupie, jest to niemożliwe. Przynajmniej nie potrafią tego zrobić same z siebie.

Kiedy skaleczy się pan w palec, skóra się goi, a pan odzyskuje czucie w tym miejscu. W kręgosłupie taka reakcja nie zachodzi. My staramy się jednak opracować techniki, które zmieniłyby ten stan rzeczy.

W naszym instytucie stosujemy zawsze leczenie kompleksowe, atakujemy chorobę na wszystkich frontach. Używamy tradycyjnej metody odbarczenia, by zrekonstruować strukturę kostną samych kręgow i by chronić miejsce, w którym doszło do uszkodzenia. Potem przeszczepiamy w to miejsce dwie substancje; pierwsza to tkanka z obwodowego systemu nerwowego samego pacjenta...

-

...bo taka tkanka może się regenerować? - spytał Thom, starannie wygładzając swój kwiecisty, żółto-niebieski krawat.

-

Tak, tak, oczywiście - mruknął Rhyme, potem zaś zwrócił się do doktor Weaver: - Proszę kontynuować.

Thom powiedział coś bezgłośnie do Amelii Sachs - Rhyme odczytał to jako: „Mówiłem ci, że to nie potrwa długo”. Kryminalistyk zgromił swego pomocnika spojrzeniem, a potem uśmiechnął się szeroko do lekarki.

- Druga substancja wszczepiana w miejsce uszkodzenia to embrionalne komórki centralnego systemu nerwowego, które...

-

Ach, rekin - domyślił się Rhyme.

- Tak

jest.

Żarłacz błękitny.

- Lincoln

mówił nam coś o tym - wtrąciła Sachs. - Dlaczego właśnie rekin?

- Względy immunologiczne, kompatybilność z ludźmi. Poza tym - dodała doktor Weaver z uśmiechem - rekin to bardzo duża ryba i możemy z niej uzyskać sporo materiału embrionalnego.

-

Dlaczego to musi być materiał embrionalny? - dopytywała się dalej Sachs.

-

Bo nie regeneruje się tylko centralny system nerwowy dorosłego osobnika - burknął Rhyme, zły, że ktoś wciąż przeszkadza.- Nerwy dziecka muszą przecież rosnać.

-Otóż to. Materiał embrionalny zawiera komórki macierzyste, nazywane inaczej komórkami rodzica. To one pobudzają wzrost tkanki nerwowej. Później, po zabiegach odbarczania i mikroprzeszczepach, robimy jeszcze jedną rzecz, tę właśnie, która tak bardzo nas ekscytuje.

Opracowaliśmy kilka nowych środków, które, naszym zdaniem, mogą w znaczący sposób poprawić efektywność leczenia. W dużym uproszczeniu sprawa wygląda następująco: aksony w centralnym systemie nerwowym nie odradzają się ze względu na proteiny, które hamują proces regeneracji w osłonce nerwów. Stworzyliśmy antyciała, które atakują te proteiny i pozwalają aksonom odrastać. Jednocześnie dostarczamy do uszkodzonego miejsca neurotrofinę, która wspomaga proces regeneracji. Ta nowa metoda leczenia wydaje się wielce obiecująca, trzeba jednak pamiętać, że używane w niej leki nie były jeszcze nigdy stosowane w wypadkach ludzi.

-Czy istnieją jakieś zagrożenia, związane z zastosowaniem takiej metody? - spytała Amelia.

Rhyme spojrzał na nią z irytacją. On znał zagrożenia. On podjął już decyzję. Nie chciał, by Sachs przepytowała jego lekarza. Ta jednak nie zwracała nań uwagi, wpatrzona w doktor Weaver. Rhyme rozpoznał to spojrzenie i ten wyraz twarzy: w taki sam sposób Sachs przesłuchiwała podejrzanych.

- Oczywiście, że istnieje pewne ryzyko. Nie chodzi tu o nowe środki, te bowiem są całkiem bezpieczne, lecz o sam proces leczenia. Każdy pacjent z poważnym uszkodzeniem kręgosłupa ma kłopoty z oddychaniem. Pan nie potrzebuje respiratora, ale niewykluczone, że przy znieczuleniu dojdzie do zaniku spontanicznego oddychania. Stres związany z zabiegiem jednak może doprowadzić do zaburzeń w tym zakresie, a więc i do gwałtownego wzrostu ciśnienia tętniczego - jestem pewna, że doskonale pan o tym wie - to zaś może wywołać wylew krwi do mózgu. Istnieje też ryzyko mechanicznego urazu kręgosłupa w miejscu początkowego uszkodzenia. Nie ma pan co prawda żadnych torbieli ani przetok, ale operacja i wynikające z niej zwiększenie ilości płynu może doprowadzić do podwyższenia ciśnienia i dodatkowych uszkodzeń. - Co znaczy, że jego stan może się pogorszyć - podsumowała Sachs.

Doktor Weaver skinęła głową i spojrzała na folder, jakby chciała w ten sposób odświeżyć sobie pamięć. Potem podniosła wzrok na Rhyme'a.

-Może pan poruszać jednym mięśniem glistowatym - palcem serdecznym lewej dłoni - kontroluje pan także mięśnie ramienia i szyi. Może pan utracić tę zdolność. Może pan także utracić zdolność spontanicznego oddychania.

Sachs milczała przez krótką chwilę.

-Rozumiem - powiedziała wreszcie, a słowo to zabrzmiało jak westchnienie.

-Musi pan teraz rozważyć te zagrożenia w świetle korzyści, jakie może pan odnieść, poddając się zabiegowi. Na pewno nie będzie pan mógł chodzić, proszę na to nie liczyć. Procedury tego rodzaju przyniosły pewien sukces w przypadku uszkodzeń kręgosłupa na odcinku lędźwiowym i piersiowym, niższych i znacznie lżejszych niż pańskie. W przypadku uszkodzeń odcinka szyjnego rezultaty były marginalne, a przy urazach C4 żadne.

- Jestem ryzykantem - odparł szybko Rhyme.

Sachs spojrzała nań z troską. Wiedziała, że Lincoln Rhyme wcale nie jest ryzykantem, lecz naukowcem, który kieruje się w życiu jasno określonymi, konkretnymi zasadami.

-Chcę poddać się tej operacji - dodał po krótkiej pauzie kryminalistyk.

Doktor Weaver skinęła tylko głową, odnosząc się do jego decyzji z całkowitą neutralnością.

-Będzie pan musiał przejść badania wstępne. Zabieg przewidziany jest na pojutrze. Mam dla pana chyba z tysiąc formularzy i kwestionariuszy do wypełnienia. - Spojrzała na Sachs. -Pani jest pełnomocnikiem pana Rhyme'a?

-

Ja nim jestem - odezwał się Thom. - Mogę podpisywać w jego imieniu wszystkie dokumenty.

-Doskonale. Zechcą państwo poczekać tu na mnie minutkę? Zaraz przyniosę te papiery.

Sachs wstała i wyszła z gabinetu wraz z lekarką. Rhyme słyszał jeszcze, jak pyta:

-Pani doktor, mam... - Drzwi zasunęły się z cichym kliknięciem.

-

Konspiracja - mruknął Rhyme. do Thoma. - Bunt na pokładzie.

-

Ona się martwi o ciebie.

-Martwi się? Ta kobieta jeździ z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę i strzela do gangsterów z Południowego Bronksu. Mnie wstrzykną trochę komórek z młodego rekina.

-Wiesz, o czym mówię.

Rhyme potrząsnął niecierpliwie głową. Jego spojrzenie powędrowało w róg gabinetu doktor Weaver, gdzie na metalowym stojaku spoczywał kręgosłup - najprawdopodobniej prawdziwy.

Wydawał się zbyt kruchy, by udźwignąć skomplikowane ludzkie życie, którego podporę kiedyś stanowił.

Rhyme dmuchnął w rurkę sterowniczą i obrócił wózek w stronę drzwi. Przymrużył powieki, jakby chciał przebić spojrzeniem ścianę i dowiedzieć się, co knuje Amelia Sachs.

-O czym one rozmawiają? - zastanawiał się na głos. Potem spojrzał groźnie na Thoma. - A może ty to wiesz? Czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

-Lincoln...

W chwili gdy Rhyme chciał obrócić wózek i spojrzeć prosto w oczy swego pomocnika, otworzyły się drzwi. Do gabinetu wróciła Sachs. Ktoś wszedł za nią, nie była to jednak doktor Weaver, lecz wysoki, szczupły mężczyzna w policyjnym mundurze.

- Masz

gościa - oświadczyła Sachs bez uśmiechu.

Ujrawszy Rhyme'a, mężczyzna zdjął kapelusz i skinął głową. Jak większość ludzi, którzy spotykali kryminalistykę po raz pierwszy, policjant spojrzał na jego ciało, potem jednak przeniósł wzrok na stojący w kącie kręgosłup, by znów powrócić do twarzy Lincolna.

-

Panie Rhyme, nazywam się Jim Bell, jestem kuzynem Ro-landa Bella, pamięta go pan? Roland powiedział mi, że będziepan dzisiaj w mieście, więc przyjechałem tu z Tanner's Corner.

Roland był nowojorskim policjantem, pracował z Rhyme'em przy kilku sprawach. Obecnie był partnerem Łona Sellito, detektywa, którego Rhyme znał od lat. Roland dał

kryminalistykę nazwiska i numery telefonów swoich krewnych z Karoliny 'ółnocnej, na wypadek gdyby ten czuł się po operacji samotny miał ochotę spotkać się z kimś innym niż jego starzy znajomi. Jim Bell jest jedną z tych osób, przypomniał sobie Rhyme. Spoglądając za plecy szeryfa, na drzwi, w których nie ukazała się jeszcze doktor Weaver, jego zbawczyni, kryminalistyk odparł z roztargnieniem:

-Miło mi pana poznać.

Bell uśmiechnął się ponuro i odparł:

- Obawiam się, że za chwilę wcale nie będzie pan tak myślał.

Rhyme dopiero teraz przyjrzał się uważniej swemu gościowi i dostrzegł podobieństwo do Rolanda.

Ta sama szczupła sylwetka, długie ręce, rzędzące włosy, ta sama prostoduszna natura. Ten Bell był bardziej opalony i ogorzały od swego kuzyna. Zapewne sporo polował i łowił.

Stetson pasowałby do niego bardziej niż kapelusz kawalerzysty. Bell zajął miejsce na krześle obok Thoma.

-Mamy pewien problem, panie Rhyme.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

-

Śmiało - zwróciła się do Bella Sachs. - Niech pan mu powtórzy to, co powiedział pan mnie.

Rhyme obdarzył Sachs lodowatym spojrzeniem. Poznała tego mężczyznę trzy minuty temu i już grała z nim w jednej drużynie.

-Jestem szeryfem okręgu Paąenoke. To jakieś dwadzieścia pięć mil na wschód stąd.

Znaleźliśmy się w dość trudnej sytuacji, a ja przypomniałem sobie wszystko, co mówił o panu mój kuzyn. On nie może się pana nachwalić...

Rhyme pokiwał głową ze zniecierpliwieniem, myśląc jednocześnie: Gdzie, do diabła, jest moja lekarka? Ile formularzy musi pozbierać? Czy i ona należy do tego spisku?

-Więc ta sytuacja... Pomyślałem, że przyjadę i spytam, czy nie mógłby pan poświęcić nam odrobiny czasu.

Rhyme roześmiał się krótko, bez wesołości.

- Czekam

właśnie na operację.

-Och tak, rozumiem to doskonale. Nie chciałbym za nic w świecie wpływać na zmianę pańskich planów. Myślałem tylko o kilku godzinach... Potrzebujemy tylko trochę pomocy, niewiele, przynajmniej taką mam nadzieję. Widzi pan, Roi opowiadał mi o rzeczach, które robił pan podczas śledztw u siebie, na Północy. Jest tutaj wprawdzie małe laboratorium, ale bardziej szczegółowe badania wykonuje się w Elizabeth City, najbliższej kwaterze policji stanowej, albo w Raleigh. Na wyniki trzeba czekać tygodniami. A my nie mamy tygodni.

Mamy godziny. Co najwyżej.

-Na co?

-

Na odszukanie dwóch porwanych dziewczyn.-Porwanie to sprawa dla federalnych - zauważył Rhyme. -

Niech pan wezwie FBI.

-

Nie przypominam sobie nawet, kiedy ostatnio był w naszymokręgu agent FBI. Zanim ktoś tu przyjedzie, dziewczyny będą już martwe.

- Proszę nam opowiedzieć, co się stało - poleciła Sachs. Spoglądała na policjanta z zainteresowaniem, zauważył Rhyme cynicznie, i z irytacją.

-Wczoraj zaginął chłopiec z miejscowej szkoły średniej, a dziewczyna z college'u została porwana - zaczął opowiadać Bell. - Dziś rano przestępca wrócił i porwał kolejną dziewczynę.

- Rhyme zauważył, że twarz mężczyzny pociemniała. - Zastawił też pułapkę, wpadł w nią jeden z moich ludzi. Leży teraz w szpitalu, w głębokiej śpiączce.

-Czy rodziny tych dziewczyn są bogate? - spytała Sachs. -Dostały listy z żądaniem okupu?

Trafne pytania, pomyślał Rhyme. Ważne dla przebiegu śledztwa. Tyle że on nie przyjechał tu po to, by brać udział w jakimkolwiek śledztwie. Sachs nie zwracała jednak uwagi na jego gniewny grymas.

-

Nie, nie, to nie jest kwestia pieniędzy. - Szeryf zniżył niecogłos. -Tu chodzi o seks.

Chłopak był już kilkakrotnie aresztowany za dotykanie dziewczyn i raz za masturbowanie się w miejscupublicznym. - Bell spojrzał niepewnie na Sachs, jakby bał się, że ją urazi.

Rhyme miał ochotę powiedzieć mu, że Sachs aresztowała ostatnio maniaka seksualnego, który dzielił ciała swych ofiar na części, i że ucieszyła się jak dziecko, odnalazłszy w mieszkaniu przestępcy niezbity dowód zbrodni - album ze zdjęciami jego dokonań.

Rhyme zauważył, że Sachs przestała drapać się po głowie krótko przyciętym paznokciem środkowego palca i że wydaje się naprawdę zainteresowana tym, co mówi Bell. Być może nie byli w zmowie, Rhyme wiedział już jednak, dlaczego Sachs angażuje się w sprawę, na którą nie mieli czasu. I wcale mu się to nie podobało.

-Amelio - zaczął, spoglądając znacząco na zegar zawieszony na ścianie gabinetu.

- Czemu nie, Rhyme? W czym nam to przeszkadza? - Sachs zebrała z ramienia swe długie, rude włosy i przerzuciła je na plecy. Bell jeszcze raz zerknął na kręgosłup w rogu pokoju. -

Nasz posterunek jest dość mały, proszę pana. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej nocy.

Wszyscy moi ludzie i kilku ochotników pracowało przez całą noc, ale nie mogliśmy znaleźć śladu. Ed, ten co leży w śpiączce, widział prawdopodobnie mapę, na której zaznaczono miejsce pobytu dziewczyn. Ale lekarze nie wiedzą, kiedy i czy w ogóle się ocknie. - Spojrzał

blągalnie na Lincolna. - Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciał pan rzucić okiem na materiał dowodowy tej sprawy i udzielić nam jakiejś rady. My wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości. Naprawdę bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy.

Rhyme nie bardzo go rozumiał. Zadaniem kryminalistyka jest analiza materiału dowodowego, pomoc w identyfikacji podejrzanego i świadczenie przeciw niemu na procesie.

- Wiecie, kto jest sprawcą, wiecie, gdzie mieszka. Prokurator będzie miał wyjątkowo łatwą sprawę. - Nawet jeśli miejsce zbrodni nie zostało odpowiednio zabezpieczone - policjanci z małych miasteczek często nie potrafili sobie z tym poradzić -prokurator i tak ma dość dowodów, by uzyskać wyrok skazujący. -Nie, nie, nie chodzi nam o proces, panie Rhyme.

Chodzi o to, żeby znaleźć te dziewczyny, nim on je zabije. A przynajmniej Lydię.

Podejrzewamy, że Mary Beth może już nie żyć. Widzi pan, kiedy to się wydarzyło, czytałem właśnie książkę o porwaniach. Dowiedziałem się z niej, że w przypadku porwań na tle seksualnym mamy tylko dwadzieścia cztery godziny na odszukanie ofiary; później zbrodniarz przestaje widzieć w niej człowieka i zabija ją bez najmniejszych skrupułów.

- Powiedział pan, że sprawcą jest chłopiec - wtrąciła się Sachs. - Ile ma lat?

- Szesnaście.

- Młodociany.

-Teoretycznie - zgodził się Bell. -Ale jest bardzo wyrośnięty i ma kartotekę gorszą niż większość dorosłych przestępców z naszego okręgu.

-Sprawdzaliście jego rodzinę? - pytała dalej Sachs, jakby ustalili już, że wraz z Rhyme'em zajmą się tą sprawą.

-Ma przybranych rodziców, naturalni nie żyją od lat. Przeszukaliśmy jego pokój. Nie znaleźliśmy żadnych ukrytych drzwi, pamiętników ani nic w tym rodzaju.

To się nigdy nie zdarza, pomyślał Lincoln Rhyme, błagając opatrność, by ten człowiek przeniósł się z powrotem do swego okręgu o dziwacznej nazwie i zabrał ze sobą wszystkie swoje problemy.

-Myślę, że powinniśmy to zrobić, Rhyme - powiedziała Sachs.

-Sachs, operacja...

-Dwie ofiary w dwa dni? - przerwała mu Sachs. - Sytuacja może się pogorszyć. Oni są jak nałogowcy. W związku z wzrastającą tolerancją dla popełnianych przez siebie przestępstw dopuszczają się czynów coraz ohydniejszych i czynią to z coraz większą częstotliwością. Bell skinął głową.

-Ma pani rację. Jest jeszcze coś, o czym do tej pory nie wspomniałem. W ciągu ostatnich lat w okręgu Paquenoke zdarzyły się trzy inne niewyjaśnione morderstwa, a ledwie kilka dni temu mieliśmy dziwne samobójstwo. Przypuszczamy, że chłopak może być z tym jakoś powiązany. Dotąd nie mieliśmy jednak wystarczających dowodów, by go zatrzymać.

Ale wtedy to nie ja zajmowałem się tymi sprawami, prawda? - pomyślał Lincoln i zrozumiał, że zgubi go grzech pychy.

Z przykrością stwierdził, że jego umysł przeskoczył już na wyższy bieg, zaintrygowany niewyjaśnioną zagadką morderstw sprzed lat. Tym, co od czasu wypadku utrzymywało Lincolna Rhyme'a przy zdrowych zmysłach - i powstrzymało go od skontaktowania się z Jackiem Kevorkianem, który pomógłby mu popełnić samobójstwo - były wyzwania intelektualne takiego właśnie rodzaju. Choć nie przyznał się do tego nikomu, gdyby stanął

przed wyborem: zostać na powrót sprawnym lub zachować swój umysł w niezmiętej postaci, bez zastanowienia zrezygnowałby z operacji i przeszczepów. Mimo to operacja także była dla niego bardzo ważna. To był jego święty Graal.

- Operacja odbędzie się dopiero pojutrze, Rhyme - nalegała Sachs. - A wcześniej musisz przejść tylko kilka badań. Oj, Sachs, już ja wiem, co tobą kieruje... Właściwie jednak Sachs miała rację. Do operacji zostało mu jeszcze sporo wolnego czasu. I w dodatku byłby to czas spędzony bez osiemnastoletniej whisky. Co innego miał do roboty człowiek przykuty do wózka w małym, sennym miasteczku? Największym wrogiem Lincolna Rhyme'a nie były spazmy, urojony ból czy zaburzenia odruchów regulujących czynności życiowe, które dręczyły innych pacjentów z uszkodzonym kręgosłupem. Jego największym wrogiem była nuda.

-

Poświęcę panu jeden dzień - oświadczył wreszcie. - Jeżeli oczywiście nie opóźni to operacji. Czekałem na ten zabieg czternaście miesięcy.

-

Zgoda, proszę pana - odrzekł Bell. Na jego znużonej twarzypojawił się wreszcie uśmiech.

Thom jednak pokręcił energicznie głową.

-Posłuchaj, Lincoln, nie przyjechaliśmy tutaj do pracy. Przyjechaliśmy na operację i nie zostaniemy ani dnia dłużej, niż to konieczne. Wiesz, że aby umożliwić ci normalną pracę, potrzebujemy dodatkowego sprzętu. Tutaj nie mam nawet połowy tego, co konieczne.

- Jesteśmy w szpitalu, Thom. Wcale bym się nie dziwił, gdybyś znalazł tutaj wszystko, czego

potrzebujesz. Porozmawiamy z doktor Weaver. Jestem pewien, że chętnie nam pomoże.

Pomocnik Rhyme'a, odziany w olśniewająco białą koszulę, idealnie wyprasowane spodnie i elegancki krawat, oświadczył dobitnie:

-Powtarzam jeszcze raz przy świadkach, że moim zdaniem, nie jest to dobry pomysł.

Rhyme zignorował go i spojrzał na Bella.

-

Od kiedy chłopak przetrzymuje ofiarę?

-

Od kilku godzin - odparł Bell. - Każę któremuś z zastępców przynieść panu materiał dowodowy i mapę okolicy. Chcę zorganizować polowanie na tego człowieka. Myślałem...

Bell przerwał, kiedy Rhyme pokręcił głową i zmarszczył brwi. Sachs ukryła uśmiech; wiedziała, czego się spodziewać.

-Nie, nie. Pojedziemy do biura szeryfa. Przygotujecie dla nas jakieś miejsce... Jak się nazywa stolica okręgu?

- Tanner's

Corner.

-Proszę przygotować nam stanowisko pracy. Będę potrzebował asystenta... Macie w biurze laboratorium? -My? - zdziwił się szczerze szeryf. - Skąd!

-

Dobrze, w takim razie damy wam listę potrzebnego sprzętu. Możecie pożyczyć go od policji stanowej. - Rhyme spojrzęła na zegar. - Będziemy tam za pół godziny. Tak, Thom?

-Lincoln... -Tak?

- Za

pół godziny - mruknął zrezygnowany pomocnik. No i kto teraz był w kiepskim humorze?

-Weź formularze od doktor Weaver. Zabierzemy je ze sobą. Wypełnisz papiery, kiedy ja i Sachs będziemy pracować.

- Dobrze,

dobrze.

Sachs sporządziła listę niezbędnego wyposażenia laboratorium. Potem pokazała ją Rhyme'owi. Ten skinął głową i powiedział:

-Dodaj jeszcze aparat do badania gęstości. Poza tym nie brakuje już niczego.

Sachs dopisała wspomniane urządzenie do listy i wręczyła ją Bellowi. Ten przeczytał ją, kiwając niepewnie głową.

-

Oczywiście, zajmę się tym, nie chciałbym jednak, byście robili sobie zbyt wiele kłopotu...

-

Jim, mam nadzieję, że możemy rozmawiać szczerze.

-

Oczywiście, panie Rhyme.

-

Lincoln - poprawił go kryminalistyk. - Obejrzenie kilku dowodów w niczym nam nie pomoże. Jeśli coś ma z tego wyjść, to Amelia i ja musimy przejąć prowadzenie śledztwa.

Całkowicie. Teraz powiedz mi, tylko szczerze, czy to będzie komuś przeszkadzało?

Bell przyjął to oświadczenie z nieskrywaną ulgą.

-Dopilnuję, by nikt nie miał z tym problemów.

-Doskonale. Teraz zajmij się sprowadzeniem sprzętu. Musimy działać szybko.

Szeryf Bell jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, z kapeluszem w jednej ręce i listą w drugiej, wreszcie ruszył do drzwi. Rhyme przypomniał sobie, że kuzyn Bella, człowiek obeznany ze zwyczajami i kulturą Południa, znał określenie doskonale pasujące do obecnego wyrazu twarzy szeryfa. Nie pamiętał dokładnego brzmienia porzekadła, z którego pochodziło, wiedział jednak, że jest tam coś o łapaniu niedźwiedzia za ogon.

-Och, jeszcze jedno. - Sachs zatrzymała szeryfa, kiedy ten podchodził już do drzwi; Bell zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. - Jak się nazywa ten porywacz?

- Garrett. Ale w Tanner's Corner nazywają go Owadzi Król.

Paquenoque jest małym okręgiem w północno-wschodniej części Karoliny Północnej. Tanner's Corner, położone mniej więcej w środku okręgu, to największe miasto w okolicy, otoczone gromadką mniejszych osiedli i centrów handlowych. Jedno z takich osiedli, Blackwater Landing, ulokowało się nad rzeką Paquenoque - zwaną przez miejscowych Paquo - kilka mil od stolicy okręgu.

Większość terenów mieszkalnych i handlowych okręgu leży na południe od rzeki. Jest to kraina łagodnych bagien, lasów, pól uprawnych i stawów. Prawie wszyscy mieszkańcy Paquenoque żyją po tej stronie rzeki. Z kolei na północ od Paquo ziemia jest niegościnna i zdradliwa. Rozsiadło się tutaj Wielkie Ponure Bagno, które pochłonęło nieliczne domy, tutaj wzniesione. Obfitujące w żmije głębokie trzęsawiska zastąpiły stawy i pola, a lasy, w większości bardzo stare i zaniedbane, wydają się niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Po tej stronie rzeki nie mieszka nikt prócz bimbrowników, wytwórców narkotyków i kilku nieszkodliwych wariatów. Nawet myśliwi unikają tej okolicy po wypadku sprzed dwóch lat, kiedy to stado dzików zaatakowało Tala Harpe-ra. I choć ten zastrzelił ponad dziesięć sztuk, pozostałe pożarły go niemal w całości, nim inni myśliwi przybyli mu z odsieczą.

Jak większość mieszkańców okręgu, Lydia Johansson rzadko zapuszczała się na północny brzeg Paquo, a jeśli już, to nigdy na większą odległość. Teraz zrozumiała z rozpaczą, że przekroczyła pewną granicę i znalazła się w miejscu, z którego być może nigdy już nie miała powrócić - nie tylko w sensie geograficznym,

ale i duchowym.

Oczywiście bała się tego człowieka, który ciągnął ją za sobą, bała się jego lubieżnych spojrzeń, jego dotyku, bała się, że dostanie udaru słonecznego lub że ukąsi ją żmija -

najbardziej jednak przerażała ją świadomość, że zostawiła po drugiej stronie rzeki swe małe, błahe, krusze i wygodne życie. Mogła stracić wszystko; nielicznych przyjaciół i koleżanki z pracy, lekarzy, z którymi wciąż bezskutecznie flirtowała, przyjęcia, książki, lody, bliźniaki swej siostry. Zateęskniła nawet za mniej przyjemnymi aspektami swego życia; za ciągłymi zmaganiem z nadwagą, za samotnymi nocami, za godzinami ciszy, kiedy nadaremnie czekała na telefon od obecnego chłopaka.

W sytuacji, w jakiej się znalazła, nie znajdowała żadnego pocieszenia, niczego, co mogłoby podnieść ją na duchu.

Przypomniała sobie straszliwy widok sprzed chaty myśliwskiej; zastępca szeryfa, Ed Schaeffer, leżący nieruchomo na trawie, jego twarz i ręka pokryte straszliwą opuchlizną od ukąszeń owadów. Garrett mrucał:

-Nie powinien był robić im krzywdy. Szerszenie atakują tylko wtedy, kiedy muszą bronić gniazda. Patrz, co on zrobił. Zniszczył je. To jego wina.

Wszedł powoli do środka, by zabrać mapę, wodę i jakieś opakowania z żywnością. Obwiązał Lydii ręce taśmą, a potem wprowadził ją w las. Od tamtej pory przeszli już co najmniej kilka mil. Chłopak poruszał się niezręcznie, szarpał nią raz w jedną, raz w drugą stronę. Mówił do siebie. Drapał drobne zaczerwienienia na twarzy. Raz zatrzymał się przy małym stawku i patrzył na jego powierzchnię. Począł, aż jakiś pajak wodny odpłynął na bok, a potem zanurzył piekącą twarz w wodzie i opłukał ją. Spojrzał na swoje stopy, zdjął but, który pozostał mu po szarpaninie z Lydią, i cisnął go w las. Potem znowu ruszyli w drogę.

Lydia spoglądała na szczupłe ciało chłopca. Sporo słyszała o Owadzim Królu. Wszyscy w Tanner's Corner o nim słyszeli. Nigdy jednak nie widziała go z bliska. Była zaskoczona jego siłą, nie wiedziała, że jest tak umięśniony, że ma tak długie, żyłaste ręce i wielkie dłonie.

Wyraz głębokiej koncentracji, jaki pojawiał się od czasu do czasu na jego twarzy, nadawał mu wygląd idioty, Lydia wiedziała jednak, że to tylko pozory. Garrett był sprytny niczym wąż. Słyszała, jak w zeszłym roku rozprawił się z futbolistą, który bezustannie z niego szydził. Otworzył szafkę chłopca, zostawił w niej naładowany pistolet i powiadomił o tym dyrektora, oczywiście anonimowo. Co więcej, Garrett zadzwonił także do redakcji miejscowej gazety i do reportera z ABC. Media przybyły na miejsce dokładnie w chwili, gdy ochroniarze przeglądali szafkę chłopca; dyrektor nie mógł zatuszować sprawy, choć zapewne zrobiłby to dla dobra szkolnej drużyny futbolowej. Chłopiec został wyrzucony ze szkoły. Nikt nie mógł udowodnić, że to sprawka Garretta, choć wszyscy o tym wiedzieli.

Lydia zerknęła na mapę wystającą z jego kieszeni.

-Dokąd idziemy? - spytała.

-Nie chcę rozmawiać, jasne?

Dziesięć minut później kazał Lydii zdjąć buty i razem przeszli przez płytki, brudny strumień.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, pozwolił jej usiąść pod drzewem, potem sam zasiadł naprzeciwko i spoglądając na nogi i dekolt dziewczyny, osuszył jej stopy wyciągniętą z kieszeni chusteczką higieniczną. Jego dotyk napełniał ją tym samym rodzajem obrzydzenia, które czuła wtedy, gdy kazano jej pobrać fragment tkanki z ciała leżącego w szpitalnej kostnicy. Wreszcie Garrett włożył jej buty i zasznurował je mocno, trzymając jej łydkę dłużej, niż to było konieczne. Potem spojrzał na mapę i wprowadził ją ponownie do lasu.

Pstrykał paznokciami, drapał się w policzek...

Lydia zauważyła, że bagna stają się coraz bardziej rozległe, a woda głębsza. Przypuszczała, że zmierzają w stronę Wielkiego Ponurego Bagna, choć nie miała pojęcia, dlaczego właśnie tam. Kiedy wydawało się, że nie będą już w stanie dłużej lawirować pomiędzy śmierdzącymi trzęsawiskami, Garrett skierował się do gęstego sosnowego lasu, gdzie - ku uldze Lydii - było znacznie chłodniej niż na odsłoniętych mokradłach.

Chłopak szedł teraz wolniej, rozglądał się uważnie dokoła, jakby oczekiwał pościgu. Poruszał głową w gwałtowny, niekontrolowany sposób, który przerażał Lydię i budził w niej odrazę; właśnie tak zachowywali się psychotyczni pacjenci ze skrzydła E szpitala w Tanner's Corner.

Odszukał inną ścieżkę. Przeszli nią kilkaset jardów i zatrzymali się u stóp stromego wzgórza.

Na szczyt prowadziła seria skalnych występów.

-Nie mogę się na nie wspiąć - oświadczyła Lydia. - Musisz rozwiązać mi ręce. Pośliznę się.

- Gówno prawda - mruknął gniewnie, jakby była idiotką. - Masz na nogach obuwie pielęgniarskie. Poradzisz sobie. Popatrz na mnie. Jestem boso, a mogę się wspiąć. Popatrz na moje stopy, patrz! - Podniósł jedną nogę, pokazując jej podeszwę. Była stwardniała i żółta. -

A teraz włącz na górę. Tylko jak już tam będziesz, nie ruszaj się z miejsca. Słyszysz? Hej, słuchasz mnie? -

Kolejne syknięcie, kropla śliny, która spadła na jej twarz, paliła ją niczym żrący kwas.

Boże, jak ja cię nienawidzę, pomyślała.

Lydia skinęła głową i zaczęła się wspinać. Zatrzymała się w połowie drogi i obejrzała za siebie. Garrett obserwował ją uważnie, pstrykając paznokciami. Wpatrywał się w jej nogi obciążone białymi rajstopami, przesuwał czubkiem języka po górnych zębach. Potem zajrzał wyżej, pod spódnicę dziewczyny.

Lydia podjęła wspinaczkę. Słyszała jego świszczący oddech, kiedy i on ruszył w drogę.

Na szczycie wzgórza znajdowała się mała polanka; odchodząca od niej ścieżka prowadziła prosto do grupy rozłożystych sosen. Lydia ruszyła w tę stronę, do cienia.

-Hej! - krzyknął za nią Garrett. - Nie słyszałaś mnie? Kazałem ci się nie ruszać!

-Wcale nie próbuję ci uciekać - rozzłościła się Lydia. - Tu jest strasznie gorąco. Chciałam się schować w cieniu.

Chłopak wskazał na ziemię, jakieś dwadzieścia stóp dalej. Pośrodku ścieżki leżało kilka sosnowych gałęzi.

-Mogłaś wpaść do środka - wychrypiął. - Wszystko byś zepsuła.

Lydia przyjrzała się uważniej. Gałęzie maskowały szeroki wykop.

-

Co tam jest?

- To

śmiertelna pułapka.

-

Co jest w środku?

-Niespodzianka dla kogoś, kto nas będzie ścigał - odparł z dumą, uśmiechając się chytrze, jakby uważał to za niezwykle oryginalny pomysł.

-Ale tam może wpaść jakiś niewinny człowiek!

-

Gówno - mruknął. - To północny brzeg Paąuo. Nie przyjdzie tu nikt prócz tych, którzy nas ścigają. A oni zasługują na wszystko, co ich spotka. Idziemy. - Znów to syczenie. Ujął ją zaprzęgub i poprowadził dokoła pułapki.

-

Nie musisz mnie tak ciągnąć - zaprotestowała.

Garrett zwolnił nieco uścisk - choć wydawało jej się, że zrobił to tak, by jego środkowy palec, zakończony długim, brudnym paznokciem, mógł od czasu do czasu dotykać pieszczotliwie jej nadgarstka. Przypominał grubego kleszcza, który szuka okazji, by wbić się w skórę ofiary.

furgonetka firmy Rollx minęła cmentarz, Ogrody Pamięci Tanner's Corner. Właśnie odbywał się tam pogrzeb. Rhyme, Sachs i Thom przyglądali się ponurej procesji. - Spójrzcie na trumnę

- powiedziała Sachs. Była mała, przeznaczona dla dziecka. W kondukcje pogrzebowym szli wyłącznie dorośli, około dwudziestu osób. Rhyme zastanawiał się, czemu jest ich tak niewiele.

Podniósł wzrok i spojrzął na łagodne wzgórza, na zbocze ocienione rozłożystymi drzewami, na zielony płaszcz lasów i pól, ciągnący się aż po horyzont.

- Całkiem przyjemny cmentarz - mruknął. - Nie miałbym nic przeciwko, gdyby pochowano mnie w takim miejscu.

Sachs, która obserwowała pogrzeb z zatroskaną miną, spojrzała nań chłodno; ze względu na zbliżającą się operację nie życzyła sobie rozmów o śmierci.

Potem Thom wprowadził furgonetkę w kolejny zakręt i jadąc śladem służbowego wozu szeryfa Jima Bella, przyśpieszył na długiej prostej; cmentarz zniknął za ich plecami.

Zgodnie z informacją Bella, Tanner's Corner było oddalone od Centrum Medycznego w Avery dokładnie o dwadzieścia mil. Tablica z napisem „Witamy w...” powiadomiła gości, że miasteczko liczy 3018 mieszkańców, co było zapewne prawdą, choć w ten gorący sierpniowy poranek ulica Główna była niemal całkiem opustoszała. Tanner's Corner przypominało w tej chwili miasto duchów. Na ławeczce siedziała jakaś starsza para, obojętnym wzrokiem spoglądając na ulicę. Rhyme dostrzegł też dwóch mężczyzn, zapewne miejscowych pijaczków, w brudnych, zniszczonych ubraniach. Jeden z nich siedział na krawężniku i trzymał się za głowę, dręczony prawdopodobnie porannym kacem. Drugi opierał się o drzewo i patrzył na furgonetkę zapadniętymi oczyma, w których czaiła się złość i niechęć do obcych.

Jakaś kobieta myślała szybę wystawową sklepu. Rhyme nie widział nikogo innego.

- Spokojnie - zauważył Thom.

-Można to i tak nazwać - odparła Sachs, która, podobnie jak Rhyme, czuła się dość nieswojo w tym martwym otoczeniu.

Wzdłuż głównej ulicy ciągnął się szereg starych budynków mieszkalnych i dwa małe centra handlowe. Rhyme dostrzegł jeden supermarket, dwie apteki, dwa bary, jedną jadłodajnię, agendę firmy ubezpieczeniowej i lokal będący kombinacją wypożyczalni kaset wideo, sklepu ze słodyczami i zakładu mani-kiurzystki. Salon samochodowy wciśnięty był pomiędzy bank i sklep z przyborami wędkarskimi. Wszyscy sprzedawali przynęty. Jeden billboard reklamował

restaurację McDonalda przy drodze numer 17, siedem mil dalej. Inny przedstawiał wyblakły obraz bitwy morskiej pomiędzy okrętami „Monitor” i „Meri-mack”. „Zapraszamy do muzeum pancerników”. Trzeba było przejechać kolejnych dwadzieścia mil, by obejrzeć tę atrakcję.

Przyglądając się leniwemu życiu prowincjonalnego miasteczka, Rhyme zrozumiał nagle, jak dalece różni się ono od jego własnego środowiska. Mógł z powodzeniem analizować materiał

dowodowy w Nowym Jorku, bo żył tam od wielu lat - znał miasto na wylot, chodził jego ulicami, badał jego faunę i florę. Jednak tutaj, w Tanner's Corner i okolicy, nie wiedział nic o zwyczajach jego mieszkańców, o glebie, powietrzu i wodzie, o najbardziej popularnych samochodach, o domach, w których ludzie żyli, o ich pracy, marzeniach, upodobaniach i obsesjach.

Rhyme przypomniał sobie pewnego detektywa z nowojorskiej policji, z którym pracował jako młody adept. Oficer pytał swoich podwładnych: „Powiedzcie mi, co znaczy powiedzenie «jak ryba bez wody»?”.

Funkcjonariusz Rhyme odpowiadał: „To znaczy, że ktoś znajduje się poza swoim środowiskiem. Jest zdezorientowany”.

„Tak, i co się dzieje, kiedy ryba zostaje bez wody?”, atakował dalej Rhyme'a stary policjant.

„Ona nie jest zdezorientowana - odpowiadał sam na swoje pytanie. - Jest martwa. Największe zagrożenie dla detektywa to nieznajomość środowiska, w którym przyszło mu pracować.”

Pamiętajcie o tym".

Thom zaparkował furgonetkę i przystąpił do rytuału opuszczania wózka na ziemię. Rhyme dmuchnął w rurkę sterującą i skierował go na stromy podjazd przed wejściem do gmachu siedziby władz okręgu, wykonany bez wątpienia dopiero po wejściu w życie ustawy nakazującej przystosowanie wszystkich budynków użyteczności publicznej do potrzeb niepełnosprawnych.

Trzej mężczyźni w dzinsach i koszulach, z pochwami na składane noże przy pasach, wyszli z biura szeryfa i ruszyli w stronę chevy suburban, furgonetki w kolorze burgunda.

Najszczuplejszy trącił łokciem wielkiego mężczyznę z warkoczem i brodą, po czym wskazał głową na Rhyme'a. Oczy tamtych obu niemal jednocześnie zwróciły się ku Sachs, taksując jej włosy i ciało. Olbrzym z warkoczem spojrzał na krótko przycięte włosy Thoma, jego szczupłą sylwetkę, nienaganny ubiór i złoty kolczyk w uchu, potem szepnął coś do drugiego ze swych towarzyszy, mężczyzny, który przypominał raczej konserwatywnego biznesmena z Południa niż członka gangu motocyklowego. Ten wzruszył ramionami. Straciwszy zainteresowanie dla nowo przybyłych, mężczyźni wsiedli do samochodu.

Jak ryba bez wody...

Bell, który szedł obok wózka Rhyme'a, zauważył jego spojrzenie.

-To Rich Culbeau, ten największy. I jego kolesie. Sean O'Sarian, to ten szczupły, i Harris Tomel. Culbeau straszy głównie swoim wyglądem. Lubi zgrywać twardziela, ale zwykle nie mamy z nim większych problemów.

O'Sarian, który zajął fotel dla pasażera, spojrzał raz jeszcze w ich stronę, choć Rhyme nie mógłby powiedzieć, czy patrzy na Thoma, na Sachs czy też na niego samego.

Szeryf wyprzedził go o kilka kroków. Przez chwilę zmagął się z bramką na szczycie podjazdu dla niepełnosprawnych, nieużywaną zapewne od lat i zamalowaną na stałe.

- Nie ma tu chyba zbyt wielu inwalidów - zauważył Thom. Potem spytał Rhyme'a: - Jak się czujesz?

-Doskonale.

-Wcale tak nie wyglądasz. Jesteś blady. Jak tylko znajdziemy się w środku, zmierzę ci ciśnienie.

Weszli do wnętrza gmachu. Rhyme oceniał, że budynek został wzniesiony około roku 1950.

Ściany holu i korytarza, pokryte urzędową, zieloną farbą, obwieszane były rysunkami dzieci z podstawówki, zdjęciami Tanner's Corner z różnych etapów jego rozwoju i notkami dotyczącymi pracowników urzędu.

Z drugiej strony korytarza pojawiła się matka z małym chłopcem. Zmierzali do wyjścia.

Chłopiec nie mógł oderwać spojrzenia od Rhyme'a. Uśmiechnął się z zachwytem, kiedy elektryczny wózek przejechał obok niego z cichym wizgiem silnika. - Super - wyszeptał z podziwem.

Rhyme zaczął się doń uśmiechać, lecz matka potrząsnęła chłopca za ramię i wyszeptała mu coś do ucha. Dzieciak szybko opuścił wzrok. Przeszli dalej, zwróceniu twarzami ku wyjściu.

Choć Rhyme zauważył, że to właśnie matka obejrzała się jeszcze raz w jego stronę, zamykając za sobą drzwi.

Może za kilka miesięcy już nie będą tak na mnie patrzeć. Może po operacji nie będę takim dziwadłem. Jeśli się uda. Jeśli przeżyję.

Oczywiście, że istnieje pewne ryzyko...

Zganił się w myślach. Nie. To bezsensowne rozważania. Niegodne mężczyzny.

-Czy tu będzie wam dobrze? - spytał Bell, otwierając drzwi. - Używaliśmy tego pokoju do

przechowywania materiałów dowodowych, ale teraz przenosimy je do piwnicy.

Pod ścianami stał szereg papierowych pudeł. Jakiś policjant próbował wynieść z pokoju wielki karton z telewizorem marki Toshiba. Inny niósł dwa pudła wypełnione słoikami z jakimś przezroczystym płynem. Rhyme zerknął na nie z zainteresowaniem. Bell roześmiał się i powiedział:

-

To plon najbardziej typowych przestępstw w Tanner's Corner, kradzieży sprzętu elektronicznego i pędzenia księżycówki.

-To właśnie jest księżycówka? - spytała Sachs.

-

Owszem. Nie ma jeszcze miesiąca.

-

Słoiki „Ocean Spray”? - spytał cierpko Rhyme, wskazując na pudło.

-Ulubiony rodzaj bimbrowników - ze względu na szeroką szyjkę. Pijesz alkohol?

- Tylko

szkocką whisky.

-1 tego powinieneś się trzymać. - Bell wskazał głową na słoiki wynoszone przez jego podwładnego. - Federalni i urząd skarbowy Karoliny martwią się o swoje podatki. My martwimy się o naszych obywateli. Ten towar nie jest akurat najgorszy, ale niektórzy bimbrownicy dodają do swojej księżycówki formaldehyd, rozpuszczalniki do farb albo sztuczne nawozy. Co roku umiera od tego kilka osób.

-Dlaczego nazywa się to księżycówką? - spytał Thom.

-Bo dawniej bimbrownicy pracowali na świeżym powietrzu, tylko przy świetle księżyca, by nie zwabiać policji czy inspektorów skarbowych - wyjaśnił Bell.

-

Ach - odparł słabo młody mężczyzna, który gustował w St.Emilion, Pomerol i białym burgundzie. Rhyme ogarnął spojrzeniem pusty pokój.

-Będziemy potrzebowali więcej prądu - powiedział, wskazując głową na pojedyncze gniazdko.

-Doprowadzimy dodatkowe kable - zapewnił Bell. - Zaraz każę komuś się tym zająć.

Wysłał kolejnego zastępcę po przedłużacze, a potem wyjaśnił, że dzwonił już do policji stanowej w Elizabeth City i poprosił o sprzęt, którego życzył sobie Rhyme. Wyposażenie powinno być na miejscu za godzinę. Rhyme wyczuwał, że jak na okręg Paquenoque jest to wręcz niesamowite tempo, co świadczyło tylko o powadze sprawy.

W przypadku porwań na tle seksualnym mamy tylko dwadzieścia cztery godziny na odszukanie ofiary; później zbrodniarz przestaje widzieć w niej człowieka i zabija ją bez najmniejszych skrpułów.

Rhyme nie wiedział, czy cytowane przez Bella stwierdzenie jest prawdziwe. Wiedział jednak z całą pewnością, że wielu porywaczy rzeczywiście zabijało swoje ofiary. Powodów mogło być wiele; panika, nieporozumienie, błędne założenia. Zgadzał się z przypuszczeniem, że Mary Beth prawdopodobnie jest już martwa, i że Lydia może wkrótce do niej dołączyć.

Zastępca powrócił z dwoma wielkimi przedłużaczami i przykleił je taśmą do podłogi.

-To powinno wystarczyć - skinął głową Rhyme. Potem spytał: - Ilu ludzi może pracować przy tej sprawie?

-Mam trzech starszych zastępców i ośmiu funkcjonariuszy. Do tego dochodzi personel z działu

łączności, czyli dwie osoby, i kolejne pięć z biura. Zwykle musimy dzielić się nimi z działem urbanistyki i urzędem zatrudnienia - to zawsze był punkt sporny - ale w tej sytuacji nie będziemy mieli z tym żadnych problemów. Starosta okręgu na pewno nas poprze, już z nim rozmawiałem. Rhyme spojrział na ścianę. Zmarszczył brwi.

-
O co chodzi?

-
Potrzebuje tablicy - powiedział Thom.

-Myślałem o mapie, ale rzeczywiście, tablica też będzie potrzebna. Duża.

- Załatwione - odparł Bell.

Rhyme i Sachs uśmiechnęli się do siebie. To było jedno z ulubionych wyrażeń kuzyna Rolanda.

-Czy mógłbym się spotkać z pańskimi zastępcami? Chciałbym przeprowadzić krótką naradę.

- Poprosimy

też o klimatyzację - dodał Thom. -Tu jest za gorąco.-Zobaczmy, co się da zrobić - odparł niezobowiązująco Bell,

który jako mieszkaniec Południa znacznie lepiej znosił wysokie temperatury.

-On nie może przebywać zbyt długo w takiej, duchocie -oświadczył stanowczo Thom.

-Nie przejmuj się tym - wtrącił Rhyme.

Pomocnik uniósł lekko brwi i spojrział znacząco na Bella.

-Albo tu będzie chłodniej, albo zabieram go z powrotem do szpitala.

-
Thom - ostrzegł go Rhyme.

- Obawiam

się, że nie mamy innego wyjścia - ciągnął Thomniezrażony.

-W porządku. Zaraz się tym zajmę. - Bell podszedł do drzwi i zawołał: - Steve, pozwól tu na minutkę.

Do pokoju wszedł młody, krótko ostrzyżony mężczyzna w mundurze zastępcy szeryfa.

-
To mój szwagier, Steve Farr.

Steve był najwyższym spośród policjantów z Tanner's Corner, których widzieli do tej pory; miał co najmniej sześć stóp i siedem cali wzrostu, a do tego zabawnie odstające, okrągłe uszy.

Nie wydawał się specjalnie zaskoczony czy zaniepokojony widokiem Rhyme'a, a jego usta ułożyły się szybko w szeroki uśmiech, świadczący o kompetencji i pewności siebie. Bell polecił znaleźć jakiś klimatyzator do laboratorium.

- Już się robi, Jim. - Policjant obrócił się na pięcie i opuścił pokój.

W drzwiach pojawiła się głowa jakiejś kobiety.

- Jim, Sue McConnell na trójce. Kiepsko z nią.

-Dobrze, porozmawiam z nią. Powiedz, że zaraz podejść. To matka Mary Beth - wyjaśnił Bell Rhyme'owi. - Biedna kobieta... Ledwie rok temu jej mąż zmarł na raka, a teraz to. Powiem ci coś - westchnął Jim, kręcąc głową. - Sam mam dwójkę dzieci i nie wyobrażam sobie, co...

-Posłuchaj, Jim, chciałbym dostać tę mapę - przerwał mu Rhyme. -1 tablicę.

Bell zamrugał oczami, nie wiedząc, jak zareagować na tak ob-cesowe traktowanie.

-Jasne, Lincoln. I posłuchaj, jeśli będziemy się ślamazarzyć, ruszać się trochę za wolno dla was,

Jankesów, to pogonicie nas trochę, prawda?

- Och, z pewnością, Jim.

Jeden z trojga.

Jeden z trojga starszych zastępców Jima Bella był zadowolony ze spotkania z Rhyme'em i Sachs. A może tylko z Sachs. Dwoje pozostałych przywitało ich oficjalnym skinieniem głowy, życząc sobie bez wątpienia, by ta dziwna para jak najszybciej powróciła do Wielkiego Jabłka - Nowego Jorku.

Tym zadowolonym był trzydziestoletni policjant o zaspanych oczach, Jesse Corn. Wcześniej tego samego ranka przebywał na miejscu zbrodni i widział na własne oczy, jak Garrett porywa drugą z dziewczyn, Lydię, o czym mówił z wyraźnym zażenowaniem i poczuciem winy. Nim zdołał dotrzeć na drugi brzeg rzeki, pokąsany przez szerszenie Ed Schaeffer był już bliski śmierci.

Jednym z mniej przychylnie nastawionych zastępców był Mason Germain, niski mężczyzna po czterdziestce. Ciemne oczy, siwiejące włosy, postawa zbyt doskonała jak na istotę ludzką.

Zaczesane do tyłu włosy nosiły idealnie proste ślady zębów grzebienia. Pachniał intensywnie tanią piżmową wodą po goleniu. Pozdrowił Rhyme'a i Sachs sztywnym skinieniem głowy, zadowolony zapewne, że kryminalistyk jest sparaliżowany i że on nie musi ścisnąć jego dłoni.

Sachs jako kobieta została obdarzona łaskawym „witam panią”.

Lucy Kerr, trzecia ze starszych zastępców Bella, przyjęła ich równie chłodno jak Mason. Była wysoka, dorównywała niemal wzrostem smukłej Sachs. Elegancka, o wysportowanej sylwetce, pociągłą, ładną twarz. Mundur Lucy - w odróżnieniu od reformu Masona - był idealnie wyprasowany i czysty. Długie blond włosy splotła ciasno we francuski warkocz. Mogłaby z powodzeniem pracować jako modelka u L.L. Bean czy w Land's End Rhyme wyobraził ją sobie w wysokich butach, dzinsach i kamizelce.

Kryminalistyk wiedział, że chłodne przyjęcie ze strony poli-ciantów z Paąenoke może być odruchową reakcją na obecność obcych na ich własnym terenie (szczególnie inwalidy i kobiety -w dodatku z Północy). Nie zamierzał jednak walczyć o ich sympatię. Porywacz oddalał się coraz bardziej z każdą upływającą minutą. On sam zaś miał randkę z chirurgiem, której za nic w świecie nie chciałby przegapić.

Potęźnie zbudowany policjant - jedyny czarny policjant, jakiego widział tu Rhyme - wtoczył do pokoju wielką tablicę. Pod pachą niósł rozwiniętą mapę okręgu Paąenoke. -Powieś ją tutaj, Trey. - Bell wskazał na ścianę. Rhyme przyjrzał się mapie; była wystarczająco dokładna.

Policjant umocował ją na ścianie i wyszedł z pokoju.

-

No dobrze - zaczął Rhyme. - Teraz opowiedzcie mi dokładnie, co się wydarzyło.

Zacznijmy od pierwszej ofiary.

-Mary Beth McConnell. Dwadzieścia trzy lata. Studentka ostatniego roku uniwersytetu w Avery.

-Ma chłopaka? - spytała Sachs.

-Jej matka twierdzi, że nie.

Rhyme:

-Mąż jej matki, ten, który umarł w zeszłym roku. To ojciec Mary Beth?

- Zgadza

się.

-Miała ojczyrna? - Znowu Sachs. -Nie. I żadnego rodzeństwa. -Dobrze. Co wydarzyło się

wczoraj? -Było dość wcześnie - mówił Mason. - Mary Beth... -Czy mógłby pan wyrażać się precyzyjniej? - spytał Rhyme. -Wcześnie to, według pana, która godzina?

-

Cóż, sami nie wiemy, która mogła być wtedy godzina - odparł chłodno Mason. -To nie była katastrofa „Titanica”, nie znaleźliśmy zepsutych zegarów.

-

Musiało być gdzieś przed ósmą - pośpieszył z odpowiedzią Jesse Corn. - Billy, ten zamordowany chłopak, wychodził rano biegać, a miejsce zbrodni oddalone jest od jego domu o pół godziny drogi. Musiałby wrócić przed ósmą trzydzieści, żeby wziąć prysznic i dojść do szkoły.

Dobrze, pomyślał Rhyme, kiwając głową.

-Proszę mówić dalej.

-

Mary Beth była w Blackwater Landing - kontynuował Mason.

-

Co to takiego, miasteczko? - chciała się upewnić Sachs.

-

Nie, po prostu osada czy osiedle nad rzeką, kilka mil stąd. Około dwudziestu pięciu domów i fabryka. Żadnych sklepów. Głównie las i bagna.

Rhyme spojrział na cyfry i litery wzdłuż brzegów mapy, tworzące dość dokładną siatkę.

-

Gdzie? - spytał. - Proszę pokazać. Mason wskazał kwadrat L-10.

-Przypuszczamy, że wyglądało to mniej więcej tak: Garrett podchodzi do osiedla i porywa Mary Beth. Chce ją zgwałcić, ale wtedy drogą nadbiega właśnie Billy Stail, widzi, co się dzieje, i próbuje go powstrzymać. Garrett chwyta za łopatę i zabija Billy'ego. Uderza go w głowę. Potem zabiera Mary Beth i znika. -Mason zacisnął mocniej zęby. - Billy był dobrym dzieciakiem. Naprawdę dobrym. Regularnie chodził do kościoła. W zeszłym sezonie przejął podanie w ostatniej minucie meczu ze szkołą z Albermale High i...

- Jestem

pewien,

że był wspaniałym chłopcem - przerwał mu Rhyme zniecierpliwiony. -

Garrett i Mary Beth ruszają się pieszo?

-Tak - odparła Lucy. - Garrett nie jeździ samochodem. Nie ma nawet prawa jazdy. Pewnie dlatego, że jego rodzice zginęli w wypadku.

-

Jakie dowody znaleźliście?

-

Mamy narzędzie zbrodni - oświadczył z dumą Mason. - Łopatę. Obchodziliśmy się z nią jak z jajkiem. Zrobiliśmy wszystkozgodnie z zasadami, punkt po punkcie.

Rhyme czekał na ciąg dalszy. Wreszcie zapytał: -I co jeszcze?

-

Mamy ślady stóp.

-

To wszystko? - spytała Sachs.

Lucy zacisnęła wargi i skinęła tylko głową, wyraźnie urażona niewypowiedzianymi słowami krytyki ze strony Sachs. Rhyme:

_ przeszukaliście dokładnie miejsce zbrodni?

- Jasne, że tak - odrzekł Jesse. - Nie znaleźliśmy niczego.

- Nie znaleźliśmy niczego? W miejscu, gdzie zbrodniarz morduje jedną ofiarę i porywa inną, znalazłoby się dość dowodów, by na ich podstawie nakręcić film o tym, co kto komu uczynił, i prawdopodobnie jeszcze o tym, co każdy z uczestników robił przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Wyglądało na to, że muszą zmagać się z dwoma przeciwnikami, Owadzim Królem i niekompetencją policjantów. Rhyme pochwycił spojrzenie Sachs i zrozumiał, że Amelia myśli tak samo.

- Kto

przeprowadził badanie miejsca zbrodni? - spytał Rhyme.-Ja - odrzekł Mason. -

Przyjechałem tam pierwszy. Byłem

w pobliżu, kiedy otrzymaliśmy wiadomość o przestępstwie.

-

A kiedy otrzymaliście tę wiadomość?

-O dziewiętej trzydzieści. Kierowca ciężarówki zobaczył z drogi ciało Billy'ego i zadzwonił pod dziewięćset jedenaście.

A chłopiec zginął przed ósmą. Rhyme nie był zadowolony. Półtorej godziny - co najmniej - to całkiem sporo, w tym czasie mogło się wydarzyć wiele rzeczy. Chłopak mógł zgwałcić i zabić dziewczynę, ukryć ciało i wrócić, by zamazać istotne ślady i dołożyć takie, które zaprowadziłyby policję na fałszywy trop.

-Przeszukał pan to miejsce sam? - spytał Rhyme Masona.

-Pierwszy raz, pobieżnie. Potem przyjechało jeszcze trzech, czterech policjantów. Wtedy zbadaliśmy wszystko bardzo dokładnie.

I znaleźli tylko narzędzie zbrodni? Boże drogi...

-

Skąd wiecie, że to właśnie Garrett był sprawcą? - odezwała się Sachs.

-

Ja go widziałem - odparł Jesse Corn. - Widziałem, jak porywał dziś rano Lydię.

-To nie znaczy jeszcze, że zabił Billy'ego i porwał tę drugą dziewczynę.

-Och... - przypomniał sobie Bell. - Mamy odciski palców. Zdjęliśmy je z trzonka łopaty.

Rhyme skinął głową i zwrócił się do szeryfa:

-A mieliście te odciski ze względu na przestępstwa popełnione przez niego wcześniej?

-Tak.

-Dobrze. Teraz opowiedzcie nam, co wydarzyło się dzisiejszego ranka.

Głos zabrał Jesse Corn.

- Było bardzo wcześnie, tuż po wschodzie słońca. Ed Schaefer - to jeden z zastępców -

i ja pilnowaliśmy miejsca zbrodni, na wypadek gdyby Garrett tam wrócił. Wtedy przyszła Lydia, żeby złożyć kwiaty. Zostawiłem ją samą i wróciłem do samochodu. Pewnie nie powinienem był tego robić. Potem usłyszałem jej krzyk i zobaczyłem, jak oboje przepływają na drugą stronę Pa-quo. Zanim znalazłem jakąś łódź, zniknęli bez śladu. Ed nie odpowiadał.

Martwiłem się o niego, a kiedy dobiegłem do chaty myśliwskiej, leżał na ścieżce, cały pokąsany,

nieprzytomny. Garrett zastawił w chacie pułapkę.

-Przypuszczamy, że Ed wie, gdzie jest Mary Beth - wtrącił Bell. - Widział mapę w chacie, w której ukrywał się Garrett. Ale wciąż jest nieprzytomny i nie może nam nic powiedzieć, a Garrett pewnie zabrał mapę ze sobą po tym, jak porwał Lydię.

-W jakim stanie jest Ed Schaeffer? - spytała Sachs.

-W ciężkim. Zapadł w śpiączkę i nikt nie wie, czy się z niej jeszcze obudzi. I czy będzie cokolwiek pamiętał.

Musieli więc opierać się wyłącznie na dowodach. Co właściwie było Rhyme'owi na rękę; wolał to niż niepewne i często sprzeczne zeznania świadków.

-Jakieś ślady po dzisiejszych wydarzeniach?

- Znalazłem to. - Jesse otworzył walizkę i wyjął z niej sportowy but, zapakowany w plastikową torbę. - Garrett zgubił go, kiedy szarpał się z Lydią.

Cóż, mieli przynajmniej coś konkretnego... Jak większość drobnych dowodów materialnych, but zdawał się wydzielać jakieś nieokreślone promieniowanie.

-Dobrze. Proszę położyć to tutaj. - Rhyme wskazał głową na stół. - Coś jeszcze?

-Nie.

Starając się nie okazywać irytacji, Rhyme poprosił:

-Proszę opowiedzieć mi o tych innych sprawach, w które zamieszany był Garrett.

- Wszystkie

wydarzyły się w pobliżu Blackwater Landing -odpowiedział Bell. - Dwie ofiary utonęły w kanale. Wyglądało totak, jakby wpadły do wody i uderzyły głową o coś twardego. Ale lekarz sądowy powiedział, że równie dobrze ktoś mógł uderzyćte osoby wcześniej i zepchnąć do wody. Garrett kręcił się podobno wokół ich domów niedługo przed tymi wypadkami. Nie mieliśmy jednak żadnych dowodów. W zeszłym roku z kolei ktoś zginął od uządleń. Szerszenie. Jak Ed. Wiemy, że Garrett to zrobił.

Bell otwierał już usta, by kontynuować opowieść, uprzedził go jednak Mason.

' _ Dwudziestoletnia dziewczyna, jak Mary Beth - mówił niskim głosem. - Bardzo miła, dobra chrześcijanka. Drzemała sobie na tylnej werandzie. Garrett wrzucił tam gniazdo szerszeni.

Została uządlona sto trzydzieści siedem razy. Zmarła na atak serca.

-Ja przyjechałam wtedy pierwsza - dodała Lucy Kerr. - To był naprawdę okropny widok.

Umierała powoli, w męczarniach.

-

Och, i jeszcze jedno. Przypominacie sobie ten pogrzeb, który mijaliśmy po drodze? -

spytał Bell. - To był Todd Wilkes.Osiem lat. Popełnił samobójstwo.

-

O nie - mruknęła Sachs. - Dlaczego?

-Był bardzo chory - wyjaśnił Jesse Corn. - Nie mógł wychodzić na dwór, uprawiać sportów...

Bardzo się tym przejmował. Ale to nie wszystko; kilka tygodni temu widziano, jak Garrett wrzeszczy na Todda, jak pastwi się nad nim. Przypuszczamy, że Garrett dręczył go i straszył, aż chłopak nie wytrzymał.

-

Motyw? - spytała krótko Sachs.

-Garrett jest czubkiem, oto motyw! - wybuchnął Mason. -Ludzie śmieją się z niego, a on się na

nich mści. To proste.

- Schizofrenik?

-Nie, przynajmniej tak twierdzą psychologowie z jego szkoły. - Lucy pokręciła głową. - Typ aspołeczny, tak go określają. Ma wysoki iloraz inteligencji. Z większości przedmiotów uzyskiwał ocenę celującą, nim kilka lat temu zaczął wagarować. Mogę wam pokazać jego zdjęcie.

-To nie jest konieczne - powiedział Rhyme jednocześnie z Sachs, która odparła:

- Tak,

proszę.

-Po co, Sachs? On nas nie interesuje. Interesuje nas to, co zrobił.

- Bo

chcę go zobaczyć.

Szeryf otworzył plik dokumentów.

- To

zdjęcie, które zrobiliśmy mu po tej sprawie z gniazdemszerszeni.

Zdjęcie ukazywało szczupłego, krótko ostrzyżonego chłopca o bujnych, zrosniętych ze sobą brwiach i zapadniętych oczach. Miał zadrapany policzek.

-

Tu jest inne. - Bell wyjął zdjęcie wycięte z gazety, ukazujące czteroosobową rodzinę przy ogrodowym stoliku. Napis pod zdjęciem głosił: „Hanlonowie na dorocznym pikniku w Tan-ner's Corner na tydzień przed tragicznym wypadkiem na drodze numer 112, w którym zginęli Stuart, lat 39, Sandra, lat 37, i ich dziesięcioletnia córka Kaye. Garrett, lat jedenaście, został tego dnia w domu”.

-Czy mogę zobaczyć raport z wczorajszych oględzin miejsca zbrodni? - spytał Rhyme.

Bell otworzył kolejny notatnik i podał go Thomowi. Rhyme nie miał ze sobą ramki do przewracania stron, musiał więc zdać się na swego pomocnika.

-Musisz tym tak trząść?

Thom westchnął ciężko.

Kryminalistyk był zirytowany. Badanie miejsca zbrodni zostało przeprowadzone w dyłtancki sposób. Połaroidowe zdjęcia ukazywały liczne ślady, nikt jednak nie położył obok nich linijki, która mogłaby określić ich wielkość. Śladów nie opatrzone także ponumerowanymi kartami, które wskazywałyby, czy zostały pozostawione przez jedną, czy też przez różne osoby.

Sachs również to zauważyła. Pokręciła głową i głośno skomentowała te zaniedbania.

-A wy zawsze to robicie? - spytała Lucy, próbując się bronić. - Kładziecie kartki z numerami?

- Oczywiście - odparła Sachs. - To standardowa procedura. Rhyme przeglądał dalszą część raportu. Zamieszczono w nim

tylko pobieżny opis miejsca, w którym znaleziono ciało chłopca, i jego ułożenia. Rhyme zauważył, że obrysowano je farbą w sprayu, która zaciera ślady i zanieczyszcza miejsce zbrodni niepożądanymi substancjami.

Nikt nie pobrał próbek gleby z miejsca, gdzie znaleziono ciało i gdzie bez wątplenia doszło do szarpaniny pomiędzy Garret-tem i Billym. Rhyme dostrzegł też niedopałki papierosów na ziemi; tego rodzaju przedmioty często były źródłem cennych informacji.

-Dalej.

Thom przewrócił stronę.

Raport z badania odcisków palców był tylko nieznacznie lepszy. Na trzonku znaleziono cztery

pełne i siedemnaście cząstkowych odcisków, wszystkie zidentyfikowane jako należące do

Tarretta i Billy'ego. Większość śladów była niewidoczna gołym kiem, kilka jednak odcisnęło się całkiem wyraźnie w smugach hlota tak że można je było dostrzec bez pomocy chemikaliów specjalnego światła. Mimo to Mason nie potrafił należycie zabezpieczyć dowodów; ślady jego lateksowych rękawic w wielu miejscach zakrywały te pozostawione przez zabójcę. Rhyme natychmiast wyrzuciłby z pracy równie niezręcznego technika. Na szczęście odciski, które ocalały z tego pogromu, były wystarczająco wyraźne, by stanowić materiał dowodowy w sądzie.

Chcąc wykorzystać czas oczekiwania na niezbędny sprzęt, Rhyme zwrócił się do Bella:

- Będę potrzebował asystenta do pracy w laboratorium. Wolałbym policjanta, ale ważne jest, by ten ktoś miał pojęcieo chemii i medycynie. I znał tutejszy teren. Ktoś miejscowy.

Kciuk Masona zataczał kółka wokół rękojeści pistoletu.

-Możemy kogoś znaleźć, ale myślałem, że to pan jest tutaj ekspertem. Czy nie po to tu pana ściągnęliśmy?

-Ściągnęliśmy mnie tu między innymi dlatego, że ja wiem, kiedy potrzebuję pomocy. -

Rhyme spojrział na Bella. - Macie kogoś takiego?

Odpowiedziała mu jednak Lucy Kerr.

-Syn mojej siostry, Benny. Ben studiuje biologię na Uniwersytecie Karoliny Północnej.

-Bystry?

-Bardzo. Tylko, hm... trochę cichy.

-Nie jest mi potrzebny do konwersacji.

-

Zadzwonię do niego.

-

Dobrze - skinął głową Rhyme. - Amelio, chcę, żebyś jeszczera zbadala miejsce przestępstwa i przeszukała pokój chłopca.

-Ale... - zaprotestował Mason i wskazał na raport. - Już to zrobiliśmy. Bardzo dokładnie.

-

Chciałbym jednak, by Amelia zrobiła to jeszcze raz - odparł krótko Rhyme. Potem spojrział na Corna. - Pan zna teren.Mógłby pan pojechać z nią?

-

Jasne. Z przyjemnością.

Sachs spojrziała nań z ukosa. Rhyme znał jednak wartość flirtu: Sachs potrzebowała kogoś, kto chętnie by z nią współpracował. Nie sądził, by Lucy czy Mason byli choć w połowie równie pomocni jak Jesse Corn, który zdążył się już w niej zadurzyć.

- Chcę też, by Amelia miała broń - dodał Rhyme.

Kiedy funkcjonariusze policji stanowej wyjeżdżają poza granice stanu, tracą większość uprawnień; między innymi prawo do noszenia broni. Sachs zostawiła glocka i rewolwer w swoim mieszkaniu na Brooklynie.

-

Żaden problem - zapewnił ich Bell. - Jaką broń pani lubi?

- Glock

dziesiątka albo dziewiątka. Ale może być też browning trzydzieści osiem.

-Hm... - mruknął Bell, krzywiąc się lekko. - To nie będzie jednak takie proste. W okręgu

Paąuenoke nie potrzebujemy zazwyczaj aż tak ciężkiej broni.

-

No dobrze, niech będzie cokolwiek.

-Jesse jest naszym ekspertem od uzbrojenia - poinformował Bell. - Może załatwić pani jakiegoś przyjemnego smith & wessona.

- Jasne.

- Chciałabym też dostać kajdanki - poprosiła Sachs.-Załatwione.

Bell zauważył, że Mason z ponurą miną wpatruje się w mapę.

-

O co chodzi? - spytał szeryf.

-Naprawdę chcesz znać moje zdanie? - upewnił się policjant.

- Przecież zapytałem, prawda?

-Robisz to, co uważasz za najlepsze, Jim - mówił Mason przez zaciśnięte gardło. - Ale według mnie, nie mamy już czasu na kolejne badania. Musimy przeszukać bardzo duży teren.

Powinniśmy działać, i to szybko.

Odpowiedział mu jednak nie Bell, lecz Lincoln Rhyme. Spoglądając na mapę, na kwadrat L-10, miejsce, w którym po raz ostatni widziano Lydię Johansson, powiedział:

-

Nie mamy dość czasu, by działać szybko.

Chcieliśmy go - mówił mężczyzna ostrożnie, rozglądając się po zakurzonej podwórku, którego centralny punkt stanowił pozbawiony kół pick-up, podparty betonowymi blokami. -

Bo słyszeliśmy o nim i było nam go żal. Ale prawdę mówiąc, od samego początku mieliśmy z nim kłopoty. Inne dzieciaki jakoś przywykły, a on nie. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, mówię pani, ale on chyba tak tego nie widzi. A teraz się boimy. Bardzo się boimy.

Stał na werandzie starego drewnianego domu w północnej części Tanner's Corner i rozmawiał z Amelią Sachs i Jesse'em Cornem. Jim Bell i jeden z jego podwładnych byli tu poprzedniego dnia, by przeszukać dom i sprawdzić, czy przybrani rodzice Garretta nie wiedzą przypadkiem, gdzie może ukrywać się chłopiec, nic jednak nie wskórali. Sachs przyjechała obejrzeć tylko jego pokój, lecz pomimo pośpiechu poświęciła kilka chwil na rozmowę z Halem Babbage'em.

Miała nadzieję, że w ten sposób dowie się czegoś istotnego o Garrecie; Amelia Sachs nie do końca podzielała pogląd Rhyme'a, że dowody materialne są jedynym kluczem do zrozumienia i wytropienia przestępców.

Kilkuminutowa rozmowa przekonała ją jednak tylko, że przybrani rodzice chłopca naprawdę się boją, iż Garrett powróci i skrzywdzi ich samych albo któreś z ich pozostałych dzieci. Żona Hala, która stała obok niego na werandzie, była otyłą kobietą o kręconych rdzawych włosach.

Miała na sobie poplamioną koszulkę z reklamą jakiejś miejscowej rozgłośni radiowej.

Podobnie jak mąż, Margaret Babbage prawie nie patrzyła na swoich gości, zwrócona twarzą w stronę podwórka i pobliskich lasów, gdzie wypatrywała zapewne Garretta.

-

Nigdy nie zrobiliśmy mu nic złego - kontynuował Hal. - Nigdy go nie biłem, zresztą państwo już na to nie pozwala, ale byłem stanowczy i przestrzegałem pewnych zasad. Na przykład zawsze jadamy posiłki o tej samej porze. Nalegam na to. Ale tylko Garrett nie pojawiał się o czasie. Pomiędzy posiłkami zamykamjeden na klucz, więc często chodził

głodny. Czasami w soboty zabierałem go na biblijne kółko dyskusyjne. Och, tego też bardzo nie lubił, siedział tam tylko i milczał jak zaklęty. Oj, powiadam pani, najadłem się przez niego wstydu. Zmuszałem go też do sprzątnięcia tego chlewu, który zrobił w swoim pokoju. -

Mężczyzna przełknął z trudem ślinę, targany gniewem i strachem jednocześnie. - Takich rzeczy po prostu trzeba od dzieci wymagać. Ale wiem, że on mnie za to nienawidzi.

Żona dołączyła swe własne świadectwo:

- Często byliśmy dla niego bardzo wyrozumiali. Tyle że on nie będzie tego pamiętał. Będzie pamiętał tylko to, co najgorsze. - Głos kobiety drżał lekko.

- Ale będziemy się bronić, mówię ci - przemówił ponownie ojczym Garretta, zwracając się tym razem do Jesse'a. Wskazał głową na stertę gwoździ i młotek, leżące na werandzie. -

Zabijamy okna, jeśli jednak spróbuje się włamać... będziemy się bronić. Dzieci wiedzą, co robić. Wiedzą, gdzie jest strzelba. Wiedzą, jak jej używać, a Garrett będzie miał się z pyszną, jeśli tu wróci.

Zachęcał dzieci do strzelania? Sachs była zaszokowana. Widziała te dzieciaki, wyglądające z ciekawością zza okiennic. Żadne z nich nie mogło mieć więcej niż dziesięć lat.

- Hal - rzekł Jesse Corn stanowczym tonem, uprzedzając Sachs. - Nie próbuj sam wymierzać sprawiedliwości. Jeśli zobaczysz Garretta, zadzwoń do nas. I nie pozwól dzieciakom dotykać broni. Wiesz przecież dobrze, że nie powinieneś tego robić.

- Mamy

ćwiczenia - bronił się Hal. - W każdy czwartek po kolacji. Wiedzą, jak posługiwać się strzelbą. Kupiłem mniejszy kaliber, żeby mogły ją podnieść. - Przymrużył

oczy, kiedy dostrzegł jakiś ruch na podwórzu. Znieruchomiał na moment. Potem odetchnął głęboko i zwrócił spojrzenie na Sachs. Chciał powiedzieć, zrozumiał jednak, że ona nie ma już ochoty dłużej z nim rozmawiać.

_ chciałabym zobaczyć jego pokój - oświadczyła policjantka.

piął wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Ale musi pani radzić sobie sama. Ja tam nie wejść. Boję się. Pokaż im drogę, Mags. - Podniósł młotek i garść gwoździ. Sachs zauważyła rękojeść pistoletu wystającą z kieszeni jego spodni. Zaczął wbijać gwoździe w futrynę okna.

- Jesse, przejdź na tył domu i zajrzyj do jego pokoju przez okno - poprosiła Sachs. - Sprawdź, czy nie zastawił przy drzwiach jakiejś pułapki.

- I tak nic tam nie zobaczycie. - Macocha Garretta pokręciła głową. - Zamalował je na czarno.

Zamalował?

Sachs kontynuowała:

- Więc zabezpiecz tylko dojdzie do okna. Nie chcę żadnych niespodzianek. Uważaj na miejsca, z których mógłby cię ostrzelać, i staraj się pozostać w ukryciu.

- Jasne. Trzymać się w ukryciu. Zrobię to. - Jesse pokiwał energicznie głową, co tylko umocniło ją w przekonaniu, że młody policjant nie ma żadnego doświadczenia taktycznego.

Kiedy zniknął za rogiem domu, Sachs odwróciła się do Margaret Babbage.

- Tędy proszę - powiedziała kobieta, wprowadzając ją do środka.

Sachs szła przez mroczny korytarz, wypełniony suszącym się praniem, butami i stertami czasopism. „Rodzinny Krąg”, „Chrześcijańskie Życie”, „Broń i Amunicja”, „Pole i Strumień”,

„Przegląd Czytelniczy”. Zauważyła, że korytarz, w którym po obu stronach znajdowały się po trzy wejścia do innych pomieszczeń, stanowił doskonałe miejsce na pułapkę. Jej dłoń automatycznie

powędrowała do pożyczonego pistoletu, starego i nieporęcznego smith & wessona, którego jedyną zaletą była długa lufa, zapewniająca w miarę przyzwoitą precyzję strzału. Kiedy szła przez ciemny hol, wciąż wracała myślami do ćwiczeń strzeleckich, które nowojorska policja przeprowadzała w specjalnym budynku na Bronksie. Twarze ukazujące się nagle w drzwiach i oknach. Pół sekundy na podjęcie decyzji, strzelać czy nie strzelać.

Garrett wrzucił tam gniazdo szerszeni. Została użądłona 137 razy...

Kiedy mijala kolejne drzwi, przechodziły ją ciarki, rozglądała się nerwowo na boki, jej długie palce dotykały dębowej rękojeści pistoletu. Drzwi do pokoju chłopca były zamknięte.

Owadzi Król...

Kobieta wskazała głową na półkę, gdzie stały trzy wielkie puszkę środka owadobójczego.

-Kiedy usłyszeliśmy dziś rano, co się stało z tym policjantem, Hal pojechał do sklepu i kupił to. I wyjął swój pistolet z szafy. -Naprawdę boicie się, że tu wróci? Po chwili milczenia kobieta odpowiedziała: - Garrett to nieszczęśliwe dziecko. Ludzie go nie rozumieją. Mam dla niego więcej uczucia niż Hal. Nie wiem, czy Garrett tu wróci, ale jeśli tak, to będziemy mieli kłopoty. On potrafi być naprawdę przerażający. Kiedyś w szkole jacyś chłopcy ciągle włamywali się do jego szafki i zostawiali tam głupie listy, brudną bieliznę i takie rzeczy. Nic strasznego, ot, głupie żarty. Ale Garrett zmajstrował taką klatkę, która otwierała się wtedy, gdy ktoś dobierał się do szafki w niewłaściwy sposób. Włożył do niej jadowitego pająka.

Kiedy ci chłopcy znowu się włamali, pająk ugryzł jednego z nich w twarz. Biedak omal nie oślepl.

Zatrzymały się przed drzwiami sypialni. Na drewnie wisiała niewielka, odręcznie malowana tabliczka. „Niebezpieczeństwo. Nie wchodzić”. Pod tabliczką znajdował się dość nieudolnie wykonany rysunek, przedstawiający groźnego szerszenia.

W domu nie było klimatyzacji, Sachs czuła, jak jej dłonie pokrywają się potem. Wytarła je o dzinsy.

Włączyła firmową krótkofalówkę Motoroli i założyła na głowę słuchawki pożyczone z biura szeryfa. Przez chwilę szukała częstotliwości podanej przez Steve'a Farra. Odbiór był kiepski.

- Rhyme?

-Jestem, Sachs. Czekałem na ciebie. Gdzie byłaś?

Nie chciała mówić mu, że poświęciła kilka minut, by dowiedzieć się czegoś więcej o psychice Garretta Hanlona. Powiedziała więc tylko:

-Dojazd zajął nam trochę więcej czasu, niż myślałam.

-No dobrze, i co będziemy teraz robić? - spytał kryminalistyk.

- Stoję właśnie przed drzwiami pokoju Garretta. Zaraz wejdem do środka. - Przekreśliła gałkę. Cholera. Zamknięte na klucz. Odwróciła się do Margaret. - Ma pani klucz?

Kobieta zawahała się na moment, potem jednak podała jej klucz. Sachs otworzyła zamek.

Wejść szybko czy powoli?

Kiedy się poruszasz, nie mogą cię dopaść...

Gestem nakazała Margaret, by ta wróciła do salonu, po czym otworzyła drzwi kopniakiem i odskoczyła do tyłu, przywierając plecami do ściany. Z mrocznego pokoju nie dobiegał żaden dźwięk.

Została użądłona 137 razy...

Dobra. Pistolet do góry. Naprzód! Weszła do środka.

-Jezu... - Sachs błyskawicznie przyjęła niską pozycję walki. Nie odrywając palca od spustu, wymierzyła lufę prosto w jakąś ciemną postać, czającą się tuż obok wejścia.

-

Sachs? - zawołał Rhyme. - Co się dzieje?-Chwileczkę - wyszeptała, zapalając światło.

Jej spojrzenie

spoczywało na plakacie przedstawiającym ohydny potwora z filmu „Obcy”.

Lewą ręką otworzyła drzwi szafy.

-Wszystko w porządku, Rhyme. Choć nie powiem, żeby podobał mi się wystrój jego pokoju.

Dopiero wtedy uderzył w jej nozdrza kwaśny smród. Brudne ubrania, pot. I coś jeszcze.

-

Fuj - mruknęła.

-

Sachs? Co tam? - niecierpliwił się Rhyme.

-

Okropnie tu śmierdzi.

-To dobrze. Znasz moją zasadę.

-Zawsze najpierw powąchaj miejsce zbrodni. Wolałabym tego nie robić.

- Chciałam tu posprzątać - powiedziała pani Babbage, która pojawiła się nagle za plecami Sachs.

- Powinnam była to zrobić przed pani przyjściem. Ale bałam się wchodzić.

Poza tym trudni się pozbyć zapachu skunksa. Trzeba prać ubrania w soku pomidorowym, a Hal mówi, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

To było to. Ponad zapachem brudnych, przepoconych ubrań królował smród skunkowego piżma. Sachs odwróciła głowę i spojrzała na Margaret, która stała w korytarzu i przyglądała się jej poczynaniom z przestachem.

-Będzie wściekły, kiedy zobaczy, że włamała się pani do jego pokoju.

-Chciałabym pobyć tu przez chwilę sama - odparła Sachs i zamknęła jej drzwi przed nosem.

-

Czas ucieka, Sachs - warknął Rhyme.

-

Biorę się do pracy - odpowiedziała.

Okręciła się w miejscu, z obrzydzeniem patrzyła na szare, poplamione prześcieradła, sterty brudnych ubrań, naczynia posklejane starymi resztkami jedzenia, celofanowe torebki, wypełnione zgniecionymi chipsami. To miejsce wywoływało w niej dziwne rozdrażnienie.

Mimowolnie sięgnęła ręką do głowy, zaczęła się nerwowo drapać. Przestała na moment, potem znów się podrapała. Zastanawiała się, dlaczego jest taka zirytowana. Może przyczyną była świadomość, że wygląd tego miejsca świadczy źle nie tyle o chłopcu, ile o jego przybranych rodzicach, o tym, że ci w gruncie rzeczy wcale się nim nie przejmowali i że może to właśnie ta obojętność uczyniła zeń mordercę i porywacza. Ten chłopak potrzebował

czegoś więcej niż biblijnych spotkań dyskusyjnych i posiłków o ustalonych porach. Czy ci ludzie w ogóle zdawali sobie z tego sprawę?

Sachs zauważyła ciemne smugi i ślady butów na parapecie. Wyglądało na to, że Garrett częściej korzystał z okna niż z drzwi. Zastanawiała się, czy Hal zamykał go w nocy na klucz.

Odwróciła się do ściany naprzeciwko łóżka. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

-
Mamy tu kolekcjonera, Rhyme.

Patrzyła na kilkanaście wielkich słoików, terraria wypełnione koloniami owadów słoczonych razem, otaczających zagłębienie z wodą, znajdujące się na dnie pojemników. Koślawe napisy, wykonane na niewielkich plakietkach, identyfikowały każdy z gatunków: Wioślak...

Nartnik... Na stole leżało grube szkło powiększające, obok stało podniszczone krzesło biurowe, wyciągnięte chyba z jakiegoś śmietnika.

-Teraz już wiem, dlaczego nazywają go Owadzi Królem -mruknęła Sachs i powiedziała Rhyme'owi o słoikach. Wzdrygnęła się z obrzydzenia, kiedy horda małych, wilgotnych robaków przesunęła się wzdłuż krawędzi słoika niczym jakieś potworne, zmutowane stworzenie.

-
Doskonale, to naprawdę dobra wiadomość.-Dlaczego?

-
Bo to rzadkie hobby. Gdyby interesował się tenisem czy numizmatyką, znacznie trudniej byłoby nam go odnaleźć. Dobra, przystępuj do oględzin. - Rhyme mówił spokojnym, niemal pogodnym tonem. Wyobrażał sobie teraz, że to on sam kreśli siatkę

- tak określał proces przeszukiwania miejsca zbrodni - wykorzystując do tego jej oczy i nogi.

Jako szef wydziału badawczego nowojorskiej policji - jednostki zajmującej się medycyną sądową i badaniem miejsca przestępstwa - Lincoln Rhyme często sam pracował w terenie, zwykle spędzając na siatce więcej czasu niż niejeden początkujący policjant. Wiedziała, że kreślenie siatki było tym, czego po wypadku brakowało mu najbardziej.

-Jak tam ze sprzętem? - spytał Rhyme. Jesse Corn znalazł dla niej w magazynie szeryfa komplet narzędzi potrzebnych do badania miejsca zbrodni.

Sachs otworzyła zakurzoną walizeczkę, która nie zawierała nawet dziesiątej części sprzętu, jakiego Amelia używała w Nowym Jorku, ale przynajmniej nie brakowało podstawowych elementów: pesety, latarki, próbek, lateksowych rękawiczek i plastikowych torebek.

-
Kiepsko, ale nie beznadziejnie.-Jesteśmy tu jak ryby bez wody, Sachs.

-Doskonale cię rozumiem, Rhyme. - Włożyła rękawiczki i przystąpiła do oględzin pokoju.

Miejsce takie jak sypialnia Garretta określane było w terminologii policyjnej mianem wtórnego miejsca zbrodni; nie dokonano tu przestępstwa, prawdopodobnie jednak tutaj je zaplanowano. Wtórny miejscem zbrodni mogła być także kryjówka przestępcy. Rhyme już dawno temu nauczył ją, że właśnie takie miejsca mogą być cenniejszym źródłem informacji niż pierwotna scena zbrodni; przestępcy zwykle nie zachowywali tu należytej ostrożności, zostawiali rękawice, ubrania, broń czy inne dowody.

Rozpoczęła przeszukiwanie, chodziła od ściany do ściany, pokrywając podłogę ciasną siatką, jakby strzygła trawnik. Potem zmieniła kierunek o dziewięćdziesiąt stopni i powtórzyła całą procedurę.

-Mów do mnie, Sachs, mów do mnie.

-To okropne miejsce, Rhyme.

- Okropne?

-
zachnął się kryminalistyk. - Co, do diabła, znaczy „okropne“?

Lincoln Rhyme nie lubił tego rodzaju określeń. Preferował precyzyjne, konkretne przymiotniki:

„zimny”, „zabłocony”, „niebieski”, „zielony”, „ostry”. Rhyme irytował się nawet, kiedy mówiła, że coś jest „małe” albo „duże”. („Mów o calach lub milimetrach, Sachs, albo nie mów wcale”. Amelia Sachs nauczyła się więc badać miejsce zbrodni z glockiem 10, lateksowymi rękawiczkami i taśmą mierniczą).

Pomyślała: Do diabła, ja czuję się tutaj okropnie. Czy to nie ma żadnego znaczenia? Potem powiedziała:

-Ma tu pełno plakatów ze wszystkich części „Obcego” i „Star Ship Troopers”, to o wielkich robakach, atakujących ludzi. Niektóre narysował sam. Są przerażające, dużo przemocy i krwi.

Wszędzie pełno brudu. Tanie żarcie, dużo książek, ubrania, robaki w słoikach. To prawie wszystko.

- Ubrania są brudne?

-Tak. Mam tutaj coś dobrego. Spodnie, całe poplamione. Musiał je często nosić, na pewno jest w nich mnóstwo śladów. -Włożyła je do plastikowej torby.

-Koszule?

- Tylko

bawełniane - odparła. - Nic z kieszeniami. - Krymi-nalistycy uwielbiają kieszenie; zawsze można było w nich znaleźć różne cenne substancje.

Jakiś szelest za jej plecami. Odwróciła się na pięcie, sięgając jednocześnie po broń. Odgłos dochodził z terrarium. Kilkanaście brązowych, długonogich owadów chodziło po stercie suchych liści.

Amelia Sachs cierpiała na klaustrofobię. To ciemne, gorące pomieszczenie, pełne przerażających plakatów i pojemników z owadami, napełniało ją panicznym strachem.

Swędziała ją skóra, jakby zamknięte w słojach robaki dostały się pod jej koszulę. Ogarnęła nagle Amelię straszliwa wściekłość na chłopca, kiedy wyobraziła sobie Mary Beth zakopaną w ziemi - porywacze często tak robili. Miała ochotę pochwycić jedną z puszek środka owadobójczego i unicestwić wszystkie robaki. Ale oczywiście nigdy nie zrobiłaby czegoś, co mogłoby zatrzeć ślady na miejscu zbrodni. (Jedna z zasad Rhyme'a brzmiała: „Jedyną rzeczą, jaką kryminalistyk może pozostawić po sobie w miejscu zbrodni, jest pamięć o bytności w tym właśnie miejscu”). Wzięła głęboki oddech, uspokoiła się nieco i kontynuowała przeszukiwanie.

-Znalazłam kilka notatników, Rhyme. Ale Jim Bell i inni policjanci na pewno już je przejrzeni.

-Nie rób żadnych założeń, dotyczących pracy naszych kolegów - odparł Rhyme cierpko. -

Działaj tak, jakby nikt przed tobą nie badał tego miejsca.

- Zrozumiałam.

Zaczęła przerzucać strony.

_ To nie są dzienniki. Nie ma żadnych map. Ani słowa o porwaniu... Tylko rysunki owadów...

O, poczekaj. Zdjęcia tych, które trzyma w terrarium.

- Jakież dziewczyny, kobiety?

-Nie.

-

Zabierz notatniki ze sobą. Co z książkami?

-Okolo setki. Podręczniki szkolne, książki o zwierzętach, owadach... Chwila, mam coś ciekawego. Księga pamiątkowa szkoły średniej w Tanner's Corner. Sprzed pięciu lat.

Rhyme zadał pytanie komuś w pokoju. Po chwili zwrócił się do Sachs:

-

Lydia ma dwadzieścia sześć lat. Skończyła szkołę wcześniej niż pięć lat temu. Ale sprawdź stronę z McConnell.

Sachs odnalazła strony z literą M.

-Jest. Zdjęcie Mary Beth zostało wycięte jakimś ostrym narzędziem. Chłopak idealnie pasuje do klasycznego portretu psychologicznego prześladowcy.

-Nie interesują nas portrety psychologiczne. Interesują nas dowody. Sprawdź pozostałe książki, te z jego półki. Które czyta najczęściej?

-A skąd ja...

-

Ślady zużycia, brud na stronach - warknął niecierpliwie. - Zaczynaj od tych, które stoją najbliżej łóżka. Znajdź cztery czy pięć.

Sachs wybrała cztery najbardziej zniszczone książki. „Podręcznik entomologa”, „Owady Karoliny Północnej”, „Wodne owady Ameryki Północnej”, „Miniatury świata”.

-Mam je, Rhyme. Dużo zakreślonych fragmentów, przy niektórych gwiazdki.

-Dobrze. Zabierz je ze sobą. Ale w pokoju musi być coś bardziej specyficznego.

- Nie

widzę nic takiego.

-Szukaj dalej, Sachs. On ma szesnaście lat. Pamiętasz te sprawy z nieletnimi, nad którymi razem pracowaliśmy. Pokój nastolatka to centrum jego wszechświata. Zaczynaj myśleć tak, jakbyś miała szesnaście lat. Gdzie ukrywałabyś swoje rzeczy?

Zajrzała pod materac, do szuflad biurka, do szafy, do brudnych poszewek. Potem oświetliła wąską szparę pomiędzy ścianą i łóżkiem.

-Mam tu coś, Rhyme... - powiedziała. -Co?

Znalazła grubą warstwę chusteczek higienicznych i słoicze kremu wazelinowego. Przyjrzała się uważnie jednej z chusteczek. Była poplamiona czymś, co wyglądało jak wyschnięte nasienie.

-Pełno chusteczek pod łóżkiem. Zdaje się, że wieczorami miał pełne ręce roboty.

-Chłopak ma szesnaście lat - przypomniał jej Rhyme. -Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Schowaj jedną. Może będziemy potrzebować DNA.

Sachs znalazła pod łóżkiem coś jeszcze; tanią drewnianą ramkę, pokrytą nieudolnymi rysunkami owadów; mrówek, szerszeni i chrząszczy. W ramce umieszczona była fotografia Mary Beth McConnell, wycięta z książki pamiątkowej. Obok leżał album z innymi zdjęciami Mary Beth. Większość została wykonana prawdopodobnie na terenie uczelnianego kampusu, kilka innych na ulicach miasteczka. Dwa przedstawiały Mary Beth w bikini, nad brzegiem jeziora. Na obu pochyliła się nisko, a obiektyw skierowany był na jej dekolt. Sachs opowiedziała o tym Rhyme'owi.

-Jego wymarzona dziewczyna - mruknął Rhyme. - Szukaj dalej.

Sachs pracowała wytrwale przez kolejnych dwadzieścia minut, nie znalazła jednak nic godnego uwagi. Żadnych map, żadnych listów, przewodników po parkach narodowych czy adresów. Niepowodzenie w poszukiwaniach powiększało tylko niepokój Sachs, przypominało jej, że z każdą upływającą godziną Garrett i Lydia oddalają się od nich o kolejną milę czy dwie.

W przypadku porwań na tle seksualnym mamy tylko dwadzieścia cztery godziny na odszukanie ofiary; później zbrodniarz przestaje widzieć w niej człowieka i zabija ją bez najmniejszych

skrupułów.

-Myślę, że powinniśmy zapakować to, co mamy, i wrócić na pierwotną scenę zbrodni.

-Za chwilę, Sachs. Pamiętaj, to był twój pomysł, to ty chciałaś bawić się w dobrą samarytanę, nie ja.

Sachs zachnęła się, zirytowana.

- Czego ode mnie chcesz? - warknęła do mikrofonu. - Mam ścierać kurze, żeby znaleźć jakieś odciski? Szukać włosów na podłodze?

- Oczywiście, że nie. Nie szukamy materiału dowodowego dla prokuratora, wiesz o tym.

Potrzebujemy czegoś, co pomogłoby nam odnaleźć te dziewczyny. Na pewno nie przywiezie ich do domu. Przygotował jakąś kryjówkę specjalnie dla nich. A żeby to zrobić, musiał tam być już wcześniej. Może jest młody i trochę stuknięty, ale na pewno nie głupi. Nawet jeśli dziewczynynie żyją, pewnie przygotował im miłe, przytulne groby.

Choć Sachs pracowała z Rhyme'em już od wielu lat, wciąż nie mogła przywyknąć do jego gruboskórności. Wiedziała, że to nieodłączna część tego zawodu, że kryminalistyk musi dystansować się od zbrodni, nie przychodziło jej to jednak łatwo. Być może dlatego, że czasami znajdowała w sobie tę samą obojętność, tę niemal oziębiałość, którą dobry policjant musi automatycznie włączać na czas pracy; bała się, że owa obojętność pozbawi ją normalnych ludzkich odruchów.

Miłe, przytulne groby...

Jeszcze raz obejrzała uważnie cały pokój. Mam szesnaście lat, przypomniała sobie po raz kolejny. Jestem samotnym chłopcem, sierotą, dzieci w szkole śmieją się ze mnie, mam szesnaście lat, mam szesnaście lat, mam...

Jakaś myśl przemknęła jej przez głowę. Pochwyciła ją w ostatniej chwili.

-Rhyme, wiesz, co jest dziwne?

-Mów do mnie, Sachs - odparł Rhyme łagodnie, zachęcająco.

-

On jest nastolatkiem, prawda?

-

Zgadza się.

-Pamiętam Tommy'ego Briscoe, chodziłam z nim, kiedy ja miałam szesnaście lat. Wiesz, czym obwieszane były ściany jego pokoju?

-

Za moich czasów to były plakaty Farah Fawcett.

-Otóż to. Garrett nie ma ani jednego zdjęcia, ani jednego plakatu z „Playboya” czy „Penthouse'a”. Żadnych Magicznych Kart, żadnych Pokemonów, żadnych zabawek. Ani plakatów zespołów rockowych... I, hej, posłuchaj tylko: nie ma magnetowidu, telewizora, wieży stereo czy choćby zwykłego radia. Ani jednej gry Nintendo, mój Boże, szesnastolatek, który nie ma nawet komputera!

-Może to kwestia pieniędzy. Wiesz, przybrani rodzice...

-Do diabła, Rhyme, gdybym ja była w jego wieku i chciała słuchać muzyki, zrobiłabym radio.

Nic nie powstrzyma nastolatka. Te rzeczy po prostu Garrettta nie interesują. Owady - to wszystko, na czym mu zależy.

- Świetnie, Sachs, trzymaj tak dalej.

Dobrze, pomyślała, ale co z tego? Zapisywanie cennych obserwacji to tylko połowa pracy

analitycznej; druga połowa, znacznie istotniejsza, to wyciąganie odpowiednich wniosków z tych obserwacji.

Lincoln Rhyme, którego głos nigdy nie był bardziej uwodzicielski niż wtedy, gdy wyobrażał sobie scenę zbrodni, mówił:

-Dalej, Sachs, wejdź w niego. Stań się Garrettem Hanlonem. O czym myślisz? Jak wygląda twoje życie? Co robisz, minuta po minucie, w tym paskudnym pokoju? Jakie są twoje najskrytsze myśli?

Zamknęła oczy. Najlepsi kryminaliści, mówił czasem Rhyme, są niczym utalentowani powieściopisarze, którzy wcielają się w wymyślone przez siebie postacie, którzy potrafią wejść w świat wewnętrzny jakiejś innej osoby.

-Sachs...

-Szszz...

Amelia próbowała zapomnieć o osobie, którą była naprawdę; 0

policjantce z Brooklynu, wielbicielce sportowych samochodów 1

motocykli, byłej modelce z agencji „Chantelle” przy Madison Avenue, kobiecie, która nosiła długie włosy i obcinała krótkopaznokcie, by nie naznaczyć swej perfekcyjnej skóry śladami nerwowości i irytacji, często kierującej jej poczynaniami.

Próbowała zniknąć w chmurze dymu i stać się szesnastoletnim chłopcem. Kimś, kto musi lub chce zdobywać kobiety siłą. Kto musi lub chce zabijać.

Co czuję?

- Nie obchodzi mnie normalny seks - mówiła bardziej do siebie niż do mikrofonu. - Nie obchodzą mnie normalne związki międzyludzkie. Ludzie są jak owady, trzeba ich zamykać.

Właściwie obchodzą mnie tylko owady. To moje jedyne źródło pocieszenia. Jedyne rozrywkę. - Mówiąc to, przechadzała się przed szeregiem słoików z owadami. Potem spojrzała pod nogi. - Ślady krzesła!

-Co?

-Krzesło Garretta... jest na kółkach. Zwrócone ku słoikom. Przesiaduje na nim całymi dniami, jeździ do przodu i do tyłu, przygląda się tym robakom i rysuje je. Pewnie też z nimi rozmawia. To jest całe jego życie. - Ślady krzesła nie sięgały jednak ostatniego słoika w rzędzie, największego i ustawionego nieco

dalej od pozostałych. Do ściany słoja przyklejone było szare, papierowe gniazdo, wokół którego kręciły się bez ustanku osy, jakby oczekując ataku ze strony nieznanego intruza.

Sachs podeszła do słoika, przyjrzała mu się uważnie. Potem powiedziała do Rhyme'a:

-Jest tutaj słój pełen os. Myślę, że to jego sejf.

-Dlaczego?

-Bo stoi dalej od pozostałych słoików. Garrett nigdy mu się nie przygląda, wnioskuje to z braku śladów krzesła. W innych pojemnikach jest woda, są przeznaczone dla stworzeń wodnych. Tylko w tym jednym są owady latające. To świetny pomysł, Rhyme, kto włożyłby rękę do czegoś takiego? Na dole jest gruba na kilka cali warstwa piachu. Myślę, że coś tam zakopał.

- Zajrzyj do środka i sprawdź.

Sachs otworzyła drzwi i poprosiła panią Babbage o parę grubych skórzanych rękawic. Kiedy kobieta wróciła, zastała Sachs wpatrzoną w słój z osami.

-

Nie będzie pani tego otwierać, prawda? - spytała przerażonym szeptem.

-
Owszem.

-
Och, Garrett się wścieknie. Wrzeszczy na każdego, kto choćby dotknie tego słoika.

-Pani Babbage, Garrett jest przestępcą ściganym przez policję. To, czy na kogoś nakrzyczysz, czy nie, nie ma teraz najmniejszego znaczenia.

-Ale jeśli tu wróci i zobaczy, że pani coś ruszała... to znaczy...

-
W oczach kobiety znów pojawiły się łzy.

-
Znajdziemy go, zanim zdąży tu wrócić - zapewniła ją Sachs.

- Proszę się nie martwić.

Włożyła rękawice i owinięła odsłonięte ramię poszwą na poduszkę. Powoli uniosła drobną siatkę zastępującą wieko i sięgnęła do środka. Dwie osy usiadły na rękawicy, zaraz jednak odleciały. Pozostałe owady po prostu ignorowały intruza. Sachs starała się nie dotykać gniazda.

Użądłona 137 razy...

Sięgnęła dna i zaczęła powoli rozgarniać piasek. Po chwili jej palce natrafiły na plastikową torebkę.

-Mam. -Wyciągnęła znaleziony przedmiot na zewnątrz. Jedna osa uciekła i zniknęła we wnętrzu domu, nim Sachs ponownie zamknęła słoik.

Ściągnęła skórzane rękawice i włożyła lateksowe. Otworzyła torebkę i wysypała jej zawartość na łóżko. Kilkanaście starych znaczków pocztowych, przedstawiających owady. Szpulka cienkiej żyłki wędkarskiej. Trochę pieniędzy - około stu dolarów w gotówce i cztery srebrne dolarówki z Eisenhowerem. Kolejna ramka ze zdjęciem; tym razem była to fotografia wycięta z gazety, przedstawiająca Gar-retta i jego rodzinę na tydzień przed wypadkiem. Na krótkim łańcuszku wisiał stary, zniszczony kluczyk - przypominał kluczyk do samochodu, choć nie był opatrzony żadnym logo, jedynie krótkim numerem seryjnym. Sachs powiedziała o tym Rhyme'owi. .

-Dobrze, Sachs, świetnie. Nie wiem, co to znaczy, ale jest już coś konkretnego. Teraz jedź na pierwotną scenę. Blackwater Landing.

Sachs zatrzymała się jeszcze na moment i rozejrzała po pokoju. Osa, która uciekła przed chwilą ze słoja, wróciła i objęła się bezskutecznie o wieko. Sachs zastanawiała się, jaką wiadomość chce przekazać swym pobratymcom.

-
Nie nadążam - mówiła Lydia do Garretta. - Nie mogę iśćtak szybko. - Dyszała. Pot spływał strumieniami po twarzy dziewczyny. Jej ubranie było przemoczone.

-
Cicho - zganił ją ze złością. - Muszę słuchać. Przeszkadzaszmi tym swoim gadaniem.

Słuchać czego? - zastanawiała się w myślach.

Sprawdził coś na mapie i wprowadził Lydię na inną ścieżkę. Nadal znajdowali się w gęstym, sosnowym lesie, i choć okrywał ich cień, dziewczyna miała zawroty głowy i rozpoznawała u siebie pierwsze objawy udaru słonecznego.

Znów się obejrzał, patrzył na jej piersi, t

Pstrykanie paznokci.

Straszliwy upał.

-Proszę - wyszeptała przez łyzy. - Ja już nie mogę! Proszę!

- Cicho bądź! Nie będę więcej powtarzał.

Wokół jej twarzy krążyła chmara komarów. Lydia przypadkowo wciągnęła do ust jednego czy dwa i splunęła z obrzydzeniem. Boże, jak ona nienawidziła tego miejsca - lasu. Lydia Johansson nie lubiła przebywać na dworze. Większość ludzi uwielbia las, baseny i otwartą przestrzeń. Jej życie jednak toczyło się niemal wyłącznie w zamkniętych pomieszczeniach; praca, pogaduszki z innymi samotnymi koleżankami przy margericie w „TGI Friday's”, wyprawy na zakupy do supermarketu, rzadkie noce, spędzane z jej hłopakiem. Kruche szczęście, zamknięte w czterech ścianach.

podwórka i ogrody przypominały Lydii o przyjęciach wydawanych przez jej zamężne koleżanki, o innych parach, o rodzinach siedzących przy basenie i obserwujących swe rozbrykane dzieci, o piknikach, o szczupłych kobietach w skąpych kostiumach kąpielowych i zgrabnych kłapkach, o życiu, którego pragnęła, a którego nie miała.

Otwarta przestrzeń przypominała Lydii o jej samotności.

Odmawiała modlitwę do anioła stróża, kiedy przeszkodził jej Garrett.

-No chodź. Tędy. Musimy się czegoś napić.

Poprowadził ją inną ścieżką, za las. Potężne drzewa rozstały się nagle, ukazując ogromny dół. Był to stary, opuszczony kamieniołom. Jego dno pokrywała turkusowa woda. Lydia przypominała sobie, że przed wielu laty przychodziły tu pływać dzieci, nim jeszcze bagno uczyniło teren po drugiej stronie Paąo niedostępnym i niebezpiecznym.

-Chodźmy - powiedział Garrett, wskazując ruchem głowy kamieniołom.

-

Nie. Nie chcę. Boję się.

-

Gównno mnie obchodzi, czego chcesz - warknął. - Chodź! Pochwycił jej skępowane ręce i sprowadził ją po stromej

ścieżce na skalną półkę. Potem zdjął koszulę i pochylił się nisko, spryskując wodą twarz i piersi, starając się przynieść ulgę spieczonej skórze. Podrapał kilka krost, usiłował z nich coś wycisnąć, potem oglądał paznokcie. Obrzydliwe. Spojrzał na Lydię.

-Chcesz to zrobić? To bardzo przyjemne. Możesz zdjąć sukienkę i popływać.

Przerażona myślą, że miałyby rozebrać się przed nim do naga, pokręciła energicznie głową.

Potem przykucnęła nad wodą i ochlapała twarz i ramiona.

-

Tylko nie pij tego. Tu mam wodę do picia.

Wyciągnął zza skały brudny worek konopny, który musiał tam niedawno ukryć. W środku były butelki z wodą i kilka paczek serowych krakersów z masłem orzechowym. Zjadł paczkę krakersów i wypił butelkę wody. Potem podał jej taką samą porcję.

Pokręciła głową.

-Kurwa, to nie jest trucizna. Musisz coś pić.

Ignorując butelkę, Lydia pochyliła się nad wodą i zaczęła ją łapczywie pić. Woda była słonawa, miała metaliczny posmak. Obrzydliwa. Dziewczyna zakrztusiła się, omal nie zwymiotowała.

-Jezu, mówiłem ci. - Garrett ponownie pokazał jej butelkę z wodą. -W tym jest pełno różnych śmieci. Nie bądź taka głupia.

- Rzucił jej butelkę.

Dziewczyna pochwyciła ją niezdarnie i opróżniła do dna. Od razu poczuła się orzeźwiona.

Uspokoila się i spytała:

-

Gdzie jest Mary Beth? Co z nią zrobiłeś?

-

Jest w pewnym miejscu nad oceanem. W starym domu bankera. Lydia wiedziała, co ma na myśli.

Dla mieszkańca Karoliny

„banker” to ktoś, kto mieszka na Outer Banks, wyspach ciągnących się wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. Więc tam była Mary Beth. Teraz rozumiała już, dlaczego podróżują na wschód, w stronę bagien, na których nie ma prawie żadnych domów czy budynków nadających się na kryjówkę. Prawdopodobnie Garrett trzyma tam łódkę, którą przepłynęliby przez bagno do Śródlądowej Drogi Wodnej, potem do Elizabeth City i przez cieśninę Albermale aż do Outer Banks.

-Podoba mi się tam - kontynuował Garrett. - Lubisz ocean?

- spytał, jakby chciał zagaić rozmowę, i przez moment wydawał się niemal normalny.

Przez moment Lydia prawie zapomniała

strachu. Potem jednak Garrett znów znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Przyłożył palec do ust, by ją uciszyć, zmarszczył groźnie brwi, kiedy znów wzięła w nim górę ciemna strona jego duszy. Wreszcie potrząsnął głową, kiedy uznał, że na razie jednak nic im nie grozi.

Potańczał twarz wierzchem dłoni, drapiąc którąś ze swędzących krost.

- Chodźmy - powiedział, wskazując głową na ścieżkę, która zaprowadziła ich w to miejsce. - To niedaleko.

-

Do Outer Banks jest co najmniej dzień drogi. Jeśli nie więcej. - Och, do diabła, nie pójdziemy tam dzisiaj. - Roześmiał się

bez wesołości, jakby wygłosiła jakąś idiotyczną uwagę. - Ukryjemy się gdzieś w pobliżu i poczekamy, aż te dupki, które nas szukają, przejdą dalej. Wtedy pójdziemy do Mary Beth.

Spędzimy tutaj noc. - Nie patrzył na nią, kiedy wypowiadał te słowa.

- Spędzimy noc? - powtórzyła bezmyślnie oszołomiona. Garrett jednak nie powiedział nic więcej. Zaczął popychać ją

w górę ścieżki, która prowadziła na skraj kamieniołomu, w głąb lasu ciągnącego się powyżej. co przyciąga ludzi do miejsc, w których popełniono zbrodnię?

Kreśląc siatkę w dziesiątkach miejsc zbrodni, Amelia Sachs często zadawała sobie to pytanie.

Dziś robiła to po raz kolejny, stojąc na poboczu drogi numer 112 w Blackwater Landing, nad brzegiem rzeki Paquenoque.

Tu właśnie zginął krwawą śmiercią Billy Stail, tu zostały porwane dwie młode kobiety, tu za sprawą setki szerszeni zostało odmienione na zawsze życie policjanta - może nawet dobiegło kresu. W pełnym blasku słońca miejsce to również wydawało się posępne i niepokojące.

Lincoln Rhyme napisał jakiś czas temu książkę, „Sceny zbrodni”; było to pierwsze poważne przedsięwzięcie, jakiego podjął się po tragicznym w skutkach wypadku. Książka opisywała słynne miejsca przestępstw. Została przeceniona - nie były to lekkie i przyjemne opowiadania, które czyta się do poduszki - lecz nadal cieszyła się sporym powodzeniem; Sachs widziała ją często na wystawach księgarń. Zwyczajnych ludzi fascynują miejsca, gdzie, powiedzmy, został

zastrzelony Paul Castellano albo gdzie dokonywał swych zbrodni seryjny zabójca o pseudonimie „Alicja w Krainie Czarów”.

Jeszcze raz ogarnęła spojrzeniem Blackwater Landing. Obszar o tej nazwie, położony na północ od Tanner's Corner, obejmował kilka mil kwadratowych, otaczających bagnistą zatokę, gdzie kanał łączył się z rzeką Paquenoque. Zaniedbane lasy, pełne gnijących, obumarłych drzew, bagna pokryte brudną zawiesiną, brązowa trawa, tu i ówdzie placki nagiej, jałowej ziemi. Miejscem zbrodni było niewysokie wzgórze o stromym zboczu, prowadzącym od skraju drogi numer 112 do błotnistej brzozy rzeki. W miejscu, gdzie grunt ponownie się wyrównywał, rosły wierzby, cyprysy i kępy wysokiej trawy. Stare molo sięgało jakieś trzydzieści stóp w głąb rzeki, potem zniknęło pod wodą.

W pobliżu nie było żadnych domów, choć po drodze z Tanner's Corner Sachs zauważyła kilkanaście nowych budynków mieszkalnych. Domy wyglądały całkiem przyzwoicie, Sachs spostrzegła jednak, że podobnie jak stolica okręgu, miejsce to wydaje się opustoszałe i smutne. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała dlaczego; choć trwały jeszcze letnie wakacje, na podwórkach domów nie było dzieci. Nikt nie pluskał się w nadmuchiwym basenie, nikt nie jeździł na rowerze,

nikt nie grał w piłkę.

To przypomniało jej o pogrzebie, który widzieli kilka godzin wcześniej. Odsunęła od siebie to smutne wspomnienie, koncentrując się na czekającym ją zadaniu.

Powtórne badanie miejsca zbrodni. Żółta taśma otaczała dwa obszary. Ten bliższy wody obejmował wierzbę, pod którą leżało kilka bukietów kwiatów - Sachs zakładała, że właśnie tu Garrett porwał Lydię. Nieco dalej znajdowała się polana otoczona ścianą drzew, gdzie chłopak zabił Billy'ego Staila i porwał Mary Beth. Pośrodku polany widniały płytkie zagłębienia, miejsca, w których Mary Beth szukała grotów strzał i innych przedmiotów.

Dwadzieścia stóp dalej biały obrys znaczył miejsce, gdzie spoczęło ciało Billy'ego.

Farba w sprayu? - pomyślała Sachs ze zgrozą. Ci ludzie naprawdę nie mieli pojęcia o prowadzeniu śledztwa.

Na poboczu zatrzymał się wóz policyjny, wysiadła z niego Lucy Kerr. Sachs zastanawiała się, dlaczego policjantka tu przyjechała. Lucy przywitała ją ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

- Znalazła, pani coś ciekawego w domu Hanlonów?

-Kilka drobiazgów - odparła wymijająco Sachs i wskazała głową na zbocze. - Dlaczego to też nie zostało wydzielone?

-

Garrett niczego tutaj nie zrobił - broniła się policjantka.

-

Nie, ale mógł tędy schodzić. Drogi dojścia i wyjścia także są miejscem zbrodni.

W słuchawkach usłyszała głos Rhyme'a: -Jak to wygląda? Gorzej niż na zdjęciach? -Całkiem zdeptane, jakby przeszło tędy stado bydła. Co najmniej ze dwadzieścia różnych śladów.

-

Cholera - mruknął kryminalistyk.

Lucy słyszała komentarz Sachs, milczała jednak, wpatrzona w ciemny zakątek, gdzie rzeka łączyła się z kanałem.

-

To jest ta łódka, na której uciekł? - spytała Sachs, spoglądając na błotnisty brzeg.

-

Tak, to ta - pośpieszył z odpowiedzią Jesse Corn. - Nie należy do niego. Ukradł ją gdzieś w górze rzeki. Chce ją pani przeszukać?

-

Później. Powiedźcie mi teraz, którędy na pewno by tutaj nieprzyszedł. Chodzi mi o dzień wczorajszy.

-Którędy by nie przyszedł? - Jesse wskazał na wschód. -Tam nic nie ma. Bagna i trzciny. Nie można nawet przepłynąć łódką. Więc albo szedł wzdłuż drogi, a potem zszedł na brzeg, albo przypłynął rzeką.

Sachs otworzyła walizkę ze sprzętem. Potem zwróciła się do Corna:

-

Chcę zbadać glebę w tym miejscu.

-

Słucham?

-

Chcę pobrać kilka próbek.

-

Próbek ziemi?-Tak.

-Jasne - zgodził się, potem jednak zapytał: - Dlaczego?

-Bo jeśli znajdziemy glebę, która normalnie nie występuje na tym terenie, to może ona pochodzić z miejsca, w którym Garrett więzi obie dziewczyny.

- Ale

może pochodzić też z ogrodu Lydii czy Mary Beth alboz butów dzieci, które kilka dni temu łowiły tu ryby - zauważyła

Lucy.

-

Owszem - zgodziła się obojętnie Sachs. - Ale i tak musimy to zrobić. - Wręczyła Cornowi plastikową torebkę. Policjant oddalił się, zadowolony, że może pomóc Amelii. Sachs zaczęła schodzić w dół zbocza, zatrzymała się jednak na moment i zajrzała jeszcze raz do walizki. Nie było w niej gumowych pasków. Zauważyła, że Lucy Kerr ma na swym warkoczu elastyczne przepaski.

-Mogę to pożyczyć? - spytała. -Te gumki? Po krótkiej chwili wahania policjantka ściągnęła je z włosów. Sachs włożyła je na buty.

-

W ten sposób będę wiedzieć, które ślady należą do mnie -wyjaśniła.

Jakby to miało jakieś znaczenie, pomyślała, spoglądając na zdeptaną ziemię.

Przeszła pod żółtą taśmą i stanęła na miejscu zbrodni.

-Sachs, co tam masz? - spytał Rhyme. Odbiór był jeszcze gorszy niż poprzednio.

- Trudno

stwierdzić coś z całą pewnością - odparła, wpatrując się w grunt. - Za dużo śladów. W ciągu ostatniej doby musiało przechodzić tędy osiem, dziesięć różnych osób. Ale domyślam się mniej więcej, jak to wyglądało; Mary Beth klęczała. Jakiś mężczyzna nadchodzi z zachodu, od strony kanału. To ślady Garretta. Pamiętam rysunek na podeszwie buta, który znalazł Jesse. Mary Beth wstaje i cofa się. Z południa zbliżają się ślady innego mężczyzny.

Billy. Zszedł z drogi. Porusza się szybko, głównie na palcach, więc biegnie sprintem.

Garrett podchodzi do niego. Szamotanina. Pod drzewem jest zarys ciała Billy'ego. Plamy krwi na ziemi i korzeniach drzewa... Dobra, zacznę badanie.

Kreślenie siatki. Stopa po stopie. Spojrzenie na ziemię i trawę, na guzłąstą korę dębów i wierzb, na zwieszające się nisko gałęzie. („Scena zbrodni jest trójwymiarowa, Sachs" - przypominał jej często Rhyme).

-

Te niedopałki - zwróciła się do Lucy, wskazując głową na ziemię. - Dlaczego ich nie pozbierano?

-

Och - odpowiedział jej Jesse. -To papierosy Nathana Groo-mera.

-Kogo?

-

Jednego z naszych ludzi. Próbował z tym zerwać, ale nie daje rady.

Sachs westchnęła ciężko, zdołała jednak utrzymać język za zębami i nie powiedziała im, że policjant, który pali na miejscu przestępstwa, powinien być zawieszony albo zwolniony.

Jeszcze raz nakreśliła siatkę, uważnie wpatrzona w ziemię, lecz poszukiwania były nadaremne. Przeszła na miejsce, w którym rano doszło do kolejnego porwania, i przystąpiła do tej samej procedury. Krok po kroku, raz w jedną, raz w drugą stronę, w straszliwym upale, od którego kręciło jej się w głowie.

-Rhyme, tu nic nie ma... choć... poczekaj. Chyba coś znalazłam. - Dostrzegła jakiś biały przedmiot tuż nad wodą.

podeszła tam, przykucnęła i ostrożnie podniosła z ziemi chusteczkę higieniczną. Jęknęła cicho, prostując obolałe kolana, które od lat prześladował artretyzm. Wolałabym ścigać najgorszego oprycha, niż robić przysiady, pomyślała.

-
Chusteczka higieniczna. Podobna do tych, które znalazłamw domu. Tyle że na tej jest też krew. Całkiem sporo.

-Myśli pani, że to Garrett ją zgubił? - spytała Lucy.

Sachs przyjrzała się uważnie znalezisku.

-Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że nie było jej tu w nocy. Jest zbyt sucha. Poranna rosa zrobiłaby z niej papkę.

-Doskonale, Sachs. Gdzie się tego nauczyłaś? Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek o tym wspominał.

- Owszem,

wspominałeś - odparła. - W swojej książce. Rozdział dwunasty. Papier.

Sachs zeszła nad samą wodę, przeszukała małą łódkę. Nie znalazła w środku nic interesującego. Potem spytała:

-Jesse, możesz przewieźć mnie na drugą stronę?

Jesse Corn oczywiście spełnił jej prośbę z największą ochotą. Sachs zastanawiała się, ile jeszcze czasu minie, nim spróbuje zaprosić ją na kawę. Lucy także przyłączyła się do nich i już po chwili wypłynęli na środek rzeki, której nurt okazał się zadziwiająco silny.

Na drugim brzegu Sachs znalazła ślady odcisnięte w błocie; buty Lydii - delikatna siateczka podeszew pielęgniarskich pantofli, i Garretta - bosa stopa i rysunek podeszwy, który zdążyła już dobrze zapamiętać. Ruszyła za nimi w głąb lasu. Ślady prowadziły do chaty myśliwskiej, w której Ed Schaeffer został pokąsany przez szerszenie.

Co się tu stało, do diabła?

- Rhyme,

wygląda na to, że ktoś tutaj pozamiatał.Przestępcy często używali mioteł czy nawet odkurzaczy, by

zatrzeć ślady na miejscu zbrodni.

Ale Jesse Corn wyjaśnił jej spokojnie:

-Ach, to po helikopterze.

-Helikopterze? - powtórzyła Sachs, nie wierząc własnym uszom.

-
No tak, ze szpitala, przylecieli nim po Eda.

-
Ale w ten sposób zniszczyliście wszystkie ślady. - Sachs pokręciła głową. - Według standardowej procedury, przed przylotem śmigłowca należy rannego przenieść na możliwie

największą odległość od miejsca przestępstwa.

-""3f

-Według standardowej procedury? - powtórzyła Lucy Kerr przez zaciśnięte zęby. - Przykro mi, ale trochę martwiliśmy się

0 Eda.

Chcieliśmy uratować mu życie, wie pani.

Sachs nie odpowiedziała. Wsunęła się do wnętrza chaty, powoli, by nie drażnić setek owadów, krążących wokół zniszczonego gniazda. Jednak to, co prawdopodobnie zobaczył Ed Schaefer, dawno już zniknęło, a wierzchnia warstwa gleby została tak przemieszana przez ruch powietrza, wywołany lądującym helikopterem, że pobieranie próbek nie miało sensu.

-Wracajmy do laboratorium - powiedziała Sachs do Lucy i Jesse'a.

Dochodzili już do brzegu, kiedy za ich plecami rozległ się głośny trzask, a z gęstwiny krzaków otaczających grupę czarnych wierzb wyszedł jakiś mężczyzna.

Jesse Corn sięgnął po broń, nim jednak rozpiął kaburę, Sachs stała już z pistoletem gotowym do strzału, wymierzonym prosto w intruza. Ten zamarł na moment, a potem uniósł ręce, mrugając powiekami ze zdumienia.

Kogoś jej przypominał. Brodaty, wysoki i potężnie zbudowany, włosy splecione w warkocz.

Dżinsy, szara koszulka, kamizelka. Buty z cholewami.

Gdzie ona go widziała?

Przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy Jesse wymienił jego imię.

-Rich.

Jeden z trójki mężczyzn, których widzieli przy wyjściu z siedziby urzędu okręgowego. Rich Culbeau - zapamiętała to niezwykle nazwisko. Przypomniała sobie także, że Rich i jego przyjaciele przyglądali się jej z lubieżnym błyskiem w oku, na Thoma zaś patrzyli z pogardą; mierzyła doń z pistoletu o kilka sekund dłużej, niż to było konieczne. Powoli opuściła lufę ku ziemi, zabezpieczyła broń i schowała ją do kabury.

- Przepraszam - powiedział Culbeau. - Nie chciałem nikogo przestraszyć. Cześć, Jesse.

-To miejsce przestępstwa - pouczyła go surowym tonem Sachs.

W słuchawce usłyszała głos Rhyme'a:

-Kto tam jest?

Odwróciła się, szepcząc do mikrofonu:

-Facet żywcem wyjęty z „Deliverance”, jeden z tej trójki, którą widzieliśmy dziś rano.

-Pracujemy tutaj, Rich - powiedział Jesse Corn. - Nie możesz nam przeszkadzać.

-

Wcale nie chcę wam przeszkadzać - odparł Culbeau, rozglądając się dokoła. - Ale mam takie samo prawo do tego tyśiącajak każdy inny. Nie możecie zabronić mi szukać.

-

Jakiego tyśiąca?

-

Cholera - syknęła Sachs do mikrofonu. - Jest nagroda, Rhyme.

-

O nie. Tylko tego nam brakowało.

Spośród wszystkich czynników, które utrudniają prowadzenie śledztwa i zaturwają życie

kryminalistyka, najgorsi chyba są łowcy nagród i poszukiwacze pamiętek.

-Matka Mery Beth wyznaczyła nagrodę - wyjaśnił Culbeau. -Ta kobieta ma trochę pieniędzy i założę się, że jeśli przed wieczorem dziewczyna nie wróci, dołoży następny tysiąc. A może i więcej.
- Potem spojrzął na Sachs. - Nie chcę robić wam kłopotu, proszę pani. Nie jest pani stąd i pewnie myśli sobie pani, że jestem jakimś łajzą; słyszałem, jak mówiła pani o

„Deliverance” do tego swojego śmiesznego radyjka. Ale pozory często mylą. Jesse, powiedz jej, kto uratował w zeszłym roku tę dziewczynę, która zaginęła na Wielkim Bagnie.

-Znaleźli ją Rich i Harris Tomel - przyznał Jesse. - Przez trzy dni błądziła po bagnach. Umarłaby, gdyby nie oni.

-To była głównie moja robota - mruknął Culbeau. - Harris nie lubi brudzić sobie butów.

-Należy się panu pochwała - oświadczyła Sachs sucho. -Chciałabym tylko mieć pewność, że nie utrudni nam pan śledztwa.

-
Na pewno tego nie zrobię. Nie ma powodu, żeby się pani namnie wkurzała. - Culbeau odwrócił się i zniknął między drzewami.

-
Wkurzała? - zmarszczyła brwi Sachs.

- To
znaczy,
żeby się pani nie złościła.Sachs opowiedziała Rhyme'owi o spotkaniu.

-Nie mamy czasu, żeby zajmować się jeszcze miejscowymi opryszkami - odparł Rhyme. -
Musimy ruszyć w pościg. I to szybko. Przyjeżdżaj z tym, co znalazłaś.

Kiedy z powrotem przepływali przez rzekę, Sachs spytała Jesse'a:

-
Czy ten człowiek może narobić nam jakichś kłopotów?-Culbeau? Jest dość leniwy.

Pali zielsko i dużo pije, ale jak
dotąd nie przysparzał większych problemów, ot, jakieś pijackie bitki i rozróby.
Podejrzewamy, że ma tu gdzieś bimbrownię i nie zostawi jej na długo, nawet za tysiąc dolarów.

-
A co robią jego przyjaciele?

- Więc ich też pani widziała? - zdziwił się Jesse. - Sean, tenchudy, i Rich nie mają żadnego stałego zajęcia. Zbierają śmie- \ncie, czasem złapią jakąś dorywczą pracę. Harris Tomel skończył szkołę... a przynajmniej uczył się przez kilka lat. Stale próbujerozkreślić jakiś biznes czy ubić lewy interes. Nie słyszałem nigdy, żeby coś mu z tego wyszło. Ale wszyscy trzej zawsze mająjakieś pieniądze, a to znaczy, że pędzą bimber.

-Księżycówkę? I nie zamkniecie ich?

Jesse milczał, odpowiedziała więc Lucy:

-Najpierw musimy znaleźć bimbrownię. - Potem dodała: -Czasami człowiek woli nie robić sobie kłopotów.

Sachs przyznała, że tego rodzaju podejście nie jest bynajmniej typowe tylko dla Południa.

Dobili ponownie do południowego brzegu rzeki, obok miejsc zbrodni. Sachs wyskoczyła z łódki, nim Jesse mógł podać jej rękę, choć i tak to zrobił.

Nagle na wodzie pojawił się wielki ciemny kształt. Czarna, długa na czterdzieści stóp barka

przepłynęła kanał, minęła ich i oddaliła się w dół rzeki. Sachs przeczytała napis na burcie:

„Davett Industries”.

-

Co to takiego? - spytała.

- Przedsiębiorstwo z Tanner's Corner - wyjaśniła Lucy. - Przewożą ładunki Śródlądową Droga Wodną, przez kanał Wielkiego Bagna, aż do Norfolk. Asfalt, smoła i tego rodzaju substancje.

Rhyme usłyszał to przez radio i polecił Sachs:

-

Spytaj, czy nikt nie płynął tamtędy w czasie, gdy doszło do morderstwa. Zdobądź nazwiska ludzi z załogi.

Sachs zagadnęła o to Lucy, ta jednak odrzekła:

-Już to zrobiłam. To była jedna z pierwszych rzeczy, którą zajęliśmy się z Jimem. Bez powodzenia. Jeśli chce pani wiedzieć, przepytaliśmy też wszystkich mieszkańców miasta, którzy płynają często kanałem albo dojeżdżają gdzieś drogą numer 112. Nikt nic nie widział.

-To był dobry pomysł - pochwaliła ją Sachs.

-Standardowa procedura - odparła Lucy chłodno i ruszyła w stronę swego samochodu, zadowolona z siebie, niczym licealistka, która zdołała wreszcie dopieć nie ulubianej prymusce.

Nie pozwolę mu nic robić, dopóki nie przyniesiecie tu klimatyzatora.

-

Thom, nie mamy na to czasu - złościł się Rhyme. Powiedział robotnikom, gdzie mają ustawić sprzęt sprowadzony z siedziby policji stanowej.

-

Steve próbuje coś znaleźć - powiedział Bell. -To nie jest takie proste, jak myślałem.

-Nie potrzebuję żadnego klimatyzatora.

-Boję się, że mogą wystąpić zaburzenia odruchów regulujących czynności życiowe - wyjaśnił Thom cierpliwie.

-Nie słyszałem nigdy, żeby temperatura miała na to jakiś wpływ - warknął Rhyme. - Gdzie to wyczytałeś? Może mi pokażesz, bo ja jakoś się z tym nie spotkałem.

-

Daj spokój z tym sarkazmem, Lincoln.

-

Och, jestem sarkastyczny, doprawdy?

-Wysoka temperatura powoduje puchnięcie tkanki - zwrócił się Thom do Bella, jakby to ten prosił o wyjaśnienie. - Opuchlizna z kolei podwyższa ciśnienie, a to może prowadzić do wspomnianych zaburzeń. Które mogą go zabić. Potrzebujemy klimatyzatora. Tylko tyle.

Thom był jedynym spośród tuzina pomocników, którzy wytrzymali z Lincolnem Rhyme'em dłużej niż kilka miesięcy. Pozostali albo odeszli sami, albo zostali zwolnieni przez kryminalistykę.

- Proszę podłączyć to do prądu - polecił Rhyme policjantowi, który ustawił właśnie w rogu poobijany chromatograf gazowy.

-Nie. - Thom skrzyżował ręce na piersiach i stanął obok przedłużacza, policjant zaś spojrzął na stanowczą minę pomocnika i zawahał się, nieprzygotowany na konfrontację z upartym młodym człowiekiem. - Kiedy będziemy już mieli klimatyzator... wtedy to włączymy.

-Jezu Chryste - skrzywił się Rhyme. Jednym z najbardziej frustrujących aspektów życia paralityka jest niemożność wyrzucenia z siebie gniewu. Bardzo szybko po wypadku Rhyme zdał sobie sprawę, jak najprostsze czynności, chodzenie czy zaciskanie pięści - nie wspominając o rzucaniu ciężkimi przedmiotami (ulubiona rozrywka byłej żony Rhyme'a, Blaine) - pomagają w opanowaniu złości. - Ale jeśli się wścieknę, mogę dostać konwulsji albo przykurczy - oświadczył swobodnie, zwracając się do Thoma.

-Które nie zagrażają twojemu życiu. W odróżnieniu od zaburzeń, o których mówiłem - odparł pomocnik równie pogodnym tonem, co jeszcze bardziej rozsierdziło kryminalistyka.

-Dajcie mi pięć minut - wtrącił pojednawczo Bell i zniknął w drzwiach, podczas gdy jego pomocnicy wnosili do pokoju kolejne elementy wyposażenia. Chromatograf pozostał na razie niewłączony.

Lincoln Rhyme przyglądał się całej tej maszynerii. Zastanawiał się, co czułby, mogąc znów zamknąć dłoń wokół przedmiotu. Mógł dotykać palcem serdecznym lewej dłoni, odbierał wtedy wrażenie lekkiego ucisku. Nie pamiętał już jednak, jak to jest pochwycić coś, ująć w dłoń, poczuć wagę i strukturę danego przedmiotu.

Terry Dobyns, terapeuta z nowojorskiej policji, który siedział przy łóżku Rhyme'a, kiedy ten przebudził się po raz pierwszy po wypadku, wyjaśnił mu, jak wyglądają wszystkie typowe etapy przygnębienia. Zapewniał Rhyme'a, że przejdzie - i przetrwa - wszystkie z nich. Nie powiedział mu jednak, że niektóre etapy powracają. Że pacjent nosi je w sobie niczym uspięne wirusy, które w każdej chwili mogą przebudzić się do życia.

W ciągu ostatnich lat Rhyme wielokrotnie doświadczył rozpacz i rezygnacji.

Teraz zżerała go złość. Dwie porwane dziewczyny i zabójca na wolności. Jak bardzo chciałby pojechać na miejsce zbrodni,

nakreślić siatkę, pobrać próbki ziemi, obejrzeć je pod mikroskopem, wciskać klawisze komputera i innych instrumentów, przechadzać się po pokoju, formułując w myślach wnioski.

Chciałby zabrać się do pracy, nie dbając o to, czy umrze od upału. Znów pomyślał o magicznych dłoniach doktor Weaver, o operacji.

-Milczysz. - Thom przyglądał mu się podejrzliwie. - Co tam znowu knujesz?

-

Nic nie knuję. Czy zechciałbyś łaskawie włączyć ten chromatograf do prądu? Musi się chwilę nagrzewać.

Thom zawahał się na moment, potem jednak podszedł do maszyny i włączył zasilanie. Ułożył pozostałe elementy wyposażenia na blacie stołu.

Do pokoju wszedł Steve Farr, taszcząc przed sobą wielki klimatyzator. Policjant był więc nie tylko duży, ale i silny, lecz o wysiłku, jaki musiał włożyć w tę pracę, świadczyła tylko intensywna czerwień jego odstających uszu.

- Ukradłem z wydziału urbanistyki - wydyszał. - Nie przepadamy za nimi.

Bell pomógł Farrowi zamontować klimatyzator w oknie i już po chwili do pokoju zaczęło wplywać świeże, chłodne powietrze.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać - właściwie wypełniła sobą drzwi. Dwudziestokilkuletni mężczyzna. Potężne ramiona, wystające czoło. Sześć stóp i pięć cali wzrostu, jakieś trzysta funtów wagi. Przez chwilę Rhyme myślał, że może to być krewny Garret-ta, który przyszedł

tu, by przeszkodzić im w śledztwie i zniszczyć sprzęt. Ten jednak powiedział wysokim, lęklwym

głosem:

-Jestem Ben?

Trzej mężczyźni wpatrywali się w niego ze zdumieniem, on zaś spoglądał niepewnie na nogi i wózek Rhyme'a.

-

W czym mogę panu pomóc? - ocknął się wreszcie Bell.

-

Szukam pana Bella.

-

To ja.

Nieznajomy wciąż nie mógł oderwać spojrzenia od nóg Rhyme'a. Potem szybko odwrócił głowę i odchrząknął.

-Hm, tak. Jestem siostrzeńcem Lucy Kerr? - Chłopak najwyraźniej wolał zadawać pytania, niż wygłaszać twierdzenia.

-Ach, mój asystent, specjalista od medycyny sądowej - ucieszył się Rhyme. - Doskonale! W samą porę.

Kolejne spojrzenie na nogi, na wózek.

-

Ciocia Lucy nie mówiła nic o...No, o czym? - zaciekawił się Rhyme.

-

...nie mówiła nic o medycynie sądowej - wymamrotał Ben. -Jestem tylko studentem uniwersytetu w Avery. Uhm... co miał pan na myśli, mówiąc „w samą porę”? - Pytanie skierowane było do Rhyme'a, ale Ben patrzył na szeryfa.

-

Powiedziałem „w samą porę”, bo jesteś mi potrzebny przystole. Zaraz dostarczą nam próbki, a tym pomożesz mi je zbadać.

-Próbki... Dobrze. Co to będzie za ryba? - spytał Bella.

-Ryba? - zdumiał się Rhyme. - Ryba?

-Chciałbym wiedzieć, co to za gatunek - odparł wielkolud łagodnie, nadal patrząc na Bella. -

Z chęcią panu pomogę, ale muszę ostrzec, że nie mam zbyt dużego doświadczenia.

Specjalizuję się tylko w kilku gatunkach.

-Nie rozmawiamy o rybach. Rozmawiamy o próbkach z miejsca zbrodni. A co ty myślałeś?

-Z miejsca zbrodni? Nic o tym nie wiedziałem - zwrócił się Ben do szeryfa.

-Możesz rozmawiać ze mną - uświadomił go Rhyme surowo.

Na twarzy Bena pojawił się rumieniec. Zdawało się, że jego głowa drży z wysiłku, kiedy odwracał ją w stronę Rhyme'a.

-Ja tylko... to znaczy, on jest szeryfem.

-Ale Lincoln prowadzi to śledztwo - wyjaśnił Bell. - To specjalista od kryminalistyki z Nowego Jorku. Pomaga nam.

-Jasne. - Spojrzenie na wózek, spojrzenie na nogi Rhyme'a, na rurkę sterowniczą wózka. I z powrotem na podłogę.

Rhyme uznał natychmiast, że nienawidzi tego człowieka, który traktuje go jak najgorsze dziwadło z cyrku. Znów zapragnął wrócić do szpitala i jak najszybciej poddać się operacji.

Po trosze nienawidził też Amelii Sachs - za to, że wciągnęła go w to przedsięwzięcie.

-Więc, proszę pana...

-Mów do mnie Lincoln - poprosił Rhyme, starając się zachować pozory uprzejmości.

-

Chodzi o to, że ja niewiele wiem o fizjologii czy morfologii.Specjalizuję się w socjozoologii morskiej.

-

Czyli? - dopytywał się Rhyme niecierpliwie.

-

Zasadniczo jest to nauka o zachowaniu morskich form życia zwierzęcego.

Cudownie, pomyślał Rhyme. Nie dość że dostaję jako pomocnika faceta uprzedzonego do inwalidów, to okazuje się jeszcze, że jest specjalistą od ryb.

_ To nieistotne. Jesteś naukowcem. Zasady to zasady. Protokoły to protokoły. Używałeś GC/MS?

-Tak.

To już było coś.

_ A mikroskopów sprzężonych i porównawczych?

Skinienie głową, choć nie tak zdecydowane, jak życzyłby sobie tego Rhyme.

-

Chodzi o to... - Ben patrzył przez chwilę na Bella, potem posłusznie odwrócił się do kryminalistyka. - Ciocia Lucy poprosiłamnie, żebym tu wpadł. Nie wiedziałem, że chce, bym pomagałpanu w pracy... Nie jestem pewien... To znaczy, mam zajęcia...

-Ale ty musisz nam pomóc - odparł stanowczo Rhyme.

-

Garrett Hanlon - wyjaśnił krótko szeryf.

Ben pozwolił, by to nazwisko dotarło do jakichś odległych zakamarków jego masywnej głowy.

-

Och, ten dzieciak z Blackwater Landing.

Szeryf opowiedział mu o porwaniach i wypadku Eda Schaef-fera.

-

Och, biedny Ed - zatroskał się Ben. - Poznałem go kiedyśu cioci Lucy i...

-Więc jesteś nam bardzo potrzebny - przerwał mu Rhyme, starając się skierować rozmowę na właściwe tory.

-Nie mamy pojęcia, dokąd zabrał Lydię - kontynuował szeryf. - Zostało nam bardzo mało czasu na uratowanie ofiar. I, jak sam widzisz... pan Rhyme potrzebuje kogoś do pomocy.

-

No tak... - Spojrzenie w stronę Rhyme'a, ale nie na niego. -Tylko że wkrótce będzie ten test. Mam ważne zajęcia. Mówiłem już.

-Prawdę mówiąc, nie widzimy innego wyjścia, Ben - odrzekł Rhyme z anielską cierpliwością.

- Garrett ma nad nami trzy godziny przewagi, w każdej chwili może zabić swoje ofiary. Jeśli już tego nie zrobił.

Zoolog rozejrzał się po zakurzonej sali, szukając jakiegoś pretekstu do rejterady, nie znalazł jednak nic takiego.

-Hm... no tak, chyba mogę zostać tu na chwilę, proszę pana.

-Dziękuję - mruknął Rhyme. Dmuchał w rurkę sterowniczą i odwrócił się do stołu, na którym leżały przybory. Przez chwilę przyglądał im się badawczo, potem spojrzał na Bena.

-

A teraz zmienisz mi tylko cewnik i bierzemy się do pracy. Ben był zaszokowany.

-

Chce pan, żebym... - wyszeptał.

-

To żart - pośpieszył mu na ratunek Thom.

Ale Ben się nie uśmiechnął. Skinął tylko sztywno głową, z wdziękiem bizona podszedł do chromatografu i pochylił się nad panelem kontrolnym.

Sachs wbiegła pośpiesznie do prowizorycznego laboratorium, Jesse Corn dzielnie dotrzymywał jej kroku.

Lucy Kerr dołączyła do nich po chwili. Przywitała się ze swym siostrzeńcem i przedstawiła go Jesse'owi i Sachs. Ta podała mu torebki z próbkami.

-To materiał z pokoju Garretta. To z Blackwater Landing, pierwotnego miejsca zbrodni - mówiła, wskazując poszczególne woreczki.

Rhyme spoglądał na nie bez większego entuzjazmu. Martwił się nie tylko tym, że mieli bardzo mało materiału dowodowego, ale i problemem, który gnębił go już wcześniej; musiał analizować ślady pochodzące z obcego mu środowiska.

Jak ryba bez wody...

-

Ben, od dawna tu mieszkasz? - spytał kryminalistyk.-Przez całe życie, proszę pana.

-Dobrze. Jak nazywany jest ogólnie obszar, na którym leży ten stan?

Ben odchrząknął niepewnie.

- Chyba

Północna Równina Nadbrzeżna.

- Znasz

jakichś geologów, którzy interesowaliby się tym terenem? Kartografów?

Przyrodników?

-Nie. Znam tylko specjalistów od biologii morskiej.

-

Rhyme - wtrąciła się Sachs. - Kiedy byliśmy nad kanałem, widziałam barwę.

Przewoziła asfalt albo smołę z miejscowej fabryki.

-

Firma Henry'ego Davetta - dodała Lucy.-Mają tam jakiegoś geologa? - spytała Sachs.

-Nie wiem - pokręcił głową Bell. - Ale Davett jest inżynierem i mieszka tu od lat. Zna ten teren lepiej niż ktokolwiek inny.

-

Zadzwoń do niego, dobrze?

-

Jasne. - Bell zniknął w drzwiach.

Wrócił po kilku minutach.

-Dodzwoniłem się do niego. Nie zatrudniają żadnego geologa, ale Davett mówi, że on sam może

nam pomóc. Będzie tu za pół godziny. - Po krótkiej pauzie szeryf zapytał: - Lincoln, jak

•właściwie chcesz zorganizować ten pościg?

-Ja zostanę tutaj, z tobą i z Benem. Będziemy badali dowody. Chcę, żeby mała grupa poszukiwawcza pojechała teraz na Blackwater Landing, tam gdzie zniknęli Lydia i Garrett.

Będę prowadził grupę na odległość, opierając się na tym, co wyczytam z materiału dowodowego.

-
Kto ma być w grupie?

-
Sachs i Lucy - odparł Rhyme. - Sachs będzie dowodzić. Bell skinął głową, Rhyme zaś zauważył, że Lucy w żaden widoczny sposób nie zareagowała na te rozkazy.

-Chciałbym pójść z nimi, na ochotnika - zaofiarował się szybko Jesse Corn.

Bell spojrział na Rhyme'a, ten skinął głową. -Może jeszcze jedna osoba - dodał.

-
Czwórka ludzi? To wszystko? - zmarszczył brwi Bell. - Dodiabła, mógłbym mieć dziesiątki ochotników. Setkę.

-Nie. W takim wypadku im mniej, tym lepiej.

- Kto będzie czwarty? - spytała Lucy. - Mason Germain? Rhyme spojrział na drzwi, nie zobaczył tam jednak nikogo.

Dopiero wtedy spytał ściszym głosem:

-Co jest z tym Masonem? Coś go dręczy. Nie cierpię gliniarzy z problemami. Lubię czyste tablice.

-Mówisz o jego zachowaniu, tak? - upewnił się Bell.

- Otóż to.

Szeryf wzruszył ramionami.

-Ten facet miał ciężkie życie. Pochodzi stąd, ale dorastał po północnej stronie Paąuo, po tej gorszej stronie. Jego ojciec próbował kilka razy rozkręcić jakiś interes, w końcu zaczął pędzić bimber. Kiedy go złapali, zastrzelił się. Mason zaczynał od niczego. Mamy tu takie powiedzenie: „Za biedny, żeby malować, za dumny, żeby bielić”. To właśnie Mason. Zawsze narzeka, że go prześladujemy, że nie dostaje tego, czego chce. To ambitny człowiek w mieście, w którym nie ceni się ambicji.

-I zawziął się na Garretta - zauważył Rhyme.

-
Zgadłeś.

-
Dlaczego?

-Mason niemal błagał, żeby powierzyć mu prowadzenie śledztwa w tej sprawie, o której ci mówiliśmy; chodzi o tę dziewczynę z Blackwater Landing, która zmarła od uządleń. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że była jakoś powiązana z Masonem. Może ze sobą chodzili, nie wiem. Ale Mason bardzo chciał dopaść tego chłopaka. Tyle że nie mógł znaleźć przekonujących dowodów. Kiedy stary szeryf odchodził na emeryturę, rada miejska wypomniała to Masonowi. Więc ja zostałem nowym szeryfem, a nie on, choć jest starszy i służy dłużej ode mnie. Co gorsza, gdy Garrett wyszedł na wolność, grał Masonowi na nosie, dawał mu jakby do zrozumienia, że to rzeczywiście on zabił tę

dziewczynę. Zachowywał się jak ostatni gnojek.

Rhyme pokręcił głową.

-Nie możemy do takiej operacji zatrudniać desperatów. Wybierzcie kogoś innego.

-

Ned Spoto? - zaproponowała Lucy.Bell wzruszył ramionami.

-

To dobry facet. Jasne. Potrafi nieźle strzelać, ale robi to tylko w ostateczności.

-Postarajcie się tylko, żeby Mason nie zajmował się bezpośrednio poszukiwaniami - poprosił Rhyme.

-

Nie spodoba mu się to.

-To nie ma znaczenia. Dajcie mu coś innego do roboty. Coś, co wydaje się bardzo ważne.

- Zrobię, co będę mógł - odparł Bell niepewnie.W drzwiach pojawił się Steve Farr.

-Dzwoniłem właśnie do szpitala - oznajmił. - Ed nadal jest w stanie krytycznym.

-

Powiedział coś?

-

Nie. Jest nieprzytomny.Rhyme odwrócił się do Sachs.

-Dobra... Do roboty. Jedźcie na Blackwater Landing, do miejsca, w którym urywa się ślad, i czekajcie tam na wiadomość ode mnie.

Lucy spoglądała niepewnie na torebki z dowodami.

-

Naprawdę myślicie, że uda nam się w ten sposób znaleźć tedziewczyny?

-

Ja wiem, że się nam uda - odparł Rhyme krótko.

-

Trochę za bardzo przypomina mi to czary - zauważyła Lucysceptycznie.

Rhyme roześmiał się.

-Bo tak właśnie jest. Nieznaczny ruch dłoni, wyciąganie królika z kapelusza. Proszę jednak pamiętać, że iluzja opiera się na... no, na czym, Ben?

Wielkolud odchrząknął, zacerwienił się i pokręcił głową.

-Uhm... prawdę mówiąc, nie wiem, co ma pan na myśli.

-Iluzja opiera się na nauce. Ot co. - Spojrzenie na Sachs. -Zadzwoń do ciebie, gdy tylko coś znajdę.

Dwie kobiety i Jesse Corn opuścili laboratorium.

Otoczony cennym materiałem dowodowym i znajomym sprzętem, wolny od rozgrywek personalnych, Lincoln Rhyme oparł głowę o poduszkę wózka i patrzył na torebki przyniesione przez Sachs; zmuszając swój umysł, zachęcając go, a może po prostu pozwalając, by sięgał tam, gdzie nie mogły zanieść go nogi, by dotykał tego, czego nie mogły poczuć jego ręce.

Policjanci rozmawiali ze sobą.

Mason Germain skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o ścianę, tuż przy drzwiach prowadzących do pomieszczenia zastępców szeryfa. Słyszał ich głosy, oni jednak nie mogli go widzieć.

-
Dlaczego siedzimy tu i nic nie robimy? - Nie, nie... Nie słyszałeś? Jim wysłał pościg. -
Tak? Nie, nie słyszałem.

Cholera, pomyślał Mason, który też o tym nie słyszał.

-
Lucy, Ned i Jesse. I ta babka z Waszyngtonu. - Nie, z Nowego Jorku. Widziałeś jej włosy?

- Nie obchodzą mnie jej włosy. Obchodzi mnie wyłącznie to, co się stanie z Mary Beth i Lydią.

- Mnie też. Chciałem tylko powiedzieć...

Mason zacisnął mocniej zęby. I pomyślał o człowieku, u którego pracował po skończeniu szkoły średniej - starym kierowcy ciężarówki. Przy pomocy chłopców takich jak Mason kradł

on tytoń z pól przy drodze z Winston-Salem do Richmond i sprzedawał go potem na czarnym rynku. Człowiek ten powtarzał często, że to czy tamto jest siarczyste. Był to regionalizm z Południa, który znaczył tyle co „nierozrzedzone”, jak czysta whisky. Stary kombinator używał go jednak w odniesieniu do wszystkiego, co było czyste i silne. Stojąc w korytarzu i podsłuchując rozmowę

kolegów, Mason Germain myślał, że jego nienawisć do Garretta Hanlona jest właśnie siarczysta. Był wściekły, że Bell nie poinformował go o wysłaniu pościgu za chłopcem i że nie włączył go do grupy poszukiwawczej.

Ruszył korytarzem w stronę biura szeryfa i omal nie zderzył się z Bellem, kiedy ten opuścił magazyn - gdzie rozpanoszył się dziwak na wózku, który miał im niby to pomagać w poszukiwaniach. Bell spojrzał zaskoczony na swego zastępcę.

- Hej, Mason... szukałem cię właśnie.

Nieszczęśliwie się starałeś, pomyślał Mason.

- Chcę, żebyś pojechał do domu Richa Culbeau. - Do Culbeau? POCO?

- Sue McConnel wyznaczyła jakąś nagrodę za odnalezienie Mary Beth. Nie chcemy, żeby Culbeau przeszkadzał nam w pościgu. Musisz mieć go na oku. Jeśli nie będzie faceta w domu, po prostu poczekaj tam na niego.

- Wysłałeś Lucy za Garrettem. I nic mi nie powiedziałaś.

Bell zmierzył swego zastępcę spojrzeniem.

- Lucy

pojechała z innymi na Blackwater Landing szukać śladu. - Wiedziałaś, że chcę być w grupie pościgowej.

- Nie mogę wysłać wszystkich. Culbeau już raz był dzisiaj na Blackwater Landing. Nie chcę, żeby pokrzyżował nam szyki.

- Daj spokój, Jim, nie opowiadaj mi takich głupot.

Bell westchnął.

- No dobrze. Chcesz prawdy? Ponieważ jesteś taki zawzięty na tego chłopaka, postanowiłem cię za nim nie wysłać. Nie chcę, żebyś popełnił jakiś błąd. Chodzi o życie dwóch dziewczyn.

Musimy go dopaść, i to szybko.

-
O niczym innym nie marzę, Jim. I ty doskonale o tym wiesz. Ścigam tego dzieciaka od trzech lat. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu wyłączyłeś mnie z tej sprawy i oddałeś ją temu cudakowi...

- Hej, dosyć tego.

- Gówno. Znam Blackwater dziesięć razy lepiej niż Lucy. Mieszkałem tam. Zapomniałeś? Bell

zniżył głos.

-

Chcesz go za bardzo, Mason. To mogłoby ujemnie wpłynąć na twoją ocenę sytuacji.

-

Ty to wymyśliłeś? Czy on? - Mason wskazał głową na drzwipokoju, zza którego dobiegało ciche wycie elektrycznego silnika wózka. Ten odgłos działał mu na nerwy niczym jazgot dentystycznego wiertła. Zaproszenie tego cudaka do współpracy mogło wywołać kłopoty, o których Mason nie chciał nawet myśleć.

-Daj spokój, fakty to fakty. Cały świat wie, co czujesz do Garretta.

-I cały świat się ze mną zgadza.

- Cóż, będzie tak, jak powiedziałem, Mason. Musisz się z tym pogodzić.

Zastępca roześmiał się gorzko.

- Więc będę teraz niańczył bimbrownika.

Bell spojrzął za plecy Masona, skinął głową na innego policjanta.

-Hej, Frank...

Podszedł do nich wysoki, nieco otyły mężczyzna. -Frank, pojedziesz z Masonem do Richa Culbeau. -Mamy go aresztować? Co znowu przeszkrobał?

-

Nie, nic z tych rzeczy. Mason ci wszystko wytłumaczy. Jeśli Richa nie będzie w domu, poczekajcie na niego. I zadbajcie o to, żeby ani on, ani jego kołesie nie kręcili się wokół grupy pościgowej. Zrozumiałeś, Mason?

Policjant nie odpowiedział. Odwrócił się na pięcie i odszedł od swego szefa, który zawołał jeszcze za nim:

- Tak

będzie lepiej dla wszystkich. Nie sądzę, pomyślał Mason. -Mason...

Ten jednak nie zareagował. Przeszedł do pokoju zastępców. Zignorował grupę umundurowanych mężczyzn, którzy rozmawiali teraz o Owadzie Królu i nieprawdopodobnym zagranu Billy'ego Staila z zeszłorocznego meczu. Wszedł do swego biura, usiadł na krześle i wyjął z kieszeni klucz. Otworzył biurko i wydobył stamtąd magazynkę szybkostrzelny z sześcioma pociskami .357. Wsunął magazynkę do kabury, tę zaś przypiął do pasa. Podszedł do wyjścia i stanął w drzwiach swego biura. Jego donośny głos przerwał raptownie konwersację, kiedy Mason zwrócił się do Nathana Groomera, trzydziestopięcioletniego blondyna:

-

Groomer, mam sprawę do Culbeau. Pojedziesz ze mną.

-

Chwileczkę - powiedział powoli Frank, który przyszedł do swego stanowiska po kapelusz. - Jim chciał, żebyśmy to ja z tobą jechali.

-

Chcę Nathana - odparł Mason.

-Do Richa Culbeau? - skrzywił się Nathan. - On i ja to jak woda i ogień. Trzy razy wsadzałem go za kratki, a ostatnio trochę go przy tym poturbowałem. Na twoim miejscu wziąłbym Franka.

-

Tak - skinął głową Frank. - Kuzyn Culbeau pracuje z moim teściem. On uważa mnie za swojego

krewnego. Posłucha mnie.

Mason spojrział zimno na Nathana.

-

Chcę ciebie.

-

Ale Jim powiedział... - próbował jeszcze obstawać przy swoim Frank.

-I to natychmiast.

-Daj spokój, Mason - zachnął się Nathan. - Nie musisz traktować mnie jak gówniarza.

Mason spojrział na małą figurkę kaczkę na biurku Nathana. Była bardzo ładna. Ten facet naprawdę ma talent, pomyślał. Potem spytał głośno:

- Jesteś gotów?

Nathan westchnął ciężko i wstał od biurka.

-

Co mam powiedzieć Jimowi? - dopytywał się Frank.

Nie odpowiedział mu ani słowem, Mason wyszedł z biura i ruszył w stronę swego służbowego wozu. Nathan szedł kilka kroków za nim. Wsiadli do nagrzanego wnętrza samochodu. Mason natychmiast uruchomił silnik i włączył klimatyzację.

Kiedy zapięli pasy, jak nakazywał wszystkim odpowiedzialnym obywatelom slogan umieszczony na desce rozdzielczej wozu, Mason powiedział:

-Posłuchaj mnie teraz. Mam...

-Daj spokój, Mason, nie musisz mi niczego tłumaczyć. Chciałem ci tylko powiedzieć, co byłoby rozsądniejsze. To znaczy, w zeszłym roku Frank i Culbeau...

-Zamknij się i słuchaj.

- Już dobrze, słucham. Nie musisz zwracać się do mnie w ten sposób... Dobra. Słucham.

Co takiego zrobił znowu Culbeau?

Zamiast jednak udzielić mu odpowiedzi, Mason spytał:

-

Gdzie jest twój ruger?-Moja strzelba na jelenie? M 77?-Tak.

-W moim samochodzie. W domu.

-

Masz przymocowaną lunetkę?

-

Jasne.

-Dobrze. Jedziemy po nią. •

Wyjechali z parkingu i gdy tylko znaleźli się na ulicy Głównej, Mason uruchomił migające, czerwono-niebieskie światła na dachu. Nie włączał syreny. Wkrótce znaleźli się już poza miastem.

Nathan włożył do ust listek gumy do żucia, czego nie mógł robić w towarzystwie Jima -

Masona to nie obchodziło.

-Ruger... Więc to dlatego chciałeś mnie. Nie Franka.

-Zgadza się.

Nathan Groomer był najlepszym strzelcem w biurze szeryfa, jednym z najlepszych w całym okręgu Paquenoque. Mason widział, jak Nathan położył kiedyś niewielkiego kozła z odległości ośmiuset metrów.

-No dobrze. Więc kiedy wezmę już strzelbę, pojedziemy do domu Culbeau?

-Nie.

- A dokąd w takim razie?

-Na polowanie.

-Ładne domy - zauważyła Amelia Sachs.

Jechała wraz z Lucy Kerr wzdłuż Canal Road, na południe, z powrotem do Blackwater Landing. Jesse Corn i Ned Spoto, krępy mężczyzna pod czterdziestkę, jechali za nimi, w drugim wozie patrolowym.

Lucy zerknęła na budynki ciągnące się wzdłuż kanału i nie odpowiedziała.

Sachs znów zauważyła dziwną pustkę i martwość w Blackwater Landing, zupełnie jak w Tanner's Corner.

Dzieci, pomyślała znowu.

Tylko nie zaczynaj, przykazała sobie w myślach.

Lucy skręciła w prawo, na drogę numer 112, i zatrzymała się na poboczu, w miejscu, z którego odjechali zaledwie pół godziny wcześniej. Wóz Jesse'a Corna zatrzymał się za nimi.

Wszyscy czworo zeszli na brzeg rzeki i zajęli miejsce w łódce. Podobnie jak poprzednio, Jesse chwycił za wiosła, mrużąc złowieszczym tonem:

-Na północ od Paquo, Bracie.

Sachs wzięła to początkowo za żart, potem zauważyła jednak, że nikt nawet się nie uśmiechnął. Wysiedli po drugiej stronie rzeki i kierując się śladami Garretta i Lydii, przeszli do chatki, w której pokąsany został Ed Schaeffer. Jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, w lesie, ślady się urywały.

Na polecenie Sachs rozeszli się w różnych kierunkach i zataczali coraz większe kręgi, szukając jakiegoś znaku, który pomógłby im określić kierunek ucieczki Garretta. Nie znaleźli jednak nic i wrócili do miejsca, w którym zanikały ślady.

-Znasz tamtą ścieżkę? - zwróciła się Lucy do Jesse'a. - Tę, którą uciekali ci narkomani, kiedy Lou Sturgis nakrył ich w zeszłym roku?

Jesse skinął głową, potem powiedział do Sachs:

-To jakieś pięćdziesiąt jardów na północ. Tędy - wskazał właściwy kierunek. - Garrett na pewno o niej wie, a tylko tą drogą mógł posuwać się w miarę szybko. Inne ścieżki są pozarastane.

Sachs zastanawiała się przez chwilę, jak poradzić sobie z nieuniknionym konfliktem, i uznała, że jest tylko jedno wyjście; trzymać się rozkazów. Wiedziała, że nie może szukać kompromisu, nie przy stosunku trzy do jednego (Jesse Corn był tylko sercem po jej stronie).

-Powinniśmy tu zostać, dopóki nie dostaniemy dalszych rozkazów od Rhyme'a.

Jesse uśmiechnął się słabo, targany sprzecznymi emocjami.

Lucy pokręciła głową.

- Garrett

musiał wybrać tamtą ścieżkę.-Nie wiemy tego na pewno - odparła Sachs.

-Tu naprawdę jest bardzo gęsto - nieśmiało podsunął Jesse.

-Pełno tu włośokwiatu, grzybów i ostrokrzewów - odezwał się milczący dotąd Ned. - 1 różnych pnączy. Tutaj nie ma innej drogi, którą można by się w miarę szybko poruszać.

-Musimy poczekać - odparła Sachs, myśląc o pewnym ustępie z podręcznika kryminalistyki autorstwa Lincolna Rhyme'a:

W wielu przypadkach przyczyną niepowodzenia śledztwa jest chęć natychmiastowego działania,

szybkiego pościgu, podczas gdy szczegółowe badanie dowodów zaprowadzi nas prosto do drzwi przestępcy i pozwoli na bezpieczniejsze i bardziej skuteczne działanie.

-

Tak to jest, kiedy ktoś z miasta nie rozumie lasu - burknęła Lucy Kerr. - Gdyby zszedł z tej ścieżki, poruszałyby się dwa razy wolniej. Musiał się jej trzymać.

-Mógł wrócić do rzeki - zauważyła Sachs. - Może miał tam ukrytą inną łódkę.

-To prawda - przytaknął Jesse. Lucy rzuciła mu ołowiane spojrzenie.

-Wtedy widzielibyśmy jego ślady skierowane w drugą stronę - próbował zbić argument Amelii Ned.

-Nie, nie znaleźlibyśmy ich, gdyby szedł przez te krzaki, o których wspominaliście - odparowała Sachs.

-

Nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. - Lucy skrzywiła się.

Długa chwila milczenia, czwórka ludzi stojących nieruchomo w lesie, gdzie dokuczały im chmary komarów i nieznośny upał.

-

Poczekamy - powtórzyła wreszcie Sachs.

Dla podkreślenia swych słów usiadła na kamieniu, który był chyba najmniej wygodnym miejscem w całym lesie, i z udawanym zainteresowaniem obserwowała dzięcioła stukającego z zapalem w pień pobliskiego dębu.

Najpierw pierwotne miejsce zbrodni! - zawołał Rhyme do Bena. - Blackwater.

Wskazał głową na dowody ułożone na stole.

-

Zacniemy od buta Garretta. Tego, który zgubił przy szarpaninie z Lydią.

Ben podniósł plastikową torebkę i otworzył ją. -Rękawice! - rozkazał Rhyme. - Zawsze noś lateksowe rękawice, kiedy dotykasz dowodów.

- Ze

względu na odciski palców? - spytał zoolog.

-To jeden powód. Do tego dochodzi zanieczyszczenie. Nie chcemy mylić miejsc, w których byłeś ty, z miejscami, w których był przestępca.

-Jasne. Oczywiście. - Ben pokiwał energicznie wielką, krótko ostrzyżoną głową, jakby bał się, że zaraz zapomni o tej zasadzie. Podniósł but i zajrzał do środka. - Zdaje się, że jest tu jakiś żużel albo coś takiego.

-

Cholera, nie poprosiłem Amelii o sterylne płytki do badań. -Rhyme rozejrzał się po pokoju. - Widzisz tamtą gazetę? „People”?

Ben podniósł wskazane pismo. Pokręcił głową.

-

Sprzed trzech tygodni.

-

Nie obchodzi mnie, jak dalece aktualne są szczegóły z życia Leonarda Di Caprio - mruknął Rhyme. - Wyrwij ze środka tekturkę z prenumeratą... Nienawidzę tych druczków, ale teraz nam Ili

się przydadzą. Schodzą z maszyny drukarskiej gładkie i sterylne, więc wykorzystamy je jako płytki do badań.

Ben wykonał polecenie Rhyme'a i wysypał żwir i ziemię na tekturkę.

-Włóż próbkę do mikroskopu, zaraz ją sobie obejrzymy. -Rhyme podjechał do stołu, okazało się jednak, że okular znajduje się o kilka cali za wysoko. - Cholera.

Ben szybko ocenił problem.

-Może ja to potrzynam, a pan zajrzy do środka.

Rhyme uśmiechnął się krzywo.

-To waży jakieś trzydzieści funtów. Będziemy musieli znaleźć...

Zoolog jednak podniósł instrument, umieścił go bezpiecznie w swych masywnych ramionach i podsunął pod oczy Rhyme'a. Ten nie mógł oczywiście wyregulować ostrości, lecz to, co zobaczył, wystarczyło mu w zupełności.

-Fragmenty wapienia i ziemi. Sprawdź próbkę na GC/MS. Chcę zobaczyć, co jeszcze tam jest.

Przez chwilę Ben ustawiał odpowiednie parametry maszyny. Potem umieścił w jej wnętrzu próbkę i przycisnął guzik.

Chromatograf to wymarzone narzędzie pracy dla kryminalistyka. Urządzenie wynalezione na początku wieku przez rosyjskiego botanika - choć powszechnie stosowane dopiero od lat trzydziestych - analizuje skład różnych substancji, rozkładając je na czynniki pierwsze.

Procesu tego można dokonać na kilka sposobów, choć w medycynie sądowej najpopularniejszą metodą jest chromatografia gazowa. Chromatograf spala próbkę danej substancji, a powstałe podczas spalania opary pozwalają określić skład owej próbki.

Chromatograf gazowy połączony jest zazwyczaj ze spektrometrem masowym, który identyfikuje nie tylko poszczególne elementy próbki, ale również ich ilość.

Chromatograf gazowy jest użyteczny tylko w przypadku substancji, które ulegają spalaniu w stosunkowo niskiej temperaturze. Wapień oczywiście nie należał do takich materiałów, Rhyme jednak interesował nie tyle sam kamień, ile substancje śladowe, które doń przyłgnęły. W ten sposób mógł określić w przybliżeniu miejsce, z którego pochodził żwir w bucie Garretta.

-To chwilę potrwa - powiedział. - W tym czasie możemy spojrzeć na ziemię z bieżnika buta.

Mówię ci, Ben, uwielbiam bieżniki. I butów, i opon. Są jak gąbki. Pamiętaj o tym.

-

Tak jest.

-

Wydłub trochę, sprawdzimy, czy ziemia pochodzi z Blackwa-ter Landing, czy z jakiegoś innego miejsca.

Ben wyraźnie nie dał się ponieść entuzjazmowi, jaki okazywał Rhyme. Bez pośpiechu wydłubał trochę ziemi na kartonik i podsunął go kryminalistykowi. Ten przyjrzał mu się uważnie. Dobrze wiedział, jak ważny jest brud w pracy policyjnego specjalisty od mikrośladów. Przywiera do ubrań, pozostawia trop równie wyraźny jak nić Ariadny, który nie tylko prowadzi wprost do przestępcy, ale łączy go ewidentnie z miejscem zbrodni. Istnieje około tysiąca stu różnych odcieni ziemi i jeśli na przykład próbka pochodząca z miejsca zbrodni jest identyczna z tą z ogrodu podejrzanego, to można stwierdzić niemal z pewnością, że podejrzany był na miejscu przestępstwa. Dokładna analiza składu ziemi może jeszcze zwiększyć to prawdopodobieństwo. Locard, wielki francuski kryminalistyk, sformułował

zasadę, nazwaną później od jego nazwiska, że zawsze istnieje jakiś trop, łączący sprawcę z ofiarą lub miejscem zbrodni. Rhyme stwierdził już dawno, że substancją, która prócz krwi najczęściej stanowi ten właśnie trop, jest ziemia bądź też brud.

Problemem, który jednak często wykluczał brud jako materiał dowodowy, był fakt, że jest on zbyt powszechny. By próbka ziemi, którą znaleziono na ubraniu podejrzanego, mogła mieć istotne znaczenie w procesie, musiała różnić się od ziemi występującej naturalnie na miejscu przestępstwa.

Pierwszym krokiem w analizie brudu czy ziemi jest sprawdzenie substancji z miejsca zbrodni i porównanie jej z tą, która pochodzi od podejrzanego.

Rhyme wyjaśnił to wszystko Benowi, ten zaś podniósł torebkę z napisem: Próbką gleby - Blackwater Landing. Sachs umieściła tu także datę i godzinę, o której pobrano próbkę. Obok znajdował się dopisek wykonany inną ręką: Pobrane przez zastępcę szeryfa, J. Corna. Rhyme wyobrażał sobie, z jakim zapalem młody policjant wypełniał polecenia Sachs. Tymczasem Ben wysypał trochę ziemi na drugi formularz prenumeraty. Położył go obok kartonika z glebą wydłubaną z buta Garretta.

-Jak je porównamy? - spytał młodzieniec, spoglądając na zgromadzone w pokoju instrumenty.

- Za pomocą oczu.-Ale...

-Po prostu spójrz na nie. Zobacz, czy nieznaną próbkę różni się barwą od tej znanej. - Jak mam to zrobić? Rhyme omal nie zgrzytnął zębami. -Po prostu popatrz na nie.

Ben spojrzał na jedną kupkę ziemi, potem na drugą. I znów to samo. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

No już, już... to nie jest aż takie trudne. Rhyme starał się zachować cierpliwość. Nigdy nie przychodziło mu to łatwo.

-Jedna jest ciemniejsza - orzekł wreszcie Ben. - Próbką z Blackwater Landing. Proszę zobaczyć. Podniósł obie do oczu Rhyme'a. Ten skrzywił się jednak.

-
Czy robię coś źle, proszę pana?

-
Nie, nie. Tylko... czy znana próbka jest wilgotna?-Hm... jak miałbym to sprawdzić?

-
Włóż do niej palec.Ben włożył.

-Tak, proszę pana. Całkiem mokra.

-Więc najpierw będziemy musieli ją osuszyć. Nie możemy porównywać próbek o różnej wilgotności. - Rhyme rozejrzał się po pokoju. Suszenie ziemi na słońcu zmieniłoby jej kolor, z drugiej jednak strony nie mogli czekać, aż wyschnie sama w klimatyzowanym pomieszczeniu. Spojrzał na Thoma i przypomniał sobie, że jego pomocnik jest zapalonym kucharzem.

-Mikrofalówka! - wykrzyknął. - Sprawdź, czy w tym budynku jest jakaś stołówka. Może mają tam kuchenkę mikrofalową.

Wysusz w niej tę ziemię.

Ben ruszył do drzwi, niosąc przed sobą próbkę tak ostrożnie, jakby był to nowo narodzony kociak.

- On umiera - powiedział Thom, wskazując na drzwi, kiedy wielki zoolog już w nich zniknął.

-Rusza się jak mucha w smole... i jest potwornie bojaźliwy.

Staram się być cierpliwy. -Staraj się bardziej. Ben wrócił po kilku minutach. Kartonik leżał na plastikowej

tacce. Ziemia była teraz znacznie lżejsza.

- Co widzisz? - spytał Rhyme. - Czy te próbki wydają ci się teraz różne?

-Hm... trudno powiedzieć, proszę pana.

-
Obejrzyj je pod mikroskopem porównawczym.

Ben umocował obie próbki w mikroskopie i przyglądał im się przez chwilę.

-Nie jestem pewien. Chyba... może jest jakaś różnica.

- Pokaż mi to.

I znowu masywne ramiona przytrzymały mikroskop w absolutnym bezruchu, a Rhyme zajrzał do wziernika.

- Zdecydowanie

różne - orzekł kryminalistyk. - Nieznana próbka jest jaśniejsza. I zawiera więcej kryształu.

Więcej granitu, gliny różnych rodzajów roślinności. Więc nie pochodzi z BlackwaterLanding... Jeśli mamy szczęście, to przyniósł to ze swojej dziupli.

Ben uśmiechnął się nieśmiało, po raz pierwszy odkąd przekroczył próg tego pokoju.

-
O co chodzi?

-
Och, nic takiego, po prostu tak właśnie nazywamy jaskinię, w której gnieździ się morena... -
Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy młodzieńca, kiedy surowe spojrzenie Rhyme'a powiedziało mu, że nie jest to czas ani miejsce na anegdoty.

-Kiedy będziesz miał już wyniki badania żwiru z GC/MS, sprawdź ziemię z bieżnika buta.

-Tak jest.

Po chwili na ekranie komputera połączonego z chromatogra-fem-spektrometrem pojawiły się linie przypominające strome góry i doliny. Potem w rogu monitora rozbłysło niewielkie okienko. Kryminalistyk ruszył w stronę komputera, jego wózek uderzył jednak w jakiś stolik, omal nie zrzucając Rhyme'a na podłogę.

- Cholera.

Ben otworzył szeroko oczy, zaniepokojony. -Nic panu nie jest?

-Nie, nie - mruknął Rhyme. - Co tutaj robi ten cholerny stolik? Nie jest nam do niczego potrzebny.

- Już go zabieram. - Ben podskoczył do stolika, pochwycił go jedną ręką i cisnął w róg pokoju, jakby był to kawałek papieru, a nieciężki mebel. - Przepraszam, powinienem był o tym pomyśleć.

Rhyme zignorował tłumaczenia zoologa i skupił się na tym, co pokazywał ekran komputera.

- Duże ilości azotanów, fosforanów i amoniaku.

Było to bardzo niepokojące, na razie jednak Rhyme nie mówił o tym głośno. Chciał zobaczyć, jakie substancje znajdują się w ziemi wydłubanej z butów Garretta. Kryminalistyk polecił

Benowi włożyć próbkę do GC/MS. Już po chwili mogli obejrzeć wyniki na ekranie komputera.

Rhyme westchnął.

-Znów azotany i amoniak, jeszcze więcej niż poprzednio. Duża koncentracja. I znów sporo fosforanów. Do tego jakiś detergent. I coś jeszcze... Co to jest, do diabła?

-

Gdzie? - spytał Ben, pochylając się nad monitorem.

-Na dole. Baza danych zidentyfikowała to jako kamfen. Słyszałeś kiedyś o czymś takim? -

Nie, proszę pana.

-

Cokolwiek to było, Garrett musiał po tym chodzić. - Rhymespojrzał na torebkę z materiałami dowodowymi. - Co my tu jeszcze mamy? Białą chusteczkę, którą znalazła Sachs...

Ben podniósł torebkę na wysokość oczu kryminalistyka. Chustka była poplamiona krwią.

Spojrzał na drugą chustkę, tę, którą Sachs znalazła w pokoju Garretta.

- Są takie same?

-

Chyba tak - odparł Ben. - Obie białe, ta sama wielkość.-Zanieś je do Jima Bella -

polecił Rhyme. - Powiedz, że

chcę, by zrobił analizę DNA, wersję uproszczoną.

-Wersję... co takiego, proszę pana?

-Wersja uproszczona analizy DNA, reakcja łańcuchowa poli-merazy. Nie mamy czasu na RELP, dokładne określenie rodzaju DNA. Chcę tylko wiedzieć, czyja to krew. Niech ktoś dostarczy próbki Billy'ego Staila, Mary Beth i Lydii.

-Próbki? Czego?

Rhyme po raz kolejny zmusił się do zachowania spokoju.

-Materiału genetycznego. Jakakolwiek tkanka z ciała Bil-ly'ego. Co do kobiet, najłatwiej będzie znaleźć ich włosy, ważne, żeby były z cebulką. Niech któryś z zastępców pojedzie po grzebienie lub szczotki z pokoiów Mary Beth i Lydii i dostarczy je do tego samego laboratorium, które będzie badać chusteczki.

Zoolog zabrał obie torebki i wyszedł z pokoju. Wrócił po kilku minutach.

-Wyniki będą za godzinę. Prześlą próbki do Centrum Medycznego w Avery, a nie do policji stanowej. Pan Bell, to jest szeryf Bell, uważa, że tak będzie prościej.

-

Godzina? - mruknął Rhyme, krzywiąc się. - O wiele za długo.Zastanawiał się, czy ta godzina może zadecydować o losie Lydii lub Mary Beth.

Ben stał nieruchomo przy drzwiach.

-Hm... mogę to jeszcze odwołać. Powiedziałem im, że to bardzo ważne, ale... Chce pan, żebym tak zrobił?

-W porządku, Ben. Będziemy pracować tutaj. Thom, czas na naszą listę.

Pomocnik pisał na tablicy to, co dyktował mu Rhyme.

Znalezione na pierwotnym miejscu przestępstwa - Blackwater Landing Chusteczka z krwią

Fragmenty wapienia

Azotany

Fosforany

Detergent

Kamfen

Rhyme wpatrywał się przez chwilę w tę krótką listę. Więcej pytań niż odpowiedzi.

Jak ryba bez wody...

Jego spojrzenie padło na kupkę ziemi, którą Ben wydłubał z buta chłopca. Nagle przyszyła mu do

głowy pewna myśl:

-

Jim! - wrzasnął, podrywając z miejsca Bena i Thoma. - Jim! Gdzie on jest, do diabła?

Jim!

-

Co? - Szeryf wpadł biegiem do pokoju, przestraszony. - Co się stało?

- Ilu ludzi pracuje w tym budynku?

-

Nie wiem. Około dwudziestu. - Wszyscy mieszkają na terenie okręgu?

- Nawet jeszcze dalej. Niektórzy dojeżdżają z Paquotank, Al-bermale i Chowan.

- Chcę, żeby wszyscy jak najszybciej tu przyszli. - Co?

- Wszyscy, którzy są w budynku. Chcę pobrać próbki ziemi z ich butów... czekaj; i z dywaników w ich samochodach.

- Ziemię...

- Ziemię! Błoto! Brud! Przecież wiesz. Natychmiast!

Bell wyszedł z pokoju. Rhyme zwrócił się do Bena:

- Tamto urządzenie, na stole.

Zoolog podszedł do długiego stojaka, podtrzymującego rząd probówek.

- To urządzenie do badania stopnia gęstości. Określa profil gęstości względnej materiałów takich jak ziemia. Ben skinął głową.

-

Słyszałem o tym. Ale nigdy nie używałem.

-

To proste. Masz tu te butelki... - Rhyme patrzył na dwie butelki z ciemnego szkła.

Jedna opisana była jako „tetra”, drugą jako „etanol”. - Wymieszasz ich zawartość w odpowiednich proporcjach i wypełnisz te probówki.

- Dobrze. Jak to działa?

- Zaczni

mieszać. Potem wszystko ci wytłumaczę.

Kierując się instrukcjami Rhyme'a, Ben wymieszał chemikalia i wypełnił nimi dwadzieścia probówek, tworząc zmieniające się na przemian pasma różnobarwnych płynów - etanolu i czterobromoetanu.

- Wsyp odrobinę ziemi z buta Garretta do probówki po lewej. Gleba się rozdzieli, a to pozwoli nam określić jej profil. Pobierzemy próbki od ludzi, którzy mieszkają w różnych częściach okręgu. Jeśli którakolwiek z nich będzie pasować do tej pierwszej, dowiemy się, gdzie był ostatnio Garrett i gdzie może ukrywać dziewczyny.

Po chwili do pokoju wrócił Bell z pierwszymi pracownikami, a Rhyme wyjaśnił mu, co zamierza zrobić. Szeryf pokiwał głową z podziwem.

- Fantastyczny pomysł, Lincoln. Kuzyn Roland wiedział, co mówi, kiedy cię chwalił.

Jednak pół godziny spędzone na porównywaniu próbek nie przyniosło żadnego skutku; żadna z nich nie pasowała do ziemi z buta Garretta. Rhyme skrzywił się ze złością, kiedy okruchy ziemi pobrane od ostatniego z pracowników opadły na dno probówki.

- Cholera.

-
Ale warto było spróbować - powiedział Bell. Strata cennego czasu.

-
Mam to wyrzucić? - spytał Ben.

-Nie. Nigdy nie wyrzucaj próbek - pouczył go Rhyme surowym tonem. Potem przypomniał sobie, że powinien być bardziej wyrozumiały. Wielki zoolog pomagał mu tylko ze względu na więzy rodzinne i troskę o ofiary.

-Thom, jesteś nam potrzebny. Sachs prosiła o dostarczenie polaroidu, powinien gdzieś tu być.

Znajdź go i zrób zdjęcia wszyst-

kich próbek. Podpisz każde nazwiskiem pracownika, do którego należała próbka, Thom odszukał aparat fotograficzny i zabrał się do pracy.

-Teraz zajmiemy się rzeczami, które Sachs znalazła w domu przybranych rodziców Garretta.

Spodnie w tamtej torebce; sprawdź, czy nie ma czegoś w mankietach.

Ben ostrożnie otworzył plastikową torbę i zajrzał do środka.

-Tak, proszę pana, igły sosnowe. Cała garść.

-Dobrze. Wyglądają tak, jakby spadły z drzewa czy jakby zostały ucięte?

-Raczej jak ucięte.

: -Doskonale. To znaczy, że coś z nimi robił. Ciął je celowo. A ten cel może mieć coś wspólnego z przestępstwem. Nie wiemy, do czego mogły służyć, ale przypuszczam, że to kamuflaż.

Rhyme ponownie oparł głowę na poduszce przymocowanej do oparcia wózka. Spojrzał na zegar. Garrett uciekał już od niemal czterech godzin. Dość czasu, by dostać się do jakiejś kryjówki, zgwałcić i zamordować swoje ofiary. Dość czasu, by zatrzeć ślady lub zastawić pułapki w terenie, który chłopak znał jak własną kieszeń i który był zupełnie obcy Rhyme'owi.

-
Czuję skunksa - powiedział Ben, wąchając ubranie.

-
Też to zauważyłem - pokiwał głową Rhyme. - Ale to namsię do niczego nie przyda. Przynajmniej na razie.

-
Czemu nie? - zainteresował się zoolog.

-Bo nie da się połączyć dzikiego zwierzęcia z jakimś konkretnym miejscem. Sprawdźmy ślady na spodniach. Wytnij kilka kawałków materiału i włóż je do GC/MS.

Kiedy czekali na rezultat badania, Rhyme przejrzał resztę dowodów.

- Pokaż mi ten notes, Thom.

Pomocnik powoli przerzucał kartki. Notes zawierał tylko niezdarne rysunki owadów. Rhyme pokręcił głową. Nic pożytecznego.

-Inne książki? - Kryminalistyk wskazał głową na cztery książki w twardej oprawie, które Sachs znalazła w pokoju Garretta. Jedna z nich, „Miniaturowy świat”, była używana tak często, że rozpadała się na kawałki. Rhyme zauważył, że niektóre fragmenty są zakreślane lub oznaczone gwiazdką. Wszystkie dotyczyły jednak wyłącznie życia owadów i nie mogły być pomocne w odnalezieniu kryjówki chłopca. Rhyme kazał je odłożyć na bok.

Potem obejrzał przedmioty, które Garrett ukrywał w słoju z osami; pieniądze, zdjęcia Mary Beth i rodziny chłopca. Stary klucz. Żyłka wędkarska.

Najpierw Rhyme zajął się pieniędzmi; pomiętą masą pięcio-i dziesięciodolarowych banknotów i garścią srebrnych jedno-dolarówek. Zauważył, że na marginesie banknotów nie ma żadnych napisów czy znaczków (przestępcy często umieszczają tam jakieś wiadomości czy plany - potem mogą się łatwo pozbyć takiego dowodu, kupując coś i wysyłając pieniądź w czarną dziurę obiegu). Kazał Benowi włączyć PoliLight - alternatywne źródło światła -

przekonał się jednak, że pieniądze poznaczone są co najmniej setką różnych odcisków palców; było ich zbyt wiele, by mogły się do czegoś przydać. Ani na ramce, ani też na żyłce wędkarskiej nie było naklejek z ceną, które pozwoliłyby określić, w jakich sklepach robił

zakupy Garrett.

-Trzyfuntowa żyłka wędkarska - skomentował Rhyme, patrząc na szpulkę. - Dosyć słaba, prawda, Ben?

- Nie

złapałby na to nawet bassa, proszę pana.

Na ekranie komputera pojawiły się wyniki analizy spodni. Rhyme odczytał je głośno:

-

Nafta, amoniak, azotany i znów ten kamf en. Thom, następna lista, proszę.

Dyktował:

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - pokój Garretta Pizmo skunksa

Ucięte igły sosnowe

Rysunki owadów

Zdjęcia Mary Beth i rodziny

Książki o owadach

Żyłka wędkarska

Pieniądze

Klucz niewiadomego przeznaczenia

Nafta

Amoniak

Azotany

Kamfen

Rhyme wpatrywał się przez chwilę w listę. Wreszcie powiedział:

- Thom,

zadzwoń do Mela Coopera.

Pomocnik podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Cooper, który często współpracował z Rhyme'em, ważył zapewne połowę tego, co Ben.

Wyglądał jak nieśmiały urzędnik, był jednak jednym z najlepszych w kraju specjalistą od badań sądowych.

- Możesz włączyć zewnętrzny głośnik, Thom?

Thom posłusznie wcisnął odpowiedni guzik i już po chwili w pokoju rozbrzmiał łagodny tenor Coopera:

-

Cześć, Lincoln, coś mi mówi, że nie jesteś w szpitalu.

-

Jak do tego doszedłeś, Mel?

-Nie było to szczególnie trudne. Połączyła mnie telefonistka z urzędu okręgowego Paquenoke. Przełożyłeś operację?

-Nie, pomagam tu tylko w rozwiązaniu pewnej sprawy. Posłuchaj, Mel, mam mało czasu, a potrzebuję informacji o substancji zwanej kamfenem. Słyszałeś kiedyś o tym?

-Nie, ale poczekaj. Zajrzę do bazy danych.

Rhyme słyszał gwałtowne stukanie; nie spotkał jeszcze nikogo, kto pisałby na klawiaturze szybciej niż Mel Cooper.

-Dobra, już mam... interesujące...

-Nie potrzebuję komentarzy, Mel. Potrzebuję faktów.

-

To terpen; węgiel i wodór. Uzyskiwany z roślin. Był składnikiem pestycydów, ale zakazano jego stosowania na początku lat osiemdziesiątych. Używany powszechnie pod koniec dziewiętnastego wieku jako paliwo do lamp, równie popularny jak teraz gaz ziemny.

Próbujesz ustalić tożsamość sprawcy?

-Nie, nie, sprawca jest znany aż za dobrze. Po prostu nie możemy go znaleźć.

-Przyjemne masz wakacje, Lincoln, nie ma co.

-To wcale nie miały być wakacje. - Rhyme zastanawiał się, czy jest jedyną osobą na świecie, która nie lubi pogaduszek o niczym. - Skoro więc znalazłem ślady kamfenu na jego butach, znaczyłyby to, że ukrywa się w jakimś starym budynku.

-

Prawdopodobnie. Ale istnieje też inna możliwość. Obecnie kamfen używany jest jeszcze w przemyśle chemicznym.

-

Jakiego rodzaju?

-Produkcja kosmetyków, perfum, wód toaletowych. Rhyme zastanawiał się nad tym przez moment.

-

Jakie ilości kamfenu zawiera produkt końcowy?

-

Śladowe. Kilka tysięcznych. Niewiele.

Rhyme zawsze powtarzał swoim współpracownikom, by analizując materiał dowodowy, nie bali się wysuwać śmiałych hipotez. Był jednak boleśnie świadom, jak niewiele czasu ma na ocalenie dwóch porwanych kobiet i jak niewiele środków, które pomogłyby mu je odnaleźć.

-

Będziemy musieli zaryzykować - oświadczył głośno. - Założymy, że kamfen pochodzi z lamp, a nie z kosmetyków, i tym się będziemy kierować. Posłuchaj, Mel, wyślę ci jeszcze fotokopię klucza. Chciałbym, żebyś go zidentyfikował.

-

Łatwa sprawa. Od samochodu?

-

Nie wiem.

-

Od domu? - Nie wiem.

-
Stary, nowy?-Nie mam pojęcia.

- Więc jednak nie będzie to takie łatwe - zasępił się Coope- Ale prześlij mi to zdjęcie, zobaczymy, co się da zrobić.

Po zakończeniu rozmowy Rhyme poprosił Bena, by ten sporządził odbitki obu stron klucza i przesłał je faksem do Coope-ra. Potem spróbował połączyć się z Sachs przez krótkofalówkę.

Nie działała. Zadzwoił na telefon komórkowy.

-
Słucham?-Sachs, to ja.

-
Co się stało z radiem? - spytała.

-
Nie ma odbioru.

-W którą stronę mamy iść, Rhyme? Jesteśmy po drugiej stronie rzeki, ale zgubiliśmy ślad. I prawdę mówiąc... - zniżyła głos do szeptu - ...miejscowi się niecierpliwią. Lucy chce mnie ugotować na kolację.

- Skończyłem już podstawowe badania, ale nie wiem, co zrobić z wynikami. Czekam na tego człowieka z fabryki w Blackwa-ter Landing, Henry'ego Davetta. Powinien się tu zjawić ładmoment. Posłuchaj, Sachs, jest coś jeszcze, o czym muszę ci powiedzieć. Znalazłem wyraźne ślady amoniaku i azotanów naubrani Garretta i w jego bucie.

-Bomba? - spytała Sachs, poważnie zaniepokojona.

-Na to wygląda. A ta żyłka wędkarska, którą znalazłaś w jego pokoju, praktycznie nie nadaje się do łowienia, jest za słaba. Podejrzewam, że używał jej do robienia pułapek. Idź powoli i rozglądaj się uważnie. Nie dotykaj niczego, co wyda ci się podejrzane. No dobra, Sachs, posiedźcie tam jeszcze przez chwilę, nadzieję, że wkrótce będę miał dla was jakieś wskazówki.

Garrett i Lydia przeszli kolejne trzy lub cztery mile. Słońce stało już wysoko na niebie.

Dochodziło południe, nawet w lesie panował okropny upał. Woda, którą Lydia wypła w kamieniołomie, dawno już wyparowała z jej organizmu; dziewczyna znów czuła się bardzo osłabiona.

-Niedługo będziemy na miejscu - powiedział Garrett, jakby wyczuwając, że jego ofiara jest bliska kresu sił. - Tam jest chłodniej. I mam tam więcej wody.

Wyszli na otwartą przestrzeń. Obumarłe lasy, bagna. Żadnych dróg, budynków, tylko mnóstwo ścieżek rozchodzących się w różnych kierunkach. Nikt nie byłby w stanie odnaleźć tutaj ich śladów - ścieżki tworzyły prawdziwy labirynt.

Garrett wskazał jedną z nich. Po lewej ręce mieli skały, po drugiej strome urwisko wysokości dwudziestu stóp. Przeszli tą drogą jakieś pół mili, potem Garrett kazał się Lydii zatrzymać.

Obejrzał się za siebie.

Wyczerpana i zrezygnowana, Lydia oparła się o drzewo i patrzyła na chudego chłopca, na jego brudne nogi i ręce, wystające brwi i szalone oczy. Dopadną cię, ty gnoju, myślała.

Wyrwą ci

to popieprzone serce.

Kiedy Garrett upewnił się już, że nikt ich nie obserwuje, wszedł między krzaki i wrócił z nylonową żyłką, którą przeciągnął w poprzek ścieżki, tuż nad ziemią. Z góry żyłka była praktycznie

niewidoczna. Potem przywiązał ją do patyka, który podpierał szklaną butlę o pojemności trzech, czterech galonów, wypełnioną jakąś białą cieczą. Na wierzchu pozostało kilka rozlanych kropel płynu, i Lydia poczuła jego zapach - amoniak. Była przerażona; jako pielęgniarka miała już do czynienia z poparzeniami alkalicznymi. Taka ilość amoniaku mogła poważnie poparzyć nawet kilkanaście osób.

-Nie możesz tego zrobić - wyszeptała.

- Zamknij się, o nic cię nie pytałem. - Znów pstrykanie paznokciami. - Skończę z tym i idziemy do domu.

Do domu?

Lydia wpatrywała się w wielką butlę, którą Garrett okrywał teraz gałęziami. Wyobrażała sobie ludzi oblanych amoniakiem. Oślepionych, poparzonych, może nawet martwych.

Przed wielu laty Lydia należała do skautów, nie cierpiała jednak idiotycznych zadań, które dziewczyny musiały wykonywać dla uzyskania sprawności. Zazdrościła chłopakom, którzy uczyli się naprawdę pożytecznych rzeczy; jak sporządzać kompas, jak zbudować szałas w lesie, jak wycisnąć wodę z roślin, które jagody są jadalne, a które nie. Nie umiała poruszać się w terenie, miała jednak dobry zmysł orientacji; według jej obliczeń, zawędrowali jakieś pięć mil na północny wschód od Black-water Landing, choć Outer Banks Karoliny, będące celem ich podróży, znajdowały się na wschód od Tanner's Corner. Najwyżej Garrettowi zależało nie tyle na szybkim dotarciu do miejsca, gdzie przetrzymywał Mary Beth, ile na zmyleniu pogo ni i wciągnięciu jej jak najgłębiej w niebezpieczne tereny na północ od Paquo.

Czy mogła jakoś ostrzec Jima Bella i jego towarzyszy? Nie miała pojęcia, jak to zrobić ze związanymi rękami i pod ciągłą obserwacją Garretta. Poprzestała więc na modlitwie; prosiła swego anioła stróża, by czuwał nad tymi, którzy szli z pomocą.

Choć południowe słońce prażyło ich niemiłosiernie, Garrett zwiększył jeszcze tempo marszu, a Lydia musiała dotrzymać mu kroku. Miała wrażenie, że jej prześladowca z każdą minutą staje się coraz brudniejszy, że okrywa go coraz grubsza warstwa kurzu i suchych liści, jakby z każdym krokiem, który oddala go od cywilizacji, upodabniał się coraz bardziej do wielkiego owada. Przypominało jej to jakieś opowiadanie, które miała przeczytać w szkole, lecz którego nigdy nie dokończyła.

- Tam, na górze. - Garrett wskazał głową na szczyt wzgórza. -Tam się zatrzymamy. Rano pójdziemy nad ocean.

Jej ubranie przesiąknięte było potem. Dwa górne guziki uniformu rozpięły się po drodze, odsłaniając biały stanik. Chłopak wciąż zerkał na krągłości jej piersi. Teraz jednak wcale jej to nie obchodziło; pragnęła tylko uciec ze słońca, ukryć się w jakimś chłodnym miejscu, do którego zabierał ją Garrett.

Piętnaście minut później wyszli na niewielką polanę. Przed nimi wznosił się stary młyn, otoczony trzcina i wysoką trawą. Obok młyna płynął strumień, teraz w dużej mierze pochłonięty przez bagno. Jedno skrzydło budynku spłonęło w pożarze. Wśród ruin stał

samotnie okopcony komin - Lydia przypomniała sobie, że takie właśnie miejsca nazywano „pomnikami Sher-mana”, od nazwiska generała unionistów, który podczas marszu do morza palił wszystkie budynki, zostawiając za sobą jedynie zgliszcza i osmolone kominy.

Garrett zaprowadził ją do frontowej, niezniszczonej części młyna. Wepchnął ją do środka, zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi i zamknął je na zasuwę. Przez dłuższą chwilę stał przy wybitym

oknie, nasłuchując. Kiedy upewnił się już, że niktich nie ściga, podał jej butelkę z wodą. Miała ochotę wypić od razu całą zawartość, oparła się jednak pokusie. Napełniła usta, przez chwilę trzymała tam wodę, pozwalając, by ta obmyła jej wyschniętą śluzówkę, wreszcie przełknęła powoli.

Kiedy skończyła pić, Garrett wziął od niej butelkę, rozwiązał jej ręce i ponownie obwiązał je taśmą, tym razem za plecami. -Musisz to robić? - spytała.

Przewrócił oczami, zirytowany jej naiwnością, i nie odpowiedział. Potem posadził ją na podłodze. - Siedź tutaj i trzymaj gębę na kłódkę. Sam usiadł pod przeciwległą ścianą i zamknął oczy. Siedzieli tak przez pół godziny w kompletnym milczeniu, a Lydia doszła w tym czasie do przekonania, że nie tylko jej anioł stróż, ale i cała populacja okręgu Paquenoque porzuciła ją na pastwę losu.

Do pokoju wszedł Jim Bell, prowadząc przed sobą jakiegoś człowieka.

Był to mężczyzna po pięćdziesiątce o rzadkich włosach i okrągłej twarzy o regularnych rysach. Niósł przewieszoną przez ramię niebieską marynarkę, a jego biała koszula była idealnie wyprasowana i mocno nakrochmalona, choć pod pachami pojawiły się ciemne plamy potu. Prążkowany krawat przymocowany był spinką do koszuli.

Rhyme pomyślał najpierw, że to Henry Davett, lecz oczy kryminalistyką były jedną z niewielu części jego ciała, które wyszły z wypadku nienaruszone - a miał doskonały wzrok -

dzięki czemu mógł z odległości dziesięciu stóp przeczytać napis na spince od krawata: WWJD.

William? Walter? Wayne? Rhyme nie miał pojęcia, kim jest ów człowiek. Nieznajomy obrzucił go taksującym spojrzeniem i skinął głową. Wtedy Jim Bell powiedział:

-Henry, chciałbym ci przedstawić Lincolna Rhyme'a. Więc jednak Davett. Rhyme odpowiedział mu także skinieniem głowy. Spinka należała zapewne do jego ojca. William Ward Jonathan Davett. Pewność siebie, z jaką zachowywał się ten człowiek, wskazywała, że posługiwanie się czterema imionami nie sprawia mu większego kłopotu, czego nauczył się zapewne od swego ojca.

Wszedł dalej do pokoju. Ogarnął spojrzeniem wyposażenie prowizorycznego laboratorium.

-A, widzę, że zna pan chromatograf? - powiedział Rhyme, widząc błysk w oku Davetta.

-W dziale badawczo-rozwojowym mamy ich kilka. Ale ten model... - Pokręcił krytycznie głową.

- Nawet go już nie produkują. Dlaczego go używacie?

- Policyjny

budżet, Henry - westchnął Bell.-Przyślę tu jakiś lepszy.

- Nie

trzeba.

-

To gruchot - parsknął Davett. - Za dwadzieścia minut przywiozę nowy model.

-Analiza dowodów nie jest naszym największym problemem - wyjaśnił Rhyme. - Problemem jest ich interpretacja. Dlatego właśnie poprosiłem pana o pomoc. To Ben Kerr, mój asystent.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Ben był ogromnie zadowolony, że w pokoju znalazła się kolejna „normalna” osoba.

- Usiądź, Henry - powiedział Bell, podsuwając mu krzesło.

Mężczyzna skorzystał z zaproszenia, a potem pochylił się lekko i wygładził ostrożnie krawat.

Ten gest, jego postawa, taksujące, pewne siebie spojrzenia pozwoliły Rhyme'owi sformułować ocenę tego człowieka: czarujący, przyzwoity... i kawał twardego biznesmena.

Rhyme ponownie spojrzął na monogram. Nie był pewien, czy prawidłowo rozwiązał zagadkę.

-
Chodzi o te porwane kobiety, prawda? Bell skinął głową.

-
Nikt nie mówi o tym głośno, wszyscy jednak boimy się, że...

- spojrzął na Rhyme'a i Bena

- ... że on mógł już zgwałcić i zabić Mary Beth.

Dwadzieścia cztery godziny... Szeryf kontynuował:

-
Nadal jednak możemy ocalić Lydię, przynajmniej taką mamy nadzieję. Musimy też powstrzymać Garretta, nim zaatakują następną ofiarę.

Biznesmen dodał z gniewem:

- do tego Billy, ogromna szkoda. Słyszałem, że zginął, bo chciał zachować się jak prawdziwy chrześcijanin i ratować Mary Beth.

- Garrett

rozwalił mu głowę łopatą. To było naprawdę okropne.-Rozumiem więc, że zależy nam na czasie.

Co mogę zrobić? Zwrócił się do Rhyme'a.

- Mówił pan coś o interpretacji?

-Mamy pewne wskazówki, które być może pomogą nam ustalić miejsce pobytu Garretta.

Wiem, że zna pan dobrze ten teren, i chciałbym wykorzystać pańską wiedzę.

Davett skinął głową.

-
Owszem, znam tutejszy układ gleb. Studiowałem geologię inżynierię chemiczną. Od urodzenia mieszkam w Tanner's Cor-ner, więc znam okręg Paąenoke jak własną kieszeń.

Rhyme wskazał głową na listy wypisane przez Thoma na tablicy.

-Mógłby pan na to spojrzeć? Może te substancje skojarzą się panu z jakąś konkretną lokalizacją.

Bell dodał:

- Prawdopodobnie

będzie to miejsce, do którego mogą dojść na piechotę. Garrett nie prowadzi. Nie lubi samochodów.

Davett włożył okulary i odchylił głowę do tyłu, by objąć tablicę spojrzeniem.

Znalezione na pierwotnym miejscu przestępstwa - Blackwater Landing Chusteczka z krwią

Fragmenty wapienia

Azotany

Fosforany

Detergent

Kamfen

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - pokój Garretta Pismo skunksa

Ucięte igły sosnowe

Rysunki owadów

Zdjęcia Mary Beth i rodziny

Książki o owadach

Żyłka wędkarska

Pieniądze

Klucz niewiadomego przeznaczenia

Nafta

Amoniak Azotany Kamfen

Davett przejrzał listę od góry do dołu i z powrotem, kilka razy przymrużył oczy. Lekko zmarszczył brwi.

- Azotany i amoniak? Wie pan, co to może być?

Rhyme przytaknął.

-Myślę, że zostawił jakieś materiały wybuchowe, by powstrzymać pościg. Powiedziałem im o tym.

Krzywiąc się, Davett powrócił spojrzeniem do tablicy.

-Kamfen... zdaje się, że używano tego dawniej w lampkach.

Jak nafty.

-Zgadza się. Dlatego podejrzewamy, że miejsce, w którym przetrzymuje Mary Beth, jest stare. Dziewiętnasty wiek.

-Dokoła są tysiące starych domów i szop... Co jeszcze? Okru-chy wapienia... To też w niczym nam nie pomoże. Przez cały okręg Paąenoke biegnie wielki wapienny grzbiet. Kiedyś ludzie zbijali na tym fortuny.

- Davett wstał i nakreślił palcem ukośną linię na mapie, od południowego krańca Wielkiego Ponurego Bagna na południowy zachód, od kwadratu L-4 do C-14. -Wszędzie tu można znaleźć wapien. Możemy więc odrzucić ten ślad. Ale... - Cofnął się o krok i skrzyżował ręce na piersiach. - Fosforany to co innego. Karolina Północna to jeden z największych producentów fosforanu, ale nie wydobywa się go tutaj. Bardziej na południe. Łącząc to z detergentem, możemy powiedzieć, że przebywał gdzieś w pobliżu zanieczyszczonej wody.

-
Cholera - mruknął Jim Bell. - To znaczy tylko tyle, że był w Paąenoke.

-
Nie - pokręcił głową Davett. - Paąo jest czysta. Jej wodysą ciemne, ale to ze względu na Wielkie Bagno i jezioro Drummond.

-
Ach, ta magiczna woda - powiedział szeryf.

-
Co to takiego? - spytał Rhyme.

-Niektórzy spośród starszych mieszkańców okręgu nazywają wodę z Wielkiego Bagna magiczną wodą - wyjaśnił Davett. -Pełno w niej kwasu taninowego z gnijących cyprysów i jałowców. Kwas zabija bakterie, więc woda pozostaje świeża przez długi czas. Zanim wynaleziono lodówki, zabierano ją na statki wypływające w długie rejsy. Ludzie uważali, że ta woda ma magiczne właściwości.

-Więc na co wskazywałyby te fosforany? - spytał Rhyme, który nie interesował się nigdy lokalnymi legendami, jeśli te nie były przydatne w jego pracy.

Davett spojrział na Bella.

- Gdzie porwał tę drugą dziewczynę?

-W tym samym miejscu co Mary Beth. Blackwater Landing. - Bell dotknął mapy i przesunął

palec na północ, na kwadrat H-9. - Przepłynął rzekę, poszedł do chatki myśliwskiej, mniej więcej tutaj, a potem przebył jakieś pół mili na północ. Tutaj nasza grupa zgubiła ślad.

Czekają teraz na wskazówki.

-Och, w takim razie sprawa jest prosta - oświadczył Davett z obiecującą pewnością siebie.

Przesunął palec na wschód. -Przekroczył Stone Creek. Widzicie? Niektóre z tamtejszych wodospadów wyglądają jak piana na piwie. W tym mieście nie mają pojęcia o urbanistyce i ochronie środowiska.

-Dobrze - skinął głową Rhyme. - Wiemy już, że przekroczył ten strumień. Gdzie mógł pójść potem?

Davett znów spojrzął na listę.

-Znaleźliście igły sosnowe, przypuszczam więc, że poszedł tędy. - Biznesmen postukał palcem w kwadraty 1-5 i J-8. - W Karolinie Północnej jest bardzo dużo lasów sosnowych, ale w tej okolicy mamy głównie stare dęby, cedry, cyprysy i tupelo. Jedyne duże lasy sosnowe są na północnym wschodzie. Tutaj. Po drodze do Wielkiego Bagna. - Davett wpatrywał się jeszcze przez chwilę w obie listy, potem pokręcił głową. - Obawiam się, że nie mogę powiedzieć nic więcej. Ile zespołów wysłaliście w pościg?

-

Jeden - odparł Rhyme.

-

Co? - Davett odwrócił się do niego. -Tylko jeden? Nie przeczesujecie terenu?

-

Nie - odparł Bell, zbity z tropu nagłym atakiem biznesmena.

-Ilu ludzi?

- Czworko.

Davett parsknął głośno.

- To

szaleństwo. - Machnął ręką w stronę mapy. - Macie tutajsetki mil kwadratowych.

To jest Garrett Hanlon... Owadzi Król.On praktycznie mieszka na północ od Paquo. W ten sposób nigdy go nie znajdziecie.

Szeryf odchrząknął niepewnie.

-Detektyw Rhyme uważa, że lepiej nie angażować do tego zbyt wielu ludzi.

-W takiej sytuacji ludzi nigdy nie jest zbyt wielu - zwrócił się Davett do Rhyme'a. - Powinien pan wziąć pięćdziesięciu mężczyzn, dać im broń i przeczesywać teren kawałek po kawałku.

Źle się pan do tego zabrał.

Rhyme zauważył, że Ben słucha wykładu Davetta z umęczoną miną. Zoolog zakładał zapewne, że w sporze z inwalidą po prostu musi się stosować metodę twardej ręki.

Kryminalistyk odparł spokojnie:

-Wielkie polowanie tylko przyspieszyłoby ucieczkę Garretta i naraziło ofiary.

- Nie. - Davett pokręcił gwałtownie głową. - Raczej przestraszyłby się i wypuścił dziewczyny.

W tej chwili w mojej fabryce pracuje jakieś czterdzieści pięć osób. Około dziesięciu z nich to kobiety. Nie możemy ich narażać. Ale mężczyźni... Zaraz ich tu sprowadzę. Znajdziemy jakąś broń. Rozstawimy ich w okolicy Stone Creek i tam zaczniemy poszukiwania.

Rhyme wolał sobie nie wyobrażać, co zrobiłoby pięćdziesięciu amatorów w takiej sytuacji.

Pokręcił głową.

-

Nie, potrzebujemy tylko jednego małego zespołu. To musibyć chirurgiczne cięcie. Znajdziemy go.

Davett odwrócił się od mapy i oświadczył z mocą:

-

Uważam, że się pan myli.

-

Henry - wtrącił Bell. - Powierzyłem panu Rhyme'owi prowadzenie tych poszukiwań. Jesteśmy mu bardzo wdzięczni za pomoc.

Część tego oświadczenia skierowana była do Rhyme'a - szeryf przeproszał go w ten sposób za zachowanie Davetta.

Kryminalistyk jednak ogromnie się cieszył z przybycia tego człowieka. Choć było to dlań szokujące odkrycie, Rhyme - który nigdy nie wierzył we wróżby czy przepowiednie -

odbierał obecność Davetta jako dobry znak, zapowiedź tego, że operacja się powiedzie i że jego stan ulegnie znacznej poprawie. Takim optymizmem napawała go właśnie ta krótka, ostra wymiana zdań, podczas której biznesmen spojrzał mu prosto w oczy i powiedział, że się myli. Davett w ogóle nie zwracał uwagi na jego stan; widział tylko czyny Rhyme'a, jego decyzje i jego podejście. Kryminalistyk miał nadzieję, że magiczne dłonie doktor Weaver przybliżą go o krok do miejsca, gdzie wszyscy traktowaliby go w ten sposób.

Oczywiście był wdzięczny Davettowi za wskazanie prawdopodobnej drogi ucieczki Garretta.

Jednak równie istotna była dlań bezpośredniość, z jaką wyrażał się biznesmen. Zrozumiał, że właśnie tego potrzebuje, by umocnić się w swej decyzji i poddać operacji, bo - choć nigdy nie przyznał się do tego przed Sachs - nie był do końca przekonany, czy jest to słuszny krok.

Teraz, dzięki tej rozmowie, pragnął operacji bardziej niż kiedykolwiek.

-Doceniam pańskie uwagi - powiedział spokojnie. - Ale myślę, że będziemy prowadzić to dalej tak, jak zaczęliśmy.

Biznesmen wcale nie czuł się urażony odmową.

-Cóż, to twój wybór - powiedział do Bella. - Ja zrobiłbym inaczej, ale na tym właśnie polega urok wyścigów koni. Będę się modlił za te dziewczyny. - Potem spojrzał na Rhyme'a. - Będę się też modlił za pana. - Spojrzenie trwało nieco dłużej niż przy zwykłym pożegnaniu, a Rhyme zrozumiał, że ostatnia obietnica była zupełnie szczerą - i dosłowną.

Zrozumiał też coś jeszcze, a kiedy Davett wyszedł z pokoju i zniknął w korytarzu, zwrócił się do Bella:

-

Jego spinka do krawata. „J” znaczy Jezus?Bell roześmiał się głośno.

-Zgadłeś. Och, Henry bez najmniejszych skrupułów doprowadziłby konkurencję do bankructwa, ale jest diakonem w miejscowym kościele. Chodzi na mszę co najmniej trzy razy w tygodniu. Chciałby wysłać za Garrettem całą armię, bo uważa, że chłopak jest poganinem.

Rhyme nadal nie mógł rozszyfrować reszty skrótu.

-Poddaję się. Co znaczą pozostałe litery?

-

„What Would Jesus Do?\"*. Wszyscy miejscowi chrześcijanie zadają sobie to pytanie, kiedy muszą podjąć jakąś ważną decyzję. Ja osobiście nie mam pojęcia, co zrobiłby Jezus, gdyby siedział tutaj z nami. Wiem tylko, że powinniśmy natychmiast zadzwonić do Lucy i pańskiej przyjaciółki i podać im właściwy kurs.

- Stone Creek? - powtórzył Jesse Corn, kiedy Sachs zdała swym towarzyszom relację z tego, co powiedział jej Rhyme. - To pół mili stąd.

Wszedł w gęstwinę krzewów. Za nim szły Lucy i Amelia, pochód zaś zamykał Ned Spoto, który rozglądał się czujnie dokoła.

Po pięciu minutach wyszli na dobrze udeptaną ścieżkę. Jesse wskazał im kierunek - na prawo, na wschód.

* Co zrobiłby Jezus?

-

To jest właśnie ta ścieżka? - zwróciła się do Lucy Sachs. - Ta, o której mówiliście wcześniej?

-

Zgadza się - odparła Lucy.

- Więc mieliście rację - powiedziała Sachs cicho, tylko dla jej uszu. - Ale mimo to musieliśmy poczekać.

- Nie, to ty musiałaś pokazać, kto tu rozkazuje - sprostowała Lucy spokojnie.

Zgadza się, przyznała w duchu Sachs. Potem dodała:

- Ale teraz wiemy, że na trasie jest prawdopodobnie bomba. Przedtem tego nie wiedzieliśmy.

- I tak bym uważała - wzruszyła ramionami Lucy i w milczeniu kontynuowała marsz. Lekko pochylona, nie odrywała spojrzenia od ścieżki, udowadniając w ten sposób, że zauważyłaby jedynie wyjątkowo prymitywne pułapki.

Po dziesięciu minutach doszli do Stone Creek, szerokiego strumienia o białej wodzie, pokrytej pianą zanieczyszczeń. Na brzegu znaleźli ślady dwóch osób; niewielkie, lecz głęboko odcisnięte ślady tenisówek, pozostawione przez ciężką kobietę - bez wątplenia była nią Lydia. Obok widniały odciski bosych stóp. Garrett najwyraźniej pozbył się drugiego buta.

- Przejdźmy tutaj - zaproponował Jesse. - Znam te lasy, o których mówił pan Rhyme.

Tędy dotrzemy do nich najszybciej.

Sachs ruszyła w stronę wody.

-

Poczekaj! - krzyknął za nią Jesse.

Sachs przykucnęła raptownie, sięgając jednocześnie po broń.

-

O co chodzi? - spytała.

Lucy i Ned, którzy skwitowali jej reakcję drwiącymi uśmiezkami, siedzieli na kamieniach i zdejmowali buty i skarpetki.

- Jeśli przemoczysz buty i skarpetki - wyjaśniała Lucy - nim ujdiesz sto jardów, będziesz potrzebowała całego zwoju bandaży. Mówię o pęcherzach.

- Nieczęsto chodzi pani na wycieczki w góry, co? - spytał Ned. Jesse Corn skwitował tę uwagę głośnym śmiechem. - Przecież ona mieszka w mieście, Ned. Ty wiedziałbyś tyle samo o metrze i drapaczach chmur.

Sachs zignorowała obie te uwagi. Ściągnęła buty i krótkie, czarne skarpetki, potem podwinęła

nogawki dżinsów. Weszli do strumienia. Woda była cudownie chłodna i orzeźwiająca. Kiedy dotarli do drugiego brzegu, żałowała, że nie może zostać dłużej w tym miejscu. Poczekali kilka minut, aż obeschną im nogi, po-tem z powrotem włożyli skarpetki i buty. Po krótkich poszukiwaniach ponownie odnaleźli ślady Garretta i Lydii. Weszli za nimi w las, kiedy jednak ziemia stała się twardsza, a potem zniknęła pod grubą warstwą krzewów, znów zgubili trop.

-Las sosnowy ciągnie się w tę stronę - powiedział Jesse, wskazując na północny wschód. - Na pewno poszli właśnie tam. Kierując się tą wskazówką, szli przez kolejnych dwadzieścia minut, jeden za drugim, wypatrując uważnie jakichkolwiek śladów na ziemi. Potem dęby, ostrokrzewy i turzyca ustąpiły miejsca jałowcom i cykucie. Przed nimi, jakieś ćwierć mili dalej, ciągnęła się potężna ściana sosen. Nadal jednak nie znaleźli tropu porywacza i jego ofiary - nie mieli pojęcia, w którym miejscu ci weszli do lasu.

-
Cholernie wielkie - mruknęła Lucy. - Jak my ich tutaj znajdziemy?

-Rozejdźmy się - zaproponował Ned. Potem spojrział z niesmakiem na warstwę roślinności pod ich nogami. - Jeśli zostawił tutaj bombę, to i tak sam diabeł by jej nie zauważył.

Już mieli się rozsypać w szereg, kiedy Sachs uniosła głowę.

- Poczekajcie.

Zostańcie tutaj na chwilę.

Powoli weszła między krzewy, pochylając nisko głowę, wypatrując pułapki. Zaledwie pięćdziesiąt stóp dalej, obok drzewa, którego przekwitłe pąki zaścielały ziemię warstwą gnijącego kompostu, odnalazła ślady dwóch osób odcisnięte w miękkiej ziemi. Prowadziły na ścieżkę, zmierzającą prosto do sosnowego lasu.

-Poszli tędy! - zawołała. - Idźcie po moich śladach, sprawdziłam, czy nie ma pułapek.

Po chwili wszyscy troje stali obok Sachs.

-Jak to znalazłaś? - spytał Jesse Corn, spoglądając na nią z podziwem.

-A co czujesz? - odpowiedziała pytaniem Sachs.

- Skunksa - rzekł Ned.

-W pokoju Garretta znalazłam spodnie przesycone zapa chem skunksa - wyjaśniła Sachs. -

Przypuszczałam, że przechodził tędy już wcześniej. Kierowałam się więc zapachem.

-Nieźle jak na dziewczynę z miasta, co? - powiedział Jesse, spoglądając triumfalnie na Neda.

Ten przewrócił tylko oczami i wszyscy ruszyli w górę ścieżki, w stronę linii sosnowych drzew.

Kilkakrotnie przechodzili po drodze przez wielkie, ogołoczone z roślinności obszary. Sachs czuła się na nich bardzo nieswojo; grupa była odsłonięta ze wszystkich stron. W razie ataku zostaliby wystrzelani jak kaczki. Kiedy mijali trzecią taką polanę, a w martwych resztkach krzaka zaszeleścił jakiś ptak, Sachs nie wytrzymała i sięgnęła po telefon komórkowy.

-Rhyme, jesteś tam?

-
O co chodzi? Znaleźliście coś?

-
Mamy trop, ale chodzi mi o coś innego. Czy z dowodów wynika, że Garrett zajmował się strzelaniem?

-
Nie - odparł Rhyme. - Dlaczego?

-W lesie są wielkie, nagie polany. Kwaśne deszcze albo jakieś inne zanieczyszczenia zniszczyły tu całą roślinność. Nie mamy żadnej osłony. To idealne miejsce na zasadzkę.

-

Nie znalazłem żadnych śladów, związanych z bronią. Mamyazotany, ale gdyby pochodziły z amunicji, znaleźlibyśmy też drobinki prochu, tłuszcz, kordyt, piorunian rtęci.

Nie ma żadnej z tych substancji.

-

Co znaczy tylko tyle, że nie strzelał ostatnio.

- To

prawda. Zakończyła rozmowę.

Rozglądając się bezustannie dokoła, przeszli kolejnych kilka mil. Ukołysani gorącym, aromatycznym powietrzem i brzęczeniem owadów, nadal trzymali się ścieżki, na której znaleźli ślady Garretta i Lydii, choć te nie były już widoczne. Sachs zastanawiała się, czy nie przegapili...

- Stać! - krzyknęła Lucy Kerr. Opadła na kolana.

Ned i Jesse zamarli w bezruchu. Sachs błyskawicznie wyciągnęła broń. Potem zobaczyła, co przstraszyło Lucy; cienki stalowy drucik nad ścieżką.

-

A niech to... - szepnął Ned. - Jak to wypatrzyłaś?

Lucy nie odpowiedziała. Podeszła na klęczkach do skraju ścieżki, delikatnie rozsunęła na boki gałęzie krzewów. Gorące, kruche liście szeleściły cicho, kiedy podnosiła je jeden po drugim.

- Może wezwiemy saperów z Elizabeth City? - zaproponował Jesse.

-

Szszs... - Lucy przyłożyła palec do ust. Kolejne liście, bardzo powoli.

Sachs wstrzymała oddech. Niedawno została ofiarą bomby. Nie odniosła poważniejszą sekundę naparł na nią ogłuszający huk, żar, fala ciśnienia i cała chmura odłamków. Nie chciała przeżyć tego jeszcze raz. I Wiedziała, że często bomby sporządzane przez terrorystów czy porywaczy wypełnione są fragmentami metalu lub drobnymi monetami, które w momencie wybuchu zamieniają się w śmiertelne szrapnele. Czy Garrett też by to zrobił?

Przypomniała sobie jego zdjęcie; mętne, zapadnięte oczy. Przypomniała sobie słoje z owadami i śmierć tamtej kobiety z Blackwater Landing - użądlna sto trzydzieści siedem razy.

Przypomniała sobie Eda Schaeffera pokąsanego przez rozwścieczone szerszenie. Tak, uznała wreszcie, Garrett nie cofnąłby się przed niczym.

Skuliła się, kiedy Lucy odgarnęła ostatnie liście.

Policjantka odetchnęła głęboko i usiadła na piętach.

- To tylko cholerny pająk - mruknęła.

Sachs także to zobaczyła. Nad ścieżką przeciągnięta była długa, gruba pajęczyna, a nie drut czy żyłka wędkarska.

Wszyscy się podnieśli.

- Pająk - parsknął śmiechem Ned.

Jesse także chichotał.

Ich śmiech wcale jednak nie był radosny. Sachs zauważyła, że kiedy ponownie ruszyli w drogę, wszyscy jeszcze baczniej obserwują ścieżkę i miejsca, w których stawiają stopy.

Lincoln Rhyme siedział z głową odchyłoną do tyłu, wpatrzony w tablicę.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - pokój Garretta Pizmo skunksa

Ucięte igły sosnowe

Rysunki owadów

Zdjęcia Mary Beth i rodziny

Książki o owadach

Żyłka wędkarska

Pieniądze

Klucz niewiadomego przeznaczenia

Nafta Amoniak Azotany Kamfen.

Westchnął gniewnie. Czuł się całkowicie bezradny. Dowody niczego nie wyjaśniały. Jak ryba bez wody... Jeszcze raz przebiegł wzrokiem całą listę i zatrzymał się na pozycji Książki o owadach. Spojrzał na Bena. -Więc jesteś studentem, tak?

- Zgadza

się.

-Na pewno dużo czytasz.

-Tak spędzam większość czasu - jeśli nie jestem w polu. Rhyme wpatrywał się w grzbiety książek, które Amelia przyniosła z pokoju Garretta, i rozmyślał głośno:

-

Co mówią o człowieku jego ulubione książki? Prócz rzeczyoczywistej, to znaczy, że interesuje się on danym tematem.

-

Jak to?

- Cóż, jeśli ktoś czyta głównie poradniki, to jest zapewne osobą dość różną od tej, która czyta głównie powieści. Książki Garretta to publikacje popularnonaukowe. Co o tym sądzisz?

-Nie wiem, proszę pana. -Wielkolud znów mimowolnie zerknął na nogi Rhyme'a, potem skierował uwagę na list na tablicy. -Właściwie to ja się nie znam na ludziach - wymamrotał. -

Wolę zwierzęta. Są bardziej przewidywalne, bardziej społeczne i bardziej konsekwentne niż ludzie. I znacznie inteligentniejsze.

- Zrozumiał, że mówi nie na temat, i umilkł raptownie, czerwieniąc się aż po korzonki włosów.

Rhyme raz jeszcze spojrzął na książki.

- Thom, mógłbyś mi przynieść ramkę do odwracania kartek?

- Urządzenie podłączone do JS - Jednostki Sterowania - reagowało na ruch jedyne go palca, którym mógł poruszać Rhyme, i zapomocą specjalnej gumowej wypustki przewracało stronicęksiążek. - Jest w furgonetce, prawda?

- Tak

myślę.

-Mam nadzieję, że ją zabrałeś. Kazałem ci ją zabrać.

- Powiedziałem, że tak myślę - odparł spokojnie młody człowiek. - Pójdę sprawdzić. -

Wyszedł z pokoju.

I znacznie inteligentniejsze... Thom wrócił po chwili z ramką. -Ben! - zawołał Rhyme. -

Pierwsza książka z góry. -Ta? - spytał zoolog, patrząc na tytuł książki. Była to „Encyklopedia owadów Karoliny Północnej”.

-Włóż ją do tej ramki. - Rhyme przypomniał sobie o dobrym wychowaniu i dodał

łagodniejszym już tonem: - Gdybyś był tak uprzejmy...

Pomocnik pokazał Benowi, jak umocować książkę w ramce, a potem włączył kolejną wiązkę kabli do JS pod lewą ręką Rhyme^.

Kryminalistyk przeczytał pierwszą stronę, nie znalazł nic ciekawego. Potem jego umysł rozkazał palcowi serdecznemu poruszyć się. Z mózgu wypłynął impuls, który przemknął przez maleńki, jedyny żywy pośród miliona martwych akson w jego kręgosłupie, wreszcie dotarł do dłoni Rhyme'a i jego palca.

Palec przesunął się o ułamek cala.

Gumowa wypustka przewróciła stronę.

Szli ścieżką przez las, otoczeni oleistym zapachem sosen i słodkim aromatem jakiejś rośliny, którą mijali po drodze. Lucy Kerr rozpoznała ją jako lisią winorośl.

Wpatrując się w ścieżkę, szukając drutów czy żyłki ostrzegającej przed pułapką, Lucy zdała sobie nagle sprawę, że już od dawna nie widzieli śladów Garretta ani Lydii. Uderzyła się otwartą dłonią w szyję, przekonana, że chodzi po niej jakiś owad, okazało się jednak, że była to tylko kropla potu spływająca po jej skórze. Lucy czuła się dziś brudna, nieświeża. Przy innych okazjach -wieczorami czy podczas wolnych dni - uwielbiała przebywać na dworze, w swoim ogrodzie. Gdy tylko wracała z pracy, zamieniała mundur na wyblakłe szorty z K-Martu, koszulkę i granatowe roz-człapane tenisówki i natychmiast zabierała się do pracy w jednej z trzech części ogrodu otaczającego jasnozielony dom, który Bud bez wahania oddał

jej podczas rozwodu, chcąc w ten sposób uciszyć wyrzuty sumienia. Tam Lucy pielęgnowała swoje fiołki, żółte obuwiki, postrzępione orchidee i pomarańczowe lilie. Pełła chwasty, podwiązywała co słabsze rośliny, podlewała je i szeptała do nich czułe słowa, jakby były dziećmi, których nie doczekała się w małżeństwie z Buddym.

Czasami, kiedy musiała wyjeżdżać w teren, by sprawdzać, dlaczego w czyimś garażu stoi honda czy toyota należąca do kogoś innego, Lucy znajdowała rośliny, których nie miała dotąd w swojej kolekcji. Uporawszy się wtedy z wyznaczonym zadaniem, wykopywała roślinę i zabierała ją ze sobą do domu niczym bezdomnego kociaka. W ten sposób zdobyła kokoryczkę i piękny krzew indygowca, który pod jej troskliwą opieką wyrósł na sześć stóp w górę.

Jej spojrzenie prześlizgiwało się teraz po roślinach, które mijali w drodze przez las; czarny bez, ostrokrzew górski, włosokwiat raweński. Przeszli obok krzewu jałowca i dzikiego ryżu - wyższego co najmniej o kilka cali od przeciętnego człowieka, z liśćmi ostrymi jak brzytwa. Dalej rósł krzak sąaw, pasożytnicze zioło, który Lucy знаła także pod inną nazwą - trędowniko-wiec. Zerknęła nań z zaciekawieniem, potem jednak znów zaczęła bacznie obserwować ziemię pod nogami.

Ścieżka prowadziła do stromego, kamienistego zbocza o wysokości jakichś dwudziestu stóp.

Lucy Kerr bez trudu pokonała tę przeszkodę, zatrzymała się jednak na szczycie. Nie, coś tu jest nie tak, pomyślała.

Obok niej stanęła Amelia Sachs, rozejrzała się dokoła. Wkrótce pojawili się także Jesse i Ned.

Jesse dyszał ciężko, ale Ned, zapalony pływak i turysta, był wręcz zadowolony z tej drobnej odmiany w monotonnej wędrówce.

-

O co chodzi? - spytała Amelia, patrząc na ściągnięte brwi Lucy.

-

To nie ma sensu.

-

Co nie ma sensu?

-

Garrett na pewno tędy nie szedł.

-

Szliśmy ścieżką, tak jak powiedział nam pan Rhyme - odezwał się Jesse. - To jedyny fragment lasu sosnowego, jaki spotkaliśmy po drodze. Ślady Garretta prowadziły w tę stronę.

-Owszem, prowadziły, ale nie widzieliśmy ich już od kilku mil.

- Dlaczego

myślisz, że tędy nie szedł? - spytała Amelia.

-Spójrz tylko, co tutaj rośnie. Coraz więcej roślin bagiennych. Stoimy teraz na wzgórzu, więc możemy obejrzeć okolicę. Popatrz, ziemia jest coraz bardziej podmokła. Pomyśl chwilę, Jesse. Dokąd zaszedłby tędy Garrett? Przecież kierujemy się prosto na Wielkie Ponure.

-

Co to takiego? - dopytywała się Sachs. -To Wielkie Ponure?

-

Ogromne bagno, jedno z największych na Wschodnim Wybrzeżu - wyjaśnił Ned.

-Nie znajdzie tu żadnych domów, dróg, żadnego schronienia - kontynuowała Lucy. - Mógłby jedynie przedostać się tędy do Wirginii, ale to zajęłoby mu co najmniej kilka dni.

Ned Spoto dodał:

-A o tej porze roku owady zjedzą tu człowieka żywcem, choćby wysmarował się cały najlepszym nawet środkiem. Nie wspominając już o węzach.

-Nie ma żadnych miejsc, w których mógłby się ukryć? Jaskiń? Opuszczonych domów? -

Sachs jeszcze raz rozejrzała się wokół.

-Żadnych jaskiń - pokręcił głową Ned. - Może kilka starych budynków. Ale ten teren zmienia się z roku na rok. Bagno podchodzi coraz dalej, wiele starych domów i chat jest już pod wodą. Lucy ma rację. To ślepa uliczka, a Garrett wie o tym równie dobrze jak my.

- Myślę, że powinniśmy zawrócić - powiedziała Lucy.

Spodziewała się wybuchu gniewu ze strony Amelii, ta jednak wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła.

-Jesteśmy w lesie sosnowym, Rhyme - powiedziała do słuchawki. - Jest tu ścieżka, ale nic nie wskazuje na to, żeby Garrett tędy szedł. Lucy mówi, że to by nie miało sensu, że na północ są tylko bagna. Nie miałyby dokąd uciec.

-Myślę, że poszedł prosto na zachód - powiedziała Lucy. -Albo na południe, z powrotem przez rzekę.

-Mógł też pójść do Millerton - zasugerował Jesse.

Lucy skinęła głową.

-Jest tam sporo opustoszałych fabryk, których właściciele przenieśli interesy do Meksyku.

Banki zajęły większość z nich. Nie brakuje też pustych domów, w których można się ukryć.

Amelia powtórzyła to wszystko Rhyme'owi.

A Lucy Kerr pomyślała: jaki to dziwny człowiek.

Policjantka z Nowego Jorku wysłuchiwała poleceń i skończyła rozmowę.

-

Lincoln mówi, żebyśmy szli dalej tędy. Dowody nie wskazują, by szedł na południe.

-

Na południu i zachodzie też trafiają się sosny - warknęła Lucy.

Ale rudowłosa kręciła tylko głową.

- Być może to logiczne, ale dowody mówią co innego. Idziemy dalej.

Ned i Jesse patrzyli raz na jedną, raz na drugą kobietę. Lucy zerknęła na twarz Jesse'a i zrozumiała, że nie może oczekiwać od niego żadnego wsparcia. Potem oświadczyła głośno:

-Nie. Uważam, że powinniśmy wrócić i znaleźć miejsce w którym zeszedliśmy ze ścieżki.

Amelia pochyliła głowę, spojrzała prosto w oczy Lucy.

-Wiesz co... Jeśli chcesz, możemy zadzwonić do Jima Bella.

Przypominała jej w ten sposób, że - zgodnie z poleceniem Ji-ma - to Lincoln Rhyme kieruje operacją i że on właśnie powierzył Amelii przywództwo nad całą grupą. To było szalone - mężczyzna i kobieta, którzy nigdy nie byli w Karolinie Północnej, którzy nie znali terenu ani ludzi z tych okolic, mówili ich długoletnim mieszkańcom, co mają robić.

Lucy Kerr wiedziała jednak, że podjęła pracę, w której podobnie jak w wojsku, należy bezwzględnie poddać się rozkazom przełożonego.

-Dobrze - mruknęła. - Ale powtarzam przy świadkach, że moim zdaniem, nie ma to sensu.

Odwróciła się i ruszyła w górę ścieżki, zostawiając innych za sobą. Jej kroki ucichły nagle, kiedy weszła na gruby dywan sosnowych igieł, pokrywających ścieżkę.

Zadzwonił telefon Amelii, ta zwolniła, by odebrać.

Lucy kroczyła szybko przez miękką warstwę igieł, starając się pohamować gniew. Była pewna, że Garrett nie szedł tą drogą. Tracili tylko czas. Powinni mieć psy. Powinni zadzwonić do Elizabeth City i wezwać policyjne helikoptery. Powinni...

Świat zawirował jej nagle przed oczami, runęła gwałtownie do przodu, rozkładając szeroko ręce, by wyhamować upadek.

-Jezu! - zdążyła jeszcze krzyknąć, nim uderzyła boleśnie o ziemię i straciła oddech.

-Nie ruszaj się - powiedziała Amelia Sachs, podnosząc się z ziemi. To właśnie ona przewróciła Lucy.

- Dlaczego to zrobiłaś? - wykrztusiła Lucy. Piekły ją dłonie, otarte podczas upadku.

-Nie ruszaj się! Ned i Jesse, wy też.

Ned i Jesse zamarli w miejscu. Trzymając ręce na broni, rozglądali się dokoła niepewnie.

Amelia, która także ucierpiała podczas upadku, ostrożnie zeszała z sosnowych igieł i odszukała w lesie długi patyk. Potem ruszyła naprzód, powoli, krok po kroku, delikatnie wsuwając patyk między igły.

Dwie stopy przed Lucy, w miejscu gdzie zamierzała właśnie postawić krok, patyk zniknął pomiędzy sosnowymi gałęziami.

-To pułapka.

-

Ale tu nie ma żadnego drutu - odparła Lucy. - Patrzyłam. Amelia ostrożnie uniosła gałęzie i igły, odsłaniając gęstą sieć

utkaną z żyłki wędkarskiej. Pod spodem znajdował się dół o głębokości dwóch stóp.

-
Żyłka nie była rozciągnięta nad ścieżką. To wilczy dół - powiedział Ned. - Omal do niego nie wpadłaś, Lucy.

-A co jest w środku? Bomba? - pytał Jesse. -Podaj mi swoją latarkę - poprosiła go Amelia. Kiedy Jesse spełnił jej prośbę, oświetliła na moment wnętrze dołu i szybko się wycofała.

-
Co tam jest? - spytała Lucy.

-
Nie bomba - pokręciła głową Amelia. - Gniazdo szerszeni.Ned także zajrzał do środka.

-
Chryste, co za gnojek...

Amelia ostrożnie uniosła pozostałe gałęzie, odsłaniając wilczy dół i gniazdo wielkości piłki futbolowej.

-Boże - mruknął Ned i zamknął oczy, wyobrażając sobie zapewne, co mogłoby się stać z człowiekiem oblepionym od pasa w dół rojem rozwścieczonych szerszeni.

Lucy potarła dłonie - wciąż piekły ją po upadku. Powoli podniosła się z ziemi. - Skąd wiedziałaś?

-Ja nic nie wiedziałam. To Lincoln do mnie zadzwonił. Przeglądał książki Garretta. W jednej z nich znalazł podkreślony opis owada zwanego mrówkolwem. Mrówkolw wykopuje dół i żądli wroga, który do niego wpadnie. Garrett zakreslił ten opis, a tusz miał dopiero kilka dni.

Rhyme skojarzył to z uciętymi igłami sosny i żyłką. Pomyślał, że chłopak mógł wykopać dół i włożyć do niego bombę, a całość nakryć sosnowymi gałęziami.

-
Spalmy to gniazdo - zaproponował Jesse.

-
Nie - sprzeciwiła się Amelia.

-
Ale ono jest niebezpieczne.

Lucy zgodziła się z nowojorską policjantką.

-Dym zdradziłby naszą pozycję. Zostawmy to odkryte, żeby nikt nie wpadł do środka. Potem tu wrócimy i zajmujemy się gniazdem. Zresztą i tak prawie nikt tędy nie chodzi.

Amelia skinęła głową. Potem ponownie sięgnęła po telefon komórkowy.

- Znaleźliśmy to, Rhyme. Nikomu nic się nie stało. To nie była bomba, włożył do dołu gniazdo szerszeni... Dobrze, będziemyostrożni... Czytaj dalej tę książkę. Daj nam znać, jak znów znajdziesz coś ciekawego.

Ruszyli w dalszą drogę. Przeszli dobre ćwierć mili, nim Lucy znalazła w sobie dość sił, by powiedzieć:

- Dziękuję. Tym razem to ty miałaś rację, a ja się myliłam. -Zamilkła na dłuższą chwilę, wreszcie dodała: - Jim miał jednakdobry pomysł, kiedy postanowił ściągnąć was z Nowego Jorku.Przyznam, że początkowo nie byłam zachwycona, ale trudnospierać się z faktami.

Amelia zmarszczyła brwi.

-
Ściągnąć nas z Nowego Jorku?

-
Do pomocy.

-
Jim wcale tego nie zrobił.

-
Co? - Tym razem to Lucy mocno się zdziwiła.

-
Byliśmy w Centrum Medycznym w Avery. Lincoln czeka na operację. Jim dowiedział się, że tutaj jesteśmy, przyjechał więc rano i spytał, czy nie zechcielibyśmy rzucić okiem na kilka dowodów.

Długa pauza. Wreszcie Lucy roześmiała się, wyraźnie odprężona.

-A ja myślałam, że wydał nasze pieniądze, żeby sprowadzić was tutaj po wczorajszym porwaniu. Amelia pokręciła głową.

-Operacja ma się odbyć dopiero pojutrze. Mieliśmy trochę wolnego czasu. To wszystko.

-
Och, ten Jim. Nie wspomniał o tym ani słowem. Czasami naprawdę potrafi być tajemniczy.

-Martwiłaś się, że jego zdaniem, nie potraficie sobie sami poradzić z tą sprawą?

-
Chyba tak, tak właśnie myślałam.

-Kuzyn Jima pracuje z nami w Nowym Jorku. Powiedział mu, że przyjedziemy tu na kilka tygodni.

-
Zaraz, masz na myśli Rolanda? - upewniła się Lucy. - Przecież ja go znam. Znałam też jego żonę, zanim umarła. Rolandma fantastycznych synów.

-
Przyprowadził ich do nas niedawno na ognisko - powiedziała Amelia.

Lucy znów się roześmiała.

-Wychodzi na to, że zachowałam się jak idiotka... Więc byliście w Avery? W Centrum Medycznym? -Zgadza się. -Tam właśnie pracuje Lydia Johansson, wiesz?

- Nie wiedziałam.

Lucy zamyśliła się na moment, powracając do wydarzeń z przeszłości. Niektóre wspominała z miłym rozrzewnieniem, innych wolałaby unikać jak gniazda szerszeni, w które omal nie wpadła. Nie wiedziała sama, czy chce mówić o tym Amelii Sachs, czy też nie. Wreszcie zdecydowała się jedynie na ogólnikowe stwierdzenie:

-Dlatego właśnie tak bardzo zależy mi na tym, żeby ją uratować. Kilka lat temu miałam pewne problemy ze zdrowiem, a Lydia była jedną z moich pielęgniarek. To naprawdę bardzo dobry człowiek. Najlepszy.

-Znajdziemy ją - powiedziała Amelia tonem, który Lucy słyszała czasem - niezbyt często, ale jednak - we własnym głosie. Tonem niepozostawiającym żadnych wątpliwości.

Szli teraz nieco wolniej. Pułapka wystraszyła ich wszystkich, a upał był naprawdę nie do wytrzymania. Jesse puścił w obieg wodę. Nikt nie wytarł szyjki butelki, kiedy podawał ją dalej.

-Ta operacja, na którą czeka twój przyjaciel - wróciła do rozmowy Lucy. - Czy to dotyczy jego... sytuacji?

-Tak.

- O co chodzi? - spytała Lucy, widząc ponury grymas na twarzy swej towarzyszki.

-Prawdopodobnie ta operacja nic nie da.

-Więc czemu jej chce?

-Istnieje niewielka szansa, że jednak coś się zmieni na lepsze - wyjaśniła Sachs. - Bardzo niewielka szansa. To eksperymentalny zabieg. Nikt z tego rodzaju urazem - z tak poważnym urazem - nawet częściowo nie wyzdrowiał.

-

A ty nie chcesz, żeby on był operowany?

-Nie.

- Dlaczego
nie?

Amelia zawahała się na moment. -Bo to go może zabić. Albo pogorszyć jego stan. -A może być jeszcze gorszy?

-Rhyme może zapaść w śpiączkę. Albo stracić zdolność oddychania. Albo komunikowania się.

-Rozmawiałaś z nim o tym? -Tak.

-

Ale to nic nie dało - domyśliła się Lucy.-Nic.

Lucy skinęła głową.

- Wygląda na upartego człowieka.-Nie mogłaś określić tego łagodniej.

W pobliskich krzakach rozległ się nagle jakiś trzask. Nim dłoń Lucy odszukała pistolet, Amelia mierzyła już w pierś dorodnego dzikiego indyka. Wszyscy czworo uśmiechnęli się, lecz rozbawienie nie trwało długo, zastąpione przez niepokój i irytację, które niosła ze sobą adrenalina pompowana do ich serc.

Włożywszy broń do kabur, policjanci znów ruszyli naprzód, wpatrzeni w ścieżkę i milczący.

Sposób, w jaki ludzie reagowali na wygląd Rhyme'a, pozwalał podzielić ich na kilka różnych kategorii.

Niektórzy przyjmowali postawę cynicznych, bezpośrednich twardzieli. Czarny humor, żadnych ustępstw.

Niektórzy, jak Henry Davett, całkowicie ignorowali jego stan.

Jeszcze inni zachowywali się jak Ben - próbowali udawać, że Rhyme nie istnieje, i chcieli uciec od niego przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Właśnie tego rodzaju podejścia Rhyme nie cierpiał najbardziej - przypominało mu w najokrutniejszy sposób, jak bardzo różni się od innych. Nie miał jednak czasu, by analizować zachowanie swego zastępczego asystenta. Garrett prowadził Lydię coraz głębiej i głębiej w dziką głąszę. A Mary Beth McConnell być może umierała właśnie z braku powietrza, odwodnienia czy odniesionych ran.

Do pokoju wszedł Jim Bell.

-Mam dobre wiadomości ze szpitala. Ed Schaeffer powiedział coś do jednej z pielęgniarek.

Potem znów stracił przytomność, ale biorę to za dobry znak.

- Co powiedział? - zainteresował się Rhyme. - Coś o mapie, którą widział w tamtej chacie?

-Pielęgniarka powiedziała, że brzmiało to jak „ważne”, a potem „oliwka”.

- Bell podszedł do mapy. Dotknął miejsca na wschód od Tanner's Corner. - Tutaj jest nowe osiedle. Ulice nazywane są od różnych roślin i owoców. Jest tam też ulica Oliwek.^je to daleko na

południe od Stone Creek. Mam powiedzieć Lucy i Amelii, żeby to sprawdziły?

Ach, odwieczny konflikt, pomyślał Rhyme: wierzyć świadkom czy dowodom. Dla niego odpowiedź była jednoznaczna.

-
Powinny zostać tam, gdzie są, na północ od rzeki.

-
Jest pan pewny?

-Tak.

-
No dobrze - zgodził się niechętnie Bell.

Zadzwonił telefon. Rhyme odebrał go, poruszając serdecznym palcem lewej ręki.

W słuchawkach rozległ się głos Sachs.

-Utknęliśmy, Rhyme. Tutaj jest kilka ścieżek odchodzących w różnych kierunkach. Nie mamy pojęcia, którądy mógł pójść Garrett.

-Na razie nie mam dla ciebie nic nowego, Sachs. Próbujemy zidentyfikować więcej dowodów.

- Nie znalazłeś niczego w książkach?

-Żadnych konkretów. Ale to fascynujące - te książki to bardzo poważna lektura jak na szesnastolatka. Jest inteligentniejszy, niż myślałem. Dokąd doszliście? Określ dokładną pozycję. - Rhyme podniósł wzrok. - Ben! Podejdź do mapy, proszę.

Zoolog przemieścił swe wielkie ciało i zajął pozycję obok mapy.

Sachs skonsultowała się z którymś ze swoich towarzyszy. Potem powiedziała:

- Jakies cztery mile na północny wschód od miejsca, w którym przekroczyliśmy Stone Creek, praktycznie w prostej linii.

Rhyme powtórzył to Benowi, który przyłożył palec do wskazanego miejsca. Kwadrat L-7.

Tuż obok znajdował się regularny prostokątny kształt.

-Ben, wiesz może, co oznacza ten prostokąt?

-
Chyba stary kamieniołom.

-
O Jezu - mruknął Rhyme sfrustrowany, potrząsając głową.

-
Co takiego? - spytał Ben, znów wystraszony.-Dlaczego, do cholery jasnej, nikt nie powiedział mi, że

w pobliżu jest kamieniołom?

Ben przeraził się jeszcze bardziej; oczywiście wziął tę uwagę do siebie.

-Ja naprawdę...

Ale Rhyme nawet go nie słuchał. Mógł winić tylko siebie. Ktoś przecież wspominał przy nim o kamieniołomie - Henry Davett, który powiedział, że kiedyś ludzie zbijali tu fortuny na wydobywaniu wapienia. Jak inaczej mogli to robić? Rhyme powinien był wtedy od razu zapytać o kamieniołom. A azotany nie pochodziły z bomb, lecz z materiałów wybuchowych, którymi rozsadzano skały - tego rodzaju pozostałości utrzymują się przez dziesięciolecia.

-Jakies ćwierć mili na zachód od miejsca, w którym stoicie, jest kamieniołom, Sachs - powiedział do mikrofonu.

Pauza. Jakaś rozmowa w tle.

- Jesse wie, gdzie to jest - poinformowała go Sachs.

- Garrett tam był. Nie wiem, czy wciąż jeszcze nie jest, więc zachowajcie ostrożność. I pamiętajcie, że choć nie robił bomb, zostawia jednak pułapki. Zadzwoń, kiedy coś znajdziecie.

Teraz, kiedy Lydia uciekła już z Zewnątrz, kiedy nie umierała z gorąca i wyczerpania, zrozumiała, że musi poradzić sobie jakoś z wnętrzem. A to wydawało się równie przerażające.

Jej prześladowca przechadzał się od czasu do czasu po pomieszczeniu, wyglądał przez okno, potem przysiadł na piętach, pstrykał paznokciami, mruzczał coś do siebie, patrzył na jej ciało, potem znów zaczynał spacerować. W pewnym momencie spojrzął na podłogę, zatrzymał się i podniósł coś. Wsunął to do ust, parę razy poruszył szczękami i przełknął łapczywie. Lydia zastanawiała się, czy to jakiś owad, i ta myśl niemal przyprawiła ją o mdłości.

Siedziała oparta o ścianę, z rękami skrępowanymi taśmą. Znajdowali się w pokoju, który prawdopodobnie służył kiedyś za biuro. Widziała stąd korytarz, częściowo spalony, prowadzący do innego budynku - zapewne spichlerza i pomieszczenia z kamieniem młyńskim. Jasne popołudniowe światło wlewało się do środka przez otwory w nadpalonych ścianach i suficie. Wyobrażała sobie, jak jej anioł stróż zstępuje do młyna na jednym z takich słupów słonecznego blasku.

Kątem oka dostrzegła jakiś pomarańczowy przedmiot. Odwróciła się. W rogu pokoju leżała paczka Doritos, obok niej ziemniaczane chipsy Cape Cod i pojemnik z masłem orzechowym.

Zauważyła także krakersy z serem i masłem orzechowym, które Garrett jadł w kamieniołomie. Napoje w puszkach i wodę w butelkach. Nie widziała tego, kiedy weszli do młyna.

Po co mu to wszystko? Jak długo tu zostaną? Garrett powiedział, że tylko jeden dzień, ale przy takiej ilości zapasów mogliby przebywać tu i miesiąc. Czyżby ją okłamał?

- Czy Mary Beth jest cała i zdrowa? - spytała. - Nie zrobiłeś jej krzywdy?

- O pewnie, zaraz miałbym jej zrobić krzywdę! - oburzył się.

-

Nie, nic jej nie zrobiłem.

Lydia miała jednak wrażenie, że powiedział to za szybko, jakby już wcześniej ćwiczył odpowiedź na podobne pytanie. Odwróciła się i spojrzała na smugi światła przecinające pozostałości korytarza. Z dala dobiegało jakieś skrzywienie, zapewne obracającego się kamienia młyńskiego.

Tymczasem Garrett mówił do niej:

- Zabrałem ją tylko dlatego, żeby jej się nic nie stało. Chciała się wyrwać z Tanner's Corner.

Lubi plażę. A kto by, kurwa, nie lubił? Wszędzie jest lepiej niż w tym zaszranym Tanner's Corner.

- Strzelał teraz paznokciami głośniej i szybciej, jakby się czymś denerwował. Otworzył swymi wielkimi dłońmi paczkę chipsów. Zjadł kilka garści, pakując je prosto do ust i mlaszcząc głośno. Podał jej torebkę. - Chcesz trochę? Zwiążę ci ręce z przodu.

Pokręciła głową przecząco, walcząc z mdłościami. Wypił duszkiem całą puszkę coli i odłożył ją z powrotem do pudła. Zjadł jeszcze trochę chipsów.

- Ten młyn został spalony dwa lata temu - powiedział, pochwywszy jej spojrzenie. - Nie wiem, kto to zrobił. Podoba ci się ten dźwięk? Koło młyńskie? Przyjemny, nie? Koło kręci się i kręci, bez przerwy. Przypomina mi to piosenkę, którą śpiewał mój tata: „Wielkie koło kręci się...”. - Wepchnął do ust kolejną garść chipsów i zaczął mówić.

Nie rozumiała go przez chwilę. Przełknął. - ...tu często. Siedzę sobie w nocy, słucham cykad i

żab, no wiesz, tych wielkich ropuch. Kiedy wybieram się nad ocean, tak jak teraz, zostaję na noc.

Zamilkł nagle i pochylił się w jej stronę. Zbyt wystraszona, by patrzeć mu w twarz, trzymała oczy spuszczone ku ziemi, wiedziała jednak, że intensywnie się w nią wpatruje. Potem raptownie doskoczył do niej i przykucnął obok.

Lydia skrzywiła się, czując odór bijący od jego ciała. Czekwała, aż jego dłonie dotkną jej piersi, przesuną się między nogi.

Okazało się jednak, że to nie ona była przedmiotem jego zainteresowania. Garrett odsunął na bok kamień i wyjął coś spod spodu. - Stonoga. - Uśmiechnął się. Stworzenie było długie, żółtozielone. Ujrzawszy je, Lydia poczuła jeszcze silniejsze mdłości niż poprzednio. Miała straszliwe przeczucie, że Garrett zamierza zjeść tego robaka - albo zmusić ją, by to zrobiła.

- Lubię, jak po mnie chodzą, to fajne uczucie. - Pozwolił, by stonoga pełzła po jego ręce. -

Nie są owadami - zaczął jej tłumaczyć. - To coś jak kuzynki owadów. Mogą być niebezpieczne, jeśli spróbujesz je skrzywdzić. Miejscowi Indianie rozgniatali je na miazgę i robili z nich truciznę do strzał. Kiedy stonoga się przestraszy, jakby sra trucizną, a potem ucieka. Drapieżnik przechodzi przez gaz i umiera. Niezłe, co? - Obserwował stonogę przez chwilę, potem popadł w zamyślenie i oświadczył nagle: - Właśnie o to chodzi w tych filmach z Obcym, wiesz? Widziałaś je? Naprawdę mnie wkurzały. To było takie niesprawiedliwe.

Pomyśl tylko, to myśmy je porwali, prawda? One nie zrobiły nic złego! - uniósł się nagle gniewem. - Kurwa, były po prostu głodne i chciały jeść. Jak można winić je za to, że zabiły tych ludzi ze statku? Jak można winić kogoś za to, że jest wierny swojej naturze?

Garrett uspokajał się powoli, obserwując stonogę, która su-) nęła powoli w stronę jego łokcia. Patrzył na nią tak, jak Lydia zwykła patrzeć na swego siostrzeńca i siostrzenicę - z czułością, rozbawieniem, niemal miłością.

Lydia czuła, jak ogarnia ją coraz większa groza. Wiedziała, że powinna zachować spokój, nie zrażać do siebie Garretta, udawać zainteresowanie tym, co chłopak mówi. Słyszając jednak pstrykanie jego paznokci, patrząc na obrzydliwe stworzenie, pełznące po jego ręce, na jego brudną skórę, na wilgotne, czerwone oczy i resztki jedzenia na brodzie, zadygotała z przerażenia.

Obrzydzenie i strach wypełniły ją bez reszty, kazały Lydii przetoczyć się na plecy, dalej od tego odrażającego człowieka. Garrett podniósł głowę, spoglądając ze zdumieniem na jej poczynania. A Lydia kopnęła go obiema stopami, najmocniej jak tylko mogła. Miała silne nogi, które nosiły jej ciężkie ciało przez całą ośmiogodzinną zmianę w szpitalu. Kopniak trafił go prosto w pierś.

Garrett poleciał do tyłu, uderzył głową o ścianę i osunął się na podłogę, oszołomiony. Potem wrzasnął przeraźliwie i chwycił się za ramię; stonoga musiała go ukąsić.

Tak! - pomyślała Lydia triumfalnie, podnosząc się z podłogi. Jej anioł wrócił! Stanęła na równe nogi i pobiegła w stronę pokoju na końcu korytarza.

Według Jesse'a Corna, byli już prawie w kamieniołomie.

- Jeszcze jakieś pięć minut - powiedział Amelii Sachs. Potem zerknął na nią ukradkiem i odważył się powiedzieć: - Wiesz, chciałem cię zapytać... Kiedy wyciągnęłaś broń, wiesz, kiedy ten indyk wyszedł z krzaków. Przedtem też, w Blackwater Landing, kiedy zaskoczył nas Rich Culbeau... To było... no, to było coś.

Sachs wzruszyła tylko ramionami.

- Wygląda na to, że wiesz, jak wbijać gwoździe - dodał.

Wiedziała od Rolanda Bella, że na Południu to wyrażenie oznacza „strzelać”.

-To jedno z moich hobby - odparła.

-Nie żartuj

-

Łatwiejsze od biegania i tańsze niż karnet do fitness klubu.

-

Startujesz w zawodach? Sachs przytaknęła.

-Klub Strzelecki Północnego Wybrzeża na Long Island.

-

A co z zawodami Towarzystwa Strzeleckiego? - spytał rozentuzjasmowany.

- Owszem.

-Ja też to uwielbiam! Najbardziej rzutki, oczywiście. Ale moja specjalność to pistolety.

Była to także specjalność Sachs, wołała jednak nie mieć zbyt wiele wspólnego ze swym adoratorem.

-Ładujesz swoją własną amunicją? - spytał.

-

Mhm. To znaczy trzydziestki ósemki i czterdziestki piątki. Najtrudniej pozbyć się pęcherzyków powietrza.

-

Nie mów, że sama odlewasz pociski?

-Odlewam - przytaknęła, przypominając sobie, że kiedy w niedzielne poranki wszystkie mieszkania w jej budynku pachniały bekonem i waflami, w jej apartamencie unosił się niepowtarzalny aromat topionego ołowiu.

-

Ja tego nie robię - przyznał Jesse ze skruchą. - Kupuję gotowe. Przez kolejnych kilka minut szli w milczeniu, wpatrzeni w ziemię, wypatrując lśniącej żyłki wędkarskiej.

-Więc... - zaczął Jesse, uśmiechając się nieśmiało i odgarniając z czoła wilgotne od potu włosy - ...pokażę ci moje... - Kiedy Sachs spojrzała nań ze zdumieniem, dodał szybko: -To znaczy... jaki jest twój najlepszy wynik? W strzelaniu do tarczy? - Kiedy się zawahała, zapewnił ją: - Daj spokój, możesz mi powiedzieć. To tylko sport... Poza tym ja startuję już od dziesięciu lat. Mam nad tobą przewagę.

- Dwa

tysiące siedemset - powiedziała Sachs. Jesse skinął głową.

-

Zgadza się, o tym właśnie mówię. Trzy pistolety, maksymalnie dziewięćset punktów na każdy. Jaki jest twój rekord?

-

Nie, to był właśnie mój rekord - powiedziała, krzywiąc się, kiedy znów dał znać o sobie jej artretyzm. - Dwa tysiące siedemset.

Jesse odwrócił się do niej, sprawdzając, czy nie żartuje. Kiedy jednak nie ujrzał na twarzy Sachs najmniejszych śladów rozbawienia, roześmiał się krótko.

-

Przecież to maksymalny wynik.

-
Och, nie mówię, że zawsze mi się to udaje. Pytałeś o mój rekord.

-Ale... - Jesse szeroko otworzył oczy. - Nigdy nie spotkałem kogoś, kto strzelałby dwa siedemset.

-Teraz już spotkałeś - zauważył Ned, śmiejąc się głośno. -Nie martw się, Jesse, to tylko sport.

-Dwa siedemset... - Młody policjant kręcił głową z niedowierzaniem.

Sachs pomyślała, że powinna była skłamać. Poznawszy prawdę o jej niezwykłych zdolnościach strzeleckich, Jesse Corn na pewno już zakocha się w niej po uszy.

-Wiesz co - zaczął nieśmiało. - Kiedy już z tym skończymy i będziesz mieć wolną chwilę, może wybierzemy się razem na strzelnicę pomarnować trochę amunicji.

Sachs pomyślała: Lepsza strzelnica i winchester . niż kawa w McDonalddie i rozmowa o tym, jak trudno poznać ciekawą kobietę w Tanner's Corner.

-Zobaczymy, co się da zrobić. -Więc jesteśmy umówieni? - upewniał się Jesse. Szczęśliwie dla Sachs w tym momencie przerwała im Lucy. -Hej! - zawołała. - Patrzcie tam. - Stali na skraju lasu, przed nimi zaś roztaczał się widok na kamieniołom.

Sachs nakazała im gestem, by przykucnęli. Cholera, to bolało. Zążywała codziennie kondrotoinę i glukozaminę, ale to wilgotne, gorące powietrze Karoliny po prostu zabijało jej biedne stawy.

-Rhyme powiedział, że Garrett może tam jeszcze być -

oświadczyła. - A to, że nie wiemy nic o tym, czy jest uzbrojony, nie znaczy jeszcze, że nie jest.

Spojrzała na ogromny dół - dwieście jardów szerokości i co najmniej trzydzieści głębokości.

Ściany były żółte jak stare kości, opadały stromo do zielonej wody o kwaśnym zapachu. Cała roślinność w odległości dwudziestu jardów od brzegu zmarła paskudną śmiercią.

-Trzymajcie się z dala od wody - ostrzegła Lucy szeptem. -Jest mocno zanieczyszczona.

Kiedyś kąpały się w niej dzieci, ale to było bardzo dawno temu, zaraz po zamknięciu kamieniołomu. Mój siostrzeniec kiedyś to zrobił, młodszy brat Bena. Ojciec chciał złoić mu skórę. Ale ja pokazałam mu tylko zdjęcie ciała Kevina Dobbsa, który tu utonął i przez tydzień leżał w wodzie. Dzieciak nigdy już tu nie przyszedł.

-Zdaje się, że doktor Spock poleca takie metody - powiedziała Sachs.

Lucy roześmiała się cicho. Sachs znów pomyślała o dzieciach. Nie teraz, nie teraz...

Telefon zawibrował w jej kieszeni. Kiedy zbliżali się do kamieniołomu, wyłączyła dzwonek.

Odebrała. Głos Rhyme'a:

-
Sachs, gdzie jesteście?

-Na brzegu kamieniołomu - wyszeptala.

- Znaleźliście jakieś ślady?

-Dopiero tu przyszliśmy. Na razie nic. Zaraz zaczniemy szukać. Wszystkie budynki już dawno zostały rozebrane, nie wiem, gdzie miałyby się tutaj ukryć. Mógł za to zastawić pułapki.

-Sachs...

-
O co chodzi, Rhyme? - Jego poważny ton zmroził jej krew w żyłach.

-Muszę ci coś powiedzieć. Odebrałem właśnie wyniki badań serologicznych i DNA z Centrum Medycznego. Chodzi o te chusteczki, które znalazłaś dziś rano.

-I?

- To

było nasienie Garretta, zgadza się. Ale krew... krew należała do Mary Beth.

-Zgwałcił ją - wyszeptała Sachs.

-Uważajcie, Sachs, działajcie jednak szybko. Obawiam się, że Lydii zostało już niewiele czasu.

Ukrywała się w ciemnej, brudnej komorze, która niegdyś służyła do przechowywania ziarna.

Ze związanymi rękami, osłabiona upałem i odwodniona, Lydia Johansson pobiegła korytarzem, jak najdalej od pokoju, w którym związał się z bólu Garrett, i znalazła to miejsce na poziomie poniżej. Kiedy wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi, po jej stopach przebiegło kilkanaście myszy. Musiała wyteńczyć całą siłę woli, by nie krzyknąć z przerażenia.

Teraz nasłuchiwała kroków Garretta, choć przeszkadzało jej w tym monotonne skrzypienie koła, ukrytego gdzieś w młynie.

Ogarniał ją coraz większy strach, zaczęła żałować swej śmiałej ucieczki. Uznała jednak, że nie ma już drogi odwrotu. Nie mogła się teraz poddać. Zraniła go, a on na pewno chce się na niej zemścić. Skrzywdzić ją w jakiś okropny sposób. Nie pozostało jej więc nic innego jak próbować ucieczki.

Nie, nie powinna tak myśleć. Jedna z jej książek o aniołach mówiła, że nie powinno się nigdy „próbować”. Albo się coś robi, albo nie. Ona nie będzie próbowała uciekać. Ucieknie. Musi tylko wierzyć.

Lydia wyjrzała na zewnątrz przez szparę w drzwiach, nasłuchiwała uważnie. Słyszała go w jednym z pobliskich pokoiów, mruzczał coś do siebie, otwierał komórki i schowki. Miała nadzieję, że będzie jej szukał na zewnątrz, najwyraźniej jednak wiedział, że wciąż jest w środku. Uznała, że nie może już dłużej ukrywać się w tej komorze.

Wcześniej czy później znajdzie ją tutaj. Wyjrzała jeszcze raz przez szparę. Korytarz był pusty, wymknęła się więc z komory i przebiegła do sąsiedniego pokoju, poruszając się bezszelestnie w swych lekkich białych pantoflach. Jedyńm wyjściem z tego pomieszczenia były schody prowadzące na piętro. Wspięła się na nie, dysząc ciężko. Skrępowane ręce przeszkadzały jej w utrzymaniu równowagi, objęła się więc o ścianę i grubą żelazną poręcz.

Słyszała jego głos w korytarzu.

- Ugryzła mnie przez ciebie! - krzyczał. - To boli, to boli!Szkoda, że nie ugryzła cię w oko albo w krocze, pomyślała,

i dalej wspinała się na schody. Niech cię szlag trafi!

Słyszała, że się zbliża, przebiega przez pokój na dole, szuka jej. Słyszała jego gardłowe jęki.

Wydawało jej się, że słyszy nawet pstrykanie jego paznokci.

Znów dreszcz przerażenia. Wzbierające mdłości.

Pokój na górze był obszerny, miał kilka okien wychodzących na spalone części młyna. Były tam także lekko uchylone, masywne drzwi. Lydia otworzyła je i weszła do kolejnego pomieszczenia, pośrodku którego znajdowały się dwa wielkie kamienie młyńskie. Drewniany mechanizm był przegniły; źródłem monotonnego skrzypienia nie były więc kamienie, lecz koło wodne, obracane przez strumień. Rdzawa woda zlewała się z niego do wąskiego otworu, przypominającego studnię. Lydia nie widziała dna. Woda musiała wracać do strumienia, wyciekając w miejscu ukrytym gdzieś głęboko pod powierzchnią.

-

Stój! - zawołał Garrett.

Podskoczyła, przerażona tym gniewnym okrzykiem. Garrett stał w drzwiach. Jego oczy były czerwone i szeroko otwarte, trzymał się za ramię, na którym rósł wielki, czarno-żółty siniak.

-Przez ciebie mnie ugryzła - mruknął, wpatrując się w nią z nienawiścią. - Nie żyje. Przez ciebie musiałem ją zabić! Nie chciałem, ale ty mnie zmusiłaś! Wracaj do pokoju. Teraz muszę ci jeszcze związać nogi.

Ruszył w jej stronę.

Spojrzała na jego kościstą twarz, na ściągnięte brwi, wielkie dłonie i rozwścieczone oczy.

Przez głowę przemknęły jej nagle dziesiątki obrazów; pacjenci umierający powoli na raka.

Mary Beth uwięziona gdzieś daleko stąd. Garrett opychający się chipsami. Żółtozielona stonoga. Brudne paznokcie. Nieznośny upał las i mokradła. Długie samotne noce, wypełnione oczekiwaniem - zwykle daremnym - na krótki telefon od jej chłopaka. Wyprawa z kwiatami do Blackwater Landing, choć właściwie wcale tego nie chciała...

To wszystko było ponad jej siły.

Lydia spokojnie odwróciła się od Garretta, minęła kamienie młyńskie i skoczyła głową w dół prosto do wąskiego, ciemnego otworu, wypełnionego wodą.

Krzyżyk teleskopowej lunetki spoczywał dokładnie na głowie rudowłosej policjantki.

Nieźle włosy, pomyślał Mason Germain.

Mason i Nathan Groomer stali na wzgórzu wznoszącym się obok starego kamieniołomu Anderson Rock Products. Jakies sto jardów od grupy pościgowej.

Nathan zwerbalizował wreszcie konkluzję, do której musiał dojść jakieś pół godziny wcześniej.

-
To nie ma nic wspólnego z Richem Culbeau.

-
Nie, nie ma. Niezupełnie.-Jak to „niezupełnie”?

-
Culbeau kręci się gdzieś w pobliżu. Z Seanem O'Sarianem...

-
Ten facet jest gorszy niż dwóch Culbeau.

-Bez dwóch zdań - zgodził się z nim Mason. -1 Harris Tomel też. Ale to nie o nich nam chodzi.

Nathan spojrzał na swoich kolegów i na rudowłosą.

- Tak
przypuszczałem. Dlaczego gapisz się przez moją lunetkę na Lucy Kerr?

Po chwili Mason oddał mu rugera M77 i powiedział: -Bo nie wziąłem swojej cholernej lornetki. I nie gapiłem się wcale na Lucy.

Ruszyli w drogę wzdłuż grzbietu. Mason myślał o rudowłosej. Myślał o ślicznej Mary Beth McConnell i Lydii. Myślał o tym, jak życie czasami nie daje człowiekowi tego, czego by chciał. Mason Germain wiedział na przykład, że dawno już powinien być szeryfem. Wiedział, że powinien był zabiegać o awans w inny sposób, niż to robił. Tak jak wiedział, że powinien był zachować się inaczej, kiedy Kelly zostawiła go przed pięciu laty dla tego kierowcy, i że w ogóle powinien był traktować małżeństwo inaczej, nim jeszcze od niego odeszła.

powinien też był inaczej rozwiązać pierwszą sprawę Garretta ganiona.

Teraz płacił za złe wybory. Jego życie stanowiło tylko ciąg samotnych dni, które spędzał, siedząc na werandzie i upijając się powoli. Nie miał nawet dość energii, by spakować łódkę i wybrać się na

bassy. Myślał wciąż o tym, jak naprawić to, czego być może nie dało się już naprawić...

-
Powiesz mi, co zamierzamy robić? - spytał go Nathan.

-
Szukamy Culbeau.

-Ale powiedziałeś przed chwilą... - Głos Nathana ucichł. Kiedy Mason nadal milczał, Nathan westchnął ciężko. - Dom Culbeau, w którym powinniśmy teraz być, jest jakieś sześć czy siedem mil stąd, a my kręcimy się po północnej stronie Paquo z moją strzelbą i tą twoją naburmuszoną miną.

-Mówię, że jeśli Jim zapyta, to szukamy Culbeau - odezwał się wreszcie Mason.

-A naprawdę robimy... no co?

Nathan Groomer mógł ze swojej strzelby trafić w monetę z odległości pięciuset jardów.

Rzeźbił figurki, które mógłby sprzedać kolekcjonerom po pięćset dolarów za sztukę, gdyby tylko chciało mu się podjąć ten trud. Ale jego talenty i inteligencja nie wykraczały daleko poza ten obszar.

-
Chcemy załatwić tego chłopaka - powiedział Mason.

-
Garretta.

-
Tak, Garretta. A kogo by innego? Oni go do nas doprowadzą. - Wskazał głową na rudowłosą i jej grupę. - A my go załatwimy.

-
Co znaczy „załatwimy” go?

-
Zastrzelisz go, Nathan. Będzie martwy jak kamień.-Mam go zastrzelić?

-Tak jest.

-Poczekaj no. Nie złamiesz mi kariery tylko dlatego, że uwziąłeś się na tego chłopaka.

-Ty nie masz kariery - odparował Mason. - Ty masz pracę. I jeśli nie chcesz jej stracić, zrobisz to, co ci każe. Posłuchaj. Rozmawiałem z nim, z Garrettem. Wtedy gdy zabił tamtych innych ludzi.

-Tak, rozmawiałeś z nim? No cóż, pracowałeś przy śledztwie.

- wiesz, co on mi powiedział? -Nie. Co?

Mason próbował wymyślić naprędce jakąś wiarygodną historyjkę. Przypominając sobie zaciętą minę Nathana, kiedy ten pochłonięty bez reszty pracą, spędzał całe godziny na rzeźbie-niu poszczególnych piór drewnianej kaczki, starszy zastępca kontynuował:

-Powiedział, że jeśli będzie trzeba, zabije każdego policjanta, który stanie mu na drodze. -Tak powiedział? Ten chłopak?

-
Tak. I patrzył mi przy tym prosto w oczy. Powiedział też, że zrobi to z przyjemnością.

Miał nadzieję, że trafi na mnie, ale gotów był wziąć na cel kogokolwiek.

-A to sukinsyn. Mówiłeś o tym Jimowi?

- Oczywiście. Myślisz, że bym tego nie zrobił? Ale on nawet mnie nie słuchał. Lubię Jima Bella. Wiesz, że go lubię. Ale prawda jest taka, że bardziej niż na czymkolwiek innym zależy mi na utrzymaniu swojej ciepłej posiadki.

Nathan kiwał głową, Mason zaś dziwił się w duchu, że ten do-1 świadczony policjant tak łatwo przełknął tę historyjkę i że na- j wet nie domyśla się, jaki może być inny powód, dla którego on I tak uwziął się na tego chłopaka.

Nathan zamyślił się na moment.

-

Czy Garrett ma broń?

-

Nie wiem, Nathan. Ale powiedz mi, czy trudno jest zdobyć jbroń w Karolinie Północnej? Chyba nie trudniej niż zabić człowieka, co?

-

To prawda.

-

Widzisz, Lucy i Jesse, nawet Jim, nie doceniają tego dziciaka tak jak ja.

-Doceniają?

-Nie doceniają niebezpieczeństwa - wyjaśnił Mason. -Aha.

-Jak dotąd, zabił czworo ludzi, prawdopodobnie powiesił też Todda Wilkesa. Albo przynajmniej nastraszył go tak, że ten sam się zabił. Co też jest zabójstwem. A ta pokąsana dziewczyna; widziałeś zdjęcia jej twarzy po tym, co zrobiły z nią szerszenie. A Ed? W

zeszłym tygodniu piliśmy razem piwo. Teraz leży w szpitalu i być może nigdy się już nie obudzi.

-Ja nie jestem snajperem, Masę.

Mason, niezrażony, kontynuował:

-Wiesz, co zrobi z nim sąd. Chłopak ma szesnaście lat. Powiedzą: „Biedne dziecko, sierota”.

Oddadzą go do jakiegoś cholernego poprawczaka. Wyjdzie po roku i będzie robił to samo.

Zabije jakiegoś innego futbolistę, jakąś inną dziewczynę, która nigdy w życiu nie zrobiła nikomu krzywdy.

-Ale...

-Nie martw się, Nathan. Wyświadczasz naszemu miastu przysługę.

- Chciałem powiedzieć coś innego. Chodzi o to, że jeśli go zabijemy, nigdy nie uda nam się znaleźć Mary Beth.

Mason roześmiał się ponuro.

-Mary Beth? Myślisz, że ona żyje? Nie ma mowy. Garrett ją zgwałcił, zabił i zakopał w jakimś płytkim grobie. Nie musimy się już o nią martwić. Teraz trzeba tylko zadbać o to, żeby nie spotkało to nikogo innego. Jesteś ze mną?

Nathan milczał, ale trzask ładowanej broni był wystarczającą odpowiedzią.

Biała łania

Za oknem wisiało wielkie gniazdo szerszeni.

Mary Beth oparła głowę o brudną szybę i wpatrywała się w nie tępo.

To gniazdo, szare, wilgotne i obrzydliwe, przygnębiało ją bardziej niż cokolwiek innego w tym miejscu.

Bardziej niż kraty, które Garrett umocował na zewnątrz okna. Bardziej niż grube dębowe drzwi, zabezpieczone trzema wielkimi zamkami. Bardziej niż wspomnienie straszliwej podróży z Blackwater Landing w towarzystwie Owadziego Króla.

Gniazdo miało kształt stożka, skierowanego czubkiem ku ziemi. Spoczywało na rozgałęzionej

gałęzi, którą Garrett ustawił obok okna. Mieszkało w nim zapewne kilkaset błyszczących żółto-czarnych owadów, które wlatywały do niego i wylatywały przez niewielki otwór obok zaostrego końca.

Garretta nie było w domu, kiedy obudziła się tego ranka. Przeleżała godzinę w łóżku, osłabiona długą podróżą i obolała od ciosu w głowę, który otrzymała poprzedniego dnia, wreszcie wstała i chwiejnym krokiem podeszła do okna. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, było gniazdo.

Garrett sam je tam umieścił, i początkowo nie miała pojęcia dlaczego. Później jednak pojęła tę ponurą prawdę: Garrett Hanlon, jej oprawca, zostawił je jako flagę swego zwycięstwa. Mary Beth McConnell znała dobrze historię. Wiedziała sporo o wojnach, podbojach i bitwach wielkich armii. Zadaniem flag i sztandarów była nie tylko identyfikacja własnych sił; miały także przypominać pokonanym, kto teraz nimi rządzi. Garrett był zwycięzcą.

No tak, ale wygrał jedynie bitwę; wojna nie została jeszcze rozstrzygnięta.

Mary Beth dotknęła okrwawionej rany na głowie. To było potężne uderzenie, które zdarło z jej skroni spory kawał skóry. Bała się, że może dojść do zakażenia.

Odszukała w plecaku gumkę i ściągnęła długie ciemne włosy w koński ogon. Pot ściekał strużkami po jej szyi, coraz mocniej dokuczało pragnienie. W zamkniętym pokoju panowała straszliwa duchota, która pozbawiała ją niemal oddechu. Zastanawiała się, czy nie zdjąć grubej dżinsowej koszuli; zawsze nosiła ubrania z długimi rękawami, gdy pracowała w wysokiej trawie czy krzewach (węże i pająki). W końcu jednak postanowiła tego nie robić.

Nie wiedziała, kiedy wróci jej oprawca, a pod koszulą miała tylko lekki stanik z różowej koronki - Garrett Hanlon z pewnością nie potrzebował żadnej dodatkowej zachęty w tej kwestii.

Mary Beth znów spojrzała na gniazdo i odsunęła się od okna. Potem obeszała raz jeszcze całą trzypokojową chatę, bezskutecznie szukając jakiejś drogi ucieczki. Był to bardzo stary, ale solidny budynek. Grube ściany zbudowano z bali i obito ciężkimi deskami. Frontowe okno wychodziło na wielkie pole wysokiej trawy, ciągnące się aż po linię drzew odległą o jakieś sto jardów. Sama chata stała wśród kolejnej grupy starych, potężnych drzew. Wyglądając przez okno na tyłach domu - to, przy którym Garrett umocował gniazdo - Mary Beth widziała tylko grube pnie i fragmenty stawu, przez który przeszli wczoraj.

Pokoje były małe, lecz zaskakująco czyste. W saloniku stała długa, złotobrazowa sofa, kilka starych krzeseł, wsuniętych pod tani stół kuchenny, i drugi stolik, na którym stało kilkanaście słoików po sokach, przykrytych siatką i wypełnionych owadami. Drugi pokój zawierał tylko materac i pustą komodę. Trzeci był pusty. W rogu stało kilka puszek wypełnionych do połowy brązową farbą; wyglądało na to, że Garrett, albo ktoś inny, pomalował niedawno chatę z zewnątrz. Kolor był ciemny i przygnębiający - Mary Beth nie mogła zrozumieć, dlaczego wybrał właśnie taki,

dopóki nie zauważyła, że ten odcień brązu pasuje idealnie do kory drzew otaczających chatę.

Kamuflaż. Po raz kolejny pomyślała, że Garrett jest znacznie sprytniejszy i znacznie bardziej niebezpieczny, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

W salonie stały opakowania z tanim jedzeniem, ale także mnóstwo puszek z owocami i warzywami z wytwórni „Farmer John”, o której Mary Beth nigdy dotąd nie słyszała. Z

plakietki uśmiechał się do niej sympatyczny, korpulentny wieśniak - obrazek równie staromodny jak Betty Crocker z lat pięćdziesiątych. Przejrzała dokładnie wszystkie opakowania, szukając wody lub jakichś napojów, czegokolwiek do picia, nic jednak nie znalazła. Puszkowane warzywa na pewno

zanurzone były w soku, nie miała jednak otwieracza ani żadnego narzędzia, które mogłoby się nadawać do tego samego celu. Miała co prawda swój plecak, ale wszystkie przybory archeologiczne zostawiła w Blackwater Landing. Kilkakrotnie uderzyła puszką o kant stołu, próbując ją rozbić, lecz gruby metal tylko nieznacznie się wgiął.

Na dole znajdowała się piwnica, do której prowadziły drzwi umieszczone w podłodze głównego pokoju. Mary Beth spojrzała na nie i wzdrygnęła się z odrazą. Zeszłego wieczoru, kiedy Garrett zniknął na chwilę, zebrała się na odwagę i zeszła po chwiejnych schodach do nisko sklepionej piwnicy, by poszukać w niej wyjścia z tej okropnej chaty. Nie znalazła jednak nic, prócz dziesiątków starych pudeł, słoików i toreb.

Nie słyszała, kiedy Garrett wrócił do domu, omal więc nie umarła z przerażenia, gdy ten zbiegł jak burza po schodach. Krzyknęła i próbowała uciekać, potem nagle ogarnęła ją ciemność. Kiedy się ocknęła, leżała na podłodze, krew spływała po jej włosach i szyi. Garrett podszedł do niej powoli i wziął ją na ręce, wpatrując się bez przerwy w jej piersi. Czują jego twarde członek, kiedy wynosił ją na górę, głuchy na wszelkie protesty... Nie! - przykazała sobie stanowczo. Nie myśl o tym. Ani o bólu. I o strachu. A gdzie podziewa się Garrett?

Jego obecność napełniała ją strachem, teraz jednak Mary Beth była niemal równie przerażona, że o niej zapomni. Albo że zginął w wypadku czy został zastrzelony przez policję.

Umarłaby tu wtedy z pragnienia. Nagle przypomniała sobie zadanie, w którym brał udział jej promotor i ona sama: Towarzystwo Historyczne Karoliny Północnej sponsorowało ekshumację ciała spoczywającego w dziewiętnastowiecznym grobie, by za pomocą testów DNA sprawdzić, czy rzeczywiście należało ono do potomka sir Francis Drake'a, jak głosiła miejscowa legenda. Kiedy uniesiono wieko trumny, Mary Beth stwierdziła ze zgrozą, że kości szkieletu były uniesione, a wewnętrzna strona pokrywy podrapana. Ten człowiek został

pogrzebany żywcem. Ta chata mogła stać się jej trumną. I nikt... Nagle, kiedy spojrzała za okno, wydało jej się, że dostrzega jakiś ruch na skraju odległego lasu, jakąś postać w kapeluszu o szerokim rondzie. Ponieważ ubrania tego człowieka były ciemne, a jego ruchy i postawa powolne i swobodne, pomyślała: Wygląda jak misjonarz.

Chwileczkę... Czy naprawdę ktoś tam był? Czy to tylko światło odbite od drzew? Nie była pewna.

-Tutaj! - krzyknęła. Okno było jednak szczelnie zamknięte, a nawet gdyby mogła je otworzyć, z takiej odległości nikt zapewne nie usłyszałby jej zachrypniętego, słabego głosu.

Pochwyciła swój plecak, przejrzała szybko jego zawartość, szukając gwizdka, który mogła tam włożyć jej strachliwa matka. Mary Beth śmiała się z tego pomysłu - gwizdek alarmowy w Tan-ner's Corner? Kto jej tutaj zagrażał? - i wrzuciła go do komody, obok porcelanowej figurki baletnicy. Kiedy ostatnio zaglądała do tej szuflady, gwizdka nie było: teraz Mary Beth miała nadzieję, że mama jednak wsunęła go do jej plecaka.

Nie znalazła go tam jednak. Może znalazł go Garrett i zabrał ze sobą, kiedy leżała nieprzytomna na okrwawionym materacu. Cóż, i tak wołałaby o pomoc, krzyczałaby najgłośniejszym, jak pozwalało jej na to wyschnięte, obolałe gardło. Pochwyciła jeden ze słoików z owadami, chcąc rozbić nim okno. Odwiodła ramię do tyłu, biorąc szeroki zamach, potem jednak opuściła je z rezygnacją. Nie! Misjonarz zniknął. Tam gdzie go widziała, był teraz tylko ciemny pień wierzby, trawa i wawrzyn, kołysane gorącym wiatrem.

Może widziała tylko to.

Może wcale go tam nie było.

W głowie Mary Beth McConnell - obolałej, przerażonej i wyczerpanej - prawda i fikcja zmieszały się teraz ze sobą, wszystkie znane jej legendy opisujące tę dziką, niesamowitą okolicę stały się rzeczywistością. Może ów Misjonarz był jeszcze jedną postacią z opowieści, jak Pani Jeziora Drummond.

Jak inne duchy Wielkiego Ponurego Bagna.

Jak legenda o Białej Łani, która teraz niepokojąco przypominała jej własną historię.

Walcząc z bólem głowy i zawrotami, wywołanymi przez nieznośną duchotę, Mary Beth położyła się na starej sofie i zamknęła oczy, by nie patrzeć na szerszenie krążące wokół gniazda, sztandaru zwycięstwa jej oprawcy.

Lydia poczuła pod stopami dno strumienia i odepchnęła się od niego mocno.

Na wpół żywa, parskając wodą, z rękami wciąż skrępowanymi na plecach, dotarła do bagnistego stawu, położonego o jakieś pięćdziesiąt stóp od młyna. Machała energicznie nogami, krzywiąc się jednocześnie z bólu. Złamała albo skręciła nogę w kostce na drewnianej płycie koła wodnego, kiedy skakała do studni. Jednak woda miała tutaj głębokość sześciu czy siedmiu stóp i gdyby Lydia nie machała nogami, utonąłaby.

Ból w kostce był okropny, udało jej się jednak dotrzeć do powierzchni. Szybko zrozumiała, że napełniając płuca powietrzem i leżąc na plecach, może utrzymać twarz nad wodą i płynąć powoli do brzegu.

Przepląnęła jakieś pięć stóp, kiedy poczuła zimny, śliski dotyk na karku, potem na głowie i uszach, zbliżający się do jej twarzy. Wąż! - pojęła z przerażeniem. Natychmiast przypomniał

jej się nagły przypadek z zeszłego miesiąca; do szpitala przywieziono mężczyznę ukąszonego przez jadowitego węża wodnego. Jego ramię pokrywała ogromna, rozległa opuchlizna, pacjent szalał z bólu. Lydia przekręciła się na bok, a muskularny szary wąż przesunął się przez jej usta. Krzyknęła odruchowo. Pozbawiona powietrza w płucach, zniknęła pod powierzchnią wody i zaczęła się krztusić. Straciła węża z oczu. Gdzie on jest, gdzie? -

myślała w panice. Ukąszenie w twarz mogło ją oślepić, gdyby zaś opuchlizna ogarnęła szyję, udusiłaby się.

Gdzie? Czy był nad nią? Szykował się do uderzenia? Proszę, proszę, pomóż mi, błagała swego anioła stróża. I może anioł jej wysłuchał. Kiedy ponownie wynurzyła się nad powierzchnię, w pobliżu nie było już śladu węża, a jej bosc stopy - zgubiła buty podczas skoku do wody - dotknęły wreszcie błotnistej dna. Przystanęła na chwilę, by odetchnąć, uspokoić się. Powoli ruszyła w stronę brzegu, w górę stromego wzniesienia pokrytego błotem, śliskimi patykami i warstwą zgniłych liści. Przy każdym kroku do przodu osuwała się nieco z powrotem do tyłu, powoli jednak zmierzała we właściwym kierunku. Uważaj na karolińską glinę, przypomniawszy sobie w myślach. Wciągnie cię jak ruchome piaski.

W chwili gdy dochodziła już do brzegu, tuż obok rozległ się krótki, suchy huk.

Jezu, Garrett ma broń! Strzela!

Ponownie wskoczyła do wody i zanurzyła się pod powierzchnię. Pozostała tam tak długo, jak tylko mogła, w końcu jednak musiała zaczerpnąć powietrza. Wynurzyła głowę dokładnie w momencie, kiedy bóbr ponownie uderzył ogonem w taflę wody, czemu towarzyszył trzask przypominający wystrzał. Zwierzę odpłynęło w stronę swojej tamy - dużej, długiej na dwieście stóp. Lydia czuła, jak wzbiera w niej histeryczny śmiech.

Potem wygramoliła się na brzeg, opadła na błoto i turzycę, łapczywie łapiąc powietrze i wypluwając wodę. Po pięciu minutach uspokoiła się nieco, usiadła i rozejrzała się wokół.

Ani śladu Garretta. Powoli podniosła się na równe nogi. Próbowwała uwolnić ręce, lecz taśma, choć przemoczona, trzymała mocno. Widziała stąd spalony komin młyna. Nie musiała się zastanawiać, w którą stronę iść; wiedziała dokładnie, gdzie jest ścieżka. Musiała tylko zebrać dość sił - i odwagi - by ruszyć w drogę. Zastanawiała się, czy nie powinna poczekać do zmierzchu, ukryta w jakichś krzakach, wiedziała jednak, że ze skrępowanymi rękami nie będzie mogła opędzać się od komarów, których ukąszenia mogły ją poważnie osłabić, a nawet zabić.

Więc w drogę, przykazała sobie w myślach. Naprzód, naprzód!

Nie mogła. Czuła się sparaliżowana strachem i poczuciem beznadziejności.

Wtedy pomyślała o swoim ulubionym serialu telewizyjnym - „Dotyku anioła” - ta myśl zaś przywołała inne wspomnienie, związane z dniem, kiedy oglądała ten film po raz ostatni. W chwili gdy kolejny odcinek dobiegł końca, a w telewizji ukazały się reklamy, ktoś zadzwonił do drzwi. Na zewnątrz stał jej chłopak z sześciorakiem piwa w ręce. Prawie nigdy nie składał jej niezapowiedzianych wizyt, wtedy zaś spędzili razem cudowne dwie godziny. Wiedziała, że właśnie anioł podsunął jej to

wspomnienie, by zrozumiała, że nawet w najgorszych chwilach nie wolno tracić nadziei.

Powracając wciąż do tej myśli, Lydia podniosła się niezdarnie z ziemi i ruszyła w drogę.

Gdzieś w pobliżu rozległ się gardłowy dźwięk. Groźny pomruk. Wiedziała, że w tej części okręgu żyją rysie, niedźwiedzie i dziki. Choć jednak utykała mocno na zranioną nogę, Lydia szła przed siebie z taką pewnością, jakby rozpoczęła właśnie swoją zmianę na oddziale onkologii i obchodziła łóżka powierzonych jej opiece pacjentów.

Jesse Corn znalazł worek.

-

Hej, patrzcie tu. Mam coś. Worek jutowy.

Sachs ruszyła w dół stromego, skalistego zbocza kamieniołomu, zmierzając do miejsca, gdzie stał Jesse Corn. Policjant wskazywał palcem na jakiś przedmiot, ułożony na poziomej skalnej półce. Sachs widziała otwory znaczące miejsca, w których umieszczano ładunki wybuchowe.

Nic dziwnego, że Rhyme znalazł takie ilości azotanów; swego czasu zużywano tu zapewne ogromne ilości dynamitu.

Podeszła do Jesse'a. Stał obok starego płóciennego worka.

- Rhyme,

słyszysz mnie? - powiedziała Sachs do swego telefonu.

-Mów. Trochę trzeszczy, ale jakoś cię słyszę.

- Znaleźliśmy worek. Jak go nazwałś? - zwróciła się do Jesse'a.-Worek jutowy.

-

To stary worek konopny - powiedziała Rhyme'owi. - Zdajesię, że coś w nim jest.

-

Garrett go zostawił? - spytał Rhyme.

Spojrzała pod nogi, na półkę pokrytą skalnym pyłem.

-

To na pewno ślady Garretta i Lydii. Prowadzą w górę zbocza, na skraj kamieniołomu.

-

Chodźmy za nimi - powiedział Jesse.

-Jeszcze nie - pokręciła głową Sachs. - Najpierw musimy obejrzeć worek.

-

Opisz go - poprosił kryminalistyk.

-Konopny. Stary. Jakies dwadzieścia cztery na trzydzieści sześć cali. Prawie pusty. Jest zamknięty. Niezawiązany, po prostu zakręcony.

-

Otwórz go. Ostrożnie, pamiętaj o szerszeniach.Sachs powoli odchyliła brzeg worka, zajrzała do środka.

- W

porządku, Rhyme. Żadnych pułapek.

Lucy i Ned dołączyli do nich i wszyscy czworo stali wokół worka, jakby było to ciało człowieka wyłowionego z dna kamieniołomu.

-

Co jest w środku?

Sachs włożyła lateksowe rękawice, które w upale stały się bardzo miękkie. Jej dłonie natychmiast okryły się cienką warstwą potu.

-Puste butelki po wodzie. Deer Park. Nie ma na nich naklejek z ceną ani nazwy sklepu.

Opakowania po dwóch paczkach masła orzechowego i krakersów serowych. Tu też nie ma żadnych plaketek. Chcesz numery kodów, żeby odszukać sklepy?

-

Gdybyśmy mieli tydzień, może - mruknął Rhyme. - Nie, zostaw to. Powiedz mi coś więcej o samym worku.

-

Stary konopny materiał. Zatechły, poplamiony. Jest na nimjakiś nadruk, ale bardzo wytarty, nie mogę go odczytać. Ktoś widzi, co tu jest napisane? - zwróciła się do pozostałych policjantów.

Nikt nie mógł odcyfrować napisu.

-Nie wiesz, co mogło być w nim wcześniej przechowywane?

Podniosła worek i powąchała go.

-Pleśń. Musiał przez dłuższy czas leżeć w zamkniętym pomieszczeniu. Nie wiem, co było w środku. - Sachs przewróciła worek na drugą stronę i uderzyła weń otwartą dłonią. Na ziemię wypadło kilka starych, pomarszczonych ziaren kukurydzy.

-

Kukurydza, Rhyme.

-

Są tam w pobliżu jakieś farmy? - spytał kryminalistyk.Sachs przekazała pytanie swym towarzyszom.

-Raczej mleczarnie - odparła Lucy, spoglądając na Neda i Jesse'a.

Ci pokiwali głowami.

-

Ale krowy karmi się też kukurydzą - zauważył Jesse.-Jasne - przytaknął Ned. - Myślę, że to pochodzi z jakiegoś

gospodarstwa hodowlanego. Albo z magazynu.

- Słyszysz, Rhyme?

-Tak. Zaraz spytam o to Bena i Jima Bella. Coś jeszcze, Sachs?

Spojrzała na swoje dłonie. Były czarne. Znów przewróciła worek na właściwą stronę.

-Tu jest jakaś spalenizna, Rhyme. Sam worek się nie palił, ale leżał na czymś spalonym.

-Co to mogło być?

-Widzę tu kawałki węgla drzewnego, więc pewnie drewno. -Spojrzała na ślady Garretta i Lydii.

- Idziemy dalej - powiedziała Rtiyme'owi.

- Zadzwoń, kiedy coś wymyślimy.

-Wracamy na górę - oświadczyła Sachs swej grupie. Czując przeszywający ból w kolanach, spojrzała na zbocze kamieniołomu i mruknęła: - Kiedy schodziłam, nie wydawało mi się, że to tak daleko.

-Och, jest taka zasada; przy wchodzeniu góry wydają się zawsze dwa razy wyższe niż przy schodzeniu - powiedział Jesse Corn, skarbnica aforyzmów, i jako prawdziwy dżentelmen pozwolił, by ruszyła przodem.

Ignorując brzęczenie wielkiej czarnozielonej muchy, która krążyła uparcie wokół jego głowy, Rhyme wpatrywał się w najnowszą listę.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - kamieniołom Stary worek konopny z nieczytelnym napisem Kukurydza - gospodarstwo hodowlane? Ślady spalenizny na worku Woda Deer Park Krakery serowe

Najlepsze dowody to dowody niezwykle, dziwaczne. Rhyme był szczęśliwy, kiedy na miejscu zbrodni znajdował coś, czego nie dało się łatwo zidentyfikować. To bowiem oznaczało, że jeśli w końcu zidentyfikuje dany przedmiot, sprawa będzie praktycznie rozwiązana.

Jednakże te dowody - przedmioty znalezione przez Sachs w kamieniołomie - były całkiem zwyczajne. Gdyby napis na worku był czytelny, mogliby powiązać go z konkretnym miejscem. Ale nie był. Gdyby na butelkach i pustych opakowaniach były nalepki z ceną, mogliby odszukać sklep, w którym Garrett je kupił, i być może dowiedzieliby się, gdzie ostatnio bywał. Ale nie mogli tego zrobić. A spalone drewno? To prowadziło ich do wszystkich ognisk, które palono niedawno w okręgu Paquenoke. Bezużyteczne.

Kukurydza mogła okazać się obiecującym śladem - Jim Bell i Steve Farr dzwoniли właśnie do różnych gospodarstw hodowlanych - Rhyme wątpił jednak, by ich właściciele powiedzieli coś ponad: „Tak, sprowadzamy kukurydzę. W starych workach konopnych. Jak wszyscy”.

Cholera! W ogóle nie wyczuwał tego miejsca. Potrzebował tygodni - miesięcy - by choć trochę się tu zdomowić.

Ale oczywiście nie miał tygodni ani miesięcy.

Jego spojrzenie wędrowało od listy do listy szybciej niż mucha.

Znalezione na pierwotnym miejscu przestępstwa - Blackwater Landing Chusteczka z krwią

Fragmenty wapienia

Azotany

Fosforany

Detergent

Kamfen

Z tego nie mógł już chyba wyciągnąć nic więcej.

Trzeba wrócić do książek o owadach, pomyślał.

- Ben, tamta książka, „Miniaturowy świat”. Chciałbym ją przejrzeć.

-Tak jest - odparł młody człowiek-w roztargnieniu, nie odrywając spojrzenia od tablicy.

Podniósł książkę i wyciągnął ją w stronę Rhyme'a.

Przez dłuższą chwilę trzymał ją w powietrzu, na wysokości głowy kryminalistyka, zajęty własnymi myślami. Rhyme rzucił mu cierpkie spojrzenie, Ben także zerknął na niego, po sekundzie drgnął nagle i cofnął rękę, zrozumiałwszy, że podaje książkę komuś, kto potrzebował boskiej interwencji, by mógł ją odebrać.

-O mój Boże, panie Rhyme... - mamrotał Ben, czerwony jak burak. - Bardzo pana przepraszam. Nie pomyślałem. Boże, to było takie głupie. Naprawdę...

-Ben - przerwał mu spokojnie Rhyme. - Zamknij się, do cholery.

Wielkolud zatrzepotał gwałtownie powiekami, zaszokowany. Przełknął ciężko. Opuścił rękę, w której trzymał ciężką książkę.

- To był przypadek, proszę pana. Powiedziałem... -Zamknij. Się.

Ben usłuchał. Zacisnął mocno usta i rozejrzał się po pokoju szukając pomocy, nikt jednak nie biegł mu na ratunek. Thom stał oparty o ścianę, milczący, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie miał najmniejszej ochoty odgrywać roli rozjemcy z ONZ.

Rhyme kontynuował niskim, groźnym tonem:

-Obchodzisz się ze mną jak z jajkiem, a ja mam już tego dość. Przestań się wreszcie tak płaszczyć, do ciężkiej cholery. -Płaszczyć? Próbowałem tylko być miły dla kogoś, kto... To znaczy...

-Nie. Próbowałeś wymyślić jakiś sposób, żeby jak najszybciej się stąd wynieść i nie patrzeć już więcej na mnie, żeby przypadkiem nie nadwerężyć swojej delikatnej psychiki.

Ben zeszywniał.

- Cóż, proszę pana. Wydaje mi się, że jest pan niesprawiedliwy.

-

Gówno prawda. Czas już ściągnąć rękawiczki... - Rhyme roześmiał się jadownicie. -

Jak podoba ci się ta metafora? Ja miałbym ściągnąć rękawiczki, co? Coś, czego nie potrafię zrobić specjalnie szybko, prawda?... No, jak ci się podoba ten żart?

Ben chciał uciec, dopaść jak najszybciej drzwi, ale jego masywne nogi jakby wrosły w podłogę.

-Moja choroba nie jest zaraźliwa, Ben - warknął Rhyme. -Boisz się, że coś ode mnie złapiesz, prawda? Chodzisz tutaj, wdychasz to samo powietrze i za chwilę to ciebie wywiozą na wózku. Do diabła, boisz się, że od samego patrzenia na mnie może ci się coś stać!

-Nieprawda!

-Czyżby? Powiedziałbym co innego... Dlaczego ja cię tak przerażam?

-

Wcale mnie nie przerażasz! - warknął Ben. - Ani trochę!Rhyme rozpędzał się coraz bardziej.

-

O tak, przerażam. Boisz się przebywać w tym samym pokoju co ja. Jesteś pieprzonym tchórzem.

Wielkolud pochylił się do przodu i rozedrganymi ustami, na których pojawiły się kropelki śliny, wrzasnął przeraźliwie:

- Pieprzyć cię, Rhyme! - Na chwilę zaniemówił z wściekłości.Potem kontynuował: -

Przyszedłem tu, bo poprosiła mnie o tociotka. Mam rozwalony cały dzień i nie dostaję za to ani centa!

Słucham, jak przestawiasz ludzi dokoła, jakbyś był jakąś pieczoną primadonną. Nie wiem, skąd się pan tu wziął, ale... -Umilkł, zbity z tropu głośnym śmiechem Rhyme'a.

_No co? - warknął po chwili. - Z czego się pan śmieje, do diabła?

-Widzisz, jakie to łatwe? - spytał kryminalistyk, chichocząc.

Thom też nie mógł ukryć uśmiechu.

Dyszząc ciężko, Ben wyprostował się i otarł usta. Zły, znużony. Potrząsnął głową.

-

O czym pan mówi? Co jest łatwe?

-

Spojrzenie mi prosto w oczy i powiedzenie, że jestem skurwielem - odparł Rhyme spokojnie. - Ben, jestem taki sam jakwzyscy. Nie lubię, kiedy ludzie traktują mnie niczym porcelanową lalkę.

-Nabrał mnie pan. Powiedział pan to wszystko, żeby mnie zdenerwować.

-Powiedzmy raczej: Żeby cię trochę wyprostować. - Rhyme nie był pewien, czy Ben stanie się kiedykolwiek drugim Henrym Davettem; twardym człowiekiem, który patrzy na wnętrze, na duszę człowieka, a nie na jego opakowanie. Udało mu się jednak przynajmniej popchnąć zoologa o kilka kroków dalej w tym kierunku.

- Powiniennem

wyjsc teraz przez te drzwi i nigdy tu nie wrócić.

-Wielu ludzi by tak zrobiło, Ben. Ale ja cię potrzebuję. Jesteś dobry. Masz zadatki na naukowca. No dobra, przełamaliśmy wreszcie pierwsze lody, a teraz bierzmy się do roboty.

Ben zaczął wkładać „Miniaturowy świat” do ramki. Jednocześnie zerknął na Rhyme'a i spytał:

- Więc naprawdę wielu ludzi patrzy panu prosto w oczy i mówi, że jest pan sukinsynem?

Rhyme, który oglądał okładkę książki, zdał się na Thoma, ten zaś odpowiedział:

- No jasne. Oczywiście robią to dopiero wtedy, kiedy dobrze go poznają.

Lydia wciąż była tylko o sto stóp od młyna.

Szła najszybciej, jak tylko mogła, w stronę ścieżki, która miała poprowadzić ją ku wolności, lecz skręcona kostka bolała ją okropnie i spowalniała tempo marszu. Właściwie Lydia powinna była poruszać się powoli; cicha wędrówka przez krzewy wymaga użycia rąk.

Jednak, podobnie jak niektórzy jej pacjenci z usz dzeniem mózgu, miała ograniczoną równowagę i mogła tyl kuśtykać ciężko od polany do polany, czyniąc przy tym znacz więcej hałasu, niżby sobie życzyła.

Okrążała młyn szerokim łukiem. Przystawała co jakiś czas. Ani śladu Garretta. Żadnych dźwięków prócz chlupotu strumienia wpadającego do stawu. Kolejne pięć stóp, dziesięć.

Proszę cię, aniele, myślała. Zostań ze mną jeszcze przez chwilę. Pomóż mi przez to przejść.

Proszę, proszę, proszę. Jeszcze kilka minut i będę wolna.

Och, Boże, ale to boli. Zastanawiała się, czy kość jest złamana. Kostka była mocno opuchnięta; Lydia wiedziała, że jeśli doszło do pęknięcia, nie powinna jej obciążać, bo to może znacznie pogorszyć jej stan. Skóra wokół uszkodzonego miejsca wyraźnie pociemniała; pod spodem tworzył się krwiak. Mogło dojść do zatrucia krwi. Pomyślała o gangrenie.

Amputacja. Co powiedziałby wtedy jej chłopak? Pewnie w końcu by ją zostawił. Pracując na oddziale onkologii, widziała, jak ludzie znikają z życia pacjentów, kiedy ci zaczynają tracić różne części ciała.

Zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę. Rozejrzała się wokół. Czy Garrett uciekł? Czy postanowił ją jednak zostawić i ruszył w dalszą drogę do Outer Banks, do Mary Beth?

Nadal szła w stronę ścieżki prowadzącej do kamieniołomu. Wiedziała, że kiedy ją już odnajdzie, będzie musiała poruszać się jeszcze ostrożniej.

- nie pamiętała dokładnie, gdzie Garrett zastawił pułapkę z amoniakiem. Wyobraziła sobie, jak słoń rozbija się na skale obok jej głowy, jak wylewa się na nią żący płyn. Pracowała kiedyś na ostrym dyżurze, kiedy do szpitala przywieziono trzech robotników z fabryki pana Davetta. Doszło tam do wypadku, przewrócił się na nich pojemnik z jakąś żącą substancją.

Pamiętała, jak jeden z nich umierał w straszliwych męczarniach. Lekarzom udało się uratować dwóch pozostałych, ale chemiczne poparzenia na ich twarzach i piersiach wyglądały przerażająco.

Jeszcze trzydzieści stóp... i wreszcie jest ścieżka!

Zatrzymała się ponownie, nasłuchiwała przez chwilę. Nic. Na starym cedrowym pieńku leżał jakiś ciemny wąż i wygrzewał się w słońcu.

Ruszyła naprzód.

I wtedy spod rozłożystego wawrzynu wystrzeliła ręka Owadziego Króla, która pochwyciła ją za zdrową kostkę. Lydia, która i tak ledwie utrzymywała równowagę, a w dodatku miała związane ręce, mogła jedynie obrócić się, tak by całą siłę uderzenia przejęły rozłożyste pośladki. Obudzony jej krzykiem wąż ześliznął się z pieńka i zniknął w trawie.

Garrett podniósł się na klęczki i rzucił na Lydię, przyciskając ją ciężarem swego ciała do ziemi. Musiał leżeć w ukryciu od dobrych piętnastu minut. W całkowitym bezruchu i ciszy czekał, aż ofiara znajdzie się w zasięgu uderzenia. Niczym modliszka czekająca na swą zdobycz.

-

Proszę - mamrotała Lydia, pozbawiona oddechu i przerażona, że została zdradzona przez swego anioła. - Nie rób...

-

Cicho - przerwał jej chrapliwym szeptem. - Nie będę już z tobą więcej gadał.

Patrzył na nią, jakby zastanawiając się, czy nie powinien jej od razu zgwałcić i zabić. Potem brutalnie poderwał dziewczynę z ziemi. Mógł wziąć ją za ramiona albo przetoczyć na plecy i podciągnąć w górę. On jednak objął ją od tyłu, położył dłonie na jej piersiach i dopiero wtedy podniósł. Czują, jak jego naprężone ciało ociera się o jej plecy i pośladki. Wreszcie, po chwili, która wydawała się Lydii wiecznością, zwolnił uścisk. Potem chwycił ją za ramię i nie zważając na jej rozpaczliwe szlochanie, pociągnął za sobą w stronę młyna.

Z odgłosem, który zawsze przypominał Rhyme'owi zgrzyt noży ostrzonych przez rzeźnika, mechaniczny palec przewrócił kolejną stronę „Miniaturowego świata”. Sądząc po zniszczonej okładce i wyświechtanych stronach, była to ulubiona książka Garretta Hanlona.

Owady posiadają zdumiewające zdolności przystosowawcze. Motyl brzozowy, na przykład, jest naturalnie biały, lecz na obszarach otaczających przemysłowe dzielnice Manchesteru owady te przybrały kolor czarny, by dopasować się barwą do pokrytych sadzą pni drzew i w ten sposób stać się mniej widocznymi dla swych wrogów.

Rhyme oglądał następne strony, jego palec poruszał miarowo sterownik ECU i przewracał kolejne kartki, zgrzyt, zgrzyt, stal o stal. Czytał fragmenty zakreślone przez Garretta. Informacja o mrówkolwie pozwoliła policjantom uniknąć jednej z pułapek chłopca. Jak powiedział Rhyme'owi psycholog ryb, Ben, zwierzęce zachowania stanowią często dobry wzór dla ludzi - szczególnie jeśli

chodzi o przetrwanie.

Polujące modliszki pocierają odwłokiem o skrzydła, wytwarzając w ten sposób niezwykle dźwięk, który dezorientuje ich wrogów. Modliszki zjadają wszelkie stworzenia mniejsze od nich samych, łącznie z ptakami i ssakami...

Podobno żuki gnojaki podsunęły starożytnym ludom ideę porzytecznego wykorzystania koła...

Przyrodnik nazwiskiem Reamur odkrył w osiemnastym wieku, że osy budują papierowe gniazda z włókna drzewnego i śliny. Odkrycie to podsunęło mu pomysł produkcji papieru z masy drzewnej, a nie z tkaniny, jak robili to do tej pory wytwórcy papieru...

Która z tych informacji mogła dotyczyć bezpośrednio ich sprawy? Czy cokolwiek mogło pomóc Rhyme'owi w odnalezieniu dwóch osób, ukrytych gdzieś na przestrzeni stu mil kwadratowych lasów i bagien?

Owady wykorzystują w znacznej mierze zmysł powonienia. Dla nich jest to zmysł wielowymiarowy. W pewnym sensie „dotykają zapachów” i wykorzystują je do wielu rzeczy.

Do nauki, do doskonalenia inteligencji, do porozumiewania się. Kiedy mrówka znajdzie jedzenie, wraca do mrowiska, pozostawiając za sobą ślad zapachowy, od czasu do czasu dotykając ziemi odwłokiem. Kiedy inne mrówki natrafią na ten ślad, kierują się wprost do jedzenia. Wiedzą, w którą stronę mają iść, bo zapach jest „ukształtowany”; jego węższy koniec wskazuje na jedzenie niczym strzałka. Owady wyko rzystują także zapach do ostrzegania przed zbliżającym się wrogiem. Ponieważ owad może wyczuć pojedynczą molekułę danego zapachu z odległości kilku mil, rzadko daje się zaskoczyć swym wrogom...

Do pokoju szybkim krokiem wszedł Bell.

- Właśnie dzwonili do mnie ze szpitala - oświadczył z rozpromienioną twarzą. - Mamy nowe wiadomości o Edzie. Wygląda na to, że budzi się ze śpiączki i coś powiedział. Lekarz znów zadzwoni za kilka minut.

Rhyme uznał, że teraz chętnie skorzystałby z pomocy świadka. Poczucie niemocy i zupełny brak znajomości miejscowych realiów coraz bardziej go nużyły.

Bell przechadzał się powoli po laboratorium, zerkał na drzwi za każdym razem, kiedy słyszał zbliżające się kroki.

Lincoln Rhyme wyprostował głowę, oparł ją o poduszkę wózka. Spojrzenie na listę, spojrzenie na mapę i znów na książkę. Przez cały czas po pokoju krążyła wielka, zielonoczarńa mucha, równie zdesperowana jak on sam.

Jakieś zwierzę przeskoczyło nad ścieżką i zniknęło między drzewami.

-

Co to było? - spytała Sachs, wskazując głową na kołyszące się jeszcze gałęzie krzewu.

Dla niej wyglądało to na skrzyżowanie psa i wielkiego kocura.

-

Szary lis - odparł Jesse. - Nie widzimy ich zbyt często. Aleniecześnie też chodzimy na spacer po drugiej stronie Paquo.

Szli powoli, próbując kierować się zapachem pozostawionym przez Garretta. Jednocześnie rozglądali się uważnie dokoła, sprawdzając, czy wśród drzew i krzewów nie ma kolejnych pułapek.

Sachs znów ogarnęło to dziwne przecucie, które prześladowało ją od chwili, gdy rankiem minęli pogrzeb dziecka. Rozejrzała się wokół. Zostawili już za sobą potężne sosny i weszli do innego rodzaju lasu. Drzewa przypominały takie, jakie można znaleźć w tropikalnej dżungli.

Kiedy spytała o to Lucy, ta wyjaśniła jej, że są to drzewa tupelo, stare cyprysy i cedry. Pnie drzew powiązane były ze sobą gęstym mchem i pnączami, które pochłaniały dźwięk niczym gąbka, co pogłębiało tylko klaustrofobiczne lęki Amelii. Wszędzie dokoła rosły grzyby i pleśnie. W powietrzu unosił się zapach rozkładu.

Sachs spojrzała na ubitą ziemię pod jej stopami.

- Jesteśmy wiele mil od miasta - zwróciła się do Jesse'a. - Kto wydeptuje te ścieżki?

Jesse wzruszył ramionami.

- Głównie łajzy.

- Kto to taki? - spytała, przypominając sobie, że Rich Culbeau także użył tego określenia.

- No wiesz, ktoś, kto nie płaci długów. Wyrzutki, biedota. Bimbrownicy, dzieciaki, ludzie bagien, producenci narkotyków.

Ned spoto oparł się o pień drzewa, łyknął wody i powiedział:

-

Czasami dostajemy wezwania: ktoś słyszał strzały, krzyki, wołania o pomoc, widział jakieś tajemnicze błyski w lesie. Tyle żezanim tu dotrzemy, nic już się nie dzieje... Nie ma ciała, nie masprawcy, nie ma świadków. Czasem znajdziemy krew, jakieś ślady, ale one nie prowadzą donikąd. Zawsze przyjeżdżamy na wezwanie, musimy, nikt jednak nie wybiera się tutaj w pojedynkę.

- Człowiek czuje się tu inaczej - dodał Jesse. - Wiem, że tobrzmi dziwnie, ale wydaje się, że w tych okolicach życie jest inne, tańsze. Wolałbym raczej aresztować uzbrojone dzieciaki, które nafaszerowały się anielskim pyłem i rozrabiają w sklepie, niż przyjeżdżać tutaj.

Tam istnieją przynajmniej jakieś zasady. Wiesz, czego możesz się spodziewać. A tutaj... -

Wzruszył ramionami.

Lucy skinęła głową.

- To prawda. Normalne zasady nie dotyczą nikogo po północnej stronie Paąuo. Ani nas, ani ich. Człowiek strzela, zanim zdąży odczytać komuś jego prawa, i nikogo coś takiego nie dziwi. Trudno to wytłumaczyć.

Sachs nie lubiła takich ponurych opowieści. Gdyby nie fakt że jej towarzysze sami byli zaniepokojeni i niepewni siebie, po myślałaby, że chcą nastraszyć dziewczynę z miasta.

Po jakimś czasie dotarli do miejsca, gdzie ścieżka rozgałęzia ła się w trzech kierunkach.

Przeszli jakieś pięćdziesiąt kroków w każdą stronę, nigdzie jednak nie znaleźli śladów Garretta i Lydii. Powrócili na rozstaje.

Sachs przypomniała sobie słowa Rhyme'a. Uważajcie, Sachs, działajcie jednak szybko.

Obawiam się, że Lydii zostało już niewiele czasu.

Działajcie szybko...

Nie mieli wszakże pojęcia, dokąd iść. Patrząc na wąskie, przytłoczone gęstą roślinnością ścieżki, Sachs miała wrażenie, że nikt, nawet Lincoln Rhyme, nie może odgadnąć, dokąd udali się zbiegowie.

Zadzwonił telefon Sachs. Lucy i Jesse Corn uśmiechnęli się, licząc - jak ona sama - że Rhyme wpadł na jakiś nowy pomysł i wskaże im kierunek marszu.

Sachs słuchała w milczeniu, kiwała głową. Wreszcie skończyła rozmowę, wzięła głęboki oddech i spojrzała na trójkę policjantów.

- Co? - spytał Jesse Corn.

-

Lincoln i Jim rozmawiali właśnie z lekarzem. Wygląda nato, że Ed Schaeffer ocknął

się tylko po to, by powiedzieć: „Kocham swoje dzieci”, a potem umarł. Wcześniej myśleli, że mówił o Garreccie, ale on próbował po prostu powiedzieć „kocham”. To wszystko.

Przykro mi.

-

O Jezu - wyszeptał Ned.

Lucy pochyliła głowę, a Jesse objął policjantkę mocno ramieniem.

-1 co teraz zrobimy? - spytał.

Lucy podniosła głowę. Sachs dostrzegła łzy w jej oczach.

-

Dopadniemy tego chłopaka - odparła z ponurą determinacją. - Wybierzemy najbardziej prawdopodobną drogę i będziemy szli w tym kierunku, dopóki go nie znajdziemy.

Zgadzasz się? - spytała Sachs.

-

Zgadzam.

Lydia Johansson już setki razy widziała to w oczach mężczyzn.

Pragnienie. Pożądanie.

Czasami bezmyślny odruch. Czasami niezdarne wyznanie miłości.

Ta wielka dziewczyna o strąkowatych włosach i twarzy poznaczonej bliznami po trądziku uważała, że nie ma zbyt wiele do zaoferowania mężczyznom. Wiedziała jednak także, że ci będą przynajmniej przez najbliższych kilka lat prosić ją zawsze o jedną rzecz, i postanowiła już dawno temu, że aby zdobyć sobie odpowiednie miejsce w świecie, będzie do maksimum wykorzystywać tę odrobinę władzy, jaką obdarzył ją los.

Wrócili do młyna, do mrocznego biura. Garrett stał nad nią, jego twarz błyszczała od potu.

Naprężony członek wypychał jego płóciennie spodnie.

Przemoczone, białe ubranie Lydie rozerwało się podczas jej skoku w dół strumienia (a może rozerwał je Garrett, kiedy pochwycił ją na ścieżce?), rozerwał się także jej stanik (a może zrobił to on?). Teraz widać było wyraźnie pierś, a Garrett wpatrywał się jak urzeczony w duży, płaski sutek.

Lydia odsunęła się od niego, choć każdy ruch sprawiał jej okropny ból. Siedziała teraz oparta plecami o ścianę, z rozsuniętymi nogami. Czuła zimne, oślizłe obrzydzenie.

A jednak wciąż myślała: Powinnam mu pozwolić?

Był młody, prawdopodobnie nigdy jeszcze nie miał kobiety. Skończyłby w ciągu kilku sekund, a ona wreszcie przestałaby się bać. Może potem zasnąłby na chwilę, ona zaś znalazłaby jego nóż i przecięła więzy. Potem pozbawiłaby go przytomności i skępowała.

Ale te jego czerwone, kościste dłonie, twarz cała w krostach, obrzydliwy oddech i odór brudnego ciała... Jak mogłaby to znieść? I co powiedziałyby jej chłopak, gdyby się dowiedział, co zrobiła?

Lydia zamknęła na moment oczy. Odmówiła modlitwę równie nieokreśloną jak jej cień do powiek o nazwie Błękitny Zachód Słońca.

Tym razem jednak anioł nie pomógł dziewczynie podjąć decyzji.

Tak czy nie?

Wystarczyło tylko, by się do niego uśmiechnęła. Byłby w niej po kilkunastu sekundach.

Mogła go też wziąć do ust... To by nic nie znaczyło.

Przeleć mnie szybko, a potem obejrzymy film... To był ich żart, Lydie i jej chłopaka. Witła go przy drzwiach, ubrana w tanią czerwoną halkę, którą zamówiła w sprzedaży wysyłkowej Sear-sa.

Zarzucała mu ręce na szyję i szeptała do ucha te właśnie słowa.

Zrobisz to, mówiła sobie w myślach, i może uda ci się uciec...

Ale nie mogę!

Garrett nie odrywał od niej spojrzenia. Obmacywał Lydię wzrokiem. Jego członek nie mógł splugawić jej bardziej, niż robiły to teraz te jego czerwone oczy. Jezu, on nie był owadem -był istotą rodem z ulubionych książek grozy Lydii, postacią, którą mógłby wymyślić Dean Koontz czy Stephen King.

Strzelanie paznokci.

Patrzył teraz na nogi Lydii, krągłe i gładkie - jej największy atut.

-Dlaczego płaczesz? - spytał. - Sama jesteś sobie winna. Nie powinnaś była uciekać. Daj, obejrzę to. - Wskazał głową na jej spuchniętą kostkę.

- Nic mi nie jest - odparła Lydia szybko, lecz mimo to, niemal mimowolnie, wyciągnęła do niego nogę.

-Paru dupków ze szkoły zepchnęło mnie z górki przy stacji Mobil - mówił Garrett. -

Skręciłem sobie kostkę. Wyglądała tak samo. I cholernie bolała.

Zrób to, przykazywała sobie w myślach. Będziesz o tyle bliżej domu.

Przeleć mnie szybko...

Nie!

Nie odsunęła się jednak, kiedy Garrett usiadł obok niej. Wziął jej nogę. Jego długie palce -

Boże, jakie one były wielkie - obejmowały łydkę, potem zsunęły się ku kostce. Drżał.

Spoglądał na dziury w jej białych rajstopach, przez które wyzierała różowa skóra. Potem przyjrzał się stopie.

-Nie jest rozcięta. Ale cała czarna. Co to znaczy? - Że może być złamana.

Nie odpowiedział, nie okazywał współczucia, jakby jej ból nie miał dlań żadnego znaczenia.

Jakby nie mógł zrozumieć, że ktoś inny może cierpieć. Po prostu wpatrywał się w jej łydkę.

Potem w udo.

Wyciągnęła nogę jeszcze dalej, jej mięśnie drżały z wysiłku.

Stopą dotknęła ciała Garretta, w pobliżu jego krocza.

Opuścił powieki. Oddychał szybko, płytko.

Lydia przełknęła ślinę. .

Poruszyła stopą. Musnęła jego naprężony członek. Był twardy jak drewniana płytka koła wodnego, o które uderzyła przy skoku do strumienia.

Garrett przesunął dłoń wyżej, na jej udo. Czują, jak jego paznokcie przebijają rajstopy.

Nie... .

Tak..

Potem nagle znieruchomiał.

Odchylił głowę, poruszył nozdrzami. Wciągnął głęboko powietrze. Jeszcze raz.

Lydia także poczuła jakiś nowy, kwaśny zapach. Rozpoznała go dopiero po chwili. Amoniak.

-Cholera - wyszeptał, spoglądając na nią oczyma pełnymi strachu. - Jak oni trafili tu tak szybko?

- Co? - spytała Lydia.

Garrett zerwał się na równe nogi.

-Pułapka! Poruszyli pułapkę! Będą tutaj za dziesięć minut! Kurwa, jak oni tu trafili? -

Doskoczył do niej, pochylił się nisko nad jej twarzą. Nigdy jeszcze nie widziała w czyichś

oczach tyle gniewu i nienawiści. - Zostawiłaś coś na ścieżce? Jakąś wiadomość? - Kropelki śliny na jej twarzy.

Skuliła się, pewna, że chce ją zabić. Wydawało się, że zupełnie nie panuje nad sobą. -Nie! Przysięgam!

Garrett podniósł się gwałtownie. Lydia zastygła z przerażenia, on jednak odszedł od niej, zrywając z siebie ubranie, spodnie, bieliznę, skarpetki. Patrzyła na jego szczupłe ciało, na wciąż nabrzmiały członek. Nagi pobiegł w kąt pokoju. Były tam jakieś inne ubrania, leżały złożone na podłodze. Włożył je, potem buty. Lydia podniosła głowę i wyjrzała przez okno.

Nie widziała nikogo. Musiała to być grupa pościgowa - Jim i Jesse, może Lucy Kerr. Czy amoniak poparzył kogoś z nich, czy oślepił kogoś, może zabił...

Garrett mówił szeptem, bardziej do siebie niż do niej:

-Muszę dostać się do Mary Beth. -Nie mogę iść - chlupała Lydia. - Co ze mną zrobisz?

Chłopiec wyciągnął z kieszeni składany nóż. Otworzył go z głośnym trzaskiem. Odwrócił się do niej. -Nie, nie, proszę... - Jesteś ranna. Nie nadążysz za mną.

Lydia wpatrywała się w ostrze noża. Było zardzewiałe i wyszczerbione. Czowała, że traci oddech z przerażenia. Garrett podszedł bliżej. Lydia zaczęła płakać. Jak dotarli tutaj tak szybko? - zastanawiał się po raz kolejny Garrett Hanlon, biegnąc w stronę strumienia. Strach, który towarzyszył mu tak często, znów przenikał jego serce bolesnym kluciem.

Jego nieprzyjaciele pokonali odległość z Blackwater Landing do młyna zaledwie w ciągu kilku godzin. Był zdumiony; przypuszczał, że minie najmniej dzień lub dwa, nim odnajdą jego ślad. Spojrzał w stronę ścieżki prowadzącej do kamieniołomu. Nikogo. Odwrócił się w drugą stronę i ruszył inną drogą,

biegnącą w dół strumienia.

Pstrykając paznokciami, pytał sam siebie: Jak, jak, jak? Spokojnie, przykazał sobie w duchu.

Miał mnóstwo czasu. Po rozbiciu butli z amoniakiem policjanci będą posuwali się bardzo powoli, będą uważali na każdy krok, bacząc, by nie wpaść w inne pułapki. Prawdopodobnie miał nad nimi jakieś pół godziny przewagi.

Za kilka minut będzie już na bagnach, a wtedy nigdy go nie znajdą. Nawet z psami. Za osiem godzin dotrze do Mary Beth. Wtedy...

Garrett zatrzymał się raptownie.

Na skraju ścieżki leżała otwarta butelka po wodzie, pusta. Wyglądała tak, jakby ktoś właśnie ją tam rzucił. Ale przecież nikt tędy nie chodzi. Garrett podniósł butelkę, przytknął nos do szyjki, powąchał. Amoniak!

W jego umyśle pojawił się nagle znajomy obraz; mucha schwytna w pajęczą sieć. Pomyślał: Och, nie!

Jakiś kobiecy głos rozkazał ostro:

-

Nie ruszaj się, Garrett. - Z krzaków wyszła ładna rudowłosa kobieta w dżinsach i czarnej koszulce. Trzymała pistolet wymierzony prosto w jego pierś. Spojrzała na nóż w dłoni chłopaka, potem ponownie na twarz.

-Jest tutaj! - zawołała. - Mam go. - Następnie popatrzyła mu prosto w oczy i ciszej już powiedziała: - Rób, co każę, a nie stanie ci się żadna krzywda. Chcę, żebyś odrzucił nóż i położył się twarzą do ziemi.

Ale chłopiec nie wykonał jej polecenia.

Po prostu stał w bezruchu, pstrykając nerwowo paznokciami palca wskazującego i kciuka lewej ręki. Wydawał się przerażony i zdesperowany.

Amelia Sachs ponownie spojrzała na nóż, który trzymał kurczowo w dłoni. Czy ta plama na ostrzu jest krwią Mary Beth? - zastanawiała się. Wciąż trzymała pistolet wycelowany w pierś Garretta.

Oczy piekły ją od amoniaku i potu. Otarła twarz rękawem.

-Garrett... - przemawiała łagodnie. - Połóż się. Nikt cię nie skrzywdzi, jeśli będziesz robił to, co ci każe.

Z dala dobiegło ją wołanie.

-Znalazłem Lydię! - krzyczał Ned Spoto. - Nic jej nie jest. Mary Beth tu nie ma.

Głos Lucy wołał:

-

Gdzie, Amelio?

-

Na ścieżce przy strumyku! - odkrzyknęła Sachs. - Rzuć nóż, Garrett. Na ziemię. A potem się połóż. Przypatrywał się jej nieufnie. Czerwone plamy na jego skórze, wilgotne oczy.

-No, dalej, Garrett. Jest nas tu czworo. Nie uciekniesz.

- Jak? - spytał. - Jak mnie znaleźliście? Miał dziecienny głos, wydał jej się nagle znacznie młodszy od przeciętnego szesnastolatka.

Nie zamierzała opowiadać mu o tym, w jaki sposób Lincoln Rhyme rozszyfrował wszystkie jego pomysły. Tuż po tym, jak ruszyli najszerszą spośród trzech ścieżek na rozstajach, kryminalistyk zadzwonił do niej i powiedział:

-Jeden z właścicieli gospodarstw, z którymi rozmawiał Jim Bell, powiedział mu, że teraz nie używa się już kukurydzy do karmienia bydła i że stara kukurydza może pochodzić z jakiegoś młyna. Jim skojarzył to z pewnym starym młynem, który spłonął w zeszłym roku. To wyjaśniałoby te ślady spalenizny.

Bell przejął na moment telefon i wytłumaczył im, jak dostać się do młyna. Potem ponownie przemówił Rhyme: -Mam też pewne podejrzenia co do amoniaku. Kryminalistyk czytał

książki Garretta i znalazł zakreślony fragment, mówiący o tym, jak owady posługują się węchem, by przekazywać sobie ostrzeżenia. Uznał, że ponieważ amoniak nie wchodzi w skład materiałów wybuchowych, używanych w kamieniołomie, Garrett prawdopodobnie przymocował jakiś zbiornik z tą substancją na drodze do swej kryjówki. Zapach rozlanego amoniaku miał go ostrzec przed zbliżającą się pogonią i pozwolić na ucieczkę.

Kiedy już odnaleźli pułapkę, Sachs wpadła na pomysł, by napełnić jedną z pustych butelek Neda amoniakiem, rozlać go przed młynem i w ten sposób wywabić chłopca na dwór.

I udało się.

Tyle że Garrett wcale nie chciał wykonywać jej poleceń. Rozglądał się tylko dokoła i patrzył na jej twarz, jakby zastanawiając się, czy naprawdę gotowa jest go zastrzelić.

Podrapał krostę na twarzy, otarł pot i poprawił chwyt na rękojeści noża. Potem znów rozejrzył się na boki, oczyma pełnymi rozpacz i strachu.

Nie chcąc prowokować go do ucieczki - czy ataku - Sachs przemawiała doń jak matka, nakłaniająca dziecko do snu.

- Garrett, zrób to, o co cię proszę. Wszystko będzie dobrze. Tylko to zrób. Proszę.

-Masz go? No, strzelaj - szeptał Mason Germain. Mason i Nathan Groomer znajdowali się na szczycie łysego wzgórza, jakieś sto jardów od miejsca, w którym Sachs spotkała Garretta.

Mason stał, Nathan leżał płasko na rozpalonym gruncie. Oparł rugera na skalnym występie i starał się zapanować nad oddechem, jak powinni to robić przed strzałem wszyscy, którzy polują na łosie, gęsi i innych ludzi.

-

No już - poganiał go Mason. - Nie ma wiatru. Widać wszystko jak na dłoni. Strzelaj!

-

Mason, ten chłopak nic nie robi.

Zobaczyli, jak na polanę wchodzi Lucy Kerr i Jesse Corn. Oboje także mierzyli do chłopca ze swych pistoletów. Nathan kontynuował:

-Jest tam troje uzbrojonych ludzi, a chłopak ma tylko nóż, jakiś gówniany scyzoryk. Wygląda na to, że zaraz się podda.

- Wcale

się nie podda - warknął Mason Germain, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. - Powiedziałem ci już, on tylko udaje. Zabije kogoś z nich, gdy tylko opuszczą broń.

Śmierć Eda Schaeffera nic dla ciebie nie znaczy?

-Daj spokój, Mason, wiesz, że tak nie jest. Ale to nie ma nic wspólnego z tą sytuacją. Poza tym, spójrz tylko, Lucy i Jesse stoją o sześć stóp od tego chłopaka.

-Boisz się, że możesz ich postrzelić? Cholera, Nathan, z tej odległości trafiłbyś do dziesięciocentówki. Nikt nie strzela lepiej od ciebie. No już, wal.

-Ja...

Mason obserwował dziwną scenę, jaka rozgrywała się na polanie. Rudowłosa opuściła broń i zrobiła krok w stronę chłopaka. Garrett nadal trzymał nóż. Rozglądał się nerwowo na boki.

Kobieta zrobiła następny krok.

Cholera, zejdź stamtąd, głupia suko...

- Stoi na linii strzału?

-Nie. Ale... - Nathan zawahał się na moment - w ogóle nie powinno nas tu być.

-To nie ma znaczenia - mruknął Mason. - Jesteśmy tutaj. Postanowiłem udzielić wsparcia grupie pościgowej i teraz rozkazuję ci strzelać. Odbezpieczyłeś?

-Tak.

-No to strzelaj.

Spokojny, równy oddech...

Oko przy lunecie.

Mason obserwował, jak lufa rugera zastyga w bezruchu, jak Nathan wrasta w swoją broń.

Widział to już wielokrotnie, kiedy

polował ze swymi przyjaciółmi, strzelcami znacznie lepszymi od niego. Była to rzecz dziwna, rzecz, której nigdy nie mógł zrozumieć. Tuż przed strzałem broń staje się częścią strzelca, niemal sama z siebie.

Mason czekał na ogłuszający huk wystrzału.

Żadnego powiewu wiatru. Czysty cel. Dobre tło.

Strzelaj, strzelaj, strzelaj! - poganiał go w myślach.

Jednak zamiast strzału usłyszał tylko westchnienie. Nathan pochylił głowę.

- Nie
mogę.

-Daj mi tę cholerną strzelbę.

-

Nie, Mason, uspokój się.

Jednak to, co ujrzał w oczach starszego zastępcy, kazało snajperowi umilknąć i oddać mu natychmiast broń. Podniósł się z ziemi.

-

Ile w magazynku? - warknął Mason.-Ja...

-Ile pocisków w magazynku? - powtórzył pytanie Mason, opadając na kolana i układając się w takiej samej pozycji, w jakiej przed chwilą leżał Nathan.

- Pięć. Bez urazy, Mason, ale nie jesteś najlepszym strzelcem na świecie, a oprócz chłopaka stoją tam trzy niewinne osoby, więc jeśli... - Nathan umilkł. Konkluzja była oczywista, nie chciał jej jednak wypowiadać głośno.

To prawda, Mason wiedział, że nie jest najlepszym strzelcem na świecie. Ustrzelił już jednak setkę jeleni. Miał dobre wyniki na strzelnicy policyjnej w Raleigh. Poza tym, bez względu na to, jakie były jego umiejętności - wiedział, że Owadzi Król musi umrzeć, i to musi umrzeć teraz.

On też uspokoił oddech, położył palec na spuście. I odkrył, że Nathan kłamał; w ogóle nie odbezpieczył broni. Mason nacisnął ze złością odpowiedni guzik i znów zaczął koncentrować się na oddechu.

Wdech. Wydech.

Ustawił krzyżyk na twarzy chłopca.

Rudowłosa podeszła bliżej, przez moment jej ramię znalazło się na linii strzału.

Jezu, po co tam leziesz, kobieto. Na chwilę zniknęła z pola widzenia. Potem znów pojawiła się na samym środku. Przesunęła się na lewo, nadal jed nak stała blisko celu.

- Wdech, wydech.

Ignorując fakt, że jego ręce trzęsą się znacznie mocniej, niż powinny, Mason ponownie wymierzył w twarz chłopaka.

Potem przesunął krzyżyk na jego pierś.

Rudowłosa znów na moment weszła na linię strzału. Znów zniknęła.

Wiedział, że powinien pociągnąć za spust powoli, łagodnie. Lecz, jak zdarzało się to już niejednokrotnie w jego życiu, to gniew zawładnął jego umysłem i podjął decyzję za niego.

Pociągnął metalowy jęczyczek z wyraźnym szarpnięciem.

Tuż za Garrettem w powietrze wystrzeliła fontanna ziemi. Chłopak zakrył dłonią ucho, usłyszawszy, podobnie jak Sachs, świst przelatującej kuli.

Ułamek sekundy później polanę wypełnił huk wystrzału.

Sachs obróciła się na pięcie. Dzięki opóźnieniu pomiędzy uderzeniem pocisku a hukiem wiedziała, że strzał został oddany z odległości jakichś stu jardów, może większej, nie mógł

więc pochodzić od Jesse'a ani Lucy. Ci także rozglądali się dokoła, zaskoczeni, wypatrując tajemniczego snajpera.

Sachs przykucnęła i spojrzała na Garretta. Zobaczyła w jego oczach przerażenie i dezorientację - przez krótki moment nie był zabójcą, który roztrzaskał głowę niewinnego dziecka, ani gwałcicielem, który skrzywdził Mary Beth. Był wystraszoną, małym chłopcem, pojękującym z cicha:

- Nie,
nie!

-

Kto to jest? - zawołała Lucy Kerr. - Culbeau? - Wraz z Jes-se'em schowała się w krzakach.

-Amelio, wycofaj się! - krzyczał Jesse. - Nie wiemy, do kogo oni strzelają. Może to jacyś przyjaciele Garretta.

Sachs nie wierzyła w taką ewentualność. Kula przeznaczona była dla Garretta. Ogarnęła spojrzeniem okoliczne wzgórze, wypatrując snajpera.

Kolejny strzał, jeszcze bardziej chybiony.

-Matko święta... - Jesse Corn zmęł w ustach jakieś plugawe przekleństwo. - Spójrzcie tylko tam na górę. To Mason. I Nathan Groomer. Na tamtym wzgórzu.

- To Germain? - spytała Lucy, krzywiąc się z niesmakiem. - Co on tam robi, do diabła? -

Wściekła, wcisnęła guzik swej krótkofalówki i krzyknęła: - Mason, co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? Jesteś tam? Słyszysz mnie?... Centrala, halo, centrala. Cholera, nie ma odbioru.

Sachs wyciągnęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Rhyme'a. Odebrał po chwili.

W głośniku jego głos wydawał się suchy, płaski.

- Sachs,

znaleźliście?...

-Mamy go, Rhyme. Ale ten zastępca, Mason Germain, schował się na wzgórzu i strzela do chłopaka. Nie możemy skontaktować się z nim przez radio.

-Nie, nie, nie! Sachs! On nie może go zabić. Ta krew na chusteczce, krew Mary Beth; wczoraj wieczorem na pewno jeszcze żyła! Jeśli Garrett umrze, nigdy jej nie znajdziemy.

Sachs powtórzyła to Lucy, ta jednak nadal nie mogła nawiązać łączności z Masonem.

Kolejny strzał. Odprysk rozbitej skały uderzył Sachs w ramię.

-Przestań! - krzyczał Garrett. - Nie, nie...

Chryste...

Sachs powiedziała do Rhyme'a:

-

Spytaj Bella, czy Mason ma komórkę. Jeśli tak, niech Bell zadzwoni do niego i każe mu natychmiast wstrzymać ogień.

-Dobrze, Sachs...

Rhyme wyłączył telefon.

Jeśli Garrett umrze, nigdy jej nie znajdziemy...

Sachs podjęła szybką decyzję. Rzuciła broń na ziemię obok siebie i zrobiła krok w stronę Garretta, stając dokładnie pomiędzy nim i bronią Masona. Jednocześnie myślała: Mason może w tym czasie pociągnąć za spust, kula uderzy, nim usłyszę huk.

Wstrzymała na moment oddech. Czekwała na rozdzierający ból.

Minęła kolejna chwila. Nikt nie strzelał.

-

Garrett, musisz odłożyć ten nóż.

- Próbowaliście mnie zabić! Kurwa, oszukaliście mnie!

Zastanawiała się, czy wbije w nią nóż - powodowany gniewem lub strachem.

-Nie! Nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Patrz, stoję przed tobą. Osłaniam cię. On nie będzie już

więcej strzelał.

Garrett przyglądał się jej badawczo.

Zastanawiała się, czy Garrett próbuje wymierzyć w wąską szczelinę pomiędzy jej głową i ramieniem. Bez wątpienia był raczej kiepskim strzelcem, Sachs wyobraziła sobie więc, jak pocisk roztrzaskuje jej kręgosłup.

Ach, Rhyme, pomyślała, przyjechałeś tu na operację, by stać się bardziej podobnym do mnie; może dziś ja upodobnię się do ciebie...

Jesse Corn pędził w górę zbocza, machając rękami i krzycząc:

-Nie strzelaj, Mason, nie strzelaj!

Garrett wciąż patrzył na Sachs. Wreszcie odrzucił nóż i zaczął konwulsyjnie pstrykać paznokciami.

Kiedy Lucy dobiegła do nich i zakuła Garretta w kajdanki, Sachs odwróciła się ku wzgórz, z którego strzelał Mason. Widziała, jak stoi tam i rozmawia przez telefon. Wydawało jej się, że spojrzał prosto na nią, potem schował komórkę do kieszeni i ruszył w dół zbocza.

- Człowieku, co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery? - rzuciła się na niego Sachs.

-Próbuję uratować twój tyłek, damulko - odparł Mason chrapliwie. - Nie zauważyłaś, że on miał broń?

-

Mason - Jesse Corn usiłował załagodzić spór - ona chciała go tylko uspokoić.

Namówiła go, żeby się poddał.

Amelia Sachs nie potrzebowała jednak niczyjego wsparcia. Podeszła prosto do Masona. Stali zaledwie o stopę od siebie, Sachs była wyższa od niego o cal.

- Robię to od wielu lat - powiedziała.

- Wiem, że nie zrobiłby mi krzywdy. Jedynym zagrożeniem byłeś ty. Mogłeś zabić nas oboje.

-

Gówno prawda. - Mason pochylił się w jej stronę, czuła zapach taniej wody po goleniu, którą musiał się chyba cały oblać.

Wycofała się poza obłok natrętnego zapachu i burknęła:

- Gdybyś zabił Garretta, Mary Beth prawdopodobnie udusiłaby się albo umarła z głodu.

-Mary Beth nie żyje - warknął Mason. - Leży pewnie w jakimś dobrze ukrytym grobie i nigdy nie znajdziemy jej ciała.

-Lincoln dostał wyniki badania jej krwi - odparła Sachs. Na pewno żyła jeszcze wczoraj wieczorem.

To na moment zbiło Masona z tropu.

-Wczoraj wieczorem to nie teraz - mruknął wreszcie.

-Daj spokój, Mason - rzucił Jesse. - Wszystko się dobrze skończyło.

Zastępca szeryfa wcale jednak nie zamierzał się uspokoić. Podniósł ręce i uderzył nimi o uda.

Spojrzał Sachs prosto w oczy i powiedział:

-

Nie rozumiem w ogóle, po jaką cholere jesteście nam tu potrzebni.

-Mason - wtrąciła się Lucy Kerr. - To już skończone. Nie znaleźlibyśmy Lydii, gdyby nie pan Rhyme i Amelia. Powinniśmy być im wdzięczni. Przestań się złościć.

-

To ona się złości.

- Kiedy

ktoś stawia mnie na linii ognia, to lepiej, by miał po temu ważne powody -

odparła spokojnie Sachs. - A to, że strzelasz do chłopca, bo nie potrafiłeś postawić go wcześniej przed sądem, nie jest żadnym powodem.

-Nie będziesz mi mówić, jak mam wykonywać swoją pracę. Ja...

-Dobra, musimy się stąd wynosić i wracać do biura - przerwała mu Lucy. - Nadal pracujemy z założeniem, że Mary Beth jednak żyje i że musimy ją odnaleźć.

-

Hej! - zawołał Jesse Corn. - Jest śmigłowiec.

Na polanie obok młyna wylądował helikopter medyczny; sanitariusze wnieśli do niego Lydię; miała udar słoneczny i paskudnie skręconą kostkę. Początkowo trudno było się z nią porozumieć; wpadła w histerię, kiedy Garrett podszedł do niej z nożem, i choć później okazało się, że chciał nim tylko uciąć kawałek taśmy i zakleić jej usta, nadal nie mogła otrząsnąć się z przerażenia. W końcu zdołała się uspokoić na tyle, by powiedzieć im, że Mary Beth nie jest uwięziona w młynie ani w najbliższej okolicy. Garrett ukrył ją gdzieś nad oceanem, na Outer Banks. Nie wiedziała, gdzie dokładnie. Lucy i Mason próbowali wyciągnąć to od Garretta, ten jednak milczał, siedział ze skutymi rękami i wpatrywał się uparcie w ziemię.

Lucy zwróciła się do Masona:

-

Ty, Nathan i Jesse odprowadzicie Garretta do Easdale Road.

Powiem Jimowi, żeby wysłał tam samochód. Zjazd do Possum Creek. Amelia chce przeszukać młyn. Pomogę jej. Przyślijcie następny wóz do Easdale za jakieś pół godziny.

Sachs gotowa była kłócić się z Masonem tak długo, jak ten by tylko zechciał, zastępca szeryfa jednak przeniósł swą uwagę na Garretta. Zmierzył chłopca zimnym, przerażającym spojrzeniem, potem skinął głową do Nathana.

-Idziemy.Te kajdanki trzymają mocno, Jesse?

- Jasne.

Sachs cieszyła się, że Jesse pojedzie z nimi i będzie miał oko na Masona. Słyszała już wiele opowieści o więźniach, pobitych przez eskortujących ich policjantów „podczas próby ucieczki”. Czasami kończyło się to nawet śmiercią pobitego.

Mason podszedł ciężkim krokiem do Garretta, chwycił go za ramię i poderwał brutalnie z ziemi. Chłopiec rzucił jeszcze Sachs błagalne spojrzenie, potem jednak musiał odejść, prowadzony przez Masona w dół ścieżki.

Sachs zwróciła się do Jesse'a:

-Miej Masona na oku. Być może będziecie potrzebowali współpracy Garretta, by odnaleźć Mary Beth. A jeśli będzie zbyt wystraszony albo zdenerwowany, nic od niego nie wyciągniecie.

-Będę na niego uważał - zapewnił ją Jesse. Spojrzenie w jej stronę. - To, co zrobiłaś, było naprawdę niesamowite. Kiedy go sobą zasłoniłaś. Ja bym się na to nie zdobył.

-Cóż... - Wzruszyła ramionami. Nie miała już ochoty wysłuchiwać kolejnych wyrazów uwielbienia: - Czasami człowiek szybciej działa, niż myśli.

Jesse skinął głową.

- O

właśnie, miałem jeszcze zapytać... Masz jakąś ksywkę, jakieś przezwisko?

-Nie.

-

Dobrze. Amelia to bardzo ładne imię.

Przez moment przeraziła się, że zechce przypieczerować pocałunkiem tę świeżo zawartą znajomość. Potem ruszył za Masonem, Nathanem i Garrettem.

Bracie, pomyślała zirytowana, obserwując Jesse'a, który pomachał jej jeszcze na pożegnanie.

Jeden z zastępców chce mnie zastrzelić, a drugi chętnie zaprowadziłby mnie przed ołtarz i wyprawił wesele.

Sachs nakreśliła siatkę wewnątrz młyna, koncentrując się szczególnie na pomieszczeniu, w którym Garrett przetrzymywał Lydię. Przejście do przodu i do tyłu, krok po kroku.

Wiedziała, że są tu jakieś dowody, które pomogłyby im określić miejsce pobytu Mary Beth McConnell. Jednak czasami związek pomiędzy sprawcą a miejscem przestępstwa był tak subtelny, że można go było odkryć jedynie pod mikroskopem. Jak dotąd, Sachs nie znalazła nic ciekawego - tylko brud, fragmenty starych urządzeń i kawałki spalonego drewna oraz rzeczy przyniesione przez Garretta; jedzenie, wodę, puste opakowania i taśmę (wszystko bez firmowych nalepek). Znalazła też mapę, którą widział biedny Ed Schaeffer. Zaznaczona była na niej trasa prowadząca do młyna, ale nic poza tym.

Mimo to przeszukała pokój dwukrotnie. A potem jeszcze raz. Częściowo wynikało to z zasad wpajanych jej przez Rhyme'a, częściowo z jej własnej natury. (A może jest to także gra na zwłokę? - myślała. Może ona sama chce w ten sposób opóźnić umówione spotkanie Rhyme'a z doktor Weaver?).

Kiedy gotowa była już dać za wygraną, usłyszała wołanie Lucy:

-

Chyba mam coś ciekawego.

Sachs zaproponowała, by Lucy przeszukała pomieszczenie z kamieniem młyńskim. Lydia powiedziała im, że właśnie stamtąd próbowała uciec Garrettowi; Sachs pomyślała, że jeśli doszło między nimi do szamotaniny, coś mogło wypaść chłopakowi z kieszeni. Pouczyła szybko swą towarzyszkę, jak kreślić siatkę, powiedziała jej też, czego powinna szukać i jak obchodzić się z dowodami.

-Patrz - powiedziała rozentuzjasmowana Lucy, przynosząc jej kartonowe pudło. - Znalazłam to za kamieniem młyńskim.

W pudełku była para starych butów, kurtka przeciwdeszczowa, kompas i mapa północnego wybrzeża Karoliny. Sachs zauważyła także drobiny białego piasku w butach i zagięciach mapy.

Lucy zaczęła rozkładać mapę.

-Nie - powstrzymała ją Sachs. - W środku mogą być jakieś ślady. Poczekajmy, aż wrócimy do Lincolna.

-Ale może zaznaczył tam miejsce, gdzie przetrzymuje Mary Beth.

- Może. Ale znaczek nie zniknie, kiedy zawieziemy mapę do laboratorium, a jeśli stracimy teraz jakiś ślad, stracimy go na zawsze. - Potem dodała: - Przeszukuj dalej młyn. Ja sprawdzę ścieżkę, na której go zatrzymaliśmy. Prowadzi do wody. Może miał tam ukrytą jakąś łódkę, a w niej jeszcze jedną mapę czy coś innego.

Sachs opuściła młyn i ruszyła w stronę strumienia. Minęła wzgórze, z którego strzelał do niej

Mason, potem skręciła ostro w prawo i stanęła nagle twarzą w twarz z dwójką mężczyzn.

Obaj trzymali w dłoniach stare strzelby.

O nie, tylko nie oni.

-Witam - powiedział Rich Culbeau. Odgonił muchę, która usiadła na jego opalonym czole.

Potrząsnął głową, a jego gruby, lśniący warkocz zakołysał się jak koński ogon.

-Pięknie pani dziękujemy - przywitał ją drugi sarkastycznym tonem.

Sachs przypomniała sobie jego nazwisko: Harris Tomel. Ten, który był podobny do konserwatywnego biznesmena z Południa.

Żadnej nagrody - kontynuował Tomel. - A cały dzień uga nialiśmy się po lesie, w tym okropnym słońcu.

Chłopak zdradził wam, gdzie jest Mary Beth? - spytał Cul beau.

Będziecie musieli spytać o to szeryfa Bella - odparła Sachs.

Pani też mogłaby nam powiedzieć.

Jak oni trafili do młyna? - pomyślała nagle Sachs. Mogli iść za grupą pościgową, ale mogli także otrzymać od kogoś informację - na przykład od Masona Germaina. Może ten liczył na ich pomoc przy realizacji swojego chorego planu.

-Miałem rację - kontynuował Culbeau.

-

To znaczy? - spytała ostrożnie Sachs.

-Sue McConnell podniosła nagrodę do dwóch tysięcy. -Wzruszył ramionami. - Tak blisko, a jednak tak daleko.

-Wybaczcie, ale mam coś do zrobienia. - Sachs wyminęła ich, zamyślona. A gdzie jest trzeci ptaszek? Ten chudy...

Usłyszała jakiś szmer za jej plecami i poczuła, jak ktoś wyciąga jej pistolet z kabury.

Odwróciła się na pięcie, przykucając jednocześnie, i zobaczyła, jak broń znika w dłoni chudego, piegowatego Seana O'Sariana. Ten odsunął się od niej tanecznym krokiem, szczerząc zęby w szelmowskim uśmiechu.

Culbeau pokręcił głową.

-Sean, daj spokój.

Sachs wyciągnęła do niego rękę.

- Chciałabym dostać to z powrotem.

-Oglądam tylko. Ładny gnat. Harris kolekcjonuje broń. Przyjemna sztuka, nie uważasz, Harris?

Tomel nie odpowiedział. Westchnął tylko i otarł pot z czoła.

-Narobisz sobie kłopotów - ostrzegła Sachs. Culbeau powiedział:

-
Oddaj jej to, Sean. Za gorąco na twoje wygłupy.

O'Sarian udał, że oddaje jej pistolet, w ostatniej chwili jednak cofnął rękę i znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-Hej, mała, skąd jesteś? Podobno z Nowego Jorku. -Przestań się bawić tym cholernym pistoletem

- mruknął Culbeau. - Nie mamy pieniędzy. Zostawmy to i wracajmy do miasta.

- Oddaj mi broń - powtórzyła Sachs.

O'Sarian jednak tańczył wokół ścieżki, mierzył do drzew, niczym dziesięcioletni chłopiec bawiący się w policjantów i złodziei.

-Pif-paf...

-Dobra, zostawię go wam - wzruszyła ramionami Sachs. -I tak nie jest mój. Kiedy już skończycie się bawić, odnieście go do biura szeryfa. - Odwróciła się, by przejść obok O'Sariana.

-
Hej - powiedział ten, zawiedziony, że zabawa tak szybko dobiegła końca. - Nie chcesz...

Sachs zanurkowała nagle na prawo i natychmiast znalazła się za jego plecami. W jednej chwili wyciągnęła z kieszeni nóż sprężynowy i przystawiła czubek wysuniętego ostrza do podbródka

O'Sariana.

-
O Jezu, co ty robisz? - wybuchnął ten, nim zdał sobie sprawę, że mówiąc, wbija sobie ostrze coraz głębiej w skórę.

- Już dobrze, dobrze - westchnął Culbeau, unosząc rękę. -

Nie róbmy...

Rzućcie broń na ziemię - poleciła Sachs. - Wszyscy.

Ja nic nie zrobiłem - zaprotestował Culbeau.

-
Niech pani posłucha - zaczął Tomel, odgrywając rolę rozsądnego obywatela. - Nie chcieliśmy robić pani kłopotów. Nasz przyjaciel jest...

Ostrze naciska mocniej i mocniej...

-
Aghh, zróbcie to! - wycedził O'Sarian przez zaciśnięte zęby.

- Rzućcie te cholerne pukawki.

Culbeau wypuścił strzelbę z dłoni. Tomel także.

Starając się nie zwracać uwagi na smród bijący od O'Saria-na, Sachs przesunęła dłonią po jego ramieniu i pochwyciła swoją broń. O'Sarian natychmiast ją wypuścił. Cofnęła się o krok i odepchnęła go od siebie, jednocześnie mierząc doń z pistoletu.

18z

Żartowałem tylko - powiedział O'Sarian. - Często tak robię.

Wygłupiam się. To nic złego. Powiedźcie jej, że się wygłupiam...

Co się tu dzieje? - Ścieżką nadchodziła w ich stronę Lucy Kerr. Dłoń trzymała na rękojeści pistoletu.

Culbeau pokręcił głową.

Sean robił z siebie durnia.

Co kiedyś go zabije - dodała Lucy.

Sachs zamknęła nóż sprężynowy i schowała go do kieszeni. -Patrzcie, jestem ranny.

Spójrzcie, krew! - O'Sarian podniósł okrwawiony palec.

-

Cholera - powiedział Tomel z szacunkiem, choć Sachs nie miała pojęcia, do czego się on odnosi.

Lucy spojrzała na Sachs.

- Chcesz

coś od niego?

-

Żeby wziął prysznic - mruknęła Sachs.

Culbeau roześmiał się.

-Nie mamy czasu do stracenia, musimy się zająć swoimi sprawami - dodała Sachs.

Lucy skinęła głową na trójkę mężczyzn.

-To jest miejsce przestępstwa. Możecie się już pożegnać ze swoją nagrodą, chłopcy. -

Wskazała na strzelby. - Chcecie polować, to idźcie gdzie indziej.

-Taa, jakby teraz był sezon na cokolwiek - parsknął z sarkazmem O'Sarian, uznając widocznie komentarz Lucy za wyjątkowo głupi. -To znaczy... och... do diabła.

-Więc wracajcie do miasta, zanim jeszcze bardziej nabruździcie sobie w życiorysach.

Mężczyźni podnieśli swoje strzelby. Culbeau pochylił się do O'Sariana i szepnął mu coś do ucha, wyraźnie rozgniewany. Ten wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby. Przez chwilę wydawało się, że Culbeau go uderzy, zaraz jednak uspokoił się i spytał Lucy:

- Znaleźliście Mary Beth?

Jeszcze nie. Skoro jednak mamy Garretta, on nam wszystko powie. Szkoda, że nie dostaniemy nagrody, ale cieszę się, że złapaliście tego chłopaka -

oświadczył Culbeau. - To naprawdę kawał drania.

Dzięki, Rich.

Kiedy już odeszli, Sachs spytała:

- Znalazłaś coś jeszcze we młynie?

- Nie. Pomyślałam, że przyjdę tutaj i pomogę ci szukać łodzi.

Kiedy szły razem w dół ścieżki, Sachs powiedziała:

- Zapomniałam jeszcze o jednym. Powinniśmy wysłać kogoś do tej pułapki z gniazdem szerszeni. Zabić je i zasypać dół.

- Och, Jim wysłał Treya Williamsa, młodszego zastępcę, z puszką środka owadobójczego i łopata. Ale tam nie było żadnych szerszeni. To stare gniazdo.

-Puste?

-Tak.

Więc jednak nie była to pułapka, lecz sztuczka, która miała opóźnić pościg. Sachs przypomniała sobie, że butla z amoniakiem także nie miała nikomu wyrządzić krzywdy.

Garrett mógł umocować ją tak, by zawartość wylała się na jego prześladowców, oparzyła ich i oślepiła. On jednak ustawił ją na skraju niewielkiego urwiska. Gdyby nie znaleźli wcześniej żyłki i strącili butlę, ta spadłaby na skały dziesięć stóp niżej, ostrzegając Garretta, ale nie czyniąc nikomu

krzywdy.

Znów przypomniała sobie szeroko otwarte, przerażone oczy chłopaka.

Ocknęła się i zrozumiała, że Lucy coś do niej mówi.

-Przepraszam?...

-Gdzie nauczyłaś się tak wymachiwać tym swoim scyzorykiem?

- Trenowałam w dżungli.

-W dżungli? Gdzie?

-W miejscu zwanym Brooklyn - odparła Sachs.

Czekanie.

Mary Beth McConnell stała przy brudnym oknie. Była poirytowana i osłabiona - z braku wody i nieznośnej duchoty, jaka panowała w jej więzieniu. W całym domu nie znalazła ani kropli cieczy, która nadawałaby się do picia. Wyglądając przez okno, za szare gniazdo szerszeni, mogła zobaczyć puste butelki po wodzie, leżące na stercie śmieci. Wydawało się, że te martwe przedmioty drwią sobie z niej, a ich widok budził w niej jeszcze większe pragnienie. Wiedziała, że bez picia nie przetrwa w tym upale dłużej niż dwa dni.

Gdzie jesteś? Gdzie? - przemawiała bezgłośnie do Misjonarza. Jeśli rzeczywiście był tam jakiś człowiek - a nie wytwór jej zropaczonej, zdesperowanej wyobraźni.

Oparła się o rozgrzaną ścianę chaty. Zastanawiała się, czy zemdleje. Próbowwała przełknąć ślinę, ale w jej ustach nie było już ani grama wilgoci. Powietrze otulało twarz, gęste i duszne niczym gorąca wełna.

Potem pomyślała z gniewem: Och, Garrett... wiedziałam, że będą z tobą kłopoty.

Przypomniała sobie stare porzekadło, że żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary.

Nie powinnam była mu pomóc... Ale nie mogłam nie pomóc. Jak miałabym nie uratować go przed tymi chłopakami? Przypomniała sobie tamten dzień, czterech chłopców, którzy patrzyli na zemdlonego Garretta, na jego ciało leżące nieruchomo na Mapie Street. Jeden z nich, wysoki, z szyderczym uśmiechem na ustach, kolega Billy'ego Staila z drużyny futbolowej, rozpiął dzinsy, wyjął członek i chciał się wysikać na Garretta. Musiałam ich powstrzymać.

Ale kiedy cię już uratowałam... od tej chwili, byłam twoja... Początkowo Mary Beth była rozbawiona, kiedy Garrett śledził ją z dala, niczym nieśmiały wielbiciel. Machał do niej, wpadał do jej domu, by opowiedzieć o czymś, co słyszał w wiadomościach, zostawiał

prezenty (ale jakie prezenty - lśniącego zielonego żuka w maleńkiej klatce, niezdarne rysunki pajaków i gąsienic,

ważkę na nitce, żywą!).

Później jednak zaczęła widywać go w pobliżu siebie zbyt często. Słyszała kroki Garretta, kiedy późną nocą szła od samochodu do domu. Widywała jego sylwetkę między drzewami, w pobliżu jej domu w Blackwater Landing. Słyszała wysoki, dziwny głos mamroczący jakieś słowa, których nie mogła zrozumieć. Kiedy chłopak spotykał ją na ulicy Głównej, krążył

wokół niej niczym mucha, mówił do niej, zabierał jej cenny czas, wprawiał w coraz większe zakłopotanie. Spoglądał na piersi, nogi i włosy.

Mary Beth. Mary Beth... wiedziałaś, że jakby rozwinąć sieć pajęczą... jakby owinąć nią cały świat, ważyłaby mniej niż uncję?... Hej, Mary Beth, wiesz, że sieć pajęczą jest pięć razy mocniejsza od stali? I bardziej elastyczna niż nylon? Niektóre sieci są naprawdę niesamowite

- jak hamaki. Mucha kładzie się na nich i już nigdy nie wstaje... (Powinna była zauważyć,

pomyślała teraz, że tak wiele spośród jego opowieści dotyczy pajaków i owadów polujących na inne owady).

Zmieniła w znacznym stopniu swoje życie, by uniknąć spotkań z natrętem, zaczęła robić zakupy w innych sklepach, wracała do domu inną drogą, jeździła w inne okolice na swym rowerze górskim.

Potem jednak wydarzyło się coś, co połączyło ją z Garrett^m znacznie mocniej, niż mogła kiedykolwiek przypuszczać. Maj-y Beth McConnell dokonała odkrycia na brzegu rzeki Paquenoke w Blackwater Landing - odkrycia tak ważnego, że nawet bimbrowników, nie wspominając o Garrettcie Hanlonie, mógłby przegonić jej z tego miejsca.

Sama nie wiedziała, dlaczego historia tak bardzo ją ekscytuje. Ale zawsze ekscytowała.

Pamiętała doskonale wycieczki do Colonial Williamsburg. Miasteczko to leżało tylko o dwie godziny drogi od Tanner's Corner, a kiedy Mary Beth była jeszcze dzieckiem, często wybierali się tam całą rodziną. Gdy zbliżyli się do miasta, Mary Beth zamykała oczy, a gdy tata zaparkował już buicką, prosiła mamę, by ta wzięła ją za rękę i zaprowadziła do parku.

Dopiero tam otwierała oczy i udawała, że naprawdę przeniosła się w czasy kolonizacji Ameryki.

Poczuła ten sam dreszcz podniecenia - tylko sto razy mocniejszy - kiedy w zeszłym tygodniu spacerowała brzegiem J>a. quo w Blackwater Landing i zauważyła jakiś przedmiot, zakopany do połowy w błotnistej glebie. Opadła na kolana i zaczęła odgarniać ziemię, bardzo ostrożnie, niczym lekarz odsłaniający chore serce. Tak, były tam; stare kości - dowody, których dwudziestotrzyletnia Mary Beth McConnell szukała od dawna, które stały się niemal jej obsesją. Dowody, które mogły potwierdzić jej teorię i zmienić historię Ameryki.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Karoliny Północnej - i większość dzieci w Ameryce Północnej - Mary Beth McConnell musiała zaznajomić się z historią Zaginionej Kolonii Roanoke.

Pod koniec szesnastego wieku grupa angielskich kolonistów w. lądowała na Roanoke Island, wyspie położonej między kontynentem i Outer Banks. Początkowo stosunki pomiędzy przybyszami a rodzimymi mieszkańcami Ameryki układały się bardzo dobrze później jednak uległy pogorszeniu. W obliczu nadchodzącej zimy i braku zapasów gubernator i założyciel kolonii, John White, popłynął do Anglii po pomoc. Kiedy jednak wrócił na Roanoke, cała kolonia - ponad setka mężczyzn, kobiet i dzieci - zniknęła bez śladu.

Jedyną wskazówką, która mogła pomóc w rozwiązaniu tej zagadki, było słowo „Croatoan”

wryte na pniach kilku drzew w pobliżu portu. Była to indiańska nazwa przylądka Hatteras, Oddalonego o mniej więcej pięćdziesiąt mil na południe od Roanoke. Większość historyków uważa, że koloniści zginęli w drodze do Hatteras lub zostali zamordowani po przybyciu na miejsce -choć nic nie świadczyło o tym, by kiedykolwiek tam dotarli.

Mary Beth kilkakrotnie odwiedzała wyspę Roanoke i widziała przedstawienie miejscowego teatru, ukazujące tragiczne losy kolonii. Była głęboko poruszona tą sztuką. Nigdy jednak nie zajmowała się poważniej opowieścią, dopóki nie rozpoczęła studiów na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Avery. Wtedy też zwróciła szczególną uwagę na jeden z epizodów niewyjaśnionej historii kolonistów, to jest los dziewczyny nazwiskiem Virginia Dare i legendę o Białej Łani.

Była to opowieść, którą Mary Beth - jedynaczka, nieco buntownicza, prostolinijna natura - rozumiała doskonale. Virginia Dare była pierwszym angielskim dzieckiem, urodzonym w Ameryce, wnuczką gubernatora Smitha i jedną z grupy zaginionych kolonistów.

Prawdopodobnie, jak twierdzili historycy, zginęła wraz z innymi na Hatteras albo w drodze do tego miejsca. Drążąc temat, Mary Beth dowiedziała się jednak, że wkrótce po zniknięciu kolonistów,

kiedy na Wschodnim Wybrzeżu wyrosły nowe osady angielskie, zaczęły wśród nich krążyć legendy dotyczące Zaginionej Kolonii.

Jedna z nich mówiła, że koloniści wcale nie zginęli, przetrwali zimę i żyli razem z miejscowymi szczepami Indian. Yirginia Dare wyrosła na piękną kobietę o jasnej skórze i blond włosach, silną i niezależną. Zakochał się w niej indiański szaman, ona jednak odrzuciła jego zaloty, a wkrótce potem zniknęła. Szaman twierdził, że jej nie skrzywdził, ponieważ jednak nie przyjęła jego miłości, zamienił ją w białą łanię.

Oczywiście nikt mu nie wierzył, wkrótce jednak ludzie zaczęli widywać w okolicznych lasach piękną, białą łanię, która przewodziła wszystkim innym zwierzętom. Plemię, przerażone niezwykłą mocą łani, postanowiło urządzić na nią polowanie.

Pewien młody śmiałek zdołał ją wytropić i ustrzelić strzałą o srebrnym grocie. Kiedy pocisk przeszył pierś łani, umierające zwierzę spojrzało na myśliwego prawdziwie ludzkimi oczyma.

-Kim jesteś? - wyjąkał ten, przerażony. - Jestem Virginia Dare - wyszeptała łania i zmarła.

Mary Beth postanowiła zająć się historią Białej Łani poważnie. Spędzała całe dni i wieczory w uniwersyteckich archiwach, czytała stare pamiętniki i dzienniki z XVI i XVII wieku.

Znalazła w nich liczne odniesienia do „białej łani” i tajemniczych „białych zwierząt” z północno-wschodniego wybrzeża Karoliny Północnej. Zwierząt tych nie widywano jednak ani na Roanoke, ani na Hatteras, lecz wzdłuż „brzegów Blackwater, gdzie Wężowa Rzeka wypływa na zachód z Wielkiego Bagna”.

Mary Beth знаła mnóstwo legend i wiedziała, że nawet w najbardziej fantastycznych opowieściach kryje się zwykle ziarno prawdy. Przypuszczała, że w obawie przed atakiem miejscowych plemion koloniści zostawili na drzewach słowo „Croatoan”, by zmylić napastników, sami zaś udali się nie na południe, lecz na zachód, gdzie osiedlili się wzdłuż brzegów Wężowej Rzeki - czyli Paquenoke, w pobliżu dzisiejszego Tanner's Corner, w miejscu zwanym Blackwater Landing. Tutaj kolonia rosła w siłę, a miejscowi Indianie, bojąc się zagrożenia ze strony kolonistów, napadli na nich i wymordowali ich. Virginia Dare, spekulowała Mary Beth, opierając się na legendzie o Białej Łani, mogła być jedną z ostatnich osób z grupy osadników pozostałych przy życiu, być może walczyła dzielnie aż do śmierci.

Cóż, była to nie najgorsza teoria, Mary Beth nigdy jednak nie znalazła dowodów na jej poparcie. Spędzała całe dni na wycieczkach po Blackwater Landing, maszerowała z mapą w ręce, starając się odgadnąć, gdzie mogli wylądować koloniści i założyć swoją osadę. Wreszcie w zeszłym tygodniu, podczas spaceru brzegiem Paquo, dokonała tego niezwykłego odkrycia; znalazła coś, co - jej zdaniem - mogło stanowić pozostałości Zaginionej Kolonii.

Jej matka była przerażona, kiedy Mary Beth oświadczyła jej, że chce prowadzić prace archeologiczne w Blackwater Landing.

- Tylko nie tam - powiedziała ze zgrozą, jakby to ona sama znalazła się w niebezpieczeństwie. - Tam przecież Owadzi Król zabija ludzi. Znajdzie cię i skrzywdzi.

-Mamo - mruknęła Mary Beth. - Mówisz jak te gnojki ze szkoły, które ciągle mu dokuczają.

- Znów używasz brzydkich słów. Prosiłam cię, żebyś tego nierobiła.

-Mamo, daj spokój, zachowujesz się jak zatwardziały baptysta ze świętej ławki.

Mary Beth mówiła o pierwszym rzędzie ław w kościele, gdzie siadywali parafianie zatroskani głęboko o swoją - a częściej czyjaś - postawę moralną.

- Nawet nazwa jest przerażająca - mruknęła Sue McConnell. - Blackwater. Czarna Woda.

Mary Beth wyjaśniła matce, że w Karolinie Północnej jest wiele miejsc o takiej samej nazwie.

Każda rzeka wypływająca z bagien nazywana była kiedyś Czarną Wodą, niosła bowiem ze sobą resztki gnijącej roślinności. Paąenoke wypływała z Wielkiego Ponurego Bagna, a po drodze mijała jeszcze wiele pomniejszych trzęsawisk.

Ta informacja jednak wcale nie uspokoiła jej matki.

-Proszę cię, nie idź tam, kochanie. Gdyby cokolwiek ci się stało, nie będę miała nikogo...

zostanę sama. Nie wiem, co bym wtedy zrobiła. Chyba tego nie chcesz, prawda?

Lecz Mary Beth, rozpalona tym samym ogniem, który od wieków pchał do czynu badaczy i naukowców, spakowała swoje miotełki, słoiki i torebki na eksponaty, zabrała łopatę i wyruszyła wczorajszego ranka, by kontynuować prace archeologiczne.

I co się stało? Jej matka miała rację. Mary Beth została porwana przez Garretta Hanlona, Owadziego Króla, który okazał się znacznie bardziej niebezpieczny, niż przypuszczała.

Teraz, siedząc w tej gorącej, ohydnej chacie, samotna i chora z pragnienia, myślała o swej matce. Sue McConnell powtarzała wiele razy, że po śmierci męża córka jest jedyną radością jej życia. Nie miała żadnych przyjaciół ani bliskich krewnych. Kiedy ojciec zmarł na raka, to Mary Beth przejęła rolę rodzica, podczas gdy jej matka zamknęła się w świecie seriali telewizyjnych i niezdrowego jedzenia. Otyła, rozkapryszona i zapatrzona w siebie nie była niczym więcej niż żalonym starym dzieckiem.

Jednak zarówno poprzez swe życie, jak i długą, powolną śmierć, ojciec nauczył Mary Beth jednego - że zawsze powinna robić to, do czego jest przeznaczona, i nie rezygnować ze swych marzeń ze względu na innych. Mary Beth nie porzuciła studiów, choć matka niemal błagała ją o to, i znalazła sobie posadę blisko domu. Równoważyła potrzeby matki z własnymi - chciała ukończyć studia i znaleźć jakąś poważną pracę w dziedzinie amerykańskiej antropologii.

Wolałaby zostać w rodzinnych stronach, gdyby jednak okazało się, że ma prowadzić wykopaliska w Santa Fe czy na Alasce, pojechałaby tam bez wahania. Zawsze gotowa była pomagać matce, musiała jednak troszczyć się także o własne plany życiowe.

Tyle że teraz, zamiast zbierać kolejne dowody w Blackwater Landing, konsultować się ze swym promotorem i opisywać wykopaliska, siedziała zamknięta w miłosnym gniazdku psychopatycznego nastolatka.

Ogarnęło ją nagle poczucie całkowitej bezradności.

Czuła, jak do oczu napływają jej łzy.

Później jednak zacisnęła zęby i pohamowała płacz.

No już... Bądź silna. Bądź jak twój ojciec, który walczył z chorobą każdego dnia, każdej minuty, który nie dawał za wygraną do samego końca. Nie rozklejaj się jak twoja matka.

Bądź Virginią Dare, która prowadziła kolonistów do walki.

Bądź Białą Łanią, królową wszystkich zwierząt w lesie...

I właśnie wtedy, gdy odtwarzała w myślach obraz majestatycznego zwierzęcia, który znalazła zeszłego roku w jednej z księzek historycznych, znów dostrzegła na skraju lasu jakiś ruch.

Spośród drzew wyszedł Misjonarz, niósł ze sobą wędkę i pudełko na przynęty.

Więc jednak istniał!

Mary Beth pochwyciła jeden ze słoików Garretta, więżący ogromnego żuka o wyglądzie dinozaura, i rzuciła nim w okno. Słoik przebił się przez szybę i roztrzaskał na żelaznej kracie za oknem.

-Pomocy! - krzyknęła, choć jej głos był ledwie słyszalny. -Pomocy!

Mężczyzna zatrzymał się, rozejrzał dokoła.

-Proszę! Pomóż mi! - Głośny jęk.

Obejrzał się za siebie. Potem spojrzął na las.

Wzięła głęboki oddech i próbowała krzyknąć jeszcze raz, lecz jej wysuszone gardło ścisnęło się boleśnie. Zaczęła kaszleć, wypluła kilka kropel krwi.

Misjonarz po drugiej stronie pola szedł w stronę lasu. Po chwili zniknął jej z oczu.

Mary Beth usiadła na sofie i płakała przez pięć minut - z rozpaczy i bólu, który palił jej gardło.

Nagle podniosła wzrok; kątem oka dojrzała jakiś ruch we wnętrzu chaty. Żuk -

miniatury dinozaur - przeżył jakoś utratę domu i gwałtowny upadek. Mary Beth obserwowała, jak przedziera się przez góry lodowe rozbitego szkła, wchodzi pomiędzy kraty i znika na zewnątrz, odzyskując dawno utraconą wolność.

-Złapaliśmy go - powiedział Rhyme do Jima Bella i jego szwagra, Steve'a Farra. - Amelia i ja.

Taka była umowa. Teraz muszę wracać do Avery.

- Hm... - chrząknął Bell z zakłopotaniem. - Chodzi o to, że on nie chce mówić. Nie chce nam powiedzieć, gdzie jest Mary Beth.

Ben Kerr stał obok ekranu komputera podłączonego do GC/MS i przyglądał się niepewnie obu mężczyznom. Teraz, kiedy pozbył się początkowych obaw, żałował nawet, że jego praca dobiega już końca. W laboratorium była także Amelia Sachs. Nie było za to Masona Germaina - i dobrze, bo Rhyme był na niego wściekły. Bell kazał swemu zastępcy trzymać się od tej sprawy z daleka.

- Rozumiem to. - Rhyme skinął głową. - Ale Mary Beth nie zagraża w tej chwili żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Lydia powiedziała im, że Mary Beth żyje, i określiła obszar, na którym znajduje się jej więzienie. Sprawnie przeprowadzona akcja poszukiwawcza pozwoliłaby odnaleźć ją w ciągu kilku dni.

W rzeczywistości jednak Rhyme chciał opuścić Tanner's Cor-ner z całkiem innego powodu; schwytawszy porywacza, zapragnął jeszcze mocniej powrócić do szpitala i przygotować się do operacji. Wciąż powracał pamięcią do sporu z Henrym Davet-tem, przypominał sobie, jak biznesmen patrzył mu prosto w oczy, w ogóle nie zwracając uwagi na jego nieruchome ciało.

To wspomnienie było jak dobry omen, który napełniał go chęcią powrotu do szpitala, poddania się badaniom i położenia na stole operacyjnym. Spojrzął na Bena i kiedy już miał

poinstruować go, jak pakować sprzęt badawczy, Sachs nieoczekiwanie poparła Bella:

- Znaleźliśmy w młynie kolejne dowody, Rhyme. Właściwie Lucy je znalazła. Dobre dowody.

-Skoro są takie dobre, to kto inny może je zbadać i znaleźć Mary Beth - odparł Rhyme cierpko.

-Posłuchaj, Lincoln - zaczął Bell łagodnym, proszącym tonem. - Nie chciałbym być natrętny, ale jesteś tutaj jedynym człowiekiem, który ma doświadczenie w tak poważnych sprawach.

Gdyby nie ty, nadal bylibyśmy w lesie, nie mielibyśmy pojęcia, co może pokazać nam na przykład to. - Wskazał głową na GC/MS. - Albo że odrobina ziemi cokolwiek znaczy.

Pocierając głowę o poduszkę wózka, Rhyme spojrzął na błagalną minę Sachs. Wreszcie westchnął ciężko i spytał:

Garrett w ogóle nie chce mówić?

Nie, coś tam mówi - odparł Farr, ciągnąc się za swe imponujące ucho. - Ale twierdzi, że nie zabił Billy'ego i że zabrał Mary Beth z Blackwater Landing dla jej dobra. To wszystko. Nie wspomina natomiast ani słowem o tym, gdzie ją ukrył.

- Jest gorąco, Rhyme, ona może umrzeć z pragnienia - powie działa Sachs.

- Albo z głodu - dodał Farr.

Och, na miłość boską...

-Thom - burknął Rhyme - zadzwoń do doktor Weaver. Powiedz jej, że zostanę tu jeszcze przez chwilę.

- Nie prosimy o nic więcej - zapewnił go Bell, nie kryjąc ulgi.

- Godzina, co najwyżej dwie. - Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Zostaniesz honorowym obywatelem Tanner's Corner – żartował szeryf. - Damy ci klucze do miasta.

Żeby móc szybciej otworzyć drzwi i uciec stąd, pomyślał Rhyme cynicznie. Potem spytał Bella:

Gdzie jest Lydia?

W szpitalu.

Nic jej nie jest?

-Nic poważnego. Zatrzymali ją tylko na jeden dzień, na obserwację.

-Powtórzcie mi jeszcze raz dokładnie, co powiedziała - zażądał Rhyme.

Tylko tyle, że Garrett był kompletnie zaskoczony - poinformowała Sachs. - Nie przypuszczał, że dotrzemy do młyna tak szybko. Kiedy poczuł amoniak, wpadł w panikę, przebrał się, za kneblował ją i wybiegł na zewnątrz.

Powiedziała jeszcze, że przybyliście tam w samą porę - dodał Bell. - Właśnie zamierzał ją zgwałcić.

-Dobra... Ben, mamy kilka rzeczy do obejrzenia.

Zoolog skinął głową i ponownie włożył lateksowe rękawiczki, o czym nikt nie musiał mu już przypominać i co nie uszło uwadze kryminalistyka.

Rhyme poprosił o wodę i jedzenie znalezione we młynie. Ben podniósł je na wysokość jego oczu.

- Brak nalepek ze sklepu - zauważył kryminalistyk. - Jak na poprzednich. Nic nam z tego nie przyjdzie. Sprawdźcie, czy coś ciekawego nie przykleiło się do taśmy.

Sachs i Ben pochylili się nad rolką taśmy i przyjrzeni się jej uważnie przez szkło powiększające. Sachs ściągnęła z niej drobne kawałki drewna, po badaniu pod mikroskopem okazało się jednak, że drewno to pochodzi ze ścian młyna.

- Nic - orzekła wreszcie.

Ben podniósł mapę okręgu Paquenoke. Czarne krzyżyki i strzałki znaczyły drogę prowadzącą do młyna. Na mapie także nie było żadnych nalepek.

-Macie tu ESDA? - spytał Bella Rhyme.

Nawet nie wiem, co to jest.

Urządzenie, które odczytuje napisy odcisnięte na papierze.

Jeśli Garrett pisał coś na kartce położonej na mapie, jakiś adres czy nazwę miasta, moglibyśmy ją zobaczyć.

-Na pewno nie mamy takiego urządzenia. Zadzwoń do policji stanowej?

-Nie. Ben, poświeć no tu latarką, ustaw ją pod ostrym kątem w stosunku do mapy.

Zobaczmy, czy są jakieś zagłębienia.

Ben wykonał jego polecenie. Przez kolejnych dziesięć minut oglądali uważnie mapę cal po calu, nie znaleźli jednak żadnych obiecujących śladów.

- To pudło, o którym wspominałaś, Sachs. Gdzie je znaleźliście?

Ben postawił karton na stole obok Rhyme'a. Ten zajrzał do środka.

- To Lucy je znalazła - sprostowała Sachs. - Było ukryte za kamieniem młyńskim.

Rhyme kazał Benowi obejrzyć drugą mapę.

- Sprawdźmy, czy w złożeniach nie ma jakichś śladów. Poczekaj, ten kartonik będzie za mały.

Otwórz ją nad gazetą.

Ze środka wysypały się ziarenka piasku. Rhyme zauważył od razu, że jest to piasek nadmorski, taki, jaki można znaleźć na Outer Banks - ziarna były jasne i czyste, a nie ciemne, jak w przypadku piasku z wnętrza kontynentu.

-Włóż próbkę do GC/MS. Sprawdźmy, czy nie ma tam jakichś innych ciekawych śladów.

Ben uruchomił hałaśliwą maszynę. Obsługiwał ją już z podziwu godną wprawą.

Kiedy czekali na wyniki, Ben rozłożył mapę na stole. Bell, Ben i Rhyme przyjrzeni się jej uważnie. Przedstawiała wschodnie wybrzeże Karoliny Północnej - od Norfolk w Wirginii aż po Karolinę Południową. Sprawdzili dokładnie każdy cal, Garrett jednak nie naniósł tu żadnych znaczków.

Oczywiście, że nie, pomyślał Rhyme. To nigdy nie jest takie Proste. Później oświetlili mapę latarką, lecz i tutaj nie znaleźli żadnych zagłębień.

Na ekranie pojawiły się wyniki badania GC/MS. Rhyme przejrzał je szybko.

-Niewiele. Chlorek sodowy - sól - jod, substancje organiczne... Czyli wszystko, co można znaleźć w wodzie morskiej. I nic poza tym. To z pewnością w niczym nam nie pomoże. Co z butami? Widzisz tam jakieś ślady? - zwrócił się do Bena.

Młody zoolog obejrzał je uważnie, nawet rozsznurował - nim jeszcze Rhyme zdążył go o to poprosić. Ten chłopak ma zadatki na dobrego kryminalistykę, pomyślał Rhyme. Nie powinien marnować talentu dla jakichś neurotycznych ryb.

Sprawdzili także markę butów - były to stare tenisówki Nike, tak popularne, że odszukanie konkretnego sklepu, w którym mógł je kupić Garrett, było niemożliwe.

-Kawałki suchych liści. Chyba klon i dąb.

Rhyme skinął głową.

-W pudełku nie ma nic więcej?

-Nie.

Rhyme spojrział jeszcze raz na listy dowodów. Zatrzymał wzrok na kamfenie.

Sachs, czy w tym młynie były jakieś stare lampy olejowe?

Albo latarnie?

Nie. - Sachs pokręciła głową. - Żadnych.

Jesteś pewna? - dopytywał się Rhyme. - Czy tylko nie zwróciłaś na to uwagi?

Amelia skrzyżowała ręce na piersiach i rozpoczęła monotonną recytację:

- Podłoga ułożona z desek kasztanowych szerokości dziesięciu cali, ściany pokryte tynkiem i cienkimi listewkami. Na jednej ze ścian napis wykonany niebieską farbą w sprayu: „Josh kocha

Brittany". W pokoju, gdzie znaleźliśmy Lydię, był jeden stół, pęknięty na środku i pomalowany na czarno, trzy butelki wody Deer

Park, dwie paczki Doritos, trzy paczki Cheetos, sześć puszek pepsi, cztery puszek Mountain Dew, osiem paczek krakersów serowych z masłem orzechowym. Pokój miał dwa okna, jedno zasłonięte deskami. W tym drugim tylko jedna szyba pozostała cała, resztę wybito. W całym młynie nie było też

ani jednej klamki czy zasuwki, prawdopodobnie wszystko rozkradziono. Na ścianach zo stały dwa kontakty elektryczne starego typu.

Owszem, jestem pewna, że nie było tam żadnych lamp olejowych ani latarni.

- Dołożyła panu, panie Rhyme, nie ma co! - Ben się roześmiał.

Teraz, kiedy stał się już jednym z nich, mógł zostać nagrodzony gniewnym spojrzeniem ze strony Rhyme'a.

Kryminalistyk patrzył jeszcze przez chwilę na listy dowodów, potem pokręcił głową i zwrócił się do Bella:

-Przykro mi, Jim. Mogę ci jedynie powiedzieć, że dziewczyna jest prawdopodobnie przetrzymywana w pobliżu oceanu, ale - jeśli te liście pochodzą właśnie stamtąd - nie nad samą wodą, bo dęby i klony nie rosną na piasku. To musi być jakiś stary dom, sądząc po śladach kamfenu. Dziewiętnasty wiek. Obawiam się, że to już wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Rhyme stwierdził z zaskoczeniem, że radość z zakończonej pracy została zmałowana niemożnością ostatecznego rozwiązania zagadki i odnalezienia Mary Beth McConnell.

Jednak, jak zwykła mawiać doń jego eks żona, kiedy wychodził z mieszkania o drugiej w nocy, by zbadać miejsce jakiegoś przestępstwa, nie mógł sam zbawić całego świata. Pomyślał jeszcze raz o Henrym Davetcie i uznał, że czas jednak wracać do szpitala.

- Życzę ci powodzenia, Jim.

Bell patrzył na mapę wybrzeża i kręcił głową.

- Cóż, porozmawiam jeszcze raz z Garrettem, może uda mi się coś z niego wyciągnąć. Jeśli nie, zadzwonię do prokuratora i spytam, czy zgodzi się na złagodzenie kary w zamian za informacje.

W najgorszym wypadku skrzyknę chętnych i przeszukamy Outer Banks. Lincoln, jesteś prawdziwym czarodziejem.

Nie wiem, jak ci dziękować. Zostaniesz tu jeszcze na moment?

- Pokażę tylko Benowi, jak pakować sprzęt.

-Mogę pójść z tobą? - zwróciła się do Bella Sachs.

-Oczywiście - odparł szeryf. Wydawało się, że chce jeszcze coś dodać - może komentarz, że kobiecie czar z pewnością pozwoli im wyciągnąć z Garretta jakieś informacje. Potem jednak zmienił zdanie - bardzo rozsądnie, jak pomyślał Rhyme - i bez słowa ruszył do drzwi.

Bierzmy się do pracy, Ben - powiedział Rhyme. Podjechał do stolika, na którym stało urządzenie do badania gęstości. - Posłuchaj mnie teraz uważnie.

Narzędzia kryminalistyka są jak broń oficera taktycznego. Muszą być właściwie zapakowane i przechowywane. Traktuj je tak, jakby zależało od nich czyjeś życie, bo wcześniej czy później będzie zależało. Słuchasz mnie, Ben?

Słucham.

Areszt tymczasowy w Tanner's Corner mieścił się w niewielkim budynku, oddalonym o dwie przecznice od biura szeryfa.

Sachs i Bell szli po rozpalonym chodniku. Znow uderzyła ją dziwna martwota tego miasteczka. Pijaczkowie, których zauważyli, wjeżdżając do Tanner's Corner, nadal tu byli, siedzieli w milczeniu na ławeczce. Jakaś elegancka kobieta zaparkowała swego mercedesa w rzędzie pustych miejsc parkingowych, wysiadła z samochodu i przeszła do salonu manikiuru.

Lśniący, drogi samochód zupełnie nie pasował do tego cichego miasteczka. Poza tym ulice były całkiem puste. Sachs zauważyła kilka zamkniętych sklepów i lokali. W jednym z nich sprzedawano

zabawki. Na wystawie leżał manekin dziecka ubrany w wyblakły sweter. Gdzie są wszystkie dzieci?

- pomyślała po raz kolejny tego dnia.

Potem spojrzała na drugą stronę ulicy i dostrzegła twarz obserwującą ją z wnętrza baru „U Eddiego”. Skrzywiła się odruchowo.

Ci trzej faceci - powiedziała, wskazując głową na bar.

Bell spojrzał w tę stronę.

Culbeau i jego kolesie?

-Mhm. Rozrabiaki.

-Zawsze tacy byli.

-Zabrali mi broń - powiedziała Sachs. - Właściwie jede z nich. Ten głupawy. O'Sarian.

Szeryf zmarszczył brwi. -I co się stało?

Odebrałam mu ją - odparła krótko.

Chcesz, żebym go wsadził?

-Nie. Ale pomyślałam że powinieneś to wiedzieć: są wkurzeni, bo nagroda przeszła im koło nosa. Moim zdaniem, chodzi tu o coś jeszcze. Oni chcą zabić tego chłopaka.

Oni i cała reszta miasta.

Ale cała reszta miasta nie nosi ze sobą naładowanej broni -

zauważyła Sachs.

Bell zachichotał i odpowiedział:

- No, przynajmniej nie wszyscy.

-Jestem też ciekawa, jak ci trzej trafili do młyna.

Szeryf zamyślił się na moment.

-Myślisz, że to Mason? Że do nich zadzwonił?

Tak - przyznała Sachs.

Szkoda, że nie wziął sobie tygodnia urlopu. Cóż, trudno, ja ktoś muszę sobie z nim radzić. No i jesteśmy na miejscu. Nic wielkiego, ale spełnia swoje zadanie.

Weszli do parterowego budynku z pustaków. Pojękujący wentylator utrzymywał we wnętrzu aresztu w miarę przyzwoitą temperaturę. Bell poprosił Amelię, by zostawiła broń w depozycie. Potem zrobił to samo i razem weszli do pokoju przesłuchań. Zamknął drzwi.

Garrett Hanlon, ubrany w niebieski dres - dar policji z Tan-ner's Corner - siedział za pilśniowym stołem, naprzeciwko Jes-se'a Corna. Zastępca szeryfa uśmiechnął się promiennie do Sachs, ta odpowiedziała mu znacznie mniej entuzjastycznym uśmiechem. Potem spojrzała na chłopca. Wydał jej się niezwykle smutny i przybity. Niemal żałosny.

Zauważyła na jego twarzy i ramionach krosty, których nie było tam przedtem. Spytała:

- Co się stało z twoją skórą?

Spojrzał na swe ramię i podrapał się odruchowo.

- Sumak jadowity - mruknął.

-Znasz swoje prawa, tak? - zaczął Bell łagodnym tonem. -Ktoś ci je odczytał? -Tak. -I rozumiesz je?

- Chyba tak.

-Jedzie tu prawnik, pan Fredericks. Wraca ze spotkania w Elizabeth City i wkrótce dotrze na miejsce. Nie musisz z nami rozmawiać, dopóki nie przyjedzie. Rozumiesz to?

Garrett skinął głową.

Sachs zauważyła lustro weneckie. Zastanawiała się, kto stoi po drugiej stronie i obsługuje kamerę.

-Ale mamy nadzieję, że jednak zechcesz z nami porozmawiać - ciągnął Bell. - Mamy do ciebie kilka bardzo ważnych pytań. Po pierwsze, czy to prawda? Czy Mary Beth żyje?

-Pewnie, że żyje.

- Zgwałciłeś ją?

-Ja? Ja nigdy bym tego nie zrobił. - Rezygnacja na momen ustąpiła miejsca oburzeniu.

-Ale porwałeś ją - powiedział Bell.

-Niezupełnie.

-Niezupełnie?

-Ona... ona nie rozumie, że w Blackwater jest niebezpiecznie. Musiałem ją stamtąd zabrać, zanim stałoby się jej coś złego. To wszystko. Uratowałem ją. No, czasami trzeba kogoś zmusić do czegoś, czego ten ktoś nie lubi. Dla jego własnego dobra. Później on to zrozumie.

-Jest gdzieś nad morzem, prawda? Na Outer Banks, tak?

Zamrugnął powiekami, rzucił im zagadkowe spojrzenie. Domyślił się zapewne, że znaleźli mapę i rozmawiali z Lydią. Potem opuścił wzrok. Milczał.

Gdzie ona jest, Garrett?

Nie mogę wam powiedzieć.

Garrett, masz poważne kłopoty, synu. Zostaniesz oskarżony o morderstwo.

Ja nie zabiłem Billy'ego.

- Skąd wiesz, że mówię właśnie o Billym? - spytał szybko Bell.

Jesse Corn spojrzał porozumiewawczo na Sachs, dumny ze sprytu swego szefa.

Garrett zaczął nerwowo pstrykać paznokciami.

Cały świat wie, że zabili Billy'ego - odpowiedział. Jego oczy szybko ogarnęły cały pokój. W końcu zatrzymały się na Amelii Sachs. Mogła wytrzymać to tylko przez chwilę, potem odwróciła wzrok.

Na łopacie, którą go zabito, są twoje odciski palców.

Na łopacie? Zabili go łopata?

-Tak.

Garrett zamyślił się na moment, jakby wracał pamięcią do przeszłości.

-Pamiętam, że na ziemi leżała jakaś łopata. Może wziąłem ją do ręki.

- Dlaczego?

-Nie wiem. Nie myślałem. To było takie dziwne... Billy leżał cały we krwi i w ogóle...

Skoro ty tego nie zrobiłeś, to kto mógł to zrobić?

Ten człowiek. Mary Beth powiedziała mi, że przygotowywała tam jakiś projekt na uczelnię, nad rzeką, a Billy zatrzymał się, żeby z nią pogadać. Wtedy przyszedł ten facet. Zaczął się kłócić z Billym, potem on złapał łopatę i zabił go. Potem ja tam przyszedłem, a on uciekł.

Widziałeś go?

-Tak.

O co się kłócili? - spytał Bell sceptycznie.

-Mary Beth mówiła, że o narkotyki czy coś takiego. Że wyglądało na to, że Billy sprzedawał coś chłopakom z drużyny. Jakieś sterydy czy coś takiego.

-Jezu... - Jesse Corn roześmiał się gorzko.

-Garrett - westchnął Bell. - Billy nie sprzedawał narkotyków. Znałem go. Nigdy też nie słyszeliśmy, żeby ktoś ze szkoły średniej zażywał sterydy.

-Billy Stail na pewno bardzo ci dokuczał - powiedział Jesse. - Billy i jeszcze kilku chłopaków z drużyny futbolowej.

Garrett spuścił wzrok.

Sachs pomyślała, że to nieuczciwe; dwóch dorosłych mężczyzn przeciwko jednemu zastraszonemu chłopcu.

-Nabijali się z ciebie. Nazywali cię robaczym królem. Kiedyś uderzyłeś Billy'ego, a wtedy on i jego koledzy spuścili ci porządne lanie.

- Nie pamiętam.

-Powiedział nam o tym dyrektor Gilmore - przejął inicjatywę Bell. - Musieli wezwać ochronę.

-Może. Ale ja go nie zabiłem.

-Ed Schaeffer umarł, wiesz o tym. Umarł od uządleń tych szerszeni z chaty myśliwskiej.

-Przykro mi, ale to nie była moja wina. Ja nie zostawiłem tam tego gniazda.

- Nie chodzi o pułapkę?

-Nie, to gniazdo było w chacie od dawna. Chodziłem tam często, nawet spałem, ale one nie robiły mi krzywdy. Żądła tylko wtedy, kiedy boją się, że ktoś skrzywdzi ich rodzinę.

-Dobrze, powiedz nam coś więcej o tym mężczyźnie, który zabił Billy'ego - poprosił szeryf. - Widywałeś go tu kiedyś wcześniej?

Tak. Dwa albo trzy razy w ciągu ostatnich kilku lat. Chodził po lasach w Blackwater Landing. Potem widziałem go przy szkole.

Biały, czarny?

-Biały. Wysoki. Miał może tyle lat co pan Babbage...

- Około czterdziestki?

-Tak, chyba tak. Blond włosy. Nosił ogrodniczki. Brązowe. I białą koszulę.

- Ale na łopacie były tylko odciski palców Billy'ego i twoje - zauważył Bell. - Nikogo więcej.

-Zdaje się, że on nosił rękawiczki - powiedział Garrett.

Dlaczego miałyby nosić rękawiczki o tej porze roku? - spytał Jesse.

Pewnie po to, żeby nie zostawiać odcisków palców - odparował chłopak.

Sachs powróciła myślą do odcisków palców, które znaleziono na łopacie. Pomyślała, że powinni byli zbadać ją sami, ona i Rhyme. Czasami można odnaleźć ślady skórzanych rękawic. Rękawice wełniane czy bawełniane praktycznie nie zostawiają odcisków, ale na maleńkich drzazgach mogły się osadzić fragmenty materiału.

- Cóż, to wszystko mogło się wydarzyć, Garrett. Ale nikt w to nie uwierzy.

-Billy już nie żył! Ja tylko podniosłem łopatę i popatrzyłem na nią. Nie powinienem był tego robić. Ale zrobiłem. To wszystko. Wiedziałem, że Mary Beth jest w niebezpieczeństwie, więc ją stamtąd zabrałem. - Skierował te słowa do Amelii, patrząc na nią błagalnym wzrokiem.

- No właśnie, wróćmy do Mary Beth - podchwycił Bell. - Dla czego, twoim zdaniem, coś jej groziło?

-Bo była w Blackwater Landing. - Garrett znów pstryknął paznokciami. Przeciwnieństwo mojego nawyku, pomyślała Sachs. On pstryka paznokciem o paznokcie, ja wbijam je sobie w skórę. Który

jest gorszy? - zastanawiała się. Mój, uznała, jest bardziej destrukcyjny.

Garrett znów zwrócił na nią swe wilgotne, zaczerwienione oczy. Przestań! Nie zniosę tego spojrzenia! Odwróciła głowę. -AToddWilkes?

Todd? - zdziwił się Garrett.

Ten chłopak, który się powiesił. Groziłeś mu?

-Nie!

-Jego brat widział, jak krzyczałeś na niego w zeszłym tygodniu.

-Bo podpalał ognisko. To podłe i głupie, kazałem mu przestać.

-A co z Lydią? - spytał Bell. - Dlaczego ją porwałeś?

O nią też się bałem.

Bo była w Blackwater Landing?

-Tak.

Chciałeś ją zgwałcić, prawda?

-Nie! - Garrett zaczął płakać. - Nie chciałem zrobić jej krzywdy. Ani nikomu! I nie zabiłem Billy'ego! Wszyscy każą mi mówić, że zrobiłem coś, czego nie zrobiłem!

Bell wyjął chusteczkę higieniczną i podał ją chłopcu.

Nagle otworzyły się drzwi pokoju i do środka wszedł Mason Germain. Zapewne to on właśnie obserwował przesłuchanie zza lustra weneckiego i, sądząc po wyrazie twarzy, stracił cierpliwość. Sachs nie mogła już znieść zapachu jego wody kolońskiej.

-Mason... - zaczął Bell.

-Posłuchaj mnie, chłopaku, powiesz nam, gdzie jest dziewczyna, i to zaraz. Bo jak tego nie zrobisz, pojedziesz do Lanca-ster i zostaniesz tam, dopóki nie zabiorą cię na proces...

Słyszałeś o Lancaster, co? Gdybyś nie słyszał, powiem ci...

-Dobra, dość tego - rozkazał czyjś piskliwy głos.

Do pokoju wkroczył niski mężczyzna o równo przyciętych, perfekcyjnie ułożonych włosach.

Szary garnitur, wszystkie guziki zapięte, błękitna koszula i prążkowany krawat. Nosił buty na trzycalowym obcasie.

-Nie mów ani słowa więcej - zwrócił się do Garretta.

- Cześć, Cal - przywitał go Bell, niezbyt uradowany z tej wizyty. Szeryf przedstawił Amelii Calvina Frederickxa, prawnika

Garretta.

-Dlaczego przesłuchujecie klienta pod moją nieobecność? -Skinął głową na Masona. - I co to za historia z tym Lancaster? Za takie gadanie powinienem wsadzić ciebie, a nie jego.

- On wie, gdzie jest dziewczyna, Cal - mruknął Mason. - Nie chce nam powiedzieć.

Odczytaliśmy mu jego prawa. On..

-Szesnastoletni chłopak? Mam ochotę od razu wyrzucić tę sprawę i zasiąść do wczesnej kolacji. - Prawnik odwrócił się do Garretta. - Hej, młody człowieku, jak się czujesz?

Swędzi mnie twarz.

-Bili cię?

Nie, proszę pana, to przypadek.

-Dobra, zajmiemy się tym. Przyniesiemy ci jakiś krem albo coś. Będę twoim prawnikiem.

Wyznaczonym przez państwo. Nie musisz za to płacić. Odczytali ci twoje prawa?

Powiedzieli, że nie musisz nic mówić?

-Tak, proszę pana. Zgodziłem się porozmawiać z szeryfem Bellem.

Cal zgromił Bella spojrzeniem.

- Cudownie, Jim. Co ty sobie myślałeś? Czwórka policjantów na jednego dzieciaka?

-Myśleliśmy o Mary Beth McConnell - odpowiedział za niego Mason. - Którą on porwał.

- Rzekomo.

-i zgwałcił - mruknął Mason.

-Nieprawda! - krzyknął Garrett.

-Mamy zakrwawioną chusteczkę z jego spermą - warknął Mason.

-Nie, nie! - krzyczał chłopak, czerwieniąc się jak burak. -Mary Beth się skaleczyła. Uderzyła się w głowę, a ja wytarłem jej krew chusteczką, którą miałem w kieszeni. A to drugie...

czasami, no... czasami robię takie rzeczy... Wiem, że nie powinienem. Wiem, że to złe, ale nie mogę się powstrzymać...

- Szszsz, Garrett - przerwał mu Fredericks. - Nie musisz się przed nikim tłumaczyć. - Potem zwrócił się do Bella. - To przesłuchanie jest skończone.

Zaprowadźcie go z powrotem do celi.

Kiedy Jesse Corn wyprowadzał Garretta na zewnątrz, ten zatrzymał się nagle i spojrzał na Amelię.

-Proszę, musi pani coś dla mnie zrobić. Proszę! Mój pokój w domu. Stoją tam słoiki.

-Dalej, Jesse - zakomenderował Bell. - Zabierz go stąd.

Sachs powstrzymała go jednak.

- Poczekaj. - Potem spytała Garretta. - Słoiki? Z twoimi owadami?

Chłopiec skinął głową.

-Należy pani do nich wody? Albo przynajmniej niech pani wypuści owady, może jakoś przeżyją. Pan i pani Babbage nie zrobią nic, żeby je uratować. Proszę...

Zawahała się, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Wreszcie skinęła głową.

-Zrobię to. Obiecuję.

Garrett uśmiechnął się do niej słabo.

Bell obdarzył Sachs zagadkowym spojrzeniem, potem wskazał głową na drzwi, a Jesse wyprowadził chłopca z pokoju. Prawnik ruszył jego śladem, Bell jednak wbił mu palec w pierś.

- Ty nigdzie nie idziesz, Cal. Będziemy tu siedzieć, dopóki nie przyjedzie McGuire.

Nie dotykaj mnie, Bell - mruknął prawnik, ale posłusznie usiadł na krześle. - Jezu Chryste, co się tu dzieje, rozmawiacie

z szesnastolatkiem bez...

Zamknij się, do diabła, Cal. Nie chciałem wyciągnąć od niego zeznań, a nawet gdyby zechciał je złożyć, i tak bym ich nie wykorzystał. Mamy dość dowodów, żeby wsadzić go za kratki na resztę życia. Chcę tylko znaleźć Mary Beth. Wiemy jedynie, że jest gdzieś na Outer Banks. Jeśli chłopak nam nie pomoże, będziemy szukać igły w stogu siana.

-Nie ma mowy. Nie powie wam już nic więcej.

- Ona może umrzeć z pragnienia, Cal, z głodu. Może dostać udaru, zachorować...

Kiedy prawnik milczał uparcie, szeryf westchnął i dodał:

- Cal, ten chłopak jest groźny. Ma na sumieniu sporo innych grzechów...

-Wiem o wszystkim, sekretarka przeczytała mi jego kartotekę po drodze. Do diabła, to tylko jakieś drobnostki. Podglądanie, phi. To zabawne, ale on nie był nawet na terenie posiadłości tych

ludzi, chodził sobie tylko po chodniku.

- Gniazdo szerszeni kilka lat temu - wycedził Mason przez zaciśnięte zęby.

- Sam go wypuściłeś - zauważył pogodnie prawnik. - Nawet nie był oskarżony.

- Molestowanie seksualne w zeszłym roku - nie dawał za wygraną policjant.

- O tak, rzeczywiście - odparł Fredericks z sarkazmem. - Poklepał po tyłku jakąś dziewczynę, co każdy futbolista robi setki razy, tyle że nikt nie zwraca na to uwagi. A sianie zgorszenia?

Przypuszczam, że znalazłoby się jeszcze kilku nastolatków, którzy publicznie walili konia...

O, przepraszam, panno Sachs.

- Ale tutaj chodzi o coś zupełnie innego, Cal. - Bell pokręcił głową. - Mamy świadków, mamy niezbita dowody, jeden z moich ludzi nie żyje. Możemy zrobić z tym chłopakiem, co chcemy.

Do pokoju przesłuchań wszedł szczupły mężczyzna w pomiętym garniturze. Rzednące włosy, pociągła twarz pięćdziesięcioletka. Przywitał Amelię ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, potem zaś spojrział ponuro na Fredericksa.

- Słyszałem już dość, by przekonać się, że to jeden z najbardziej oczywistych przypadków morderstwa, porwania i napaści seksualnej, jaki miałem od lat. |

Bell przedstawił Sachs Bryana McGuire'a, prokuratora okręgu Paąuenoke.

- On ma szesnaście lat - przypomniał Fredericks.

Prokurator odparł niezmiennym głosem:

- Każdy sąd w tym stanie będzie sądził go jak dorosłego i wsadzi na co najmniej dwieście lat.

- Bzdury, McGuire - zachnął się Fredericks, zniecierpliwiony.

- Szukasz okazji. Znam ten ton.

McGuire skinął na Bella, a Sachs domyśliła się, że obaj mężczyźni omawiali już wcześniej ten temat.

- Oczywiście, że szukamy okazji - kontynuował Bell. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że dziewczyna jeszcze żyje, i chcemy ją znaleźć, nim to się zmieni.

- Mamy na niego tyle paragrafów - dodał McGuire - że będziesz zadziwiony, jak dalece gotowi jesteśmy ustąpić.

- Zadziw mnie - poprosił czupurny adwokat.

- Mogę oskarżyć go o podwójne porwanie i podwójne morderstwo pierwszego stopnia: Billy'ego Staila i policjanta, który umarł od uządleń. Ale mogę też coś odpuścić. Pod warunkiem, że znajdziemy dziewczynę żywą.

- Śmierć Eda Schaeffera była przypadkowa - odparował prawnik.

- Ten gnojek zastawił na niego pułapkę - wściekł się Mason.

- Morderstwo pierwszego stopnia za Billy'ego i nieumyślne spowodowanie śmierci policjanta - zaoferował McGuire.

Fredericks zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Stukając głośno obcasami, prawnik przeszedł do celi, by skonsultować się ze swoim klientem. Kiedy wrócił po pięciu minutach, nie wyglądał na zadowolonego.

- O co chodzi? - spytał Bell, domyślając się, jaka była odpowiedź chłopca.

Bez powodzenia.

- Nic?

Zupełnie.

Bell mruknął:

Jeśli coś wiesz i nie chcesz nam powiedzieć, Cal, to pamiętaj, że głównie mnie obchodzą przywileje...

Nie, nie, Jim, naprawdę. On twierdzi, że chroni tę dziewczynę. Mówi, że jest szczęśliwa tam, gdzie ją zostawił, i że powinniście szukać wysokiego mężczyzny w brązowych ogrodniczkach i białej koszuli.

-Nie podał nam nawet przyzwoitego rysopisu, a choćby to zrobił, jutro i tak wszystko by pomieszało, bo go wymyśla -oświadczył Bell.

McGuire przygładził rzadkie włosy. Adwokat używał Aqua Net, stwierdziła Sachs.

Prokurator Bylcreme.

-Posłuchaj, Cal, to twój problem. Oferuję ci to, co mogę oferować. Podasz nam miejsce pobytu dziewczyny, złagodzę oskarżenie. Jeśli nie, będę walił z największych dział. Ten chłopak już nigdy nie zobaczy świata poza więzieniem. Obaj o tym wiemy.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

-Mam pewną myśl - powiedział w końcu Fredericks.

- Mhm - mruknął McGuire sceptycznie.

-Nie, posłuchaj... Miałem taką sprawę w Albermarle, kobieta twierdziła, że jej chłopak uciekł z domu. Ale nie była przekonująca.

Sprawa Williams? - upewnił się McGuire. -Tej czarnej kobiety?

Tak jest.

Słyszałem o tym. Ty jej broniłeś? - spytał Bell.

-Tak. Opowiadała nam jakieś dziwne historie, wcześniej leczyła się u psychiatry. Ściągnąłem psychologa z Avery, miałem nadzieję, że uzna ją za niepoczytalną. Przeprowadził jakieś testy.

Podczas jednego z nich otworzyła się zupełnie i powiedziała nam całą prawdę.

Hipnoza - te bzdury o odzyskanej pamięci? - skrzywił się McGuire.

Nie, to coś innego. Ten psycholog nazywał to terapią pustego krzesła. Nie wiem dokładnie, jak to działa, ale naprawdę zaczęła mówić. Jakby potrzebowała tylko lekkiego impulsu.

Pozwólcie, że zadzwonię do tego faceta i poproszę go, żeby pogadał z Garrettem. Może chłopak się otworzy i zrozumie... Ale... - tym razem to adwokat dźgnął Bella palcem w pierś -

...wszystko, o czym będą mówić, pozostanie w tajemnicy, chyba że ja zdecyduję inaczej.

Bell spojrzął na McGuire'a i skinął głową.

- Dzwon do niego - polecił prokurator.

-Dobra. - Fredericks podszedł do telefonu zawieszzonego w rogu pokoju przesłuchań.

-Przepraszam... - zaczęła Sachs. Prawnik odwrócił się do niej.

- Ta sprawa, w której pomógł panu psycholog, sprawa pani Williams...

-Tak?

- Co się stało z chłopcem? Rzeczywiście uciekł?

-Nie, matka go zabiła. Okręciła go drutem, przywiązała do niego cegły i wrzuciła do stawu obok domu. Hej, Jim, jak dodzwonić się stąd poza miasto?

Krzyk był tak głośny, że rozpalili gardło Mary Beth jak ogień i - przynajmniej zdaniem dziewczyny - chyba trwale uszkodził jej struny głosowe.

Misjonarz spacerujący wzdłuż lasu, z wędką w ręce, przystanął jeszcze raz. Rozejrzał się dokoła.

Proszę, proszę, proszę, myślała Mary Beth. Ignorując ból, próbowała raz jeszcze:

-Tutaj! Pomocy!

Spojrzał na chatę. Zaczął się oddalać.

Wzięła głęboki oddech, pomyślała o pstrykających paznokciach Garretta, o jego wilgotnych oczach i twardej erekcji, o odważnej śmierci swego ojca, o Virginii Dare... I wydała chyba najgłośniejszy okrzyk w swym życiu.

Tym razem Misjonarz zatrzymał się, spojrzał w stronę chaty. Zdjął kapelusz, położył wędkę, pudełko z przynętą i koszyk na ziemi, po czym biegiem ruszył w jej stronę.

Dziękuję... Zaczęła głośno szlochać. Och, dziękuję!

Był szczupły i mocno opalony, miał jakieś pięćdziesiąt lat, doskonale się trzymał.

Prawdopodobnie spędzał większość czasu na powietrzu.

- Co się stało? - zawołał, dysząc, kiedy był w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp od chaty.

Zwolnił do truchtu. - Nic pani nie jest?

-Proszę! - wychrypiała. Ból w gardle był nie do zniesienia. Znów splunęła krwią.

Podszedł ostrożnie do wybitego okna, spojrzał na kawałki szkła leżące na ziemi.

-Potrzebuje pani pomocy?

-Nie mogę się stąd wydostać. Ktoś mnie porwał...

- Porwał?

Mary Beth otarła twarz wilgotną od potu i łez ulgi.

- Pewien chłopak z Tanner's Corner.

-Zfraz... Słyszałem o tym. Mówili w wiadomościach. Więc to pani jest tą porwaną dziewczyną?

-Tak.

- Gdzie on teraz jest?

Próbowała mu odpowiedzieć, ale za bardzo bolało ją gardło. Wzięła głęboki oddech i wreszcie zdołała wykrztusić:

-Nie wiem. Wyszedł wczoraj w nocy. Proszę... ma pan wodę?

- Manierkę, przy moim sprzęcie wędkarskim. Zaraz przyniosę.

-Proszę też zadzwonić po policję. Ma pan telefon?

Pokręcił głową.

- Tylko w domu, nie mam komórki. Jest pani ranna? - Spojrzał na zakrzepłą krew na jej głowie.

- Nie, to nic takiego. Ale... woda. Potrzebuję wody.

Pobiegł z powrotem do lasu. Przeraziła się na moment, że ucieknie i już do niej nie wróci, on jednak podniósł oliwkową manierkę i przyszedł z nią.

Pochwyciła pojemnik drżącymi rękoma i zmusiła się do powolnego przełykania. Woda była gorąca i lekko zatęchła, Mary Beth nigdy jednak nie czuła się równie cudownie jak w tej chwili.

-Spróbuję panią stąd wydostać - powiedział mężczyzna i przeszedł do frontowych drzwi. Po chwili usłyszała głuchy huk, kiedy próbował je otworzyć kopniakiem, a może wypchnąć ramieniem. Jeszcze raz. I jeszcze. Podniósł jakiś kamień i rzucił nim w drzwi. Bez skutku.

Powrócił do okna.

- Ani drgnie. - Otarł pot z czoła i przyjrzał się kratom. - Kurczę, wybudował tu prawdziwe więzienie. Piłką do metalu ciąłbym to kilka godzin. Dobra, sprowadzę pomoc. Jak się pani nazywa?

-Mary Beth McConnell. Jestem zTanner's Corner.

-Zadzwoń po policję, a potem wrócę i jeszcze raz spróbuję jakoś to otworzyć.

-Proszę się pośpieszyć.

-Mieszkam jakieś pięć mil stąd, ale mam tu niedaleko przyjaciela. Zadzwoń po policję i wrócimy razem. Ten chłopak... czy on ma broń?

- Nie wiem. Nie widziałam, żeby miał. Ale nie wiem.

-Proszę spokojnie czekać, Mary Beth. Wszystko będzie dobrze. Zwykle nie uprawiam joggingu, ale dzisiaj sobie trochę pobiegam. - Odwrócił się i ruszył biegiem przez pole.

-Proszę pana... Dziękuję panu.

On jednak nie słyszał jej podziękowań. Sprintem pokonał pole turzycy i trawy, po czym zniknął w lesie, nie przystając nawet, by zabrać swój sprzęt wędkarski.

Wedy Sachs wyszła z aresztu, dostrzegła Lucy Kerr siedzącą po drugiej stronie ulicy na ławce przed delikatesami i popijającą mrożoną herbatę. Przeszła przez jezdnię. Obie kobiety przywitały się skinieniem głowy.

Sachs zauważyła w oknie delikatesów napis: „Zimne piwo”. Spytała Lucy:

-Macie tu prawo otwartych pojemników?

-Tak - odparła policjantka. -1 traktujemy je bardzo poważnie. Prawo mówi, że jeśli chcesz pić z pojemnika, to ten musi być otwarty.

Dowcip dotarł do Sachs z sekundowym opóźnieniem. Roześmiała się.

Chcesz coś mocniejszego? - spytała.

Lucy pokręciła głową.

Nie, to mi wystarczy.

Sachs wróciła po minucie ze spienionym piwem Sam Adams w styropianowym kubku.

Usiadła obok Lucy. Opowiedziała jej o dyskusji pomiędzy McGuire'em i Fredericksem i o psychologu, którego chciał wezwać adwokat.

-Mam nadzieję, że to zadziała - westchnęła Lucy. - Jim twierdzi, że na Outer Banks jest kilka tysięcy starych domów. Musimy jakoś zawęzić obszar poszukiwań.

Przez kilka minut obie milczały, wreszcie Sachs wspomniała o braku dzieci w mieście.

-To prawda - przyznała Lucy. - Nie zastanawiałam się nad tym, ale rzeczywiście nie ma tu wielu dzieciaków. Większość młodych par wyprowadziła się chyba gdzieś bliżej autostrady międzystanowej albo do większych miast. Tanner's Corner nie jest dobrym miejscem dla kogoś, kto chce się wybić.

-A ty masz dzieci? - spytała Sachs.

Nie. Nie udało nam się, kiedy byłam z Buddym. Potem się rozeszliśmy, a ja nie poznałam nikogo nowego. Muszę przyznać, że bardzo tego żałuję. Nie mam dzieci.

Od kiedy jesteś rozwiedziona?

Od trzech lat.

Sachs była zaskoczona, że Lucy nie wyszła powtórnie za męża. Była bardzo atrakcyjna, miała niezwykle piękne oczy. Kiedy Sachs była jeszcze profesjonalną modelką w Nowym Jorku, nim zdecydowała się pójść w ślady ojca i podjąć pracę w policji, spotykała wielu pięknych ludzi. Jednak ich spojrzenia często były całkiem puste: Amelia Sachs doszła do wniosku, że jeśli oczy człowieka nie są piękne, to i on sam nie może być piękny.

- Och, na pewno kogoś poznasz, założysz rodzinę – zwróciła się do Lucy.

-Mam swoją pracę - odrzekła ta szybko. - Nie można robić w życiu wszystkiego, sama rozumiesz. Sachs wyczuwała, że Lucy nie mówi jej całej prawdy, że chciałaby się z nią czymś podzielić.

Zastanawiała się, czy będzie umiała to od niej wyciągnąć. Spróbowała okrężnej drogi:

-W okręgu są chyba tysiące mężczyzn, którzy chcieliby się z tobą spotykać.

Po chwili milczenia Lucy odparła:

Prawdę mówiąc, rzadko spotykam się z facetami.

Naprawdę?

Kolejna pauza. Sachs podniosła wzrok na pustą, zakurzoną ulicę. Lucy wzięła głęboki oddech, jakby chciała coś wyznać, potem jednak pociągnęła tylko kolejny łyk herbaty.

Wreszcie, jakby kierowana impulsem, spytała:

- Wiesz, co to był za problem medyczny, o którym ci wspominałam?

Sachs pokręciła głową.

-Rak piersi. Nie bardzo zaawansowany, ale lekarz powiedział, że powinni zrobić podwójną amputację. I zrobili.

-Przykro mi - powiedziała Sachs, spoglądając na nią ze współczuciem. - Chodziłaś na zabiegi?

-Tak. Przez jakiś czas byłam łysa. Interesujące doświadczenie. - Lucy pociągnęła kolejny łyk.

- Od tej pory minęły cztery lata. Na razie nie jest źle - kontynuowała. - To było naprawdę wielkie zaskoczenie. Pierwszy przypadek w mojej rodzinie. Babcia jest zdrowa jak ryba.

Mama nadal pracuje pięć dni w tygodniu w rezerwacie przyrody Mattamuskeet. Razem z ojcem wybierają się dwa, trzy razy do roku na piesze wycieczki po Appalalach.

-Nie możesz mieć dzieci ze względu na promieniowanie? -spytała Sachs.

-Ochjjiie, używali tarczy. Tylko... po prostu nie mam ochoty na randki. Wiesz, gdzie każdy mężczyzna wkłada rękę po pierwszym poważnym pocałunku...

Sachs nie mogła zaprzeczyć.

-Czasami spotykam jakiegoś miłego faceta, idziemy razem na kawę, ale po dziesięciu minutach zaczynam się martwić, co on sobie pomyśli. I kończy się na tym, że nie odpowiadam na jego telefony.

-Więc zrezygnowałaś z rodziny?

-Może kiedy będę starsza, poznam jakiegoś wdowca z dwójką dzieci. To by było miłe.

Mówiła swobodnym tonem, Sachs miała jednak wrażenie, że Lucy powtarza te słowa zbyt często

- może do samej siebie. Że robi to codziennie.

- Zawsze pragnęłaś mieć dzieci? - spytała.

Lucy pochyliła głowę.

-Bez wahania oddałabym odznakę za dwójkę dzieciaków. Ale cóż, życie nie zawsze układa się tak, jak byśmy tego chcieli.

-A twój były zostawił cię po operacji? Zapomniałam już, jak miał na imię.

- Bud. Nie, nie zaraz po. Ale dość szybko. Do diabła, nie mogę go za to winić.

Dlaczego tak mówisz?

-Jak?

Że nie możesz go winić?

-Po prostu nie mogę. Zmieniłam się, stałam się inną kobietą. Stałam się kimś, kim nie byłam przed ślubem.

Sachs milczała przez chwilę, wreszcie oświadczyła:

- Rhyme też jest inny. Chyba nie mógłby już być bardziej odmienny od tego kogoś, kim był.

Lucy zastanawiała się nad tym przez chwilę. -Więc wy dwoje nie jesteście tylko zwykłymi, powiedzmy, kolegami?

Zgadza się.

Tak przypuszczałam. - Lucy roześmiała się nagle. - Hej, jesteś twardym gliniarzem z wielkiego miasta... Co ty sądzisz

o dzieciach?

-Chciałabym je mieć. Pop, mój ojciec, chciał mieć wnuczki. On też był gliniarzem. Podobał mu się ten pomysł, trzy pokolenia w służbie prawa. Myślał, że może napisaliby o nas w magazynie „People”. Uwielbiał „People”.

Czas przeszedł?

Zmarł kilka lat temu.

Zginął w akcji?

Sachs zawahała się na sekundę, potem jednak odpowiedziała: -Rak.

Znów milczały przez chwilę. Lucy spojrzała na profil Sachs, potem na budynek aresztu.

- Czy on może mieć dzieci? Lincoln?

Na dnie kubka zostało jeszcze trochę piwa. Sachs wypiła je jednym haustem.

-Teoretycznie tak.

Postanowiła jednak nie mówić Lucy, że tego ranka, kiedy byli w Centrum Badań w Avery, wymknęła się z pokoju, by spytać doktor Weaver, czy operacja pozwoli Rhyme'owi mieć dzieci. Doktor Weaver zaprzeczyła i zaczęła jej tłumaczyć, jaki zabieg byłby konieczny, aby Sachs zaszła w ciążę. Ale właśnie wtedy pojawił się Jim Bell ze swoją prośbą o pomoc.

Nie powiedziała też Lucy, że Rhyme unikał rozmów na temat dzieci jak ognia i że sama musiała spekulować, dlaczego odnosi się do tej kwestii z taką niechęcią. Przychodziło jej do głowy wiele powodów; między innymi obawa, że rodzina może przeszkodzić mu w pracy kryminalistyka, której Rhyme potrzebuje, by utrzymać się przy zdrowych zmysłach. Albo świadomość, że paralitycy, przynajmniej statystycznie, żyją krócej od zdrowych ludzi. A może chciał mieć swobodę w

podejmowaniu decyzji, pewność, że jeśli obudzi się któregoś dnia i stwierdzi, że nie chce już dłużej żyć, będzie mógł ze sobą skończyć. Niewykluczone też, że były to wszystkie te przyczyny naraz, połączone jeszcze z przekonaniem, że trudno byłoby nazwać jego i Sachs nor-'malnymi rodzicami {choć tu Sachs na pewno by mu się sprzeciwiła - co właściwie znaczy dzisiaj słowo „normalni”?}.

-Zawsze się zastanawiałam, czy pracowałabym nadal, gdybym miała dzieci - rozmyślała głośno Lucy. - A ty?

-Noszę broń, ale zajmuję się głównie badaniem miejsca zbrodni. Zrezygnowałabym z ryzykownych akcji. Musiałabym też wolniej jeździć. W moim garażu na Brooklynie stoi terazcamero z trzystu sześćdziesięcioma kołmi pod maską. Nie bardzo wiem, jak bym tam wstawiła fotelik dla dziecka. - Roześmiała się.

- Pewnie musiałabym się nauczyć jeździć kombiakiem volvo z automatyczną skrzynią biegów. Może wzięłabym parę lekcji.

-Już sobie wyobrażam, jak zdierasz gumę z parkingu przy Food Lion.

Znów zapadła między nimi cisza, to dziwne milczenie dwu nieznanym osobom, które odsłoniły przed sobą skomplikowane sekrety i rozumieją, że nie mogą już posunąć się dalej.

Lucy spojrzała na zegarek.

-Muszę wrócić do biura. Pomóc Jimowi obdzwaniać Outer Banks, - Wrzuciła pustą butelkę do kosza na śmieci. Pokręciła głową. - Ciągle myślę o Mary Beth. Zastanawiam się, czy nic jej nie jest, czy bardzo się boi.

Kiedy jednak wypowiadała te słowa, Sachs myślała nie o dziewczynie, lecz o Garrecie Hanlonie. Ponieważ rozmawiały przed chwilą o dzieciach, Amelia próbowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby to jej syn został oskarżony o porwanie i morderstwo. Gdyby czekała go noc spędzona w więzieniu. Może setki nocy, może tysiące.

Lucy zatrzymała się na moment.

-Wracacie do Avery?

- Za chwilę.

-Mam nadzieję, że zobaczymy się przed waszym wyjazdem.

-Na pewno jeszcze tu wpadnę. Lincoln ma operację pojutrze, a potem będziemy musieli poczekać z tydzień lub dwa, aż dojdzie do siebie.

Policjantka ruszyła w górę ulicy.

Kilka minut później otworzyły się drzwi aresztu. Ze środka wyszedł Mason Germain. Sachs nigdy nie widziała go uśmiechniętego, teraz także się nie uśmiechał. Omiótł spojrzeniem ulicę, ale jej nie zauważył. Przeszedł kilkadziesiąt jardów po splekany chodniku i zniknął we wnętrzu budynku - sklepie czy barze - pomiędzy aresztem i urzędem okręgowym.

Później po drugiej stronie ulicy zatrzymał się jakiś samochód. Ze środka wysiadło dwóch mężczyzn; prawnik Garretta, Cal Fredericks, i jakiś krępy, ociężały czterdziestolatek. Miał na sobie koszulę i krawat - górne guziki koszuli były rozpięte, a niedbały węzeł prążkowanego krawata ściągnięty kilka cali w dół. Rękawy koszuli podwinął, granatową marynarkę przewiesił sobie przez ramię. Całości dopełniały jasnobrązowe, mocno pomięte spodnie.

Mężczyzna miał łagodną, miłą twarz nauczyciela ze szkoły podstawowej. Weszli do budynku.

Sachs wrzuciła kubek do kosza przed delikatesami. Przeszła przez ulicę i zniknęła w drzwiach aresztu.

Val Fredericks przedstawił Amelii doktora Elliotta Penny'ego.

Och, to pani pracuje z Lincolnem Rhyme'em? - spytał doktor.

Zgadza się - odparła Sachs zaskoczona.

-Cał powiedział mi, że to głównie dzięki wam schwytano Garretta. Czy on jest tutaj? Mam na myśli Lincolna.

- Jest w urzędzie okręgowym. Prawdopodobnie nie zostanie tam długo.

-Mamy wspólnego przyjaciela. Chciałbym się z nim przywitać. Może wpadnę tam, jeśli czas pozwoli.

-Powinien tu być jeszcze przez jakąś godzinę. - Sachs odwróciła się do Cala Fredericksa. - Mogę pana o coś zapytać?

- Oczywiście - odparł prawnik ostrożnie; teoretycznie Sachs pracowała dla jego przeciwnika.

-Mason Germain rozmawiał tu wcześniej z Garrettem. Wymienił nazwę Lancaster. Co to takiego?

-Więzenie dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Garrett zostanie tam przewieziony po postawieniu go w stan oskarżenia i pozostanie aż do procesu.

To więzenie dla młodocianych?

Nie, nie. Dla dorosłych.

Ale on ma szesnaście lat - przypomniała Sachs.

Och, McGuire będzie go sądził jak dorosłego. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia.

- Jak to wygląda?

- Co, Lancaster? - Prawniki wzruszyli swymi wąskimi ramionami. - Na pewno zrobią mu tam krzywdę. Nie da się tego uniknąć. Nie wiem, jak bardzo, ale na pewno go skrzywdzą.

Chłopak taki jak on będzie w Lancaster na samym końcu łańcucha pokarmowego.

Nie można go izolować?

-Nie tam. To jeden wielki kombinat. Możemy tylko mieć nadzieję, że zatroszczą się o niego strażnicy.

-A co z kaucją?

Fredericks roześmiał się.

-Nie ma na świecie sędziego, który wyznaczyłby kaucję w takiej sprawie.

-Może udałoby się go przenieść do innego więzienia? Lincoln ma wielu przyjaciół w Nowym Jorku.

-W Nowym Jorku? - Prawniki obdarzyli ją łagodnym, lecz cierpkim uśmiechem południowca.

- Nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie na południe od linii Masona-Dixona, a nawet na zachód od Hudsonu. - Wskazał głową na doktora Penny'ego. - Nie, nasza jedyna szansa to namówić Garretta do współpracy i pójść na ugodę z McGuire'em.

-Czy nie powinni być przy tym obecni przybrani rodzice chłopca?

-Powinni, jasne. Dzwoniłem do nich, Hal jednak powiedział, że chłopak może liczyć tylko na siebie. Nie pozwolił mi nawet rozmawiać z Maggie, macochą Garretta.

-Ale Garrett nie może sam o sobie decydować - zauważyła Sachs. - Jest jeszcze dzieckiem.

- Zanim zostanie postawiony w stan oskarżenia albo nim zawrzemy ugodę z prokuratorem, sąd wyznaczy mu opiekuna ad litem

- wyjaśnił Fredericks. - Proszę się nie martwić, zatroszczymy się o niego.

Sachs odwróciła się do doktora.

- Co pan zamierza z nim robić? Na czym polega ten test pustego krzesła?

Doktor Penny zerknął na prawnika, ten zaś skinął głową, pozwalając mu wytłumaczyć wszystko

Sachs.

- To nie jest test. To rodzaj terapii opartej na psychologii postaci, techniki behawioralnej, która pozwala bardzo szybko zrozumieć pewne typy zachowań. Poproszę Garretta, by wyobraził sobie, że Mary Beth siedzi na krześle naprzeciwko niego, a potem każę mu z nią rozmawiać, wyjaśnić jej, dlaczego zrobił to, co zrobił. Mam nadzieję, że dzięki temu zrozumie, że dziewczyna jest wystraszona i zrozpaczona, że postąpił źle. Że będzie lepiej dla niej, jeśli powie nam, gdzie ją uwięził.

-i to się uda?

-Właściwie technika ta nie jest przeznaczona do tego rodzaju sytuacji, ale myślę, że może przynieść jakieś rezultaty. Prawnik spojrział na zegarek.

Jest pan gotowy, doktorze?

Penny skinął głową.

No to chodźmy.

Obaj mężczyźni zniknęli w drzwiach pokoju przesłuchań. Sachs została na zewnątrz, nalała sobie zimnej wody z automatu. Popijała ją powoli. Kiedy policjant siedzący za biurkiem przy wejściu przestał zwracać na nią uwagę i pochylił się nad gazetą, Sachs szybko weszła do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie stała kamera używana do nagrywania przesłuchań. Pokój był pusty. Zamknęła drzwi i usiadła za weneckim lustrem, obserwując wnętrze pokoju przesłuchań. Garrett siedział na krześle pośrodku pokoju. Doktor zajął miejsce za stołem. Cal Fredericks usiadł w rogu, złożył ręce na piersiach i oparł kostkę na kolanie, odsłaniając wysokie, grube obcasy butów. Czwarte, puste krzesło stało naprzeciwko Garretta. Sachs słyszała ich głosy przez tani, trzeszczący głośnik,

umieszczony nad lustrem.

-Witaj, Garrett, jestem doktor Penny. Jak się czujesz?

Milczenie.

- Trochę tu gorąco, prawda?

Garrett nadal nic nie mówił. Opuścił wzrok. Pstrykał paznokciami palca wskazującego i kciuka. Sachs nie słyszała tego dźwięku. Zorientowała się, że sama wbija paznokiec kciuka w opuszkę palca wskazującego. Poczowała wilgoć, zobaczyła krew. Przestań, przestań, myślała, i zmusiła się do opuszczenia rąk.

-Garrett, przyszedłem tu, żeby ci pomóc. Pracuję z twoim prawnikiem, panem Fredericksem, chcemy, byś otrzymał jak najniższy wyrok za to, co zrobiłeś. Możemy ci pomóc, ale potrzebujemy twojej współpracy.

- Pan doktor chce z tobą porozmawiać, Garrett - powiedział Fredericks. - Spróbujemy dowiedzieć się kilku rzeczy. Ale wszystko, co tu powiemy, zostanie między nami. Nie przekazemy tego nikomu bez twojego wyraźnego pozwolenia. Rozumiesz to?

Chłopiec skinął głową.

-Pamiętaj, Garrett - mówił doktor. - Chcemy twego dobra, jesteśmy po twojej stronie...

Chciałbym, żebyś teraz spróbował coś dla mnie zrobić. Zgadzasz się?

Sachs patrzyła na twarz chłopca. Ten podrapał się po policzku.

-Chyba tak.

-Widzisz to krzesło? ; ; ;

Penny wskazał głową na puste krzesło. , [

-Widzę - odparł Garrett.

To będzie swego rodzaju gra. Będziesz udawał, że na tym krześle siedzi ktoś naprawdę ważny. Jak prezydent?

-Nie, ktoś ważny dla ciebie. Będziesz udawał, że ta osoba siedzi tu przed tobą. Chcę, byś z nią porozmawiał. I byś był naprawdę szczery. Powiedział jej wszystko, co chcesz jej powiedzieć.

Podzielił się z nią swoimi sekretami. Jeśli jesteś na nią zły, powiedz jej to. Jeśli ją kochasz, też jej to powiedz. Jeśli jej chcesz - tak jak chciałbyś dziewczyny - powiedz jej to śmiało.

Pamiętaj, że możesz mówić wszystko, co tylko zechcesz. Nikt nie będzie się na ciebie złościł.

-Mam rozmawiać z krzesłem? - spytał Garrett doktora.

- Dlaczego?

- Choćby dlatego, że łatwiej się pogodzisz ze złymi rzeczami, i które się dzisiaj wydarzyły.

- To znaczy z tym, że dałem się złapać?

Sachs uśmiechnęła się do siebie.

Penny zdołał zapanować nad uśmiechem i przysunął krzesło bliżej Garretta.

-Teraz wyobraź sobie, że siedzi tu ktoś ważny dla ciebie. Powiedzmy, Mary Beth McConnell.

I że masz teraz okazję powiedzieć dziewczynie coś, co chciałeś powiedzieć jej już wcześniej.

Coś, o czym bałeś się mówić, bo było zbyt przerażające albo za bardzo się tego wstydziłeś.

Coś naprawdę ważnego. Nie jakieś bzdury.

Garrett rozejrzał się nerwowo po pokoju, zerknął na prawnika, który skinął zachęcająco głową. Wreszcie wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

- Dobra. Chyba jestem już gotowy.

- Świetnie. Teraz wyobraź sobie, że siedzi tu Mary Beth...

Ale ja nie chcę nic mówić do Mary Beth - przerwał mu Garrett.

-Nie?

Garrett pokręcił głową.

-Powiedziałem jej wszystko, co chciałem powiedzieć.

-Nie ma już nic więcej?

Zawahał się.

-Nie wiem... Może. Tylko... chodzi o to, że wolałbym wyobrazić sobie kogoś innego.

- Na razie trzymajmy się Mary Beth. Wspomniałeś, że może jednak jest coś, co chciałbyś jej powiedzieć. Pomyśl o tym. Może chcesz jej powiedzieć, jak cię zawiodła albo skrzywdziła.

Albo jak cię rozgniewała. Jak zamierzasz jej za to odpłacić. Cokolwiek tylko zechcesz, Garrett. Możesz powiedzieć wszystko. Garrett wzruszył ramionami. -Nie wiem... To naprawdę musi być ona? Nie może być ktoś inny?

- W tej chwili tak, to musi być Mary Beth. Chłopiec odwrócił się nagle do lustra weneckiego i spojrzał prosto na miejsce, w którym siedziała Sachs. Ta cofnęła się odruchowo, jakby Garrett wiedział, że ona tam jest, choć przecież nie mógł jej widzieć. Spojrzała w jego zdesperowane oczy i odwróciła wzrok.

Chłopiec odwrócił się ponownie do doktora Penny'ego. -Dobra. Powiedziałbym jej chyba, że cieszę się, że jest bezpieczna.

Doktor rozpromienił się.

-Świetnie, Garrett. Zaczniemy od tego. Powiedz jej, że ją uratowałeś. Powiedz jej dlaczego.

Garrett spojrzał niepewnie na puste krzesło. Potem zaczął mówić:

-Mary Beth była w Blackwater Landing i...

-Nie, pamiętaj, że mówisz do niej. Udawaj, że siedzi na tym krześle.

Garrett odchrząknął.

-Byłaś w Blackwater Landing. Tam jest bardzo, bardzo niebezpiecznie. W Blackwater Landing giną ludzie. Martwiłem się o ciebie. Nie chciałem, żeby ciebie też skrzywdził ten człowiek w ogrodniczkach,

- Człowiek w ogrodniczkach? - spytał doktor.

- Ten, który zabił Billy'ego.

Penny zerknął na prawnika. Ten pokręcił lekko głową.

-Wiesz, Garrett, nawet jeśli naprawdę uratowałeś Mary Beth, ona może myśleć, że zrobiła coś, czym cię rozgniewała - powiedział doktor.

-Rozgniewała? Nie, nie zrobiła nic takiego.

- Zabrałeś ją z domu, od rodziny.

-Zabrałem ją, żeby była bezpieczna. - Przypomniał sobie o zasadach gry i spojrzał na puste krzesło. - Zabrałem cię, żebyś była bezpieczna.

-Ciągłe mi się wydaje - kontynuował Penny łagodnym tonem - że jest coś jeszcze, co chciałbyś jej powiedzieć. Wyczuwałem to już wcześniej. Masz jej coś bardzo ważnego do powiedzenia, ale nie chcesz tego zrobić.

Sachs także widziała to w twarzy chłopca. Wydawał się zaniepokojony, ale jednocześnie zaintrygowany grą doktora. Co działo się teraz w jego umyśle? Co wiedział? Rzeczywiście, było coś, co chciałby powiedzieć. Co takiego?

Garrett spojrzał na swe długie, brudne paznokcie.

No tak, może jest coś takiego.

Śmiało.

-To... to bardzo trudne.

Cal Fredericks pochylił się do przodu, przystawił pióro do kartki papieru.

Doktor Penny mówił cichym, zachęcającym głosem. -Wyobraźmy to sobie... Mary Beth jest tutaj. Czeka. Chce, żebyś to powiedział.

-Naprawdę? - spytał Garrett. -Tak pan myśli?

-Oczywiście - zapewnił go Penny. - Chcesz powiedzieć jej coś o tym, gdzie jest teraz? Dokąd ją zabrałeś? Jak tam jest? A może dlaczego zabrałeś ją właśnie do tamtego miejsca?

Nie - odparł Garrett. - Nie chcę o tym mówić.

Więc co chciałbyś powiedzieć?

-Ja... - umilkł, zawstydzony.

Wiem, że to trudne.

Sachs także pochyliła się do przodu. No już, myślała, dalej, Garrett. Chcemy ci pomóc.

Wyjdź nam naprzeciw.

Doktor Penny kontynuował swym hipnotycznym głosem:

- Śmiało, Garrett. Mary Beth siedzi tutaj, na tym krześle. Czeka. Jest ciekawa, co chcesz jej powiedzieć. Mów do niej. - Podsunął mu puszkę z colą, Garrett wypił kilka długich łyków, stukając kajdankami o puszkę, kiedy podniósł ją w obu dłoniach. Po tej krótkiej przerwie Penny mówił dalej: - Co takiego naprawdę chciałbyś jej przekazać? Ta jedna, najważniejsza rzecz. Widzę, że chcesz to powiedzieć. I myślę, że ona chciałaby to usłyszeć.

Doktor przysunął puste krzesło jeszcze bliżej.

-Siedzi tutaj, Garrett, przed tobą, patrzy na ciebie. Co to za rzecz, którą chciałbyś jej powiedzieć, ale dotąd nie mogłeś? Masz teraz okazję. Mów.

Kolejny łyk coli. Sachs zauważyła, że ręce Garretta drżą. Co się stanie? - myślała. Co on powie?

Nagle, ku zaskoczeniu obu mężczyzn obecnych w pokoju, Garrett pochylił się do przodu i wyrzucił z siebie szybko:

-Naprawdę bardzo, bardzo cię lubię, Mary Beth. I... i chyba cię kocham.

Wziął parę głębokich oddechów, kilkakrotnie pstryknął paznokciami, potem zacisnął dłonie na poręczach krzesła i pochylił głowę, czerwony jak burak.

-Właśnie to chciałeś powiedzieć? - spytał doktor.

Skinął głową.

- Coś jeszcze?

-Nie.

Doktor znów spojrział na prawnika, ale tym razem to on pokręcił lekko głową.

-Proszę pana... - zaczął Garrett. - Panie doktorze... Mam takie pytanie.

- Śmiało, Garrett.

-W moim domu jest pewna książka... Bardzo chciałbym ją tutaj mieć. Nazywa się „Miniaturowy świat”. Czy to możliwe?

-Zobaczmy, co się da zrobić. - Doktor spojrział na Fredericksa, ten zaś przewrócił oczami, wyraźnie poirytowany. Obaj mężczyźni wstali, włożyli marynarki.

- Na razie to wszystko, Garrett.

Chłopiec skinął głową.

Sachs szybko podniosła się z miejsca i wróciła do holu. Policjant przy wejściu niczego nie zauważył.

Kilka sekund później z pokoju przesłuchań wyszedł Fredericks i doktor. Garrett został odprowadzony do celi.

W drzwiach aresztu pojawił się Jim Bell. Fredericks przedstawił mu doktora Penny'ego.

-I jak? - spytał szeryf. Fredericks pokręcił głową. -Nic.

Byłem właśnie w sądzie - oświadczył ponuro Bell. - Oskarżenie będzie gotowe o szóstej, później przewiozą go do Lancaster.

Już dziś? - zdziwiła się Sachs.

-Lepiej jak najszybciej wywieźć go z miasta. Jest tu kilka osób, które chciałyby wziąć sprawy w swoje ręce.

-Później mogę spróbować jeszcze raz - zaofiarował się Pen-ny. -Teraz jest bardzo zdenerwowany.

- Jasne, że jest zdenerwowany - mruknął Bell. - Został aresztowany za morderstwo i porwanie. Też bym się zdenerwował.

W Lancaster może pan robić z nim, co zechce, ale w tej chwili McGuire przygotowuje akt oskarżenia, a najpóźniej za dwie godziny zabieramy go stąd. Cał, jeśli zamierzasz coś wytargować, lepiej bierz się do tego od razu. McGuire chce go skarżyć o podwójne morderstwo.

Kiedy Amelia wróciła do urzędu okręgowego, Rhyme gotował się ze złości.

-No już, Sachs, pomóż biednemu Benowi pakować sprzęt i ruszajmy w drogę. Powiedziałem doktor Weaver, że może zdążymy wrócić do szpitala jeszcze w tym roku.

Sachs stała jednak przy oknie i patrzył na pustą ulicę. Wreszcie powiedziała cicho:

- Rhyme.

Kryminalistyk podniósł wzrok, zmrużył oczy i spojrzał na nią tak, jakby patrzył na jakiś nieznaną, trudny do zidentyfikowania dowód.

- Nie podoba mi się to, Sachs.

-Co?

- Wcale mi się to nie podoba. Ben, nie, zanim to zapakujesz, musisz najpierw zdjąć armaturę.

-Armaturę? - Ben próbował upchnąć w pudle masywne ALS - alternatywne źródło światła, używane do wykrywania substancji niewidocznych dla nieuzbrojonego oka.

-Ten pręt - wyjaśniła Sachs i wzięła od niego niewygodne urządzenie.

-Dzięki. - Ben zaczął zwijać kabel komputera.

- Ta twoja mina, Sachs. Wcale mi się nie podoba. Twoja mina i ton twojego głosu.

- Ben - spytała - mógłbyś zostawić nas samych na kilka minut?

-Nie, nie mógłby - burknął Rhyme. - Nie mamy czasu. Musimy się spakować i wynieść stąd.

- Pięć minut - poprosiła.

Ben przenosił spojrzenie z Rhyme'a na Sachs i z powrotem; ponieważ Sachs patrzyła nań błagalnym, a nie gniewnym wzrokiem, to ona zwyciężyła w tym pojedynku, i zoolog wycofał się z pokoju.

Rhyme próbował uprzedzić jej argumenty.

-Sachs, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Uratowaliśmy Lydię. Złapaliśmy sprawcę. Chłopak powie im, gdzie jest Mary Beth, i jakoś się z tego wypłacze.

- Nie powie.

-To nie nasz problem. Nie możemy już...

Moim zdaniem, on tego nie zrobił.

Nie zabił Mary Beth? Może nie, ale...

Nie. Nie zabił Billy'ego.

Rhyme podrzucił głową, strącając z czoła irytujący kosmyk. -Wierzysz w tę historyjkę o mężczyźnie w brązowych ogrodniczkach? -Tak. -Sachs, to nieszczęśliwe dziecko, rozumiem, że jest ci go żal.

Mnie też go żal, ale...

- To nie ma z tym nic wspólnego.

-Masz rację, nie ma - warknął. - Jedyne, co się liczy, to dowody. A dowody wskazują, że nie było żadnego mężczyzny w ogrodniczkach i że Garrett jest winny.

-Dowody sugerują, że on jest winny, Rhyme. Nie dają stuprocentowej pewności. Dowody można interpretować na wiele różnych sposobów. Poza tym ja też mam swoje własne dowody.

To znaczy?

Poprosił mnie, żebym zaopiekowała się jego owadami.

-i co z tego?

- Czy nie wydaje ci się dziwne, że brutalny morderca martwi się jakimiś pieprzonymi robalami?

-To nie jest dowód, Sachs. To jego strategia. Psychologiczna ofensywa, którą chce złamać nasz opór. Ten chłopak jest sprytny, pamiętaj. Wysoki iloraz inteligencji, dobre oceny. Spójrz tylko na jego książki. To trudna lektura. Nauczył się wiele od owadów, a owady nie mają żadnego kodu moralnego, w ich świecie liczy się przetrwanie. Takie właśnie lekcje brał od życia, to jest jego

najważniejsze wykształcenie.

-Pamiętasz tę jego pułapkę? Wilczy dół, przykryty gałęziami?

Rhyme skinął głową.

-Dół miał tylko dwie stopy głębokości. A gniazdo szerszeni w środku? Było puste. Żadnych owadów. Butla z amoniakiem nie miała nikomu wyrządzić krzywdy, tylko ostrzec jego samego przed zbliżającym się pościgiem.

To nie jest dowód empiryczny, Sachs. Jak okrwawiona chusteczka na przykład.

Powiedział, że się onanizował. I że Mary Beth rozbiła sobie głowę, a on otarł jej tylko krew.

Zresztą gdyby ją zgwałcił, po co byłaby mu potrzebna chusteczka?

Żeby posprzątać po sobie.

Nie pasuje do żadnego ze znanych mi portretów psychologicznych.

Rhyme zacytował słowa z podręcznika własnego autorstwa: -Portret przestępcy to tylko wskazówka. Dowód jest...

- ...bogiem - dokończyła cytat. - Dobrze. Na miejscu zbrodni było bardzo dużo śladów. Pamiętaj, ta polanka została zdeptana. Mogły tam być też ślady człowieka w ogrodniczkach.

-Na narzędziu zbrodni nie ma innych odcisków.

-Garrett twierdzi, że facet miał rękawiczki - odparowała Sachs.

- Ale nie ma też śladów skóry.

-Mogły być wełniane. Pozwól mi to zbadać i...

-Mogły być, mogły być... Daj spokój, Sachs, to czyste spekulacje.

-Powinieneś być słyszeć, jak mówił o Mary Beth. On naprawdę martwi się o nią.

- Grał. Jak brzmi moja zasada numer jeden?

-Masz wiele zasad numer jeden.

Rhyme nie dał się zbić z tropu. -Nie można wierzyć świadkom.

-Nie, on ją kocha, troszczy się o nią. Naprawdę wierzy, że ją chroni.

- Och, bo ją chroni - wtrącił jakiś męski głos.

Sachs i Rhyme spojrzeli w stronę drzwi. Stał tam doktor Penny.

- Chroni ją przed sobą samym - dodał Penny.

Sachs przedstawiła sobie obu mężczyzn.

- Bardzo chciałem pana poznać, Lincoln - powiedział doktor.

- Specjalizuję się w psychologii sądowej. W zeszłym roku poznałem Berta Markhama na konferencji naukowej. Bert mówi o panu w samych superlatywach.

-Bert to dobry przyjaciel - odparł Rhyme. -Właśnie został szefem działu badawczego w Chicago.

Chciałem tylko pana poznać. - Potem Penny wskazał głową na korytarz. - Prawnik Garretta rozmawia właśnie z prokuratorem, ale nie sądzę, żeby chłopak coś na tym skorzystał.

Co pan miał na myśli, mówiąc, że Garrett chroni ją przed samym sobą? - spytała Sachs. -

Podwójną osobowość?

-Nie - odparł doktor, niezrażony jej zjadliwym sceptycyzmem. - Oczywiście, wchodzi tu w grę pewne zachwianie emocjonalne i umysłowe, ale nie możemy jeszcze mówić o podwójnej osobowości. Garrett wie doskonale, co zrobił Mary Beth i Billy'emu Stailowi. Jestem pewien, że ukrył ją gdzieś z dala od Blackwater Landing, gdzie prawdopodobnie to właśnie on zabił tych kilka osób w ciągu ostatnich lat. I zastraszył tego chłopca... jak on się nazywał?...

Wilkesa. Myślę, że zamierzał zgwałcić i zabić Mary Beth wtedy, gdy zabił Billy'ego, ale ta część

jego umysłu, która, cytując, „kocha” ją, nie pozwoliła mu tego zrobić. Zabrał ją jak najszybciej z Blackwater Landing, by jej nie skrzywdzić. Myślę, że jednak ją zgwałcił, choć dla niego nie jest to gwałt, lecz po prostu spełnienie tego, co postrzega jako ich związek. Coś równie naturalnego jak miesiąc miodowy nowożeńców. Nadal jednak pragnął ją zabić, powrócił więc następnego dnia do Blackwater Landing i znalazł ofiarę zastępczą, Lydię Johansson. Bez wątplenia zamierzał zamordować ją zamiast Mary Beth.

-Mam nadzieję, że nie będzie pan świadkiem obrony - rzuciła Sachs jadownicie. - Skoro tak brzmi pańska ekspertyza... Penny pokręcił głową.

- Z tego, co słyszałem, chłopak tak czy inaczej trafi do więzienia. Moja opinia w niczym mu nie pomoże ani nie zaszkodzi. -Myli się pan - oświadczyła Sachs. - Moim zdaniem, on nie zabił tego chłopca. A porwanie nie było takie czarno-białe, jak je pan przedstawił.

Penny wzruszył ramionami.

-Cóż, jako psycholog sądowy będę twierdził, że jednak to zrobił. Oczywiście, nie przeprowadziłem jeszcze wszystkich badań, ale chłopiec wykazuje wyraźnie zachowania socjopatyczne i antyspołeczne - mam na myśli wszystkie trzy główne systemy diagnostyczne.

Międzynarodową klasyfikację chorób, DSM-IV i rejestr chorób psychicznych. Czy musiałbym dokonać kompleksowych badań? Oczywiście. Jednak i bez tego Garrett doskonale pasuje do schematu zbrodniczej osobowości. Ma wysoki iloraz inteligencji, przejawia wzory myślenia strategicznego, planuje wcześniej swoje zbrodnie, nie wykazuje poczucia winy...

Jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

- Sachs - powiedział Rhyme. - O co ci chodzi? To już nie jest nasza gra.

Zignorowała go, jego przeszywające spojrzenie. -Ale, doktorze... Penny podniósł rękę.

Czy teraz ja mógłbym zadać pani pytanie?

Jakie?

Ma pani dzieci?

Chwila wahania.

Nie. Dlaczego pan pyta?

-Współczuje mu pani, to zrozumiałe, wszyscy mu współczujemy. Ale może pani mylić współczucie z utajonym instynktem macierzyńskim.

- Co to znaczy?

-To znaczy, że jeśli sama pragnie pani mieć dzieci, nie może pani oceniać obiektywnie czynów szesnastoletniego chłopca decydować o jego winie czy też niewinności. Szczególnie jeśli ten chłopak jest sierotą i miał ciężkie życie.

-Wręcz przeciwnie, potrafię być doskonale obiektywna burknęła. - Ale tutaj jest po prostu zbyt wiele znaków zapytania. Motywy Garretta nie mają sensu, on...

- Motywy to słaby punkt procesu dowodowego, Sachs, wież o tym.

-Nie potrzebuję więcej twoich maksym, Rhyme - mruknęła.

- Słyszałem, jak pytała pani Cala Fredericksa o Lancaster -

ciągnął Penny. - O to, co się stanie z chłopcem i czy nie można mu pomóc Sachs uniosła brwi w niemym pytaniu.

-Otóż myślę, że może mu pani pomóc, spędzając z nim po prostu trochę czasu. Okręg będzie musiał wyznaczyć pomocnika dla opiekuna skierowanego przez sąd, jestem pewien, że mogłaby pani dostać tę posadę. Może chłopak nawet otworzy się przed panią i powie, gdzie więzi Mary Beth.

Kiedy zastanawiała się nad tym, w drzwiach stanął Thom.

- Samochód czeka, Lincoln.

Rhyme po raz ostatni spojrzął na mapę i odwrócił się do wyjścia.

-I znów ruszamy w drogę, drodzy przyjaciele...

Do pokoju wszedł Jim Bell i położył dłoń na nieruchomym ramieniu Rhyme'a.

-Organizujemy poszukiwania na Outer Banks. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy ją za kilka dni. Lincoln, naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

Rhyme skwitował podziękowania skinieniem głowy i życzył szeryfowi powodzenia.

-Przyjdę odwiedzić pana w szpitalu, Lincoln - oświadczył Ben. - Przyniosę butelkę szkockiej whisky. Kiedy będzie pan mógł znowu pić?

- Nieprędko.

-Pomogę Benowi skończyć pakowanie - powiedziała Sachs do Rhyme'a.

Podwieziemy cię potem do Avery - zaofiarował się Bell.

Dzięki. To nie potrwa długo, Rhyme.

Lecz kryminalistyk opuścił już myślami Tanner's Corner i nie odpowiedział jej. Sachs słyszała tylko, jak jego wózek sunie z cichym jękiem przez korytarz.

Piętnaście minut później cały sprzęt był już spakowany, a Sachs odesłała Bena Kerra do domu, dziękując mu za pomoc.

Gdy tylko Ben zniknął w drzwiach pokoju, przy jej boku pojawił się Jesse Corn. Zastanawiała się, czy policjant obserwował ją wcześniej z ukrycia, czekając, aż zostanie sama.

To naprawdę wspaniały człowiek, prawda? - spytał Jesse. -

Pan Rhyme. - Zastępca szeryfa zaczął składać pudła, których nie trzeba było składać.

Owszem - odparła krótko.

-Ta operacja, o której wspominał... Pomoże mu? Zabije go. Zamieni w warzywo.

-Nie.

Myślała, że Jesse zapyta, dlaczego w takim razie chce się jej poddać, ten powiedział jednak tylko:

- Czasami człowiek czuje po prostu, że musi coś zrobić. Choćby wydawało się to beznadziejne.

Sachs wzruszyła ramionami.

Pomyślała: Tak, czasami tak jest.

Zatrzasnęła zamki na futerale mikroskopu i zwinęła ostatnie przewody elektryczne.

Zauważyła, że na stole nadal leżą książki, które zabrała z pokoju Garretta. Wzięła do ręki

„Miniaturowy świat”, książkę, o którą chłopiec prosił doktora Penny'ego. Otworzyła ją, przerzuciła kilka stron, przeczytała jeden akapit.

Na świecie istnieje 4500 gatunków ssaków, ale ponad 980 000 znanych gatunków owadów, przy czym ocenia się, że jeszcze dwa do trzech milionów gatunków czeka na odkrycie.

Różnorodność i zdumiewające zdolności przystosowawcze tych stworzeń wzbudzają coś więcej niż zwykły podziw. Przychodzi tu raczej na myśl termin „biofilia”, ukuty przez harwardzkiego biologa i entomologa, E.O. Wilsona. Słowo to oznacza poczucie emocjonalnej przynależności, jakie ludzie żywią w stosunku do innych żywych organizmów. Z pewnością tego rodzaju łączność może istnieć nie tylko w obrębie społeczności ludzkiej czy też pomiędzy ludźmi i zwierzętami, lecz także pomiędzy ludźmi i owadami.

Wyrzała na korytarz, gdzie Cal Fredericks i Bryan McGuire wciąż zajęci byli swą

skomplikowaną rozgrywką prawną.

Sachs zamknęła książkę z trzaskiem. Powróciły do niej słowa doktora Penny'ego.

Spędzając z nim trochę czasu...

- Chyba trochę za gorąco na strzelanie, co? - powiedział Jesse. - Ale może napiłabyś się kawy?

Sachs roześmiała się w duchu. Więc jednak otrzymała zaproszenie na kawę.

Chyba nie powinnam. Mam zanieść tę książkę do aresztu, a potem muszę wracać do Avery. Może przy innej okazji?

Jasne.

W barze „U Eddiego”, kilkadziesiąt jardów od budynku aresztu, Rich Culbeau oświadczył stanowczo: -To nie jest zabawa.

Wcale nie mówię, że to zabawa - odparł Sean O'Sarian.

- Roześmiałem się tylko. Cholera, to był tylko śmiech. Patrzyłem na reklamę. - Wskazał głową na brudny telewizor zawieszony nad barem. - No wiecie, tę, w której facet jedzie na lotnisko

i psuje mu się samochód...

Za często to robisz. Wygłupiasz się. Nie słuchasz, o czym rozmawiamy.

-No dobra. Już słucham. Wejdziemy od tyłu. Drzwi będą otwarte.

Właśnie o to chciałem zapytać - powiedział Harris Tomel.

- Tylne drzwi aresztu nigdy nie są otwarte. Zawsze zamyka się je na klucz, a do tego jest tam ta... no wiecie, zasuwa.

Zasuwa będzie zdjęta, a drzwi otwarte. Jasne?

Skoro tak mówisz - mruknął sceptycznie Tomel.

-Będą otwarte - kontynuował Culbeau. -Wejdziemy do środka. Na stoliku będzie leżał klucz do jego celi. Mały metalowy stół, przyśrubowany do podłogi. Wiecie który?

Oczywiście, że wiedzieli. Każdy, kto spędził noc w areszcie Tanner's Corner, musiał obić sobie golenie o ten pieprzony stół, szczególnie jeśli był pijany.

- No dobra, leć dalej - poganiał go O'Sarian, który rzeczywiście zaczął słuchać.

-Otwieramy celę i wchodzimy do środka. Psikam dzieciakowi w oczy sprayem pieprzowym.

Zakładamy mu na łeb worek. Mam taki stary worek, w którym topię koty, będzie w sam raz.

Więc zakładamy mu to na głowę i wyprowadzamy go. Może wrzeszczeć, ale i tak nikt go nie usłyszy. Harris, ty będziesz czekał w samochodzie. Nie gaś silnika.

-Dokąd go zabierzemy? - spytał O'Sarian.

-Na pewno nie do nas - odparł Culbeau, zastanawiając się, czy O'Sarian naprawdę przypuszczał, że zabiorą go do domu któregoś z nich. To znaczyłoby, że ten chudy dzieciak jest jeszcze głupszy, niż przypuszczał. - Do starego garażu, przy torach.

-Dobra - zgodził się O'Sarian.

- Tam go ukryjemy. Mam ze sobą palnik acetylenowy. Kiedy się do faceta zabierzemy, w ciągu pięciu minut powie nam, gdzie jest Mary Beth.

-A wtedy my... - Głos O'Sariana ucichł.

- Co? - warknął Culbeau. Potem wyszeptał: - Chcesz powiedzieć coś, czego nie powinien usłyszeć nikt obcy?

O'Sarian także odpowiedział mu szeptem:

-Dopiero comówiłeś, że będziemy chłopaka przypiekać palnikiem. To, co chcę zrobić potem,

wcale nie jest gorsze.

Z czym Culbeau musiał się zgodzić, choć oczywiście nie zamierzał przyznać O'Sarianowi racji. Wzruszył tylko ramionami i mruknął:

-Wypadki się zdarzają.

- Otóż to - przytaknął Tomel.

O'Sarian bawił się kapslem od piwa, wygrzebywał nim brud zza paznokci. Wydawał się dziwnie zamyślony.

- O co chodzi? - spytał Culbeau.

-To się robi ryzykowne. Łatwiej byłoby dopaść go w lesie, wtedy we młynie.

Ale jego już nie ma w tym młynie - wycedził Tomel.

O'Sarian wzruszył ramionami.

Zastanawiam się tylko, czy warto.

- Chcesz się wycofać? Poradzimy sobie we dwóch. - Culbeau podrapał się po brodzie. Pomyślał, że przy takim upale powinien ją zgolić, ale wtedy bardziej byłoby widać jego podwójny podbródek.

- Wolę dzielić kasę na dwóch niż na trzech.

- No nie, wiecie, że nie chcę się wycofać. Wszystko gra.

- O'Sarian znów zapatrzył się w telewizor. Tym razem jego uwagę przykuła jakaś opera mydlana.

Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w jedną z aktorek.

-Hej, spójrzcie tylko tam - powiedział Tomel, patrząc za okno. - Ładny widok.

Ulicą szła rudowłosa policjantka z Nowego Jorku, ta, która tak cholernie szybko wymachiwała nożem. Niosła w ręce jakąś książkę.

-Ja też chętnie bym skorzystał

- dodał O'Sarian, oblizując wargi.

Culbeau pamiętał jednak jej zimne oczy i nóż przystawiony do gardła O'Sariana.

- Skórka niewarta wyprawki - mruknął.

Rudowłosa weszła do aresztu.

O'Sarian także to zauważył.

-Cholera, to chyba trochę komplikuje sprawę. -Nie, nie komplikuje - odparł Culbeau powoli. -

Harris, idź po samochód. I nie gaś silnika.

- Ale co z nią? - spytał Tomel.

-Mam dość sprayu pieprzowego.

Nathan Groomer, który pełnił teraz dyżur w areszcie, odchylił się na swym rozchybotanym krześle i przywitał Sachs skinieniem głowy.

Zaloty Jesse'a Corna mocno ją już znużyły; z prawdziwą ulgą przyjęła oficjalny uśmiech Nathana.

Witam panią.

Nathan Groomer, prawda?

Zgadza się.

Ładny wabik - zauważyła Sachs, spoglądając na jego biurko.

-Ten starość? - spytał skromnie.

-Co to takiego?

Kaczka. Mniej więcej roczna. Ale nie wabik.

Sam pan to robi?

-Takie hobby. W głównym budynku mam jeszcze kilka. Mogę je pani pokazać. Myślałem, że już

pani wyjeżdża.

- Zaraz to zrobię. Jak on się czuje?

-Kto? Szeryf Bell?

-Nie, Garrett.

-Och, nie wiem. Był u niego Mason, próbował się dowiedzieć, gdzie jest dziewczyna. Ale on nic nie mówi. -Mason jeszcze tam jest? -Nie, już wyszedł.

- A co z szeryfem i Lucy?

-Też wyszli. Wrócili do urzędu okręgowego. Mogę pani w czymś pomóc?

-Garrett prosił o tę książkę. - Pokazała ją policjantowi.

- Mogę mu ją dać?

Co to jest, Biblia?

Nie, to o owadach.

Nathan wziął od niej książkę i przeszukał dokładnie, sprawdzając zapewne, czy Sachs nie przemyca w niej broni. Potem oddał jej ciężki tom.

-Ten chłopak jest przerażający. Jak z jakiegoś horroru. Powinna pani dać mu też Biblię.

- Nie sądzę, żeby go to zainteresowało.

-Pewnie ma pani rację. Proszę oddać broń do depozytu, potem wpuszczę panią do środka.

Sachs oddała mu swego smith & wessona i ruszyła do drzwi, lecz Nathan patrzył na nią wyczekująco. Uniosła brwi.

Zdaje się, że ma pani jeszcze nóż.

Och, jasne. Zapomniałam.

- Zasady to zasady, rozumie pani.

Podziała mu nóż. Położył go obok pistoletu.

- Chce pan też kajdanki? - Dotknęła pary kajdanek przymocowanych do pasa.

-Nie. Tym raczej trudno zrobić komuś krzywdę. Choć mieliśmy tu kiedyś pastora, który przez kajdanki wpakował się w niezłą kabałę. Ale tylko dlatego, że jego żona wróciła kiedyś wcześniej do domu i zastała go przykutego do łóżka, z Sally Annę Carlson na górze. No dobrze, już panią wpuszczam.

Rich Culbeau stał w towarzystwie zdenerwowanego Seana O'Sariana na tyłach aresztu, obok usychającego krzaka bzu.

Tyłne drzwi budynku wychodziły na wielkie pole, pokryte trawą, zardzewiałymi kawałkami samochodów i różnego rodzaju śmieciami. Nie brakowało tu też zużytych kondomów.

Harris Tomel wjechał swym lśniącym fordem Fz50 na krawężnik i zaparkował z boku budynku.

Culbeau pomyślał, że powinien był zajechać od tyłu, tu bowiem samochód wydawał się zbyt widoczny. Z drugiej jednak strony, o tej porze na ulicy nie było żywego ducha, a po tym, jak zamknięto kram ze słodyczami, nikt i tak tutaj nie zaglądał. Przynajmniej ford był nowy i miał dobry tłumik; silnik pracował niemal bezgłośnie. -Kto siedzi w biurze od frontu?

- spytał O'Sarian.

-Nathan Groomer.

- Jest z nim ta dziewczyna?

-Nie wiem. Skąd miałbym to wiedzieć, do diabła? Ale jeśli tam jest, to i tak nie ma broni, musiała ją zostawić w depozycie.

-A jeśli będzie wrzeszczeć? Nathan może ją usłyszeć.

Culbeau znów przypomniał sobie oczy rudowłosej i błysk ostrza w jej dłoni.

-Jeśli ktoś będzie krzyczał, to chłopak, nie ona - powiedział.

No dobra, więc co wtedy zrobimy?

Szybko wsadzimy mu worek na głowę. Masz. - Culbeau wręczył O'Sarianowi biało-czerwoną puszkę ze sprayem. - Celuj nisko, bo ludzie się schylają.

Czy to?... To znaczy, czy to nam nic nie zrobi? Ten spray?

Nie, jeśli nie prysniesz sobie prosto w gębę. To płyn, nie gaz.

Kogo mam załatwić?

Chłopaka.

-A jeśli dziewczyna będzie bliżej? -Dziewczyna jest moja - mruknął Culbeau.

-Ale...

Jest moja.

No dobra - zgodził się O'Sarian.

Pochylili głowy, przechodząc obok brudnego okna na tyłach aresztu, i zatrzymali się przy metalowych drzwiach. Culbeau zauważył, że są lekko uchylone.

-Widzisz, otwarte - wyszeptał, czując, że zdobył jakąś przewagę nad O'Sarianem. Potem zastanowił się, dlaczego właściwie mu na tym zależało. - Dobra, kiedy kiwnę głową, wchodzimy szybko do środka i pryskamy im po oczach. Nie żałuj tego gówna. - Podał

O'Sarianowi gruby worek. - Załóż mu to na głowę.

O'Sarian ujął w dłoń puszkę ze sprayem i wskazał głową na worek w ręce Culbeau.

Więc dziewczynę też zabieramy.

Culbeau westchnął ciężko.

Tak, Sean. Zabieramy.

-Dobra, dobra. Pytałem tylko.

-Kiedy już będą na ziemi, wyciągaj ich szybko. Nie zastanawiaj się.

-Jasne... Och, chciałem ci powiedzieć. Mam swojego kolta. -Co?

-Mam swoją trzydziestkęósemkę. Wziąłem ją ze sobą. -Wskazał na pas.

Culbeau zatrzymał się na moment, potem skinął głową.

- Dobrze.

Położył wielką, ciężką dłoń na klamce.

Czy to będzie mój ostatni widok? - myślał.

Ze szpitalnego łóżka Lincoln Rhyme widział park na terenie Centrum Medycznego w Avery.

Rozłożyste drzewa, alejki przecinające bujne, soczyście zielone trawniki, kamienna fontanna, kopia jakiejś słynnej studni z głównego campusu Uniwersytetu Karoliny Północnej, o czym poinformowała go pielęgniarka.

Z sypialni swego mieszkania przy Central Park West na Manhattanie Rhyme widział niebo i niektóre budynki przy Piątej Alei. Jednak okna umieszczone były tam wysoko nad podłogą i nie mógł zobaczyć drzew Central Parku, jeśli ktoś nie przysunął łóżka do samej szyby.

Ten budynek został prawdopodobnie wzniesiony z myślą o pacjentach na wózkach, dlatego też okna były znacznie niższe; nawet widoki są przystosowane, pomyślał cierpko.

Oczywiście istnieje pewne ryzyko...

Lincoln Rhyme wiedział, że najbardziej frustrująca jest niemożność wykonywania najprostszycch czynności.

Podróż z Nowego Jorku do Karoliny Północnej na przykład była tak długo i starannie przygotowywana, że właściwie nie sprawiła mu żadnego kłopotu. Lecz najboleśniej odczuwał swe kalectwo w chwilach, gdy chciał zrobić coś, co zdrowi ludzie robią odruchowo, bez zastanowienia: podrapać się po głowie, umyć zęby, otrzeć usta, otworzyć puszkę, usiąść prosto na krześle i spojrzeć na wróble kąpiące się w kałuży...

Po raz setny zaczął zastanawiać się, dlaczego właściwie to robi. Konsultował się już z najlepszymi neurologami w kraju, sam był naukowcem. Przeczytał całą dostępną literaturę na ten temat i wiedział, że w przypadku pacjentów z uszkodzeniem kręgu C4 poprawa jest praktycznie niemożliwa. A jednak gotów był poddać się operacji doktor Weaver.

Robił to ze świadomością, że sielankowy krajobraz za oknem tego dziwnego szpitala w dziwnym mieście może być ostatnim obrazem, jaki widzi w życiu. Więc dlaczego to robił?

Och, był pewien bardzo istotny powód. Był to jednak powód, którego zimny kryminalistyk nie mógł do końca zaakceptować i którego nigdy nie wyartykułował. Bo nie miał on nic wspólnego z pracą, z możliwością osobistego odwiedzania miejsc zbrodni. Nie miał nic wspólnego z myciem zębów czy siadaniem w krześle. Nie, nie, robił to wyłącznie dla Amelii Sachs.

Wreszcie odkrył przed samym sobą tę prawdę, że coraz bardziej boi się ją stracić.

Podejrzewał, że wcześniej czy później Amelia pozna kolejnego Nicka - przystojnego agenta, który był jej kochankiem kilka lat temu. To nieuniknione. Sachs chciała mieć dzieci. Chciała normalnie żyć. Więc Rhyme gotów był zaryzykować życie, zaryzykować totalną utratę panowania nad swym ciałem, byle tylko jej nie stracić.

Och, oczywiście wiedział, że operacja nie pozwoli mu spacerować z Sachs po Piątej Alei.

Liczył choćby na minimalną poprawę, która przybliżyłaby go o krok do normalnego życia.

Przybliżyła go do niej. Wysilając swą zdumiewającą wyobraźnię, Rhyme widział, jak bierze Amelię za rękę i ściska ją delikatnie, czując pod palcami ciepło jej ciała.

Mała rzecz dla każdego normalnego człowieka, ale dla niego byłby to prawdziwy cud.

-Jedna uwaga - powiedział Thom, oparty o ścianę.

- Nie chcę żadnej. Gdzie jest Amelia?

-i tak ci powiem. Od pięciu dni nawet nie powąchałeś whisky.

Wiem. Wkurza mnie to.

Przygotowujesz się do operacji.

-Polecenia lekarza - odparł Rhyme z irytacją.

- Od kiedy to polecenia lekarza mają dla ciebie jakieś znaczenie?

Gdyby mógł, Rhyme wzruszyłby ramionami.

-Nafaszerują mnie różnymi świństwami. Nerozsądnie byłoby dodawać do tego koktajlu jeszcze kilka kropel whisky.

-Zgadza się, jak najbardziej. Posłuchałeś swojego lekarza, jestem z ciebie dumny.

- Och, doprawdy. Jestem wzruszony.

Thom jednak był odporny na złośliwości Rhyme'a.

Ale chciałem powiedzieć coś innego - kontynuował.

-I powiesz, czy tego chcę, czy nie.

Dużo o tym czytałem, Lincoln. O tej operacji.

Och, naprawdę? W swoim wolnym czasie mam nadzieję.

- Chcę tylko powiedzieć, że jeśli tym razem nic z tego nie będzie, wrócimy tu. W przyszłym roku.

Za dwa lata. Za pięć. Aż się uda.

Lincoln Rhyme nigdy nie lubił tego rodzaju sentymentalnych wyznań, zdobył się jednak na krótkie:

-Dziękuję ci,Thom. Do diabła, gdzie jest ta lekarka? Pracowałem ciężko, łapiąc dla tych ludzi jakiegoś psychopatycznego porywacza. Miałem nadzieję, że potraktują mnie trochę lepiej.

- Spóźniła się dopiero o dziesięć minut, Lincoln - powiedział

Thom. - A my już dwa razy przesuwaliśmy dzisiaj termin spotkania.

- Prawie piętnaście, nie dziesięć. No, wreszcie.

Drzwi szpitalnej sali otworzyły się szeroko. Rhyme podniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć doktor Weaver. Ale to nie była ona.

Do środka wszedł szeryf Jim Bell. W korytarzu czekał jego szwagier, Steve Farr. Obaj mężczyźni wyraźnie byli czymś przybici.

Kryminalistyk pomyślał najpierw, że znaleźli ciało Mary Beth. Że chłopak jednak ją zabił.

Potem pomyślał o Sachs, o tym, jakie to będzie dla niej rozczarowanie.

Najwyraźniej jednak Bell miał dlań jakąś inną wiadomość.

Przykro mi, że muszę ci o tym powiedzieć, Lincoln. - Rhyme zrozumiał, że nie chodzi tu o Garretta i Mary Beth, że to coś bardziej osobistego. - Miałem zadzwonić - kontynuował szeryf - ale pomyślałem, że powinienem przekazać ci to osobiście. Więc przyjechałem.

O co chodzi, Jim?

O Amelię.

Co? - Thomoderwał się od ściany.- Co się stało? - Rhyme nie mógł oczywiście czuć łomotu

swego serca, czuł jednak, jak krew pulsuje mu gwałtownie w skroniach i pod brodą. - Mów!

-Rich Culbeau i jego kolesie zakradli się do aresztu. Nie wiem, co chcieli zrobić, na pewno nic dobrego, ale znaleźli mojego zastępcę, Nathana, zakutego w kajdanki. A cela była pusta.

- Cela?

- Cela Garretta - odparł Bell, jakby to wszystko tłumaczyło.

Rhyme nadal nie dostrzegał związku.

-Co to...

Nie owijając dłużej sprawy w bawełnę, szeryf wyjaśnił: -Nathan mówi, że twoja Amelia wzięła go na muszkę, zakuła w kajdanki, a potem wypuściła Garretta z celi. To poważne przestępstwo. Są na wolności, zabrali broń, i nikt nie ma pojęcia, dokąd zmierzają.

Biegła. Najszybciej, jak potrafiła. Fale artretycznego bólu przenikały raz po raz jej nogi i całe ciało. Ociekała potem, kręciło jej się w głowie z gorąca i odwodnienia.

I nadal nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła.

Garrett był obok niej, biegł bezszelestnie przez las za Tanner's Corner.

Robi pani straszne głupstwo...

Kiedy Sachs weszła do celi, by podać Garrettowi „Miniaturowy świat”, przyglądała się jego uszczęśliwionej twarzy. Po chwili, zupełnie bezwiednie, jakby ktoś inny kierował jej ruchami, sięgnęła poprzez kraty, chwyciła chłopca za ramiona i odwróciła do siebie. Zawstydzony, spuścił wzrok.

- Spójrz na mnie - poleciała. - Patrz.

Wreszcie podniósł oczy. Przyglądała się jego brudnej twarzy, zaciśniętym ustom, gęstym brwiom i podkrążonym oczom.

Garrett, muszę znać prawdę. To zostanie tylko między mną i tobą. Powiedz mi: Zabiłeś Billy'ego Staila?

Nie zabiłem, przysięgam. Przysięgam! Widziałem człowieka w brązowych ogrodniczkach. To on zabił Billy'ego. Zobaczyłem go w krzakach i zbiegłem nad rzekę. Mary Beth była wystraszona, płakała. Podniosłem łopate, nie powinienem, wiem. Ale nie myślałem. Potem zabrałem stamtąd Mary Beth, żeby nie stała jej się krzywda. To prawda!

-Fakty wykazują co innego, Garrett.

-Ale ludzie mogą widzieć tę samą rzecz inaczej - odpowiedział cicho. - Możemy na przykład patrzeć na tę samą rzecz co mucha, ale widzimy ją zupełnie inaczej.

- Co masz na myśli?

-Patrzmy, dajmy na to, jak ktoś chce zabić muchę. Widzimy tylko, że macha szybko ręką, dla nas trwa to ułamek sekundy. Ale mucha widzi, że ta sama ręka zatrzymuje się w powietrzu sto razy, zanim zleci na dół. Jak sto zdjąć. Ten sam ruch, ta sama ręka, ale mucha widzi to inaczej. I kolory... My patrzmy na coś, co jest dla nas po prostu czerwone, niektóre owady rozróżniają kilkadziesiąt rodzajów czerwieni.

Dowody sugerują, że on jest winny, Rhyme. Nie dają stuprocentowej pewności. Dowody można interpretować na wiele różnych sposobów.

-A Lydia? - nie dawała za wygraną Sachs, ściskając mocniej ramiona chłopca. - Dlaczego ją porwałś?

-Mówiłem już dlaczego... Bo jej też coś groziło. Blackwater Landing to niebezpieczne miejsce. Ludzie tam umierają. Ludzie znikają. Ja ją tylko chroniłem.

Oczywiście, że to niebezpieczne miejsce, pomyślała. Ale czy jest niebezpieczne ze względu na ciebie?

-Lydia powiedziała, że chciałeś ją zgwałcić.

-Nie, nie, nie... Ona wskoczyła do wody, sukienka trochę jej się rozerwała i zmokła.

Widziałem jej... wie pani, na górze. Piers. I trochę... tego... trochę się podnieciłem. Ale to wszystko.

-A Mary Beth? Zraniłeś ją, zgwałciłeś?

- Nie, nie, nie! Mówiłem wam już, uderzyła się w głowę, a ja wytarłem krew chusteczką.

Nigdy bym tego nie zrobił, nie Mary Beth.

Sachs wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Blackwater... To niebezpieczne miejsce.

Wreszcie spytała:

- Gdybym cię stąd wypuściła, zaprowadziłbyś mnie do Mary Beth?

Garrett zmarszczył brwi.

-Jeżeli to zrobię, przywieziecie ją z powrotem do Tan-ner's Corner. A tu może się jej coś stać.

- To jedyny sposób, Garrett. Wyciągnę cię stąd, jeśli mnie doniej zaprowadzisz. Zadbamy o to, żeby była bezpieczna, Lincoln

Rhyme i ja.

Możecie to zrobić?

Tak. Ale jeśli się nie zgodzisz, zostaniesz w więzieniu na długi czas. A jeżeli Mary Beth umrze przez ciebie, to będzie morderstwo,

tak samo, jakbyś ją zastrzelił. I nigdy już nie wyjdiesz z więzienia.

Wyjrzał przez okno. Wydawało się, że jego spojrzenie śledzi lot jakiegoś owada. Sachs go nie widziała. -Dobrze.

- Czy to daleko stąd?

-Na piechotę zajmie nam to jakieś osiem, dziesięć godzin.

Zależy.

-Od czego?

-Od tego, ilu ludzi nas będzie ścigać i jak bardzo będziemy ostrożni.

Jego szybka, pewna odpowiedź zaniepokoiła Sachs - mówił tak, jakby spodziewał się, że ktoś go uwolni, i obmyślał już plan

ucieczki.

Tak czy nie? - zmagła się z myślami, oparta o kraty więzienia.

-Pani jest świetna, lubię panią - powiedział nagle Garrett w tak niewinny, rozbrajający sposób, że Sachs musiała się roześmiać.

-Poczekaj tutaj! - rzuciła do niego i przeszła ponownie do biura. Sięgnęła do depozytu, wyciągnęła swój pistolet i nóż, a potem, wbrew wszelkim przepisom i rozsądkowi, wymierzyła lufę smith & wessona w Nathana Groomera.

-Przykro mi, że muszę to zrobić - szepnęła. - Potrzebuję klucza do jego celi. Potem proszę się odwrócić i skrzyżować ręce za plecami.

Nathan otworzył szeroko oczy i zawahał się na moment, zastanawiając się być może, czy sięgnąć po broń, czy też nie. A może wcale się nad tym nie zastanawiał. Równie dobrze mógł chwycić za broń kierowany instynktem czy złością.

-Robi pani straszne głupstwo - powiedział.

-Klucz.

Otworzył szufladę i rzucił klucz na biurko. Potem odwrócił się i założył ręce na plecach.

Sachs zakuła go w kajdanki i zerwała telefon ze ściany.

Potem uwolniła Garretta i jemu także założyła kajdanki. Tylne drzwi aresztu były otwarte, wydawało jej się jednak, że słyszy tam jakieś kroki i szum silnika. Ruszyła więc do drzwi frontowych. Wyszli niezauważeni przez nikogo.

Teraz, o milę od miasta, w otoczeniu krzaków i drzew, chłopiec wprowadził ją na wąską, ledwie widoczną ścieżkę. Kajdanki szczykały cicho, kiedy pokazywał jej właściwy kierunek.

Oboje dyszeli ciężko, zmęczeni biegiem w upale i duchocie Sachs zastanawiała się, ile czasu minie, nim ktoś wejdzie do aresztu. Zapewne nie więcej niż kilka minut. Prokurator, obrońca Garretta, Bell, Mason Germain... Każdy z nich mógł po coś wrócić i znaleźć biednego Nathana przykutego do biurka, pozbawionego broni, kajdanek i godności.

Myślała: Rhyme, nie mogłam postąpić inaczej! Rozumiesz? Nie miałam wyboru. Wiesz, co stałoby się w więzieniu z takim chłopcem? Jeśli Lancaster rzeczywiście było takim miejscem, jakim go przedstawiano, Garrett pierwszego dnia zostałby zgwałcony i pobity, a zginąłby zapewne przed upływem tygodnia. (Nie, nie mieszam uczuć macierzyńskich ze zwykłą troską, doktorze Penny. Ale wiem, że gdybyśmy mieli z Lincolnem syna, byłby równie uparty i prostoliniorny jak my, i że gdyby cokolwiek nam się stało, chciałabym, by ktoś zatroszczył

się o niego tak, jak ja troszczę się o Garretta...).

Sachs wiedziała też, że to jedyny sposób, by odnaleźć Mary Beth. Rhyme wyczerpał już wszystkie możliwości, jakie dawał mu materiał dowodowy, Garrett zaś z pewnością nie przystałby na współpracę, gdyby nie uwolniła go z aresztu.

Poruszali się szybko. Sachs była zdumiona zręcznością i gracją, z jaką chłopak przemykał przez las, choć miał przecież skrępowane ręce. Wiedział dokładnie, gdzie stawiać stopy, przez jakie rośliny może precyzyjnie się bez trudu, a jakie stanowią twardą zaporę. Gdzie grunt jest zbyt miękki, by po nim stąpać. -Niech pani tędy nie idzie - ostrzegał ją. - To karolińska glina.

Złapie panią jak pajęcza sieć.

Maszerowali kolejne pół godziny, aż grunt stał się miękki, a powietrze wypełnił zapach metanu i rozkładu. Wreszcie nie mogli iść już dalej lasem - ścieżka kończyła się w grząskim bagnie - Garrett wyprowadził ich więc na dwupasmową asfaltową drogę. Szli wzdłuż krzewów rosnących na poboczu.

Minęło ich kilka samochodów. Kierowcy nie zwracali większej uwagi na dwójkę spacerowiczów.

Sachs patrzyła na nich z zazdrością. Choć była w drodze zaledwie od kilkunastu minut, już tęskniła za normalnym życiem i z niepokojem myślała o tym, co przyniesie jej przyszłość

-Halo, jest tam kto?

Mary Beth McConnell ocknęła się z drzemki.

Wyczerpana duchotą panującą w chacie, zasnęła na starej sofie.

Jakiś głos za oknem znów zawołał:

-Halo, proszę pani! Nic pani nie jest? Halo, Mary Beth?

Zerwała się z łóżka i szybko podeszła do wybitego okna. Kręciło jej się w głowie, musiała zatrzymać się na moment, oprzeć o ścianę. Bolesna obręcz ścisnęła jej skronie. Pomyślała: A niech cię szlag, Garrett.

Ból ustąpił nieco, powoli wracała do równowagi. Podeszła bliżej okna.

To był Misjonarz. Przyproceedził ze sobą przyjaciela, wysokiego, łysiejącego mężczyznę w szarych spodniach i roboczej koszuli. Misjonarz trzymał w ręku siekiere.

-Dziękuję, dziękuję! - szeptała.

-Nic pani nie jest?

-Nie, wszystko w porządku. On jeszcze nie wrócił. - Nadal miała kłopoty z mówieniem.

Misjonarz podał jej kolejną manierkę z wodą. Opróżniła ją do dna.

-Zadzwońem po policję. Już jadą - mówił mężczyzna. - Będą tu za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Ale nie będziemy na nich czekać. Wyciągniemy panią stąd od razu. We dwóch na pewno jakoś sobie poradzimy.

-Nie wiem, jak panu dziękować.

-Proszę się odsunąć. Przez całe życie rąbałem drzewo i zapewniam panią, że za chwilę te drzwi zamienią się w kupę drewna do komina. To jest Tom.

-Witaj, Tom.

-Dzień dobry. Co z pani głową? - spytał mężczyzna, marszcząc brwi. - Nie wygląda to najlepiej.

- To nic takiego, tylko trochę krwi - odparła Mary Beth, dotykając strupa.

Trach, trach.

Siekiera wbiła się w drzwi. Z okna pokoju widziała uniesione ostrze, w którym odbijały się promienie słońca. Sam kraniec metalowego trójkąta błyszczał jasno, co znaczyło, że siekiera jest bardzo ostra. Mary Beth często pomagała swemu ojcu rąbać drwa do kominka.

Uwielbiała obserwować, jak po zakończeniu pracy ostrzył ją na szlifierce; pomarańczowe iskry ulatywały w powietrze niczym fajerwerki na Czwartego Lipca.

-Kim jest ten chłopak, który panią porwał? - spytał Tom. -Jakiś zboczeniec?

Trach... Trach...

- To dzieciak ze szkoły średniej w Tanner's Corner. Jest przerażający. Proszę tylko spojrzeć na to. - Wskazała ręką na słoiki z owadami. -O kurczę... - mruknął Tom, zaglądając do środka przez wybite okno.

Trach.

Trzask, kiedy Misjonarz wyłupał z drzwi jakąś wielką drzazgę.

Buch.

Mary Beth zerknęła na drzwi. Misjonarz nadal nie przebił się do środka.

Garrett musiał jakoś wzmocnić drzwi, może zbił razem dwie pary. Zwróciła się ponownie do Toma.

-Sama czuję się tutaj jak jakiś robak. On...

Mary Beth nie zdążyła nawet krzyknąć, kiedy Tom wsunął lewą rękę przez okno i pochwycił ją za kołnierz. Prawa dłoń objęła jej pierś. Przyciągnął dziewczynę do kraty i przywarł ustami do jej warg. Cuchnął tytoniem i piwem. Jego język próbował wśliznąć się pomiędzy jej zaciśnięte zęby.

Ugniatał ręką jej pierś, próbował odnaleźć sutek przez grubą tkaninę koszuli. Mary Beth szarpnęła głową, zaczęła pluć i krzyczeć.

- O cholera! - zawołał Misjonarz, widząc, co zrobił jego przyjaciel.

Wyobraziła sobie, jak bierze szeroki zamach, uderza obuchem siekiery w głowę Toma, by go ogłuszyć. Nim jednak zdążył podejść do okna, Mary Beth pochwyciła rękę, która trzymała ją za pierś, i pociągnęła ją mocno w dół. Przegub nabił się na stalagmit szkła wystający z ramy okiennej. Tom

krzyknął z bólu i zdumienia, puścił jej kołnierz i cofnął się o krok.

Mary odbiegła od okna, przystanąła na środku pokoju, ocierając usta wierzchem dłoni.

Misjonarz podszedł do Toma.

- Dlaczego to zrobiłeś, ty durniu?

Uderz go! - myślała Mary Beth. Przywal mu tą siekierą. To wariat. Jego też oddaj policji.

Tom nie słuchał swego przyjaciela. Ścisnął zakrwawioną rękę, oglądał ranę.

- Jezu, Jezu, Jezu...

Misjonarz mruczał:

- Mówiłem ci, żebyś był cierpliwy. Wyciągnęlibyśmy ją stąd za pięć minut, a za pół godziny leżałaby rozkraczona u ciebie. Wszystko zepsułeś.

Rozkraczona...

Mary Beth dopiero po sekundzie zrozumiała, co naprawdę oznaczają te słowa. Nie było żadnego telefonu na policję, nikt

nie jechał jej na ratunek.

- Kurwa, patrz tylko na to! Zobacz! - Tom podniósł skaleczony przegub, krew płynęła z niego szerokim strumieniem.

- Cholera - mruknął Misjonarz. - Trzeba to zaszyć. Ty głupi gnoju. Nie mogłeś jeszcze trochę poczekać? Chodź, musimy się tym zająć.

Mary Beth patrzyła, jak Tom wychodzi powoli na pole. Zatrzymał się kilka jardów od okna.

- Ty pierdolona dziwko! Przygotuj się. Wrócimy tu jeszcze.

Spojrzał na nią i przykucnął na moment. Kiedy wstał, trzymał w dłoni kamień wielkości pomarańczy. Rzucił nim w okno. Mary Beth cofnęła się o krok, kamień przeleciał kilka cali od jej głowy. Opadła na sofę, szlochając.

Zza okna dobiegł ją jeszcze krzyk Toma:

- Przygotuj się. Wrócimy tu.

Byli w mieszkaniu Harrisa Tomela, ładnym pięciopokojowym domu, otoczonym gęstą, soczyście zieloną trawą. Tomel nigdy nie kiwnął nawet palcem, by utrzymać ogród w odpowiednim stanie - uważał, że najlepszą dekoracją trawnika jest jego Fz50, ustawiony od frontu, i suburban na tyłach domu.

Tomel postępował tak, ponieważ jako największy elegant, musiał starać się nieco bardziej niż pozostali, by wyglądać na zwykłego farmera. Jedyne spośród nich siedział w więzieniu stanowym, trafił tam jednak za jakieś drobne kradzieże, których dopuścił się w Raleigh.

Strzelał jak snajper, ale Culbeau nigdy nie widział, by kogoś bił, przynajmniej nikogo, kto nie był związany. Tomel także za dużo myślał, spędzał zbyt wiele czasu na strojeniu się, pił tylko likier, nawet u Eddiego. A wszystko to wcale nie pasowało do pracy, którą od kilku lat zajmowali się wspólnie w okręgu Paquenoque.

Więc w odróżnieniu od Culbeau, który spędzał wiele czasu na pielęgnowaniu ogrodu, i w odróżnieniu od O'Sariana, który spędzał wiele czasu na podrywaniu kelnerek zajmujących się potem jego przyczepą, Harris Tomel nie dbał ani o dom, ani o ogród. Miał zapewne nadzieję, że dzięki temu nikt nie będzie pytał go o dochody.

Była to jednak wyłącznie sprawa Tomela, a spotkali się w jego domu nie po to, by dyskutować o ogrodach i architekturze krajobrazu. Przyszli tu, gdyż po tym, jak kilka lat wcześniej jego ojciec wybrał się w sylwestra łowić ryby pod lodem w Spivy Pond i został

stamtąd wyłowiony parę dni później, Tomel otrzymał w spadku imponującą kolekcję broni.

Stali teraz w pokoju swego kompana i patrzyli na skrzynki z bronią takim samym wzrokiem, jak przed dwudziestu laty na słodycze w sklepie Petersona przy Mapie Street, kiedy naradzali się, co ukraść.

O'Sarian wybrał czarnego kolta AR-15, cywilną wersję M-16, bo zawsze głądził o Wietnamie i oglądał wszystkie filmy związane z tym tematem.

Tomel wziął piękną śrutówkę, inkrustowanego browninga, której Culbeau pożądał bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w okręgu, choć zwykle preferował zwykłe strzelby i wolałby raczej wywiercić dziurę w sercu jelenia z odległości trzystu jardów, niż roznieść kaczkę na puch. On sam zdecydował się na szykownego winchestera .30-'06 z teleskopem wielkim jak Teksas.

Zapakowali mnóstwo amunicji, wodę, jedzenie i telefon komórkowy Culbeau. Do tego, oczywiście, bimber. I śpiwory. Choć żaden z nich nie przypuszczał, by polowanie trwało bardzo długo.

Ponury Lincoln Rhyme wjechał do rozmontowanego laboratorium w urzędzie okręgowym Paąenoke.

Lucy Kerr i Mason Germain stali obok stołu, na którym wcześniej umieszczone były mikroskopy. Oboje trzymali ręce skrzyżowane na piersiach, a kiedy do pokoju wszedł Thom i Rhyme, zmierzylili ich spojrzeniami, w których kryła się pogarda i podejrzliwość.

-Dlaczego ona to zrobiła, do diabła? - spytał Mason. - Co sobie myślała?

Były to jednak tylko dwa z wielu pytań, dotyczących Amelii Sachs i jej postępków, pytania pozostające na razie bez odpowiedzi. Rhyme pominął je więc milczeniem, sam zaś zapytał: Czy komuś coś się stało?

Nie - odparła Lucy. - Choć Nathan mocno się zdenerwował, kiedy pokazała mu lufę tego smith & wesson. I pomyśleć, że sami g°o jej daliśmy...

Rhyme starał się udawać spokój, choć zżerał go lęk o Sachs. Lincoln Rhyme zawsze wierzył przede wszystkim dowodom, a dowody wykazywały jasno, że Garrett Hanlon jest porywaczem i mordercą. Sachs dała się zwieść jego sztuczkom, choć chłopak z pewnością zabiłby ją bez mrugnięcia okiem, gdyby nie była mu potrzebna.

Rhyme wiedział tylko, że musi ją odnaleźć, i to jak najszybciej.

Do pokoju wszedł Jim Bell.

Zabrała samochód? - pytał dalej Rhyme.

Chyba nie - odparł szeryf. - Pytałem o to. Na razie nikt nie zgłosił kradzieży.

Bell spojrział na mapę, nadal przyklejoną do ściany.

Z tej okolicy niełatwo wydostać się niepostrzeżenie. Pełno bagien, mało dróg...

Sprowadź psy, Jim - powiedziała Lucy. - Irv Wanner hoduje kilka dla policji stanowej. Zadzwoń do kapitana Dextera w Elizabeth City i poproś o numer Irva. On ich znajdzie.

-Dobry pomysł - skinął głową Bell. - Będziemy...

Chciałbym coś zaproponować - przerwał mu Rhyme.

Mason roześmiał się zimno.

Co? - spytał Bell.

Zawrzemy umowę.

- Żadnych umów. - Szeryf pokręcił głową. -W tej chwili Amelia jest już zbiegłym przestępcą.

I do tego uzbrojonym.

- Ona nikogo nie zastrzeli - powiedział Thom.

Rhyme kontynuował:

-Amelia jest przekonana, że tylko w ten sposób można odnaleźć Mary Beth. Dlatego to zrobiła.

-To nie ma znaczenia - odrzekł Bell. - Nie można wypuszczać z więzienia morderców.

-Ale ona uważa, że on nie jest mordercą. Twierdzi, że jest niewinny.

- O Jezu - mruknęła Lucy.

- Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny, zanim wezwiecie policję stanową. Znajdę ich dla was.

Potem dogadamy się jakoś co do oskarżenia. Jeśli do akcji wejdą tropiciele i psy, będą działać zgodnie z przepisami, a to znaczy, że komuś może stać się krzywda.

-To nie takie proste, Lincoln - westchnął Bell. - Twoja przyjaciółka wypuszcza naszego więźnia...

Nie byłby waszym więźniem, gdyby nie ja. Beze mnie nigdybyście go nie znaleźli.

Nie ma mowy - warknął Mason. - Tracimy tylko czas, a oni z każdą minutą są coraz dalej.

Trzeba zebrać wszystkich mężczyzn z miasteczka i ruszać w pościg. Zrobić to, o czym mówił Henry Davett. Rozdać im broń...

Bell uciszył go gestem i zwrócił się do Rhyme'a:

-A jeśli zgodzimy się na ten układ, co dasz nam w zamian?

- Zostanę tu i pomogę wam znaleźć Mary Beth. Bez względu na to, jak długo to potrwa.

-Lincoln, operacja... - protestował Thom.

- Zapomnij o operacji - mruknął, ogarnięty nagłą rozpaczą. Wiedział, że terminarz doktor Weaver jest bardzo napięty i że jeśli on nie wykorzysta teraz swojej szansy, będzie musiał ponownie wpisać się na listę oczekujących. Potem pomyślał, że Sachs mogła to zrobić także po to, by nie dopuścić do operacji.

By dać mu jeszcze kilka dni do namysłu. Odsunął jednak od siebie te spekulacje, poganiając się w myślach: Znajdź ją, uratuj.

Tylko to się teraz liczy.

-Skąd możemy mieć pewność, że nie spróbujesz nas wykiwać i nie pomożesz jej uciec? - spytał Mason.

- Bo Amelia się myli - odparł Rhyme cierpliwie. - Uważam, że Garrett jest mordercą i że wykorzystał ją, by uciec z więzienia. W każdej chwili może ją zabić.

Bell przechadzał się przez chwilę po pokoju, spoglądał na mapę.

- Dobrze, Lincoln, zrobimy to. Masz dwadzieścia cztery godziny.

Mason westchnął ciężko.

-I jak chcesz ją znaleźć w tej dziczy? - Wskazał ręką na mapę. - Zadzwonisz do niej i spytasz, gdzie jest?

- Właśnie to zamierzam zrobić. Thom, rozkładaj sprzęt z powrotem.

Lucy Kerr stała w sąsiednim pokoju i rozmawiała przez telefon. -Policja stanowa Karoliny Północnej, Elizabeth City - przywitał ją chłodny, kobiecy głos. -W czym mogę pani pomóc?

Chciałabym rozmawiać z detektywem Greggiem.

Proszę poczekać.

Halo? - odezwał się po chwili męski głos.

Pete, tu Lucy Kerr z Tanner's Corner.

-Cześć, Lucy, jak leci? Jak wam idzie z tymi porwanymi dziewczynami?

-Wszystko jest pod kontrolą - odparła spokojnym głosem, choć była wściekła, że Bell kazał jej recytować słowa podyktowane przez Lincolna Rhyme'a. - Ale mamy inny mały problem. Mały problem...

Czego potrzebujecie? Tropicieli?

Nie, chcieliśmy tylko namierzyć telefon komórkowy.

- Macie nakaz?

-Pomocnik sędziego właśnie go faksuje.

- Podaj mi numer telefonu i numer seryjny aparatu.

Lucy odczytała numery.

-Jaki jest kod obszaru, dwa jeden dwa?

- To numer z Nowego Jorku.

- Żaden problem - zapewnił ją Gregg. - Chcesz nagranie rozmowy?

-Nie, tylko lokalizację. I dobry widok na cel...

-Kiedy... poczekaj, jest faks. - Krótka pauza. - O, tylko zaginiona osoba?

- Tak - przyznała niechętnie.

- Wiesz, że to kosztowne. Będziemy musieli was obciążyć.

-Rozumiem.

-Dobra, nie rozłączaj się, pogadam z moimi technikami. -W słuchawce rozległo się ciche kliknięcie.

Lucy usiadła na biurku, zgarbiona. Zgięła lewą rękę, patrzyła na palce zniszczone wieloletnią pracą w ogrodzie, na starą bliznę po skaleczeniu nożem, ślad na palcu serdecznym - pozostałość po obrączce, którą nosiła przez pięć lat.

Zgiąć, wyprostować.

Obserwując żyły i mięśnie przemieszczające się pod skórą, Lucy Kerr uświadomiła sobie pewną rzecz. Uświadomiła sobie, że występki Amelii Sachs napełnił ją gniewem silniejszym od jakiegokolwiek uczucia, którego doznała dotąd w swym życiu.

Kiedy odcięto kawałek jej ciała, czuła się upokorzona i samotna. Kiedy opuścił ją mąż, była zrezygnowana, miała poczucie winy. A kiedy wreszcie wszystkie te wydarzenia wzbudziły w niej gniew, przypominał on raczej rozżarzone węgle - gniew, który promieniuje bolesnym żarem, lecz nigdy nie wybucha płomieniem.

Jednak z jakiegoś niezrozumiałego powodu ta nowojorska policjantka rozdmuchała w sercu Lucy Kerr prawdziwy pożar, wściekły ogień, który wypływał z niej niby strumień owadów z gniazda szerszeni, podrzuconego przez Garretta tej biednej kobiecie z Blackwater Landing.

Była wściekła, że po raz kolejny została zdradzona. Ona, kobieta, która nigdy nikogo świadomie nie skrzywdziła, która kochała rośliny, która była dobrą żoną dla swego słabego męża, dobrą córką dla swych rodziców, dobrą siostrą, dobrą policjantką, kobieta, która chciała tylko zwykłych codziennych przyjemności, odebranych jej przez życie.

Nigdy więcej wstydu, poczucia winy, rezygnacji czy smutku.

Płonęła gniewem na tych, którzy ją zdradzili. Na swoje ciało, na męża, na Boga.

A teraz na Amelię Sachs.

Halo, Lucy? Jesteś tam? - pytał Pete z Elizabeth City.

Tak, jestem.

-Halo? Nic ci nie jest? Masz taki dziwny głos.

Odchrząknęła.

-Nie. Wszystko ustawione?

-Tak, jesteśmy gotowi. Kiedy może dojść do połączenia?

Lucy zadrżała do sąsiedniego pokoju.

Gotów? - zawołała.

Rhyme skinął głową.

W każdej chwili, choćby i teraz - powiedziała do telefonu.

-Zostań na linii - poprosił ją Gregg.

Proszę, pozwól, żeby się udało, myślała Lucy. Proszę... Potem dodała do modlitwy jeszcze jedną prośbę: I daj mi jeden czysty strzał do mojego Judasza.

Thom założył słuchawki i mikrofon na głowę Rhyme'a. Potem wybrał numer.

Jeśli telefon Sachs jest wyłączony, zadzwoni tylko dwa razy, a potem miły kobiecy głos poprosi o pozostawienie wiadomości.

Jeden sygnał... drugi...

-Halo?

Rhyme nie przypuszczał, że kiedykolwiek poczuje tak ogromną ulgę, słysząc jej głos.

Sachs, nic ci nie jest?

Pauza.

Jestem cała i zdrowa.

Ponura jak noc Lucy Kerr skinęła głową. -Posłuchaj mnie, Sachs. Posłuchaj. Wiem, dlaczego to zrobiłaś, ale musisz się poddać. Ty... Jesteś tam?

- Jestem, Rhyme.

-Wiem, co robisz. Garrett obiecał, że zaprowadzi cię do Mary Beth.

- Zgadza się.

- Nie możesz mu ufać - powiedział Rhyme. (Myśląc z rozpaczą: Ani nie. Widział, jak Lucy Kerr kreśli palcem koło, co znaczyło: trzymaj ją na linii). - Zawarłem z Jimem umowę. Jeśli przyprowadzisz go z powrotem, załagodzają jakoś sprawę. Policja stanowa na razie nic nie wie.

Zostanę tu, dopóki nie znajdę Mary Beth. Przełożyłem operację.

Zamknął na moment oczy, dręczony wyrzutami sumienia. Nie miał jednak wyboru.

Wyobraził sobie, jak wyglądała śmierć tamtej kobiety z Blackwater Landing, śmierć Eda Schaeffera... Wyobraził sobie szerszenie krążące nad ciałem Amelii. Musiał ją zdradzić, by uratować.

- Garrett jest niewinny, Rhyme. Wiem to. Nie mogłam pozwolić, by trafił do tego więzienia.

Zabiliby go tam.

-Przejrzymy jeszcze raz wszystkie dowody. Znajdziemy ich więcej. Zrobimy to razem. Ty i ja. Tak zawsze mówiliśmy, Sachs, prawda? Ty i ja... Zawsze ty i ja. Nie ma takiej rzeczy ani człowieka, którego nie moglibyśmy znaleźć.

Znów krótka pauza.

Nikt nie stoi po stronie Garretta. Jest zdany tylko na siebie, Rhyme.

Możemy go ochraniać.

Nie możesz ochronić kogoś przed całym miastem, Lincoln.

Tylko bez imion - powiedział Rhyme. - To przynosi pecha, pamiętasz?

Cała ta sprawa to jeden wielki pech.

-Proszę, Sachs...

Czasami po prostu musisz zdać się na instynkt.

-Mówisz jak James Bond. - Zmusił się do śmiechu, by choć trochę podnieść ją na duchu. I siebie.

Trzaski.

Wracaj do domu, Sachs, myślał. Proszę. Możemy to jeszcze jakoś rozegrać. Twoje życie wisi na włosku równie cienkim jak nerw w mojej szyi. Delikatne włókno, które wciąż jakoś się trzyma, ale w każdej chwili może pęknąć, zginąć na zawsze.

Garrett mówi, że dotrzemy do Mary Beth dziś wieczorem albo jutro rano - przemówiła Sachs.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy ją znajdziemy.

Sachs, nie rozłączaj się jeszcze. Jedna rzecz. Pozwól mi powiedzieć jedną rzecz

-Co?

-Cokolwiek myślisz o Garretdzie, nie ufaj mu. Uważasz, że jest niewinny. Ale weź też pod uwagę możliwość, że jednak się mylisz. Wiesz, jak podchodzimy do miejsca zbrodni, Sachs.

-Z otwartym umysłem - zacytowała jedną z jego zasad. -Żadnych uprzedzeń i blokad.

Wszystko jest możliwe.

Zgadza się. Obiecuj mi, że będziesz o tym pamiętać.

On ma kajdanki na rękach.

-I dobrze. Nie pozwól mu też zbliżyć się do twojej broni.

-Nie pozwolę. Zadzwoń, kiedy znajdziemy Mary Beth.

-Sachs...

Telefon umilkł.

Rhyme zamknął oczy, próbował strząsnąć słuchawki, wściekły, że nie udało mu się jej przekonać. Thom spokojnie ściągnął je z jego głowy. Łagodnym gestem wygładził ciemne włosy Rhyme'a.

- Cholera - mruknął kryminalistyk.

Lucy odłożyła słuchawkę w drugim pokoju i weszła do laboratorium. Rhyme widział po jej minie, że operacja się nie powiodła.

Pete powiedział, że są w obrębie trzech mil od centrum Tanner's Corner.

To wszystko, na co ich stać? - mruknął Mason.

Gdyby została na linii kilka minut dłużej, określiliby jej pozycję z dokładnością do piętnastu stóp - wyjaśniła Lucy.

Bell patrzył na mapę.

-Dobrze, trzy mile od centrum...

-Może chce wrócić do Blackwater Landing? - podsunął Rhyme.

- Nie. - Bell pokręcił głową. - Wiemy, że idą na Outer Banks, a Blackwater Landing leży po drugiej stronie miasta.

-Którędy prowadzi najkrótsza droga do Banks? - spytał kryminalistyk.

-Nie dostaną się tam pieszo - tłumaczył Bell. - Muszą znaleźć sobie samochód albo samochód i łódź. Mają do wyboru dwie drogi. Mogą pojechać trasą numer 8z na południe, do 17. Wtedy będą przejeżdżać przez Elizabeth City. Tam mogą przesiąść się na łódź albo jechać dalej siedemnastką, aż do 158 i do samej plaży. Mogą też dostać się do siedemnastki przez Harper Road... Mason, weź Franka Sturgisa i jeszcze paru chłopaków, Pojedźcie na 112. Ustawcie blokadę przy Belmont.

Rhyme spojrział na mapę i zauważył, że miejsce to znajduje się w kwadracie M-10.

Szeryf kontynuował:

-Lucy, ty i Jesse obstawicie Harper Road przy Millerton Road. Zostańcie tam. - To był kwadrat G-14. Bell przywołał do pokoju swojego szwagra.

Steve, ty koordynujesz łączność. Rozdaj krótkofalówki, może nie wszyscy jeszcze je mają. Jasne, Jim.

Potem Bell zwrócił się do Masona i Lucy: -Powiedzcie wszystkim, że Garrett jest w naszym dresie. Niebieskim. Co ma na sobie twoja dziewczyna?

- Nie pamiętam. i Ona nie jest moją dziewczyną - odparł Rhyme.

Przepraszam.

Dżinsy i czarną koszulkę.

- Kapelusz?

-Nie.

Lucy i Mason ruszyli do wyjścia.

Po chwili w pokoju zostali tylko Bell, Rhyme i Thom.

Szeryf zadzwonił do policji stanowej i poprosił detektywa, który zajmował się lokalizacją komórki, by trzymał kogoś na tej częstotliwości. Zaginiona osoba mogła do nich jeszcze zadzwonić.

Rhyme zauważył, że Bell umilkł na chwilę. Potem zerknął na niego i powiedział do telefonu:

- Dzięki za ofertę, Pete. Ale na razie to tylko zwykłe zaginięcie. Nic poważnego.

Odłożył słuchawkę i mruknął: -Nic poważnego. Chryste Panie...

Pół godziny później do laboratorium przyszedł Ben Kerr. Właściwie był zadowolony, że znów może pracować z Rhyme'em, choć martwił się też wiadomościami, które zmusiły go do powrotu.

Kiedy wspólnie z Thomem kończył rozpakowywać sprzęt badawczy, Rhyme wpatrywał się w mapę i listy dowodów na tablicy.

Znalezione na pierwotnym miejscu przestępstwa - Blackwater Landing Chusteczka z krwią

Fragmenty wapienia

Azotany

Fosforany

Detergent

Kamfen

"Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - pokoi Garretta Piżmo skunksa

Ucięte igły sosnowe

Rysunki owadów

Zdjęcia Mary Beth i rodziny

Książki o owadach

Żyłka wędkarska

Pieniądze

Klucz niewiadomego przeznaczenia

Nafta

Amoniak

Azotany

Kamfen

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - kamieniołom Stary worek konopny z nieczytelnym napisem

Kukurydza - gospodarstwo hodowlane?

Ślady spalenizny na worku

Woda Deer Park

Krakersy serowe

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młyn

Mapa Zewnętrznych Outer Banks Piasek z oceanicznej plaży Patrząc na ostatnią listę, Rhyme uświadomił sobie, jak mało dowodów Sachs znalazła we młynie. Ten problem zawsze pojawiał się w sytuacjach, kiedy na miejscu zbrodni znajdowano oczywiste wskazówki - takie jak mapa czy morski piasek. Kryminalistyk, zadowolony i pewny zwycięstwa, nie przykłada się wtedy do badań tak, jak powinien. Rhyme żałował teraz, że nie ma więcej materiałów z miejsca przestępstwa.

Nagle przypomniał sobie coś. Spojrzał na Bella.

Powiedziałeś, że Garrett ubrany jest w policyjny dres?

Zgadza się.

-Macie ubranie, które miał na sobie, kiedy go aresztowaliście?

-Powinno być w areszcie. -Mógłbyś je tu sprowadzić?

- Te ciuchy? Już się robi.

- Powiedz, żeby zapakowali je w papierową torbę - polecił.

I nie rozkładali ich.

Szeryf zadzwonił do aresztu, poprosił dyżurnego, by przyniósł mu ubranie Garretta. Ze słów Bella Rhyme wywnioskował, że Nathan Groomer z wielką chęcią przyłączy się do poszukiwań kobiety, która go upokorzyła.

Powrócił uwagą do mapy Outer Banks. Mogli zawęzić poszukiwania do starych domów - ze względu na lampy kamfenowe -i do tych, które nie leżały w bezpośrednim sąsiedztwie plaży - ze względu na liście dębu i klonu. Mimo to obszar, jaki należałoby przeszukać, przerażał swym ogromem. Setki mil.

Zadzwonił telefon Bella. Szeryf odebrał, rozmawiał przez chwilę, a po zakończeniu rozmowy podszedł do mapy.

Ustawili blokady. Garrett i Amelia mogą przejść tędy, by je ominąć... - Postukał palcem w kwadrat M-10. - Ale z miejsca, w którym stoi Lucy, doskonale widać całe to pole. Nie mogą przemknąć się niezauważeni.

A co z linią kolejową na południe od miasta? - spytał Rhyme. Nie używa się jej do przewozów pasażerskich. Jeżdżą tamtędy tylko pociągi towarowe, i to bez stałego rozkładu.

Ale mogliby iść po torach. Dlatego ustawiłem blokadę w Belmont. Przypuszczam, że pójdą właśnie tamtędy. Podejrzewam też, Garrett może ukryć się na jakiś czas w rezerwacie WodospacManitu, pewnie spędzał tam sporo czasu, szukając tych swoich robaków.

- Bell postukał w kwadrat S-10.

-A co z lotniskiem? - spytał Rhyme. Bell spojrzał na Rhyme'a.

Amelia może porwać samolot?

Nie, nie lata samolotami.

Rhyme zauważył pewien napis na mapie.

Co to za baza wojskowa? - spytał.

Magazynowano tu broń w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zamknięto bazę wiele lat temu. Ale jest tam mnóstwo podziemnych przejść i bunkrów. Gdyby Garrett się ukrył na jej terenie, nigdy byśmy go nie znaleźli.

-Wojsko patroluje ten teren?

-Już nie.

-A ten kwadratowy obszar w E-5 i E-6, co to takiego?

- To? To chyba stary park rozrywki - odparł Bell, spoglądając na Farra i Bena.

-Zgadza się - przytaknął Ben. - Chodziłem tam z bratem, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem. Jak to się nazywało... Indiański Świat czy coś takiego.

Bell skinął głową.

-To była kopia indiańskiej wioski. Zamknęli ją przed kilku laty, nikt jej nie odwiedzał.

Williamsburg i Sześć Flag były znacznie bardziej popularne. Dobra kryjówka, ale w przeciwnym kierunku niż Outer Banks. Garrett tam nie pójdzie.

Bell dotknął kwadratu G-14.

-Mason jest tutaj. Na tym obszarze Garrett i Amelia musieliby trzymać się Harper Road.

Wszędzie dokoła są bagna wypełnione karolińską gliną. Przedzieraliby się tędy kilka dni, jeśli by przeżyli, w co wątpię. Więc nie pozostaje nam nic innego jak czekać.

Rhyme skinął w roztargnieniu głową. Jego oczy poruszały się równie szybko jak mucha, która uleciała już z laboratorium, przeskakiwały od jednego punktu na mapie do drugiego.

Garrett Hanlon wyprowadził Amelię na asfaltową drogę i wskazał kierunek. Szli wolniej niż poprzednio, wyczerpani upałem i długim biegiem.

Okolica wydawała jej się znajoma, i po chwili Amelia zrozumiała, że idą wzdłuż Canal Road, drogi, którą jechali wcześniej do Blackwater Landing, by zbadać miejsce przestępstwa.

Widziała już ciemne wody rzeki Paquenoke. Po drugiej stronie kanału stały te wysokie, piękne domy, które wychwalała przed Lucy.

Rozejrzała się dokoła.

-Nie rozumiem. Na pewno wiedzą już, że uciekliśmy. To główna trasa wylotowa z miasta.

Dlaczego nie ma żadnych blokad?

-Myślą, że poszliśmy w drugą stronę. Ustawili blokadę na południe i wschód od miasta.

Skąd wiesz?

Uważają, że jestem popieprzony - odparł Garrett. - Że jestem głupi. Kiedy ktoś jest inny, wszyscy biorą go za durnia. Tylko że ja nie jestem durniem.

-Ale idziemy do Mary Beth?

-Jasne. Tyle że nie tą drogą, o której oni myślą.

Jego pewność siebie zaniepokoiła ją trochę, po chwili zapomniała jednak o obawach, poświęcając całą uwagę obserwacji otoczenia. Po dwudziestu minutach byli już zaledwie o pół mili od miejsca, gdzie Canal Road dołączała do drogi numer 112 przy Blackwater Landing - miejscu, gdzie zginął Billy Stail.

-Posłuchaj! - szepnął nagle Garrett, chwytając ją za ramię skutymi rękami.

Przechyliła głowę, nie słyszała jednak nic podejrzanego.

- W krzaki.

Zeszli z drogi i ukryli się w kępie kłujących ostrokrzewów.

- Co? - pytała, marszcząc brwi.

-Szzsz...

Po chwili na drodze pojawiła się wielka ciężarówka z płaską platformą.

- To z fabryki - wyszeptał Garrett. - Stamtąd.

Na ciężarówce widniał napis „Davett Industries”. Sachs rozpoznała nazwisko człowieka, który pomógł im przy analizie dowodów. Kiedy samochód zniknął za zakrętem, powrócili na drogę.

Jak ty to usłyszałeś?

Och, trzeba być zawsze ostrożnym. Jak ćmy.

Jak ćmy? Co masz na myśli?

- Ćmy są naprawdę niesamowite. Wyczuwają ultradźwięki. Mają takie specjalne detektory.

Kiedy nietoperz wysyła fale, żeby je znaleźć, ćmy składają skrzydła i spadają na ziemię.

Owady wyczuwają też pola magnetyczne i elektroniczne. Rzeczy, o których my nawet nie wiemy.

Wie pani, że niektóre owady można wabić falami radiowymi? Albo odstraszać, to zależy od częstotliwości. - Zamilkł

na chwilę, odwrócił głowę. Potem znów spojrzał na nią. - Trzeba przez cały czas nasłuchiwać. Inaczej mogą cię dopaść.

-Kto? - spytała niepewnie.

-No... wszyscy. - Wskazał głową na Blackwater Landing i Paquenoke. - Dziesięć minut i będziemy bezpieczni. Nigdy nas nie znajdą.

Znów ruszyli w dół drogi.

Myślała o tym, co się stanie, kiedy już odnajdą Mary Beth i wrócą do Tanner's Corner.

Garrett nadal będzie oskarżony o porwanie. Jeśli jednak Mary Beth potwierdzi wersję Garretta - tę o mężczyźnie w brązowych ogrodniczkach - prokurator być może zgodzi się, że chłopak rzeczywiście porwał ją dla jej własnego dobra. Obrona życia innych uznawana była przez wszystkie sądy za najważniejszą pobudkę, usprawiedliwiającą wiele innych czynów niezgodnych z prawem. A wtedy prokurator być może zrezygnuje z zarzutów.

Kim był ów mężczyzna w ogrodniczkach? Dlaczego pokazywał się w lasach Blackwater Landing? Czy to on w ciągu ostatnich lat zabił troje ludzi i próbował zrzucić winę na Garretta? Czy to on zastraszył Todda Wilkesa? Czy rzeczywiście przekazywał Billy'emu Stailowi jakieś środki? Wiedziała, że problem narkotyków jest równie poważny w małych miastach, jak i wielkich metropoliach.

Potem przyszła jej do głowy inna myśl; że Garrett mógł zidentyfikować prawdziwego mordercę Billy'ego Staila. Mężczyzna w ogrodniczkach być może wiedział już o ucieczce Garretta i poszukiwał chłopaka na własną rękę. By go uciszyć. Może winni...

Garrett znieruchomiał nagle, wyraźnie czymś przestraszony. Odwrócił się na pięcie.

Co? - wyszeptała Sachs.

Samochód, jedzie bardzo szybko.

Gdzie?

-Szzsz...

Dostrzegli w dali błysk świateł.

Trzeba przez cały czas nasłuchiwać. Inaczej mogą cię dopaść.

-Nie! - krzyknął Garrett przerażony i wciągnął ją w krzak turzycy.

Drogą prowadzącą do kanału pędziły dwa wozy policyjne. Nie widziała, kto prowadzi pierwszy z nich, ale policjant na fotelu pasażera - czarny mężczyzna, którego Sachs nie miała okazji poznać - przyglądał się uważnie krzakom i drzewom wzdłuż drogi. Trzymał w dłoni strzelbę. Lucy Kerr prowadziła drugi samochód.

Garrett i Sachs przywarli do ziemi.

Składają skrzydła i spadają na ziemię...

Samochody minęły ich kryjówkę i zatrzymały się przy skrzyżowaniu Canal Road i drogi numer 112. Zaparkowały w poprzek, jezdni, blokując oba pasy. Policjanci wysiedli z wozów, w dłoniach trzymali broń gotową do strzału.

- Blokada - mruknęła Sachs. - Cholera...

-Nie, nie, nie - powtarzał Garrett w osłupieniu. - Mieli myśleć, że idziemy w drugą stronę, na wschód. Musieli tak myśleć!

Minął ich jakiś samochód osobowy, zwolnił przy końcu drogi. Lucy zatrzymała go machnięciem dłoni i rozmawiała przez chwilę z kierowcą. Potem kazali mu wysiąść i otworzyć bagażnik, który dokładnie przeszukali.

Garrett kulił się w kępie traw.

-Kurwa, jak oni mogli się domyślić, że idziemy tędy? - szeptał.-Jak?

Bo mają Lincolna Rhyme'a, odparła Sachs bezgłośnie.

- Na razie nic nie widzą, Lincoln - powiedział Jim Bell.

-Amelia i Garrett nie będą szli środkiem Canal Road - odparł Rhyme z irytacją. - Kryją się gdzieś w krzakach.

-Blokada jest już ustawiona, przeszukują każdy samochód -relacjonował Bell. - Nawet jeśli znają kierowcę.

Rhyme spojrzał ponownie na mapę.

-Nie ma innej drogi, którą mogliby pójść na zachód?

-Z aresztu można przejść tylko Canal Road do drogi numer 112. - Bell spojrzał na Rhyme'a z powątpiewaniem. - Ale muszę powiedzieć, Lincoln, że to wielkie ryzyko, odsyłać wszystkich do Blackwater Landing. Jeśli w rzeczywistości idą na wschód, na Outer Banks, wymkną nam się i nigdy ich nie znajdziemy. Ta twoja teoria jest trochę naciągana.

Lecz Rhyme był pewny, że tak nie jest. Kiedy dwadzieścia minut wcześniej wpatrywał się w mapę, śledząc trasę, którą chłopak prowadził Lydię - trasę biegnącą w stronę Wielkiego Bagna i nigdzie dalej - powrócił uwagę do tego wydarzenia. Przypomniał sobie, co powiedziała mu Sachs, kiedy rankiem ścigali Garretta.

Lucy mówi, że tędy nie miałyby dokąd iść.

To kazało mu zadać sobie pytanie, na które nikt nie dał dotąd zadowalającej odpowiedzi.

Dlaczego właściwie Garrett porwał Lydię Johansson? By zabić ją jako ofiarę zastępczą, twierdził doktor Penny. Okazało się jednak, że jej nie zabił. Ani nie zgwałcił. Nie miał też żadnego innego motywu. Byli sobie zupełnie obcy, Lydia nigdy mu nie dokuczała, nie była świadkiem morderstwa Billy'ego. Dlaczego to zrobił?

Potem przypomniał sobie, jak chętnie Garrett przyznał przed Lydią, że Mary Beth przebywa gdzieś na Outer Banks, że jest tam szczęśliwa i wcale nie potrzebuje pomocy. Dlaczego był

taki wylewny? A dowody z młyna - piasek z plaży, mapa Outer Banks... Sachs mówiła, że Lucy znalazła je bardzo łatwo. Zbyt łatwo. Rhyme zrozumiał, że miejsce zbrodni zostało

„wystawione” - w żargonie kryminalistów oznaczało to, że dowody zostały celowo spreparowane, by zmylić pogoń.

-Wystawił nas! - wykrzyknął Rhyme gorzko.

- O czym pan mówi? - spytał Ben.

-Oszukał nas - powiedział kryminalistyk. Szesnastoletni chłopiec wodził ich wszystkich za nos. Od samego początku. Rhyme wyjaśnił, że Garrett celowo zostawił jeden but w miejscu, w którym porwał Lydię. Napełnił go drobinami wapienia, które każdej osobie znającej dobrze okolicę - na przykład Da-vettowi - nasuwały na myśl kamieniołom. Tam zostawił z kolei drugi dowód - osmolony worek i kukurydzę, które zaprowadziły, by pościg do młyna.

Policjanci po prostu mieli znaleźć Lydię oraz pozostałe dowody, które przekonałyby ich, że Mary Beth przetrzymywana jest w domu na Outer Banks.

Co znaczyło, oczywiście, że znajduje się gdzieś w przeciwnym kierunku - na zachód od Tanner's Corner.

Plan Garretta był świetny, chłopiec popełnił jednak jeden błąd - założył, że poszukiwania Lydii będą trwały kilka dni. W tym czasie on spokojnie wróciłby do Mary Beth, podczas gdy policja marnowałaby pieniądze i czas na przeszukiwanie Outer Banks.

Rhyme zapytał więc Bella, jaka jest najlepsza droga prowadząca z Tanner's Cornerja zachód.

- Droga do Blackwater Landing - odpowiedział szeryf. - Numer 112.

Rhyme rozkazał Lucy i pozostałym policjantom przenieść się tam jak najszybciej.

Istniała szansa, że Garrett i Sachs przeszli już przez Blackwater Landing i kierowali się dalej na zachód, po zmierzeniu odległości jednak Rhyme uznał, że raczej nie mogli dokonać tego w tak krótkim czasie - zwłaszcza że musieli pozostawać w ukryciu.

Lucy zadzwoniła właśnie ze skrzyżowania Canal Road i drogi numer 112. Thom przełączył rozmowę na głośnik. Kobieta, najwyraźniej wciąż niepewna, po czyjej stronie stoi Rhyme, relacjonowała sceptycznie:

-Nie widzieliśmy nic podejrzanego, a sprawdzamy wszystkie przejeżdżające samochody. Jest pan pewien, że poszli tędy?

- Tak - odparł z naciskiem. - Jestem pewien.

Bez względu na to, co sądziła Lucy o tej aroganckiej zadufanej odpowiedzi, oświadczyła tylko:

- Miejmy nadzieję, że się pan nie myli.

Zakończyła rozmowę.

Kilka sekund później zadzwonił telefon Bella. Szeryf wysłuchał jakiegoś meldunku, po czym spojrzał na Rhyme'a:

-Następna trójka moich ludzi dotarła właśnie do Canal Road, jakąś milę na południe od drogi numer 112. Zamierzają przeczesać las, posuwając się na północ od Lucy. Jeśli Garrett i Sachs ukrywają się gdzieś przy drodze, nie zdołają im uciec. -Znów przyłożył słuchawkę do ucha.

Zerknął na Rhyme'a, potem odwrócił wzrok i powiedział do telefonu: - Tak, jest uzbrojona...

Tak, podobno świetnie strzela.

Sachs i Garrett kulili się w krzakach, obserwując samochody pasażerskie, ustawione w kolejce przed blokadą.

Potem z tyłu dobiegł ich dźwięk, który wyłowiły nawet nieczułe uszy Sachs; syreny policyjne.

Znów zobaczyli migające kolorowe światła. Tym razem zbliżały się do nich od drugiej, południowej strony Canal Road. Wóz policyjny zatrzymał się na poboczu, wysiadło z niego dwóch kolejnych funkcjonariuszy. Ci także uzbrojeni byli w strzelby.

Zeszli z drogi i ruszyli powoli przez krzaki, zmierzając w stronę Garretta i Sachs. Sachs zrozumiała, że najpóźniej za dziesięć minut wyjdą prosto na ich kryjówkę.

Garrett spojrzał na nią wyczekująco.

- Co? - spytała.

Zerknął na pistolet.

-Nie użyje pani tego?

Sachs otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

-Nie. Oczywiście, że nie.

Garrett wskazał głową na policjantów.

- Oni użyją.

-Nie będzie tu żadnej strzelaniny! - wyszeptała ze złością, przerażona, że w ogóle rozważał taką możliwość. Obejrzała się za siebie, na las. Ziemia była tutaj grząska, a poszycie gęste.

Nie mogli dostać się do lasu niezauważeni. Przed nimi ciągnął się metalowy płot, ogradzający fabrykę Davetta. Spomiędzy gałęzi krzewów Sachs widziała samochody ustawione na parkingu.

Amelia Sachs zajmowała się przestępstwami ulicznymi od roku. To doświadczenie, w połączeniu z jej wiedzą o samochodach, oznaczało, że może włamać się praktycznie do każdego wozu i uruchomić go w ciągu trzydziestu sekund.

Jednak nawet gdyby to zrobiła, to jak wydostaliby się z terenu fabryki? Brama towarowa wychodziła na Canal Road, więc tak czy inaczej wyjechaliby prosto na blokadę. Czy mogliby ukraść jakiegoś dzipa, przełamać płot i dostać się na przełaj do drogi numer 112? W

Blackwater Landing pełno było stromych podjazdów i skarp; czy zdołaliby uciec, nie rozbijając samochodu i nie czyniąc sobie krzywdy?

Dwaj policjanci zbliżyli się już na odległość dwustu stóp.

Jeśli mieli cokolwiek robić, musieli zrobić to teraz. Nie mieli innego wyjścia.

- Chodź, Garrett, przejdziemy przez płot.

Skuleni ruszyli w stronę fabrycznego parkingu.

- Chce pani ukraść samochód? - spytał Garrett, widząc, dokąd zmierzają.

Sachs obejrzała się za siebie. Policjanci byli o sto jardów dalej.

- Nie lubię samochodów - kontynuował Garrett. - Przerazają mnie.

Sachs go nie słuchała. Wciąż powracały do niej jego wcześniejsze słowa.

Składają skrzydła i spadają na ziemię.

- Gdzie oni są? - dopytywał się Rhyme nerwowo. - Ci policjanci, którzy przeszukują krzaki?

Bell stał przy mapie, rozmawiał przez telefon. Zerknął na Bella i dotknął mapy.

-Mniej więcej tutaj. To jest wejście do fabryki Davetta. Osiemdziesiąt, sto jardów, posuwają się na północ.

- Czy Amelia i Garrett mogą obejść fabrykę od wschodu?

-Nie, posiadłość Davetta jest ogrodzona. Dalej są tylko bagna. Gdyby poszli na zachód, musieliby przepłynąć przez kanał, a prawdopodobnie nie zdołaliby wspiąć się na brzeg.

Zresztą tu nie ma się gdzie ukryć. Lucy i Trey na pewno by ich zauważyli.

Czekanie było takie trudne. Rhyme wiedział, że Sachs drapie się po głowie i kaleczy swą gładką skórę, próbując uciszyć lęki, które zawsze towarzyszyły jej w trudnych chwilach.

Destrukcyjne nawyki, owszem, ale teraz bardzo ich jej zazdrościł. Przed wypadkiem Rhyme walczył z nerwami, przechadzając się, pokonując na piechotę dziesiątki mil. Teraz mógł jedynie myśleć o tym, jak wielkie grozi jej niebezpieczeństwo.

W drzwiach pojawiła się sekretarka Bella.

-Szeryfie, policja stanowa na dwójce.

Jim Bell przeszedł do biura po drugiej stronie korytarza i nacisnął guzik. Rozmawiał przez kilka minut, a potem biegiem wrócił do laboratorium.

-Mamy ich! - wykrzyknął podekscytowany. - Policja stanowa zlokalizowała jej telefon komórkowy. Jedźcie na zachód, drogą numer 112. Przedostali się poza blokadę.

Jak? - spytał Rhyme.

Wygląda na to, że wśliznęli się na parking Davetta, ukradli jakąś półciężarówkę albo dziapa, zjechali na jakiś czas z drogi, a potem na nią wrócili.

To jest właśnie moja Amelia, pomyślał Rhyme. Ta kobieta może jeździć po ścianach...

- Chce zostawić ten samochód i zabrać następnego - kontynuował Bell.

- Skąd wiesz?

-Rozmawia przez telefon z wypożyczalnią samochodów w Hobeth Falls. Lucy i pozostali jadą za nią, bez syren. Rozmawiamy właśnie z ludźmi Davetta, żeby dowiedzieć się, komu zginął samochód z parkingu. Ale nie będziemy potrzebowali opisu, jeśli zostanie na linii jeszcze przez chwilę. Wystarczy kilka minut, a technicy dokładnie ją namierzą.

Lincoln Rhyme znów spojrzał na mapę - choć ta wyryta już była w jego pamięci. Po chwili westchnął i mruknął:

- Powodzenia.

Sam jednak nie potrafiłby powiedzieć, czy to życzenie skierowane jest do myśliwych, czy do ich ofiary.

Lucy Kerr nacisnęła mocniej pedał gazu. Szybkościomierz wskazywał osiemdziesiąt mil na godzinę.

Jeździsz szybko, Amelio?

Ja też.

Pędzili drogą numer 112, szklany kogut na dachu samochodu migota! wściekle biało-czerwono-niebieskim światłem. Syrena była wyłączona. Na miejscu pasażera siedział Jesse Corn, rozmawiał przez telefon z Pete'em Greggiem z policji stanowej w Elizabeth City. W

wozie jadącym za nimi byli Trey Williams i Ned Spoto. Mason Germain i milczący Frank Sturgis jechali trzecim samochodem.

- Gdzie są teraz? - spytała Lucy.

Jesse zadał to pytanie policji stanowej i pokiwał głową, kiedy otrzymał odpowiedź.

- Tylko pięć mil stąd - powiedział. - Zjechali ze sto dwunastki, jadą na południe.

Proszę, modliła się Lucy, proszę, nie wyłączaj telefonu jeszcze przez minutkę.

Mocniej docisnęła pedał gazu.

Ty jedziesz szybko, ja jadę szybko.

Dobrze strzelasz.

Ale ja też dobrze strzelam. Nie popisuję się tym, tak jak ty, nie wyciągam pistoletu przy każdej okazji, ale przez całe życie miałam do czynienia z bronią.

Przypomniała sobie, że kiedy Buddy ją zostawił, zabrała z domu całą amunicję i wrzuciła ją w ciemne wody Blackwater Canal. Bała się, że którejś bezsennej nocy spojrzy po raz kolejny na puste miejsce u swego boku, zamknie usta na gładkiej lufie swego policyjnego rewolweru i wyśle się tam, gdzie, jak jej się zdawało, chętnie widziałby ją jej mąż i natura.

Przez trzy i pół miesiąca Lucy chodziła z nienabitym pistoletem, straszyla nim bimbrowników, militarystów i wielkich kłótliwych nastolatków, którzy wączali śmierdzące kleje.

Potem obudziła się pewnego ranka i, zupełnie jakby pozbyła się wreszcie jakiejś przewlekłej choroby, poszła do sklepu Sha-keya, by kupić pudełko pocisków winchester .357 („Jezu, Lucy, z naszą policją jest gorzej, niż myślałem, skoro sama musisz kupować sobie amunicję”). Wróciła do domu, naładowała broń i od tej pory nigdy już nie nosiła jej pustej.

Było to dla niej bardzo znaczące wydarzenie. Naładowana broń była symbolem przetrwania.

Amelio, podzieliłam się z tobą moimi najmroczniejszymi chwilami. Powiedziałam ci o operacji. Powiedziałam ci o tym, jak wstydzę się mężczyzn. Jak kocham dzieci. Pomogłam ci, kiedy Sean O'Sarian zabrał ci broń. Przeprosiłam, kiedy okazało się, że ty miałas rację, a ja się myliłam. Ufałam ci... Ktoś dotknął jej ramienia. Spojrzała na Jesse'a Corna.

Uśmiechał się do niej łagodnie.

-Ta droga za chwilę gwałtownie zakręca - powiedział. -Chciałbym, żebyśmy też zakręcili.

Lucy wypuściła głośno powietrze i rozluźniła napięte ramiona.

Zdjęła nogę z gazu.

Mimo to, kiedy mijali zakręt wspomniany przez Jesse'a, licznik wskazywał sześćdziesiąt pięć mil, choć znaki nakazywały zwolnić do czterdziestu.

- Sto stóp w górę drogi - wyszeptał Jesse Corn.

Wszyscy wysiedli z samochodów i zgromadzili się wokół Masona Germaina i Lucy Kerr.

Policja stanowa zgubiła w końcu sygnał z telefonu Amelii, wcześniej jednak sygnał ten dochodził przez ponad pięć minut z miejsca, na które właśnie patrzyli; z szopy oddalonej o pięćdziesiąt stóp od domu pod lasem, o milę od drogi numer 112. I na zachód od Tanner's Corner, zauważyła Lucy. Dokładnie tak, jak przewidział Lincoln Rhyme.

-Chyba nie myślicie, że jest tam Mary Beth, co? - spytał Frank Sturgis, który po śmierci Eda Schaeffera został najstarszym policjantem w wydziale. - Przecież to tylko siedem mil od miasta. Byłby głupi, gdyby trzymał dziewczynę tak blisko.

- Nie, czekają tutaj tylko, aż ich miniemy - powiedział Mason.

- Potem pójdą do Hobeth Falls i wezmą następny samochód.

Jesse dowiedział się, jaki jest adres domu.

- Ten dom do kogoś należy - powiedział. - Niejaki Pete Hall- burton. Ktoś go zna?

-Chyba tak - mruknął Trey Williams. - Żonaty. Żadnego związku z Garrettem, o ile mi wiadomo.

-Mają dzieci?

Trey wzruszył ramionami.

-Może i mają. Pamiętam jakiś mecz z zeszłego roku...

-Jest lato. Dzieciaki mogą być w domu - myślał głośno Frank. - Garrett mógł je wziąć za zakładników.

- Może - odparła Lucy. - Ale sygnał z telefonu Amelii dochodził z tej szopy, a nie z domu. Do tej pory mogli się przenieść,

choć... Jakoś mi się nie wydaje, żeby posunęli się aż do tego.

Myślę, że Mason ma rację. Ukryli się tutaj i czekają, aż będą mogli bezpiecznie przejść do Hobeth.

-To co robimy? - spytał Lou. - Blokujemy dojazd naszymi samochodami?

-Usłyszają nas i zaczną uciekać - powiedział Jesse.

Lucy skinęła głową.

-Myślę, że powinniśmy podejść do tej szopy na piechotę, szybko, z dwóch stron.

-Mam CS - powiedział Mason. CS 38 - wojskowy gaz łzawiący.

- Nie, nie - zaprotestował Jesse. - Mogą wpaść w panikę.

Lucy podejrzewała, że Jesse sam w to nie wierzy. Była pewna, że po prostu nie chce wystawiać swojej boginki na działanie silnego gazu. Mimo to zgadzała się z nim; nie mieli masek, gaz mógł więc bardziej im zaszkodzić, niż pomóc.

-Bez gazu - zaordynowała. - Ja podejdem od frontu. Trey, ty weźmiesz...

- Nie - przerwał jej Mason. - Ja podejdem od frontu.

Lucy zawahała się na moment.

-Dobrze. Ja obstawię boczne drzwi. Trey i Frank, wy zajmiecie się tyłem i drugą stroną. -

Spojrzała na Jesse'a. - Ty i Ned będziecie obserwować drzwi domu. Stąd.

- Jasne - odparł Jesse.

-I okna - dodał Mason surowo, zwracając się do Neda. - Nie chcę, żeby ktoś skoczył nam nagle na plecy.

- Jeśli wyjadą samochodem, strzelajcie w opony - kontynuowała Lucy. - Frank, ty ze swoim magnum możesz mierzyć w silnik. Nie strzelajcie do Amelii ani do Garretta, chyba że naprawdę będziecie musieli. Znacie zasady. - Spojrzała znacząco na Masona, myśląc o jego snajperskim ataku przy młynie, ten jednak nie zwracał na nią uwagi.

Lucy wywołała Bella przez krótkofalówkę i powiedziała mu, że zamierzają wejść do szopy.

- Straż i pogotowie stoją w gotowości - powiedział szeryf.

-To nie jest akcja jednostek specjalnych - skrzywił się Jesse, podsłuchując rozmowę. - Powinniśmy w ogóle unikać strzelaniny. Lucy wyłączyła radio.

Wskazała głową na budynek.

- Idziemy.

Pobiegli w stronę szopy, skuleni, kryjąc się za pniami dębów i sosen. Lucy nie odrywała spojrzenia od ciemnych okien szopy. Dwa razy była niemal pewna, że dojrzała jakiś ruch w środku. Mogło to być odbicie drzew lub chmur, nie miała jednak pewności. Kiedy byli już blisko, zatrzymała się, przełożyła broń do lewej ręki i wytarła dłoń z potu. Potem ponownie ujęła pistolet prawą dłonią.

Policjanci ustawili się pod ścianą, przy ciemnych oknach szopy. Lucy pomyślała, że nigdy jeszcze nie robiła nic podobnego.

To nie jest akcja jednostek specjalnych...

Mylisz się, Jesse, to właśnie jest taka akcja. A ja jestem wściekła jak diabli, że muszę się tym zajmować.

Koło jej twarzy przeleciała ważka. Lucy odegnała ją machnięciem dłoni. Owad wrócił i zawisł naprzeciwko niej, jakby to Garrett wysłał go na zwiady.

Głupota, pomyślała. Potem wściekłym gestem jeszcze raz przegoniła ważkę.

Owadzi Król...

Na ziemię, pomyślała Lucy - tak właśnie powinna krzyknąć do obojga zbiegów.

-Ja nie będę nic mówił - oświadczył Mason. - Po prostu wchodzę do środka. Lucy, kiedy usłyszysz, że kopię w drzwi wchodzisz z boku.

Skinęła głową. I choć z jednej strony martwiła się nadgorliwością Masona, z drugiej była zadowolona, że ktoś dzieli z nią ciężar odpowiedzialności.

- Sprawdźmy, czy boczne drzwi są otwarte - szepnęła.

Rozeszli się na swoje pozycje. Lucy przemknęła do bocznych drzwi. Były lekko uchylone.

Skinęła na Masona, który stał za rogiem, obserwując ją. Ten odpowiedział skinieniem i pokazał jej dziesięć palców, co miało zapewne oznaczać, że będzie odliczaj przed atakiem.

Potem zniknął za rogiem budynku.

Dziesięć, dziewięć, osiem...

Odwróciła się do drzwi, wdychając zapach starego drewna, zmieszany ze smrodem benzyny i oleju dochodzących z wnętrza szopy. Nasłuchiwała uważnie. Usłyszała niewyraźny stukot - hałas silnika samochodu, który ukradła Amelia.

Pięć, cztery, trzy...

Wzięła głęboki oddech, by uspokoić rozedrgane nerwy. Jeszcze jeden.

Gotowa, powiedziała sobie w duchu.

Od frontu budynku dobiegł ją głośny trzask; Mason wszedł do środka.

Naprzód! - pomyślała.

- Nie ruszać się! - krzyczał Mason. - Policja!

Lucy kopnęła boczne drzwi. Te przesunęły się jednak tylko o kilka cali i uderzyły o wielką kosiarkę do trawy zaparkowaną tuż przy wejściu. Lucy kopnęła jeszcze raz, potem napała ramieniem, ale drzwi ani drgnęły.

- Cholera - szepnęła i pobiegła do frontowego wejścia.

Nim tam dotarła, usłyszała krzyk Masona:

-O Jezu!

A potem strzał.

I jeszcze jeden.

- Co się tam dzieje? - pytał Rhyme.

-Wszystko w porządku - odparł Bell niepewnie. Coś w jego postawie zaniepokoiło Rhyme'a; szeryf stał ze słuchawką mocno przyciśniętą do ucha, drugą dłoń, zwiniętą w pięść, trzymał z dala od ciała. Skinął głową, słuchając czyjejś relacji. Spojrzał na Rhyme'a: - Były jakieś strzały.

_ Strzały?

-Mason i Lucy weszli do szopy. Potem Jesse usłyszał dwa strzały. - Bell podniósł wzrok, krzyknął do drugiego pokoju: -Wyślijcie karetkę do domu Hallburtonów. Badger Hollow Road, przy drodze numer 112.

-Już jedzie - odkrzyknął Steve Farr.

Rhyme oparł głowę o poduszkę krzesła. Spojrzał na Thoma, ten jednak milczał.

Kto strzelał? Kto został trafiony?

Och, Sachs...

Wyraźnie poirytowany, Bell mówił do słuchawki:

-No to się dowiedz, Jesse! Ktoś jest ranny? Co się tam dzieje, do diabła?

Co z Amelią? - krzyknął Rhyme.

Za minutkę wszystko będziemy wiedzieć - obiecał Bell.

Zdawało się jednak, że upływają całe godziny.

Wreszcie Bell znów się wyprostował, kiedy Jesse Corn podszedł do telefonu. Kiwał głową.

-Jezu, co zrobił? - Słuchał przez chwilę, potem spojrzał na zaniepokojoną twarz Rhyme'a. -

Wszystko w porządku. Nikomu nic się nie stało. Mason wpadł do szopy i zobaczył

ogrodniczki zawieszane na ścianie. Z przodu stały jakieś grabie czy łopata. Było bardzo ciemno. Myślał, że to Garrett z bronią. Strzelił dwa razy. To wszystko.

- Co z Amelią?

-W ogóle ich tam nie było, tylko ten samochód, który ukradli z parkingu. Garrett i Amelia musieli ukryć się w domu, ale kiedy usłyszeli strzały, uciekli pewnie do lasu. Nie ujdą daleko.

Znam tę okolicę. Wszędzie pełno bagien.

-Chcę, żeby Mason został wyłączony ze sprawy - rzucił Rhyme ze złością. - Mówiłem ci, że jest za bardzo napalony.

Bell najwyraźniej zgadzał się z jego opinią. Powiedział do telefonu:

- Jesse, daj mi Masona... - Krótka pauza. - Mason, co to za historia, do cholery?... Dlaczego strzelałeś?... A gdyby tam stał

Pete Hallburton? Albo jego żona czy dzieciaki?... Nie obchodzi mnie to. Natychmiast tu wracasz. To rozkaz... Niech oni przeszukają dom. Wsiadaj do wozu i wracaj... Nie będę powtarzał... Cholera.

- Bell odłożył słuchawkę. Po kilku sekundach telefon znów zadzwonił.

Szeryf natychmiast go odebrał. - Lucy, co się dzieje?...

- Słuchał ze zmarszczonymi brwiami, wpatrzony w podłogę. Zaczął przechadzać się od ściany do ściany. - O Jezu... Jesteś pevna?

- Potem znów skinął głową. - Dobra, zostańcie tam. Zadzwonię do was. - Odłożył słuchawkę.

- Co się stało?

Bell pokręcił głową.

-Nie mogę w to uwierzyć. Daliśmy się nabrać. Twoja przyjaciółka nabiła nas w butelkę.

-Co?

-Pete Hallburton jest u siebie, w swoim domu. Lucy i Jesse właśnie z nim rozmawiali. Jego żona pracuje od trzeciej do jedenastej w fabryce Davetta. Zapomniała dzisiaj kolacji, więc Pete pojechał do niej i wrócił pół godziny temu do domu.

-Do domu? Amelia i Garrett schowali się w bagażniku?

Bell roześmiał się gorzko,

- On ma pick-upa. Nie miałby ich gdzie ukryć. Ale miał dość miejsca na telefon komórkowy Amelii. Za lodówką, którą trzymał z tyłu.

Tym razem to Rhyme roześmiał się cynicznie. -Zadzwoniła do wypożyczalni, kazali jej czekać, a wtedy ukryła telefon w samochodzie. -Zgadłeś - mruknął Bell. -Pamiętasz, Lincoln, dzwoniła do tej wypożyczalni dziś rano

- powiedział Thom. - Była wściekła, bo nie mogła się doczekać na połączenie.

-Wiedziała, że będziemy lokalizować jej telefon - skinął głową Bell. - Poczekali, aż Lucy i cała reszta zjedzie z Canal Road, a sami spokojnie ruszyli dalej w drogę. - Spojrzał na mapę. -

Mają nad nami czterdzieści minut przewagi. Mogą być wszędzie.

wozy policyjne zniknęły już za zakrętem, Garrett i Sachs dobiegli do końca Canal Road i przeszli przez drogę numer 112.

Minęli miejsce, w którym zginął Billy Stail, potem skręcili w lewo i zaczęli przedzierać się przez krzaki zarastające dębowy las. Przez cały czas trzymali się rzeki Paquenoque.

Pół mili dalej natknęli się na dopływ Paquo. Nie mogli jej obejść, a Sachs nie miała najmniejszej ochoty wchodzić do ciemnej wody, pełnej owadów, szlamu i śmieci.

Ale Garrett był na to przygotowany. Wskazał skutymi rękami na jakieś miejsce przy brzegu.

- Łódź.

-Łódź? Gdzie?

-Tam, tam - wskazał ponownie.

Sachs przyjrzała się uważnie i dopiero po chwili zauważyła małą łódkę, przykrytą gałęziami i liśćmi. Garrett podszedł do niej i zaczął ściągać roślinną osłonę. Sachs mu pomogła.

-Kamuflaż - powiedział chłopak. - Nauczyłem się tego od owadów. We Francji żyje taki mały świerszcz, truxalis. Jest niesamowity - zmienia kolor trzy razy w ciągu lata, żeby dostosować się do różnych odcieni trawy i liści. Drapieżniki w ogóle go nie widzą.

Amelia także wykorzystwała niezwykłą wiedzę chłopca i jego opowieści o owadach zwyczajach. Kiedy Garrett opowiedział jej o ćmach, o ich zdolności wyczuwania sygnałów radiowych i elektronicznych, zrozumiała, że Rhyme z pewnością próbował zlokalizować jej telefon komórkowy. Przypomniała sobie, że rano czekała kilka minut na połączenie z obsługą wypożyczalni samochodów. Kiedy więc zakradli się na parking przy fabryce Davetta, zadzwoniła do wypożyczalni i wsunęła włączoną komórkę

- w której wciąż pobrzmiwał ten sam, nieśmiertelny sygnał muzyczny

- na tył pustego pick-upa z włączonym silnikiem.

Sztuczka najwyraźniej się udała. Wkrótce po tym jak pick-up opuścił fabryczny parking, policyjne wozy pojechały jego śladem. Kiedy zdejmowali kamuflaż z łódki, Sachs spytała Garretta: -A ten amoniak? I dół z gniazdem szerszeni? Tego też nauczyłeś się od owadów?

- Tak - odparł z dumą. - Nie chciałem nikogo skrzywdzić, prawda?

- Nie, nie, ten dół miał was tylko przestraszyć. Specjalnie włożyłem tam puste gniazdo.

A amoniak miał mnie ostrzec, że ktoś się zbliża. Zapachy to dla nich coś takiego jak system wczesnego ostrzegania. - Spojrzał na Sachs, a ona dostrzegła w jego wilgotnych, zaczerwienionych oczach szczerzy podziw. - To było naprawdę niezłe, to, co zrobiliście.

Nigdy nie myślałem, że tak szybko mnie znajdziecie.

- A te rzeczy we młynie, mapa i piasek, zostawiłeś je specjalnie, żeby nas zmylić?

- Tak, mówiłem pani. Owady są sprytne. Muszą być.

Wkrótce odrzucili wszystkie gałęzie i Sachs mogła ujrzeć łódkę w całej okazałości. Była dość stara, pomalowana na szaro, miała jakieś dziesięć stóp długości i niewielki silnik, zamocowany za rufą. Na dnie łodzi leżało kilkanaście plastikowych butelek z wodą mineralną i lodówka turystyczna. Sachs otworzyła jedną z butelek i od razu wypiła niemal połowę jej zawartości. Potem podała wodę Garrettowi. Kiedy ten zaspokoił już pragnienie, otworzył

lodówkę. W środku było kilka paczek krakersów i chipsów. Garrett przejrzał uważnie zawartość pojemnika, by upewnić się, że niczego nie brakuje. Skinął głową, a potem wszedł do łódki.

Sachs usiadła naprzeciwko Garretta, zwrócona plecami do dziobu. Uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo, jakby wiedział, że nie ufa mu na tyle, by odwrócić się doń plecami.

Potem uruchomił silnik i odepchnął łódź od brzegu.

Ruszyli w dół rzeki, niczym współcześni naśladowcy Hucka Finna.

Sachs pomyślała: To jest właśnie czas pięści. Wyrażenie, którego używał jej ojciec. Zadbany, siwiejący mężczyzna, który większość życia spędził na patrolowaniu ulic Brooklynu i Manhattanu, odbył poważną rozmowę ze swą córką, kiedy dowiedział się, że ta chce porzucić pracę modelki i zatrudnić się w policji. Oczywiście popierał tę decyzję z całego serca, ale mówił jej uczciwie: „Amie, musisz zrozumieć - czasami to kołowrót, czasami jest ci wszystko jedno, czasami umierasz z nudów. A czasami, niezbyt często, Bogu dzięki, to czas pięści.

Wóz albo przewóz. Jesteś całkiem sama, nikt ci nie pomoże. I nie mówię tylko o bandziarach.

Czasami będziesz musiała walczyć ze swoim szefem. Czasem z ich szefami. Czasem z własnymi kolegami. Jeśli chcesz zostać gliniarzem, musisz być przygotowana na samotną walkę. Tego się nie da uniknąć".

„Dam sobie radę, tato" - odpowiedziała wtedy.

„Moja krew".

Siedząc w chybotliwej łódce, prowadzonej przez nieobliczalnego młodego człowieka, Sachs czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

Czas pięści... Wóz albo przewóz.

-Proszę tu spojrzeć - powiedział szybko Garrett, wskazując jakiegoś owada. -To mój ulubiony. Wioślak. Leci pod wodą. - Jego twarz zapłonęła niekłamany entuzjazmem. -

Naprawdę! To było coś, prawda? Lecieć pod wodą. Lubię wodę. Lubię jej dotyk. - Przestał się uśmiechać i potarł ramię. - Ten cholerny sumak... Ciągle na nie włożę. Czasami to naprawdę paskudnie swędzi.

Posuwali się powoli, musieli opływać różne wysepki, półwyspy, korzenie i szare drzewa, zanurzone do połowy w wodzie. Rzeka jednak niosła ich nieustannie na zachód, ku słońcu, które obniżało się już powoli nad horyzontem.

Pewna myśl przemknęła Amelii przez głowę, echo czegoś, co zaniepokoiło ją już wcześniej, tuż przed tym, nim wypuściła chłopca z celi; zrozumiała, że skoro Garrett ukrył łódź z zapasami jedzenia i picia i silnikiem gotowym do drogi, to przewidział jakoś, że ucieknie z więzienia. Pomyślała też, że jej obecność w tej podróży jest częścią skomplikowanego, precyzyjnego planu. Cokolwiek myślisz o Garrecie, nie ufaj mu.

Uważasz, że jest niewinny. Ale weź też pod uwagę możliwość, że jednak się mylisz. Wiesz, jak podchodzimy do miejsca zbrodni,

Sachs.

Z otwartym umysłem. Żadnych uprzedzeń i blokad. Wszystko jest możliwe.

Potem jednak przyjrzała mu się jeszcze raz. Jego błyszczące oczy chłoneły z radością nowe widoki, przeskakiwały z miejsca na miejsce. Nie wyglądał wcale jak zbiegły przestępca, lecz jak rozentuzjasmowany nastolatek, który wybrał się na wycieczkę i w podnieceniu czeka na to, co może znaleźć za następnym zakrętem rzeki.

- Ona jest naprawdę dobra - powiedział Ben, odnosząc się do sztuczki z telefonem.

O tak, pomyślał kryminalistyk. Dodając: Równie dobra jak ja. Choć musiał przyznać z goryczą - i tylko przed samym sobą - że tym razem okazała się lepsza od niego.

Rhyme był na siebie wściekły, że sam tego nie przewidział. To nie jest gra, myślał, tu nie chodzi tylko o to, kto szybciej rozwiąże zagadkę. Jej życie było w niebezpieczeństwie.

Podejrzewał, że zostało im tylko kilka godzin do czasu, kiedy Garrett uzna, że Sachs nie jest mu już do niczego potrzebna, i zabije ją. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną pomyłkę.

Do pokoju wszedł policjant z papierową torbą, w której było ubranie Garretta przyniesione z aresztu.

-Dobrze! - ucieszył się Rhyme. - Niech ktoś zrobi listę. Thom, Ben... Lista. „Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młyn". Ben, pisz, pisz.

- Ale mamy już taką listę - zauważył Ben, wskazując na tablicę.

-Nie, nie - warknął Rhyme. - Zmaz to. Te dowody są fałszywe. Garrett zostawił je tam specjalnie,

żeby nas zwieść. Tak jak wapień w bucie, który zostawił przy rzece. Jeśli znajdziemy jakieś dowody w jego ubraniu... - wskazał głową na torbę - to dowiemy się, gdzie naprawdę przetrzymuje Mary Beth. - Jeśli będziemy mieli szczęście - powiedział Bell. Nie, pomyślał Rhyme. Jeśli będziemy dobrzy. Zwrócił się Do Bena:

-Wytnij kawałek spodni, w pobliżu mankietu, i wrzuć go do GC/MS.

Bell wyszedł z laboratorium, by ustalić ze Steve'em Farrem, na jakich częstotliwościach mają się porozumiewać, by nie zaalarmować policji stanowej - Rhyme bardzo na to nalegał.

Kryminalistyk i Ben czekali tymczasem na wyniki badania chromatografem.

- Co tam jeszcze mamy? - spytał Rhyme, wskazując głową na ubranie.

- Plamy z brązowej farby na spodniach - relacjonował Ben.

- Ciemnobrązowe. Wyglądają na świeże.

-Brązowe - powtórzył Rhyme, przyglądając im się uważnie. -Jakiego koloru jest dom przybranych rodziców Garretta? -Nie wiem... - zaczął Ben.

-Nie oczekuję od ciebie aż tak dogłębnej wiedzy o Tan-ner's Corner - burknął Rhyme. - Po prostu zadzwoń do nich.

-Och... - Ben odszukał numer w książce telefonicznej i zadzwonił. Po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę. - Co za niemiły sukinsyn... Ojczym Garretta. Ich dom jest biały, a ostatnio nie malowali niczego na brązowo.

-Więc prawdopodobnie taki kolor ma budynek, w którym ją przetrzymuje.

- Czy istnieje jakaś baza danych farb, do której moglibyśmy ją porównać? - spytał zoolog.

-Dobra myśl - pochwalił go Rhyme. - Ale odpowiedź brzmi: Nie. Mam coś takiego w Nowym Jorku, ale to nam w niczym nie pomoże. A baza danych FBI dotyczy tylko lakierów samochodowych. Ale szukajmy dalej. Co jest w kieszeniach? Włóż... Ale Ben już wkładał

lateksowe rękawiczki.

To właśnie chciał pan powiedzieć?

Tak - mruknął Rhyme.

-Nienawidzi, kiedy ktoś uprzedza jego myśli - powiedział

Thom.

-Więc spróbuję robić to częściej - ucieszył się Ben. - A, tu coś jest.

Rhyme spojrzał na jakieś drobne przedmioty, które zoolog wyciągnął z kieszeni Garretta.

Co to takiego?

Ben powąchał.

Chleb i ser.

-Znowu jedzenie. Jak krakersy i...

Ben się roześmiał.

Rhyme zmarszczył brwi.

- Co w tym zabawnego?

-To jest jedzenie, owszem, ale nie dla Garretta.

O czym ty mówisz?

Nigdy pan nie wędkował? - spytał Ben.

-Nie, nigdy - odburknął Rhyme. - Kiedy chcę rybę, kupuję ją, przyrządzam i jem. Co wędkowanie ma wspólnego z tymi serowymi kanapkami?

-To nie są kawałki kanapek - wyjaśnił Ben. -To przynęta na ryby. Miesza się chleb z serem i

czeka, aż skwaśnieje. Uwielbiają to ryby żerujące przy dnie. Jak zębacze. Im bardziej śmierdzi, tym lepiej.

Rhyme uniósł brwi.

- Hm, to ciekawe. Co jeszcze?

-Brud w mankiecie. - Ben wysypał małą ilość pyłu na druczek prenumeraty z magazynu

„People” i obejrzał go pod mikroskopem. - Nic szczególnego - oznajmił. - Prócz małych białych okruchów.

- Pokaż.

Zoolog podniósł wielki mikroskop firmy Bausch & Lomb do oczu Rhyme'a.

Aha, dobra. To włókna papieru.

Tak? - zdziwił się Ben.

-Przecież to oczywiste. Cóż by to mogło być innego? Choć nie mam pojęcia, co jest ich źródłem.

Ten pył jest bardzo interesujący. Możesz wygrzebać jeszcze trochę? Z mankietów?

- Spróbuję.

Ben przeciął nić podtrzymującą mankiet i odwinął go. Wysypał drobiny brudu na kartkę. -

Próbka - zażądał Rhyme. Zoolog ułożył kartonik pod mikroskopem i znów podniósł go do oczu

Rhyme'a.

-Dużo tu gliny, naprawdę bardzo dużo. Skaleniowiec, prawdopodobnie granit. A to?... Och, torfowiec.

Ben był pod wrażeniem.

- Skąd pan to wszystko wie?

-Po prostu wiem. - Rhyme nie miał teraz czasu, by tłumaczyć mu, że kryminalistyk musi wiedzieć równie dużo o świecie fizycznym, co i o zbrodni. - Co jeszcze było w mankietach? -

spytał. - A to co? -Wskazał głową na formularz prenumeraty. -To biało-zielone?

-Chyba fragment jakiejś rośliny - odparł Ben. - Ale nie wiem jakiej. Studiowałem co prawda botanikę morską, ale nie był to mój ulubiony przedmiot. Wolę raczej te formy życia, które mogą uciec, kiedy człowiek próbuje je badać. To bardziej ekscytujące.

- Opisz to - polecił Rhyme.

Ben pochylił się nad tajemniczą substancją ze szkłem powiększającym w ręce.

-Czerwonawa łodyga, kropla płynu na końcu. Wygląda na lepłą. Do tego dołączony jest biały, dzwonowaty kwiatek... Gdybym musiał zgadywać...

-Musisz - warknął Rhyme.

- I to szybko.

Jestem prawie pewien, że to pochodzi z rosiczki.

A cóż to znowu, do diabła? Brzmi jak nazwa mydła.

-To coś w rodzaju muchołapki. Muchołapki zjadają owady. Są fascynujące. Kiedy byłem dzieckiem, obserwowałem je całymi godzinami. To, jak je zjadają, jest...

- ...fascynujące - powtórzył Rhyme sarkastycznie. - Nie obchodzą mnie ich nawyki żywieniowe. Gdzie je można znaleźć? To będzie dla mnie fascynujące. - Och, praktycznie wszędzie. Rhyme skrzywił się paskudnie.

-Bezużyteczne. Cholera. Dobra, włóż próbkę tego brudu do GC/MS, kiedy skończysz już z próbką spodni. - Spojrzał na koszulkę Garretta, rozłożoną na stole. - Po czym są te plamy?

Na koszulce widniało kilka czerwonawych plam. Ben spojrzał na nie i wzruszył ramionami.

Kryminalistyk wykrzywił usta w cierpkim uśmiešku.

-Nie odważyłbyś się tego polizać, co?

Ben bez wahania podniósł koszulkę i przejechał językiem po plamie.

-Dobry chłopak - uśmiechnął się Rhyme.

Ben uniósł brwi.

Zakładam, że to standardowa procedura

Za nic w świecie bym tego nie zrobił - odparł Rhyme.

-Nie wierzę. - Ben jeszcze raz polizał plamę. - Sok owocowy, ale nie potrafię określić smaku.

-Dobra, dodaj to do listy, Thom. - Rhyme wskazał głową na chromatograf. - Sprawdźmy wyniki ze spodni, a potem wrzucimy tam ten pył z mankietów.

Wkrótce wiedzieli już, jakie substancje śladowe zawierają)bie próbki: cukier, kamfen, alkohol, drożdże i nafta. Duże ilości nafty. Ben dopisał to wszystko do listy.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młyn

Brązowa farba na spodniach

Rosiczka

Glina

Torfowiec

Sok owocowy

Włókna papieru

Przynęta na ryby

Cukier M

Kamfen

Alkohol

Nafta

Drożdże

Co to wszystko znaczy? - zastanawiał się. Mieli zbyt wiele danych. Nie potrafił znaleźć między nimi żadnego związku. Czy cukier pochodził z soku owocowego, czy też z jakiegoś miejsca, w którym był chłopiec? Czy Garrett kupował naftę, czy też ukrywał się kiedyś przypadkiem w szopie, w której ktoś przechowywał ten płyn? Alkohol był składnikiem ponad trzech tysięcy powszechnie używanych produktów - od rozpuszczalników po płyny do płukania ust. Drożdże bez wątplenia pochodziły z młyna, gdzie mielono ziarno na mąkę.

Po kilku minutach Lincoln Rhyme przeniósł spojrzenie na inną listę.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - pokój Garretta Piżmo skunksa Ucięte igły sosnowe Rysunki owadów Zdjęcia Mary Beth i rodziny Książki o owadach Żyłka wędkarska Pieniądze

Klucz niewiadomego przeznaczenia

Nafta Amoniak Azotany Kamfen

Przypomniał sobie coś, co powiedziała mu Sachs, przeszukując pokój chłopca.

-Ben, mógłbyś otworzyć notes Garretta? Chciałbym go jeszcze raz przejrzeć.

-Mam go włożyć do ramki? -Nie, przerzuc tylko kilka stron - polecił Rhyme. Kryminalistyk patrzył w milczeniu na nieudolne rysunki owadów, wioślak, nartnik, jętka.

Pamiętał, że zgodnie z relacją Sachs, wszystkie terraria z kolekcji Garretta - prócz tego z osami, jego sejfu - zawierały wodę.

- Na tych rysunkach są tylko owady wodne - mruknął.

Ben skinął głową. -Na to wygląda.

-Pociąga go woda - zastanawiał się głośno Rhyme. Spojrzał na Bena. - A ta przynęta?

Powiedziałeś, że to dla ryb żerujących przy dnie.

- Te kulki? Tak.

-Woda słona czy słodka?

-Słodka, oczywiście.

- A nafta to paliwo do łódek, prawda?

-Do tych mniejszych, owszem.

Jak ci się podoba taka myśl? - mówił Rhyme. - Garrett płynie na zachód rzeką Paquenoke?

Całkiem rozsądne - pokiwał głową Ben. - Założę się też, że na jego spodniach jest tyle nafty, bo często pływał pomiędzy Tanner's Corner i miejscem, w którym przetrzymuje Mary Beth.

Przygotowywał je dla niej.

- Dobrze rozumowanie. Zawołaj Jima Bella, dobrze?

Po kilku minutach Bell wrócił do laboratorium, a Rhyme przedstawił mu swoją teorię.

- Wodne owady podsunęły ci tę myśl, tak?

Kryminalistyk skinął głową.

- Jeśli zrozumiemy owady, zrozumiemy Garretta Hanlona Jak ty to ująłeś, Ben? Że zwierzęta są konsekwentniejsze i bardziej przewidywalne niż ludzie?

- Coś w tym rodzaju.

/ znacznie inteligentniejsze...

-Nie jest to bardziej szalone od rzeczy, które już dzisiaj słyszałem - orzekł Bell.

-Macie łódź policyjną? - spytał Rhyme.

-Nie, ale większość moich ludzi ma swoje prywatne łodzie, moglibyśmy wykorzystać którąś z nich. Tyle że to nam nic nie da.

- Dlaczego?

-Nie znasz Paquo. Na mapie wygląda jak każda inna rzeka, ale w rzeczywistości są tam tysiące zatoczek i mniejszych i większych dopływów z bagien. Jeśli Garrett rzeczywiście nią płynie, to nie trzyma się głównego nurtu, jestem tego pewien. A to znaczy, że nie będziemy w stanie go znaleźć.

Rhyme milczał przez moment, śledząc wzrokiem bieg rzeki na mapie.

- Skoro przewoził łódką zapasy do miejsca, w którym więzi Mary Beth, to znaczy, że leży ono blisko rzeki. Jak daleko na zachód musiałby popłynąć, by dotrzeć do terenów nadających się do zamieszkania?

- Widzisz to? - Bell dotknął kwadratu G-7. - To północny brzeg Paquo, tutaj nikt nie postawiłby domu. Ale na południe od rzeki żyje sporo ludzi. Na pewno ktoś by go tutaj zauważył.

-Więc co najmniej dziesięć mil na zachód?

Zgadza się - przytaknął Bell.

Ten most. - Rhyme wskazał głową na mapę. Patrzył na kwadrat E-9.

-MostHobeth?

-Jak wyglądają dojazdy? Autostrada?

- Nie, zwykłe drogi lokalne. Most ma około czterdziestu stóp wysokości, więc podjazdy są dość długie. Och, czekaj... Myślisz, że Garrett będzie musiał wrócić do głównego nurtu, żeby przepłynąć pod mostem.

-Zgadza się. Bo inżynierowie musieli zasypać wszystkie mniejsze dopływy po obu stronach, kiedy budowali podjazdy. Bell kiwał głową.

- Tak, to brzmi rozsądnie.

Niech Lucy i inni zaraz tam jadą. Na most. Aha, Ben, zadzwoń do Henry'ego Davetta.

Przepróż za kłopot i powiedz mu, że znów potrzebujemy jego pomocy.

Och Sachs, bądź ostrożna, modlił się bez ustanku. To tylko twestia czasu, kiedy wymyśli jakąś wymówkę i poprosi cię, że-bvś zdjęła mu kajdanki. Potem zaprowadzi cię do jakiegoś odosobnionego miejsca. Odbierze ci broń... Nie pozwól, by uspił twoją czujność. Sachs On ma cierpliwość modliszki.

Jeśli zrozumiemy owady, zrozumiemy Garretta Hanlona...

Garrett poruszał się po Paquenoke jak doświadczony pilot rzeczny, kierował łódź w miejsca wydające się ślepyimi zaułkami, zawsze jednak znajdował jakiś wąski strumień czy kanał prowadzący ich dalej na zachód.

Pokazał Sachs wydrę, piźmoszczura i bobra - zwierzęta, które ekscytowałyby zapewne przyrodnika amatora, na niej jednak nie robiły żadnego wrażenia. Świat przyrody Amelii ograniczał się do szczurów, gołębi i wiewiórek zamieszkujących miejskie zaułki i parki - a stworzenia te interesowały ją tylko o tyle, o ile mogły być pomocne w jej pracy.

-Popatrz tam! - krzyknął nagle chłopak.

- Co?

Wskazywał coś, czego nie widziała. Garrett patrzył na jakiś punkt obok brzegu, pochłonięty niezrozumiałym dla niej dramatem, który rozgrywał się na powierzchni rzeki. Sachs widziała tylko jakiegoś owada, sunącego po tafli wody.

-Nartnik - powiedział Garrett i opadł na miejsce, kiedy już przepłynęli dalej. Spoważniał nagle. - Owady mają dla nas wielkie znaczenie. To znaczy, mówię o całej planecie. Czytałem kiedyś, że gdyby nagle zniknęli wszyscy ludzie, światu wcale by to nie zaszkodziło. Ale gdyby zniknęły wszystkie owady, życie skończyłoby się bardzo szybko, w ciągu... jednego pokolenia. Wyginęłyby wszelkie rośliny, a potem zwierzęta i Ziemia znów stała- by się jedną wielką skałą. - Sachs pomyślała, że Garrett przemawia z pewnością siebie profesora i zaangażowaniem ekologa. - Tak, niektóre owady mogą nam szkodzić. Jest ich jednak bardzo mało, jeden, może dwa procent. - Ożywił się wyraźnie i oświadczył z dumą: - Ale jeśli chodzi o te, które żywią się zbożem, to mam pewien pomysł. Naprawdę niezły. Chcę wyhodować taką odmianę złotooka, która żywiłaby się tymi złymi owadami, niszczyła je - w zastępstwie środków chemicznych. Złotooki byłyby najlepsze. Nikt dotąd tego nie zrobił.

- Myślisz, że ty byś potrafił, Garrett?

-Nie wiem jeszcze dokładnie jak. Ale się dowiem.

Pomyślała o czymś, co przeczytała w jego książce. Termin E.O. Wilsona, biofilia - sympatia, jaką ludzie żywią dla innych stworzeń żyjących na Ziemi.

Kiedy słuchała jego opowieści o owadach, opowieści, z których przebijało umiłowanie nauki i wiedzy, myślała przede wszystkim o tym, że ktoś, kogo tak fascynują różne przejawy życia, kto kocha je na swój osobliwy sposób, nie może być mordercą i gwałcicielem.

Amelia Sachs uchwyciła się kurczowo tej myśli, i to ona właśnie podtrzymywała ją na duchu, kiedy płynęli w dół Paquenoce, uciekając przed Lucy Kerr, przed tajemniczym mężczyzną w ogrodniczkach i małym miasteczkiem Tanner's Corner.

I przed Lincolnem Rhyme'em. Przed jego operacją i strasznymi konsekwencjami, jakie ta może mieć dla nich obojga.

Łódka przeciskała się przez wąskie dopływy rzeki, w których odbijał się teraz złoty blask popołudniowego słońca. Wreszcie zostawili za sobą boczne drogi i wypłynęli na główny nurt rzeki. Sachs obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy nie ścigają ich policyjne motorówki.

Zobaczyła jednak tylko jedną z wielkich barek z napisem „Davett Industry”, zmierzającą w górę rzeki, z dala od nich. Tymczasem Garrett skierował łódkę do brzegu i zatrzymał ją w niewielkiej zatoczce, pod rozłożystymi gałęziami wierzby. Przez chwilę patrzył w milczeniu na zachód, w stronę mostu biegnącego ponad nurtem Paquenoce.

-Musimy tamtędy przepłynąć - powiedział wreszcie. - Nie ma innej drogi. Widzi pani kogoś?

Sachs spojrzała na most. Dostrzegła tylko jakieś błyski.

-Może. Trudno powiedzieć.To światło jest za ostre.

• - Ktoś może tam na nas czekać - mruknął. - Nie lubię mostów. Ludzie zawsze cię tam szukają.

Zawsze? Jeszcze jeden z jego paranoidalnych komentarzy.

Garrett wyłączył silnik i wyskoczył na brzeg. Potem odkręcił śrubę mocującą silnik do burty, zdjął go i ukrył w trawie, razem ze zbiornikiem na paliwo.

- Co ty robisz? - spytała Sachs.

-Nie możemy ryzykować.

Garrett wyjął z łódki lodówkę i butelki z wodą, potem przywiązał wiosła do burt dwoma kawałkami brudnego sznura. Wylał wodę z kilku butelek, znów je zakręcił i odłożył na bok.

Mówił cicho, raczej do siebie niż do niej:

Szkoda tej wody. Mary Beth nie ma co pić. Będzie jej potrzebowała. Ale mogę nabrać trochę ze

stawu przy chacie.

- Wszedł do rzeki i chwycił za burtę łodzi. - Proszę mi pomóc - powiedział. - Musimy ją przewrócić.

Chcesz zatopić łódkę?

-Nie, tylko odwrócić. Pod spodem ułożymy puste butelki, będzie się dobrze trzymać na wodzie.

- Do góry nogami?

-Jasne.

Sachs zrozumiała plan Garretta. Chciał, by ukryli się pod łódką i przepłynęli w ten sposób pod mostem. Ciemny kadłub będzie prawie niewidoczny z wysokiego mostu. Kiedy już pokonają tę przeszkodę, znów odwrócą łódź i wiosłując, popłyną dalej.

Garrett otworzył lodówkę i odszukał plastikową torbę.

- Możemy schować tu rzeczy, których nie chcemy zamoczyć. -

Sam wrzucił do torby „Miniaturowy świat”. Sachs schowała swój portfel i broń. Wcisnęła koszulkę w spodnie, a torbę wsuwała za dekollet.

-Może mi pani zdjąć kajdanki? - spytał Garrett i wyciągnął ręce w jej stronę.

Zawahała się.

-Nie chcę się utopić - powiedział. - Nie zrobię nic złego. Obiecuję.

Sachs z ociąganiem sięgnęła po kluczyk i otworzyła kajdanki.

Indianie Waepemeoc, pierwotni mieszkańcy obszaru zwanego obecnie Karoliną Północną, przynależeli językowo do Algon-kinów i byli spokrewnieni ze szczepami Powhatanów, Czowanów i pamlików, mieszkańcami środkowoatlantyckiej części Stanów Zjednoczonych.

Zajmowali się głównie uprawą roli, mieli też opinię doskonałych rybaków. Byli ludem wybitnie pokojowym i praktycznie nie interesowali się bronią. Trzysta lat temu brytyjski naukowiec, Thomas Harriot, pisał: „Jedyną bronią, jaką posiadają, są łuki zrobione z oczaru i strzały z trzciny; nie mają też nic do obrony prócz tarcz z kory i zbroi wykonanych z kawałków skóry, pozszywanych grubą nicią”.

Dopiero brytyjscy koloniści uczynili z tych ludzi wojowników, a zrobili to niezwykle skutecznie, działając jednocześnie na kilku frontach; zagrozili, że jeśli Indianie nie nawrócą się na chrześcijaństwo, spadnie na nich straszliwa kara boża; zdziętkowali ich za pomocą grypy i ospy, które przywieźli ze sobą z Europy; zażądali schronienia i zapasów żywności, których nie chciało im się samym gromadzić, wreszcie zabili jednego z ulubionych wodzów plemienia, Wingina, który w ich opinii - błędnej - przygotowywał zdradziecką napaść na osadę kolonistów.

Ku oburzeniu i zdumieniu Brytyjczyków, Indianie, zamiast przyjąć do serc Jezusa Chrystusa, pozostali wierni swoim własnym bóstwom - duchom zwanym Manitu - potem zaś wdali się w otwartą wojnę z kolonistami, której początkiem (według hipotezy Mary Beth McConnell) był atak na Zaginioną Kolonię na Roanoke Island.

Po ucieczce osadników Indianie - spodziewając się powrotu nieprzyjaciół - wprowadzili zasadnicze zmiany w swym uzbrojeniu i zaczęli stosować do jego produkcji miedź, dotąd używaną jedynie w ozdobach. Metalowe groty były znacznie ostrzejsze niż krzemienne, a przy tym znacznie łatwiejsze w obróbce. Jednak -wbrew temu, co pokazują filmy - strzała wypuszczona z łuku bez naciągu nie wbija się głęboko w ciało i rzadko kiedy może zadać śmiertelną ranę. Wojownicy Waepemeoc zaczęli więc używać do dobijania rannych przeciwników specjalnej maczugi, broni niezwykle skutecznej, a jednocześnie bardzo nieskomplikowanej.

Maczuga taka to nic więcej jak wielki, okrągły kamień, osadzony w rozszczepionym końcu kija i przymocowany doń za pomocą silnego rzemienia. Broń, którą Mary Beth sporządziła właśnie na podstawie swej znajomości indiańskich zwyczajów, była równie groźna jak te, które - jej zdaniem - rozbiły czaszki i kręgosłupy osadników walczących w Blackwater Landing.

Mary Beth sporządziła swoją pałkę z dwóch zakrzywionych prętów, które wyrwała ze starego krzesła w salonie, i z kamienia, którym rzucił w nią Tom, przyjaciel Misjonarza. Całość obwiązała pa-skami tkaniny oderwanymi od skraju własnej koszuli. Broń była ciężka - ważyła sześć lub siedem funtów - lecz nie nazbyt ciężka dla Mary Beth, która regularnie podnosiła trzydziesto- czy czterdziestofuntowe kamienie podczas wykopalisk archeologicznych.

Wstała z łóżka i kilkakrotnie machnęła maczugą, zadowolona z poczucia siły, jakie daje jej ta broń. Odwróciła się, usłyszawszy jakieś szelesty za plecami - owady w słojach. Ten odgłos przypomniawszy jej o obrzydliwym nawyku Garretta - pstrykaniu paznokciami. Zadrżała ze złości i podniosła maczugę, by rozbić najbliższy ze słoików.

Potem powstrzymała się jednak. Nie cierpiała owadów, to prawda, lecz jej gniew i strach nie były skierowane przeciwko nim. Tak naprawdę była wściekła na Garretta. Zostawiła więc słoje w spokoju, podeszła do drzwi i kilkakrotnie uderzyła w nie maczugą obok zamka. Drzwi oczywiście nie poddały się, ale wcale tego nie oczekiwała. Ważne było tylko to, że umocowała kamień dość mocno.

Oczywiście, jeśli Misjonarz i Tom będą mieli broń, maczuga nie na wiele się zda. Mary Beth postanowiła jednak, że kiedy wejdą do środka, ukryje ją za plecami i rozbije czaszkę temu, który dotknie jej pierwszy. Być może potem drugi ją zabije, ale przynajmniej ona zabierze jednego ze swych oprawców ze sobą (wyobrażała sobie, że tak właśnie umarła Virginia Dare).

Mary Beth usiadła na sofie i spojrzała za okno, na słońce zawieszony tuż nad linią drzew, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Misjonarza

Jakie uczucie dominowało teraz jej myśli? Strach, zapewne.

Później jednak doszła do wniosku, że wcale nie był to strach, lecz zniecierpliwienie. Chciała, by jej wrogowie już wrócili.

Mary Beth położyła maczugę na kolanach.

Przygotuj się...

Była gotowa.

- Jest łódź.

Lucy wysunęła się z cienia wawrzynu rosnącego nad brzegiem Paquenoque, tuż obok mostu Hobeth.

Gdzie? - spytał Jesse Corn.

Tam. - Wskazał w górę rzeki.

Widziała tylko ciemną plamę, sunącą powoli z prądem, jakieś pół mili od mostu.

Gdzie ty widzisz łódź? - zdziwiła się. - Przecież...

-Tak, popatrz uważnie, jest przewrócona.

Rzeczywiście - mruknęła Lucy. - Masz dobry wzrok.

To oni? - spytał Trey.

Co się stało? Mieli jakiś wypadek?

-Nie, płyną pod spodem - odparł Jesse Corn. Lucy spojrzała nań z ukosa.

Skąd wiesz?

Nie wiem, domyślam się tylko.

-Mieliby tam dość powietrza? - powątpiewał Trey.

Jasne. Dno jest wysoko nad wodą. Robiliśmy to samo z kajakami w Bambert Lake. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Bawiliśmy się w okręt podwodny.

Co zrobimy? Potrzebujemy jakiejś łodzi, żeby się do nich dostać. - Lucy rozejrzała się dokoła.

Ned zdjął pas z bronią i podał go Jesse'owi.

- Popłynę tam i zepchnę ich do brzegu.

-Dasz radę?

Ned już ścigał buty.

-Pływałem w tej rzece tysiące razy.

- Będziemy cię osłaniać - zapewniła go Lucy.

- Oni są pod wodą - powiedział Jesse. - Nie mogą chyba donikogo strzelać.

-Wystarczy trochę tłuszczu na pociskach, a przetrwają w wodzie nawet kilka tygodni - zauważył Trey.

-Amelia nie będzie strzelać - obstawał przy swoim Jesse Corn, obrońca Judasza.

-A my nie będziemy ryzykować - odparła Lucy, potem zaś zwróciła się do Neda: - Nie przewracaj łódki, zepchnij tylko do brzegu. Trey, ty stajesz tam, pod wierzbą. Ja z Jesse'em zostanę tutaj. W razie czego będziemy ich mieli w ogniu krzyżowym.

Ned, odziany jedynie w spodnie, zszedł ostrożnie po kamienistym brzegu i stanął w błocie, tuż nad krawędzią wody. Rozejrzał się ostrożnie - wypatrując węży, jak sądziła Lucy - a potem szybko wszedł do rzeki.

Lucy myślała o tym, jak Amelia Sachs czuje się pod łódką. Miała nadzieję, że bardzo źle.

Znów ogarnęła ją niepohamowana wściekłość.

Ned zbliżał się do łodzi. Płynął żabką, bardzo cicho, trzymając głowę nad powierzchnią wody. Lucy wyciągnęła broń z kabury. Odbezpieczyła ją. Spojrzała na Jesse'a Corna, który przyglądał się z niepokojem jej poczynaniom. Trey stał pod drzewem, ze strzelbą skierowaną ku górze. Zauważył, że Lucy odbezpieczyła pistolet, sam więc także wprowadził serię pocisków do swego remingtona.

Łódź była już tylko o jakieś trzydzieści stóp od nich, płynęła środkiem rzeki.

Ned szybko pokonywał dystans dzielący go od łódki, był już prawie...

Nad rzeką przetoczył się huk wystrzału. Lucy podskoczyła w miejscu, kiedy o kilka stóp od Neda pojawił się nagle pióropusz wody.

Och, nie! - krzyknęła, podnosząc broń i wypatrując strzelca.

Gdzie, gdzie? - wołał Trey, kucając.

Ned zanurkował pod powierzchnię.

Kolejny strzał. Znów bryzgi wody rozbijanej przez pocisk. Trey pochylił strzelbę i zaczął strzelać do łodzi. Paniczny ogień. Trey opróżnił magazynek w ciągu kilku sekund. Wszystkie pociski trafiły w łódkę, rozsiewając dokoła kawałki drewna.

-Nie! - krzyknął Jesse. - Tam są ludzie!

-Skąd oni strzelają? - wołała Lucy. - Ze środka? Z drugiej strony? Nie wiem. Gdzie oni są?

- Gdzie jest Ned? - krzyczał Trey. - Trafili go? Gdzie jest Ned?

-Nie wiem! - odkrzyknęła Lucy, ogarnięta paniką. - Nie widzę go.

Trey przeładował broń i ponownie wymierzył w łódź.

-Nie! - rozkazała Lucy. - Nie strzelaj. Osłaniaj mnie!

Zbiegła ze stromego brzegu i weszła do wody. Nagle gdzieś z boku doszło ją gwałtowne kasłanie.

Na powierzchni pojawiła się głowa Neda.

-Pomóżcie mi! - Był przerażony, oglądał się za siebie.

Jesse i Trey wymierzyli broń w przeciwny brzeg i powoli zeszli nad rzekę. Jesse wciąż wpatrywał się w zniszczoną łódź; straszliwe, poszarpane otwory w kadłubie.

Lucy szybko schowała pistolet, pochwyciła rękę Neda i wyciągnęła go na brzeg. Policjant pozostawał pod wodą najdłużej, jak tylko mógł, teraz był blady i słaby z braku tlenu.

-Kto, do cholery?... - próbował wydyszeć.

-Nie wiem - odparła, wciągając go w krzaki.

przewrócił się na bok, kasłał i pluł wodą. Lucy obejrzała go uważnie. Nie został trafiony. , Wkrótce dołączyli do nich Trey i Jesse. Obaj nadal trzymali broń gotową do strzału, przeczesywali wzrokiem drugi brzeg, wypatrując napastników.

Ned wciąż kasłał.

-Cholerna woda. Smakuje jak gówno.

Łódka powoli zmierzała w ich stronę, teraz już do połowy zatopiona.

- Oni nie żyją - wyszeptał Jesse, wpatrując się w poszarpany kadłub. - Na pewno.

Łódź podpłynęła jeszcze bliżej. Jesse zdjął pas i ruszył w jej stronę.

-Nie - powstrzymała go Lucy, patrząc na drugi brzeg. - Poczekamy, aż sama przypłyynie.

Przewrócona łódź uderzyła lekko o pień cedru zanurzony do połowy w wodzie i zatrzymała się.

Policjanci odczekali jeszcze chwilę. Nie zauważyli żadnego ruchu prócz delikatnego kołysania łodzi. Woda była czerwona, Lucy nie wiedziała jednak, czy tę barwę nadaje jej krew, czy też blask zachodzącego słońca.

Blady, przerażony Jesse Corn spojrzał na Lucy. Ta skinęła głową. Trójka policjantów uniosła broń gotową do strzału, podczas gdy Jesse podszedł do łodzi i przewrócił ją dnem do dołu.

Spod spodu wypłynęły tylko podziurawione plastikowe butelki po wodzie mineralnej.

Co się stało? - spytał Jesse. - Nie rozumiem tego.

Cholera - mruknął Ned. - Nabrali nas. To była pieprzona pułapka.

Lucy nie przypuszczała, że jej gniew może jeszcze przybrać na sile, ale tak właśnie się stało; zadrzała z wściekłości, jakby poraził ją prąd elektryczny. Ned miał rację; Amelia wykorzystała łódź jako wabik, sama zaś siedziała ukryta po drugiej stronie rzeki.

-Nie - zaprotestował Jesse. - Nie zrobiłaby tego. Strzelała tylko po to, żeby nas nastraszyć.

Wie, jak obchodzić się z bronią. Zraniłaby Neda, gdyby tego chciała.

-Do jasnej cholery, Jesse, przejrzyj wreszcie na oczy! - warknęła Lucy. - Nawet najlepszy snajper może chybić, strzelając

z ukrycia. I do tego na wodzie. Przecież kula mogła się odbić, a Ned mógł spanikować i wpłynąć prosto na linię ognia.

Jesse Corn nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Potarł twarz dłońmi i zapatrzył się w przeciwny brzeg.

-Dobra, zrobimy tak - zaczęła Lucy opanowanym, ściszym głosem. - Robi się późno.

Postaramy się zajść jak najdalej przed nocą. Potem poprosimy Jima, żeby przysłał nam coś do jedzenia i okrycia. Będziemy spać na zewnątrz. Zakładamy, że Amelia i Gar-rett chcą nas zaatakować, i działamy zgodnie z tym założeniem. Teraz chodźmy na drugi brzeg, poszukamy śladów. Wszyscy gotowi?

-Tak.

-Jasne.

- No to idziemy.

Czwórka policjantów wkroczyła na odsłonięty most o długości pięćdziesięciu jardów. Nie szli jednak w zwartej grupie, lecz w długiej rozciągniętej linii. Gdyby Amelia Sachs znów chciała ich zaatakować, nie byłaby w stanie trafić wszystkich naraz; co najmniej dwójka znalazłaby jakieś schronienie i odpowiedziała ogniem. Był to pomysł Treya, który podpatrzył go na jakimś filmie o drugiej wojnie światowej. Ponieważ to on zaproponował ów szyk, chciał zająć miejsce na szpicy. Lucy Kerr uparła się jednak, że ona pójdzie pierwsza.

Cholera, omal go nie trafiłeś.

Skąd - zachnął się Harris Tomel.

Culbeau wiedział jednak swoje.

-Powiedziałem: Nastraszyć ich. Wiesz, w jakie gówno byśmy się wpakowali, gdybyś trafił Neda?

-Nie trafiłbym go. Wiem, co robię, Rich. Zaufaj mi, dobrze?

Cholerny lalusz, pomyślał Culbeau.

Culbeau, Tomel i O'Sarian szli ścieżką prowadzącą wzdłuż północnego brzegu Paquo.

Choć Culbeau naprawdę był wściekły na Tomela, wiedział, że jego strzały wywarły odpowiedni skutek; wystraszyły porządnie Lucy i jej towarzyszy, a tym samym spowolniły tempo pościgu.

Strzelanina przyniosła także jeszcze jedną nieoczekiwaną korzyść: przerażony Sean O'Sarian choć raz milczał przez dłuższy czas.

Maszerowali w ciszy przez jakieś dwadzieścia minut, wreszcie Tomel spytał: Jesteś pewien, że chłopak idzie w tę stronę?

-Tak.

Ale nie masz pojęcia dokąd.

-Jasne, że nie - odparł Culbeau. - Gdybym wiedział, pojechalibyśmy tam od razu.

Hej, lalusi, rusz trochę głową.

-Ale...

-Nie martw się. Znajdziemy go.

-Mogę dostać trochę wody? - odezwał się w końcu O'Sarian.

- Wody? Chcesz wodę?

- Tak, tego właśnie chcę - odparł pokornie O'Sarian.

Culbeau zerknął nań podejrzliwie i podał mu butelkę. Nigdy nie widział, by ten chudzielec pił cokolwiek poza piwem, whisky i bimbrem. O'Sarian opróżnił tymczasem całą butelkę, po czym cisnął ją w krzaki.

Culbeau westchnął ciężko.

-Hej, Sean, naprawdę chcesz tu zostawiać swoje odciski palców? - spytał sarkastycznie.

- Och... - O'Sarian wszedł w krzaki i zabrał stamtąd butelkę.

- Przepraszam.

Przepraszam? Sean O'Sarian przepraszał? Culbeau przez chwilę wpatrywał się weń z niedowierzaniem, wreszcie skinął głową, nakazując podjąć marsz.

Doszli do niewielkiego wzniesienia przy zakolu rzeki, skąd rozciągał się widok na obszar położony w dole Paquenoke.

-Hej, patrzcie tam - powiedział Tomel. - Jakiś dom. Mogę się założyć o każde pieniądze, że

poszli właśnie tam.

Culbeau przyjrzał się wskazanemu miejscu przez lunetę osadzoną na swojej strzelbie. Jakieś dwie mile dalej, tuż nad rzeką, stał dom letniskowy o spadzistym, stromym dachu.

Rzeczywiście, byłaby to doskonała kryjówka dla dwójki uciekinierów. Culbeau skinął głową.

- Też tak myślę. Idziemy.

Niecałą milę za mostem Hobeth rzeka Paquenoque zakręca ostro na północ.

W pobliżu brzegu woda jest płytka, błotnistą mielizną zalegają gnijące rośliny i śmieci.

Podobnie jak łódki i pnie drzew niesione prądem, dwie ludzkie istoty minęły zakręt i zatrzymały się na tym wysypisku.

Amelia Sachs wypuściła z objęć pustą butelkę po wodzie i pochwyciła jakąś zakrzywioną, mokrą gałąź. Dopiero teraz zrozumiała, że nie było to zbyt rozsądne posunięcie, jej kieszenie wypchane były kamieniami, które ciągnęły ją teraz w dół. Kiedy jednak wyprostowała nogi, okazało się, że dno leży zaledwie o cztery stopy niżej. Stanąwszy na obu stopach, ruszyła powoli

w stronę brzegu. Po chwili pojawił się obok niej Garrett, który pomógł jej się wydostać na błotnisty grunt.

Wspięli się na strome zbocze, przeszli przez zaporę gęstych krzewów i opadli na trawę. Leżeli tam przez dłuższą chwilę, oddychając ciężko. Sachs wyciągnęła zza koszulki plastikową torbę. Do wnętrza przedostała się odrobina wody, na szczęście jednak nie poczyniła większych szkód. Sachs oddała Garrettowi książkę o owadach, sama zaś otworzyła magazynek pistoletu

1 ułożyła go na kępie trawy, by całkiem wysechł.

Okazało się, że plan Garrettta był bardziej skomplikowany, niż przypuszczała. Rzeczywiście, włożyli puste butelki pod przewróconą łódź i zepchnęli ją na wodę, sami jednak pozostali na brzegu. Wtedy Garrett kazał jej napełnić kieszenie kamieniami. Sam też to zrobił, po czym ruszyli brzegiem rzeki, a kiedy wyprzedzili łódź o jakieś pięćdziesiąt stóp, wśliznęli się do wody. Każde z nich trzymało w rękach opróżnioną do połowy butelkę z wodą. Garrett pokazał

jej, jak odchyłać głowę do tyłu. Dzięki kamieniom obciążającym kieszenie mogli utrzymać nad powierzchnią tylko twarze. Płynęli w ten sposób z nurtem rzeki, kilkanaście jardów przed łodzią.

-To samo robi pająk wodny - powiedział jej Garrett. - Jak płetwonurek. Nosi ze sobą własne powietrze. - Powiedział też, że robił to już kilka razy, by „uciec”, choć nie chciał wyjaśnić, przed kim ani dlaczego. Zgodnie z planem Garrettta, po minięciu mostu mieli zaczekać na łódź - oczywiście, jeśli nie zatrzymałaby jej policja - przewrócić ją ponownie na dno i ruszyć w dalszą drogę. Gdyby policjanci czekali na nich na moście, ich uwaga skupiona byłaby przede wszystkim na łódce, nie zauważyliby więc Garrettta i Amelii, płynących znacznie wcześniej.

Rzeczywiście, miał rację co do pierwszej części planu; przepłynęli pod mostem niezauważeni.

Sachs nadal jednak była zaszokowana tym, co stało się później; policjanci bez ostrzeżenia ostrzelali łódź i wodę wokół niej.

Garrett także był tym wstrząśnięty.

-Myśleli, że my tam jesteśmy - szeptał. - Gnoje, próbowali nas zabić.

Sachs milczała.

Zrobiłem kilka złych rzeczy - kontynuował Garrett. - Ale nie jestem jak chwytnica...

Co to takiego?

-Owad, który zastawia zasadzki. Czeka w ukryciu, a potem zabija. To samo chcieli zrobić z nami. Tak po prostu, zastrzelić nas. Nie mielibyśmy żadnych szans.

Och, Lincoln, pomyślała, co się tu dzieje? Dlaczego ja to zrobiłam? Powinna się teraz poddać. Poczekać na policję, wrócić do Tanner's Corner i spróbować wszystko naprawić.

Potem jednak spojrzała na Garretta, który leżał zwinięty w kłębek i trząsł się ze strachu.

Wiedziała, że teraz nie może już zawrócić. Musi iść dalej, doprowadzić tę szaloną grę do końca.

Czas pięści...

-Dokąd teraz pójdziemy?

-Widzi pani tamten dom?

Brązowy budynek o spadzistym dachu.

- Jest w nim Mary Beth?

-Nie, ale znajdziemy tam łódkę. Możemy się też osuszyć i coś zjeść.

Cóż, w porównaniu z innymi przestępstwami, jakich dopuściła się dzisiaj, włamanie i kradzież nie będą miały większego znaczenia.

Garrett wstał, potem pochylił się i podniósł z ziemi jej pistolet. Sachs zamarła w bezruchu, obserwując czarno-niebieską broń w jego dłoni. Chłopiec zajrzał do komory i zobaczył, że w pistolecie jest sześć pocisków. Wsunął cylinder do ramy pistoletu i ujął go z wprawą, która poważnie zaniepokoiła Sachs.

Cokolwiek myślisz o Garretcie, nie ufaj mu...

Spojrzał na nią, potem podał jej broń.

- Chodźmy.

Włożyła pistolet do kabury, czując, jak serce łomocze jej w piersi ze strachu.

Ruszyli w stronę domu.

- Jest pusty? - spytała Sachs, wskazując głową na budynek.

-W tej chwili nikogo tam nie ma. - Garrett zatrzymał się i obejrzał za siebie. - Muszą być teraz nieźle wkurzeni, gliniarze. Ścigają nas. Z tymi swoimi karabinami i ze wszystkim. Cholera. - Odwrócił się i poprowadził ją ścieżką wokół domu.

Milczał przez kilka minut. - Chce pani coś wiedzieć, Amelio?

-Co?

-Myślałem o tym motylu, pawicy grabówce.

- I co? - spytała w roztargnieniu, wciąż myśląc o pociskach, które niemal rozszarpały łódź, pociskach przeznaczonych dla niej i dla chłopca. Lucy Kerr próbowała ją zabić. Echo tych strzałów przesłaniało jej wszystkie inne myśli.

-Wzory na jego skrzydłach. Kiedy są otwarte, wyglądają jak oczy zwierzęcia. To naprawdę niesamowite; w rogu jest nawet biała plamka, jak odbicie światła w źrenicy. Ptaki to widzą, myślą, że to lis albo kot, i uciekają.

-Czy ptaki nie mogą wyczuć, że to motyl, a nie zwierzę? -spytała, nieskoncentrowana szczególnie na rozmowie.

Patrzył na nią przez chwilę, jakby chciał się upewnić, czy nie żartuje.

-Ptaki nie czują zapachów - odparł wreszcie takim tonem, jakby spytała, czy świat jest płaski.

Znów obejrzał się za siebie, w stronę rzeki. - Musimy ich jakoś powstrzymać. Jak pani myśli, są blisko?

-Bardzo blisko - odparła.

Z tymi swoimi karabinami i ze wszystkim.

-Byli tu.

Rich Culbeau patrzył na ślady odbite w błocie.

-I to niedawno, dziesięć, piętnaście minut temu.

- I idą do domu - dodał Tomel.

Ruszyli ostrożnie w górę ścieżki.

O'Sarian nadal zachowywał się dziwnie. Przez co stawał się jeszcze bardziej przerażający niż zwykle. Nie zabrał ze sobą ani grama bimbrowa, nie wygłupiał się, nawet nie mówił - a Sean był największym gadułą w Tanner's Corner. Strzelanina nad rzeką naprawdę mocno nim wstrząsnęła. Teraz, kiedy szli przez las, reagował nerwowo na każdy szelest, mierzył z czarnego wojskowego karabinu do krzaków, z których dochodziły jakieś podejrzane dźwięki.

-Widzieliście, jak strzelał ten czarnuch? - powiedział z podziwem. - W ciągu minuty wpakował w łódkę z dziesięć kulek.

- To był śrut - poprawił go Harris Tomel.

I zamiast sprzeciwić mu się, a potem chwalić swoją znajomością uzbrojenia (zachowując się przy tym jak ostatni dupek, którym zresztą był), O'Sarian powiedział tylko:

-Racja, śrut. Powinienem być o tym pomyśleć. - Skinął głową niczym dzieciak w szkole, który dowiedział się właśnie czegoś nowego i interesującego.

Podeszli bliżej domu. Wygląda całkiem przyjemnie, pomyślał Culbeau. Prawdopodobnie domek letniskowy, własność jakiegoś prawnika albo lekarza z Raleigh czy Winston-Salem.

Duży salon, pełny bar, przyjemne sypialnie, zamrażarka do przechowywania dziczyzny.

- Hej, Harris - odezwał się O'Sarian.

Culbeau nigdy nie słyszał, by ten chłopak zwracał się do kogoś po imieniu. -Co?

- Ta pukawka strzela wysoko czy nisko? - Podniósł kolta.

Tomel zerknął na Culbeau, prawdopodobnie także zdumiony nagłą odmianą w zachowaniu O'Sariana.

- Jest lekki, więc kopnie wyżej, niż się spodziewasz. Musisz trzymać lufę trochę niżej niż normalnie.

-Bo kolba jest z plastiku, a nie z drewna? - upewnił się O'Sarian. -Tak. Skinął głową, jeszcze poważniejszy niż przedtem.

- Dzięki.

Dzięki?

Las zaczął się przerzedzać, wyszli na skraj wielkiej polany, otaczającej dom - ponad pięćdziesiąt jardów z każdej strony bez żadnych drzew czy krzewów, które mogłyby służyć za osłonę. Culbeau zasepił się, widząc, że niełatwo będzie im podejść uciekinierów niepostrzeżenie.

-Myślisz, że są w środku? - spytał O'Sarian, ściskając nerwowo broń i zostawiając na niej tłuste odciski.

-Nie... czekaj, na dół!

Wszyscy trzej przykucnęli szybko.

- Widziałem coś na dole. W tym oknie po lewej. - Culbeau spojrział na dom przez lunetkę strzelby. - Ktoś tam chodzi. Na parterze. Nie widzę za dobrze przez zasłony. Ale na pewno ktoś tam jest. - Spojrział wyżej. - Cholera! - Paniczny szept. Padł na ziemię.

-Co? - spytał O'Sarian zaniepokojony, rozglądając się nerwowo dokoła.

-Na ziemię! Któreś z nich ma karabin z lunetką. Patrzy prosto na nas. Okno na piętrze.

Cholera.

-To musi być ta dziewczyna - orzekł Tomel. - Chłopak jest za głupi, żeby odróżnić lufę od kolby.

-Pieprzyć tę sukę - mruknął O'Sarian, kryjąc się za drzewem i przyciskając broń do policzka.

Stąd widzi dokładnie całe pole - powiedział Culbeau.

Czekamy, aż się ściemni? - spytał Tomel.

Z panią oficer Bezcycką za plecami? To chyba nie jest najlepszy pomysł, Harris.

-A nie możemy ustrzelić jej stąd? -Tomel wskazał głową na okno.

-Pewnie i możemy - westchnął Culbeau. Miał właśnie wytłumaczyć Tomelowi, dlaczego i to nie jest najmądrzejszym pomysłem, kiedy O'Sarian przemówił dziwnie normalnym głosem:

-Jeśli Rich strzeli, Lucy i ten czarnuch nas usłyszą. Myślę, że powinniśmy ich zająć z boku, a potem spróbować wejść do środka. Stamtąd nie będzie słychać strzałów.

Culbeau nie mógłby ująć tego lepiej.

- To potrwa co najmniej pół godziny - warknął Tomel, zły że O'Sarian okazał się sprytniejszy od niego.

Ten zaś nadal był w szczytowej formie. Odbezpieczył broń i spojrzał na dom.

- Powiedziałbym, że zajmie nam to znacznie mniej niż pół godziny. Co ty o tym myślisz, Rich?

\gr teve Farr wprowadził Henry'ego Davetta do gabinetu. Biznesmen podziękował Farrowi, a potem przywitał się z Rhyme'em.

- Henry - odpowiedział Rhyme na skinienie głowy - dziękuję, że pan przyszedł.

Podobnie jak poprzednio, biznesmen w ogóle nie zwracał uwagi na stan kryminalistyka. Tym razem jednak nie było to dla Rhyme'a żadnym pocieszeniem. Zżerała go troska o Sachs.

Wciąż powracały doń słowa Bella.

Zwykle mamy tylko dwadzieścia cztery godziny na odszukanie ofiary; później zbrodniarz przestaje widzieć w niej człowieka i zabija ją bez najmniejszych skrępułów.

Ta zasada, dotycząca poprzednio tylko Mary Beth i Lydii, teraz obejmowała także Amelię Sachs. Tyle tylko, że Sachs mogła mieć mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Myślałem, że złapaliście tego chłopca.

- Uciekł nam - wyjaśnił Ben.

-Niemożliwe! - Biznesmen zmarszczył brwi.

Ale prawdziwe - westchnął Farr. - Typowa ucieczka w starym stylu.

Mamy trochę więcej dowodów, ale nie wiem, co z nimi zrobić - mówił Rhyme. - Miałem nadzieję, że znów zechce nam pan pomóc.

Biznesmen usiadł.

- Zrobię, co będę mógł.

Rhyme zerknął na jego spinę z literami WWJD. I co właściwie zrobiłby Jezus w takiej sytuacji jak ta? - zastanawiał się. Potem wskazał głową na tablicę.

-Mógłby pan to przejrzeć? Ostatnia lista po prawej.

- Młyn. Więc tam się ukrywał? W starym młynie na północny wschód od miasta?

-Tak.

- Znam to miejsce. - Davett skrzywił się ze złością. - Powinienem był o nim pomyśleć.

Kryminalistyk musi wykreślić ze swego słownika sformułowania typu „powinienem był”.

-W takich sytuacjach nie można pamiętać o wszystkim - powiedział Rhyme. -Ale proszę spojrzeć na listę. Czy któryś z tych dowodów wydaje się panu znajomy?

Davett uważnie przeczytał listę.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młun

Brązowa farba na spodniach

Rosiczka

Glina

Torfowiec

Sok owocowy

Włókna papieru

Przynęta na ryby

Cukier

Kamfen

Alkohol

Nafta

Drożdże

Przyglądając się jej, powiedział cicho:

- To wygląda jak układanka.

-Taka jest właśnie natura mojego zawodu - odrzekł Rhyme.

Jak daleko mogę posunąć się w domysłach? - spytał biznesmen.

Jak daleko pan zechce.

-Dobrze. - Davett skinął głową. Po chwili zastanowienia powiedział: - Karolińskie glinianki.

- A to co takiego? Jakaś ludowa ceramika? - spytał Rhyme.

Davett zerknął na kryminalistykę, by sprawdzić, czy ten nie żartuje. Potem wyjaśnił:

-Nie, to struktura geologiczna, występująca na Wschodnim Wybrzeżu, głównie na terenie obu Karolin, Północnej i Południowej. Zwykle są to owalne stawy, głębokie na trzy do czterech stóp, wypełnione słodką wodą. Zajmują obszar od jednego do kilkuset akrów. Dno stawu to glina i torf, czyli to, co mamy na tej liście.

Ale glina i torf są tutaj dość powszechne - zauważył Ben.

Owszem - zgodził się Davett. - I gdybyście znaleźli tylko te dwie rzeczy, nie miałbym pojęcia, skąd pochodzą. Znaleźliście jednak coś jeszcze. Otóż jedną z najciekawszych cech karolińskich glinianek jest ogromna ilość roślin owadożernych, które

porastają ich brzegi. Można tam znaleźć setki rosiczek i muchołapek, prawdopodobnie dlatego, że stawy te przyciągają także chmary owadów. Skoro znaleźliście nie tylko glinę i torfowiec, ale i rosiczkę, to chłopak bez wątplenia kręcił się gdzieś przy gliniankach.

- Dobrze - pokiwał głową Rhyme. Potem spytał: - Skąd właściwie wzięły się te glinianki?

Kiedyś ich pochodzenie próbowano wytłumaczyć za pomocą legend. Osadnicy uważali, że zostały wydrążone przez potwory morskie albo wiedźmy rzucające zaklęcia. Jakiś czas temu mówiło się o uderzeniach meteorytów. W rzeczywistości jednak są to zupełnie naturalne depresje, utworzone przez wiatr i prądy wodne.

Czy występują tylko na jakimś określonym terenie? – spytał Rhyme w nadziei, że uda mu się ograniczyć obszar poszukiwań.

-W pewnym stopniu. - Davett wstał i podszedł do mapy. Zakreślił palcem wielkie koło na obszarze na zachód od Tan-ner's Corner. Kwadraty B-2 do E-2 i F-13 do B-12. - Można je znaleźć głównie tutaj, tuż przed wzgórzami.

Rhyme był rozczarowany. Obszar zakreślony przez Davetta obejmował siedemdziesiąt do

osiemdziesięciu mil kwadratowych.

Davett zauważył jego reakcję.

-Przykro mi, że nie mogę być bardziej przydatny - powiedział.

-Nie, nie, bardzo to doceniam. Ta informacja jest przydatna. Musimy tylko przeanalizować dokładniej inne wskazówki.

Biznesmen czytał głośno:

-Cukier, sok owocowy, nafta... - Pokiwał głową. - Ma pan ciężką pracę, panie Rhyme.

-To wyjątkowo trudny przypadek - zgodził się Rhyme. - Kiedy brakuje jakichkolwiek wskazówek, można zupełnie swobodnie spekulować. Kiedy wskazówek jest dużo, sprawę rozwiązuje się zwykle bardzo szybko. Ale kiedy trzeba opierać się na kilku dowodach, jak tutaj... - Kryminalistyk zamilkł.

Jesteśmy skrepowani faktami - mruknął Ben.

Rhyme odwrócił się do niego.

Otóż to, Ben. Otóż to.

-Powiniennem wracać do domu - powiedział Davett. - Rodzina na mnie czeka. - Dopisał numer telefonu na wizytówce. - Pod ten numer może pan dzwonić o każdej porze.

Rhyme podziękował mu raz jeszcze i znów skupił uwagę na tablicy.

Skrepowani faktami...

Rich Culbeau wyszał krew z ramienia rozoranego głęboko przez kolce i ciernie. Potem splunął nią na drzewo.

Stracili ponad dwadzieścia minut, by przedrzeć się przez krzaki do bocznego wejścia domu tak, by nie zauważyła tego ta dziwka z karabinem snajperskim. Nawet Harris Tomel, który zazwyczaj wyglądał, tak jakby właśnie wyszedł z eleganckiego klubu, był teraz brudny i okrwawiony.

Nowy Sean O'Sarian czekał z tyłu, na ścieżce. Leżał na ziemi, trzymając przy oku swój czarny karabin niczym amerykański żołnierz w Wietnamie, gotów powstrzymać kilkoma strzałami w powietrze Lucy czy innego członka Wietkongu, gdyby ci ruszyli w stronę domu.

- Gotowy? - spytał Culbeau Tomela.

Ten skinął głową.

Culbeau nacisnął na klamkę, pchnął drzwi i powoli, z bronią gotową do strzału, wszedł do środka. Tomel postępował za nim.

Chłopak i rudowłosa byli na górze, skąd dobiegała głośna muzyka i jakieś głosy.

Skradali się ostrożnie jak koty, wiedząc, że rudowłosa policjantka ze strzelbą może czekać na nich za każdym załomem ściany.

- Słyszysz coś? - szepnął Culbeau.

-Tylko tę muzykę.

Obaj mężczyźni ruszyli powoli w dół mrocznego korytarza. Zatrzymali się na moment. Przed nimi była kuchnia, w której Cul-beau widział kogoś - prawdopodobnie chłopca - kiedy obserwował dom przez lunetę karabinu. Wskazał głową na drzwi pokoju.

Chyba nas nie słyszą - powiedział Tomel. Muzyka była bardzo głośna.

Wchodzimy razem. Strzelaj w nogi, chłopak musi nam jeszcze powiedzieć, gdzie jest Mary Beth.

- Kobieta też?

Culbeau zastanawiał się przez moment.

- Tak, czemu nie? Może nam się potem przydać. Wiesz do czego.

Tomel skinał głową.

-Raz, dwa... trzy.

Wpadli do kuchni i omal nie zastrzelili spikera omawiającego prognozę pogody na ekranie wielkiego telewizora. Pochyleni, rozglądali się szybko po pokoju, szukając chłopca i kobiety.

Nie widzieli ich. Wtedy Culbeau spojrzął na telewizor i zrozumiał, że nie należy on do tego miejsca. Ktoś przeniósł go z salonu i postawił tutaj, przed piecykiem.

Culbeau wyjrzał na zewnątrz.

- Cholera. Postawili telewizor tutaj, żebyśmy widzieli go z zewnątrz, ze ścieżki. I myśleli, że ktoś jest w domu.

Wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz.

- Czeka! - krzyknął za nim Tomel. - Ona tam jest. Z bronią.

Ale oczywiście rudowłosej wcale tam nie było. Culbeau wbiegł do sypialni, w której widział łufę karabinu i lunetkę wycelowaną prosto w nich. I znalazł mniej więcej to, co spodziewał się znaleźć: długą wąską rurkę, do której za pomocą taśmy klejącej przymocowano butelkę po piwie Corona.

- Więc to jest karabin i luneta - powiedział, pełen niesmaku.

- Jezu Chryste. Ale nas wyrolowali. Kosztowało nas to pół godziny. A cholerni gliniarze pewnie już deptają nam po piętach. Musimy się stąd wynosić.

Przeszedł jak burza obok Tomela, który zaczął mówić: -Niegłupia ta... - Zamilkł jednak, ujrzawszy twarz swego towarzysza.

Akumulator się wyczerpał, a maleńki elektryczny silniczek ucichł.

Wąski skiff płynął z prądem rzeki, przez gęstą, oleistą mgłę, okrywającą wody Paquenoque.

Garrett Hanlon podniósł wiosło z dna łodzi i skierował ją do brzegu.

- Musimy gdzieś wylądować - powiedział. - Zanim zrobi się całkiem ciemno.

Amelia Sachs zauważyła, że krajobraz stopniowo się zmienia. Drzewa były coraz rzadsze, wzdłuż rzeki rozciągały się bagna. Chłopiec miał rację; jeśli dobiją do brzegu w złym miejscu, mogą natrafić na jakieś nieprzebyte grzęzawisko.

-Hej, co się dzieje? - spytał Garrett.

Jestem cholernie daleko od Brooklynu.

To w Nowym Jorku?

Zgadza się - odparła.

-I martwi się pani, że tam nie jest?

- Żebyś wiedział.

Kierując łódź w stronę twardego odcinka brzegu, powiedział: -Właśnie to najbardziej wkurza owady. -To znaczy co?

- To trochę dziwne. Lubią pracować i walczyć. Ale w obcym miejscu całkiem wariują. Nawet jeśli jest bezpieczne. Nienawidzą tego, nie wiedzą, co robić.

No właśnie, pomyślała Sachs, to właśnie ja. Jestem takim wielkim owadem. Choć bardziej podobało jej się określenie, którym tę sytuację opisał Rhyme: ryba bez wody.

-Zawsze widać, kiedy owad się denerwuje. Ciągłe pociera wtedy czułki... Czułki owadów pokazują ich nastrój. Jak nasze twarze. Tyle tylko - dodał Garrett sarkastycznie - że one nigdy nie udają. - Roześmiał się w jakiś dziwny sposób - Sachs nigdy nie słyszała takiego śmiechu z jego ust.

Garrett próbował przebić wzrokiem mgłę.

- W górę tą ścieżką. Pójdziemy do miejsca, w którym czasem sypiam.

Wskoczył do wody i wciągnął łódkę na brzeg. Sachs wyszła na suchy ląd. Jej ubrania były wciąż wilgotne i śmierdziały brudną wodą. Garrett prowadził ją szybko przez las, jakby pomimo ciemności i braku jakichkolwiek znaków orientacyjnych doskonale znał właściwą drogę.

- Skąd wiesz, którądy mamy iść? - spytała.

-Nie wiem - odparł Garrett. - Chyba jestem taki jak monarcha. Dobrze znam kierunki.

-Monarcha?

-No wie pani, te motyle. Pokonują tysiące mil i wiedzą dokładnie, dokąd lecieć. To naprawdę niesamowite, kierują się promieniami słońca i zmieniają kierunek automatycznie w zależności od tego, w którym punkcie nad horyzontem jest słońce. A kiedy panuje ciemność albo kiedy niebo jest zachmurzone, wykorzystują inny zmysł; wyczuwają pole magnetyczne ziemi.

Kiedy nietoperz wysyła fale ultradźwiękowe, żeby je znaleźć, ćmy składają skrzydła i spadają na ziemię.

Uśmiechała się, słuchając tego entuzjastycznego wykładu, nagle jednak zamarła w pół kroku i przypadła do ziemi.

- Uważaj - szepnęła. - Tam! Tam jest światło.

Nad jakimś mrocznym stawem unosiła się delikatna poświata. Dziwne, żółte światło, przypominające blask bardzo słabej żarówki. Ale Garrett roześmiał się. Spojrzała nań ze zdumieniem.

To tylko duch - wyjaśnił.

Co? - spytała ostro, bo wcale nie była w nastroju do żartów.

-To Dama Bagna. Niby ta indiańska panna młoda, która umarła na dzień przed ślubem. Jej duch ciągle chodzi po Wielkim Bagnie i szuka tego faceta, za którego miała wyjść. Nie jesteśmy jeszcze na Wielkim Bagnie, ale to już niedaleko. -

Wskazał głową na poświatę. - Tak naprawdę to tylko wielki fosforyzujący grzyb.

Sachs nie podobało się to dziwne światło. Przypominało jej przygnębiające uczucie, jakiego doświadczyła rano w Tan-ner's Corner, kiedy mijali pogrzeb z małą trumną.

-Nie lubię bagna, z duchami czy bez - powiedziała.

- Tak? - zdziwił się Garrett. - Może kiedyś je pani polubi.

Wprowadził ją na jakąś drogę, a po dziesięciu minutach dotarli do zarośniętej bujną trawą polany. Na środku stała wielka stara przyczepa kempingowa. Amelia nie widziała jej zbyt dobrze w gęstniejącym mroku, ta wyglądała jednak na mocno zniszczoną; była zardzewiała, przechylona na jeden bok, opony porastał mech i bluszcz.

-To twoje?

-Nikt tutaj nie mieszka od lat, więc chyba moje. Mam klucz, ale został w domu. Nie miałem go kiedy zabrać. - Obszedł przyczepę i otworzył okno, przez które wszedł do wnętrza. Po chwili rozwarł przed Amelią drzwi.

Sachs weszła do środka. Garrett szukał czegoś w kredensie maleńkiej kuchni. Wreszcie odnalazł zapałki i zaświecił małą gazową latarenkę. Rozsiewała wokół ciepłe, żółte światło.

Otworzył kolejną szafkę, zajrzał do środka.

-Miałem trochę Doritos, ale zeżarły je te cholerne myszy. -Wyciągnął jakiś plastikowy pojemnik i obejrzał go uważnie. -Przegryzły na wylot. Cholera. Ale mam makaron „Farmer John”. Jest dobry. Jem go na okrągło. I trochę fasoli.

Zaczął otwierać puszki, podczas gdy Sachs rozglądała się po przyczepie. Kilka krzesel, stół.

W sypialni leżał stary materac, obok niego gruba mata - podobna do mat używanych przez jogów - i poduszka. Przyczepa emanowała wręcz biedą: połamane drzwi, ściany podziurawione kulami, wyłamane okna, nieprawdopodobnie brudny dywan. Kiedy jeździła jeszcze z patrolami po ulicach Nowego Jorku, widziała wiele podobnych miejsc, zawsze jednak tylko z zewnątrz: teraz był to jej tymczasowy dom.

Myślała o słowach Lucy sprzed kilku godzin.

Normalne zasady nie dotyczą nikogo po północnej stronie Pa-quo. Ani nas, ani ich. Człowiek strzela, zanim zdąży odczytać komuś jego prawa, i nikogo to nie dziwi.

Garrett zawiesił na oknach jakieś brudne szmaty, by nikt z zewnątrz nie widział, że w środku pali się światło. Wyszedł na chwilę, potem wrócił, niosąc zardzewiały kubek, wypełniony prawdopodobnie deszczówką. Podał go Sachs. Ta pokręciła głową.

Czuję się tak, jakbym wypila pół Paquenoke.

To jest lepsze.

Na pewno. Ale na razie dziękuję.

Garrett wypił wodę, potem zamieszał jedzenie, które przygrzewał na małym piecyku gazowym. Przez cały czas podśpiewywał pod nosem: „Farmer John, Farmer John, to najświeższy smak...”. Choć była to tylko melodia z jakiejś reklamy, działała Amelii na nerwy.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Garrett wreszcie zamilkł.

Sachs zamierzała zrezygnować z jedzenia, nagle jednak zdała sobie sprawę, że umiera z głodu. Garrett rozłożył strawę na dwa talerze i podał Amelii łyżkę. Sachs splunęła na nią i wytarła ją o koszulę. Przez kilka minut jedli w milczeniu.

Sachs usłyszała dziwny, piskliwy, a jednocześnie chrapliwy dźwięk, dochodzący z zewnątrz.

Prawdopodobnie słyszała go już wcześniej, dopiero teraz jednak dotarł do jej świadomości.

Co to? - spytała. - Cykada?

Tak - potwierdził Garrett. - Tylko samce tak piszczą. Wyda ją niesamowite odgłosy z tych płytek na swoim ciele. - Chłopiec zamyślił się na moment. - Cykady to w ogóle strasznie dziwne stworzenia... Poczwaraki zakopują się w ziemi i zostają tam przez jakieś dwadzieścia lat, nim się wykłują. Potem wychodzą i wspierają się na drzewo. Opada z nich skóra, a ze środka wychodzi dorosły owad. Przez wszystkie te lata siedzą ukryte w ziemi.

Dlaczego tak bardzo lubisz owady, Garrett? - spytała Sachs.

Zawahał się.

Nie wiem. Po prostu lubię.

-Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

Przestał jeść. Podrapał krostę na twarzy.

- Chyba zainteresowałem się nimi, kiedy umarli moi rodzice.

Byłem wtedy bardzo nieszczęśliwy. Coś się ze mną porobiło, coś w mojej głowie. Byłem jakiś taki... pomieszany, nie wiem, po prostu inny. Ci doradcy ze szkoły mówili tylko, że to dlatego, że umarli moi rodzice i siostra i że powinienem ciężiej pracować, żeby jakoś sobie z tym poradzić. Ale ja nie mogłem. Czuję się tak, jakbym nie był prawdziwy. Nic mnie nie obchodziło. Leżałem tylko w łóżku albo chodziłem na bagna czy do lasu i czytałem. Nie robiłem nic więcej przez cały rok. Przenosiłem się z jednego domu do drugiego... Aż wreszcie przeczytałem coś fajnego. O tu, w tej książce.

Otworzył „Miniaturowy świat”, odszukał właściwą stronę. Pokazał ją jej. Zakreślił podrozdział „Cechy zdrowych istot żywych”. Sachs przebiegła szybko tekst spojrzeniem, odczytała kilka z listy ośmiu czy dziewięciu cech.

Zdrowa istota stara się rosnąć i rozwijać.

Zdrowa istota stara się przetrwać.

Zdrowa istota stara się przystosować do swego środowiska.

Garrett powiedział:

-Przeczytałem to i pomyślałem, cholera, ja też mógłbym być taki. Mógłbym być znów zdrowy i normalny. Starłem się stosować do tych zasad. I poczułem się lepiej. Ta książka jakby uratowała mi życie. Więc pewnie dlatego tak lubię owady. Nauczyły mnie tylu pożytecznych rzeczy...

Na ramieniu Sachs usiadł komar. Roześmiała się.

-Ale piją też twoją krew. - Zabiła owada otwartą dłonią.

- Mam go.

- Ją - poprawił Garrett. - Tylko samice piją krew. Samce piją nektar.

-Naprawdę?

Chłopiec skinął głową, potem milczał przez chwilę. Spojrzał na krwawą plamkę na ramieniu Amelii.

- Owady nigdy nie odchodzą.

- Co masz na myśli?

Odnalazł w książce kolejny fragment i przeczytał głośno:

- „Jeśli jakieś stworzenia można nazwać nieśmiertelnymi, to z pewnością są nimi owady, które zamieszkiwały Ziemię wiele milionów lat przed pojawieniem się ssaków i które pozostaną na niej jeszcze długo po tym, jak wymrą wszelkie inteligentne formy życia”. -

Odłożył książkę i spojrzał na Amelię. - Widzi pani, chodzi o to, że nawet jeśli zabije się jednego owada, zawsze pojawią się następne. Słyszała pani o reinkarnacji? O wracaniu na ziemię w innym życiu?

Sachs skinęła głową.

-To wszystko zaczęło się od ciem i motyli. Bo na przykład gąsienica tak naprawdę nie umiera, staje się tylko czymś innym. To smutne, kiedy odchodzą ludzie, bo odchodzą na zawsze.

Gdyby moja mama, tata i siostra byli owadami i umarli, pojawiłoby się wielu innych takich jak oni, a ja nie byłbym sam. -Nie masz żadnych przyjaciół? Garrett wzruszył ramionami. -

Mary Beth. Chyba tylko ona. -Bardzo ją lubisz, prawda?

-Okropnie. Uratowała mnie przed tym chłopakiem... I rozmawia ze mną... - Zamyślił się na moment. - Chyba to lubię w niej najbardziej. Rozmawianie. Myślałem, że może za kilka lat, kiedy będę starszy, będzie chciała ze mną chodzić. Moglibyśmy robić to samo, co inni ludzie.

Wie pani, chodzić do kina albo jeździć na pikniki. Podglądałem ją, kiedy jeździła na pikniki ze swoją mamą i przyjaciółmi. Byli tacy weseli. Patrzyłem na nich godzinami. Siedziałem pod drzewem z chipsami i wodą i udawałem, że jestem z nimi. Pani jeździ na pikniki?

- Pewnie.

-Ja też jeździłem kiedyś z moją rodziną. Lubiłem to. Mama i Katie rozstawiały stół i naczynia na tym grillu, który mama kupiła w K-Marcie. My z tatą zdejmowaliśmy buty, wchodziliśmy do wody i łowiliśmy ryby. Pamiętam muł i zimną wodę.

Sachs pomyślała, że być może dlatego chłopiec tak bardzo lubi wodę i owady wodne.

- I myślałeś, że kiedyś mógłbyś z Mary Beth jeździć na pikniki?

-Nie wiem. Może. - Potem pokręcił głową i uśmiechnął się smutno. - Ale chyba nie. Mary Beth jest ładna, mądra i o wiele starsza ode mnie. Znajdzie sobie kogoś, kto jest ładniejszy i mądrzejszy ode mnie. Ale może zostaniemy przyjaciółmi, ona i ja. Ale jeśli nawet nie, to i tak zależy mi tylko na tym, żeby nic jej się nie stało. Zostanie ze mną, dopóki nie będzie bezpieczna. Albo z panią i pani przyjacielem, tym człowiekiem na wózku, o którym wszyscy mówią. Może wy pomożecie jej wyjechać gdzieś, gdzie będzie bezpieczna. -Wyjrzał za okno i umilkł.

- Gdzie nie znajdzie jej mężczyzna w ogrodniczkach? - spytała.

Nie odpowiadał przez chwilę, wreszcie skinął głową.

-Tak, właśnie tak.

-Pójdę napić się tej wody - powiedziała Amelia.

- Momencik. - Garrett oderwał kilka suchych liści z gałęzi leżącej na kredensie w kuchni, roztarł je pomiędzy dłońmi, a po tem natarł jej gołe ramiona, szyję i policzki. Sachs czuła silny, ziołowy zapach.

-Trawa indyjska - wyjaśnił. - Odstrasza komary. Nie będzie pani musiała ich zabijać.

Sachs podniosła kubek. Wyszła na zewnątrz, odszukała beczkę z deszczówką. Podniosła wieko z drobnej siatki, napełniła kubek i napiła się. Woda wydawała się słodka. Przez chwilę Sachs słuchała odgłosów wydawanych przez owady.

Pani albo pani przyjaciel, ten człowiek na wózku, o którym wszyscy mówią. Może wy pomożecie jej wyjechać gdzieś, gdzie będzie bezpieczna.

Te słowa wciąż do niej wracały: Człowiek na wózku, człowiek na wózku.

Wróciła do przyczepy. Odstawiła kubek. Rozejrzała się po małym pokoju.

- Garrett, wyświadczysz mi przysługę?

Chyba tak.

-Ufasz mi?

Chyba tak.

-Więc chodź tutaj, usiądź.

Patrzył na nią przez chwilę, potem wstał i podszedł do starego krzesła, które wskazywała ręką.

Przeszła do rogu małego salonu, podniosła stare, ratta-nowe krzesło i ustawiła je naprzeciwko chłopca.

_ Garrett, pamiętasz, co mówił ci w więzieniu doktor Penny?

- Żebyś rozmawiał z pustym krzesłem, tak? - Przyjrzał jej się niepewnie. Potem skinął głową.-

Ta gra.

- Właśnie. Chcę, żebyś zrobił to jeszcze raz. Zgoda?

Zawahał się, wytarł dłonie o spodnie. Patrzył przez chwilę na krzesło. Wreszcie powiedział:

- Chyba tak.

Amelia Sachs wróciła myślami do pokoju przesłuchań i sesji z psychologiem.

Ukryta za weneckim lustrem, mogła spokojnie przyglądać się twarzy chłopca. Pamiętała, jak doktor próbował przekonać go, by wyobraził sobie, że na krześle siedzi Mary Beth, Garrett zaś twierdził, że nie ma jej nic do powiedzenia, i chciał porozmawiać z kimś innym. Widziała w jego twarzy tęsknotę i rozczarowanie -i gniew - kiedy doktor zmusił go jednak do zmiany zdania.

Och, Rhyme, rozumiem, że ty lubisz twarde, zimne dowody. Że twoim zdaniem, nie możemy polegać na tych „miękkich” rzeczach - słowach, minach i łzach, na emocjach, które widzimy w

czyichś oczach, kiedy siedzimy naprzeciwko i słuchamy jakiejś opowieści... Ale to nie znaczy, że te rzeczy są zawsze fałszywe. Ja wierzę, że sprawa Garretta Hanlona kryje coś więcej, niż mówią nam dowody.

- Spójrz na krzesło - powiedziała. - Kogo chciałbyś sobie nanim wyobrazić?

Pokręcił głową.

- Nie wiem.

Przysunęła krzesło bliżej. Uśmiechnęła się, by go zachęcić. -Powiedz mi. Przecież to nic takiego.

Dziewczyne? Kogoś ze szkoły?

Znów pokręcił głową.

- Powiedz mi.

-Noo... nie wiem. Może... - Po krótkiej pauzie wyrzucił z siebie: - Może mojego ojca.

Sachs przypomniała sobie ze złością zimne oczy i grubiańskie maniery Hala Babbage.

Przypuszczała, że Garrett ma mu wiele do powiedzenia.

Tylko twojego ojca? Czy też panią Babbage?

-Nie, nie jego. Mówię o moim prawdziwym ojcu.

O twoim prawdziwym ojcu?

Garrett skinął głową. Był poruszony, zdenerwowany. Bez przerwy pstrykał paznokciami.

Czułki pokazują ich nastrój...

Patrząc na jego poważną twarz, Sachs zdała sobie nagle sprawę, że nie ma pojęcia, co robi.

Psychologowie stosują różne zabiegi, by nakłonić swych pacjentów do szczerości, by ich poprowadzić, ale także by chronić ich w czasie terapii. Czy mogła pogorszyć jeszcze stan Garretta? Doprowadzić go do fazy, w której naprawdę zrobiłby coś złego, skrzywdził siebie albo ją? Mimo to gotowa była spróbować. W nowojorskiej policji nazywano ją Po,

„przenośna córka”, nieodłączne dziecko swego ojca, starego policjanta - i rzeczywiście odziedziczyła po nim bardzo wiele; miłość do samochodów i pracy w policji, zupełny brak tolerancji dla kłamstwa i częściej gadaniny, a szczególnie jego talent do ulicznej psychologii.

Lincoln Rhyme określał ją mianem „policjantki ludu” i ostrzegał, że kiedyś stanie się to przyczyną upadku Amelii. Wychwalał jej talent kryminalistyka, i rzeczywiście, była utalentowanym naukowcem sądowym. Jednak w głębi serca pozostała taka sama jak jej ojciec

- dla Amelii Sachs najwartościowsze dowody kryły się w ludzkim sercu.

Spojrzenie Garretta powędrowało ku oknu, o które obijały się uparte ćmy.

-Jak miał na imię twój ojciec? - spytała Sachs.

-Stuart. Stu.

- A jak ty się do niego zwracałeś?

-Zwykle „tato”. Czasami „sir”. - Garrett uśmiechnął się smutno. - Kiedy zrobiłem coś złego albo kiedy myślałem, że powinienem być grzeczny.

-Dogadywaliście się ze sobą?

-Lepiej niż większość moich przyjaciół ze swoimi ojcami.Tamci dostawali czasami lanie, ojcowie ciągle na nich wrzeszczeli.

- i Wie pani: „Czemu masz taki bałagan w pokoju?”, „Dlaczego nie odrobiłeś zadania?”, i takie tam. Ale mój tata zwykle był dla mnie bardzo dobry. Aż do... - Zamilkł raptownie.

- Mów dalej.

- Nie wiem.

Sachs nie dawała za wygraną.

Aż do czego, Garrett?

Milczenie.

Powiedz to.

Nie chcę pani mówić. To głupie.

- Nie mów mi. Powiedz jemu, twojemu tacie. - Wskazała głową na krzesło. - Tu, przed tobą,

siedzi twój tata. Wyobraź sobie

to. - Chłopiec pochylił się do przodu, wpatrywał się w krzesło intensywnie, niemal ze strachem. -

Tutaj siedzi Stu Hanlon.

Przez moment w oczach Garretta widniała tak ogromna tęsknota, że Sachs miała ochotę się rozpłakać. Wiedziała, że są blisko czegoś bardzo ważnego, bała się, że chłopiec się wycofa, i chciała zatrzymać go przy tym temacie.

- Śmiało, Garrett. Opowiedz mi o nim... Opisz mi, jak wyglądał. W co się ubierał.

Po krótkiej pauzie chłopiec zaczął mówić:

- Był wysoki i chudy. Miał ciemne włosy, które zawsze po strzyżeniu sterczały mu do góry.

Musiał przez kilka dni nakładać na nie tę pachnącą maść, żeby trzymały się przy głowie.

Zawsze nosił ładne, czyste ubrania. Chyba nawet nie miał dzinsów. Koszule z kołnierzykami.

I spodnie z mankietami. - Na twarzy Garretta pojawił się słaby uśmiech. - Puszczal

ćwierćdolarówkę po spodniach i próbował złapać ją do mankietu, a kiedy mu się udawało, dawał ją mojej siostrze albo mnie. To była taka zabawa. Na święta przynosił nam srebrne dolary i puszczał je po spodniach, dopóki wszystkich nie złapał.

Srebrne dolarówki w słoju z osami, przypomniwała sobie Sachs.

- Miał jakieś hobby? Uprawiał jakiś sport?

- Nie, nie uprawiał żadnych sportów. Lubił czytać. Często zabierał nas do księgarni i dużo nam czytał. Dużo książek historycznych i podróżniczych. I o przyrodzie. Och, i łowił ryby.

Prawie co weekend.

- Dobrze, teraz wyobraź sobie, że siedzi na tym krześle, ma na sobie ładną koszulę i spodnie z mankietami. I czyta książkę, dobrze?

Chyba tak.

Odkłada książkę...

- Nie, najpierw zaznaczał miejsce, w którym skończył. Miał tony zakładek. Zbierał je. Zawsze z siostrą kupowaliśmy mu zakładki na Boże Narodzenie.

- Dobrze, zaznacza to miejsce i odkłada książkę. Patrzy na ciebie. Teraz możesz mu coś powiedzieć. Co byś powiedział?

Wzruszył ramionami, pokręcił głową. Rozejrzał się po przyczepie, jakby miał coś do zrobienia.

Ale Sachs nie dawała się zbyć.

Czas pięści...

- Pomyśl o jakiejś konkretnej rzeczy, o której chciałbyś mu powiedzieć. O jakimś wydarzeniu.

O czymś, co cię martwi. Było coś takiego?

Chłopiec zaciskał mocno dłonie, pocierał je o siebie, pstrykał paznokciami.

Powiedz mu, Garrett.

No dobrze, chyba było coś takiego.

Co?

-Tej nocy... Tej nocy, kiedy umarli.

Sachs poczuła lekki dreszcz. Zrozumiała, że dotykają czegoś naprawdę poważnego.

Zastanawiała się przez moment, czy nie powinna się jednak wycofać. Nie zrobiła tego.

-I co stało się tej nocy? Chcesz porozmawiać o tym z tatą?

Garrett skinął głową.

-Widzi pani, oni byli w samochodzie, jechali na kolację. To było w środę. Zawsze w środy jeździliśmy na kolację do Benni-gans. Ja lubiłem paluszki z kurczaka. Zawsze brałem kurczaka, frytki i colę. A Kaye, moja siostra, jadła cebulaki. Dzieliliśmy się swoimi porcjami, a czasami robiliśmy na pustych talerzach rysunki ketchupem.

Twarz Garretta była blada i ściągnięta. W jego oczach krył się ogromny smutek. Sachs odsunęła od siebie te wrażenia, wiedząc, że musi panować nad emocjami.

Co jeszcze pamiętasz z tej nocy?

To było przed domem, na podjeździe. Oni siedzieli w samochodzie, tata, mama i moja siostra.

Jechali na kolację. I... - Przełknął ślinę z trudem. - Chodzi o to, że chcieli odjechać beze mnie.

- Naprawdę?

Garrett skinął głową.

- Było późno. Ja chodziłem po lesie w Blackwater Landing. I zapomniałem, która jest godzina. Kiedy usłyszałem silnik, pobiegłem do samochodu. Biegłem pół mili, a może i dłużej. Ale mój tata nie chciał mnie wpuścić. Musiał być wściekły, że się spóźniłem. Tak bardzo chciałem wsiąść do wozu. Było naprawdę bardzo zimno. Pamiętam, że trząsałem się z zimna, oni też się trzęśli. Pamiętam, że na oknach był szron. Ale nie wpuścili mnie do środka.

-Może twój tata cię nie widział. Przez ten szron.

-Nie, widział mnie. Stałem tuż przy samochodzie. Waliłem w okno, a on mnie widział, ale nie otworzył drzwi. Tylko się krzywił i krzyczał na mnie. A ja myślałem ciągle: On jest na mnie wściekły, jest mi zimno, nie dostanę kurczaka i frytek. Nie zjem kolacji z moją rodziną. - Po policzkach chłopca potoczyły się łzy.

Sachs miała ochotę objąć chłopca i przytulić, pozostała jednak na miejscu.

- Śmiało. - Wskazała głową na krzesło. - Rozmawiaj z tatą.

Co chciałbyś mu powiedzieć?

Spojrzał na nią, ona jednak wskazała na krzesło. Wreszcie Garrett odwrócił się w tę stronę.

Jest tak zimno! - wydyszał. - Jest zimno, a ja chcę wsiąść do samochodu. Dlaczego on nie wpuścił mnie do środka?

Nie, powiedz to jemu. Wyobraź sobie, że on tu jest.

Sachs pamiętała, jak Rhyme w ten sam sposób namawiał ją, by wyobraziła sobie, że jest przestępcą na miejscu zbrodni. Było to bardzo trudne zadanie, doskonale rozumiała strach chłopca. Mimo to nie pozwalała mu się wycofać.

-Powiedz mu. Powiedz to swojemu ojcu.

Garrett spojrzał niepewnie na krzesło. Pochylił się do przodu.

-Ja...

- Śmiało, Garrett - wyszeptała Sachs. - Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, by coś ci się stało. Powiedz mu.

-Ja chciałem tylko pojechać z wami do Bennigans! - powiedział Garrett, pochlipując. - To wszystko. Żebyśmy zjedli razem kolację. Dlaczego nie wpuściłeś mnie do samochodu?

Widziałeś, że biegnę do was, i zamknąłeś drzwi. Nie spóźniłem się aż tak bardzo! - Smutek chłopca zamieniał się coraz wyraźniej w gniew. - Zostawiłeś mnie na dworze! Byłeś na mnie wściekły, ale to, co zrobiłem... to nie było przecież takie złe. Musiałem zrobić coś innego, żeby cię tak rozzłościć. Co? Dlaczego nie chciałeś, żebym z wami pojechał? Powiedz mi, co zrobiłem! - Z trudem wydobywał słowa z zaciśniętego gardła. - Wróć i powiedz mi. Wróć!

Chcę wiedzieć! Co zrobiłem? Powiedz mi, powiedz, powiedz!

Szlochając, doskoczył do krzesła i kopnął je z całej siły. Mebel uderzył o ścianę i przewrócił się na bok. Garrett pochwycił krzesło i wrzeszcząc z wściekłości, zaczął walić nim o podłogę.

Sachs cofnęła się o krok, przerażona gniewem, który sama wywołała. Chłopiec walił krzesłem o podłogę dopóty, dopóki nie rozbił go na drobne kawałki. Wreszcie sam opadł bez sił i zwinął się w kłębek. Sachs podeszła do niego i objęła, próbując uciszyć płacz.

Po pięciu minutach Garrett uspokoił się wreszcie. Wstał, otarł twarz rękawem.

- Garrett... - zaczęła Sachs szeptem.

On jednak pokręcił głową.

- Wychodzę na zewnątrz - powiedział i zniknął za drzwiami.

Sachs siedziała przez chwilę w bezruchu, potem ustawiła budzik w swym zegarku Casio na piątą rano. Była wyczerpana, lecz mimo to nie położyła się na materacu, który przygotował

dla niej Garrett. Zgasila latarnię, odsłoniła okno i usiadła w starym fotelu. Pochyliła się do przodu, wdychając aromat trawy indyjskiej, i obserwowała przez okno sylwetkę chłopca, który przysiadł na pniu dębu i wpatrywał się w konstelacje świetlików wypełniających las wokół niego.

Nie wierzę w to - mruknął Lincoln Rhyme.

Rozmawiał właśnie z wściekłą Lucy Kerr i dowiedział się, że Amelia strzeliła kilkakrotnie do policjanta przy moście Hobeth.

- Nie wierzę w to - powtórzył szeptem do Thoma.

Jego pomocnik potrafił doskonale obchodzić się z połamanymi ciałami i z duszami złamanymi przez połamane ciała. To była jednak inna, znacznie gorsza sprawa, dlatego też mógł jedynie powiedzieć:

-To jakieś nieporozumienie. Na pewno. Amelia by tego nie zrobiła.

-Nie zrobiłaby - powtórzył Rhyme, tym razem zwracając się do Bena. - Nie ma mowy. Nawet gdyby tylko chciała ich nastraszyć. - Wmawiał sobie, że nigdy nie strzeliłaby do policjanta, pod żadnym pretekstem. Jednocześnie jednak myślał o tym, do czego zdolni są zdesperowani ludzie. O szalonych decyzjach, które podejmują w akcie rozpacz. (Och, Sachs, dlaczego musisz być taka impulsywna i uparta? Dlaczego musisz być tak podobna do mnie?).

Bell był w biurze po drugiej stronie korytarza. Rhyme słyszał, jak wymienia z kimś czułości przez telefon. Przypuszczał, że rodzina szeryfa nie jest przyzwyczajona do jego późnych powrotów; utrzymanie porządku w mieście takim jak Tanner's Corner nie pochłaniało zapewne tyle czasu, co sprawa Garretta Hanlona.

Ben Kerr siedział przy mikroskopie z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzył na mapę.

W odróżnieniu od szeryfa nie dzwonił nigdzie, a Rhyme zastanawiał się, czy ten młody człowiek ma jakąś żonę albo dziewczynę, czy też poświęcił się bez reszty nauce.

Szeryf zakończył rozmowę i wrócił do laboratorium.

- Jakież nowe pomysły, Lincoln?

Rhyme wskazał głową na listę.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młyn

Brązowa farba na spodniach

Rosiczka

Glina

Torfowiec

Sok owocowy

Włókna papieru

Przynęta na ryby

Cukier

Kamfen

Alkohol

Nafta

Drożdże

Powtórzył wszystko, co wiedzieli o domu, w którym więziona była Mary Beth.

- Obok domu albo w drodze do niego jest karolińska glinianka. Połowa opisów zaznaczonych w jego książce dotyczy kamuflażu, a brązowa farba na spodniach przypomina kolor kory drzewa, więc budynek, w którym Garrett trzyma Mary Beth, znajduje się prawdopodobnie w lesie albo obok niego. Lampy kamfenowe używane były w dziewiętnastym wieku, więc jest to stary dom, prawdopodobnie z czasów wiktoriańskich. Ale pozostałe ślady niewiele nam mówią. Drożdże pochodzą z młyna. Włókna papieru można znaleźć wszędzie. Sok owocowy i cukier? Z jedzenia i picia, które miał ze sobą Garrett.

Zadzwoił telefon.

Rhyme poruszył serdecznym palcem lewej dłoni, uruchomił odpowiedni segment ECU i odebrał telefon. -Halo? - powiedział do mikrofonu.

- Lincoln.

Rozpoznał łagodny, zmęczony głos Mela Coopera.

- Co masz dla mnie, Mel? Potrzebuję dobrych wiadomości.

- Mam nadzieję, że jest dobra. Chodzi o ten twój klucz. Przez cały dzień przeglądaliśmy wszystkie książki i bazy danych. Wreszcie znaleźliśmy.

- I co?

- To klucz do przyczepy kempingowej, wyprodukowanej przez McPherson Deluxe Mobile Home Company. Przyczepy tego typu wytwarzane były od roku 1946 aż do lat siedemdziesiątych. Firma już nie istnieje, ale według przewodnika, klucz, który znalazłeś, pasuje do przyczepy wyprodukowanej w roku 1969.

- Jakiś opis?

- W przewodniku nie ma żadnych zdjęć.

- Cholera. Powiedz mi, Mel, to taka przyczepa, którą się jeździ z kempingu na kemping, czy raczej mieszka się w niej nastaje?

- Raczej mieszka. Jest duża, osiem na dwadzieścia stóp.

- Dzięki, Mel.

Rhyme zakończył rozmowę. Powiedział Bellowi, czego się dowiedział.

- Co o tym myślisz, Jim? Stoją tu gdzieś w okolicy przyczepy kempingowe?

Szeryf pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Jest kilka przy drodze numer 17 i 158. Ale to dość daleko od kierunku, w którym poruszali się Amelia i Garrett. Poza tym pełno tam ludzi, raczej trudno byłoby im się ukryć. Mam kogoś wysłać?

-To daleko stąd?

- Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt mil.

-Nie. Garrett prawdopodobnie znalazł jakąś przyczepę porzuconą w lesie i po prostu ją zajął. -

Rhyme zerknął na mapę, myśląc: I może to być wszędzie na obszarze stu mil kwadratowych lasu.

Zastanawiał się także: Czy chłopiec nadal ma kajdanki? Czy zabrał Sachs broń? Czy czekał, aż ta zaśnie, by podkraść się do niej z kamieniem lub gniazdem szerszeni w ręku...

Ogarnięty nagłym niepokojem, odchylił głowę do tyłu, usłyszał cichy trzask kości.

Znieruchomiał, przestraszony, że znów dopadł go bolesny skurcz, który od czasu do czasu unieruchamiał mięśnie karku, jedne z niewielu, które działały jeszcze w miarę sprawnie.

Uważał za wielką niesprawiedliwość losu fakt, że ten sam uraz, który uczynił większość jego ciała całkowicie nieczułą, doświadczał pozostałą część dotkliwym bólem.

Tym razem nie było żadnego bólu, Thom dostrzegł jednak niepokój na twarzy Rhyme'a.

-Lincoln, wystarczy - oświadczył pomocnik stanowczym tonem. - Zmierzę ci ciśnienie, a potem idziesz do łóżka. Bez dyskusji.

-Dobrze, Thom, dobrze. Tylko najpierw musimy gdzieś zadzwonić.

-Popatrz tylko, która jest godzina. Kto jeszcze nie śpi o tej porze?

-Nie chodzi o to, kto jeszcze nie śpi - odparł Rhyme ze znużeniem. - Tylko kto się wkrótce obudzi.

Północ, bagna.

Odgłosy wydawane przez owady. Szybkie cienie nietoperzy. Pohukiwanie sowy. Lodowaty blask księżyca.

Lucy i jej towarzysze przeszli sześć mil do drogi numer 30, gdzie czekał na nich samochód turystyczny. Bell pociągnął za właściwe sznurki i „zarekwirował” tymczasowo pojazd z „Fred Fisher Winnebagos”, żadne zamówienie nas nie dziwi, klienci to nasi najlepsi przyjaciele...

Steve Farr przywiózł go tutaj, by grupa pościgowa miała gdzie przenocować.

Weszli do maleńkich wnętrz. Jesse, Trey i Ned rzucili się na kanapki z mięsem, które przywiózł Farr. Lucy wypila butelkę wody, zrezygnowała z jedzenia i poszła wziąć prysznic.

Farr i Bell - chwala im za to - znaleźli dla nich także czyste mundury.

Zadzwoiła do Jima Bella i powiedziała mu, że Garrett z Amelią włamali się do domu letniskowego.

- Oglądali sobie telewizję, rozumiesz?

Było już jednak zbyt ciemno, by prowadzić dalsze poszukiwania, postanowili więc poczekać do świtu.

Lucy wzięła czyste ubrania i weszła do łazienki. Kiedy zamknęła się w maleńkiej kabine prysznicowej, stała przez chwilę w bezruchu, pozwalając, by cienki strumień wody spływał

po jej ciele. Potem umyła włosy, twarz, szyję i, jak zawsze, z lekkim wahaniem namydliła płaską klatkę piersiową, dotykając głębokich

blizn, potem już znacznie pewniej przesunęła dłonie na brzuch i nogi.

Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, dlaczego czuje taką awersję do silikonu czy osiągnięć chirurgii plastycznej; lekarz tłumaczył jej, że mogą pobrać tkankę tłuszczową z ud albo pośladków i zrekonstruować jej piersi. Potrafili odtworzyć nawet sutki - albo je wytatuować.

Bo, mówiła sobie, to jest fałszywe. Nieprawdziwe.

I co z tego?

Lucy pomyślała o Lincolnie Rhymie. Jego nogi i ręce także były fałszywe - wózek i pomocnik. Ta myśl przypomniała jej jednak o Amelii Sachs i rozbudziła na nowo palący gniew. Odsunęła od siebie te rozważania, starając się choć na chwilę zrelaksować. Wytarła się rękami i pomyślała o szufladzie ze stanikami w pokoju gościnnym jej domu. Już dawno zamierzała je wyrzucić. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu nigdy tego nie zrobiła.

Włożyła bluzkę i spodnie, wyszła z łazienki. Jesse odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

-I co?

-Nic - westchnął. -Wciąż pracują, Jim i pan Rhyme. Pokręciła głową, kiedy Jesse podsunął jej jedzenie, potem usiadła przy stole i wyciągnęła służbowy rewolwer z kabury.

-Steve - zwróciła się do Farra.

Ten podniósł wzrok znad gazety i spojrzał na nią pytająco.

-Przyniosłeś to, o co cię prosiłam?

- Ach, tak.

Pogrzebał w schowku na rękawiczki i wręczył jej żółto-zielone pudełko z nabojami Remingtona. Lucy wyjęta ze swego pistoletu łagodnie zaokrąglone pociski i włożyła na ich miejsce nowe, zakończone niewielkimi wgłębieniami; tego rodzaju kule zatrzymują się w ciele ofiary i rozszarpują jej tkankę miękką. Jesse Corn obserwował ją uważnie, Nim jeszcze otworzył usta, wiedziała już, co jej powie.

- Amelia nie jest niebezpieczna - szepnął, kierując te słowa tylko do niej.

Lucy odłożyła broń i spojrzała mu prosto w oczy. -Jesse, wszyscy mówili, że Mary Beth jest nad oceanem, a okazuje się, że jest zupełnie gdzie indziej. Wszyscy mówili, że Garrett to idiota, a tymczasem ten dzieciak okazał się sprytny jak wąż i już kilka razy wystawił nas do wiatru. Teraz już nic nie jest pewne. Może Garrett ma gdzieś magazyn broni i chce nas wszystkich wystrzelać z ukrycia.

- Ale jest z nim Amelia. Ona do tego nie dopuści.

-Amelia jest zdrajczynią i nie można jej ufać. Posłuchaj, Jesse, widziałam twoją twarz, kiedy okazało się, że pod łodzią nikogo nie ma. Odetchnąłeś z ulgą. Wiem, że ją lubisz i masz nadzieję, że ona lubi ciebie... Nie, pozwól mi dokończyć. Ale ona wypuściła tego dzieciaka z więzienia. I gdybyś to ty był w rzece, a nie Ned, Amelia strzelałaby do ciebie równie szybko.

Jesse chciał zaprotestować, zamknął jednak usta, zmrożony jej spojrzeniem.

-Łatwo zadurzyć się w kimś takim jak ona - ciągnęła Lucy. -Jest ładna i pochodzi z innego miejsca, miejsca, które wydaje ci się pociągające... Ale ona nie rozumie tutejszego życia. I nie rozumie Garretta. Ty go znasz - to chory dzieciak, który dawno już powinien dostać dożywocie.

-Wiem, że Garrett jest niebezpieczny. Nie spieram się z tym.

Chodzi mi tylko o Amelię.

- A mnie chodzi o nas i o wszystkich ludzi z Blackwater Lan-ding, których ten chłopak zamierzał zabić jutro, w przyszłym tygodniu czy w przyszłym roku. Teraz chciałabym wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć. Jeśli nie, wracaj do domu, Jim przyśle tu na twoje miejsce Franka albo Lou.

Jesse spojrzał na pudełko z pociskami. Potem na nią. -Możesz, Lucy. Możesz na mnie liczyć.

-Dobrze. Chcę wierzyć, że nie są to puste słowa. Bo jutro rano zamierzam ich dopaść i zabrać z powrotem do Tanner's Cor-ner. Mam nadzieję, że żywych, ale prawdę mówiąc, nie jest to już

najważniejsze.

Mary Beth McConnell siedziała sama w chacie, zmęczona, lecz zbyt wystraszona, by zasnąć.

Wszędzie słyszała jakieś hałasy.

Zrezygnowała z sofy. Bała się, że jeśli tam zostanie, zaraz zaśnie, a obudzi ją trzask wyłamywanych drzwi i twarze Toma i Misjonarza, wykrzywione w lubieżnych uśmiechach.

Przysiadła więc na kuchennym stole, który był równie wygodny jak dziurawa cegła.

Odgłosy...

Na dachu, na ganku, w lesie.

Nie wiedziała, która jest godzina. Bala się nawet oświetlić tarczę ręcznego zegarka, kierowana irracjonalnym przekonaniem, że w ten sposób może zwabić swoich oprawców.

3z5

Wyczerpana. Zbyt zmęczona, by zastanawiać się, dlaczego to wszystko ją dotknęło, co mogła zrobić, by temu zapobiec. Żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary... Patrzyła na pole przed chatą, teraz całkiem ciemne. Okno było ramą jej losu: Kogo ujrzy przez nie następnego ranka? Swoich oprawców czy wybawicieli?

Czym był ten dźwięk: Gałęzią ocierającą się o pień drzewa? Czy trzaskiem zapalanej zapalki?

Czym były te iskierki światła w lesie: świetlikami czy ogniskiem?

Ten ruch - czy to kozioł zwabiony zapachem samicy, czy Misjonarz i jego przyjaciel, kręcący się wokół ogniska, przygotowujący kolację, po której przyjdą do niej, by zaspokoić swe cielesne potrzeby w inny sposób?

Mary Beth McConnell nie знаła odpowiedzi na te pytania. Dziś wieczór, podobnie jak często w jej życiu, miała w głowie tylko zamęt.

Znajdujesz szczątki osadników, ale zastanawiasz się, czy twoja teoria nie jest jednak kompletną bzdurą.

Twój ojciec umiera na raka - długa, wyczerpująca śmierć, zdaniem lekarzy, nieunikniona, ale ty wciąż myślisz: Może jednak dałoby się coś zrobić?

Dwaj mężczyźni czekają w lesie, chcą cię zgwałcić i zabić. A może jednak nie.

Może zrezygnowali. Może upili się bimbrem. Albo przestraszyli się konsekwencji i uznali, że ich grube żony albo spracowane dłonie są łatwiejsze, bezpieczniejsze od tego, co zamierzali z nią zrobić. Rozkraczona w twoim domu...

Ostry trzask rozerwał nagle ciszę nocy. Mary Beth podskoczyła przerażona. Strzał.

Wydawało jej się, że dochodzi z miejsca, w którym widziała ognisko. Po chwili następny.

Bliżej. Czy szedł w jej stronę jakiś człowiek z bronią?

Spocona ze strachu, ujęła mocniej maczugę. Nie mogła wyrzeć przez okno, nie mogła tego nie zrobić. Przerażona, że ujrzy w nim bladą twarz Toma.

Podniósł się wiatr, przygiął do ziemi krzewy i trawę, szeleścił gałęziami drzew.

Zdawało jej się, że słyszy śmiech jakiegoś mężczyzny, odgłos pochłonięty przez szum wiatru, niczym wołanie jednego z indiańskich duchów.

Zdawało jej się, że słyszy wołanie: -Przygotuj się, przygotuj się... A może się myliła.

- Słyszałeś strzały? - spytał Rich Culbeau, zwracając się do Tomela.

Siedzieli przy dogasającym ognisku. Czuli się niepewnie, nie Dyli nawet w części tak pijani i zadowoleni, jak podczas normalnego polowania.

-Pistolet - orzekł Tomel. - Duży kaliber. Dziesięć milimetrów albo czterdzieści cztery,

czterdzieści pięć. Automatyczny.

- Gówno! - parsknął Culbeau. - Nie możesz powiedzieć, czy jest automatyczny, czy nie.

- Mogę - upierał się Tomel. - Rewolwer jest głośniejszy ze względu na przerwę pomiędzy cylindrem i lufą. Logiczne.

- Gówno - powtórzył Culbeau. Potem spytał: - Daleko?

- Wilgotne powietrze. Jest noc... Jakieś cztery, pięć mil. - To-lel westchnął. - Chciałbym, żeby to się już skończyło. Mam tego dość.

Rozumiem cię - mruknął Culbeau. - W Tanner's Corner było łatwiej. Teraz wszystko się popieprzyło.

Cholerne komary - syknął Tom, zabijając jednego.

- Jak myślisz, po co ktoś strzela o tej porze? Dochodzi Pierwsza.

- Szop w śmieciach, czarny niedźwiedź w namiocie, facet ' łóżku z czyjąś żoną. Culbeau skinął głową.

- Patrz, Sean śpi. Ten facet może spać wszędzie i o każdej porze. - Culbeau rozgrzebał żar gałęzią, by ten szybciej wygasł.

- Wziął jakieś pieprzone prochy.

- Tak? Nie wiedziałem.

- Dlatego właśnie śpi zawsze i wszędzie. Dziwnie się zachoruje, nie uważasz? - spytał Tomel, patrząc na O'Sariana jak na rzemiącego węża.

- Woląłem go, kiedy się wygłupiał. Teraz zrobił się taki poważny, że aż się go boję. Trzyma ten swój pistolet jak własnego aitasu i w ogóle.

- Zgadza się. Hej, zdaje się, że miałeś jakieś świństwo na te komary, zjedzą mnie żywcem. I podaj mi przy okazji butelkę.

Amelia Sachs otworzyła oczy, słysząc huk wystrzału. Zajrzała do sąsiedniego pokoju, gdzie na materacu spał Gar-rett. Nie słyszał niczego. Drugi strzał.

Dlaczego ktoś strzela o tak późnej porze? - zastanawiała się. Strzały przypomniały jej o incydencie na rzece, o Lucy i innych policjantach, którzy bez ostrzeżenia ostrzelali ich łódkę.

Znów ujrzała pióropusze wody wzbijane przez pociski uderzające w rzekę.

Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, ale w lesie zapadła cisza. Słyszała tylko szum wiatru. I cykady, oczywiście.

Cykady to w ogóle strasznie dziwne stworzenia... Poczwaraki zakopują się w ziemi i zostają tam przez jakieś dwadzieścia lat, nim się wyklują... Przez wszystkie te lata siedzą ukryte w ziemi.

Wkrótce jednak jej umysł powrócił do sprawy, o której myślała wcześniej.

Amelia Sachs myślała o pustym krześle. Nie o technice doktora Penny'ego. Ani nie o tym, co Garrett powiedział jej o swoim ojcu i straszliwej nocy sprzed pięciu lat. Nie, myślała o innym pustym krześle - o elektrycznym wózku Lincolna Rhyme'a.

W końcu właśnie po to tu przyjechali. Rhyme ryzykował wszystko, swoje życie, resztkę sprawności, to, co łączyło go z Sachs, byle tylko mógł wreszcie wstać z krzesła, zostawić je za sobą puste. Przynajmniej metaforycznie, gdyby nawet ta konkretna operacja nie pozwoliła mu na to.

I teraz, leżąc w starej przyczepie, zbieg, samotny policjant w czas pięści, Amelia Sachs przyznała w końcu sama przed sobą, dlaczego tak bardzo nie chce dopuścić do tej operacji.

Oczywiście, martwiła się, że Rhyme może umrzeć albo że jego stan się pogorszy, albo że zabieg nie przyniesie żadnego rezultatu, a pacjent wpadnie w depresję.

Lecz to nie były największe obawy. To nie dlatego robiła wszystko, co w jej mocy, by nie dopuścić do zabiegu. Nie, nie -najbardziej bała się tego, że operacja zakończy się sukcesem.

Och, Rhyme, czy ty nie rozumiesz? Nie chcę, żebyś się zmieniał. Kocham cię takim, jakim jesteś. Gdybyś został taki, jak wszyscy inni, co stałoby się z nami?

Mówisz: „Zawsze ja i ty, Sachs”. Ale to „ja i ty” opiera się na tym, kim jesteśmy teraz. Ja i moje zakrwawione palce, i ciągła

potrzeba ruchu... Ty i twoje zniszczone ciało, i elegancki umysł, który pracuje szybciej i sprawniej niż silnik mojego camero.

Ten twój umysł, który pociąga mnie bardziej niż najwspanialszy, najbardziej namiętny kochanek.

A jeśli znowu staniesz się normalny? Kiedy będziesz miał własne ręce i nogi, czy nadal będziesz mnie chciał? Do czego miałbyś mnie wtedy potrzebować? Stałabym się tylko jeszcze jednym zwykłym gliniarzem. Poznasz kolejną kobietę podobną do tych, które niszczyły twoje życie w przeszłości - kolejną samolubną żonę, kolejną zamężną kochankę - i opuścisz mnie, tak jak mąż Lucy Kerr opuścił ją po jej operacji.

Chcę cię takim, jakim jesteś...

Wzdrygnęła się, zrozumiałwszy, jak bardzo egoistyczna jest ta myśl. Nie mogła jej jednak zignorować.

Pozostań na swym krześle, Rhyme! Nie chcę, żeby było puste... Chcę żyć z tobą tak, jak żyłam dotychczas. Chcę mieć z tobą dzieci, dzieci, które poznają cię właśnie takim, jakim jesteś teraz.

Amelia Sachs wpatrywała się w czarny sufit. Zamknęła oczy. Jednak dopiero godzinę później szum wiatru i monotonne granie cykad ukołysało ją do głębokiego, lecz niespokojnego snu.

Sachs wstała tuż po świcie, obudzona piskliwym dźwiękiem, który w jej śnie wydawany był przez cykadę, w rzeczywistości jednak okazał się sygnałem budzika. Wyłączyła go szybko.

Bolało ją całe ciało, czego zresztą mogła się spodziewać, spędziwszy noc na metalowej podłodze, przykrytej jedynie cienką matą.

Mimo to była dziwnie podekscytowana. Przez okna przyczepy wpadał jasny, intensywny blask słońca, a Sachs uznała to za dobry znak. Dziś mieli odszukać Mary Beth McConnell i powrócić z nią do Tanner's Corner. Mary Beth potwierdzi opowieść Garretta, a Jim Bell i Lucy Kerr zaczną szukać prawdziwego mordercy - mężczyzny w brązowych ogrodniczkach.

Patrzyła, jak Garrett budzi się w swoim pokoju i podnosi powoli z wygniecionego materaca.

Kilkakrotnie przeciągnął palcami przez włosy, doprowadzając je do porządku. Sachs zrobiła to samo, myśląc: Wygląda jak każdy inny nastolatek wczesnie rano. Zaraz się ubierze, pojedzie autobusem do szkoły, w której spotka przyjaciół, będzie się uczył na lekcjach, flirtował z dziewczynami i grał w piłkę. Kiedy obserwowała, jak Garrett, wciąż zaspany, rozgląda się za koszulą, zauważyła, że jest niezwykle chudy. Pomyślała, że ktoś powinien mu zapewniać przyzwoite jedzenie - płatki, mleko, owoce - prać jego ubrania, dbać o to, by chodził czysty. Po chwili zreflektowała się, że tak właśnie wyglądałaby opieka nad własnymi dziećmi, a nie nad obcymi pociechami, które przyjaciele zostawiali jej na kilka godzin, kiedy sami chcieli gdzieś wyjechać. Byłaby z nimi codziennie, patrzyła, jak się budzą, zaglądałaby do ich zabałaganionych pokoi, przygotowywała posiłki, kupowała ubrania, kłóciła się z nimi, troszczyła o nie.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się.

Garrett odpowiedział jej uśmiechem.

-Musimy iść - powiedział. - Musimy wrócić do Mary Beth. Za długo była sama. Na pewno

strasznie jej się chce pić.

Sachs powoli podniosła się z podłogi.

Garrett zerknął na swe piersi, poznaczone krostami, pozostałością po spotkaniu z sumakiem, i zawstydził się. Szybko naciągnął koszulę.

-Wychodzę na dwór. Muszę, wie pani, załatwić to i owo. Zostawię tu parę pustych gniazd szerszeni. To ich na chwilę zatrzyma, jeśli przyjdą. - Garrett wyszedł, wrócił jednak po chwili. Postawił na stole kubek z wodą i powiedział nieśmiało: - To dla pani. - Potem znów wyszedł.

Sachs powoli wypić wodę. Marzyła o szczoteczce do zębów i gorącym prysznicu. Może kiedy dojdą już...

- To on! - zawołał szeptem jakiś męski głos.

Sachs znieruchomiała na moment, wyjrzała przez okno. Nie dostrzegła nikogo. Lecz z wysokich krzewów obok przyczepy znów dobiegł ją sceniczny szept.

-Widzę go. Mam go na muszce.

Głos brzmiał znajomo. Uznała, że należy do przyjaciela Cul-beau, Seana O'Sariana.Tego chudego. Więc trójka obwiesiów ich znalazła - chcieli zapewne zabić chłopca albo zmusić go torturami do wyjawienia miejsca, w którym przetrzymuje Mary Beth.

Garrett nie słyszał tego głosu. Sachs widziała go przez okno -stał trzydzieści stóp dalej, układał na ścieżce puste gniazda szerszeni. Usłyszała szelest rozsuwanych gałęzi, kiedy Sean podkładał się do polany.

Pochwyciła smith & wessona i wyszła cicho na zewnątrz. Pochyliła się, próbowała przywołać Garretta rozpaczliwymi gestami. Nie widział jej.

Kroki w krzakach były coraz bliżej.

- Garrett - wyszeptała.

Odwrócił się, zobaczył, że Sachs przywołuje go do siebie. Zmarszczył brwi, widząc niepokój w jej oczach. Potem spojrzał w lewo, na krzaki, a jego twarz wykrzywiła się nagle w grymasie przerażenia. Uniósł ręce nad głowę, jakby chciał się poddać:

-Nie strzelaj, nie rób mi krzywdy! - wołał.

Sachs przykucnęła, odbezpieczyła pistolet i położyła palec na spuście. Wycelowała go w stronę Seana, który przedzierał się już przez ostatnie rzędy krzewów.

Wszystko wydarzyło się tak szybko...

Garrett upadł na brzuch, krzycząc:

-Nie, nie!

Amelia ujęła pistolet w obie dłonie, zacisnęła mocniej palec.

W tym momencie zza rogu przyczepy wyszedł Ned Spoto, zamrugał ze zdumienia powiekami, ujrzawszy przed sobą Amelię, potem rozłożył szeroko ręce i rzucił się na nią.

Przestraszona, Sachs odsunęła się o krok. Broń w jej ręce wypaliła, podskakując mocno do góry.

I Amelia zobaczyła poprzez chmurę dymu, jak pocisk z jej pistoletu uderza prosto w czoło człowieka, który wychodził z krzaków - a wcale nie był to Sean O'Sarian, lecz Jesse Corn.

Nad okiem młodego policjanta pojawiła się nagle czarna plama, a kiedy jego głowa odskoczyła raptownie do tyłu, wystrzelił z niej straszliwy różowy obłoczek. Nie wydawszy żadnego dźwięku, Jesse Corn runął bezwładnie na ziemię.

Sachs otworzyła szeroko usta, wpatrzona w ciało, które drgnęło jeszcze kilkakrotnie, by wreszcie znieruchomieć. Nie mogła złapać oddechu. Osunęła się na kolana, broń wypadła jej z ręki.

- O Jezu - szepnął Ned, także wpatrzony w ciało.

Nim zdążył się opanować i wyciągnąć broń, Garrett już pędził do niego. Podniósł z ziemi pistolet Sachs i wymierzył go w głowę Neda. Potem odebrał mu broń i rzucił ją w krzaki.

-Kładź się! - wrzeszczał. - Twarzą do ziemi!

- Jezu, Jezu... - powtarzał Ned w szoku.

-Już!

Ned posłusznie ułożył się na ziemi. Po jego opalonych policzkach toczyły się łzy.

Jesse! - odezwał się gdzieś w pobliżu głos Lucy. - Gdzie je steś? Kto strzelał?

Nie, nie, nie... - jęczała Sachs. Patrzyła, jak z głowy martwe go policjanta wypływają nieprawdopodobne ilości krwi.

Garrett Hanlon zerknął na ciało Jesse'a, potem ponad nie, w stronę zbliżających się kroków.

Objął Sachs ramieniem.

- Musimy iść.

Kiedy nie odpowiedziała, kiedy patrzyła tylko tępo przed siebie, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało - śmierć policjanta i koniec jej własnego życia - Garrett poderwał ją z ziemi, -

potem pociągnął za sobą. Zniknęli w lesie niczym para kochanków uciekających przed burzą.

Co się tam teraz dzieje? - myślał zdenerwowany Lincoln Rhyme.

Godzinę temu, o piątej trzydzieści odebrał telefoniczną wiadomość od bardzo niezadowolonego urzędnika z Wydziału Nieruchomości Urzędu Podatkowego Karoliny Północnej. Człowiek ten został o pierwszej trzydzieści wyrwany z łóżka i powiadomiony, że ma sprawdzić zaległości podatkowe, dotyczące działek, na których stoi przyczepa kempingowa typu McPherson. Rhyme sprawdził najpierw, czy rodzice Garretta nie posiadali kiedyś takiej przyczepy, a kiedy upewnił się, że nie, doszedł do wniosku, że przyczepa używana przez Garretta została zapewne porzucona przez swego właściciela. To zaś oznaczało, że ten zalega z podatkami.

Zastępca dyrektora powiedział mu, że na terenie stanu były dwie takie posiadłości. W jednym przypadku działka mieszcząca się w pobliżu Blue Ridge została wraz z przyczepą sprzedana pewnemu małżeństwu, które obecnie tam mieszka. Druga, pół-akrowa działka nie była nawet warta pieniędzy, jakie trzeba wyłożyć na aukcję. Podał Rhyme'owi adres; miejsce to położone jest o jakieś pół mili od Paquenoque, w kwadracie C-6.

Rhyme natychmiast zadzwonił do Lucy i wysłał tam grupę pościgową. Mieli zbliżyć się niepostrzeżenie do polany, otoczyć przyczepę i namówić Garretta i Amelię do kapitulacji.

Kiedy kontaktował się z nimi po raz ostatni, policjanci odnaleźli właśnie przyczepę i skradali się do niej.

Niezadowolony, że jego szef ani na moment nie zmrużył oka ostatniej nocy, Thom wysłał

Bena z pokoju i odprawił codzienny poranny rytuał; mocz, stolec, mycie zębów, ciśnienie krwi.

-Wysokie - mruknął, odkładając ciśnieniomierz.

Zbyt wysokie ciśnienie może w przypadku paraplegika doprowadzić do zaburzeń, które powodują wylew. Ale Rhyme nie zwracał na to uwagi. Nie myślał o śnie ani o jedzeniu.

Chciał tylko odnaleźć Amelię. Chciał...

Rhyme podniósł wzrok. W drzwiach laboratorium pojawił się Jim Bell, mocno czymś poruszony. Za nim szedł Ben Kerr, równie zatroskany.

- Co się stało? - spytał Rhyme. - Nic jej nie jest? Czy Amelia...

- Zabiła Jesse'a - wyszeptał Bell. - Strzeliła mu w głowę.

Thom znieruchomiał. Zerknął na Rhyme'a. Szeryf tymczasem kontynuował:

- Chciał aresztować Garretta. Zastrzeliła go. Uciekli.

-Nie, to niemożliwe - szeptał Rhyme. - To jakaś pomyłka. Ktoś inny to zrobił.

Bell kręcił jednak głową.

-Nie. Był tam Ned Spoto. Widział wszystko... Nie mówię, że zrobiła to celowo; Ned rzucił się na nią, a jej broń wypaliła. Ale nadal jest to morderstwo pierwszego stopnia.

O mój Boże...

Amelia... policjant w drugim pokoleniu. A teraz zabiła jednego ze swoich. Największy grzech, jaki może popełnić gliniarz.

-To już nas przerasta, Lincoln. Muszę powiadomić policję stanową.

-Poczekaj, Jim - powiedział Rhyme szybko. - Proszę... Ona jest teraz zdesperowana, przestraszona. Garrett też. Jeśli wezwiesz tropicieli, może być jeszcze więcej ofiar. Będą chcieli zastrzelić ich oboje.

- Cóż, najwyraźniej powinni to zrobić - odparował Bell.

- I to

na samym początku.

-Znajdę ich dla ciebie. Jestem blisko. - Rhyme wskazał głową na listę i na mapę.

-Dałem ci jedną szansę i zobacz, co z tego wynikło.

-Znajdę ich i namówię, żeby się poddali. Wiem, że potrafię.

Ja...

Bell odleciał nagle na bok, odepchnięty przez jakiegoś rozwścieczonego mężczyznę. Był to Mason Germain.

- Ty pieprzony skurwysynu! - wrzasnął i rzucił się w stronę Rhyme'a. Thom stanął mu na drodze, ale policjant odrzucił go na podłogę, a potem pochwycił kryminalistykę za koszulę. -

Ty pierdolony cudaku! Przyjechałeś tutaj, żeby się bawić w te swoje...

-Mason! - Bell ruszył w jego stronę, ale zastępca znów go odepchnął.

-...w te swoje gierki z dowodami, swoje układanki. A teraz zginął przez ciebie dobry człowiek!

Rhyme poczuł tanią wodę kolońską, kiedy policjant odciągnął pięść do uderzenia.

Kryminalistyk skrzywił się i odwrócił głowę.

-Zabiję cię. Zrobię z ciebie... - Głos Masona ucichł nagle, kiedy potężne ramię objęło go wpół i uniosło ponad podłogę.

Ben Kerr odnosił Masona do drzwi.

-Kerr, do cholery, puść mnie! - wrzeszczał Mason. - Ty dupku! Jesteś aresztowany!

- Niech się pan uspokoi, oficerze - odparł wielkolud powoli.

Mason sięgał wolną ręką po pistolet, lecz Ken pochwycił policjanta mocno za nadgarstek.

Spojrzał na Bella, ten odczekał chwilę i skinął głową. Ben wypuścił zastępcę. Mason cofnął się o krok, dygocąc z wściekłości, po czym zwrócił się do szeryfa:

-Pojadę tam, znajdę tę kobietę i...

-Nigdzie nie pojedziesz, Mason - przerwał mu Bell. - Jeśli chcesz nadal tu pracować, zrobisz to, co ci każę. Załatwimy to na swój sposób, a ty zostaniesz w biurze. Rozumiesz?

-To suka, Jim. Ona...

Rozumiesz mnie?

Tak, kurwa, rozumiem. - Mason wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

- Nic ci nie jest? - spytał Rhyme'a Bell.

Rhyme pokręcił głową.

-A tobie? - spojrzał na Thoma.

-Nie. - Pomocnik poprawił koszulę Rhyme'a i pomimo jego protestów jeszcze raz zmierzył mu ciśnienie. -To samo. Za wysokie, ale nie krytyczne.

Szeryf pokręcił głową.

-Muszę zadzwonić do rodziców Jesse'a. Boże, nie chcę tego robić. - Podeszedł do okna i wyjrzał na dwór. - Najpierw Ed, teraz Jesse. Co za koszmar.

- Proszę, Jim - powtórzył Rhyme. - Pozwól mi ich znaleźć i porozmawiać z nią. Jeśli tego nie zrobisz, poleje się jeszcze więcej krwi. Wiesz o tym. Będziemy mieli kolejne trupy.

Bell westchnął. Spojrzał na mapę.

-Mają dwadzieścia minut przewagi. Myślisz, że możesz ich znaleźć?

-Tak - odparł Rhyme. - Mogę ich znaleźć.

-Tam - powiedział Sean O'Sarian. - Na pewno. Rich Culbeau patrzył na zachód, w kierunku, z którego przed chwilą dobiegł ich huk wystrzału i jakieś krzyki. Culbeau skończył sikać pod drzewem i spytał:

Co tam jest?

Bagno, kilka starych domów - odparł Harris Tomel, który podczas polowań poznał chyba każdą piędź okręgu Paquenoque.

- Nic poza tym. Widziałem tu kiedyś szarego wilka. - Wilki teoretycznie należały do gatunków wymarłych, coraz częściej jednak wracały na ten teren.

Żartujesz - mruknął Culbeau. Zawsze chciał zobaczyć wilka na wolności.

Zastrzeleń go? - spytał O'Sarian.

Do wilków się nie strzela - odparł Tomel.

Są pod ochroną - dodał Culbeau.

No i co z tego?

Culbeau zrozumiał, że nie ma odpowiedzi na to pytanie. Czekali jeszcze przez kilka minut, nie usłyszeli już jednak żadnych strzałów ani krzyków.

- Możemy chyba iść - powiedział Culbeau, spoglądając na zachód.

-Możemy - zgodził się O'Sarian, popijając wodę z butelki.

-Znowu będzie dzisiaj gorąco - westchnął Tomel, patrząc na jasny krąg słońca.

- Codziennie jest gorąco - mruknął Culbeau. Podniósł broń i ruszył w górę ścieżki, prowadząc za sobą Tomela i O'Sariana.

Trach.

Mary Beth otworzyła gwałtownie oczy, budząc się z głębokiego, niechcianego snu.

Trach.

-Hej, Mary Beth! - zawołał wesoło jakiś mężczyzna. Jak dorosły przemawiający do dziecka.

Wciąż lekko nieprzytomna, pomyślała: To tata! Dlaczego wyszedł ze szpitala? Nie powinien rąbać drewna, nie ma do tego siły. Muszę położyć go do łóżka. Wziął już lekarstwo!

Czekaj!

Usiadła prosto, oszołomiona, z okropnym bólem głowy. Zasnęła na stole.

Trach.

Zaraz. To nie tata. On nie żyje... To Jim Bell...

Trach.

-Maryyyyyyyyyy Beeeeth...

Podskoczyła, kiedy w oknie ukazała się uśmiechnięta twarz i opalona łysina Toma.

Kolejny trzask, kiedy siekiera Misjonarza wbiła się w drzwi.

Tom przechylił głowę, zaglądał do mrocznego wnętrza.

- Gdzie jesteś?

Wpatrywała się w niego, sparaliżowana strachem.

Tom mówił dalej:

-Ach, tutaj. No, no, jesteś ładniejsza, niż mi się wydawało. -Podniósł rękę, pokazał jej zeszyty nadgarstek. - Dzięki tobie straciłem pół kwarty krwi. Chyba należy mi się teraz coś w zamian?

Trach.

-Muszę ci powiedzieć, kochanie - kontynuował Tom - że wczoraj przed snem myślałem ciągle o twoich cycuszkach. Dzięki ci i za tę odrobinę słodyczy.

Trach.

Tym razem siekiera przebiła się przez drzwi. Tom odszedł od okna i dołączył do swego przyjaciela.

-Wal dalej, chłopie - zachęcał go głośno. - Teraz masz już z górki.

Trach.

Teraz martwił się, że Sachs zrobi krzywdę sobie samej.

Odkąd znał Amelię, widział, jak jej dłonie znikają we włosach i powracają okrwawione.

Widział, jak ze zdenerwowania ogryza paznokcie i rozdrapuje skórę do krwi. Widział, jak jeździ sto pięćdziesiąt mil na godzinę. Nie wiedział dokładnie, co ją do tego popycha, ale na pewno było w Amelii Sachs jakieś pragnienie życia na krawędzi.

Teraz, kiedy doszło do tej tragedii, kiedy zabiła policjanta, mogła przekroczyć tę ostateczną linię. Po wypadku, który uczynił z Rhyme'a kalekę, Terry Dobyns, psycholog z nowojorskiej policji, powiedział mu, że owszem, od czasu do czasu będzie miał ochotę się zabić. Ale to nie depresja pchnęłaby go do tego czynu. Depresja pozbawia człowieka energii; główną przyczyną samobójstwa byłaby śmiertelna mieszanka desperacji i paniki.

A z pewnością właśnie w takim stanie znajdowała się teraz Amelia Sachs - ścigana, zdradzona przez własną naturę.

Znajdź ją! - powtarzał sobie bez przerwy. Znajdź ją szybko. Ale gdzie ona była? Odpowiedź na to pytanie wciąż mu się wymykała.

Jeszcze raz spojrział na listę. Nie miał żadnych materiałów z przyczepy. Lucy i jej towarzysze przeszukali ją szybko - zbyt szybko, oczywiście. Pałali żądzą krwi - nawet sparaliżowany Lincoln Rhyme doznawał czasem tego uczucia - chcieli jak najszybciej odnaleźć człowieka, który zabił ich przyjaciela.

Jedynie wskazówki, dotyczące miejsca pobytu Mary Beth -czyli miejsca, do którego zmierzała teraz Amelia i Garrett - wypisane zostały na tablicy, miał je przed oczami. Były jednak bardziej enigmatyczne niż jakiegokolwiek dowody, z którymi miał dotąd do czynienia.

Znaleziona na wtórnym miejscu przestępstwa - młun

Brązowa farba na spodniach

Rosiczka

Glina

Torfowiec
Sok owocowy
Włókna papieru
Przynęta na ryby
Cukier
Kamfen
Alkohol
Drożdże

Potrzebujemy więcej dowodów! - krzyczał na siebie w myślach.

Ale nie mamy ich więcej.

Kiedy po wypadku Rhyme przechodził przez kolejny etap rozpaczy, etap „negacji”, próbował zebrać w sobie jakieś nadludzkie siły, które pozwoliłyby mu odzyskać władzę nad swym ciałem. Przypominał sobie historie o ludziach, którzy podnosili samochody, by wyciągnąć spod nich dzieci, albo biegli z nieprawdopodobną prędkością, by wezwać pomoc. Po jakimś czasie zrozumiał jednak, że tego rodzaju siła nie jest już dlań dostępna. Posiadał jednak moc innego typu - moc umysłu. Myśl! Wszystko, co masz, to twój umysł i ta lista przed tobą.

Dowody się nie zmieniają.

Więc zmień sposób myślenia.

Dobrze, zacznijmy od początku. Jeszcze raz przejrzał całą listę. Sprawa klucza została rozwiązana. Drożdże pochodzą z młyna. Cukier z jedzenia lub soku. Kamfen ze starej lampy.

Farba z budynku, w którym przetrzymywana jest Mary Beth. Nafta z łodzi. Alkohol może pochodzić ze wszystkiego. Śmiecie w mankietach spodni Garretta? Nie wykazywały żadnych szczególnych właściwości i były...

Zaraz... śmieci.

Rhyme przypomniał sobie, że wraz z Benem sprawdzał gęstość próbek ziemi pochodzących z butów i samochodów ludzi zamieszkujących różne części okręgu. Kazał Thomowi sfotografować wszystkie próbki polaroidem i zaznaczyć, która próbka do kogo należy.

-Ben?

-Co?

- Sprawdź strukturę gęstości ziemi z mankietów Garretta.

Kiedy grudki ziemi opadły na dno próbek, zoolog powiedział:

- Mam rezultaty.

-Porównaj je ze zdjęciami próbek, które robiłeś wczoraj. - Dobrze, dobrze - pokiwał głową Ben, któremu ten pomysł bardzo się podobał. Przerzucił kilka zdjęć, znieruchomiał nagle.

- Mam! - krzyknął. - Jedna jest prawie identyczna.

Rhyme z zadowoleniem zauważył, że zoolog już bez wahania wyraża swoje opinie. I nie traktuje go jak wybryku natury.

- Z czyich butów pochodziła ta próbka?

Ben spojrział na napis po drugiej stronie zdjęcia. -Frank Heller. Pracuje w wydziale robót publicznych.

Jest tu jeszcze?

Zaraz się dowiem. - Ben zniknął za drzwiami. Powrócił kilka minut później, prowadząc ze sobą łysiejącego, otyłego mężczyznę w koszuli z krótkimi rękawami.

Ten spojrział na Rhyme'a niepewnie.

- To pan kazał nam wczoraj czyścić buty. - Roześmiał się, ale bez przekonania.

- Frank, znów potrzebujemy pana pomocy - wyjaśnił kryminalistyk. - Ziemia z pańskich butów pasuje do ziemi, którą znaleźliśmy na ubraniu podejrzanego.

- Tego chłopaka, który porwał dziewczynę? - mruknął Frank, czerwieniąc się ogniście, jakby to on był winien.

-Zgadza się. Co znaczy, że być może - to bardzo ryzykowna hipoteza, ale nie niemożliwa - przetrzymuje dziewczynę niedaleko miejsca, w którym pan mieszka. Czy mógłby pan pokazać na mapie, gdzie to dokładnie jest?

-To nie znaczy, że jestem podejrzany czy coś takiego?

-Nie, Frank. Absolutnie nie.

-Bo ja każdej nocy jestem z żoną. Oglądamy telewizję. Milionerów i Koło Fortuny. Jak w zegarku. Potem film. Czasami przychodzi jej brat. Oni mogą to wszystko poświadczyć.

Szwagier jest mi winien trochę pieniędzy, ale poświadczyłby i tak.

-Wszystko jest w całkowitym porządku - zapewnił go Ben. -Chcemy tylko wiedzieć, gdzie pan mieszka. Proszę pokazać na tej mapie.

-To będzie tutaj. - Podszedł do ściany i dotknął kwadratu D-3. Na północ od Paąenoke, na północ od miejsca, w którym zginął Jesse. Zgodnie z tym, co pokazywała mapa, w tym rejonie było sporo dróg, ale żadnego miasta.

Jak wygląda okolica, w której pan mieszka?

Głównie lasy i pola.

-Zna pan jakieś miejsce, w którym ktoś mógłby ukryć porwaną dziewczynę?

Frank poważnie zastanowił się nad tym pytaniem.

- Nie, nie znam.

Rhyme:

-Mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

Oprócz tych, które pan już zadał?

-Zgadza się.

Chyba tak.

Słyszał pan o karolińskich gliniankach?

Jasne, każdy słyszał. Zrobiły je meteory. Dawno temu. Kiedy wymarły dinozaury.

Czy w pobliżu pańskiego domu są takie glinianki?

O, pewnie.

Właśnie taką odpowiedź chciał od niego usłyszeć Rhyme. -Przynajmniej z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt. A takiej odpowiedzi się obawiał.

Głowa odchylona do tyłu, oczy zamknięte, jeszcze jedna analiza listy dowodów.

Jim Bell i Mason Germain powrócili do laboratorium, byli tu także Thom i Ben, Lincoln Rhyme nie zwracał na nich jednak uwagi. Był w swoim własnym świecie, uporządkowanej krainie nauki, dowodów i logiki, w miejscu, gdzie nie potrzebował rąk ani nóg, gdzie nie miały wstępu uczucia i sentymenty. Oczami umysłu widział dowody równie wyraźnie, jakby patrzył na tablicę. Właściwie widział je w ten sposób lepiej.

Farba, cukier, drożdże, ziemia, kamfen, farba, ziemia, cukier... Drożdże... drożdże...

Jakaś myśl przemknęła przez jego umysł, zniknęła. Wróć, wróć, wróć...

Jest! Złapał ją.

Otworzył raptownie oczy. Spojrzał w kąt pokoju. Ben powędrował za jego spojrzeniem.

O co chodzi, Lincoln?

Macie tutaj ekspres do kawy?

Kawa? - powtórzył z oburzeniem Thom. - Żadnej kofeiny.

Przy twoim ciśnieniu...

-Nie, do cholery, nie chcę żadnej kawy! Chcę filtr do kawy.

- Filtr? Zaraz przyniosę. - Bell wyszedł z pokoju i wrócił pochwili z papierowymi filtrami do kawy.

-Daj je Benowi - polecił Rhyme. Potem powiedział do zoologa: - Sprawdź, czy włókna papieru z filtrów pasują do tych, które znaleźliśmy na jego ubraniach we młynie.

Ben starł kilka włókien papieru na płytkę mikroskopu. Spojrzał na nie, poprawił ostrość, a potem ustawił próbki tak, że mógł je widzieć obok siebie.

-Barwa jest trochę inna, ale struktura i rozmiar włókien praktycznie takie same.

-Dobrze. - Rhyme skinął głową, wpatrując się teraz w koszulkę poplamioną sokiem. - Ten sok, sok owocowy na koszulce - zwrócił się do Bena. - Spróbuj go jeszcze raz. Jest trochę kwaśny? Cierpki?

Ben polizał koszulkę.

- Może trochę. Trudno powiedzieć.

Rhyme spojrzał na mapę, wyobrażając sobie, że Lucy i pozostali okrążają Sachs gdzieś w tej głuszy, gotowi strzelać bez ostrzeżenia. Że Garrett ma pistolet Sachs i może skierować go przeciwko niej.

Albo że to ona przystawia właśnie lufę do własnej skroni i pociąga za spust.

Jim - powiedział. - Chcę, byś mi coś przyniósł. Pewną substancję do analizy.

Jasne, Lincoln. Skąd? - Bell wyciągnął z kieszeni kluczyki.

Och, nie będziesz potrzebował do tego samochodu.

Lucy Kerr wciąż powracała myślami do obrazów z przeszłości.

Jesse Corn pierwszego dnia pracy w biurze szeryfa, idealnie wyglansowane buty, ale skarpetki nie do pary; ubierał się jeszcze przed świtem, by, broń Boże, nie spóźnić się do pracy.

Jesse Corn skulony za wozem policyjnym, ramię w ramię z Lucy, podczas gdy Barton Snell - nafaszerowany PCP - strzela do nich z wiatrówki. Dopiero argumenty Jesse'a przekonały go, by odłożyć broń.

Jesse Corn, dumny jak paw, zajeżdża swoim nowym wiśniowym fordem pick-upem pod gmach urzędu okręgowego i wozi nim dzieciaki po parkingu. „Liii” - wrzeszczały wszystkie radośnie, kiedy przejeżdżał po progach spowalniających.

Te myśli - i dziesiątki innych - nie opuszczały jej teraz, kiedy wraz z Nedom i Treyem szła przez wielki dębowy las. Jim Bell kazał im czekać przy przyczepie, powiedział, że przyśle na ich miejsce Steve'a Farra, Franka i Masona. Chciał, by Lucy i jej towarzysze wrócili do biura.

Ci jednak nawet nie chcieli o tym słyszeć. Ułożyli ciało Jesse'a w przyczepie, przykryli je prześcieradłem, po czym oznajmili Jimowi, że ruszają w pościg za zbiegami i że nic ich przed tym nie powstrzyma.

Garrett i Amelia uciekali szybko, nie próbowali nawet zacierać śladów. Poruszali się ścieżką biegnącą wzdłuż trzęsawiska. Ziemia była tutaj miękka, a odciski stóp wyraźne. Lucy przypomniała

sobie coś, co Amelia powiedziała Lincolnowi Rhy-me'owi, patrząc na ślady w Blackwater Landing; ciężar ciała Bil-ly'ego Staila spoczywał głównie na palcach, co znaczyło, że chłopiec biegł w stronę Garretta, by uratować Mary Beth. Lucy zauważyła, że tak samo wyglądają ślady uciekinierów. Biegli.

Bez zastanowienia zwróciła się więc do swych towarzyszy:

- Biegnijmy.

I pomimo upału i zmęczenia wszyscy troje poderwali się do biegu.

Zwolnili dopiero o milę dalej, gdzie ziemia była już sucha, a ślady znacznie mniej wyraźne.

Trop znikał na wielkiej trawiastej polanie.

- Cholera - mruknęła Lucy, zdyszana i wściekła, że zgubiła trop. - Cholera!

Okrążyli polanę, obejrzelili każdą piędź ziemi, nie znaleźli jednak ani śladów, ani żadnej ścieżki, którą mogli pobiec Garrett i Amelia.

- i co robimy? - spytał Ned.

Dzwonimy i czekamy - mruknęła Lucy. Oparła się o drzewo, chwyciła butelkę z wodą, którą rzucił jej Trey, i wypila całą jej zawartość.

Przypominając sobie:

Jesse Corn pokazuje nieśmiało swój błyszczący srebrny pistolet, którego chciał używać na zawodach Towarzystwa Strzeleckiego. Jesse Corn idzie ze swymi rodzicami do Pierwszego Kościoła Baptistów przy Locust Street.

Obrazy przepływały przez jej głowę. Pogłębiały ból i gniew. Lecz Lucy nie próbowała ich od siebie odsunąć. Chciała, by przy spotkaniu z Amelią Sachs jej gniew był nieubłagany.

Drzwi chaty otworzyły się ze skrzypnięciem na kilka cali.

- Mary Beth! - wołał Tom. - Wychodź, zabawimy się.

Przez chwilę szeptał o czymś z Misjonarzem. Potem znów przemówił:

- Chodź do nas, kochanie. Nie skrzywdzimy cię. Wczoraj tylko żartowaliśmy. Nic ci nie zrobimy, naprawdę.

Stała oparta plecami o ścianę, ukryta za frontowymi drzwiami. Milczała. W obu dłoniach ścisnęła mocno maczugę.

Drzwi otworzyły się szerzej, zawiasy znów zaskrzypiały. Na podłogę padł cień. Tom powoli, ostrożnie wszedł do środka.

Gdzie ona jest? - szepnął Misjonarz zza drzwi.

Tam jest piwnica - odparł Tom. - Założę się, że do niej wlaźła.

- No to wyciągnij ją stamtąd i chodźmy. Nie podoba mi się tu.

Tom zrobił następny krok. W dłoni trzymał długi, wąski nóż.

Mary Beth nie czekała. Znała indiańską filozofię walki, a jedna z jej zasad mówiła, że jeśli rokowania zawiodą i wojna jest nieunikniona, nie należy tracić czasu na groźby, lecz natychmiast atakować całą siłą. Celem bitwy nie jest przestraszenie przeciwnika, nękanie go czy namawianie do kapitulacji, lecz jego zniszczenie.

Mary Beth wysunęła się więc cicho zza drzwi, wrzasnęła jak duch Manitu i trzymając maczugę w obu dłoniach, wzięła szeroki zamach. Tom obrócił się na pięcie, poblady z przerażenia.

-Uważaj! - krzyknął Misjonarz.

Ale Tom nie miał szans. Maczuga uderzyła poniżej ucha, roztrzaskała szczękę i zatrzymała się dopiero na gardle. Tom wypuścił nóż z ręki, chwycił się za szyję i opadł na kolana, charcząc przeraźliwie. Wyczołgał się na zewnątrz.

-Ffomóff... ffomóff mi - wyrząził.

Nie doczekał się jednak żadnej pomocy - Misjonarz po prostu chwycił go za kołnierz, ściągnął z werandy i ułożył na ziemi.

- Ty durniu - mruknął do swego przyjaciela, a potem wyciągnął pistolet z tylnej kieszeni.

Mary Beth zamknęła drzwi i znów stanęła pod ścianą, ocierając pot z czoła i poprawiając chwyt na maczudze. Słyszała cichy trzask odbezpieczanej broni.

-Mary Beth, mam tutaj pistolet, i jak się pewnie domyślasz, w tych okolicznościach mogę go bez problemu użyć. Więc wyjdź na zewnątrz. Jeśli tego nie zrobisz, zacznę strzelać do środka i w końcu cię trafię.

Przykucnęła pod ścianą za drzwiami, czekając na strzał.

Ale Misjonarz wcale nie strzelał. To był podstęp; kopnął drzwi z całej siły, te zaś uderzyły w Mary Beth, ogłuszyły ją na moment i przewróciły na podłogę. Kiedy jednak Misjonarz przeszedł przez próg, Mary Beth kopnęła je z powrotem, równie mocno. Napastnik zupełnie się tego nie spodziewał, więc kiedy ciężkie, drewniane skrzydło uderzyło go w ramię, stracił

równowagę. Mary Beth doskoczyła doń i zamachnęła się maczugą, mierząc w jedyny punkt, którego mogła dosięgnąć - jego łokieć. Misjonarz jednak w ostatniej chwili przypadł do podłogi, a kamień chybił celu. Moment obrotowy wyrwał ciężką maczugę ze spoconych rąk dziewczyny i rzucił ją na podłogę kilka stóp dalej.

Nie miała czasu, by po nią wracać. Uciekaj! - krzyczało coś w głowie Mary Beth. Dopadła drzwi, nim Misjonarz zdążył się odwrócić w jej stronę, i wybiegła na zewnątrz.

Wreszcie!

Wreszcie wyrwała się z tej piekielnej dziury!

Biegła na lewo, do ścieżki, którą przyprowadził ją tutaj Garrett, nad wielką gliniankę.

Zakręciła za rogiem chaty, zmierzając w stronę stawu.

I wpadła prosto w ramiona Garretta Hanlona.

- Nie! - krzyknęła. - Nie!

Chłopiec patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. W dłoni trzymał pistolet.

-Jak się stąd wydostałaś? Jak? - Pochwycił jej rękę w nadgarstku.

-Puść mnie! - Próbowała się wyrwać, ale jego uchwyt był silny jak stal.

Za Garrettem szła ładna rudowłosa kobieta o ponurej twarzy. Jej ubranie, podobnie jak odzież Garretta, było wymięte i brudne. Wcale nie wydawała się zaskoczona tym nagłym spotkaniem z Mary Beth. Była dziwnie oziębiała.

- Cholera! - rozbrzmiał z tyłu głos Misjonarza. -Ty pieprzona suko!

On także wyszedł zza rogu i stanął jak wryty, ujrawszy lufę pistoletu, którą Garrett skierował prosto w jego głowę.

-Kim jesteś? - wrzeszczał chłopak. - Co zrobiłeś z moim domem? Co zrobiłeś Mary Beth?

-Zaatakowała nas! Popatrz na mojego przyjaciela. Popatrz...

-Rzuć to! - warknął Garrett, wskazując głową na jego broń. -Rzuć to albo cię zabiję! Zrobię to. Rozwalę ci ten pieprzony łeb!

Misjonarz spojrzał na twarz chłopca i na jego pistolet.

Jeżu... - Rzucił rewolwer w trawę.

A teraz wynoś się stąd! No już!

Misjonarz wycofał się i pomógł Tomowi wstać z ziemi. Wsparci o siebie, odeszli w stronę

drzew.

Garrett ruszył do drzwi chaty, ciągnąc za sobą Mary Beth.

-Do domu! Musimy wrócić do środka. Ścigają nas. Nie mogą nas zobaczyć. Schowamy się w piwnicy. Patrz, co zrobili z zamkami! Rozbili moje drzwi!

-Nie, Garrett! - oświadczyła Mary Beth chrapliwym głosem. - Ja tam nie wrócę.

On jednak bez słowa wciągnął ją do wnętrza chaty. Milcząca kobieta szła niepewnie ich śladem. Garrett zatrzasnął drzwi, patrząc z rozpaczą na rozbite drewno i wyłamane zamki.

Mary Beth podeszła do niego i wymierzyła mu siarczysty policzek. Chłopak zatrzepotał powiekami ze zdumienia i cofnął się o krok.

-Ty gnoju! - wrzasnęła. - Oni mogli mnie zabić.

Garrett był wstrząśnięty.

-Przepraszam! - wyszeptał łamiącym się głosem. - Nie wiedziałem o nich. Myślałem, że nikogo tu nie ma. Nie chciałem zostawić cię na tak długo. Aresztowali mnie.

Wsunął pod drzwi kilka większych drzazg, by je zaklinować.

-Aresztowali? - Mary Beth zmarszczyła brwi. - Więc co tutaj robisz?

Wreszcie przemówiła rudowłosa. Słabym, monotonnym głosem powiedziała: Ja wypuściłam go z więzienia. Żebyśmy mogli cię odnaleźć i sprowadzić do domu. I żebyś mogła potwierdzić jego historię o mężczyźnie w ogrodniczkach.

O jakim mężczyźnie? - spytała Mary Beth, skonfundowana.

W Blackwater Landing. Mężczyzna w brązowych ogrodniczkach, ten, który zabił Billy'ego Staila.

-Ale... - Dziewczyna kręciła głową. - To Garrett zabił Bil-ly'ego. Uderzył go łopata.

Widziałam to na własne oczy. Potem mnie porwał.

Mary Beth nigdy jeszcze nie widziała równie zdumionego człowieka. Kompletny szok i konsternacja. Rudowłosa zaczęła się odwracać do Garretta, wcześniej jednak coś przykuło jej uwagę: rząd puszek z warzywami „Farmer John”. Podeszła do stolika, bardzo powoli, jakby poruszała się we śnie, i podniosła jedną z puszek. Wpatrywała się przez chwilę w rysunek przedstawiający uśmiechniętego blondyna w brązowych ogrodniczkach i białej koszuli.

-Wymyśliłeś to? - wyszeptała do Garretta, podnosząc puszkę. - Nie było żadnego mężczyzny w ogrodniczkach. Okłamałeś mnie.

Garrett błyskawicznie doskoczył do niej, wyrwał z za jej pasa kajdanki i zatrzasnął je na przegubach rudowłosej.

-Przykro mi, Amelio - powiedział. - Ale gdybym powiedział ci prawdę, nigdy byś mnie nie wypuściła. To był jedyny sposób. Musiałem tu wrócić. Musiałem wrócić do Mary Beth.

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młyn

Brązowa farba na spodniach

Rosiczka

Glina

Torfowiec

Sok owocowy

Włókna papieru

Przynęta na ryby

Cukier

Kamfen

Alkohol

Nafta

Drożdże

Lincoln Rhyme obsesyjnie wpatrywał się w listę, czytał ją od góry do dołu i z powrotem.

I jeszcze raz.

Dlaczego ten chromatograf tak się ślimaczy? - myślał.

Jim Bell i Mason Germain siedzieli obok, obaj ponurzy i milczący. Lucy zadzwoniła przed kilkoma minutami, by powiedzieć, że zgubili trop i że czekają kilka mil na północ od przyczepy -w kwadracie C-5.

Chromatograf pracował głośno, wszyscy w pokoju czekali na wyniki badania.

Kilkuminutową ciszę przerwał wreszcie głos Bena Kerra: -Rzeczywiście, tak mnie nazywają.

Na pewno właśnie tak

pan przypuszczał.

Rhyme spojrzał nań pytająco.

- Big Ben. Jak ten zegar w Anglii. Na pewno się pan zastanawiał.

- Nie, nie zastanawiałem się. Masz na myśli szkołę?

Skinienie głową.

- Średnią. W wieku szesnastu lat miałem sześć stóp i trzy cale wzrostu i ważyłem dwieście pięćdziesiąt funtów. Wszyscy się ze mnie śmiali. Więc nigdy nie czułem się dobrze ze swoim wyglądem. Może dlatego zachowywałem się tak dziwnie, kiedy pana zobaczyłem.

-Dzieciaki nie dawały ci żyć, co? - spytał Rhyme, przyjmując przeprosiny i jednocześnie odchodząc od tego tematu.

- Jasne. Aż do ostatniej klasy. Wtedy zacząłem ćwiczyć zapasy i położyłem Darryla Tennisona na łopatkach w niecałe trzy sekundy. Potem potrzebował znacznie więcej czasu, żeby podnieść się z maty.

Ja często uciekałem z ćwiczeń fizycznych - przyznał Rhyme.

- Podrabiałem zwolnienia lekarskie, nawet całkiem niezłe mi to wychodziło, i wymykałem się w tym czasie do laboratorium.

Naprawdę?

Przynajmniej dwa razy w tygodniu.

-I przeprowadzał pan jakieś eksperymenty?

-Dużo czytałem, bawiłem się sprzętem... Kilka razy bawiłem się z Sonją Metzger.

Thom i Ben roześmiali się.

Lecz Sonja, jego pierwsza dziewczyna, przypomniała mu o Amelii Sachs, a on wcale nie chciał teraz o niej myśleć.

Dobra - powiedział Ben. - Gotowe. - Na ekranie komputera pojawiły się wyniki analizy próbki, którą na prośbę Rhyme'a dostarczył Jim Bell. Zoolog skinął głową: - Co my tu mamy... Pięćdziesięcio pięcioprocentowy roztwór alkoholu. Woda, mnóstwo minerałów.

Woda ze studni - dodał Rhyme.

-Najprawdopodobniej. - Biolog kontynuował: - Do tego ślady formaldehydu, fenolu, fruktozy, dekstrozy, celulozy.

-Wystarczy - przerwał mu Rhyme. Myśląc: Być może ryba jest bez wody, ale właśnie wyhodowała sobie płuca. Potem zwrócił się do Bella i Masona, oznajmiając: - Popełniłem błąd. Duży błąd. Miałem na liście drożdże, ale uznałem je za nieważne, założyłem, że pochodzą z młyna, a

nie z miejsca, w którym Garrett przetrzymuje Mary Beth. Ale po co ktoś miałby przechowywać drożdże we młynie? Używa się ich przecież w piekarni... albo -spojrzał

znacząco na Bella - w miejscu, w którym pędzą to. -Wskazał głową na butelkę, którą Bell postawił przed chwilą na stole. Butelka zawierała płyn, o który Rhyme poprosił przedtem szeryfa - bimbrownik pochodzący z magazynu materiałów dowodowych biura. Właśnie tę ciecz zbadali za pomocą chromatografu.

- Cukier i drożdże - kontynuował kryminalistyk. - Oto główne składniki alkoholu. A celuloza w tej próbce pochodzi prawdopodobnie z włókien papieru. Zakładam, że po wyprodukowaniu bimbrownika trzeba go przefiltrować.

- Zgadza się - potwierdził Bell. - A większość bimbrowników używa do tego zwykłych filtrów do kawy.

-Takie same włókna znaleźliśmy na ubraniu Garretta. A dekstroza i fruktoza to cukry złożone, występujące w owocach. Pochodzą z resztek soku owocowego, pozostawionego w słoiku. Ben stwierdził, że sok jest cierpki, być może żurawinowy. A ty, Jim, powiedziałeś mi, że to najczęściej używany pojemnik na księżycówkę, tak? -Zgadza się.

-Więc - Rhyme przeszedł do podsumowania - Garrett więzi Mary Beth w chacie bimbrownika, prawdopodobnie porzuconej jakiś czas temu po interwencji policji. - Jakiej interwencji? - spytał Mason.

-To tak, jak w przypadku przyczepy - odparł krótko Rhyme, który nie cierpiał tłumaczyć komuś rzeczy oczywistych. - Jeśli Garrett korzysta z tej chaty, to musi być pusta, porzucona przez poprzedniego właściciela. A jaki jest jedyny powód, dla którego bimbrownik opuszcza swoją kryjówkę?

-Zgarnęli go policjanci z wydziału podatkowego - odpowiedział Bell.

-Otóż to - skinął głową Rhyme. - Zadzwoń do nich natychmiast i zapytaj, gdzie znajdują się bimbrownie zlikwidowane w ciągu ostatnich kilku lat. To będzie stary budynek w otoczeniu dębów i klonów, pomalowany na brązowo, choć kiedy go zajmowali, mógł mieć inną barwę.

Znajduje się jakieś cztery do pięciu mil od miejsca, w którym mieszka Frank Heller, w pobliżu karolińskiej glinianki.

Bell wyszedł, by zadzwonić do wydziału podatkowego.

-To było naprawdę niezłe, Lincoln - powiedział Ben.

Nawet Mason Germain był pod wrażeniem, choć starał się tego nie okazywać.

Po chwili do pokoju wrócił podekscytowany Jim Bell.

-Mamy ich! - Spojrzał na kartkę papieru, którą trzymał w ręce, potem przesuwał palcem po mapie, wreszcie zatrzymał go na kwadracie B-4. - Tutaj. Szef podatków powiedział, że to była duża operacja. Rok temu zlikwidowali w tym miejscu sporą bimbrownię. Jeden z jego agentów był tam jakieś dwa miesiące temu i zobaczył, że ktoś pomalował chatę na brązowo.

Wszedł do środka, żeby sprawdzić, czy znów nie zagnieździł się w niej jakiś bimbrownik, ale była pusta, więc zostawił ją w spokoju. Aha, jakieś dwadzieścia jardów od budynku jest spory staw, karolińska glinianka.

- Można się tam dostać samochodem? - spytał Rhyme.

-Na pewno - odparł Bell. - Wszystkie bimbrownie są przy drogach. Muszą jakoś dostarczać produkty i wywozić gotową księżycówkę.

Rhyme skinął głową.

-Dobrze, Jim, znalazłem ich. A teraz chciałbym cię prosić jeszcze o godzinę zwłoki.

Porozmawiam z nią i namówię do wyjścia. Wiem, że mogę to zrobić.

To dość ryzykowne, Lincoln.

Zależy mi na tej godzinie - odparł Rhyme, patrząc Bellowi w oczy.

Wreszcie szeryf skinął głową.

-Dobrze. Ale dzwonię do policji stanowej i stawiam ją w stan gotowości. Jeśli Garrett znów ucieknie, zarządzymy normalny pościg, z psami i tropicielami.

-Rozumiem. Myślisz, że dojadę tam moją furgonetką?

-Drogi są dość kiepskie, ale...

- Zabiorę cię tam - oświadczył Thom z mocą. - Choćbym musiał cię nieść na plecach.

Kiedy pięć minut później furgonetka Rhyme'a odjechała spod urzędu okręgowego, Jim Bell wrócił do swego biura, pozostawiając Masona Germaina samego. Ten odczekał chwilę i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wyszedł na korytarz i ruszył do wyjścia.

W budynku były dziesiątki telefonów, z których mógł swobodnie korzystać, on jednak wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się przy automacie telefonicznym. Odszukał w kieszeni jakieś drobniaki. Rozejrzał się dokoła, a kiedy był już pewien, że nikt nań nie patrzy, wrzucił

monetę do aparatu i wybrał numer zapisany na skrawku papieru.

„Farmer John”, „Farmer John”, to najświeższy smak... Farmer John, farmer John, to najświeższy smak...

Patrząc na rząd puszek, na tuzin farmerów spoglądających na nią z drwiącym uśmieszkiem, Amelia Sachs powtarzała w otępieniu tę melodię, hymn jej straszliwej głupoty.

Która kosztowała życie Jesse'a Corna. I zrujnowała jej własne. Nie zwracała uwagi na otoczenie, na obskurne wnętrze chaty, która stała się jej więzieniem. Nie słyszała też kłótni, jaką toczyli między sobą Garrett i Mary Beth.

Widziała jedynie czarną plamkę na czole Jesse'a.

Słyszała wciąż tę samą melodię. „Farmer John”... „Farmer John”...

Nagle Sachs zrozumiała pewną rzecz: od czasu do czasu Rhyme odchodził mentalnie w jakieś odległe, niedostępne miejsce. Mógł wtedy normalnie rozmawiać, ale jego słowa były powierzchowne, a uśmiech fałszywy, mógł słuchać, ale niczego nie słyszał. Wiedziała, że w takich chwilach myśli o śmierci. Zastanawia się, czy nie wezwać kogoś z grupy pomocy samobójczej Lethe Society. Albo czy nawet, jak robili to niektórzy, nie wynająć płatnego zabójcy. (Rhyme, dzięki któremu za kratki trafiło wielu członków zorganizowanych grup przestępczych, miał w tym środowisku wiele znajomości. Z pewnością znalazłby kogoś, kto chętnie podjąłby się tego zadania, i to za darmo).

Ale aż do tej chwili - kiedy jej życie stało się równie trudne jak życie Rhyme'a, nie znacznie trudniejsze - zawsze miała mu to za złe. Teraz doskonale go rozumiała.

- Co to? - spytał Garrett, podrywając się z miejsca.

Trzeba przez cały czas nasłuchiwać. Inaczej mogą cię dopaść.

Potem Sachs także to usłyszała. Szum silnika.

- Znaleźli nas! - krzyknął chłopiec, chwytając za pistolet. Podbiegł do okna, wyjrzał na zewnątrz. Wydawał się skonfundowany. - Co to jest? - wyszeptał.

Trzask drzwi. Długa pauza.

A potem słowa:

- Sachs. To ja.

Na twarzy Amelii pojawił się słaby uśmiech. Nikt inny nie mógłby znaleźć tego miejsca. Tylko Lincoln Rhyme.

- Sachs, jesteś tam?

-Nie! - wyszeptał Garrett. - Nic nie mów. Będziemy udawali, że nas tu nie ma.

Ignorując go, Sachs wstała i podeszła do rozbitego okna. Tam, przed chatą, na nierównej, nieutwardzonej drodze stała czarna furgonetka. Rhyme podjechał na swym wózku jak najbliżej chaty, dopóki nie zatrzymało go małe wzniesienie obok ganku. Thom stał obok niego.

Cześć, Rhyme - powiedziała.

Cicho! - wyszeptał Garrett ze złością.

Mogę z tobą porozmawiać? - spytał kryminalistyk.

Po co? - pomyślała. Mimo to odparła:

-Tak.

Podeszła do drzwi i zwróciła się do Garretta:

- Otwieraj. Wychodzę.

-Nie, to zasadzka. - Chłopiec pokręcił głową. - Zaatakują nas...

- Otwórz drzwi, Garrett - powtórzyła z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy.

Ten rozejrzał się dokoła, wreszcie pochylił się i wyciągnął kliny spod drzwi. Sachs wyszła na dwór, pobrząkując kajdankami.

- On to zrobił, Rhyme - powiedziała, siadając przed nim na schodach werandy. - Zabił Billy'ego... Pomyliłam się.

Kryminalistyk zamknął oczy. Nie próbował sobie nawet wyobrazić, co czuje teraz Sachs.

Przyjrzał jej się uważniej, bladej twarzy i otępiełym oczom.

- Co z Mary Beth? - spytał.

-W porządku. Jest tylko trochę wystraszona. -Widziała, jak to zrobił? Sachs skinęła głową.

- Nie było żadnego mężczyzny w ogrodniczkach?

- Nie. Garrett to wymyślił, żebym wypuściła go z więzienia. Miał wszystko zaplanowane, od samego początku. Fałszywy trop na Outer Banks, ukrytą łódź, zapasy. Był przygotowany na każdą ewentualność, miał nawet dodatkową kryjówkę, tę przyczepę, w której nas znaleźli.

Ten klucz, prawda? Ten, który znalazłam w słoiku z osami. To dzięki niemu nas wytropiłeś.

- Tak, to był ten klucz - potwierdził Rhyme.

-Powinnam była o tym pomyśleć. Mogliśmy przenocować gdzie indziej.

Zauważył, że jest skuta, widział też w oknie gniewną twarz Garretta, trzymającego w dłoni pistolet. Mieli tu do czynienia z klasycznym przetrzymywaniem zakładnika; Garrett na pewno nie zechciałby dobrowolnie się poddać. Musieli w końcu wezwać FBI. Przyjaciel Rhyme'a, Arthur Potter, choć przeszedł na emeryturę, nadal pozostawał najlepszym negocjatorem w historii biura. Mieszkał w Waszyngtonie, mógłby dotrzeć tu za kilka godzin.

- A Jesse Corn? - spytał Rhyme cicho.

Sachs pokręciła głową.

-Nie wiedziałam, że to był on, Rhyme. Myślałam, że to jeden z koleś Culbeau. Jakiś inny policjant skoczył na mnie i broń wypaliła. Ale to była moja wina - wymierzyłam odbezpieczoną broń w nieznanego cel. Złamałam zasadę numer jeden.

- Załatwię ci najlepszego prawnika w kraju.

-To nie ma znaczenia.

-Ma znaczenie, Sachs, ma. Razem coś wypracujemy. Znów pokręciła głową.

- Tu nie czego wypracowywać, Rhyme. To morderstwo pierwszego stopnia. Prosta, jednoznaczna sprawa. - Nagle podniosła

wzrok i spojrzała za niego. Zmarszczyła brwi. Wstała. Co?...

Nagle kobiecy głos zawołał:

-Nie ruszać się! Amelio, jesteś aresztowana.

Rhyme próbował się obejrzeć, nie mógł jednak tak mocno wykręcić głowy. Dmuchnął w rurkę sterowniczą i zatoczył wózkiem półkole. Zobaczył Lucy i dwóch innych policjantów, wybiegających spomiędzy drzew. Wszyscy trzymali broń wymierzoną w ich stronę. Dwaj mężczyźni nadal przekradali się od drzewa do drzewa, lecz Lucy szła śmiało prosto na nich.

Lufa jej pistoletu skierowana była w pierś Amelii.

Jak znaleźli tę chatę? - zastanawiał się Rhyme. Słyszeli silnik furgonetki? Odszukali ślad Garretta i Sachs?

Czy też Bell złamał umowę i powiedział im o wszystkim?

Lucy podeszła do Sachs i nie wahając się ani przez moment, uderzyła ją pięścią w twarz.

Sachs jęknęła cicho z bólu i cofnęła się o krok. Milczała.

-Nie! - krzyknął Rhyme.

Thom próbował rozdzielić obie kobiety, ale Lucy chwyciła Sachs za ramię.

Jest tam Mary Beth?

Tak. - Po brodzie Sachs ciekła strużka krwi.

-Nic jej nie jest?

-Nie.

Spoglądając na okno chaty, Lucy spytała:

- On ma twoją broń?

-Tak.

-Jezu. - Lucy zawołała do dwójki policjantów: - Ned, Trey, on jest w środku! Ma broń! -

Potem warknęła do Rhyme'a: - Radziłabym panu wycofać się spod tego okna.

Szarpnęła Sachs za ramię, ciągnąc ją za furgonetkę.

Rhyme ruszył za nimi. Thom szedł obok, pilnując, by wózek nie przewrócił się na nierównym gruncie.

Lucy odwróciła się do Sachs, pochwyciła ją za ramiona.

- On to zrobił, prawda? Mary Beth ci powiedziała, tak? Garrett zabił Billy'ego.

Sachs wbiła wzrok w ziemię. Wreszcie powiedziała: -Tak... Przepraszam. Ja...

- „Przepraszam” gównie znaczy dla mnie i dla wszystkich innych. A szczególnie dla Jesse'a Corna... Garrett ma tam jeszcze jakąś inną broń?

-Nie wiem. Nie widziałam.

Lucy odwróciła się do chaty i zawołała:

- Garrett, słyszysz mnie? Tu Lucy Kerr. Chcę, żebyś odłożył broń i wyszedł stamtąd, z rękami na głowie. Słyszysz?

Jedyną odpowiedzią był trzask zamykanych drzwi. Seria krótkich uderzeń świadczyła o tym, że Garrett zaklinował drzwi albo zabił je gwoździami. Lucy wyciągnęła telefon komórkowy i zaczęła wybierać numer.

-Hej, pani oficer - przerwał jej jakiś męski głos. - Potrzebuje pani pomocy?

Lucy odwróciła się.

- O nie - mruknęła.

Rhyme także spojrział w tamtą stronę. Przez trawę szedł do nich wysoki mężczyzna z włosami związanymi w kucyk. W dłoni trzymał strzelbę myśliwską.

-Culbeau - warknęła Lucy. - Mam tutaj trudną sytuację i nie mogę zajmować się jeszcze wami. Idź sobie stąd... - Przerwała, zauważywszy coś jeszcze na polu. W stronę chaty zmierzał powoli drugi mężczyzna. Niósł czarny wojskowy karabin. -

To Sean?

- Tak, jest tu też Harris Tomel - odparł Culbeau. Tomel podszedł do wysokiego czarnego policjanta, który poprzedniego dnia przyniósł Rhyme'owi mapę i tablicę. Rozmawiali.

Culbeau nie dawał za wygraną:

-Jeśli chłopak jest w chacie i nie chce wyjść, to może się wam przydać pomoc. Co możemy zrobić?

-To sprawa policji, Rich. Zabierajcie się, wszyscy trzej.-Już. Trey! - zawołała do czarnego policjanta. -Wyprowadź ich stąd.

Trzeci z policjantów, Ned, siedział dotąd w kucki za drzewem. Teraz wyszedł z ukrycia i ruszył w stronę Lucy i Culbeau. -Rich! - zawołał. - Nie ma już żadnej nagrody. Zapomnij o niej i...

Strzał z potężnej strzelby Culbeau wybił dziurę w piersi Ne-da i rzucił go kilka stóp dalej.Trey wbił zaszokowane spojrzenie w Harrisa Tomela. Ten wydawał się równie zdumiony jak on, i przez chwilę żaden z mężczyzn nie uczynił najmniejszego ruchu. Potem trzykrotnie wypalił czarny karabin O'Sariana. Trey upadł na ziemię, trzymając się za brzuch.

-Nie! - krzyknęła Lucy i instynktownie podniosła pistolet w stronę Culbeau, nim jednak wypaliła, wszyscy trzej mężczyźni skryli się w wysokiej trawie, otaczającej chatę.

Dopiero kilka sekund później Tomel wyrwał się z odrętwienia; jeden strzał z jego długiej śrutówki rozbił jednocześnie przednią szybę furgonetki i przedziurawił oponę w przednim kole.

Rhyme chciał natychmiast rzucić się na ziemię, ale oczywiście pozostał wyprostowany na swym wózku. Kolejne pociski uderzyły o furgonetkę w miejscu, gdzie przed chwilą stały Lucy i Sachs. Thom klęczał obok wózka, próbując wyciągnąć kółka zakopane w miękkiej ziemi. - Lincoln! - krzyknęła Sachs. -Nic mi nie jest. Uciekajcie. Schowajcie się po drugiej stronie samochodu. - Ale tam będzie nas widział Garrett - zaprotestowała Lucy. -Przecież to nie on do nas strzela! - warknęła Sachs. Kolejny strzał minął ją o stopę, śrut uderzył o ścianę chaty. Thom wyłączył silnik wózka i zaczął przepychać go za furgonetkę. -Pochyl się -

powiedział Rhyme do swego pomocnika, który ignorował zupełnie pociski gwizdzące mu koło ucha.

Lucy i Sachs także przeczołgały się na drugą stronę samochodu.

-Dlaczego oni to robią? - powtarzała Lucy. Strzeliła kilkakrotnie w stronę Tomela i O'Sariana, zmuszając ich do poszukania sobie lepszej kryjówki.

Rhyme nie widział Culbeau, był jednak pewien, że ten kryje się gdzieś przed nimi. Jego strzelba miała potężną moc i była zaopatrzona w lunetę.

-Zdejmij te kajdanki i daj mi broń - poprosiła Sachs.

-Zrób to - poparł ją Rhyme. - Strzela lepiej od ciebie. Lucy pokręciła głową, zdumiona taką

propozycją. Kolejne pociski uderzyły w furgonetkę, wyrwały kilka drzazg ze ścian chaty.

- Cholera, oni mają strzelby! - wściekała się Sachs. - Nie poradzisz sobie z nimi. Daj mi broń!

Lucy oparła głowę o samochód i zaszokowana wpatrywała się w nieruchome ciała policjantów.

- Co się tu dzieje? - powtarzała, płacząc. - Co się tu dzieje?

Rhyme wiedział, że wkrótce ich sytuacja znów się pogorszy. Furgonetka chroniła ich przed strzałami Culbeau, ale dwaj pozostali, ukryci w trawie, obchodzili ich szerokim półkolem, by za chwilę zamknąć w krzyżowym ogniu.

Lucy strzeliła jeszcze dwa razy w trawę; w miejsce, z którego przed chwilą wypalił do nich Tomel.

-Nie trać amunicji - przykazała jej Sachs. - Poczekaj, aż będziesz mieć czysty strzał. Inaczej...

Zamknij się - warknęła Lucy. - Cholera, zgubiłam telefon.

Lincoln, ściągam cię z wózka - oświadczył Thom. - Jesteś zbyt odsłonięty.

Rhyme skinął głową. Pomocnik rozpiął jego uprząż, wsunął mu ręce pod ramiona, wyciągnął go z wózka i ułożył na trawie. Rhyme próbował podnieść głowę, by zobaczyć, co się dzieje wokół niego, lecz skurcz, który nagle zamknął w bolesnych kleszczach jego szyję, zmusił go do pozostania w bezruchu. Nigdy nie czuł się tak upokorzony swoją bezradnością, jak w tej chwili.

Kolejne strzały. Bliżej. Śmiech z pola. Napastnicy doskonale się bawili.

- Są już prawie na pozycji - mruknęła Lucy.

-Amunicja? - spytała Sachs.

-Mam trzy w komorze, jeden magazynek szybkostrzelny.

- Z sześcioma?

-Tak.

Pocisk uderzył w oparcie wózka i przewrócił go na bok. Z ziemi podniósł się obłok kurzu.

Lucy strzeliła do O'Sariana, lecz staccato strzałów z jego kolta, które usłyszeli w odpowiedzi, powiedziało im, że chybiła.

Mówiło im także, że za minutę lub dwie zostaną otoczeni.

Zginą tutaj, w tej mrocznej dolinie pomiędzy furgonetką i ścianą chaty. Rhyme zastanawiał się, co poczuje, kiedy kule przeszyją jego ciało. Oczywiście, żadnego bólu, nawet uderzenia pocisku. Zerknął na Sachs. Ta odpowiedziała mu bezradnym, zrozpaczonym spojrzeniem.

Ty i ja, Sachs...Tom spojrział na drzwi chaty.

-Patrzcie! - zawołał.

Lucy i Sachs odwróciły się jednocześnie.

Garrett otworzył frontowe drzwi.

Wchodzimy do środka - zakomenderowała Sachs.

Oszalałaś? - zachnęła się Lucy. - Przecież Garrett jest z nimi.

Nie - odrzekł Rhyme. - Mógł strzelać do nas z okna. Nie zrobił tego.

Następne dwa strzały, bardzo blisko. Zaszleścił pobliski krzak. Lucy podniosła pistolet.

- Nie strzelaj! - zawołała Sachs.

W tym samym momencie Lucy wstała i wpakowała w krzew dwa ostatnie pociski. Kamień, który jeden z mężczyzn rzucił w gałęzie, by sprowokować ją do wyjścia z ukrycia, wytoczył się powoli na ziemię. Sachs odepchnęła Lucy na bok, kiedy śrut ze strzelby Tomela, wymierzony w plecy policjantki, podziurawił bok furgonetki.

- Cholera - zakłęła Lucy. Wyrzuciła pusty magazynek i zała dowoła szybkostrzelny.

-Do środka - powiedział Rhyme. - Natychmiast.

Lucy skinęła głową.

-Dobrze.

Chwył strażacki - rozkazał Rhyme. Dla paraplegika była to bardzo niedobra pozycja, powodowała ucisk tych części ciała, które nie były do tego przyzwyczajone, w ten sposób jednak mogli szybciej przedostać się do chaty, a Thom był krócej narażony

na strzały. Rhyme myślał także o tym, że w ten sposób zasłoni go własnym ciałem.

Nie - odparł krótko pomocnik.

Zrób to, Thom. Bez dyskusji.

Będę was osłaniać - oświadczyła Lucy. - Wejdziecie wszyscy razem. Gotowi?

Sachs skinęła głową. Thom podniósł Rhyme'a, wziął go na rękę jak małe dziecko.

-Thom... - protestował kryminalistyk.

Cicho, Lincoln - warknął pomocnik. - Zrobię to po swojemu.

Już! - krzyknęła Lucy.

Rhyme stracił na moment słuch, ogłuszony kilkoma potężnymi strzałami. Świat dokoła zlał się w jedną kolorową plamę, kiedy wbiegali po schodach na werandę.

Kolejne pociski uderzyły w ścianę chaty, kiedy wbiegali do środka. Kilka sekund później Lucy Kerr wtoczyła się do pokoju i zatrzasnęła drzwi. Thom delikatnie ułożył Rhyme'a na sofie.

Rhyme dostrzegł przerażoną młodą kobietę na krześle, wpatrzoną w jego ciało. Mary Beth McConnell, pomyślał.

Garrett Hanlon patrzył na nich szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami, bezustannie pstrykał paznokciami jednej dłoni, w drugiej trzymał niezdarnie pistolet Sachs. Lucy wymierzyła broń prosto w jego czerwoną, poznaczoną krostami twarz.

- Oddaj mi broń! - krzyknęła. - Już, już!

Chłopiec natychmiast oddał jej pistolet. Włożyła go za pas i powiedziała coś. Rhyme nie słyszał co; patrzył na przerażone, zdumione oczy Garretta, oczy dziecka. I pomyślał: Rozumiem, dlaczego musiałś to zrobić, Sachs. Dlaczego mu wierzyłaś. Dlaczego musiałś go uratować.

Rozumiem...

Wszyscy cali? - spytał głośno.

Tak - odparła Sachs.

Lucy skinęła głową.

-Właściwie - powiedział Thom przeproszającym tonem -niezupełnie.

Oderwał dłoń od swego szczupłego brzucha, odsłaniając zakrwawiony otwór po pocisku.

Potem nagle upadł na kolana, rozdierając spodnie, które rano tak starannie prasował.

Sprawdźcie, czy nie doszło do krwotoku, zatrzymać krwawienie. Jeśli to możliwe, zorientować się, czy pacjent nie jest w szoku.

Amelia Sachs, która podczas służby patrolowej w Nowym Jorku opanowała zasady pierwszej pomocy, pochyliła się nad Thomem i obejrzała jego brzuch.

Był przytomny, lecz blady, mocno się pocił. Przyłożyła dłoń do jego rany. Zdejmij ze mnie te kajdanki! - zawołała do Lucy. - W ten sposób nie mogę go opatrzyć.

Nie - odparła ta.

Jezu - mruknęła Sachs i zbadała otwór wlotowy kuli w takim stopniu, w jakim pozwalały jej skrępowane ręce.

- Jak się czujesz, Thom? - pytała Sachs. - Mów do nas.

-Otępiały... To takie... dziwne... uczucie... - Oczy pomocnika przewróciły się białkami do góry, stracił przytomność.

Trzask nad ich głowami. Pocisk przebił się przez ścianę. Potem o drzwi zagrzechotał śrut.

Garrett podał Sachs chusteczki higieniczne. Pochwyciła je i szybko przyłożyła do brzucha Thoma. Delikatnie poklepała go po twarzy. Nie reagował.

- Żyje? - spytał Rhyme z rozpaczą w głosie.

- Oddycha. Płytko, ale oddycha. Rana wylotowa nie wygląda najgorzej, ale nie wiem, co się dzieje w środku.

Lucy wyjrzała szybko za okno, przykucnęła z powrotem.

- Dlaczego oni to robią?

- Jim mówił, że pędzą bimber - powiedział Rhyme. - Może mieli to miejsce na oku i nie chcieli, żeby ktoś je znalazł. A może produkują gdzieś w pobliżu narkotyki.

Wcześniej było tu dwóch mężczyzn, próbowali się włamać -

odezwała się Mary Beth. - Może wszyscy pracują razem.

Gdzie jest Bell? - spytała Lucy. - 1 Mason?

Będą tu za pół godziny - odparł Rhyme.

Lucy pokręciła głową zniechęcona. Potem znów wyjrzała przez okno. Znieruchomiła, obserwując najwyraźniej jakiś cel. Potem podniosła broń, wymierzyła szybko.

Za szybko.

- Nie, pozwól mi! - krzyknęła Sachs.

Lecz Lucy i tak strzeliła. Grymas na jej twarzy powiedział

im, że chybiła.

- Sean znalazł jakąś puszkę. Czerwoną - relacjonowała. - Co to jest, Garrett? Gaz? - Chłopiec kulił się na podłodze, przerażony. - Garrett! Mów do mnie!

Odwrócił się do niej.

- Czerwona puszka. Co w niej jest?

- Nafta. Do łodzi.

- Cholera, chcą nas spalić - mruknęła Lucy.

- Kurwa! - zawył Garrett. Przetoczył się na kolana, wpatrzony w Lucy, oszalały ze strachu.

Lucy wymierzyła weń pistolet. Ale spośród nich wszystkich tylko Sachs wiedziała, co chce zrobić chłopiec.

- Nie, Garrett, nie...

Garrett zignorował ją, otworzył szeroko drzwi i zbiegł po werandzie, nisko pochylony. Kule wbiły się w drewno za jego plecami. Sachs nie miała pojęcia, czy został trafiony, czy też nie.

Potem wokół domu znów zapadła cisza.

Sachs rozejrzała się po pokoju wypełnionym kurzem powstałym przy uderzeniu pocisków.

Zobaczyła:

Mary Beth, skuloną, płaczącą.

Lucy z oczami pełnymi nienawiści, sprawdzającą pistolet.

Thoma, bladego jak ściana.

Lincolna Rhyme'a, ułożonego na plecach, dyszącego ciężko.

Ty i ja...

Zniżając głos, zwróciła się do Lucy:

- Musimy ich załatwić. My dwie.

Ich jest trzech, mają strzelby.

- Za kilka minut podpalą tę rudere. I albo spalimy się żywcem, albo zastrzelą nas, kiedy będziemy wybiegać. Nie mamy wyboru. Zdejmij mi kajdanki. - Sachs wyciągnęła do niej skrępowane ręce. -

Musisz.

Jak mogę ci zaufać? - wyszeptała Lucy. - Zaatakowałaś nas

?rzy rzece.

Zaatakowałam? - zdumiała się Sachs. - O czym ty mówisz?

O czym mówię? Wykorzystałaś łódkę jako przynętę i strzeliłaś do Neda, kiedy po nią popłynął.

-Gówno prawda! To wy myśleliście, że jesteśmy pod tą łódką, i strzelaliście do nas.

-Dopiero wtedy, kiedy... - Lucy umilkła nagle. Sachs także zrozumiała.

-To byli oni - powiedziała do policjantki. - Culbeau i reszta. Jeden z nich strzelił pierwszy. Pewnie chcieli was nastraszyć.

- A my myśleliśmy, że to wy. - Twarz Lucy złagodniała na moment, potem jednak kobieta musiała przypomnieć sobie o większej zdradzie - śmierci Jesse'a Corna - gdyż w jej oczach znów pojawił się gniew.

Sachs wyciągnęła do niej skute rękę.

- Nie mamy wyboru.

Policjantka patrzyła na nią przez chwilę, potem powoli sięgnęła do kieszeni po kluczyk.

Rozpięła chromowane kajdanki. Sachs pocierała przez chwilę przeguby.

- Jak stoimy z amunicją?

-Mam jeszcze trzy.

-W moim jest pięć - powiedziała Sachs, odbierając od Lucy smith & wessona i sprawdzając cylinder. Spojrzała na nieprzytomnego Thoma.

- Ja się nim zajmę - oświadczyła Mary Beth, podchodząc bliżej.

-Jedna sprawa - powiedziała Sachs. - On jest gejem. Robił sobie badania, ale...

-To nieważne - przerwała jej dziewczyna. - Będę uważać. Idźcie.

Sachs - odezwał się Rhyme. - Ja...

Później, Rhyme. Teraz nie ma na to czasu.

Sachs podeszła do drzwi, wyjrzała szybko na zewnątrz, zazna-zając w myślach miejsca, które mogą posłużyć jej za kryjówkę.

Uwolniona z kajdanek, z pistoletem w dłoni, znów czuła się pewnie. To był jej świat; pistolety i prędkość. Nie mogła myśleć o Lincolnie Rhymie i jego operacji, o śmierci Jesse'a Corna, o zdradzie Garretta Hanlona, o tym co czeka ją, jeśli wyjdzie obronną ręką z tej sytuacji.

Kiedy poruszasz się szybko, nie mogą cię dopaść... -Wyjdziemy drzwiami - zwróciła się do Lucy. - Ty pójdziesz na lewo, w stronę furgonetki, ale nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem, dopóki nie dotrzesz do trawy. Ja pójde na prawo, do tamtego drzewa. Schowamy się w trawie i poczołgamy w stronę lasu, zajdziemy ich od flanki.

-Będą widzieli, jak wychodzimy.

-Powinni nas widzieć. Chcemy, żeby widzieli, że jesteśmy gdzieś w trawie. Będą się denerwować, oglądać za siebie. Nie strzelaj, dopóki nie będziesz miała stuprocentowej pewności, że trafisz. Rozumiesz?... Rozumiesz?

-Tak.

Sachs oparła lewą dłoń na klamce. Spojrzała w twarz Lucy.

Jeden z nich, O'Sarian - Tomel stał obok niego - ciągnął puszkę z naftą w stronę chaty, nie zwracając uwagi na frontowe drzwi. Kiedy więc obie kobiety wypadły na zewnątrz, rozbiegły się w różne strony i ukryły w trawie, żaden z nich nie zdążył nawet ustawić broni do strzału.

Culbeau, który zajął pozycję znacznie dalej, tak by móc obserwować jednocześnie przód i boki budynku, zapewne także nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, nim bowiem wystrzelił, obie kobiety zniknęły już w gęstej trawie.

O'Sarian i Tomel także się ukryli, a Culbeau krzyczał do nich:

-Pozwoliliście im wyjść. Co wy robicie, do cholery? - Strzelił jeszcze raz w stronę Sachs -

przywarła do ziemi - potem sam również schował się w trawie.

Z przodu czaiły się trzy śmiertelnie niebezpieczne węże. A one nie miały pojęcia, gdzie ich szukać.

-Idź na prawo! - zawołał Culbeau.

Gdzie? - odpowiedział któryś.

Sachs przypuszczała, że to Tomel.

Chwila... poczekaj.

Cisza.

Zaczęła czołgać się tam, gdzie widziała ostatnio Tomela i O'Sa-riana. Dojrzała jakąś czerwoną plamę i skierowała się na nią. Wiatr rozchylił na moment trawy i zobaczyła, że to puszka z naftą. Podsunęła się jeszcze o kilka stóp, a kiedy wiatr znów jej sprzyjał, wymierzyła i wpakowała kulę w dno puszeki, tuż nad ziemią.

-Cholera! - krzyknął jeden z mężczyzn.

Słyszała szelest rozsuwanej trawy, kiedy ten uciekał od puszeki, choć nafta nie eksplodowała ani nawet się nie zapaliła.

Znów szelest, kroki.

Ale gdzie?

Wtedy Sachs dostrzegła jasny błysk o jakieś pięćdziesiąt stóp dalej w głąb pola. Wydawało jej się, że właśnie tam widziała wcześniej Culbeau, i zrozumiała, że to promienie słońca odbijają się od lunetki jego wielkiej strzelby. Podniosła ostrożnie głowę i odszukała wzrokiem Lucy.

Kiedy ta także spojrzała na nią, pokazała palcem siebie, a potem błyszczący przedmiot.

Policjantka skinęła głową, pokazała na siebie i zatoczyła ręką łuk. Sachs przytaknęła.

Kiedy jednak Lucy, nisko pochylona, zaczęła biec przez trawę po lewej stronie chaty, O'Sarian wstał i wypalił do niej kilkakrotnie ze swego kolta. Huk wystrzałów przetoczył się przez pole. Lucy przez moment stanowiła idealny cel i tylko dlatego, że O'Sarian zbyt szybko się pośpieszył, nie została trafiona. Policjantka rzuciła się na ziemię, potem podniosła głowę i strzeliła do napastnika, minimalnie chybiając. O'Sarian zapadł w trawę, mrużąc:

-Jezu...

Sachs ponownie ruszyła naprzód, w stronę Culbeau. Usłyszała za sobą kolejne strzały.

Rewolwer, potem staccato wojskowego karabinu, ogłuszający huk śrutówki.

Przestraszyła się, że Lucy została trafiona, kilka sekund później usłyszała jednak jej wołanie:

-Amelio, uważaj, idzie do ciebie.

Głośnie kroki w trawie. Pauza. Szelest.

Kto? I gdzie jest? Obracała się nerwowo dokoła, bliska paniki.

Znów cisza. Męski głos wołał coś, nie rozumiała słów.

Kroki ucichły.

Wiatr rozchylił trawy i Sachs znów ujrzała błysk światła odbitego od strzelby. Culbeau był niemal na wprost niej, na niewielkim wzniesieniu - dobry punkt strzelecki. Mógł stąd trzymać w szachu całe pole. Czołgała się szybciej, przekonana, że Culbeau mierzy przez potężny teleskop do Lucy albo do Rhy-me'a czy Mary Beth, widocznych przez okno we wnętrzu chaty.

Szybciej, szybciej.

Podniosła się z ziemi i zaczęła biec, pochylona. Do wzniesienia zostało jej jeszcze jakieś dwadzieścia stóp.

Znacznie bliżej był jednak O'Sarian - o czym przekonała się Sachs, kiedy wybiegła na polanę i potknęła się o niego. Mężczyzna krzyknął zaskoczony, kiedy upadła na ziemię i przetoczyła się na plecy.

Jego oczy, czerwone i obłąkane, spojrzały na moment w jej twarz. Dzieliły ich tylko trzy stopy.

Po sekundzie, która wydała jej się wiecznością, sięgnęła po broń, on zaś wymierzył w nią kolta. Sachs przetoczyła się w trawę, oboje równocześnie wypalili do siebie. Czuła podmuch gorącego powietrza, kiedy opróżnił magazynek, strzelając do niej trzykrotnie i trzykrotnie chybiając. Jej pojedynczy strzał także chybił; kiedy przetoczyła się na brzuch i podniosła głowę, O'Sarian uciekał w panice.

Nie zmarnuj okazji, przykazała sobie w myślach. Nie bacząc na to, że wystawia się na strzał

Culbeau, wstała i wymierzyła starannie do O'Sariana. Nim jednak nacisnęła na spust, Lucy Kerr także podniosła się z ziemi i strzeliła doń tylko raz. Głowa O'Sariana poderwała się raptownie do góry i opadła na jego pierś. Potem mężczyzna runął martwy na ziemię.

Na twarzy Lucy malował się szok i determinacja; Sachs przypuszczała, że po raz pierwszy zmuszona była zabić człowieka. Potem policjantka ponownie zapadła w trawę. Po chwili kilka strzałów ze śrutówki zmiotło roślinność w miejscu, z którego strzelała do O'Sariana.

Sachs biegła w stronę Culbeau, jeszcze szybciej niż poprzednio; snajper znał teraz pozycję Lucy i przy najbliższej okazji mógł ją bez trudu namierzyć. Dwadzieścia stóp, dziesięć.

Strzelba błysnęła jaśniej, a Sachs przykucnęła, wyobrażając sobie, że Culbeau obrócił lunetę w jej stronę. Skuliła się, czekając na strzał. Kiedy po chwili oczekiwania zrozumiała, że jednak nikt jej nie zauważył, ponownie zaczęła się czołgać, zachodząc Culbeau od prawej strony. Pociła się okropnie, artretyczny ból przenikał jej nogi, stawał się coraz bardziej dotkliwy. Pięć stóp.

Gotowa.

Ruszaj się.

Znajdowała się w bardzo niedogodnej pozycji strzeleckiej. Culbeau był na wzniesieniu, więc by móc go trafić, musiała wtoczyć się na polanę po jego prawej stronie i wstać. Byłaby całkiem odsłonięta. Jeśli nie zabije go od razu, sama prawdopodobnie zginie. A nawet jeśli jej się uda, Tomel będzie miał kilka długich sekund, by ją namierzyć.

Nie mogła jednak zrobić nic innego.

Kiedy się ruszasz, nie mogą cię dopaść...

Lufa w górę, palec na spust.

Głęboki oddech...

Teraz!

Skoczyła naprzód i wtoczyła się na polanę. Błyskawicznie przyklęła na jedno kolano, wymierzyła broń.

I jęknęła cicho.

„Strzelba” Culbeau okazała się długą, wąską rurką, teleskop zaś udawała butelka. Dokładnie ta sama sztuczka, którą wykorzystali z Garrettem w domu nad Paquo.

Frajerka...

W pobliżu zaszleściła trawa. Amelia Sachs odwróciła się w tę stronę.

Kroki zbliżały się do chaty, potężne kroki, najpierw w trawie, potem na drodze, wreszcie na drewnianej werandzie. Powolne. Wydawały się raczej leniwe niż ostrożne. Co oznaczało pewność siebie, a więc i niebezpieczeństwo.

Lincoln Rhyme próbował podnieść głowę z sofy, nadal jednak nie widział, kto podchodzi do chaty.

Drzwi otworzyły się powoli, z głośnym skrzypieniem.

Rich Culbeau, ze strzelbą w dłoni, zajrzał szybko do środka.

Rhyme poczuł, że znów ogarnia go strach. Czy coś się stało Sachs? Czy trafił ją jeden z tych strzałów? Czy leżała gdzieś ' trawie, ranna, umierająca?

Culbeau popatrzył na Rhyme'a i Thoma. Stwierdziwszy za-ewne, że nie stanowią żadnego zagrożenia, spytał od drzwi:

- Gdzie jest Mary Beth?

Rhyme spojrzał mu w oczy i odparł:

- Nie wiem. Wybiegła na zewnątrz, szukać pomocy. Pięć minut temu.

Culbeau rozejrzał się po pokoju, zatrzymał wzrok na drzwiach do piwnicy.

Rhyme spytał szybko:

-Dlaczego to robicie? Czego chcecie?

-Wybiegła, tak? Nie widziałem jej. - Culbeau wszedł do chaty, nie odrywając spojrzenia od klapy piwnicy. Potem wskazał głową za siebie, na pole. - Nie powinny były zostawiać was tutaj samych. To był błąd. - Znów zamilkł na chwilę. Patrzył na ciało Rhyme'a. - Co ci się stało?

Zostałem ranny w wypadku.

To ty jesteś tym facetem z Nowego Jorku, o którym wszyscy tyle gadają. To ty ich znalazłeś.

Naprawdę nie możesz się ruszać?

-Nie.

Roześmiał się ze zdumieniem, jakby złowił rybę z gatunku, o którym nigdy wcześniej nie słyszał.

Spojrzenie Rhyme'a ześliznęło się na drzwi piwnicy, potem powróciło do Culbeau.

- Wpakowałeś się tu w niezłą kabałę - mówił ten. - Na pewno nie miałeś tego w umowie.

Rhyme milczał, Culbeau ruszył więc wreszcie do przodu, kierując strzelbę, którą trzymał tylko w jednej ręce, na wejście do piwnicy.

Mary Beth wyszła, tak?

Wybiegła. Dokąd idziesz? - spytał Rhyme.

Culbeau nie zwracał nań uwagi. Otworzył szybko drzwi, strzelił, zarepetował, strzelił drugi raz. I jeszcze trzy. Potem zajrzał do zadymionego wnętrza, przeładowując broń.

Właśnie wtedy Mary Beth McConnell wysunęła się ze swej kryjówki za drzwiami. W dłoni trzymała jakąś prymitywną maczugę, którą, jak pochwaliła się Rhyme'owi, zrobiła sama.

Zaciskając usta z determinacją, wzięła szeroki zamach i uderzyła w bok głowy Culbeau, odrywając mu kawałek ucha. Strzelba wypadła Richowi z dłoni i zsunęła się po schodach do ciemnej piwnicy. Nie był jednak poważnie ranny, odwrócił się więc i uderzył potężną pięścią Mary Beth prosto w pierś. Dziewczyna krzyknęła i upadła na podłogę, pozbawiona oddechu.

Tam zwinęła się w kłębek i jęczała cicho.

Culbeau dotknął ucha i popatrzył na okrwawione palce.

- Kurwa, ale to boli.

Potem spojrzał w dół, na młodą kobietę. Z pochwy przymocowanej do pasa wyjął składany nóż i otworzył go kciukiem. Złapał Mary Beth za włosy i odchylił jej głowę do tyłu, odsłaniając białe gardło.

Pochwyciła go za przegub i próbowała powstrzymać. Ciemne ostrze nadal jednak przysuwało się

do jej skóry.

-Stój - rozkazał czyjś głos. W drzwiach stał Garrett Hanlon. Trzymał w dłoni wielki, szary kamień. Podeszedł do Culbeau. -Zostaw ją w spokoju i wynoś się stąd.

Culbeau wypuścił włosy Mary Beth; jej głowa opadła na podłogę. Potem cofnął się o krok.

Dotknął ucha i skrzywił się z bólu.

-Hej, chłopcze, kim ty jesteś, żeby mi grozić?

- No już, wynocha.

Culbeau roześmiał się zimno.

-Po co tu wróciłeś? Jestem od ciebie cięższy o jakieś sto funtów. I mam nóż. A ty tylko ten kamyk. No, chodź tutaj i skończmy z tym wreszcie.

Garrett pstryknął dwukrotnie paznokciami. Pochylił się jak zapaśnik, podeszedł powoli do przodu. Jego twarz wyrażała dziwną determinację. Kilka razy udawał, że rzuca kamieniem, a Culbeau uchylał się albo cofał o krok. Wreszcie brodacz roześmiał się, uznawszy zapewne, że niepotrzebnie obawia się znacznie mniejszego przeciwnika. Otarł czerwoną, spoconą twarz i rzucił się naprzód, mierząc nożem w brzuch Garretta. Chłopiec równie szybko odskoczył do tyłu, unikając pchnięcia. Źle jednak ocenił dystans i znalazł się zaraz przy ścianie. Nie miał

dokąd uciec.

Lecz to nie Culbeau zadał następny cios. Mary Beth, wciąż leżąc na podłodze, pochwyciła maczugę i uderzyła nią w kostkę mężczyzny. Ten krzyknął z bólu i odwrócił się do niej, unosząc nóż. W tej samej chwili Garrett runął na niego całym ciężarem ciała. Culbeau stracił

równowagę, opadł na kolana i ześliznął się po schodach do piwnicy. Zatrzymał się kilka stopni nad podłogą.

- Ty gnojku - mruknął.

Rhyme widział, jak Culbeau szuka w mrocznym wnętrzu swojej strzelby.

- Garrett! On ma broń! •

Chłopiec podeszedł powoli do piwnicy i podniósł kamień. Nie rzucił go jednak. Co on robi? - zastanawiał się Rhyme. Patrzył, jak Garrett wyjmuje jakąś szmatkę z otworu na końcu szarego stożka. Spojrzał na Culbeau i powiedział:

-To nie jest kamień.

A kiedy z dziury zaczęły wylatywać pierwsze szerszenie, rzucił gniazdo w twarz Culbeau i zamknął drzwi. Zasunął zasuwę

i odstąpił dwa kroki w bok.

: Pocisk przebił drzwi piwnicy i utkwiał w suficie. Potem jeszcze jeden.

Rhyme myślał, że Culbeau wystrzeli więcej niż dwa razy. Ale myślał też, że krzyki dochodzące z piwnicy będą trwać znacznie dłużej.

Harris Tomel wiedział, że czas już się stąd wynosić i wracać do Tanner's Corner.

O'Sarian nie żył - dobra, żadna strata - ale Culbeau zabił już pewnie rudowłosą i tych, co zostali w chacie. Została tylko Lucy Kerr. Tomel chciał ją jak najszybciej załatwić i wrócić do domu. Wpakował się w niezłe gównno. Na całym świecie, nie mówiąc już o okręgu Paquenoque, nie było dość pieniędzy, by wynagrodzić mu to wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich kilku dni.

Na razie jednak był jeszcze tutaj i jeśli obaj z Culbeau mieli wymigać się od paki, musieli doprowadzić sprawę do końca.

Nagle dojrzał za jednym z drzew jakąś brązową plamę. Wyrzał ostrożnie. Tak, to była bluza

Lucy Kerr.

Ściskając mocno karabin wart dwa tysiące dolarów, podszedł bliżej. Czy trudno mi będzie zabić Lucy? - myślał. Zawsze mu się podobała. Oczywiście, zanim pocięli ją lekarze. Uznał, że może mieć z tym drobne kłopoty. Nie był to łatwy strzał, tak czy inaczej. Spomiędzy gałęzi prześwitywał tylko fragment tułowia. Nawet ze strzelbą byłoby mu trudno. Jeszcze trudniej ze śrutówką. Założył na lufę specjalną końcówkę, tak by śrut rozsypał się szerzej, a prawdopodobieństwo trafienia było większe.

Wstał szybko, ustawił muszkę na prawą stronę jej bluzy i pociągnął za spust.

Potężne kopnięcie. Zmrużył powieki, by sprawdzić, czy trafił w cel.

O Chryste... Nie! Bluza powiewała w powietrzu, poruszona impetem uderzających kul. Lucy zawiesiła ją na gałęzi, by wywabić go z ukrycia.

- Nie ruszaj się stamtąd, Harris - odezwał się zza jego pleców głos policjantki. - To już koniec.

- To było dobre - powiedział. - Nabrałaś mnie. - Odwrócił się do niej, trzymając browninga na wysokości pasa, w trawie. Lucy była tylko w koszulce.

Rzuć broń - rozkazała.

Już to zrobiłem - odparł.

Nie poruszył się.

Pokaż mi ręce. Podnieś je. No już, Harris. Ostatnie ostrzeżenie.

Posłuchaj, Lucy...

Trawa miała cztery stopy wysokości. Przykucnie i strzeli jej w kolana. Potem wstanie i wykończy ją. Mimo wszystko to było dość ryzykowne. Mogła w tym czasie co najmniej raz strzelić.

Wtedy zauważył coś w jej oczach. Niepewność. I trzymała broń zbyt wyzywająco.

Blefowała.

- Nie masz amunicji - powiedział Tomel, uśmiechając się.

Milczenie i rozpacz malująca się na jej twarzy stanowiły wystarczające potwierdzenie. Tomel uniósł broń i wymierzył w jej pierś.

-Ale ja mam - powiedział jakiś głos w pobliżu.

Rudowłosa! Znieruchomiał na moment, potem obrócił się w jej stronę, myśląc: Nie strzeli. To kobieta. Nie...

Pistolet w jej dłoni podskoczył lekko. Ostatnią rzeczą, jaką aczuł Tomel, było uderzenie w bok głowy.

Lucy Kerr widziała, jak Mary Beth wychodzi na werandę i woła, że Culbeau nie żyje, a Rhyme i Garrett są cali.

Amelia Sachs skinęła głową i ruszyła w stronę ciała Seana O'Sariana. Lucy zajęła się Harrisem Tomelem. Pochyliła się nad nim i zamknęła drżące dłonie na browningu. Myślała, że powinna być przerażona, wyjmując tę elegancką broń z rąk martwego człowieka, w rzeczywistości jednak zastanawiała się tylko, czy ta broń jest nadal naładowana.

Odpowiedziała sobie na to pytanie, przeładowując ją - straciła co prawda jeden nabój, ale wiedziała, że następna komora jest pełna.

Pięćdziesiąt stóp dalej Sachs pochylała się nad ciałem O'Sa-riana i przeszukiwała jego ubranie. Przez cały czas trzymała pistolet wymierzony w jego głowę.

Lucy zastanawiała się, po co to robi, potem pomyślała cierpko, że to pewnie standardowa procedura.

Odnalazła swoją bluzę i włożyła ją z powrotem. Bluza była co prawda podziurawiona śrutem, lecz w samej koszulce Lucy czuła się zbyt świadoma swego okaleczonego ciała. Stała przy drzewie, dysząc ciężko i patrząc na plecy Sachs.

Płonęła gniewem na tych, którzy ją zdradzili. Na swoje ciało, na męża, na Boga.

A teraz na Amelię Sachs.

Policjantka uświadomiła sobie nagle coś dziwnego. Że ten gniew nadal był z nią - prawdopodobnie miał jej towarzyszyć do końca życia - lecz teraz zmienił się w coś innego. W mroczny spokój. Obejrzała się za siebie, na ciało Harrisa Tomela. Leżało w prostej linii od pleców Amelii. Scenariusz wyglądał całkiem prawdopodobnie; Tomel ukrywał się w trawie.

Wstał, strzelił do Sachs ze swej śrutówki. Wtedy Lucy pochwyciła jej broń i zabiła Tomela.

Lucy podniosła broń, która wydawała jej się równie lekka jak kwiat ostróżki. Przycisnęła twarz do gładkiej, pachnącej powierzchni, tak jak przyciskała ją do szpitalnego łóżka po mastektomii. Spojrzała na plecy kobiety w czarnej koszulce, ustawiła muszkę na jej kręgosłupie. Umarłaby bezboleśnie. I szybko. Równie szybko jak Jesse Corn.

Chciała po prostu zapłacić życiem zbrodniczym za niewinne. Rozejrzała się dokoła. Żadnych świadków. Położyła palec na spuście. Zacisnęła go mocniej. Zmrużyła oko, trzymała broń w absolutnym bezruchu dzięki ramionom wyćwiczonym podczas wielu lat pracy w ogrodzie i w domu, podczas wielu lat samotnego życia. Muszka ustawiona była dokładnie pośrodku pleców Amelii Sachs. Potem Lucy opuściła śrutówkę.

Opróżniła ją z naboju i wspierając kolbę na biodrze, zaniósła do furgonetki. Tam położyła ją na ziemi, odszukała telefon komórkowy i wezwała policję stanową.

Pierwszy pojawił się na miejscu helikopter ratunkowy. Sanitariusze ułożyli Thoma na noszach i zabrali go do Centrum Medycznego. Jeden z nich został przy Lincolnie; ciśnienie krwi kryminalistyka zbliżało się do stanu krytycznego.

Kiedy kilka minut później w drugim helikopterze przylecieli tropiciele, aresztowali najpierw Amelię Sachs i zostawili skutą na drodze przed domem, by wejść do wnętrza chaty i zatrzymać Garretta Hanlona.

thom wracał do zdrowia.

Lekarz z Centrum Medycznego w Avery oznajmił lakonicznie: -Kula? Wleciała i wyleciała.

Nie uszkodziła żadnych narządów wewnętrznych.

Mimo to Thom nie mógł pracować z Rhyme'em co najmniej przez miesiąc lub dwa.

Ben Kerr oświadczył, że gotów jest opuścić kilka dni zajęć i zostać w Tanner's Corner, by pomóc Rhyme'owi, z którym przeszedł już nawet na ty. Wielkolud burczał pod nosem:

- Naprawdę, nie zasługujesz na moją pomoc, Lincoln. Do diabła, ty nawet nie sprzątasz po sobie.

Wciąż niepewny, na jakie żarty może sobie pozwolić, a jakie zostaną uznane za bezczelność, spojrzał pytająco na Rhyme'a. Kwaśna mina kryminalistyka potwierdzała paradoksalnie, że dowcip został zaakceptowany. Rhyme dodał jednak, że choć docenia ofertę Bena, opieka nad paralitykiem to ciężka i wyczerpująca praca. Zwykle również niewdzięczna, jeśli pacjentem jest Lincoln Rhyme. Dlatego też poprosił, by doktor Weaver przysłała mu jakiegoś pomocnika z Centrum Medycznego.

-Ale nie wyjeżdżaj nigdzie, Ben - powiedział. - Mogę cię jeszcze potrzebować. Większość pomocników nie wytrzymuje dłużej niż kilka dni.

Sprawa przeciwko Amelii Sachs nie wyglądała najlepiej. Badania balistyczne potwierdziły, że kula, która zabiła Jesse'a Cor-na, została wystrzelona z jej broni, a choć Ned Spoto nie żył, Lucy Kerr złożyła zeznanie, w którym powtarzała to, co Ned powiedział jej o wypadku.

Bryan McGuire ogłosił już, że będzie domagał się kary śmierci. Dobroduszny Jesse Corn był popularną postacią w miasteczku, a ponieważ zginął, próbując aresztować Owadziego Króla, wielu ludzi domagało się egzekucji Sachs i Garretta.

Jim Bell i policja stanowa badali, dlaczego Culbeau ze swymi przyjaciółmi zaatakował Rhyme'a i grupę pościgową Lucy. Detektyw z Raleigh znalazł w ich domach tysiące dolarów w gotówce.

- Na pewno nie zarobili tyle na bimbrze - powiedział. Potem wyraził głośno podejrzenia Rhyme'a: - Musieli mieć w pobliżu tej chaty wytwórnię narkotyków albo coś w tym rodzaju.

Być może Garrett zobaczył coś, czego nie powinien był zobaczyć. Porozmawiamy z nim o tym.

Bell podejrzewał także, podobnie jak Rhyme, że dwaj mężczyźni, którzy zaatakowali Mary Beth, również byli zamieszani w tę sprawę. Szukali ich teraz stanowi tropiciele.

Rhyme siedział w wózku Storm Arrow - sprawnym pomimo stygmatu dziury po kuli - w zaimprovizowanym laboratorium, czekając na przybycie nowego pomocnika. Przygnębiony, rozmyślał o losie Sachs, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś postać.

Podniósł wzrok i zobaczył Mary Beth McConnell. Weszła do pokoju.

- Dzień dobry, panie Rhyme.

Zauważył, że jest bardzo ładna, że ma piękne zielone oczy i ujmujący uśmiech. Nic dziwnego, że tak opętała Garretta.

- Jak tam twoja głowa? - Wskazał ruchem głowy na jej bandaż.

-Będę miała efektowną bliznę. Chyba nie mogę już nosić włosów zaczesanych do tyłu. Ale to nic poważnego.

Jak wszyscy inni, Rhyme odetchnął z ulgą, dowiedziawszy się, że Garrett rzeczywiście nie zgwałcił Mary Beth. Mówił też prawdę o chusteczce; przestraszył dziewczynę, wchodząc gwałtownie do piwnicy, a kiedy ta wstała zbyt szybko, uderzyła głową o nisko zawieszoną belkę. Nie potrafił ukryć podniecenia, to prawda, ale był to tylko efekt burzy hormonów szalejących w ciele szesnastoletniego chłopca. Garrett dotykał jej jedynie wtedy, gdy wynosił

ją z piwnicy i gdy opatrywał ranę. Bardzo przeproszał Mary Beth za to, że przez niego zrobiła sobie krzywdę. Dziewczyna zwróciła się do Rhyme'a:

- Chciałam panu tylko podziękować. Nie wiem, co by się zemną stało, gdyby nie pan. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej przyjaciółki. Ale gdyby nie zrobiła tego, co zrobiła, byłabym teraz martwa. Jestem tego pewna. Ci mężczyźni chcieli... cóż, sam pan się domyśla. Proszę podziękować jej w moim imieniu.

-Podziękuję - obiecał Rhyme. - Mogłabyś odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

- Słucham?

-Wiem, że składałaś już zeznania Jimowi Bellowi, ale ja chciałbym jeszcze raz usłyszeć od ciebie, co właściwie wydarzyło się w Blackwater Landing. W kilku punktach ta historia nadal wydaje mi się niejasna. Możesz to dla mnie zrobić?

-Jasne... Byłam nad rzeką, wykopywałam znaleziska, na które natknęłam się wcześniej. W pewnej chwili podniosłam głowę i zobaczyłam Garretta. Zdenerwowałam się. Nie chciałam,

żeby ktoś mi przeszkadzał. Garrett przy każdej okazji podchodził do mnie i rozmawiał ze mną, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Tego ranka był dziwnie poruszony, mówił, że nie powinnam przychodzić sama do Blackwater Landing, że to miejsce jest niebezpieczne, i że umierają tam ludzie, tego rodzaju rzeczy. Naprawdę porządnie mnie zdenerwował.

Kazałam mu odejść i zostawić mnie w spokoju. Miałam dużo pracy. On złapał mnie za rękę i próbował mnie stamtąd odciągnąć. Wtedy z lasu wyszedł Billy Stail i powiedział: „Ty sukinsynu” czy coś takiego. Chciał uderzyć Garretta łopata, ale Garrett mu ją odebrał i zabił

go. Potem znów złapał mnie za rękę, wciągnął do łodzi i przywiózł do tej okropnej chaty.

- Od jak dawna Garrett cię prześladuje? Mary Beth roześmiała się.

-Prześladuje? Pewnie rozmawiał pan z moją mamą. Jakieś pół roku temu byłam w mieście i zobaczyłam, jak dręczą go jacyś chłopcy ze szkoły. Przegoniłam ich. Pewnie wtedy zostałam jego dziewczyną. Chodził za mną, podglądał z daleka, może trochę się we mnie podkochiwał, to wszystko. Byłam pewna, że jest niegroźny. - Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Aż do tego dnia. - Mary Beth zerknęła na zegarek. - Powinnam już iść. Ale chciałam pana zapytać - to drugi powód, dla którego tu przyszłam - czy nadal potrzebuje pan tych kości. Jeśli nie, chciałabym je zabrać.

- Jakich kości? - spytał.

-Z Blackwater Landing. Z miejsca, w którym porwał mnie Garrett.

Rhyme pokręcił głową.

- O czym ty mówisz?

Mary Beth zmarszczyła brwi, zatroskana.

- O kościach, o tych znaleziskach, które tam odkopywałam, kiedy porwał mnie Garrett. Są bardzo ważne. Chyba nie chce pan powiedzieć, że zginęły?

-Nikt nie znalazł żadnych kości na miejscu przestępstwa -odparł Rhyme. -W raporcie nie ma o nich nawet wzmianki.

Tym razem to Mary Beth pokręciła głową.

-Nie, nie... Nie mogły zniknąć!

Co to były za kości?

Ludzkie. Znalazłam pozostałości Zaginionej Kolonii z Roanoke. Z końca szesnastego wieku.

Znajomość historii kryminalistyka ograniczała się głównie do Nowego Jorku.

- Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

Gdy jednak Mary Beth opowiedziała mu o osadnikach z Roa-noke Island i ich tajemniczym zniknięciu, skinął głową.

- Rzeczywiście, pamiętam coś ze szkoły.

Dziewczyna ciągnęła:

- Widzi pan, nim zniknęli, wryli na drzewie wiadomość, która, zdaniem wszystkich historyków, znaczy, że odeszli na południe, na Hatteras. Ja uważam, że zostawili ją po to, by zmylić Indian. W rzeczywistości wylądowali na brzegach Paquenoke i zostali zabici przez Indian w Blackwater Landing.

Dlaczego myślisz, że to właśnie ich szkielety?

Bo kości były bardzo stare i zniszczone, nie leżały na cmentarzu algonkińskim ani chrześcijańskim, lecz po prostu w ziemi,

jakby ktoś zostawił je na pastwę losu. Tak właśnie wojownicy traktowali ciała wrogów.

Proszę... - Otworzyła swój plecak. - Za pakowałam parę, nim Garrett mnie stamtąd zabrał. -

Pokazała mu kilka kości owiniętych w folię, poczerniałych i częściowo zniszczonych.

Rhyme rozpoznał kość promieniową, część łopatki, kość biodrową i kilka fragmentów kości udowej.

-Było ich znacznie więcej - powiedziała. - To jedno z największych odkryć w historii amerykańskiej archeologii. Są bardzo cenne. Muszę je znaleźć.

Rhyme wpatrywał się w kość promieniową, jedną z dwóch kości przedramienia. Po chwili podniósł wzrok na Mary Beth.

-Czy mogłabyś się przejść do biura szeryfa? Spytaj o Lucy Kerr i poproś ją, by przyszła do mnie na minutkę.

- W sprawie tych kości? - spytała.

-Być może.

To było powiedzenie ojca Amelii Sachs: Kiedy się ruszasz, nie mogą cię dopaść.

Znaczyło wiele rzeczy, przede wszystkim było jednak wyrazem ich wspólnej filozofii życiowej. Oboje uwielbiali szybkie samochody i policyjną pracę na ulicy, oboje bali się zamkniętych pomieszczeń i życia bez celu.

Lecz teraz w końcu ją dopadli.

Dopadli ją na dobre.

I jej ukochane samochody, życie policjantki, życie z Lincolnem Rhyme'em, przyszłość, dzieci... wszystko zostało zniszczone.

Sachs, zamknięta w areszcie, czuła się kompletnie wyalienowana. Policjanci, którzy przynosili jej jedzenie czy kawę, nie odzywali się do niej, patrzyli tylko zimnym wzrokiem.

Rhyme sprowadzał jakiegoś prawnika z Nowego Jorku, ale podobnie jak większość policjantów, Sachs znała prawo nie gorzej od dobrze wykształconego adwokata. Wiedziała, że bez względu na to, do jakiej ugody dojdzie pomiędzy wynajętym prawnikiem a prokuratorem, jej życie w obecnej postaci jest skończone. Serce Amelii było równie odrętwiałe jak ciało Lincolna Rhyme'a.

Jakiś owad wędrował pracowicie po podłodze, od ściany do ściany. Czego szukał? Jedzenia, partnerki, schronienia?

Gdyby nagle zniknęli wszyscy ludzie, światu wcale by to nie zaszkodziło. Ale gdyby zniknęły wszystkie owady, życie skończyłoby się bardzo szybko, w ciągu... jednego pokolenia.

Drzwi głównego biura otworzyły się szeroko. Stał w nich jakiś nieznany Amelii policjant. -

Telefon do pani.

Otworzył drzwi celi, zakuł ją i zaprowadził do małego metalowego stolika, na którym stał

aparatury telefonicznej. Sachs pomyślała, że dzwoni pewnie jej matka. Rhyme miał

poinformować ją o wszystkim. Albo jej najlepsza przyjaciółka z Nowego Jorku, Amy.

Kiedy jednak podniosła słuchawkę, podzwaniając przy tym ciężkimi łańcuchami, usłyszała głos Lincolna Rhyme'a:

Jak ci tam jest, Sachs? Zimno?

W porządku - mruknęła.

-Ten prawnik będzie tu wieczorem. Jest dobry. Zajmuje się prawem kryminalnym od dwudziestu lat. Wybronił kiedyś włamywacza w sprawie, którą ja przygotowywałem. Wiesz, że jeśli ktoś potrafi zrobić coś takiego, musi być naprawdę dobry.

-Rhyme, daj spokój. Po co się męczyć? Jestem tu obca, wypuściłam mordercę z więzienia i zabiłam jednego z miejscowych gliniarzy. Gorzej już być nie może.

-Porozmawiamy o tym później. Chciałbym zapytać cię o coś innego. Spędziłaś z Garrettem dwa dni. Rozmawialiście o czymś?

Jasne.

O czym?

-Nie wiem. O owadach. O lesie, bagnach. - Dlaczego pytał ją o te rzeczy? - Nie pamiętam. Musisz pamiętać. Chcę, żebyś powtórzyła mi wszystko, co ci powiedział.

Po co się męczyć, Rhyme? - powtórzyła.

-No, proszę, Sachs. Zrób przyjemność staremu złamasowi, dobrze?

Lincoln Rhyme siedział sam w zaimprovizowanym laboratorium i patrzył na listy.

Znalezione na yierwotnum miejscu przestępstwa - Blackwater Landing Chusteczka z krwią

Fragmenty wapienia

Azotany

Fosforany

Detergent

Kamfen

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - pokój Garretta Pizmo skunksa

Ucięte igły sosnowe

Rysunki owadów

Zdjęcia Mary Beth i rodziny

Książki o owadach

Żyłka wędkarska

Pieniądze

Klucz niewiadomego przeznaczenia

Nafta

Amoniak

Azotany Kamfen

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - kamieniołom Stary worek konopny z nieczytelnym napisem Kukurydza -gospodarstwo hodowlane? Ślady spalenizny na worku Woda Deer Park

Krakersy serowe

Znalezione na wtórnym miejscu przestępstwa - młyn

Brązowa farba na spodniach

Rosiczka

Glina

Torfowiec

Sok owocowy

Włókna papieru

Przynęta na ryby

Cukier

Kamfen

Alkohol 1

Nafta

Drożdże

Potem spojrział na mapę, prześledził bieg rzeki Paquenoke, od Wielkiego Ponurego Bagna

poprzez Blackwater Landing aż do zachodniego krańca, wykreślonego na mapie obszaru.

Sztywny papier był w jednym miejscu uniesiony - mała zmarszczka, którą chciałoby się wygładzić.

Właśnie tak wygląda moje życie od kilku lat, pomyślał Lincoln Rhyme: Swędzące punkty, których nie można podrapać.

Może wkrótce będę mógł to zrobić. Kiedy doktor Weaver porozcina mnie, ponastawia, napełni swoimi cudownymi środkami... może wtedy będę mógł przesuwać w ten sposób dłońmi po mapie, wygładzać drobne zmarszczki.

Niepotrzebny gest, właściwie bezcelowy. Lecz cóż by to było za zwycięstwo!

Z korytarza dobiegły czyjeś kroki. Ciężkie, męskie buty, uznał Rhyme. Na twardych skórzanych podeszwach. Sądząc po przerwach między poszczególnymi krokami, musiał to być wysoki mężczyzna. Rhyme miał nadzieję, że idzie Jim Bell, i nie zawiódł się.

Dmuchnął lekko w rurkę sterowniczą wózka i odwrócił się od ściany.

- Lincoln - przywitał go szeryf. - Co się dzieje? Nathan po wiedział, że to jakaś pilna sprawa.

- Wejdz. Zamknij drzwi. Aha, sprawdź jeszcze, czy nie ma nikogo na korytarzu.

Bell uśmiechnął się lekko, rozbawiony tą konspiracją, i wyjrzał za drzwi.

- Pusto.

' Rhyme pomyślał, że kuzyn Bella, Roland, użyłby jakiegoś powiedzenia typowego dla Południa, na przykład „pusty jak kościół w dzień zapłaty”, które słyszał czasami z jego ust.

Szeryf zatrzasnął drzwi, podszedł do stołu i oparł się o niego, zakładając ręce na piersiach.

Rhyme ponownie odwrócił się do mapy.

- Ta mapa nie sięga dość daleko na północ i wschód, by poka zać Kanał Ponurego Bagna, prawda?

- Kanał? Nie.

- Wiesz coś o nim?

- Raczej nie - odparł Bell szczerze. Znał Rhyme'a od niedawna, ale wyczuwał już zapewne instynktownie, kiedy powinien odpowiadać szczerze.

- Przeprowadziłem właśnie krótki wywiad na ten temat - powiedział Rhyme, wskazując głową na telefon. - Kanał jest częścią Śródlądowej Drogi Wodnej. Wiesz, że możesz sięść na łódkę w Norfolk, w Wirginii, i dopłynąć nią do Miami, nie wychodząc ani razu na otwarte morze?

- Jasne. Wszyscy w Karolinie wiedzą, którędy biegnie Śródlądowa Droga Wodna. Ja sam nigdy nią nie płynąłem. Nie przepadam za łódkami. Dostaję choroby morskiej, oglądając „Tita-nica”.

- Wykopanie kanału zajęło dwanaście lat. Ma dwadzieścia dwie mile długości. Kopano go łopatami, bez użycia jakichkolwiek maszyn. Zdumiewające, prawda?... Spokojnie, Jim. Nie mówię tego bez potrzeby, zaufaj mi. Spójrz na tę niebieską linię, tę pomiędzy Tanner's Corner i Paquenoce. G dziesięć do G jedenaście.

- Mówisz o naszym kanale. O kanale Blackwater?

- Zgadza się. Łódź mogłaby dopłynąć do Paquo, potem do Wielkiego Bagna i...

Przy zamkniętych drzwiach Rhyme nie słyszał zbliżających się kroków, kiedy więc ktoś nagle wszedł do laboratorium,

umilkł zaskoczony.

W drzwiach stał Mason Germain. Spojrzał na Rhyme'a i powiedział:

-Zastanawiałem się, gdzie poszedłeś, Jim. Musimy zadzwonić do Elizabeth City. Kapitan Dexter ma kilka pytań związanych z tą strzelaniną przy chacie.

- Zatrzymałem się na chwilę u Lincolna. Rozmawialiśmy właśnie o...

Rhyme jednak przerwał mu szybko.

-Mason, byłbym wdzięczny, gdyby zostawił pan nas samych na kilka minut.

Mason spojrział na niego, potem na szeryfa. Powoli skinął głową.

-Chcieliby pogadać z tobą jak najszybciej, Jim.

Wyszedł, nim Bell zdążył mu odpowiedzieć.

- Poszedł sobie? - spytał Rhyme.

Bell jeszcze raz wyjrzał na korytarz. Zmarszczył brwi, potem skinął głową.

- O co ci właściwie chodzi, Lincoln? Po co te podchody?

-Mógłbyś wyjrzeć przez okno? Sprawdzić, czy Mason wyszedł? Och, i zamknij z powrotem te drzwi.

Bell zrobił to. Potem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Tak, idzie ulicą. Po co to wszystko?

-Dobrze znasz Masona?

-Tak jak pozostałych zastępców. Dlaczego?

- Bo on zamordował rodzinę Garretta Hanlona.

-Co? - Bell zaczął się uśmiechać, wyraz rozbawienia jednak szybko zniknął z jego twarzy. -

Mason? -Mason - potwierdził Rhyme.

- Ale dlaczego miałby to robić?

-Bo Henry Davett mu za to zapłacił.

Chwileczkę. - Bell uniósł rękę. - Chyba nie nadążam.

Nie mogę tego jeszcze udowodnić. Ale jestem pewien.

Henry? A co on ma z tym wspólnego?

Wszystko wiąże się z kanałem Blackwater - zaczął Rhyme, wpadając w mentorski ton. - W osiemnastym wieku budowano kanały, bo przy ówczesnym stanie dróg były to jedyne pewne szlaki transportowe. Później jednak stan dróg i sieć kolei znacznie się poprawiły, więc kanały wyszły z użycia. - Skąd wiesz to wszystko?

-Dzięki Towarzystwu Historycznemu z Raleigh. Rozmawiałem z pewną czarującą damą, Julie DeVere. Powiedziała mi, że kanał Blackwater został zamknięty dla transportu tuż po wojnie secesyjnej. Nie był używany przez sto trzydzieści lat. Do czasu, aż pojawiły się na nim barki Henry'ego Davetta. Bell skinął głową. -To było jakieś pięć lat temu. Rhyme kontynuował:

-Pozwól, że cię zapytam: Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego Davett zaczął go wykorzystywać? Szeryf pokręcił głową.

- Pamiętam, że niektórzy z nas martwili się o dzieciaki, baliśmy się, że będą próbować płynąć za barkami i zrobią sobie krzywdę. Ale nic takiego się nie stało i nie myśleliśmy o tym więcej. Ale teraz, kiedy zadałeś mi to pytanie, muszę przyznać, że nie wiem, dlaczego Henry korzysta z kanału. Ma przecież sporo ciężarówek, a dojechać stąd do Norfolku to jak splunąć.

Rhyme wskazał głową na listę.

Odpowiedź jest tutaj. Ten jeden, niepozorny ślad. Kamfen.

Paliwo do lamp?

Rhyme pokręcił głową, skrzywił się lekko.

- Nie. Popęliłem tutaj błąd. To prawda, kamfen był używany do lampek. Ale wykorzystywany jest także do czego innego. Do produkcji toksafenu.

Co to takiego?

Jeden z najbardziej niebezpiecznych pestycydów. Używany był głównie na Południu, ale w latach osiemdziesiątych Agencja Ochrony Środowiska uznała go za wysoce szkodliwy i wpisała na listę środków zakazanych. - Rhyme potrząsnął głową ze złością.

- Założyłem, że ponieważ toksaf en jest nielegalny, nie ma sensu szukać jego źródła w pestycydach, i że z pewnością pochodzi ze starych lamp. Tyle że nie znaleźliśmy żadnych starych lamp. Mój umysł wpadł w koleiny i nie mógł się z nich wydostać. Nie ma starych lamp? Więc powinienem jeszcze raz przejrzeć listę i po szukać insektycydów. I kiedy to zrobiłem - dziś rano - znalazłem źródło kamfenu.

Bell skinął głową, zafascynowany.

-Gdzie?

- Wszędzie - odparł Rhyme. - Poprosiłem Lucy, by pobrała próbki ziemi i wody z różnych punktów w okolicy Tanner's Cor-ner. Wszędzie pełno jest toksafenu - w ziemi i w wodzie.

Powinienem był słuchać uważnie tego, co mówiła mi wczoraj Sachs: widziała wielkie obszary nagiej ziemi. Myślała, że to efekt kwaśnych deszczów, ale myliła się. Dokonał tego toksafen.

Największe stężenie występuje w promieniu kilku mil od fabryki Davet-ta, w Blackwater Landing i w kanale. Wytwarzanie smoły i asfaltu to tylko przykrywką dla prawdziwej działalności jego fabryki, czyli produkcji toksafenu. -Ale powiedziałaś, że to zabronione.

-Zadzwoiłem do mego przyjaciela, agenta FBI, a on z kolei zadzwonił do swojego znajomego z Agencji. Okazuje się, że używanie toksafenu nie jest całkiem zabronione -

farmerzy mogą go stosować w wyjątkowych, krytycznych sytuacjach. Ale to nie na tym Davett zarabia swoje miliony. Ten facet z Agencji Ochrony Środowiska powiedział mi o czymś, co nazywa się „kręgiem śmierci”.

-Nie podoba mi się ta nazwa.

-Bo nie powinna. Toksafen jest zakazany, ale w Stanach zakaz dotyczy tylko jego stosowania, nie produkcji. Może być tutaj wytwarzany i sprzedawany do innych krajów.

A one mogą go stosować?

Jest całkiem legalny w większości krajów Trzeciego Świata.

Tak właśnie powstaje krąg śmierci, bo w tych krajach rośliny spryskiwane są pestycydami i z powrotem wysyłane do Stanów.

FDA* sprawdza tylko niewielki procent importowanych owoców i warzyw, więc sporo ludzi w Stanach zatrzuwa się tym środkiem, choć jego użycie jest zabronione.

Bell roześmiał się cynicznie.

-Davett nie może transportować go drogami ze względu na miasta i okręgi, które nie wpuszczają na swój teren toksycznych środków, a rejestry ICC** w ciężarówkach opisują dokładnie

* Food and Drug Administration - urząd federalny sprawujący kontrolę nad jakością żywności i lekarstw.

** Interstate Commerce Comission - komisja do spraw kontroli nad transportem między stanami USA.

przewożony towar. Nie wspominając już o tym, jak zareagowaliby ludzie, gdyby dowiedzieli się, co robi.

-Właśnie - przytaknął Rhyme. -Więc otworzył ponownie kanał, by przesyłać toksafen Śródlądową Drogą Wodną do Norfol-ku, gdzie ładuje się go na zagraniczne statki. Tyle tylko, że pojawił się pewien problem; kiedy w osiemnastym wieku kanał został zamknięty, teren wokół niego sprzedano w prywatne ręce. Ludzie mieszkający nad kanałem mieli prawo kontrolować, kto go używa, i nie wpuszczać nikogo na należący do nich odcinek.

- Więc Davett zapłacił im, by wydzierżawili swoje części kanału - powiedział Bell. Pokiwał głową ze zrozumieniem. - I musiał zapłacić im naprawdę sporo. Wystarczy tylko popatrzeć na domy w Blackwater Landing, na samochody ludzi, którzy tam mieszkają. Ale co to ma wspólnego z Masonem i rodziną Garretta?

-Posiadłość ojca Garretta leżała nad kanałem. Ale on nie chciał sprzedać praw do swojej części. Więc Davett, albo ktoś z jego firmy, wynajął Masona, by ten przekonał ojca Garretta do zmiany zdania. Kiedy ten dalej się opierał, Mason zebrał miejscowe męty, Culbeau, Tomela i O'Sariana, by pomogli mu zabić rodzinę Hanlonów. Potem Davett przekupił

zapewne wykonawcę testamentu, by ten odstąpił działkę jemu.

- Ale rodzina Garretta zginęła w wypadku. W wypadku samochodowym. Widziałem ten raport na własne oczy.

- Czy to Mason prowadził tę sprawę i sporządzał raport?

-Nie pamiętam, ale całkiem możliwe - przyznał Bell. Spojrzał na Rhyme'a z podziwem. - Jak do tego doszedłeś?

Och, to było proste. Bo w lipcu nie ma szronu. Przynajmniej nie w Karolinie Północnej.

Szronu?

-Rozmawiałem z Amelią. Garrett powiedział jej, że tej nocy, kiedy zginęła jego rodzina, szyby samochodu pokryte były szronem, a jego rodzice i siostra trzęśli się z zimna. Ale wypadek wydarzył się w lipcu. Pamiętam artykuł z teczki Garretta - zdjęcie jego rodziny.

Wykonano je na pikniku z okazji Czwartego Lipca, wszyscy byli ubrani w koszulki z krótkimi rękawami. W artykule napisano, że zdjęcie zostało zrobione na tydzień przed wypadkiem.

-Więc o czym on mówił? Ten szron, drzenie... -Mason i Culbeau użyli do zamordowania rodziny toksafenu. Rozmawiałem z moją lekarką z Centrum Medycznego. Powiedziała mi, że w ekstremalnych przypadkach zatrucia neurotok-sychnego dochodzi do gwałtownych drgawek całego ciała. To właśnie było to drzenie, które widział Garrett. Szron to prawdopodobnie para lub osad toksafenu w samochodzie.

Skoro to widział, dlaczego nie powiedział o tym nikomu?

Opisałem lekarce wygląd chłopca. Powiedziała, że prawdo podobnie on także uległ wtedy zatruciu. Dość silnemu, by wywołać zespół podwyższonej wrażliwości chemicznej. Utrata pamięci, uszkodzenie mózgu, gwałtowna reakcja na substancje chemiczne, zawarte w wodzie i powietrzu. Pamiętasz te jego krosty?

Jasne.

Garrett myśli, że to jad sumaka, ale myli się. Lekarka powiedziała mi, że tego rodzaju wypryski na skórze to klasyczny

symptom podwyższonej wrażliwości. Pojawiają się przy zetknięciu z substancjami chemicznymi, które nie działają na innych ludzi. Nawet mydło czy perfumy mogą wywołać wysypkę.

-To brzmi całkiem rozsądnie - mruknął Bell. Potem, marszcząc brwi, dodał: - Ale jeśli nie masz żadnych konkretnych dowodów, nie możemy wysuwać oficjalnych oskarżeń.

- Och, powinienem był wspomnieć o tym wcześniej... - Rhyme nie potrafił ukryć uśmiechu; skromność nigdy nie była jego mocną stroną. - Mam konkretne dowody. Znalazłem ciała rodziny Garretta.

Mason Germain wszedł po schodach na pierwsze piętro hotelu „Albermale Manor”, oddalonego o jedną przecznicę od budynku aresztu.

Odszukał pokój z01 i zapukał. - Otwarte - odpowiedział mu niski męski głos. Mason pchnął drzwi, odsłaniając różowe wnętrze pokoju, skąpane w pomarańczowym popołudniowym słońcu. W środku było straszliwie gorąco. Mason nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł lubić taki upał, uznał więc, że mężczyzna siedzący przy stole jest albo zbyt leniwy, by uruchomić klimatyzator, albo zbyt głupi, by nauczyć się go obsługiwać. Co tylko budziło w Masonie jeszcze większą podejrzliwość.

Szczupły Afro-Amerykanin o wyjątkowo ciemnej skórze ubrany był w pomięty czarny garnitur, który w Tanner's Corner wydawał się zupełnie nie na miejscu. Ściągaj na siebie uwagę, czemu nie? - pomyślał Mason pogardliwie. Pieprzony Malcolm X. - Pan Germain? - spytał mężczyzna.

-Tak.

Nogi nieznajomego wsparte były na drugim krześle, a kiedy wyciągnął rękę spod egzemplarza „Charlotte Observer”, okazało się, że trzyma w niej automatyczny pistolet o długiej lufie.

-To odpowiedz na moje pierwsze pytanie - powiedział Mason. - Czy ma pan broń.

- Jakie jest drugie? - spytał mężczyzna w garniturze.

- Czy potrafi pan się z nią obchodzić.

Mężczyzna nie odpowiedział, zaznaczył tylko grubym ołówkiem fragment jakiegoś artykułu w gazecie.

Mason przyjrzał mu się raz jeszcze, a czując krople potu spływające mu z czoła i szyi, bez słowa przeszedł do łazienki, otarł twarz ręcznikiem i rzucił go na podłogę.

Mężczyzna roześmiał się, wprawiając tym Masona w jeszcze większą irytację, potem powiedział:

- Mam wrażenie, że nie za bardzo lubi pan ludzi mojego pokroju.

-Nie, niespecjalnie - odparł Mason. - Ale jeśli zna się pan natym, co robi, to moje sympatie nie mają tu żadnego znaczenia.

- Otóż to - przyznał chłodno mężczyzna. -Więc bierzmy się do roboty. Nie chcę zostawać tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

-Sytuacja wygląda następująco - zaczął Mason. - Rhyme rozmawia w tej chwili z Jimem Bellem w urzędzie okręgowym. A ta Amelia Sachs siedzi w areszcie, przecznicę dalej.

- Gdzie pójdziemy najpierw?

-Do kobiety - odparł bez wahania Mason.

-Więc właśnie tak zrobimy - oświadczył mężczyzna, jakby był to jego pomysł. Schował pistolet, odłożył gazetę na stolik i z uprzejmością, która, zdaniem Masona, była raczej szyderstwem, wskazał na drzwi.

-Pan pierwszy.

Ciała Hanlonów? - zdziwił się Jim Bell. - Gdzie one są?

Tutaj - odparł Rhyme, wskazując głową na kości, które Mary Beth przyniosła w swoim plecaku. - Mary Beth znalazła je

w Blackwater Landing - kontynuował kryminalistyk. - Myślała, że to pozostałości osadników z

Zaginionej Kolonii. Musiałem ją jednak rozczarować; te kości nie są tak stare. Owszem, wyglądają na wiekowe, bo zostały częściowo spalone, swego czasu jednak zajmowałem się dość poważnie antropologią sądową i wiedziałem od razu, że nie przeleżały w ziemi dłużej niż jakieś pięć lat. A właśnie pięć lat temu zginęli rodzice Garretta. To kości trzydziestokilkuletniego mężczyzny, kobiety w tym samym wieku, która rodziła już dzieci, i dziesięcioletniej dziewczynki. Ten opis pasuje idealnie do rodziny Garretta.

Bell spojrział na zniszczone kości. -Nie rozumiem tego.

- Rodzina Garretta mieszkała w Blackwater Landing, przy drodze numer 112. Mason i Culbeau zatruli tych troje, potem spalili i zakopali ciała, a samochód zepchnęli do rzeki.

Koroner przekupiony przez Davetta, sfałszował świadectwa zgonu, ktoś z domu pogrzebowego udał, że spalił ich szczątki. Groby są puste, gwarantuję. Mary Beth wspomniała zapewne komuś, że znalazła te kości, później dowiedział się o tym Mason.

Zapłacił Bil-ly'emu Stailowi, by ten wybrał się do Blackwater Landing, zabił Mary Beth i zabrał dowody - kości.

Co? Billy'emu?

Tyle że był tam też Garrett, który pilnował Mary Beth. Garrett miał rację: Blackwater Landing to rzeczywiście niebezpieczne miejsce. Ludzie istotnie tam umierali

- tych troje w ciągu ostatnich lat. Tyle że to nie Garrett ich zabił, lecz Mason i Culbeau. Ci ludzie zginęli, bo zaczęli pytać, dlaczego zachorowali na raka, choć nie należą do żadnej z grup ryzyka. Wszyscy w mieście znali Owadziego Króla i jego hobby, więc Mason i Culbeau zamordowali dziewczynę za pomocą gniazda szerszeni, by podejrzenie padło właśnie na niego. Dwóch innych uderzyli w głowę i nieprzytomnych wrzucili do kanału Blackwater.

Ludzie, którzy nie interesowali się przyczynami swej choroby - tacy jak ojciec Mary Beth czy Lucy Kerr - nie stanowili zagrożenia i tylko dlatego nie zostali przez nich zabici.

-Ale na łopacie, na narzędziu zbrodni, były odciski Garretta.

-Ach, łopata. - Rhyme pokiwał głową. -To bardzo interesująca sprawa. Tu też popełniłem błąd... Na łopacie były odciski tylko dwóch osób.

- Zgadza się, Billy'ego i Garretta.

-A gdzie się podziały odciski Mary Beth? - spytał Rhyme. Bell zmrużył oczy, potem skinął głową.

- Zgadza się. Nie było jej odcisków.

-Bo to nie była jej łopata. Mason dał ją wcześniej Billy'emu, oczywiście wytarłszy uprzednio swoje odciski. Pytałem o to Mary Beth. Powiedziała, że Billy wyszedł z krzaków z łopata w ręce. Mason uznał, że będzie to idealne narzędzie zbrodni - bo archeolog, Mary Beth, prawdopodobnie miałaby łopatę ze sobą. Więc Billy Stail przychodzi do Blackwater Landing i widzi Garretta rozmawiającego z Mary Beth. Postanawia zabić i jego. Ale Garrett odbiera mu łopatę i uderza go w głowę. Myślał, że go zabił. Ale nie zrobił tego.

- Garrett nie zabił Billy'ego?

- Nie, nie... Uderzył go tylko raz czy dwa. Ogłuszył go, ale nie była to poważna rana. Potem zabrał ze sobą Mary Beth, zawiózł ją do chaty bimbrowników. Mason pierwszy przyjechał na miejsce zbrodni. Sam o tym mówił.

-Zgadza się. On odebrał wezwanie i był najbliżej.

-To zastanawiający zbieg okoliczności, nie uważasz? - spytał Rhyme.

- Pewnie tak. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem.

-Mason znalazł Billy'ego. Podniósł łopatę - na rękach miał lateksowe rękawice - i walił go dopóty, dopóki ten nie umarł.

- Skąd wiesz, że tak właśnie było?

-Ze względu na ułożenie odcisków rękawic. Przed chwilą kazałem Benowi obejrzeć trzonek łopaty w alternatywnym świetle. Mason trzymał łopatę jak kij baseballowy. Z pewnością policjant badający miejsce przestępstwa nie podnosiłby jej w ten sposób. Kilka razy zmieniał też ułożenie rąk, by uderzać z większą siłą. Według raportu koronera, Billy otrzymał co najmniej dwadzieścia ciosów w głowę.

Bell pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w słowa Rhyme'a.

-Dlaczego Mason miałby zabijać Billy'ego?

-Bał się pewnie, że Billy spanikuje i powie prawdę. A może kiedy Mason tam dotarł, Billy był już przytomny i powiedział, że ma tego dość i że chce się wycofać z umowy.

-Więc dlatego chciałeś, żeby Mason wyszedł... przed kilkoma minutami. Zastanawiałem się, o co ci chodzi. Jak to udowodnimy, Lincoln?

-Mam odciski lateksowych rękawiczek na trzonku łopaty. Mam kości, badania wykazały, że nadal występuje w nich toksa-f en w bardzo dużym stężeniu. Poszukamy samochodu Hanlonów w Paquenoce. Nawet po pięciu latach znajdziemy sporo dowodów. Przeszukamy dom Billy'ego i sprawdzimy, czy jest tam jakaś gotówka, która mogłaby pochodzić od Masona. Przeszukamy też dom Masona. To będzie trudna sprawa. - Rhyme uśmiechnął się nieznacznie. - Ale ja jestem dobry, Jim. Mogę to zrobić. -Uśmiech zniknął z jego twarzy. -

Jeśli jednak Mason nie zechce świadczyć przeciwko Davettowi, to jemu trudno będzie cokolwiek udowodnić. Mamy tylko to. - Rhyme wskazał głową na słoik napełniony do połowy jakimś białym płynem.

Co to takiego?

Czysty toksaf en. Pół godziny temu Lucy przyniosła próbkę z magazynu Davetta. Powiedziała, że są tam tysiące galonów tego świństwa. Jeśli uda nam się ustalić, że skład tej próbki jest identyczny ze składem środka, który zabił rodzinę Garretta, być może przekonamy prokuratora, by wniósł sprawę do sądu.

Ale Davett pomagał nam odnaleźć Garretta.

Oczywiście. Przecież w jego interesie leżało jak najszybsze odszukanie Garretta i Mary Beth.

To przede wszystkim Davett chciał jej śmierci.

- Mason - mruknął Bell, kręcąc głową. - Znam go od lat... Myślisz, że coś podejrzewa?

-Tylko ty znasz prawdę. Nie powiedziałem nic nawet Lucy -poprosiłem ją tylko, by zrobiła dla mnie to i owo. Bałem się, że ktoś nas podsłucha i ostrzeże Masona i Davetta. To miasto, Jim, jest gniazdem szerszeni. Nie wiem, komu ufać.

Bell westchnął ciężko.

- Skąd pewność, że to właśnie Mason?

-Bo Culbeau i jego przyjaciele pojawili się przy chacie bim-brownika tuż po tym, jak odkryliśmy, że właśnie tam Garrett więził Mary Beth. A tylko Mason o tym wiedział... prócz mnie, ciebie i Bena. Musiał zadzwonić do Culbeau i powiedzieć mu o wszystkim. Więc...

Powinniśmy skontaktować się teraz z policją stanową i poprosić o przysłanie nurka, który przeszukałby rzekę przy Blackwater Landing. Musimy dostać też nakaz przeszukania domu Billy'ego i

Masona.

Bell wstał z miejsca. Zamiast jednak podnieść słuchawkę telefonu, podszedł do okna i zamknął je szczelnie. Potem wrócił do drzwi, wyjrzał na korytarz, zamknął je ponownie.

Zasunął zasuwkę.

- Jim, co ty robisz?

Bell zawahał się na moment, potem podszedł do Rhyme'a.

Kryminalistyk spojrział w oczy szeryfa i szybko pochwyił w usta rurkę sterującą. Dmuchnął w nią, a wózek ruszył naprzód. Bell jednak doskoczył do niego i wyrwał przewód akumulatora.

Wózek ujechał jeszcze kilka cali i zatrzymał się.

- Jim - wyszeptał Rhyme. - Ty też?

- Zgadłeś.

Kryminalistyk zamknął oczy.

- O nie - wyszeptał i opuścił głowę. Ale tylko o kilka milimetrów. Jak większość wielkich ludzi, Lincoln Rhyme był oszczędny w gestach rozpaczki.

Mason Germain i posępny mężczyzna w czarnym garniturze szli powoli aleją wzdłuż budynku aresztu.

Mężczyzna ociekał potem. Uderzył się ze złością w szyję, zabijając komara. Mruknął coś pod nosem i przeciągnął długą, szczupłą dłoń po włosach.

Mason miał ochotę rzucić jakąś złośliwość pod jego adresem, powstrzymał się jednak.

Mężczyzna był wysoki i kiedy wspiął się na palce, mógł zajrzeć przez okno do wnętrza aresztu. Mason zauważył, że nieznajomy nosi niskie czarne buty ze lśniącej skóry, co pogłębiło jeszcze pogardę, jaką czuł dla tego człowieka. Zastanawiał się, ilu ludzi ten już zastrzelił.

- Jest - powiedział mężczyzna. - Sama. Pan wejdzie od środka. Czy ktoś może dostać się tam od tyłu?

- Jestem zastępcą szeryfa, nie pamięta pan? Mam klucz. Mogę nim otworzyć drzwi -

powiedział Mason z przekąsem, zastanawiając się znów, czy jego towarzysz naprawdę jest taki głupi.

Ten nie pozostał mu dłużny.

- Pytałem tylko, czy z tyłu są jakieś drzwi. Czego nie mogę wiedzieć, skoro nigdy wcześniej nie byłem w tej bagnistej dziurze.

Och... Tak, są tam drzwi.

Więc chodźmy.

Mason zauważył, że nieznajomy trzyma w dłoni broń, choć wcale nie widział, by ten ją wyjmował.

Sachs siedziała na ławce w swej celi, zahipnotyzowana lotem muchy.

Co to za gatunek? - zastanawiała się. Garrett zapewne by to wiedział. Był prawdziwą skarbnicą informacji. Przemknęła jej przez głowę pewna myśl: Przychodzi taka chwila, kiedy wiedza dziecka przerasta wiedzę jego rodziców. To musi być cudowne, niezwykle uczucie, kiedy człowiek wie, że stworzył istotę wyższą od siebie. Cudowne i upokarzające.

Lecz jej nigdy nie będzie dane tego doświadczyć. Znów pomyślała o swym ojcu. Ten człowiek rozpraszał zbrodnię. Nigdy nie użył broni podczas służby. Choć był dumny ze swej córki, nie rozumiał jej fascynacji bronią. „Strzelaj na końcu” - mawiał.

Och, Jesse... Cóż mogę ci powiedzieć? Nic, oczywiście. Ani słowa. Ciebie już nie ma.

Wydawało jej się, że dojrzała jakiś cień za oknem. Powróciła myślami do Rhyme'a.

Ty i ja.

Przypomniała sobie, jak przed kilkoma miesiącami leżeli razem w jego wielkim łóżku i oglądali „Romea i Julię” Baza Luhr-mana, współczesną wersję dramatu, rozgrywającego się w realiach Miami. Sachs pomyślała wtedy, że oni także są w pewnym sensie kochankami skrzywdzonymi przez los. Pomyślała coś jeszcze: Że oboje umrą kiedyś razem.

Nie ośmieliła się powiedzieć o tym racjonalistcie Lincolnowi, który nie rozumiał ani nie lubił tego rodzaju sentymentalnych wzruszeń. Od tej pory jednak myśl ta towarzyszyła jej nieustannie i - z niewiadomego powodu - była dla niej źródłem pocieszenia.

Lecz nie teraz. Teraz myślała o tym, że dzięki jej głupocie będą żyć i umrą oddzielnie. Będą...

Drzwi aresztu otworzyły się szeroko, do środka wszedł jakiś młody policjant. Poznała go. To był Steve Farr, szwagier Jima

Bella.

-Halo, witam - przywitał ją.

Sachs skinęła głową. Potem zwróciła uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, Farr nosił roleksa, zegarek wart zapewne pół rocznej pensji przeciętnego policjanta z Karoliny Północnej.

Po drugie, miał przy sobie broń, a kabura pistoletu była rozpięta.

Pomimo wywieszki na drzwiach, która głosiła: „Przed wejściem do celi proszę zostawić broń w depozycie”.

- Jak leci? - spytał Farr.

Spojrzała nań. Milczała.

-Nie jesteśmy dziś w nastroju do rozmów, co? Cóż, mam dla pani dobrą wiadomość. Jest pani wolna. Może pani stąd wyjść. -Pociągnął się za swe odstające ucho.

-Jestem wolna? Mogę wyjść?

Sięgnął do kieszeni po klucze.

- Tak. Uznano, że to był wypadek, a nie zabójstwo. Może pani wracać do siebie.

Przez chwilę patrzyła nań w milczeniu. Unikał jej spojrzenia.

A co z nakazem zwolnienia?

Co to takiego? - spytał Farr.

-Nikt, kto został oskarżony o popełnienie przestępstwa, nie może wyjść z aresztu bez nakazu podpisanego przez prokuratora.

Farr otworzył drzwi celi i odsunął się na bok. Trzymał rękę w pobliżu kabury z pistoletem.

- Och, może tak się postępuje w dużym mieście. My tutaj nie jesteśmy takimi formalistami. Wie pani, mówią, że na Południu wszystko robi się wolniej. Ale to nieprawda. W rzeczywistości jesteśmy znacznie bardziej wydajni.

Sachs nie ruszała się z miejsca.

- Czy mogę spytać, dlaczego nosi pan broń na terenie aresztu?

-Och, to? - Poklepał rękojeść pistoletu. - Już mówiłem, że nie jesteśmy formalistami. Proszę, może pani wyjść. Większość ludzi na pani miejscu skakałaby z radości. - Wskazał głową na tylne drzwi aresztu.

Tylnymi drzwiami?

Jasne.

- Nie może pan strzelić uciekającemu więźniowi w plecy. To morderstwo.

Powoli skinął głową.

Jak to zorganizowali? - myślała. Czy na zewnątrz czekał już ktoś inny z naładowanym pistoletem? Pewnie tak. Ten dzieciak uderzy się w głowę i zawoła o pomoc. Najpierw strzał w sufit. Ktoś na zewnątrz - może „zaniepokojony obywatel” - stwierdzi potem, że usłyszał strzał, i przekonany, że Sachs jest uzbrojona, zastrzeli ją...

Nie ruszała się.

- No już, wstawaj i wynoś się stąd. - Farr wyciągnął pistolet z kabury.

Powoli podniosła się z ławki.

Ty i ja, Rhyme...

-Byłeś bardzo blisko, Lincoln - powiedział Jim Bell.

Po chwili dodał:

-Miałeś rację w dziewięćdziesięciu procentach. Wiem z doświadczenia, że to całkiem dobry wynik. Ale tak się fatalnie złożyło, fatalnie dla ciebie, oczywiście, że te pozostałe dziesięć procent dotyczy właśnie mnie.

Bell wyłączył klimatyzator. Przy zamkniętym oknie temperatura we wnętrzu pokoju natychmiast poszła w górę. Rhyme czuł kropelki potu na czole. Oddychał ciężko. Szeryf kontynuował:

-Dwie rodziny mieszkające nad kanałem Blackwater nie chciały pozwolić, by pan Davett spławiał tamtędy swoje barki. Wielce szanowny pan Davett, zauważył Rhyme. -Więc szef jego ochrony wynajął kilku z nas, byśmy rozwiązali ten problem. Odbyliśmy długą rozmowę z Conklingsami i ci zgodzili się w końcu oddać swoją działkę. Ale ojciec Garretta nawet nie chciał o tym słyszeć. Zamierzaliśmy upozorować to na wypadek samochodowy. Wzięliśmy puszkę tego gówna - wskazał głową na słoik - żeby pozbawić ich przytomności.

Wiedzieliśmy, że w każdą środę jeżdżą na kolację do miasta. Wlaliśmy truciznę do klimatyzatora i ukryliśmy się w lesie. Wtedy oni wsiedli do samochodu, a ojciec Garretta włączył klimatyzację. Ten płyn opryskał ich całych, ale wlaliśmy go trochę za dużo... - Znowu spojrzął na słoik. - Wystarczyłaby jedna dziesiąta. - Skrzywił się, przypomniawszy sobie tamten widok. - Zaczęli dygotać, podrygiwać na całym ciele. Trudno było na to patrzeć.

Wtedy przybiegł Garrett i zobaczył, co się dzieje. Próbował wejść do środka, ale nie mógł.

Ale on też wciągnął trochę tego świństwa i zaczął się zachowywać jak jakiś zombi. Po prostu wrócił do lasu, zanim zdążyliśmy go złapać. A kiedy znowu się pojawił - jakiś tydzień czy dwa tygodnie później -nie pamiętał, co się stało. Pewnie to był właśnie rezultat podwyższonej wrażliwości na substancje chemiczne, o której wspominałeś. Więc na razie zostawiliśmy go w spokoju - wyglądałoby to zbyt podejrzanie, gdyby wtedy zginął. Potem zrobiliśmy to, o czym mówiłeś. Spaliliśmy ciała i zakopaliśmy je w Blackwater Land.

Wepchnęliśmy samochód do zatoczki przy Canal Road. Zapłaciliśmy koronerowi sto tysięcy za fałszywy raport. Culbeau i inni pilnowali potem, by ci, którzy zachorowali na raka i zaczęli zadawać niewygodne pytania, jak najszybciej umilkli.

Ten pogrzeb, który widzieliśmy przy wjeździe do miasta. To wy zabiliście tego chłopca, prawda?

Todda Wilkesa? Nie. Zabił się sam.

Ale dlatego, że zatrzał się toksaf enem, tak? Co mu dolegało?

Miał raka? Chorą wątrobę? Uszkodzenie mózgu?

-Może. Nie wiem. -Twarz szeryfa mówiła jednak, że ten wie aż za dobrze.

- Ale Garrett nie miał z tym nic wspólnego?

-Nie.

- A co z tymi ludźmi z chaty bimbrownika? Z tymi, którzy na padli na Mary Beth?

Bell skinął głową.

- Oni też dla nas pracowali. Testowali różne produkty Davetta w górach, gdzie prawie nikt nie mieszka. Wiedzieli, że szukamy Mary Beth, ale kiedy Sammy ją znalazł, postanowili, że najpierw się z nią trochę zabawią, a dopiero potem dadzą nam znać. A przedtem rzeczywiście, tak jak powiedziałaś, wynajęliśmy Billy'ego, by ją zabił. Nie zdążył, bo pojawił się tam Garrett.

-I potrzebowaliście mnie, żebym pomógł wam ją odnaleźć. Ale nie chcieliście jej uratować, tylko ją zabić i zniszczyć wszystkie dowody, jakie znalazła w Blackwater Landing.

-Kiedy po tym, jak znalazłeś Garretta, przywieźliśmy go z młyna, zostawiłem drzwi do aresztu uchylone, żeby Culbeau i jego kumple mogli, powiedzmy, porozmawiać z Garrettem i dowiedzieć się, gdzie przetrzymuje Mary Beth. Ale twoja przyjaciółka była tam pierwsza i sprzątnęła go nam sprzed nosa.

- A kiedy znalazłem chatę, zadzwoniłeś do Culbeau i pozostałych - dokończył Rhyme. -

Wysłałeś ich tam, żeby nas zabili.

-Przykro mi... Zrobił się z tego straszny bałagan. Nie chciałem, ale... Tak jakoś wyszło.

- Gniazdo szerszeni.

- O tak, w tym mieście jest kilka szerszeni.

Rhyme pokręcił głową.

-Powiedz mi, czy warto dla tych samochodów, wielkich domów i sterty pieniędzy poświęcać całe miasto? Rozejrzyj się dokoła, Bell. Na pogrzebie tego chłopca byli tylko dorośli. Amelia powiedziała mi, że w mieście prawie nie ma już dzieci. Wiesz dlaczego? Bo ludzie są bezpłodni.

- Układanie się z diabłem to zawsze duże ryzyko - wzruszył ramionami Bell. - Ale dla mnie życie to tylko jeden wielki targ. - Przez chwilę patrzył na Rhyme'a, potem podszedł do stołu.

Włożył lateksowe rękawice i podniósł słoik z toksaf enem. Stanąwszy przy wózku Rhyme'a, zaczął odkręcać wieko.

Steve Farr wymierzył pistolet w plecy Amelii i poprowadził

ją do tylnych drzwi.

Popępiał klasyczny błąd; dotykał lufą pleców ofiary. Dzięki temu Amelia wiedziała dokładnie, gdzie znajduje się broń, i po wyjściu na zewnątrz mogła uderzyć w nią łokciem.

Jeśli dopisze jej szczęście, Farr wypuści rewolwer z ręki, a wtedy ona rzuci się do ucieczki.

Wybiegnie na ulicę - policjant nie ośmieli się strzelić jej w plecy przy świadkach. Otworzył tylne drzwi.

Do zakurzonego wnętrza aresztu wpadł strumień gorącego światła. Amelia zamrugała gwałtownie. Jakaś mucha krążyła

wokół jej głowy.

Dopóki Farr będzie stał tuż za nią, ma jeszcze szansę...

- Co teraz? - spytała.

-Możesz odejść - odparł pogodnie, wzruszając ramionami.

Napięła mięśnie, planując każdy ruch, gotowa do ataku. Lecz w tym właśnie momencie Farr odsunął się od niej i wypchnął ją na zewnątrz. Sam pozostał w środku, poza jej zasięgiem.

Westchnęła.

Z pobliskiego krzaka dobiegł ją jakiś trzask. Trzask odbezpieczanej broni, pomyślała.

- No już - poganiał ją Farr. - Idź stąd.

Znów pomyślała o Romeo i Julii.

I o pięknym cmentarzu w Tanner's Corner, który widzieli całą wieczność temu. Och, Rhyme... Mucha przeleciała tuż obok jej twarzy. Amelia odgoniła ją instynktownie i ruszyła naprzód przez wysoką trawę.

- Nie boisz się, że to wzbudzi czyjeś podejrzania? - spytał Bella Rhyme. - Raczej trudno byłoby mi otworzyć ten słoik.

-Wjechałeś w stół - odpowiedział szeryf. - Wieko nie było dobrze zakręcone. Toksafen wylał się na ciebie. Pobieglem pomoc, ale było już za późno.

Amelia na pewno tego tak nie zostawi. Ani Lucy.

Twoja dziewczyna jeszcze przez długie lata nie będzie miała nic do powiedzenia. A Lucy?

Może znów zachorować... i tym razem nic jej już nie uratuje.

Bell zawahał się tylko na moment, potem podszedł bliżej i wylał zawartość słoika na usta i nos Rhyme'a. Reszta spłynęła

na jego koszulę.

Szeryf rzucił mu słoik na kolana, odsunął się szybko i zakrył twarz chusteczką.

Głowa Rhyme'a odskoczyła do tyłu, odrobina płynu dostała się do jego ust. Zaczął kasłać i pluć.

Bell ściągnął rękawiczki i schował je do kieszeni. Odczekał jeszcze chwilę, przyglądając się spokojnie Rhyme'owi, potem podszedł do drzwi i otworzył je na całą szerokość.

-Pomocy! - krzyknął. - Halo, mamy tu wypadek, niech mi ktoś pomoże! -Wyszedł na korytarz. - Potrzebuję...

Wszedł prosto na linię ognia Lucy Kerr. Trzymała pistolet wymierzony prosto w jego pierś.

Jezu, Lucy!

Wystarczy, Jim. Nie ruszaj się stąd.

Szeryf cofnął się o krok. Drugimi drzwiami do pokoju wszedł Nathan Groomer, podszedł do Bella od tyłu i wyciągnął broń z jego kabury. Za nim szedł wysoki mężczyzna w brązowym garniturze i białej koszuli.

Do środka wbiegł też Ben. Ignorując wszystkich, pośpieszył do Rhyme'a i wytarł jego twarz papierowym ręcznikiem.

Szeryf wpatrywał się ogłupiałym wzrokiem w Lucy i pozostałych.

-Uważajcie! Wylał się ten trujący środek. Musicie... Rhyme splunął na podłogę i odchrząknął, próbując pozbyć się z gardła resztek palącego płynu. Powiedział do Bena:

-Wytrzyj policzek trochę wyżej. Nie chciałbym, żeby dostało mi się to do oczu. Dziękuję ci. -

Nie ma za co, Lincoln.

-Bieglem po pomoc! - mówił Bell. -Wylał się ten środek! Ja... Mężczyzna w garniturze zdjął z pasa kajdanki i zatrzasnął je na rękach szeryfa.

- Panie Bell - powiedział - jestem detektyw Hugo Branch z policji stanowej Karoliny Północnej. Jest pan aresztowany. -Branch spojrział krzywo na Rhyme'a. - Mówiłem panu, że obleje koszulę. Powinniśmy byli zamontować to gdzie indziej.

Ale coś zostało na taśmie?

Och, aż za dużo. Nie chodzi o taśmę. Te przekaźniki kosztują.

Obciążcie mnie - odparł Rhyme cierpko, kiedy Branch rozpiął jego koszulę i zdjął mikrofon z

przekaznikiem.

- To był podstęp - wyszeptał Bell.

Zgadłeś.

-Ale trucizna...

- Och, to nie jest toksafen - wyjaśnił Rhyme. -Tylko odrobina księżycówki. Z tego słoika, który przyniosłeś do badania. Przy okazji, Ben, jeśli zostało tam coś jeszcze, chętnie się poczęstuję.

I na miłość boską, czy ktoś mógłby włączyć ten klimatyzator?

Skręcić raptownie w prawo i biec, ile sił w nogach. Trafi mnie, ale może uda mi się dobiec do ulicy. Kiedy się ruszasz, nie mogą cię dopaść... Amelia zrobiła kolejne trzy kroki w trawę. Do startu...

Gotowa...

Wtedy z wnętrza aresztu dobiegł ich głos jakiegoś mężczyzny:

-Nie ruszaj się, Steve! Teraz połóż broń na ziemi. No już! Nie będę powtarzał.

Sachs odwróciła się na pięcie i zobaczyła Masona Germaina, który mierzył z pistoletu prosto w zdumioną twarz młodego policjanta. Farr przykucnął i odłożył broń. Mason natychmiast przystąpił do niego i zakął go w kajdanki.

W krzakach coś zaszeleściło, ktoś szedł w jej stronę. Sachs ponownie odwróciła się w stronę pola i ujrzała wysokiego czarnego mężczyznę z automatycznym browningiem w dłoni.

- Fred! - zawołała.

Agent FBI, Fred Dellray, ociekający potem w czarnym garniturze, podszedł do niej i otarł czoło.

- Cześć, Amelio. Tu jest zdecydowanie, zdecydowanie za gorąco. Wcale, ale to wcale mi się tu nie podoba. Spójrz tylko na ten garnitur. Wszędzie pełno jakiegoś kurzu. Co to za gówno, pyłek kwiatowy? Nie mamy tego na Manhattanie. No nie, patrz tylko na ten rękaw!

- Co ty tu robisz? - spytała.

-A jak myślisz? Lincoln nie wiedział, komu może ufać, więc ściągnął mnie i przydzielił mi do pomocy oficera Germaina, żebyśmy mieli cię na oku. Uznał, że potrzebuje pomocy, bo nie mógł zaufać Bellowi ani jego krewnym.

Bellowi? - powtórzyła, skonfundowana.

Lincoln sądzi, że to on urządził cały ten cyrk. Teraz jesszeto sprawdza. Ale zdaje się, że miał rację, skoro to jest jego szwagier... - Dellray wskazał głową na Farra.

- Jeszcze chwila i byłby mnie wykończył - powiedziała Sachs.

Agent zachichotał.

- Włos by ci z głowy nie spadł, moja droga. Trzymałem musz kę dokładnie pomiędzy, wielkimi uszami tego gościa, odkąd otworzył drzwi. Gdyby tylko przymrużył oko, znalazłby się daleko, daleko stąd.

Dellray zauważył, że Mason przygląda mu się podejrzliwie. Roześmiał się i powiedział do Sachs:

Nasz przyjaciel z biura szeryfa nie lubi takich jak ja. Powiedział mi to.

Chwileczkę - zaprotestował Mason. - Miałem na myśli...

Miał pan na myśli agentów federalnych, tak? - pokiwał głową Dellray.

Nie, Jankesów - odparł Mason ponuro.

To prawda, nie lubi ich - potwierdziła Sachs.

Sachs i Dellray roześmiali się. Mason milczał. Lecz to nie różnice kulturowe czyniły go tak poważnym. Powiedział do Sachs:

- Przykro mi, ale muszę z powrotem zaprowadzić panią do celi. Nadal jest pani w areszcie.

Sachs spojrzała jeszcze raz na zalane słońcem pole. Wciągnęła w płuca gorące powietrze raz jeszcze. Wreszcie odwróciła się i weszła do mrocznego budynku.

- To ty zabiłeś Biliego, prawda? - spytał Rhyme Jima Bella.

Lecz szeryf milczał.

-Policja pojawiła się na miejscu przestępstwa dopiero półtorej godziny po porwaniu Mary Beth. I rzeczywiście, to Mason odebrał zgłoszenie. Ale ty byłeś tam jeszcze wcześniej. Billy me dzwonił, by zameldować ci, że Mary Beth nie żyje, zacząłeś się więc martwić i pojechałeś do Blackwater Landing. Spotkałeś tam Billy'ego, a ten powiedział ci, że Garrett uciekł z dziewczyną. Wtedy włożyłeś lateksowe rękawice, wzięłeś łopatę i zabiłeś go.

Ciekawość wzięła górę nad gniewem, a szeryf przemówił wreszcie, pytając:

-Dlaczego podejrzewałeś właśnie mnie?

-Początkowo rzeczywiście myślałem, że to Mason - prócz nas i Bena tylko on wiedział o chacie bimbrowników. Podejrzewałem, że to on skontaktował się z Culbeau i wysłał go tam.

Spytałem jednak Lucy i okazało się, że Mason dzwonił do niej, bo chciał mieć pewność, że Garrett i Amelia znów im nie uciekną. Potem przypomniałem sobie, że przy młynie Mason próbował zabić Garretta. Wszyscy uczestnicy spisku chcieli zachować go przy życiu, by dowiedzieć się, gdzie przetrzymuje Mary Beth. Sprawdziłem finanse Masona i dowiedziałem się, że ma tani dom i spory debet w banku. Nikt go nie opłacał. W odróżnieniu od ciebie i twojego szwagra, Bell. Ty masz dom wart czterysta tysięcy dolarów i kupę gotówki na koncie. Twój szwagier ma dom za trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy i łódź, która kosztowała sto osiemdziesiąt tysięcy. Gdy tylko dostaniemy nakaz, sprawdzimy zawartość waszych sejfów.

Ciekaw jestem, ile tam znajdziemy. Zastanawiałem się, dlaczego Mason tak bardzo chciał dopaść Garretta - kontynuował Rhyme. - Ale miał ku temu dobry powód. Był wściekły, kiedy to ty zostałeś szeryfem, nie mógł zrozumieć, dlaczego to nie on, skoro miał przecież dłuższy staż i większe osiągnięcia. Myślał, że jeśli złapie Owadziego Króla, rada miejska na pewno mianuje go szeryfem po wygaśnięciu twojej kadencji.

- Te twoje pieprzone gierki..., - mruknął Bell. - Myślałem, że wierzysz tylko w dowody.

Rhyme rzadko pozwalał sobie na tego rodzaju pogaduszki ze swymi ofiarami. Uważał, że słowa są zasadniczo bezużyteczne i mogą służyć tylko jako balsam dla duszy - a jak dotąd nie odkrył jeszcze żadnych konkretnych dowodów, dotyczących natury i pochodzenia duszy.

Mimo to odpowiedział Bellowi:

- Wolałbym dowody. Ale czasami trzeba improwizować. Wcale nie jestem taką primadonną, za jaką niektórzy mnie mają.

Wózek firmy Storm Arrow nie mieścił się w celi Amelii Sachs.

-Brak udogodnień dla niepełnosprawnych? - gderał Rhyme. -To niezgodne z ustawą.

Sachs pomyślała, że robi to dla niej, że chce pokazać jej swoje typowe humory. Milczała.

Mason Germain zasugerował, by ze względu na kłopoty z wózkiem spotkali się w pokoju przesłuchań. Musiał jednak założyć Sachs kajdanki nie tylko na ręce, ale i na nogi - obstawał przy tym, pamiętając, że raz uciekła już z tego miejsca.

Przyjechał wreszcie prawnik z Nowego Jorku, siwowłoso So-lomon Geberth. Rhyme wyjaśnił

Sachs, że kilkakrotnie miał już okazję spotkać się z Geberthem, kiedy ten bronił przestępców ujętych dzięki jego staraniom. Jednak dzięki specyficie amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości przeciwnicy z sali sądowej mogliby być poza nią dobrymi przyjaciółmi.

Geberth, członek izby adwokackiej z Nowego Jorku, Massa-chussetts i Waszyngtonu, został dopuszczony do procesu w Karolinie Północnej pro hac vice, dla jednej tylko sprawy: Stan Karolina Północna przeciwko Amelii Sachs. Co ciekawe, jego gładka, przystojna twarz i nienaganne maniery upodabniały go raczej do łagodnego południowca rodem z książek Grishama niż do bezlitosnego prawnika z Manhattanu. Równo przycięte włosy adwokata błyszczały lakierem, a włoski garnitur nie miał się nawet w zdumiewająco wilgotnym powietrzu Tanner's Corner.

Lincoln Rhyme siedział pomiędzy Sachs i jej prawnikiem. Sachs trzymała rękę na oparciu jego wózka.

- Sprowadzili prokuratora z Raleigh - mówił Geberth. - Po wpadce z szeryfem i koronerem chyba nie ufają McGuire'owi.

Ale tak czy inaczej, po przejrzeniu dowodów McGuire wycofał oskarżenia przeciwko Garrettowi.

-Naprawdę? - ożywiła się Sachs.

~ Garrett przyznał, że uderzył chłopca i myślał, że go zabił - wyjaśnił Geberth. - Ale Lincoln miał rację. Tak naprawdę zabił go Bell. A nawet gdyby ktoś próbował oskarżyć Garretta o napaść, to można bez trudu udowodnić, że chłopak działał w obronie własnej. Jeśli zaś chodzi o tego zastępcę, Eda Schaeffera, to jego śmierć uznana została za przypadkową.

- Co z porwaniem Lydii Johansson? - spytał Rhyme.

-Kiedy zrozumiała, że Garrett nie zamierzał jej skrzywdzić, wycofała oskarżenia. To samo zrobiła Mary Beth. Jej matka próbowała się temu sprzeciwić, ale trzeba było słyszeć, co powiedziała jej wtedy Mary Beth. Mówię wam, pierze sypało się gęsto.

-Więc Garrett jest wolny? - spytała Sachs, wbijając spojrzenie w podłogę.

-Wypuszczą go za kilka minut - odparł Geberth. Potem zmienił temat: - No dobrze, Amelio, sytuacja wygląda następująco: prokurator twierdzi, że nawet jeśli Garrett okazał się niewinny, pani wypuściła z aresztu człowieka podejrzanego wówczas o podwójne morderstwo i popełniając to przestępstwo, zabiła pani oficera policji na służbie. Chce oskarżyć panią o morderstwo pierwszego stopnia i dorzucić do tego kilka standardowych zarzutów: umyślne i nieumyślne zabójstwo i pozbawienie życia na skutek zbrodniczego zaniedbania.

-Morderstwo pierwszego stopnia? - warknął Rhyme. - Przecież to był wypadek, na miłość boską!

-Co też zamierzam udowodnić podczas procesu - wyjaśnił spokojnie Geberth. -Ten drugi policjant, ten, który rzucił się na panią, doprowadził częściowo do tego wypadku. Ale jestem pewien, że udowodnię pani zabójstwo na skutek zbrodniczego zaniedbania. Biorąc pod uwagę materiał dowodowy, nie będą mieli z tym żadnych trudności.

- Jakie są szansę na uniewinnienie? - spytał Rhyme.

-Niewielkie. Dziesięć, najwyżej piętnaście procent. Przykro mi, ale muszę doradzać ugodę.

Sachs odczuła to jak cios wymierzony prosto w jej serce. Zamknęła oczy, a kiedy wypuściła powietrze z płuc, wydawało jej się, że wraz z nim uleciała z niej clusza.

- Jezu - mruknął Rhyme.

Sachs pomyślała o Nicku, swoim byłym chłopaku. Kiedy ten został oskarżony o porwanie

samolotu i przyjmowanie łapówek, postanowił zaryzykować i nie przystał na ugodę.

Powiedział jej wtedy: „Z tym jest tak, jak mawia twój stary, Aimee: kiedy się ruszasz, nie mogą cię dopaść. Wszystko albo nic”.

Ława przysięgłych wydała wyrok po osiemnastu minutach. Nick nadal siedział w nowojorskim więzieniu.

Spojrzała na Gebertha.

- Co oferuje prokurator w ramach ugody?

-Na razie jeszcze nic. Ale prawdopodobnie zaakceptuje nieumyślne zabójstwo. Będzie chciał za to jakieś osiem, dziesięć lat. Muszę pani jednak powiedzieć, że w Karolinie nie będzie to łatwy czas. Tutaj nikt się nie cacka z więźniami.

- Albo piętnaście procent szans na uniewinnienie - mruknął

Rhyme.

-Zgadza się - skinął głową prawnik. Potem dodał: - Musi pani zrozumieć, że nie będzie tu żadnych cudów, Amelio. Jeśli zdecyduje się pani na proces, prokurator udowodni, że jest pani profesjonalną policjantką i doskonałym strzelcem. Wtedy niełatwo będzie przekonać ławę przysięgłych, że to był przypadek.

Normalne zasady nie dotyczą nikogo po północnej stronie Pa-quo. Ani nas, ani ich. Człowiek strzela, zanim zdąży odczytać komuś jego prawa, i nikogo to nie dziwi.

-W takim wypadku mogą panią skazać za morderstwo pierwszego stopnia, a to oznacza dwadzieścia pięć lat - dokończył Geberth.

Albo krzesło - mruknęła Sachs.

Zdaje się, że tutaj jest to zastrzyk z trucizną, ale owszem, istnieje i takie prawdopodobieństwo. Nie mogę pani okłamywać.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Sachs przypomniała sobie rodzinę wędrownych sokołów, które uwiły gniazdo za oknem nowojorskiego mieszkania Rhyme'a; samiec, samica i pisklą.

- Jeśli przyznam się do winy i pójdę na ugodę, ile dostanę?

-Prawdopodobnie sześć, siedem lat. Bez możliwości warunkowego zwolnienia.

Ty i ja, Sachs... Wzięła głęboki oddech. -Pójdę na ugodę.

- Sachs... - zaczął Rhyme.

Ta jednak powtórzyła z naciskiem:

-Pójdę na ugodę.

Prawnik wstał i skinął głową.

- W takim razie natychmiast zadzwonię do prokuratora. Nie zmieni pani zdania?

-Nie.

- Dam pani znać, kiedy tylko się czegoś dowiem. - Prawnikiem pożegnał Rhyme'a skinieniem głowy i wyszedł z pokoju.

Mason zerknął na twarz Sachs. On także wstał i ruszył do wyjścia.

- Zostawię was samych na dwie minuty. Chyba nie muszę pana przeszukiwać, Lincoln?

Rhyme uśmiechnął się blado.

Nie mam przy sobie broni, Mason.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Co za historia, Lincoln - powiedziała Sachs.

Mhm. Bez imion.

Czemu? - spytała cynicznie, niemal szepcząc. - Boisz się?

Może.

-Nie jesteś przecież przesądny. Przynajmniej tak zawsze twierdziłeś.

-Zwykle nie. Ale to miejsce mnie przeraża.

Tanner's Corner... Miasto bez dzieci.

-Powiniennem być cię posłuchać - powiedział. - Właściwie oceniłaś Garretta. Ja się myliłem.

Patrzyłem tylko na dowody i popełniłem fatalny błąd.

-Ale ja nie wiedziałam, że mam rację. Niczego nie wiedziałam. Miałam tylko przeczucie, działałam na oślep.

- Bez względu na to, co się wydarzy, nie opuszczę cię. - Rhyme wskazał głową na wózek i roześmiał się. - Zresztą nawet gdybym chciał, nie ujechałbym daleko. Odsiedzisz swoje, a ja będę tu na ciebie czekał.

-Słowa, Rhyme - odparła cynicznie. - Tylko słowa... Mój ojciec też mówił, że nigdzie się nie wybiera. To było na tydzień przed jego śmiercią.

- Jestem zbyt uparty, żeby umrzeć.

Ale nie jesteś zbyt uparty, żeby wyzdrowieć, pomyślała. Żeby poznać kogoś innego. Nie wypowiedziała głośno tych myśli.

Ktoś otworzył drzwi pokoju przesłuchań. Na progu stał Gar-rett, zza jego pleców wyglądał Mason. Dłonie chłopca, nieskrępowane już kajdankami, złożone były razem.

- Cześć - przywitał ich krótko. - Patrzcie tylko, co znalazłem w mojej celi.

- Rozsunął dłonie, spomiędzy których wyleciał jakiś mały owad. - To sfinks, taki motyl. Lubi żerować w kwiatkach

waleriany. Rzadko wlatuje do budynków.

Sachs uśmiechnęła się słabo, patrząc na jego błyszczące, rozentuzjasmowane oczy.

- Garrett, chciałabym powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

Chłopiec podszedł bliżej, spojrzał na nią.

-Pamiętasz, co mówiłeś mi w przyczepie? Kiedy rozmawiałeś ze swoim tatą na pustym krześle?

Garrett skinął niepewnie.

-Mówiłeś, jak bardzo było ci przykro, że nie chciał wtedy wpuścić cię do samochodu.

- Pamiętam.

-Ale teraz już wiesz, dlaczego to robił... Próbował uratować ci życie. Wiedział, że w samochodzie jest trucizna i że oni wszyscy umrą. Gdybyś wszedł do środka, ty także byś zginął. A on tego nie chciał.

- Chyba rozumiem - odparł Garrett niepewnie.

Sachs wiedziała jednak, że niełatwo jest zmienić przekonania, z którymi żyje się od lat, i że takie zadanie jest bardzo trudne i czasochłonne.

Pamiętaj o tym.

Dobrze.

Sachs spojrzała na owada, maleńką beżową ćmę latającą pod sufitem pokoju przesłuchań.

- Zostawiłeś w celi kogoś dla mnie? Do towarzystwa?

-Jasne. Są tam dwie biedronki, skoczek i mszycówka. Latają w niesamowity sposób. Można na nie patrzeć godzinami. - Garrett zamilkł na moment. -

Przepraszam, że panią okłamałem. Chodzi o to, że inaczej nigdy bym stąd nie uciekł i nie

mógłbym uratować Mary Beth.

-Wszystko w porządku, Garrett.

Chłopiec spojrział na Masona.

-Mogę już iść?

-Możesz.

Podszedł do drzwi, potem zatrzymał się jeszcze i powiedział do Sachs: Wróć tu i będę się kręcił w pobliżu. Jeśli to pani nie przeszkadza.

Nie, nie przeszkadza.

Wyszedł na zewnątrz. Przez szparę w uchylonych drzwiach Sachs widziała, jak podchodzi do samochodu Lucy Kerr. Ta wysiadła i otworzyła przed nim drzwi - niczym mama, która zabiera swego syna po treningu piłki nożnej.

- Sachs - powiedział Rhyme.

Ona jednak wstała już z miejsca i ruszyła w stronę drzwi. Chciała odciąć się od kryminalistyka, od chłopca, od miasta bez dzieci. Chciała się ukryć w mrocznej samotności celi. I wkrótce to zrobiła.

Tuż za wyjazdem z Tanner's Corner, w miejscu gdzie droga numer 112 ma jeszcze dwa pasy w każdą stronę, za szerokim łukiem przy rzece Paauenoke, znajduje się duży, gęsty zagajnik włosokwiatu, indygowców i wysokich orlików.

Zagajnik ów tworzy doskonałą kryjówkę, wykorzystywaną często przez policjantów z okręgu Paauenoke. Popijając mrożoną herbatę i słuchając radia, czekają tu z radarem na kierowców, którzy przekroczą dozwoloną prędkość, by potem dopaść ich zniemacka i wzbogacić kasę okręgu o kolejne sto czy dwieście dolarów.

Tego dnia, w niedzielę, kiedy czarny lexus SUV minął ten newralgiczny punkt na drodze, radar Lucy Kerr zarejestrował dozwoloną prędkość czterdziestu czterech mil na godzinę.

Mimo to Lucy włączyła silnik, uruchomiła sygnał świetlny na dachu swego wozu i ruszyła za luksusową limuzyną.

Podjechała bliżej i wpatrywała się przez chwilę we wsteczne lusterko lexusa. Nauczyła się już dawno temu, że patrząc w oczy kierowcy, może odgadnąć, czy ten zdolny jest do popełnienia czynów gorszych niż przekroczenie prędkości. Narkotyki, kradzież broń, alkohol. W ten sposób wie z góry, czy zatrzymanie może być niebezpieczne. Teraz widziała przed sobą oczy człowieka wyzutego z poczucia winy czy niepokoju.

Niewzruszone oczy...

Co tylko rozпалиło jeszcze mocniej jej gniew. Wzięła głęboki oddech, by zapanować nad nerwami.

Wielki samochód zjechał na pobocze, Lucy zatrzymała się za nim. Zgodnie ze standardową procedurą powinna była teraz poprosić o prawo jazdy i dokumenty wozu, ale nie zamierzała bawić się w formalności. Nie przypuszczała zresztą, by kierowca tego samochodu mógł

zapomnieć któregoś z tych dokumentów. Drżącymi rękami otworzyła drzwiczki i wysiadła z wozu.

Oczy kierowcy spoglądały teraz na jej odbicie w bocznym lusterku. Lucy dostrzegła w nich przelotny błysk zdumienia -mężczyzna spostrzegł zapewne, że choć jest ubrana tylko w dżinsy i koszulkę, a nie mundur, nosi broń. Czego mogła chcieć od niego policjantka, która nie jest nawet na służbie?

Henry Davett opuścił szybę w oknie.

Lucy Kerr zajrzała do środka, ignorując na razie Davetta. Na miejscu pasażera siedziała pięćdziesięcioletnia kobieta o wysuszonych włosach, świadectwie częstych wizyt w salonie piękności. Miała brylantowe kolczyki, bransoletę i naszyjnik. Z tyłu siedziała nastolatka i przeglądała okładki płyt kompaktowych, odtwarzając w myślach muzykę, której ojciec nie pozwoliłby jej słuchać w niedzielę.

- O co chodzi? - spytał Davett.

Widziała jednak w jego oczach, że doskonale wie, o co chodzi.

Mimo to wciąż wydawał się równie spokojny i przekonany o własnej niewinności, jak wtedy, gdy zauważył migającego koguta na dachu jej wozu.

Z trudem hamując gniew, warknęła:

Wysiadaj z samochodu, Davett.

-Kochanie, co zrobiłeś?

Pani oficer, o co pani chodzi? - powtórzył Davett, wzdychając.

-Wysiadaj. Już. - Lucy sięgnęła do środka i otworzyła zamki.

Czy ona może to robić, kochanie? Czy może...

Zamknij się, Edna.

Dobrze. Zamknę się.

Lucy otworzyła drzwi lexusa. Davett odpiął pas i wyszedł na pobocze.

Drogą przemknął jakiś kabriolet, zostawiając za sobą chmurę kurzu. Davett spojrzał z niesmakiem na szarą karolińską glinę, osiadającą na jego niebieskiej marynarce. Prócz tego miał na sobie brązowe spodnie i skórzane mokasyny z frędzlami.

Czerwony krawat ozdobiony był wzorkiem przedstawiającym końskie uzdy.

-Jesteśmy już spóźnieni do kościoła i...

-Zamknij się.

Lucy wzięła go za ramię i ściągnęła z pobocza, w cień dzikiego ryżu i trawy; wzdłuż drogi płynął wąski strumień, dopływ Pa-ąenoke. Wprowadziła Davetta na niewielką zacienioną polanę. - O co chodzi? - spytał po raz trzeci Davett, krzywiąc się zezniecierpliwieniem. -

Wiem o wszystkim. -Naprawdę? Wie pani o wszystkim, pani Kerr? Czyli o czym?

O truciźnie, o morderstwach, o kanale...

Nie utrzymywałem bezpośrednich kontaktów z Jimem Bel-lem ani kimkolwiek spośród mieszkańców Tanner's Corner – od parł gładko Davett. - Jeśli wśród moich pracowników był jakiś idiota, który wynajął kilku innych idiotów do jakichś nielegalnych działań, to nie moja wina. Zapewniam panią, że w razie potrzeby chętnie pomogę policji podczas śledztwa.

Ta ugrzecznona odpowiedź nie zwiódła Lucy. -Pójdiesz siedzieć razem z Bellem i jego szwagrem. -Bzdura. Nic mnie nie łączy z tymi ludźmi i ich zbrodniami. Nie ma żadnych świadków, żadnych dowodów. Jestem tylko producentem substancji chemicznych; środków czyszczących, asfaltu i pestycydów.

- Nielegalnych pestycydów.

-Nieprawda - odparował Davett. - Agencja Ochrony Środowiska nadal dopuszcza stosowanie toksafenu w pewnych szczególnych przypadkach. A w krajach Trzeciego Świata jest to całkowicie legalny produkt. Niech pani trochę poczyta w wolnym czasie. Bez pestycydów malaria, zapalenie mózgu i głód zabijałyby setki tysięcy ludzi każdego roku i...

-,...i wywołują u ludzi narażonych na ich działanie raka, uszkodzenia płodu, wątroby i... Davett

wzruszył ramionami. - Proszę mi pokazać literaturę, pani oficer. Proszę pokazać mi badania, które tego dowodzą.

Skoro to takie nieszkodliwe, do jasnej cholery, to czemu przestałeś przewozić to ciężarówkami? Dlaczego używasz teraz kanału?

Nie mogę dowieźć tego do portu w żaden inny sposób ze względu na strachliwych urzędników z miast i okręgów, które zakazały transportu substancji toksycznych na swoim terenie. Ci ludzie nie znają faktów, a ja nie mam czasu ani dość mocnego wsparcia, by przekonać ich do zmiany prawa.

- Cóż, założę się, że Agencja Ochrony Środowiska będzie bardzo zainteresowana tym, co tutaj robisz.

- Doprawdy? - szydził Davett. - Agencja Ochrony Środowiska? Niech pani przyśle ich tutaj.

Jeśli pani chce, dam ich numer. Zapewniam panią, że w całym Tanner's Corner znajdują tylko dopuszczalne ilości toksafenu.

- Może jeśli będą brać pod uwagę jedynie oddzielne wyniki zawartości toksafenu w wodzie, w ziemi, w miejscowych produktach... Ale jeśli połączymy wszystkie te wartości? Pomyśl tylko o dzieciach, które piją skażoną wodę, bawią się w skażonej trawie, jedzą skażone jabłka z miejscowego sadu... Davett wzruszył ramionami.

- Prawo jest w tej kwestii jednoznaczne. Jeśli się to pani nie podoba, może pani napisać do swojego kongresmena.

Lucy chwyciła go za klapy marynarki. Biznesmen nie próbował się z nią siłować.

- Nic nie rozumiesz - syczała mu prosto w twarz. - Pójdziesz siedzieć.

Odsunął się od niej i wyszeptał jadowitym tonem: - Nie, to pani nic nie rozumie, pani oficer.

Porywa się pani na coś, co jest poza pani zasięgiem. Ja jestem bardzo, bardzo dobry w tym, co robię. Nie popełniam błędów. - Spojrzał na zegarek.

- Muszę już iść.

Davett wrócił do lexusa, poprawił siwiejące włosy. Krople potu przykleiły je w kilku miejscach do głowy.

Wsiadł do auta i zatrzasnął za sobą drzwi.

- O co chodziło tej?... - zaczęła jego żona, on jednak uciszył ją machnięciem ręki.

Kiedy Davett uruchomił silnik, Lucy ponownie podeszła do samochodu.

- Chwileczkę - powiedziała.

Biznesmen rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie. Policjantka jednak nie zwracała nań uwagi.

- Chciałabym, byście zobaczyły, co zrobił wasz mąż i ojciec -

powiedziała do pasażerek Davetta, po czym jednym ruchem ro zerwała koszulkę. Kobiety w samochodzie z przerażeniem patrzyły na różowe blizny, jedyną pozostałość po jej piersiach.

- Och, na miłość boską - mruknął Davett, odwracając wzrok.

- Tato... - wyszeptała zaszokowana nastolatka.

- Powiedziałeś, że nie popełniasz błędów, Davett, tak? Mylisz się. Popełniłeś ten błąd.

Biznesmen wrzucił bieg i powoli wjechał na drogę.

Lucy jeszcze przez dłuższą chwilę nie ruszała się z miejsca, walcząc ze łzami napływającymi do oczu. Sięgnęła do torebki i spięła bluzkę kilkoma agrafkami. Oparła się o samochód i stała tak kilka minut, dopóki nie zauważyła małego barwnego kwiatka (przy skraju drogi).

Przyjrzała mu się bliżej. Był to różowy mokasynek, rodzaj orchidei. Jego płatki przypominają maleńkie pantofelki. Po pięciu minutach łopatką do zdrapywania lodu wykopała roślinkę i umieściła

ją w wysokim plastikowym kubku, poświęcając piwo na rzecz urody własnego ogrodu.

tablica umieszczona na gmachu sądu wyjaśniała, że nazwa stanu pochodzi od łacińskiej wersji imienia Karol, czyli Carolus. To właśnie król Karol I wydał pozwolenie na utworzenie nowej kolonii. Karolina...

Amelia Sachs zawsze myślała, że stan został tak nazwany na cześć Karoliny, jakiejś królowej czy księżniczki. Urodzona i wychowana na Brooklynie, nigdy nie interesowała się historią arystokracji.

Pilnowana przez dwóch strażników, siedziała teraz na ławce w korytarzu sądowym i rozglądała się obojętnie dokoła. Ceglany budynek o marmurowych podłogach i mahoniowych meblach był już właściwie zabytkiem. Poważni mężczyźni w czarnych togach, sędziowie lub gubernatorzy, jak przypuszczała, spoglądali na nią surowo z olejnych portretów, jakby wiedzieli, że jest winna. Mimo braku klimatyzacji w ciemnych, kamiennych wnętrzach gmachu panował przyjemny chłód.

Podszedł do niej Fred Dellray.

-Hej, chcesz kawy albo czegoś innego do picia?

Jeden ze strażników zdążył wyrecytować tylko:

-Nie wolno rozmawiać z... - nim agent pokazał mu legitymację FBI.

- Nie, dzięki, Fred. Gdzie jest Lincoln?

Dochodziła już dziewiąta trzydzieści.

- Nie wiem. Znasz go, czasami po prostu się pojawia. Jak na człowieka, który nie może chodzić, jest wyjątkowo ruchliwy. Brakowało także Garretta i Lucy.

Po chwili podszedł do niej także Soi Geberth w eleganckim szarym garniturze. Strażnik po jej prawej ręce przesunął się na bok i pozwolił prawnikowi usiąść obok niej. - Cześć, Fred -

przywitał agenta prawnik. Dellray odpowiedział tylko chłodnym skinieniem - Sachs domyśliła się, że podobnie jak w przypadku Rhyme'a, adwokat wybronił zapewne kilku przestępców, pojmany przez agenta. -Wszystko jest już uzgodnione - powiedział Geberth do Sachs. - Prokurator przystał na nieumyślne zabójstwo, żadnych innych zarzutów. Sześć lat.

Sześć lat..

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której nie pomyślałem wczoraj

- kontynuował prawnik. Co takiego? - spytała Sachs, próbując odczytać z jego twarzy, jak poważny może być ów problem.

Chodzi o to, że jesteś gliną.

- I co z tego?

Nim adwokat zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Dellray:

- Jesteś stróżem prawa. W środku.

Kiedy nadal nie rozumiała, agent wyjaśnił: -W środku więzienia. Będą musieli oddzielić cię od pozostałych więźniów. Inaczej nie przeżyłabyś nawet tygodnia. To będzie trudne, Amelio.

Cholernie trudne. - Ale nikt nie wie, że jestem gliną. Dellray roześmiał się cicho.

-Będą wiedzieli o tobie wszystko, nim jeszcze odbierzesz pościel i strój więzienny.

-Nie zamknęłam nikogo z tych stron. Dlaczego miałby im przeszkadzać fakt, że jestem gliną?

-To, skąd jesteś, nie ma najmniejszego znaczenia - powiedział Dellray, spoglądając na Gebertha, który skinął głową. - Na pewno nie będą cię trzymać z innymi więźniami.

-Więc praktycznie będzie to sześć lat w samotności.

- Niestety - westchnął Geberth.

Zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją fala nudności.

Sześć lat bezruchu, klaustrofobii, koszmarów...

Czy jako była więźniarka będzie w ogóle mogła myśleć o macierzyństwie? Omal nie rozplakała się z żalu.

-Więc? - spytał prawnik. - Nadal jesteś zdecydowana?

Sachs otworzyła oczy.

-Idę na ugode.

Sala była zatłoczona. Sachs dojrzała Masona Germaina i kilku innych policjantów. W pierwszym rzędzie siedziała ponura para w średnim wieku, prawdopodobnie rodzice Jesse'a Corna. Bardzo chciała im coś powiedzieć, lecz ich pogardliwe spojrzenia skutecznie zamknęły jej usta. Widziała tylko dwie twarze, które wydały jej się - jeśli nie przyjazne - to przynajmniej nie wrogie: Mary Beth i jej matki. Nadal nie było na sali Lucy Kerr. Ani Lincolna Rhyme'a. Przypuszczała, że nie miał po prostu serca, by patrzeć, jak wyprowadzają ją załamana, w łańcuchach; ona właściwie także nie chciała, by widział ją w takiej chwili.

Urzędnik sądowy zaprowadził ją do stołu obrony. Nie zdjął jej kajdanek. Soi Geberth siedział obok niej.

Wstali, kiedy do sali wszedł sędzia, otyły mężczyzna w czarnej todze. Zasiadł na swoim miejscu, potem przez kilka minut przeglądał dokumenty i rozmawiał ze swoim sekretarzem.

Wreszcie skinął głową, a sekretarz oznajmił głośno:

- Stan Karolina Północna przeciwko Amelii Sachs.

Sędzia skinął na prokuratora z Raleigh, wysokiego, siwowłosego mężczyznę. Ten podniósł się z miejsca i zaczął przemowę:

- Wysoki Sądzie, obrońca i oskarżyciel doszli do ugody, zgodnie z którą Amelia Sachs zostanie uznana za winną nieumyślnego zabójstwa zastępcy szeryfa Jesse'a Corna.

Oskarżyciel rezygnuje z pozostałych zarzutów i proponuje karę sześciu lat więzienia bez możliwości warunkowego zwolnienia.

-Panno Sachs, czy rozmawiała pani ze swoim adwokatem o tej ugodzie?

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

-I wie pani, że może odrzucić tę propozycję i zdecydować się na proces?

-Tak.

-I rozumie pani, że w ten sposób przyznaje się pani do zarzutu zabójstwa?

-Tak.

- Podejmuje pani tę decyzję z własnej nieprzymuszonej woli?

Pomyślała o ojcu, o Nicku. I o Lincolnie.

- Tak.

Dobrze. Jak odpowiada pani na postawiony pani zarzut nie umyślnego zabójstwa?

- Winna, Wysoki Sądzie.

- W świetle rekomendacji przedstawionej przez oskarżyciela skazuję panią na...

Obite czerwoną skórą drzwi sali otworzyły się gwałtownie do wewnątrz, a na marmurową posadzkę wjechał wózek Lincolna Rhyme'a. Urzędnik sądowy próbował otworzyć przed nim szerokie wrota, kryminalistyk jednak bardzo się śpieszył i po prostu staranował je. Jedno skrzydło drzwi uderzyło z trzaskiem o ścianę. Za wózkiem szła Lucy Kerr.

Sędzia podniósł wzrok, gotów udzielić intruzowi surowej reprimendy. Kiedy ujrzał wózek, podobnie jak większość ludzi, zastosował się do zasad znieprawionej przez Rhyme'a obojętnej

poprawności i nie powiedział nic. Zwrócił się ponownie do Sachs:

-Niniejszym skazuję panią...

Proszę mi wybaczyć, Wysoki Sądzie - przerwał mu Rhyme.

- Muszę porozmawiać z oskarżoną i jej obrońcą.

Cóż - burknął sędzia. - Ja muszę dopełnić czynności urzędowych. Może porozmawiać pan z nią później.

Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie - odparł Rhyme. - Ale muszę zrobić to natychmiast. - Mówił równie nieuprzejmym tonem jak sędzia, ale znacznie głośniej.

Jak za starych dobrych czasów, na sali sądowej.

Większość ludzi myśli, że praca kryminalistyka polega wyłącznie na gromadzeniu i analizowaniu dowodów. Kiedy jednak Lincoln Rhyme był szefem wydziału badawczego nowojorskiej policji, spędzał niemal tyle samo czasu w sądzie, co w laboratorium. Był

dobrym biegłym sądowym. (Blaine, jego była żona, często powtarzała, że Rhyme woli występować przed ludźmi -łącznie z nią samą - niż z nimi współdziałać).

Kryminalistyk podjechał do barierki oddzielającej uczestników procesu od widowni. Kiedy spojrzał na Amelię Sachs, serce omal nie pękło mu z żalu. Podczas trzydniowego pobytu w więzieniu Amelia wyraźnie schudła, miała podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Jej rude włosy były brudne i ściągnięte w ciasny kok - wiązała je w ten sposób w czasie pracy na miejscu przestępstwa, a taka fryzura czyniła jej piękną twarz surową i posępną.

Geberth podszedł do Rhyme'a i pochylił się nad nim. Rozmawiali przez kilka minut. Kiedy Rhyme zorientował się, że adwokat kiwa tylko głową i nie robi żadnych notatek, zaniepokoił

się nieco, potem jednak przypomniał sobie, że ten ma fenomenalną pamięć. Wreszcie prawnik wyprostował się i zaczął mówić:

-Wysoki Sądzie, wiem, że to posiedzenie dotyczy ugody zawartej pomiędzy oskarżycielem i oskarżoną. Mam jednak niezwykłą propozycję. Na jaw wyszły właśnie nowe, bardzo istotne dowody...

-...które może pan przedstawić podczas procesu - burknął sędzia. - Jeśli pańska klientka zdecyduje się odrzucić ugode.

-Nie chcę przedstawiać niczego w sądzie; wolałbym raczej powiadomić stan o tychże dowodach i przekonać się, czy mój szanowny kolega nie zechce ich rozważyć.

-W jakim celu?

- Być może po to, by zmienić oskarżenia wysunięte przeciwko mojej klientce. Co uczyni żywot Wysokiego Sądu nieco lżejszym - dodał grzecznie.

Sędzia przewrócił oczami, pokazując w ten sposób, że janke-ska układność nie robi na nikim wrażenia w tej części kraju. Mimo to zerknął na prokuratora i spytał:

-Więc?

Prokurator zwrócił się do Gebertha:

Co to za dowody? Jakiś nowy świadek?

Rhyme nie mógł już dłużej panować nad sobą.

Nie - powiedział. - Dowody materialne.

- To pan jest tym Lincolnem Rhyme'em, o którym tyle słyszałem? - spytał sędzia.

Jakby w Karolinie Północnej pracowało obecnie dwóch sparaliżowanych kryminalistów. -

Tak, to ja.

- Gdzie są te dowody? - spytał Rhyme'a prokurator.

-Pod moją opieką, w biurze szeryfa okręgu Paąuenoke - poinformowała Lucy Kerr.

- Zechce pan zeznawać pod przysięgą, panie Rhyme? - spytał sędzia.

- Oczywiście.

Sędzia zwrócił się do prokuratora:

- Nie ma pan nic przeciwko temu?

-Nie. Jeśli jednak okaże się, że to tylko zagranie taktyczne albo że te nowe dowody nie mają żadnego znaczenia, oskarżę pana Rhyme'a o utrudnianie procesu.

Sędzia zastanawiał się przez chwilę, po czym oświadczył: -Proszę zapisać, że nie jest to częścią procedury. Sąd użycza tylko stronom czasu na udzielenie zeznań i ustalenie nowych warunków ewentualnej ugody. Badanie prowadzone będzie zgodnie z zasadami obowiązującymi w Karolinie Północnej. Proszę zaprzysiąc zeznającego.

Rhyme zaparkował przed ławką. Kiedy zbliżył się doń sekretarz sądu z Biblią w dłoni, Rhyme powiedział:

-Nie, nie mogę podnieść prawej ręki,-Potem wyrecytował: -Przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Próbował pochwycić spojrzenie Sachs, ta jednak wpatrywała się tępo w wyblakłą mozaikę na podłodze. Geberth przeszedł do przodu sali sądowej. -Panie Rhyme, proszę podać swoje nazwisko, adres i zawód. -Lincoln Rhyme, 345 Central Park West, Nowy Jork. Jestem kryminalistyką.

-To pracownik laboratorium sądowego, tak?

-Coś więcej, ale rzeczywiście, zajmuję się głównie badaniami sądowymi.

- A skąd zna pan oskarżoną, Amelię Sachs?

-Była moją asystentką i partnerką podczas kilku śledztw.

- Jak trafił pan do Tanner's Corner?

-Pomagaliśmy szeryfowi Jamesowi Bellowi z Biura Szeryfa Okręgu Paąuenoke.

Zajmowaliśmy się sprawą zabójstwa Bil-ly'ego Staila i porwaniem Lydii Johansson i Mary Beth McCon-nell.

-Panie Rhyme, twierdzi pan, że dysponuje dowodami, które mogą mieć kluczowe znaczenie dla sprawy Amelii Sachs? - pytał dalej Geberth.

-Tak.

- Co to za dowody?

-Kiedy dowiedzieliśmy się, że Billy Stail poszedł do Black-water Landing, by zabić Mary Beth McConnell, zacząłem zastanawiać się, dlaczego to zrobił. I doszedłem do wniosku, że ktoś mu za to zapłacił. Musiał...

- Dlaczego uważa pan, że ktoś mu za to zapłacił?

- To chyba oczywiste - burknął Rhyme. Nie lubił odpowiadać na oczywiste pytania, a Geberth odbiegał od tematu.

Mimo wszystko proszę nam to powiedzieć.

Billy nie był związany uczuciowo z Mary Beth, nie miał też nic wspólnego z morderstwem rodziny Garretta Hanlona. Więc jedyną motywacją mogły być dlań pieniądze.

-Proszę mówić dalej.

- To oczywiste, że zleceniodawca nie zapłaciłby mu czekiem, lecz gotówką. Rodzice Billy'ego

Staila pozwolili oficer Kerr przeszukać jego pokój. Znalazła dziesięć tysięcy dolarów, ukrytych pod jego materacem.

-A co z tym...

- Czy mogę dokończyć? - spytał Rhyme prawnika.

-Dobry pomysł, panie Rhyme - poparł go sędzia. - Myślę, że już wystarczająco znamy tło sprawy.

-Przy pomocy oficer Kerr sprawdziłem odciski palców na banknotach z wierzchu i z dołu pliku.

Znalazłem ślady sześćdziesięciu jeden osób. Prócz odcisków Billy'ego były tam także ślady jeszcze jednej osoby związanej z tą sprawą. Oficer Kerr otrzymała zezwolenie na wejście do domu tego człowieka.

- Czy przeszukał pan także ten dom? - spytał sędzia.

- Nie, ja go nie przeszukałem - odparł Rhyme, z trudem zachowując cierpliwość. - Był dla mnie niedostępny. Ale kierowałem przeszukaniem prowadzonym przez oficer Kerr. Podczas rewizji znalazła dowód zakupu łopaty identycznej z tą, którą zabito Billy'ego Staila, i osiemdziesiąt trzy tysiące dolarów, owiniętych taką samą banderolą jak pieniądze odkryte w domu Billy'ego.

- Rhyme zawiesił na moment głos, celowo budując napięcie i zachowując najlepszy kąsek na sam koniec. - Oficer Kerr znalazła

także fragmenty kości w pozostałościach ogniska za domem. Po zbadaniu okazało się, że są to kości rodziny Garretta Hanlona.

- Czyj był ten dom?

-Oficera Jesse'a Corna.

Przez widownię przebiegł pomruk zdumienia. Prokurator zachował kamienną twarz, wyprostował się jednak lekko i zwrócił ku swym doradcom, szeptem omawiając z nimi implikacje tego zeznania. Rodzice Jesse'a Corna odwrócili się do siebie, zszokowani, jego matka zaczęła płakać.

-Do czego pan właściwie zmierza, panie Rhyme? - spytał sędzia.

Rhyme oparł się pokusie i nie powiedział sędziemu, że konkluzje są oczywiste.

-Wysoki Sądzie - odparł. - Jesse Corn współpracował z Jimem Bellem i Steve'em Farrem.

Pięć lat temu przyczynił się do śmierci rodziny Garretta Hanlona, a teraz byłby pośrednim sprawcą zabójstwa Mary Beth McConnell. O tak. W tym mieście jest kilka szerszeni. Sędzia odchylił się na oparcie swego krzesła. - To nie ma nic wspólnego ze mną. Wy, panowie, musicie porozumieć się między sobą. - Skinął głową na Gebertha i prokuratora. - Macie na to pięć minut. Później albo oskarżona przyjmie ugodę, albo wyznaczę wysokość kaucji i termin procesu. Prokurator zwrócił się do Gebertha:

-To nie znaczy, że ona nie zabiła Jesse'a. Nawet jeśli Corn należał do spisku, to nadal jest ofiarą zabójstwa. Tym razem to Jankeś musiał przewrócić oczami. - Och, proszę tylko pomyśleć - warknął, jakby jego adwersarz był niezbyt rozgarniętym studentem. - Znaczy to tyle, że Corn jako stróż prawa działał poza swoją jurysdykcją i że kiedy ścigał Garretta, był

przestępcą, uzbrojonym i niebezpiecznym. Jim Bell przyznał, że zamierzali torturować chłopca, by dowiedzieć się, gdzie ten przetrzymuje Mary Beth. To zaś z kolei oznacza, że gdyby ją znaleźli, Corn wraz z Culbeau zabiłby nie tylko ją, ale także Lucy Kerr i pozostałych policjantów.

Sędzia przenosił spojrzenie z jednej strony sali na drugą, śledząc tę niezwykłą rozgrywkę.

Prokurator:

- W tej chwili zajmuję się tylko jedną sprawą. To, czy Jesse Corn zamierzał kogoś zabić, czy też nie, nie ma tu żadnego znaczenia.

Geberth powoli pokręcił głową i zwrócił się do protokolanta:

- Zawieszamy składanie zeznań. Proszę nie umieszczać tego w protokole. - Potem zwrócił się do

prokuratora: - Po co przeciągać tę sprawę? Corn był mordercą.

Rhyme przyłączył się do niego:

- Jak pan myśli, co postanowi ława przysięgłych, kiedy dowie się, że Corn był skorumpowanym policjantem, który chciał torturować niewinnego chłopca i zamordować niewinną dziewczynę?

Geberth kontynuował:

- Nie potrzebuje pan jeszcze jednej oskarżonej. Ma pan Bel-la, jego szwagra, koronera...

Nim prokurator mógł ponownie zaprotestować, Rhyme podniósł nań wzrok i powiedział cicho:

Pomogę panu.

Co? - zdumiał się prokurator.

Wie pan, kto za tym wszystkim stoi, prawda? Wie pan, kto zabija połowę mieszkańców Tanner's Corner?

-Henry Davett - odparł prawnik. - Czytałem akta.

-I jak wygląda jego sprawa?

-Nie najlepiej. Nie mam żadnych dowodów. Żadnego bezpośredniego związku między nim i Bellem czy kimkolwiek innym z miasta. Używał pośredników, a ci albo odmawiają składania zeznań, albo pozostają poza moją jurysdykcją.

Ale chciałby go pan dopaść, zanim kolejni ludzie umrą na raka, prawda? - spytał Rhyme. -

Zanim znów jakieś dziecko za choruje i popełni samobójstwo. Zanim urodzą się następne dzieci z wadami wrodzonymi.

Oczywiście, że tak.

-W takim razie potrzebuje pan mnie. W tym stanie nie znajdzie pan kryminalistyka, który może znaleźć haka na Davetta. Ja to potrafię. - Rhyme zerknął na Sachs i zobaczył łzy w jej oczach. Wiedział, że myśli teraz tylko o jednym; bez względu na to, czy trafi do więzienia czy też nie, nie zabiła niewinnego człowieka.

Prokurator westchnął ciężko. Potem skinął głową. Szybko, jakby bał się, że potem może zmienić zdanie, powiedział:

Zgoda. - Spojrzał na sędziego. - Wysoki Sądzie, w sprawie stan Karolina Północna przeciwko Amelii Sachs stan wycofuje wszystkie oskarżenia.

Oskarżenia oddalone - odrzekł znudzony sędzia. - Pozwana może odejść. Następna sprawa.

Nie wiedziałem, czy przyjdiesz - powiedział Lincoln Rhyme.

Właściwie był zaskoczony.

- Ta też nie wiedziałam - odparła Sachs.

Znajdowali się w sali szpitalnej w Centrum Medycznym w Avery. .

-Wróciłem właśnie od Thoma, leży na piątym piętrze - mówił Rhyme. - To zabawne. W tej chwili to ja poruszam się swobodniej niż on.

I raczej Powinien wyjść za kilka dni. Powiedziałem mu, że będzie musiał teraz poznać wiele nowych odmian terapii.

^Mtf Gwatemalka - tymczasowa opiekunka Rhyme'a - siedziała w kącie i robiła na drutach

żółto-czerwony szal. Znosiła humory kryminalistka z zadziwiającym spokojem, choć ten podejrzewał, że po prostu zbyt słabo zna angielski, by oceniać jego Złośliwość. Sachs -

powiedział Rhyme. - Kiedy dowiedziałem się że wypuściłaś Garretta z więzienia, pomyślałem, że być może zrobiłaś to po to, bym jeszcze raz zastanowił się nad tą operacją.

Jej pełne usta wygięły się w uśmiechu.

-Może jest w tym odrobina prawdy.

-Więc przysłałaś tu, żeby mnie od tego odwieść?

Sachs wstała i podeszła do okna.

- Ładny widok.

- Prawda? Fontanna i ogród. Rośliny. Nie wiem nawet, co to za gatunki.

-Lucy mogłaby ci powiedzieć. Zna się na roślinach równie dobrze, jak Garrett na robakach.

Przepraszam, na owadach. Nie, Rhyme, nie przysłałam tu, żeby cię do czegokolwiek zniechęcać.

Po prostu chcę być z tobą, teraz i później, kiedy już się obudzisz po operacji.

-Nagła zmiana podejścia?

Odwróciła się do niego.

-Kiedy płynęłam z Garrettem w łódce, dowiedziałam się o czymś, co wyczytał w swojej książce.

W „Miniaturowym świecie”.

-Nabrałem nowego szacunku do żuków gnojaków po przeczytaniu tego dziełka - mruknął

Rhyme.

-Garrett pokazał mi pewien fragment. Była to lista cech wszystkich żywych stworzeń. Jedna z nich głosiła, że żywa istota chce wzrastać i przystosowywać się do otoczenia. Zrozumiałam wtedy, że to jest coś, co ty musisz zrobić, Rhyme. Potrzebujesz tego. A ja nie mam prawa ci w tym przeszkadzać.

Po chwili milczenia Rhyme powiedział:

-Wiem, że to mnie nie uleczy, Sachs. Ale na czym polega nasz zawód? To małe zwycięstwa.

Tu znajdujemy jakieś włókno, tam odciski palców, gdzie indziej kilka ziaren piasku, które mogą zaprowadzić nas do domu zabójcy. Właśnie tego tu szukam -małej poprawy. Nie wstanę z tego krzesła, wiem o tym. Ale potrzebuję małego zwycięstwa.

Może szansy, by naprawdę uścisnąć twą dłoń.

Pochyliła się, ucałowała go mocno, potem usiadła na łóżku.

- Co to za mina, Sachs? Boisz się czegoś?

- Chodzi o ten fragment z książki Garretta.

-Tak?

-Wymieniono tam jeszcze jedną cechę istot żywych, o której chciałabym ci powiedzieć.

- To znaczy?

-Wszystkie istoty żywe pragną przedłużyć swój gatunek.

- Czyżbym węszył tutaj kolejną ugodę? - burknął Rhyme.

- Jakiś handel wymienny?

- Może porozmawiamy o pewnych sprawach, kiedy już wrócimy do Nowego Jorku? - spytała Sachs.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka. -Muszę zabrać pana do sali przedoperacyjnej, panie Rhyme. Gotów do przejazdu?

-Och, jak najbardziej... - Odwrócił się do Sachs. - Oczywiście, porozmawiamy.

Pocałowała go raz jeszcze i uściśnęła mocno jego lewą dłoń, gdzie na palcu serdecznym mógł bardzo delikatnie odczuć jej dotyk.

Dwie kobiety siedziały obok siebie w szerokiej smudze słonecznego blasku.

Przed nimi, na pomarańczowym stoliku poznaczonym brązowymi śladami z czasów, kiedy palenie w szpitalach było jeszcze dozwolone, stały dwa papierowe kubki paskudnej kawy z automatu.

Amelia Sachs zerknęła na Lucy Kerr. Ta siedziała pochylona do przodu, ze złożonymi rękami, zatopiona w myślach. - O co chodzi? - spytała Sachs. - Wszystko w porządku?

Policjantka zawahała się na moment, potem odpowiedziała: -W sąsiednim skrzydle jest onkologia. Spędziłam tam kilka miesięcy. Przed operacją i po niej. - Potrząsnęła głową. -

Nikomu o tym nie mówiłam, ale w Święto Dziękczynienia, po tym, jak Buddy mnie zostawił, przyszedłam tutaj. Posiedziałam trochę, zjadłam tuńczyka i wypijałam kawę z pielęgniarkami.

Czy to nie dziwne? Mogłam pojechać do moich kuzynów w Raleigh. Albo do siostry w Martinsville i jej męża, rodziców Bena. Ale chciałam być tam, gdzie czułam się jak w domu.

A na pewno nie czułam się tak we własnym mieszkaniu.

-Kiedy mój tata umierał, trzy razy spędzałam z mamą święta w szpitalu - powiedziała Sachs. -

Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Tata żartował. Mówił, że powinniśmy zrobić wcześniej rezerwację na Wielkanoc. Nie doczekał jej.

- Twoja mama jeszcze żyje?

- O tak, jest zdrowsza ode mnie. Ja odziedziczyłam po tacie artretyzm. I to w ogromnych ilościach. - Sachs miała już zażartować i powiedzieć, że dlatego tak dobrze strzela - by nie musiała potem biegać za przestępcami. Pomyślała jednak o Jes-se'em Cornie, o czarnej kropce na jego czole, i w porę ugryzła się w język.

- On będzie zdrów, wiesz. Lincoln - powiedziała po chwili milczenia Lucy.

- Nie, nie wiem - odparła Sachs.

-Mam takie przeczucie. Kiedy człowiek przejdzie tyle, co ja, to znaczy, kiedy spędzi tyle czasu w szpitalach, potem miewa takie przeczucia.

-Dziękuję ci - mruknęła Sachs, choć ostatnio miała już dość wszelkiego rodzaju przeczuc.

Jak myślisz, ile to potrwa? - spytała Lucy.

Całą wieczność...

Doktor Weaver mówiła, że kilka godzin.

Z dala dobiegł ich ledwie słyszalny, nijaki dialog z opery mydlanej. Ktoś wzywał lekarza.

Dzwonek. Czyjś śmiech.

Ktoś podszedł do nich, zatrzymał się. Lucy podniosła wzrok, początkowo nie rozpoznała młodej kobiety.

-Witam panie.

-Lydia - powiedziała Lucy, uśmiechając się. - Jak leci?

Lydia Johansson. Sachs z początku nie poznała jej, bo ta miała na sobie zielony fartuch i czepek. Zapomniała, że Lydia jest przecież pielęgniarką w tym szpitalu.

-Słyszałaś o Jimie i całej reszcie? - spytała Lucy. - Kto by pomyślał?

- Ja nigdy w życiu - zgodziła się Lydia. - Całe miasto o tym mówi. - Potem pielęgniarka spytała Lucy: - Masz wizytę na onkologii?

-Nie, pan Rhyme ma dzisiaj operację kręgosłupa. Przyszliśmy mu kibicować.

- Cóż, ja też życzę mu wszystkiego najlepszego - zwróciła się do Sachs pielęgniarka.

-Dziękuję,

Lydia ruszyła korytarzem, pomachała im jeszcze na pożegnanie i zniknęła za drzwiami,

- Miła dziewczyna - zauważyła Sachs.

-Wyobrażasz sobie taką pracę, pielęgniarki na onkologii? Kiedy czekałam na operację, miałam z Lydią do czynienia codziennie. Była równie miła i życzliwa wobec tych, którzy wracali do zdrowia, jak i wobec tych, którzy nie mieli już żadnej nadziei. Do tego trzeba być naprawdę twardym.

Sachs jednak nie myślała już o Lydii. Spojrzała na zegarek. Jedenasta. Operacja mogła się zacząć w każdej chwili.

Starał się zachować dobry humor.

Pielęgniarka wyjaśniała mu różne rzeczy, a Lincoln Rhyme kiwał głową ze zrozumieniem, wcześniej jednak podano mu va-lium i w rzeczywistości nie miał pojęcia, o czym doń mówi młoda kobieta.

Miał ochotę powiedzieć jej, by się wreszcie zamknęła i zajęła pracą, pomyślał jednak, że powinien być uprzejmy dla kogoś, kto za chwilę będzie asystował przy rozcinaniu mu szyi.

- Naprawdę? - mruknął, kiedy umilkła na chwilę. - To interesujące. - Oczywiście nie wiedział wcale, co właśnie powiedziała. Potem przyszedł sanitariusz i przewiózł go do sali operacyjnej. Dwie pielęgniarki przeniosły go z wózka na stół. Potem jedna przeszła w drugi róg sali i zaczęła wyjmować przyrządy z autoklawu.

Sala operacyjna wyglądała mniej groźnie i surowo, niż przypuszczał. Oczywiście nie brakowało w niej standardowych zielonych kafelków, różnego rodzaju oprzyrządowania z nierdzewnej stali, rur i narzędzi chirurgicznych. Ale pod ścianami stały także papierowe pudła i radiomagnetofon. Chciał zapytać, jakiej muzyki słucha się podczas operacji, potem jednak przypomniał sobie, że i tak będzie nieprzytomny i że nie zrobi mu to żadnej różnicy.

-To zabawne - wymamrotał niewyraźnie do pielęgniarki, która stała obok stołu. Odwróciła się do niego. Maską zasłaniała większą część jej twarzy, mógł więc widzieć tylko jej oczy.

Co takiego? - spytała.

Operują jedyne miejsce, w którym potrzebuję znieczulenia.

Gdyby wycinali mi wyrostek, mogliby to zrobić bez anestezji.

- Rzeczywiście, to zabawne, panie Rhyme.

Roześmiał się krótko, myśląc: więc zna mnie.

Wbił spojrzenie w sufit. Lincoln Rhyme dzielił ludzi na dwie kategorie: podróżujących i przybywających. Niektórych bardziej cieszyła sama podróż niż jej ostateczny cel. On był z natury człowiekiem przybywającym - znajdowanie odpowiedzi na pytania związane z przestępstwem było dlań celem najważniejszym, i to znajdowanie rozwiązań cieszyło go bardziej niż proces ich poszukiwania. Teraz jednak, leżąc na plecach i wpatrując się w chromowaną obudowę lampy chirurgicznej, czuł coś przeciwnego. Wolał egzystować w tym stanie nadziei, sycić się przecuciem lepszej przyszłości.

Podeszła doń lekarz anestezjolog, wbiła igłę w jego ramię, przygotowała zastrzyk i włożyła go do rurki połączonej z igłą. Rhyme zauważył, że jest Indianką i że ma bardzo zręczne dłonie. -Gotów do drzemki? - spytała z lekko śpiewnym akcentem. -Jak zawsze -

wymamrotał.

-Kiedy to wstrzyknę, poproszę, by odliczał pan od stu do jednego. Nawet pan nie zauważy, kiedy pan zaśnie. -Ile wynosi rekord? - zażartował Rhyme. - W odliczaniu? Pewien mężczyzna, o wiele

większy od pana, doszedł do siedemdziesięciu dziewięciu. -Ja dojdę do siedemdziesięciu pięciu. -
Jeśli pan tego dokona, ta sala zostanie nazwana pańskim imieniem -
odparła z powagą.

Obserwował, jak naciska na tłok strzykawki. Odwróciła się, by spojrzeć na monitor. Rhyme zaczął odliczać:

-Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt siedem...

Pielęgniarka, ta, która zwróciła się doń po nazwisku, przykucnęła obok łóżka.

- Cześć - powiedziała półszepem. Jakiś dziwny ton w jej głosie. Rhyme zerknął na nią kątem oka.

-Jestem Lydia Johansson - ciągnęła dziewczyna. - Jim Bell i Henry Davett prosili, bym cię od nich pożegnała.

- Nie! - wymamrotał. Anestezjolog, nie odrywając spojrzenia od monitora, powiedziała:

- Wszystko idzie dobrze. Proszę się tylko zrelaksować.

Przysuwając usta bliżej jego ucha, Lydia szeptała:

-Nie zastanawiałeś się nigdy, skąd Jim wiedział o pacjentach chorych na raka? -Nie! Przestań!

-Podawałam mu nazwiska, żeby Culbeau mógł się nimi zająć. Jim Bell to mój chłopak.

Spotykamy się od lat. To on wysłał mnie do Blackwater Landing po porwaniu Mary Beth.

Byłam przynętą... Tamtego dnia poszłam złożyć tam kwiaty i pokręcić się po okolicy, na wypadek gdyby Garrett wrócił. Miałam z nim porozmawiać i przytrzymać chłopaka, żeby Jesse i Ed Schaeffer zdążyli go złapać - Ed też był z nami. Mieli dowiedzieć się od niego, dzie trzyma Mary Beth. Ale nikt nie przypuszczał, że on mnie porwie. Nikt nawet o tym nie pomyślał. Uciekł, zanim Jesse mógł go złapać.

O tak, w tym mieście jest kilka szerszeni...

-Przestań! - próbował krzyknąć Rhyme, Lecz z jego ust wydobył się tylko niewyraźny bełkot.

-Minęło piętnaście sekund - powiedziała anestezjolog. -Może jednak pobije pan ten rekord.

Odlicza pan? Nie słyszę, zęby pan liczył.

-Będę tu przy tobie - powiedziała Lydia, głaszcząc Kny-me'a po czole. -Wiele może się wydarzyć podczas operacji. Jakieś zagięcie w rurce z tlenem, nieodpowiedni lek. Kto wie?

Czekaj - wydyszał Rhyme. - Czekaj!

Ha! - roześmiała się anestezjolog, wciąż wpatrzona w monitor. - Dwadzieścia sekund. Myślę, że jednak pan wygra, panie Rhyme.

- A ja myślę, że nie - szepnęła Lydia i wyprostowała się powoli. . .

Rhyme widział jeszcze, jak sala operacyjna szarzeje i rozmywa się przed jego oczami, potem ogarnęła go ciemność.

To rzeczywiście niezwykle piękne miejsce, pomyślała Amelia Sachs.

Jak na cmentarz, oczywiście.

Cmentarz komunalny Tanner's Corner położony był na zboczu wzgórza, z którego rozciągał się szeroki na kilka mil widok na dolinę rzeki Paquenoque. Było tu jeszcze ładniej, niż wydawało im się, kiedy patrzyli na to miejsce z drogi.

Mrużąc oczy w ostrym blasku słońca, patrzyła na błyszczącą wstążkę kanału Blackwater.

Stąd nawet ciemna, skażona woda, która przyniosła tyle złego tak wielu ludziom, wyglądała niewinnie i malowniczo.

Sachs stała w małej grupie ludzi otaczających otwarty grób. Pracownik zakładu pogrzebowego

spuszczał do wnętrza urnę z prochami. Obok Amelii stali Lucy Kerr i Garrett Hanlon. Po drugiej stronie grobu byli Mason Germain i Thom. Młody asystent podpierał się laską, jak zawsze ubrany był w nienagannie czyste i wyprasowane spodnie i białą koszulę.

Włożył także krawat w jaskrawy czerwony wzór, który pomimo powagi chwili wydawał się odpowiednio dobrany do okazji.

Z boku stał samotny Fred Dellray w czarnym garniturze, głęboko zamyślony - jakby przypominał sobie którąś z książek filozoficznych, które tak bardzo lubił czytać.

Przypominałby kapłana, gdyby włożył białą koszulę, a nie jasnozieloną w żółte kropki.

Nikt nie odprawiał modłów nad grobem, choć był to bogobojny kraj i z pewnością znalazłoby się co najmniej dziesięciu kapłanów, gotowych wyprawić chrześcijański pogrzeb. Dyrektor zakładu pogrzebowego spojrzął na zgromadzonych i spytał, czy ktoś z nich chciałby przemówić. Kiedy żałobnicy spoglądali po sobie, ciekawi, czy znajdzie się jakiś ochotnik, Garrett sięgnął do swej przepastnej kieszeni i wyciągnął z niej zniszczony egzemplarz

„Miniaturowego świata”.

Odchrząknął niepewnie i zaczął czytać:

- „Są tacy, którzy twierdzą, że nie istnieje żadna boska siła, lecz ów brak wiary poddany zostanie ciężkiej próbie, kiedy spojrzemy na świat owadów, obdarzony niezwykle wieloma zdumiewającymi cechami; znajdziemy tam skrzydła tak cienkie, że nie wydaje się, by mogły zostać wykonane z żywej tkanki; ciała, w których nie znajdziemy nawet miligrama zbędnego ciężaru; detektory siły wiatru, które każą muchom chronić się przed zbyt gwałtownymi podmuchami; ruchy tak wydajne, że inżynierowie wzorują na nich modele robotów; sieć pajęczą tak lekką i silną, że naukowcy nie potrafią jej zduplikować; i co najważniejsze, niezwykłą zdolność przetrwania w obliczu zagrożeń ze strony człowieka, drapieżników i sił przyrody. W chwilach przygnębienia możemy zastanowić się nad pomysłowością i wytrzymałością tych cudownych stworzeń, by w ten sposób znaleźć pocieszenie i odzyskać utraconą wiarę”.

Garrett podniósł wzrok i zamknął książkę. Pstryknął nerwowo paznokciami. Spojrzął na Sachs i spytał:

- Chce pani coś powiedzieć?

Ona jednak pokręciła tylko głową.

Jeszcze przez kilka minut wszyscy stali w milczeniu nad grobem, potem odwrócili się i ruszyli z powrotem w górę zbocza. Nim dotarli do małego parku na grzbiecie wzgórza, pracownicy domu pogrzebowego zaczęli zasypywać grób ziemią. Sachs dyszała ciężko, kiedy wreszcie stanęła w cieniu drzew obok parkingu.

Przypomniała sobie słowa Lincolna Rhyme'a:

Całkiem przyjemny cmentarz. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby pochowano mnie w takim miejscu.

Zatrzymała się, by otrzeć pot z czoła i wyrównać oddech; nadal nie mogła przywyknąć do upału Karoliny Północnej. Garrett z kolei jakby nie zauważał nieznośnego gorąca. Przebiegł obok niej i zaczął wyjmować z samochodu Lucy torby z jedzeniem.

Nie jest to najlepszy czas i miejsce na piknik, pomyślała Sachs, ale z drugiej strony, równie dobrze można uczcić pamięć zmarłych winem, sałatką z kurczaka i arbuzem.

I whisky, oczywiście. Sachs sięgnęła do torby z zakupami i odszukała w niej butelkę osiemnastoletniej szkockiej whisky Macallan. Korek pyknął lekko, kiedy wyciągała go z szyjki.

- Och, mój ulubiony dźwięk - powiedział Lincoln Rhyme.

Manewrując ostrożnie wózkiem na nierównej trawie, podjechał do Amelii i zatrzymał się obok niej. Zbocze prowadzące do grobu było zbyt strome dla jego pojazdu, Rhyme musiał więc poczekać na nich tutaj, na górze. Z tego miejsca obserwował, jak grzebią zidentyfikowane przezeń kości rodziny Garretta.

Sachs naląła whisky do szklanki Rhyme'a, zaopatrzonej w długą rurkę, i trochę do swojej.

Wszyscy pozostali pili piwo.

-Bimber to trucizna, Sachs - powiedział Rhyme. - Unikaj jej jak ognia. To jest o niebo lepsze.

Sachs rozejrzała się dokoła.

Gdzie jest ta kobieta ze szpitala? Twoja opiekunka?

Pani Ruiz? - mruknął Rhyme. - Beznadziejna sprawa. Odeszła. Opuściła mnie w potrzebie.

-Odeszła? -Thom uniósł brwi. - Omal nie doprowadziłeś jej do szaleństwa. Równie dobrze mogłeś ją zwolnić.

- Byłem dla niej jak anioł - warknął kryminalistyk.

- Jak tam twoja temperatura? - spytał Thom.

-W porządku - mruknął Rhyme. - A twoja?

-Może trochę za wysoka, ale ja nie mam problemów z ciśnieniem.

-Nie, masz za to dziurę po kuli w brzuchu. Pomocnik nie dawał za wygraną:

- Powinieneś...

- Powiedziałem, że czuję się dobrze,

-...przesunąć się bardziej w cień.

Rhyme burknął coś pod nosem, narzekając na nierówny grunt, w końcu jednak wjechał głębiej w cień.

Garrett rozkładał starannie jedzenie, picie i serwetki na ławce pod drzewem.

-Jak się czujesz? - spytała Sachs szeptem, spoglądając na Rhyme'a. - I zanim zaczniesz się na mnie złościć, powiem tylko, że nie chodzi mi o temperaturę.

Kryminalistyk skinął lekko głową, co miało oznaczać, że czuje się dobrze.

Ale wcale się tak nie czuł. Przeponowy stymulator nerwów pompował do jego ciała prąd, który pomagał płucom wdychać i wydychać powietrze. Rhyme nienawidził tego urządzenia -

odstawił je kilka lat wcześniej - teraz jednak znów go potrzebował. Dwa dni temu, kiedy leżał na stole operacyjnym, Lydia Jo-hansson omal nie zatrzymała jego oddechu na zawsze.

Kiedy pielęgniarka pożegnała dwie kobiety, siedzące w szpitalnej poczekalni, Sachs zauważyła, że ta zniknęła za drzwiami oznaczonymi napisem „Neurochirurgia”. Spytała Lucy:

-Mówiłaś, zdaje się, że ona pracuje na onkologii?

-Tak jest.

-Więc dlaczego tam wchodzi?

-Może chciała przywitać się z Lincolnem - podsunęła Lucy.

Sachs nie sądziła jednak, by pielęgniarki miały w zwyczaju składać pacjentom grzecznościowe wizyty tuż przed operacją.

Potem pomyślała: Lydia wiedziała, kto spośród mieszkańców Tanner's Corner może być chory na raka. Przypomniała sobie także, że ktoś przekazywał Bellowi informacje o pacjentach, którzy interesowali się przyczynami swej choroby

- chodziło o trzy osoby z Blackwater Landing zamordowane przez Culbeau jego przyjaciół.

Kto mógłby wiedzieć o nich lepiej niż pielęgniarka z oddziału onkologicznego?

Sachs powiedziała o tym Lucy, ta natychmiast sięgnęła po telefon komórkowy i zadzwoniła do firmy telekomunikacyjnej, która przygotowywała dla niej właśnie wykaz rozmów prowadzonych przez Jima Rella. Okazało się, że są wśród nich setki połączeń z Lydią.

-Ona chce go zabić! - krzyknęła Sachs.

Obie kobiety, jedna z bronią w ręku, wtargnęły do sali operacyjnej - melodramatyczna scena, żywcem wyjęta z „Ostrego dyżuru” - w chwili gdy doktor Weaver miała właśnie dokonać pierwszego cięcia.

Lydia spanikowała i próbując uciec albo zrobić to, po co wysłał ją Bell, wyrwała z gardła Rhyme'a rurkę z tlenem. Kilka sekund później leżała obezwładniona na podłodze, ale płuca Rhyme'a, osłabione dodatkowo środkiem znieczulającym, przestały działać. Doktor Weaver zdołała przywrócić go do życia, lecz przez najbliższe tygodnie kryminalistyk skazany był na stymulator.

Co gorsza jednak, ku rozpaczy i złości Rhyme'a, doktor Weaver stanowczo odmówiła wykonania operacji co najmniej przez najbliższych sześć miesięcy, to jest dopóki funkcje jego układu oddechowego całkowicie się nie unormują. Kryminalistyk próbował wymóc na niej zmianę zdania, lecz lekarka okazała się równie uparta jak on.

Sachs pociągnęła kolejny łyk whisky.

-Powiedziałas Rolandowi Bellowi o jego kuzynie? - spytał Rhyme.

Skinęła głową.

-Bardzo to przeżył. Powiedział, że Jim zawsze był czarną owcą w rodzinie, ale nigdy nie podejrzewałby go o coś podobnego. Wydawał się naprawdę wstrząśnięty. - Spojrzała na północny wschód. - Spójrz - powiedziała. - Tam, daleko. Wiesz, co to jest?

- Podpowiedz mi - odparł Rhyme, śledząc jej spojrzenie. - Na co patrzysz? Na horyzont? Chmurę? Samolot? Oświeć mnie, Sachs.

-Wielkie Ponure Bagno. Tam właśnie znajduje się jezioro Drummond.

Fascynujące - mruknął ironicznie.

Aż roi się tam od duchów - powiedziała Sachs.

Podeszła do nich Lucy i naląła sobie trochę whisky do papierowego kubka. Pociągnęła łyk i skrzywiła się.

-Paskudne. Smakuje jak mydło. - Otworzyła puszkę heine-kena.

- Jedna butelka kosztuje osiemdziesiąt dolarów

- oświadczył Rhyme z urażoną miną.

-Więc jak bardzo drogie mydło.

Sachs patrzyła na Garretta, który napchał sobie usta chipsami, a potem pobiegł gdzieś w trawę.

-Dostałaś jakąś odpowiedź władz okręgowych? - zwróciła się do Lucy.

-Czy mogę być jego zastępczą matką? - upewniła się policjantka. Potem pokręciła głową. -

Marne szansę. Nie chodzi o to, że jestem sama, tylko o moją pracę w policji. Długie zmiany.

-Co oni mogą o tym wiedzieć? - skrzywił się Rhyme.

- Nieważne, co wiedzą - odparła policjantka. - Ważne, co robią. A wygląda na to, że nie wyrażą zgody. Ale mój prawnik mówi, że adopcja będzie lepszym wyjściem. Tymczasem Garrett zostanie u pewnej rodziny w Hobeth. To dobrzy ludzie. Dokładnie ich sprawdziłam.

Sachs nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Garrett skradał się w trawie, śledząc jakiegoś owada. Kiedy znów się odwróciła, zauważyła, że Rhyme przypatruje jej się uważnie.

Co? - spytała, marszcząc brwi.

Gdybyś miała powiedzieć coś do pustego krzesła, co by to było, Sachs?

Zawahała się na moment.

-Myślę, że jeszcze przez jakiś czas zachowam to dla siebie, Rhyme.

Nagle Garrett roześmiał się głośno i ruszył biegiem przez trawę. Ścigał jakiegoś owada, a kiedy zrównał się z nim, skoczył wysoko, pochwycił go i opadł na ziemię. Po chwili szedł już w ich stronę, wpatrzony w swe złożone dłonie.

Zgadnijcie, co znalazłem - zawołał.

Chodź, pokaż nam - odparła Amelia Sachs. - Chcę to zobaczyć.